

NIEWYGODNY
POLAK

MACIEJ
BERNATT-RESZCZYŃSKI



NIEWYGODNY
POLAK

**NIEWYGODNY
POLAK**

**MACIEJ
BERNATT-RESZCZYŃSKI**



WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE

Copyright © Maciej Bernatt-Reszczyński, 2017
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2017

Redaktor prowadzący | Bogumił Twardowski
Redakcja | Bartosz Szpojda
Korekta | Anna Gądek
Projekt okładki | Dawid Czarczyński
Projekt typograficzny, łamanie | Grzegorz Kalisiak
Zdjęcia | zbiory autora oraz archiwum Wydawnictwa Poznańskiego

Książka wydana została za pośrednictwem Firmy Wydawniczej SEZAMM Małgorzata Maruszkina www.sezamm.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej | Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2017

ISBN 978-83-7976-683-3

Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@wydawnictwopoznanskie.com
www.wydawnictwopoznanskie.com

Jeśli nie ma w tym paradoksu, to nie ma prawdy

MISTRZ SUZUKI ROSHI

Spis treści

Postaci historyczne, o których jest ta książka

O tytule

Wstęp

CZĘŚĆ I

ALEKSANDER, FRANCISZEK

Śmierć komendanta

Tajemniczy telefon

Ul. Krasińskiego 4

Nekrolog w telegraficznym skrócie

Prosektorium, ul. Oczki 1

Sąsiad z Krasińskiego

Cmentarz na Powązkach

„Podejrzewano, że ktoś z AK to zrobił”

Ul. Chocimska

Pan komendant i dorożkarz

Krakowskie Przedmieście 1

„Nie chciał być w żadnej opcji, chciał być stróżem porządku”

Krakowskie Przedmieście 1

„Zmagał się z korupcją. Próbował coś z tym zrobić”

Ul. Krasińskiego 4

„PPR walczy ze szpiczlami”

Krakowskie Przedmieście 1

Spalona kryjówka u cioci na Mokotowie

Ul. Marszałkowska 138

Kucharka z sowieckiej ambasady

Al. Ujazdowskie
Zdjęcie „wąskonosego”
Ul. Krasińskiego 4
Wiersz czternastolatki na grobie zamordowanego ojca
Ul. Marii Kazimiery
Na scenę wkracza Hedda
Ul. Krasińskiego 4
Mogiła na Powązkach
Stacja Warszawa Wileńska
Aleja Szucha 25
„Czapka Frygijska”
O tym, jak pewnego razu ojciec sprął Hanę
Ul. Poznańska 53
Norman Davies o kolaboracji
Ul. Miodowa
„Nie wiedzieliśmy o żadnej Jałcie”
Ul. Miodowa
Generał Rowecki pisze do Naczelnego Wodza
Ul. Chocimska
„PPR w walce”
Ul. Pierackiego
Zbieg okoliczności?
Ul. Marszałkowska 138
„Nie wyszedłbym bez niego. To był cud, wie pan”
Al. Szucha
Schutzmannschaften
Ul. Felińskiego 9
„Las ludzki”
Ul. Chocimska
„Pan komendant z paniami w rowie”
Ul. Koszykowa
Drugi, trzeci i czwarty zamachowiec
Ul. Leszno
Reszczyński i getto
Ul. Leszno
Wodzirej z Popiołu i diamentu wspomina Reszczyńskiego
Ul. Koszykowa
Kunert
Ul. Koszykowa
„Pomysłowy sługus Gestapo”

Ul. Krasińskiego 4
„Była opinia, że nie należy w żaden sposób współpracować z okupantem”
Ul. Chocimska
Dotykam własnymi rękoma dowodu zbrodni
Ul. Puławska 2
Berdych
Cmentarz na Powązkach
Przymusiński
Ul. Leszno
Samozwańczy „zabójca komendanta”
Getto
„Ludzie z kontrwywiadu mówili niesłychanie pozytywnie o tej postaci”
Ul. Poznańska
„Strzał katyński”
Ul. Koszykowa
Jerzy Ślaski: „Czarny i biały nie wystarczają...”
Ul. Chocimska
Dwie wystawy
Ul. Lwowska 13
Co czuje wykonawca wyroku śmierci w imieniu podziemia?
Ul. Koszykowa
„Granice konieczności życiowej”
Chmielna
„Pierwszy raz o AL usłyszałem w drugim tygodniu powstania”
Ul. Podwale
Biblioteka Narodowa: nadrabianie zaległości w literaturze przedmiotu
Ul. Kilińskiego
„Wymiar sprawiedliwości Polski podziemnej”
Ul. Chocimska
Dekomunizacja Krakowskiego Przedmieścia
Al. Szucha
I znowu Krakowskie Przedmieście
Ul. Chocimska
„Spojrzenie wstecz” – krakowskie wspomnienia Lidii Ciołkoszowej
Ul. Chocimska
Rembek o Reszczyńskim
Ul. Poznańska
Caravaggio, Niewiadomski... Bartoszek?
Ul. Krasińskiego 4
Dwaj stryjkowie

Al. Szucha

„Jest pewne zadanie i człowiek myśli o wykonaniu tego zadania... ale po wyjściu dostałem mdłości”

Ul. Koszykowa

Nür fur Polen

Ul. Krasińskiego 4

Hania pisze do prezydenta Kaczyńskiego

Ul. Żurawia

Spotkanie rodzinne, sierpień 2014

Ul. Słowackiego

Nadzieje pogrzebane w tupolewie

Ul. Tucholska

Jeszcze o tupolewie

Ul. Świętokrzyska

Rewizja IPN u profesora Kobylińskiego w marcu 2016

Ul. Jasna

Przykro, że było u pana przeszukanie...

Ul. Solec i ul. Śmiała

Profesor Kobyliński – ewakuacja

Epilog części pierwszej

CZĘŚĆ II

HANNA I HEDDA

Wstęp do części drugiej

Bielsko, ul. Kolejowa 3 (lipiec 1945)

Raport sztabu Oddziału Informacji II Korpusu Polskiego (1946)

Bielsko, ul. Kopernika

Krakowiacy i Górale

Most kolejowy na rzece Kamie, Mołotow, Rosja (czerwiec 1945)

Opracowanie „Internowani na Uralu” – ślad Przymusińskiego

Teatr miejski, Bielsko, czerwiec 1945

Stacja Baskaja, Permski Kraj

Bielsko, ul. Kopernika

Pożytek z pracy w TVP

Miejski Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, Bielsko, Krasińskiego 30

Z angielską flegmą o ubeckim biciu

Teatr miejski w Bielsku

Z życiorysu Kazimierza Farbera, 1946 r.

Więzenie w Bielsku, Słowackiego 15
Kaci dzielą cele z ofiarami
Proces w kinie Zorza
Moment ogłoszenia wyroku Hanki
Kraków, ul. Świętego Jana
Więzenie i prośby o ułaskawienie
Katowice, ul. Mikołowska
Kariera i upadek prokuratora Szpądrońskiego
Łódź, ul. Sienkiewicza 21
Wielka rola Juliusza Osterwy
Bytom, ul. Fałata
Truciciel z Radomia
Amnestia
Zakład karny we Wronkach
Hedda wychodzi z cienia na Ochocie
MUBP Łódź
„Ta cholerna akcja na bank »Społem«”
MUBP Łódź
Koledzy z baraku
Warszawa, ul. Poznańska 12
Wojujący katolik zostaje komunistą
Ul. Koszykowa
„Ksenia” melduje
Ul. Rakowiecka
Światło
Zakład karny we Wronkach
Pięć lat przesłuchań
Ul. Rakowiecka
Protegowani Spychalskiego
Więzenie na Rakowieckiej
Jan Kott: „odpowiedziała cicho – jestem winna”
Ul. Poznańska
Kult Bartoszka
Kraków, Krzywa 10
Hanka wnosi o starcie wyroku
Kraków, bohaterów Stalingradu, luty 1961
Śmierć Bartoszka: teoria trójkąta
M/S „Batory”, północny Atlantyk
Doktor Anna
Waszyngton, dystrykt Kolumbia, lipiec 1964

Noc po śmierci Bartosza – wersja Światły czy wersja Różańskiego?

Waszyngton, dystrykt Kolumbia

Czas zacząć kończyć. Podsumowanie. Rozmowa z profesorem Andrzejem Friszke

The Kane Republican, Kane Pennsylvania, 28 lipca 1964

Garden party u Bena i Loli a sprawa polska

Wrocław, ul. Sądowa, maj 2000

Wyrok i nekrolog – maj, czerwiec 2000

Cmentarz Mount Olivet, Waszyngton, dystrykt Kolumbia

„Tydzień”

Waszyngton, dystrykt Kolumbia

„Czy Gestapo działało inaczej niż UB? No, nie działało inaczej”

Duch inspektora Weissa

To nie jest epilog

Posłowie

Podziękowania

Bibliografia

Przypisy

Zdjęcia

Postaci historyczne, o których jest ta książka

Zamordowany, „niewygodny Polak”, podpułkownik Aleksander Reszczyński

„– (...) Ale niech Piasecki panu powie, co to za banda. W Warszawie zastrzelili z tajnego wyroku nadkomisarza policji granatowej, Reszczyńskiego. Może pan go pamięta z Wilna?

– Naturalnie.

– Później okazało się, że Reszczyński pomagał Żydom i dał nawet pewne tajne instrukcje podległej mu policji, ryzykując osobiście. I zarzuty w ogóle były fałszywe. Więc później przeproszono jego żonę za pomyłkę.

– To ładnie, że przeproszono.

– Pewnie, że ładnie. Władysław Studnicki wygłosił nad jego grobem publicznie ryzykowne słowa o »ciemnych elementach naszego narodu, które pozwalają sobie przywłaszczać prawo rozstrzygania o życiu i śmierci obywateli«. Ale nie został zastrzelony, jak dotychczas”.

Józef Mackiewicz, *Nie trzeba głośno mówić*

Dowódca zabójców podpułkownika Reszczyńskiego, Franciszek Bartoszek

„Komunistów uczono w tamtych latach strzelania: internacjoniści, głosiciele pokoju, musieli wykazać niemało samozaparca wewnętrznego, aby zabijać. W organizacjach młodzieżowych, na zebraniach i uniwersytetach powszechnych uczono ich wrażliwości na krzywdę ludzką, nienawiści do wojny. Gdy rozmawiałam z Frankiem Bartoszkim czy z Zygą Bobowskim – artystami

malarzami, którzy zamienili pędzle na pistolety – odgadywałam w nich często nutkę bólu, że życie, a przede wszystkim sprawa obrony ojczyzny na takie zawiodła ich szlaki”.

Izolda Kiryłuk-Kowalska, *Wspomnienia warszawskich peperowców*

Żona Franciszka Bartoszką, Hedda

„Brystigerowa była jeszcze bardziej serdeczna. Nawet jakby współczująca. »Pomyliliście się, towarzyszu profesorze. Hedda była w agencji na długo, zanim ją poznaliście. Tej jeszcze nocy, kiedy zginął bohatersko towarzysz Bartoszek, odbyła się orgia w burdelu na Złotej. Hedda brała w niej udział, razem z co najmniej pięcioma oficerami z Gestapo. Tu są jej zeznania, własnoręcznie podpisane«”.

Jan Kott, *Przyczynek do biografii*

Córka zamordowanego, Hanna Reszczyńska

„Wysoki sędzie! Reakcja w swojej wywrotowej robocie nie przebiera w środkach. Oto właśnie te środki działania reprezentują siedzący tu przed nami! Symbolem tego zła jest Reszczyńska – symbol zła i występku politycznego. Ojciec – nadkomisarz hitlerowskiej granatowej policji w Warszawie. A córka – walczy w Bielsku »o Polskę«. Reakcja wie dobrze, że odbudowa Polski to jej koniec. Przeciwstawia się tej odbudowie. Zabija – usuwa niewygodnych ludzi”.

Prokurator Okręgowego Sądu Wojskowego w Katowicach, płk Holder,
23 listopada, 1945 rok

O tytule

„NIEWYGODNI POLACY” to określenie z donosu „wrogów żydokomuny” do Gestapo, z września 1943 roku – przypisywanego szefom wydziału wywiadowczo-informacyjnego sztabu głównego GL, Marianowi Spychalskiemu i Stanisławie Sowińskiej, na podstawie odpisu z dokumentów śledztwa przeciwko Spychalskiemu w 1952 roku:

„Wobec zbliżającego się niebezpieczeństwa żydokomunistycznego, rzucającego groźny cień na kontynent europejski, uważamy, że we wspólnym interesie wszystkich cywilizowanych ludzi i rozumnie myślących jest zażegnanie owego niebezpieczeństwa na swoim terenie. W tym celu podajemy poniżej spis osób działających bezpośrednio lub wybitnie sympatyzujących i agitujących za komuną. Ze środowiska tego dostarczana jest broń Gwardii Ludowej, kolportowana bibuła komunistyczna, jak »Trybuna Wolności«, »Gwardzista« i inne, robione są zebrania agitacyjne, jak w jednej fabryce na Woli; spośród tych ludzi wywodzą się zamachowcy na oddział SA, kawiarnię »Café Club«, jak i pomniejsze akcje rozbrajania i zabijania żołnierzy niemieckich i niewygodnych Polaków”.

„Instrukcja obsługi” tej książki

Przeplatają się w niej ze sobą dwa nurty: beletrystyczny i dokumentalny. W przypadku gdyby różnice pomiędzy nimi okazały się dla Czytelnika dezorientujące, zapraszam do Posłowa, które – jak mam nadzieję – wyjaśnia przyjęte przeze mnie podejście.

Maciej Bernatt-Reszczyński

Wstęp

JEDEN Z MOICH DZIADKÓW BYŁ FILOZOFEM, A DRUGI ARTYLERZYSTĄ. Ta książka opowiada o tym, co się stało ze starszym bratem artylerzysty, moim stryjecznym dziadkiem, policjantem Aleksandrem.

Na zdjęciu z czasów pierwszej wojny światowej przyszłego artylerzystę i przyszłego policjanta częstuje papierosami trzeci brat – przyszły urzędnik. Z całej trójki tylko on dożyje spokojnej starości. Artylerzystę wykończy za młodu gruźlica, a policjanta, tuż przed pięćdziesiątką, komuniści.

Wojna w ogóle obeszła się z rodziną mojego ojca dość surowo. Co prawda on sam wyszedł cało z obozu, ale stracił troje bliskich: dziadka w pierwszym dniu powstania rozstrzelali Niemcy, babcię pod jego koniec zamordowali Ukraińcy, a stryja Aleksandra na półmetku wojny zlikwidowała Gwardia Ludowa.

U mojego ojca, który stracił swojego, artylerzystę, mając zaledwie osiem lat, stryj Aleksander cieszył się wielkim mirem. Poza kobietami, mój ojciec najbardziej lubił następujące trzy rzeczy: jedzenie, chodzenie i gadanie. Jeszcze kiedy byłem mały, zaczął zabierać mnie na długie piesze wycieczki. W dolnośląskich lasach i na tatrzańskich szlakach recytował mi w marszu w kółko, aż do znudzenia, *Śmierć pułkownika Adama Mickiewicza*, od:

„W głuchej puszczy, przed chatką leśnika Rota strzelców stanęła zielona”

aż do:

„Ach, to była dziewczica
To Litwinka, dziewczica-bohater
Wódz Powstańców – Emilija Plater!”.

A kiedy mi nie recytował, to opowiadał o śmierci swojego stryja, też pułkownika, Aleksandra. Mówił o nim, „wielki patriota” i „wielki demokrat”, a na ilustrację obu tych przymiotów stryja jednocześnie miał taką dyżurną anegdotkę o tym, że ród stryjenki, Marty z Zarembów Reszczyńskiej, wywodził się w linii prostej od jednego z uczestników Sejmu Czteroletniego. Ciotka szczyliła się herbem Zarembów i w ogóle przywiązywała do tych kwestii wielką wagę, podczas gdy stryj, nie zważając na swój klejnot rodzinny – Rawicz – o herby nie tylko mało dbał, ale wręcz go irytowały. Kiedy więc stryjenka za dużo gadała o swoich szlacheckich koligacjach, to krzyczał na nią: „Ta twoja szlachta zgubiła Polskę!”. Tak przynajmniej opowiadał mi ojciec, który miał lat dwadzieścia jeden, kiedy stryj policjant został zamordowany i spoczął na Powązkach, nieopodal jego ojca, swojego brata, artylerzysty.

Odwiedzaliśmy oba te groby. Po Zaduszkach i świętach narodowych na mogile Aleksandra leżały wieńce z biało-czerwonymi wstążkami od „podwładnych”, którzy przeżyli wojnę i powojenną weryfikację „granatowych” przez „czerwonych”.

Poza ojcowskimi pogadankami i Powązkami do mojej edukacji na temat stryja należały książki. Nasze poniemieckie, wrocławskie mieszkanie sąsiadowało przez ścianę z przedwojennym sklepem, powojenną księgarnią, w której ojciec przesiadywał godzinami i gdzie kupował masę książek. Bardzo się ucieszył, kiedy znalazł tam w połowie lat sześćdziesiątych wspomnienia Tadeusza Sztumberka-Rychtera, z rzadkimi, jak na owe czasy, pozytywnymi wzmiankami o stryju, a konkretnie o paru przypadkach, kiedy pomógł lub próbował pomóc zwolnić zatrzymanych akowców. Wkrótce jednak do naszej księgarni trafiła publikacja o skrajnie przeciwnej wymowie, która ojca tak wzburzyła, że jej nie kupił, ale za to wysłał mnie, szesnastolatka, żebym ją tam sobie, jak to mówił „przestudiował”. Chodziło mu w szczególności o fotografię przedstawiającą, jak to ujęto w podpisie, „zdrajcę narodu polskiego, pułkownika Reszczyńskiego, podczas inspekcji w getcie”. Fotografia była ciemna i niewyraźna, ale wrażenie, jakie na mnie wywarł ten podpis, musiało być piorunujące, bo nawet po pół wieku cytuję go z pamięci. Książka nosiła tytuł *Polacy–Żydzi 1939–1945*. Stwierdzenie o zdradzie pułkownika Reszczyńskiego było żywcem wzięte ze znacznie wcześniejszego „dzieła” Władysława Gomułki, z lat czterdziestych, o którym ojciec też mi opowiadał. Niedługo potem ukazała się kolejna negatywna wzmianka o stryju jako o „funkcjonariuszu hitlerowskiego aparatu przemocy”, w poważnej książce Władysława Bartoszewskiego o okupacji w Warszawie. Co prawda, po interwencji różnych ludzi dobrej woli, w drugim wydaniu profesor zmienił „kwalifikację” stryja, ale była to jedynie kropla w morzu. W peerelowskiej historiografii pułkownik Reszczyński niewiele się

różnił od hitlerowców i tylko mój ojciec ciągle uparcie powtarzał swoje, że „stryj był wielkim Polakiem, i patriotą był”. Ale władza twierdziła co innego.

I tak właściwie było zawsze, kiedy mieszkałem w Polsce: za komuny czy za demokracji moi rodacy mogą się w najlepszym razie z grubsza zgodzić co do porządku chronologicznego pocztu królów polskich (bo przecież nie w ich ocenie!), ale nigdy co do pocztu „wielkich Polaków” od trzeciego miejsca w dół, czyli po bezspornych liderach: Janie Pawle II, Koperniku i Kościuszcze. Na każdego kolejnego, potencjalnego, wielkiego Polaka, każdy rodak ma – jak to się ordynarnie mówi – „haka”. Kończy się to wszystko w najlepszym razie zmianami nazw ulic; w bardziej skrajnych przypadkach demolowaniem nagrobków, a w ekstremalnych strzałem w Zachęcie.

Mój ojciec na szczęście nie był bohaterem – miał w czasie wojny dwadzieścia lat, mieszkał w Warszawie, a przecież przeżył – dzięki czemu z kolei żyję ja. Ale względność bohaterstwa zrozumiałem dopiero w pewnym wieku.

Najpierw, jako dziecko ery Gomułki i nastolatek z głową pełną głupich pomysłów o mały włos sam nie zostałem komunistą. Tak się bowiem przejąłem dojściem Gierka do władzy w 1970 roku, że mniej więcej w tym samym czasie, kiedy w księgarni na rogu pojawiła się książka ze zdjęciem stryja podczas inspekcji w getcie, mnie się zachciało do ZMS-u! Nie byłem aż taki głupi, żeby nie wiedzieć, że to był przedsiónek PZPR-u. Wręcz przeciwnie, działałem z pełną premedytacją: nie chciałem zostać, tak jak mój pryncypialny, bezpartyjny ojciec – ubogim ginekologiem. Chciałem zrobić w PRL-u karierę! Nie musiałem przecież być od razu świnią. Nie na darmo szkoła pompowała nam głowy romantyzmem. Chciałem być Wallenrodem! Członkiem ZMS-u, a potem partii, cały czas potajemnie niewierzącym w komunistyczne brednie!

Poszedłem się zapisać do Związku Młodzieży Socjalistycznej w naszym ogólniaku.

– Hola! Nie tak szybko. Musicie najpierw wziąć udział w szkoleniu – powiedzieli mi.

– *W szkoleniu! Nieźle* – pomyślałem. I do tego zwracali się do mnie w liczbie mnogiej! Już czułem się jedną nogą w partii.

Na szkoleniu instruktor z województwa, równy chłop, przywitał ciepło naszą nieliczną gromadkę przyszczatych kandydatów na komunistów.

– Towarzysze!...

„Towarzysze!” No, to teraz już byłem prawie tak partyjny, jak sam Gierek, a przecież nawet się jeszcze nie zapisałem...

„Żeby nas nie zanudzać”, instruktor zaproponował, że nie będzie „teoretyzować”, a zamiast tego na kolejnych szkoleniach omawiać będziemy

bieżące rocznice ważnych wydarzeń z historii ruchu robotniczego. I od razu przeszedł do rzeczy...

– Na przykład, co to dziś mamy? Piąty marca, tak? – Tu otworzył małą czerwoną książeczkę i przejechał palcem po stronie:

– O, proszę, piąty marca czterdziestego trzeciego roku, grupa bojowa sztabu Gwardii Ludowej wykonała w Warszawie wyrok śmierci na zdrajcy narodu polskiego, komendancie granatowej policji, pułkowniku Reszczyńskim.

Reszta „kandydatów na członków” była ze starszych klas i nie znała mojego nazwiska. Ale znałem je ja... Nie pozostało mi nic innego, jak wyjść. I właśnie w ten sposób, wbrew najszerszym chęciom, nie dałem rady zostać komunistą. Nie mogłem. Nawet komunistą Wallenrodem – wrogiem wewnętrznym – mówiącym jedno, a myślącym drugie. Zostałem przed tym losem ocalony jako piętnastolatek. Ocalony przez stryjecznego dziadka, zamordowanego przez tychże komunistów, dwanaście lat przed moim przyjściem na świat.

Znalazłem się, pucułowaty piętnastolatek, po „jasnej stronie mocy”, dobra i sprawiedliwości. To było piękne uczucie. Ale też zwodne. Zrozumiałem to dopiero wtedy, kiedy na stare lata zacząłem porządkować sobie wiedzę na temat tych, co stryja zabili, i prześledziłem losy osób najbardziej dotkniętych jego zabójstwem. Zdałem sobie sprawę z tego, że – jak mówi historyk – dwa kolory: czarny i biały, to za mało, żeby opisać postaci historyczne, że nie obejdzie się bez wszystkich odcieni szarości.

O nich to, o zawsze komuś niewygodnych Polakach, jest ta opowieść: o Aleksandrze Reszczyńskim, o tym, co stało się z jego córką, moją ciotką, i o tym, kim byli i co stało się z jego zabójcami oraz niektórymi ich bliskimi.

Część I

ALEKSANDER, FRANCISZEK



AUF RUF

Sämtliche polnischen Polizeibeamten einschliesslich aller Polizei-Offiziere, die sich am 1. 9. 1939 im Dienst befanden, haben sich ohne Rücksicht auf ihren früheren Dienstort bis spätestens 10. 11. 1939 bei der nächst erreichbaren deutschen Polizei-Dienststelle oder Landrats-Dienststelle zu melden.

Polizeibeamte, die dieser Aufforderung bis zu dem gesetzten Termin nicht nachkommen, haben strengste Strafe zu gewärtigen.

Der Höhere SS- und Polizeiführer
im Generalgouvernement
für die besetzten polnischen Gebiete

Krüger

SS-Obergruppenführer

Lodsch, den 30. Oktober 1939

ODEZWA

Wszyscy urzędnicy Policji Polskiej a również oficerowie Policji Polskiej, którzy w dniu 1 września 1939 r. pełnili służbę, powinni się zgłosić do dnia 10 listopada 1939 r., bez względu na ich poprzednie miejsce służbowe, w najbliższym urzędzie Policji Niemieckiej lub w Starostwie Niemieckim.

Urzędników nie stosujących się do niniejszego wezwania, spotykają najsurowsze kary.

Wyższy Dowódca SS (Schutzstaffel) i Policji
w Generalnym Gubernatorstwie
dla okupowanych polskich obszarów

Krüger

SS-Obergruppenführer

Lodsch (Łódź), dnia 30 października 1939 r.

Śmierć komendanta

KSIĘŻYC BYŁ W NOWIU, A MIASTO ZACIEMNIONE. Łoskot czarnej limuzyny na śliskim bruku wbijał się w ciszę opustoszałych ulic i odbijał złowrogim echem od ścian pogrążonych w mroku kamienic. W jednej z nich, ostrożnie, żeby nie wypuścić najmniejszej strużki światła na ulicę, ktoś uchylił roletę z czarnego papieru, ujrzał znikającą za rogiem maszynę i odetchnął z ulgą. Nigdy nie wiadomo, po kogo jadą.

Pomimo że blade wiązki światła z przesłoniętych reflektorów ledwie muskały rozpościerające się przed nim ciemności, chevrolet jechał dosyć szybko. Był jedynym pojazdem na drodze, a umundurowany kierowca znał trasę na pamięć. Pasażer też znał tu każdy kamień. Za szybą zamajaczył mu przechodzący ulicą niemiecki patrol. Śledził ich wzrokiem. Żandarmi też odwrócili głowy za chevroletem z umundurowanym mężczyzną, wyprostowanym jak struna na tylnym siedzeniu. Ani myśleli go zatrzymywać. Odprowadzili tylko limuzynę zazdrosnymi spojrzeniami. Każdy z nich rad by się rozparł w ciepłe, na miękkim siedzeniu, i bujał na resorach. Do głowy by im nie przyszło, że pasażer czarnej limuzyny bynajmniej nie czuł się wybrańcem losu. Wręcz przeciwnie.

Po zaledwie piętnastu minutach od opuszczenia Krakowskiego Przedmieścia byli już na miejscu. Kierowca wyskoczył otworzyć komendantowi drzwiczki wozu, zasalutował służbiście, tak jak szef lubił i, odczekawszy, aż dozorczyńni otworzy bramę, odjechał.

W sieni, za plecami dozorczyńni Górowej, czaiło się dwóch albo trzech ludzi. Jeden z nich pchnął komendanta między łopatki lufą pistoletu. Wyciągnęli mu z kabury służbową broń. Wszelki opór byłby szaleństwem. Mieli jego żonę i córkę. Górową wepchnęli do jej mieszkania i prowadząc przed sobą rozbrojonego mężczyznę, ruszyli na trzecie piętro.

Nie byli nawet zamaskowani. Jeden z nich, o żółtej cerze i bardzo wąskim nosie, otworzył drzwi do jego mieszkania, jak do swojego. Na darmo komendant

wypatrywał w ciemnym korytarzu żony i córki. Wepchnęli go natychmiast do mniejszego pokoju. Tu spał, pracował, spisywał przy biurku swoje wspomnienia, grał w brydża albo w szachy przy niewielkim stoliku. Balkon wychodził na tyły budynku. Mogli go tu po cichu wykończyć.

Biurko było rozbebeszone. Ich dowódca z oskarżycielskim wyrazem twarzy dzierżył w ręku prywatne zapiski. Miał blond czuprynę i na oko około trzydziestki. Był ewidentnie wykształcony, o inteligentnym, ale zaciętym obliczu. Zapewnił go, że jego bliskim włos głowy nie spadnie, o ile, rzecz jasna, „pan komendant...” No właśnie, o ile co?... Czego od niego chcieli? Zlikwidować mogli go wszak już przy wejściu, jednak wciąż tego nie zrobili.

Żonę i córkę komendanta, wraz z jego teściową i pomocą domową, napastnicy uwięzili w ciemnej służbówce na tyłach mieszkania. Cztery kobiety odchodziły tam powoli od zmysłów. Skulone pod znalezionym po omacku kocem, dygotały z zimna i strachu. Wstrzymując oddech na każdy najmniejszy odgłos z głębi mieszkania, próbowały rozpaczliwie rozszyfrować sytuację, w której się znalazły.

Wcześniej tego popołudnia żona komendanta, poetka, kończyła właśnie pisać przy stole w pokoju od ulicy nowy wiersz. Piętro niżej bawiącą się na klatce schodowej córeczkę sąsiadów, minęło dwóch nieznanym. Szli na trzecie piętro. Żona komendanta starannie zakreśliła eleganckie wieczne pióro i poszła przeczytać wiersz swojej matce, pod której baczynym okiem pomoc domowa gotowała w kuchni kapustę. W oparach tej kapusty córka zaczęła czytać matce wiersz o rozstrzelanych zakładnikach. Słowo „rozstrzelanie” miało dla nich realny wymiar grozy. Na rozkaz Niemców, podwładni komendanta kilkakrotnie dokonywali egzekucji w getcie i nie tylko. Komendant wił się jak piskorz, żeby tego nie musieli robić, i Niemcy na razie ulegli jego prośbom. Ale uprzedził swą małżonkę, że ich cierpliwość może się wyczerpać w każdej chwili, a on sam może wylądować w Oświęcimiu. Żona komendanta była w połowie wiersza o egzekucjach, kiedy nagle w korytarzu mieszkania rozległy się podniesione niemieckie głosy. Zanim tam wybiegła za matką, odruchowo wrzuciła rękopis do garnka. Smugi atramentu poplamiły kapustę na granatowo.

W przedpokoju ujrzała córkę w otoczeniu trzech intruzów. Czternastolatka była przerażona, że to najście to jej wina. To ona niechcący wpuściła nieznanym do mieszkania. Powiedzieli, że są z gazowni...

Prowodyr wymierzył lufę pistoletu w jej matkę.

– Macie w domu broń? – ryknął po niemiecku najpierw do niej, a potem do jej matki.

Nie rozumiały.

Przyłożył lufę do podbródka jednej, a potem drugiej i uporczywie powtarzał pytanie, aż wreszcie żona komendanta wykrztusiła z siebie, że nie rozumieją po niemiecku. Zaskoczony mężczyzna opuścił broń i przeszedł na płynny, wręcz elegancki polski...

Później, już uwięzione w służbówce, kobiety słyszały kilkakrotnie dzwonek telefonu i głośne zapewnienia po niemiecku: *Ja, ja! Alles in Ordnung!* A potem wszystko ucichło. Zostały w ciemności same ze swoim strachem. Powoli traciły już poczucie czasu, kiedy nagle usłyszały kroki i zgrzyt klucza w zamku. Światło ze słabej żarówki w przedpokoju całkowicie je oślepiło. Usłyszały ten sam męski głos, najspokojniej w świecie mówiący po polsku:

– Proszę przyjść i zrobić mężowi herbaty...

Żona komendanta zerwała się na równe nogi – To mąż wrócił?

– Oczywiście. Wrócił i prosi o herbatę.

Wrócił. Żyje. Nic mu nie zrobili! Poprosił, żeby mu zrobiła herbatę, żeby wiedziała, że nic mu nie zrobili. Żona komendanta nabrała nieco otuchy. W kuchni zajrzała ukradkiem do garnka z kapustą. Wiersz diabli wzięli. Pod baczny okiem napastnika, próbując opanować trzęsące się ręce, nastawiła wodę, przygotowała czajniczek z herbatą i jedną szklankę. Już dobrze, już dobrze. Nic mu nie zrobili. Poprosił o herbatę, żeby ją uspokoić. Będzie mogła przekonać się na własne oczy, że nic mu nie zrobili. Ale kiedy herbata była gotowa, mężczyzna bezceremonialnie odebrał szklankę z jej rąk i zamknął ją z powrotem w komórce.

W ciemnej komórce wkrótce znowu straciła poczucie czasu. Z otępienia wyrwało ją pukanie do drzwi wejściowych.

Uwięzione kobiety podskoczyły na odgłos szamotaniny w korytarzu, a potem skuliły się na odgłos kroków. Raptem drzwi służbówki się otworzyły i wpadł do niej, popchnięty od tyłu, mężczyzna. Przed oczyma mignął im granatowy policyjny mundur i znowu znalazły się w ciemności. Mężczyzna dyszał ciężko. Żona komendanta wzięła głęboki oddech:

– Olek? – wymówiła z nadzieją i niedowierzaniem imię męża.

– Pa... pani komendantowa?

Jak mogła być taka naiwna? To nie był jej mąż, ani żadna odsiecz, tylko posterunkowy, jąkała. Przyniósł biedaczysko, „tak jak pa... pan komendant kazał”, wkładki do tych śmierdzących lamp karbidowych – bez których nie można się było obejść przez coraz częstszy brak prądu.

Mój Boże, przydałaby się tu, teraz choćby taka cuchnąca karbidówka!

Ten posterunkowy nie miał nawet broni i był absolutnie przerażony. Po pewnej otusze, jaką wcześniej przyniosła kobietom prośba napastników o herbatę dla

komendanta, strach tego policjanta zaczął im się udzielać. W ich sercach znów zagościł lęk.

Tuż przed końcem godziny policyjnej kobiety ponownie ocknęły się na odgłos kroków. Co teraz? Ale te kroki brzmiały inaczej. Dobrze znały ten odgłos ciężkich oficerskich butów. To on! Był coraz bliżej. Zatrzymał się. Już myślały, że zaraz otworzy drzwi do służbówki, że powie, że już po wszystkim, kiedy usłyszały, jak otwiera drzwi obok. Wszedł do ubikacji! Wkrótce dotarł do nich, wyolbrzymiony przez nocną ciszę, prozaiczny odgłos spuszczonej wody. Potem znowu oddalające się, jak ich nadzieja, kroki. A potem krótki, suchy strzał.

Komendant zwał się z nóg na wznak tuż za progiem swojego pokoiku. Żeby stamtąd wyjść, napastnicy musieli jeden po drugim przestępować nad trupem leżącym z otwartymi szeroko oczyma w rozlewającej się powoli, ale uporczywie kałuży krwi. Jeden z nich, szczególnie wrażliwy, schylił się i zamknął trupowi oczy. Drugi, mniej delikatny, ukradł mu oficerki.

Kiedy pierwszy się wyprostował, jego wzrok padł na wiszącą na ścianie litografię. Wydał pogardliwie usta. Całą noc go drażniła swoim burżuazyjnym sentymentalizmem, a jednocześnie przyciągała wzrok, i wciąż jeszcze nie mógł zdecydować dlaczego. Ale na dalsze rozważania nie było czasu, trzeba się było zbierać. Jego towarzysze czekali ze swoimi trofeami. Dowódca przestąpił nad ciałem swej ofiary i wraz z nimi opuścił mieszkanie.

Na dworze dniało.

Tajemniczy telefon

MOJA CIOTKA HANNA ESSIGMAN-RESZCZYŃSKA jest jedynym żyjącym świadkiem zabójstwa Aleksandra Reszczyńskiego. Od jesieni 2015 roku rozmawiamy długo i często, a zaczynamy od trzech dni i nocy przegadanych w jej mieszkaniu w Gdańsku-Oliwie. Wtedy to, na samym początku, Hance przypomina się sprawa „tajemniczego telefonu”:

– Taki wątek mi się przypomniał, Maćku, bo mi mama dokładnie to opowiadała: jak już była w Londynie i już nazywała się Stypińska, to pewnego dnia nagle dostała telefon. Wiesz, rozmaici ludzie tam byli, Polonia wymieniała się między sobą numerami. A więc nagle w mieszkaniu, gdzie mieszkała z moim ojczymem i z babcią, dzwoni telefon... I kobiety głos mówi: „Czy to pani Reszczyńska-Stypińska?”. Mama mówi: tak. I ta kobieta na to: „Wiem od...” – nie pamiętam już, od kogo powiedziała, że wie, ale możliwe, że to od tego mordercy – „...wiem, co się stało, jak to nastąpiło, bo on zaraz przyszedł do mnie i powiedział mi o tym wydarzeniu...”.

– Od mordercy? – pytam.

– Tak. Powtarzam ci to, co mi opowiadała mama. Że ta kobieta była w Londynie i powiedziała wtedy mamie: „Wiem, że w czterdziestym trzecim roku mój ukochany” – czy już nie wiem kto to miał tam być – „przyszedł do mnie i powiedział mi o tym zdarzeniu”. No i mama się rozdygotała. Możesz sobie wyobrazić. Zorientowała się, jak daleko te macki sięgają, że nawet ją tam w Londynie dosięgły.

– Haniu... Ale po co właściwie ta kobieta zadzwoniła?

– Pojęcia nie mam po co.

– Może jej to ciążyło?

– Ja nie wiem, czy jej to ciążyło.

– Kim była?

– Nie wiem. Nie zostawiła swojego numeru ani niczego. Nie można było jej zidentyfikować. Ale z tego, co mi mama powtarzała, to ona, ta kobieta, mówiła bardzo agresywnie. To, o czym mówiła, nie ciążyło jej. Mówiła agresywnie i nieprzychylnie. Nie byłam przy tym. Nie wiem. Tylko relacjonuję...

Ul. Krasińskiego 4

AŻ PIĘCIU CHŁOPA TRZEBA BYŁO, żeby ułożyć komendanta na tapczanie, takie z niego było wielkie chłopisko. Stali nad nim wciąż, kiedy Niemcy zaczęli walić wściekle w drzwi, jakby przyjechali na rewizję albo aresztowanie, a nie na miejsce zbrodni.

Niemcom po cywilnemu towarzyszyło kilku polskich policjantów. Oficerów śledczych było dwóch: Niemiec i Polak. Polak był wściekły, że przeniesiono zwłoki. Kazał się wszystkim natychmiast wynosić.

Grupa wypadowa I Komisariatu Kripo wzięła się do roboty. Jedni rozeszli się rozpytać sąsiadów, inni krzatali się po małym mieszkaniu, zaglądając do wszystkich zakamarków, przeglądając rozrzucone papiery komendanta i zbierając odciski palców. Niemiec trzymał się z boku, a Polak wydawał polecenia na prawo i lewo. Kazał obfotografować denata ze wszystkich stron.

Mrużąc oczy z każdym błyskiem flesza, Polak czuł, jak powoli cierpie mu skóra. Zawsze zdawał sobie sprawę z tego, co mu grozi w służbie u okupanta. Ale wiedzieć to jedno, a zobaczyć najwyższego rangą polskiego policjanta w Warszawie, zlikwidowanego z zimną krwią pod jego własnym dachem – to drugie.

Niemiec nie wtrącał się, kiedy Polak przesłuchiwał w kuchni żonę, teściową i córkę zabitego, pomoc domową oraz posterunkowego, który do nich dołączył, i dozorczynię Górową, która znalazła zwłoki. Niestety niewiele się od nich dowiedział i nawet za bardzo nie naciskał. Przystojna żona komendanta i dwie pozostałe kobiety, były wciąż zbyt roztrzęsione, a czternastolatka w ogóle nie mogła z siebie wydusić ani słowa. Kobiety podały tylko rysopisy napastników, z których jeden wyróżniał się w szczególny sposób, jakimś niecodziennym kształtem nosa. Natomiast jękający się posterunkowy okazał się zupełnie bezużytecznym świadkiem. Bandyty tak go nastraszyli, że biedak wciąż jeszcze

nie mógł przyjść do siebie. Nic nie widział i nic nie słyszał. Poza strzałem o świcie.

Usiłując uspokoić komendantową, aby wydobyć od niej coś więcej, Polak uciekł się do starej sztuczki, której nauczył go szkolony jeszcze przed pierwszą wojną w Petersburgu policmajster. Zabrał ją mianowicie do pokoiku męża i poprosił, aby sprawdziła, czy nie znikły z niego jakieś przedmioty. Takie żądanie w obliczu ledwie ostygłych zwłok jej męża wydawać się mogło okrutne, ale istotnie pomogło jej wziąć się w garść.

Tylko w jednym momencie zrobiło jej się słabo. Na stoliku oprócz pustych kieliszków i opróżnionej flaszki po nalewce ujrzała opakowanie po pączkach od Bliklego. Bo przecież wczoraj był tłusty czwartek...

Musił je Olek przynieść... – pomyślała i oparła się o stół obiema rękami.

Inspektor chciał ją przytrzymać, żeby nie upadła, ale kobieta powstrzymała go gestem. Wzięła głęboki oddech.

Na stole, obok opakowania po pączkach i pełnej niedopałków popielniczki, stała pusta szklanka komendanta, a na leżącej koło niej kartce były trzy starannie napisane, wykaligrafowane wręcz słowa: „ŚMIERĆ SŁUŻALCOM OKUPANTA”. Żona komendanta rozpoznała zielony atrament ze swojego wiecznego pióra. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie je zostawiła. Rozejrzała się za nim po pokoju, a potem sprawdziła w jadalni. Oficer śledczy nie odstępował jej ani na krok.

– Pióro wieczne – powiedziała do niego – zabrali moje pióro wieczne „Watermana”.

Szukając pióra, zauważyła, że drewniana szkatułka w stylu zakopiańskim stojąca na sekretarzyku była otwarta. Kilkakrotnie przerzuciła między palcami jej zawartość... Okazało się, że zniknęła misternej roboty broszka ze złota i kości słoniowej, przedstawiająca feniksa odrodzonego z popiołów. Należała do znajomej, która prosiła komendantową, by dla niej przechowała kilka sztuk biżuterii, ale wcale nie była najcenniejszą z nich. A jednak to na nią połakomili się mordercy.

Po dwóch godzinach mieszkanie zaczęło stopniowo pustoszeć. Paru polskich policjantów w posępnych nastrojach wyszło jako ostatni. Na koniec zwłoki komendanta zabrano do prosektorium na Oczki w celu przeprowadzenia urzędowych oględzin, a na miejsce przybył zastępca denata w randze majora, który złożył rodzinie wyrazy współczucia.

Major solennie zapewnił wdowę, że zrobione zostanie wszystko, co tylko możliwe, dla ustalenia sprawców, chociaż w głębi ducha wiedział, że dochodzenie i tak nie miało najmniejszych szans powodzenia.

Zostawił ją w kuchni wraz z jej matką i córką, a przed wyjściem z mieszkania zatrzymał się nad zakrzepłą kałużą krwi. Kiedy tak stał zamyślony, usłyszał za sobą szelest papieru. Odwrócił się. W pokoiku za nim ktoś siedział przy biurku. Był to wysoki mężczyzna w cywilu, ale o wyprostowanej wojskowej sylwetce. Jedną ręką przytrzymywał otwarty brulion w marmurkowej okładce, a drugą skrętnie coś notował w czarnym kieszonkowym notesie. Przez ułamek sekundy majorowi wydało się, że ujrzał nieboszczyka. A kiedy tamten podniósł głowę i ujrzał pod światło sylwetkę majora w granatowym szynelu, także odniósł podobne wrażenie.

Major otrząsnął się pierwszy i przedstawił.

Tamten, nie wypuszczając notesu z ręki, podszedł do niego i przywitał się.

– Inspektor Weiss, Pierwszy Komisariat – powiedział, po czym wrócił do biurka. Stanąwszy nad nim, podnosił z blatu pojedyncze, zapisane drobnym maczkiem kartki i próbował dopasować je do miejsc, gdzie zostały wyrwane z brulionu. Brał stronę po stronie, metodycznie przymierzał, dopasowywał i odkładał na miejsce.

– Czy pan inspektor będzie sobie życzył przesłuchać mnie... jako zastępcę komendanta? – zapytał major.

Weiss spojrział na niego nieobecny wzrokiem i podrapał się w głowę.

– Tak, tak... naturalnie. Uczyni to mój zastępca Szulc – odrzekł, wstał i zaczął zbierać papiery do teczki.

Nekrolog w telegraficznym skrócie

PRZY PORANNEJ KAWIE W SOBOTĘ, W POŁOWIE SIERPNIA 2015 ROKU, przeglądam w Internecie archiwalne wydania gadzinowego „Nowego Kuriera Warszawskiego” z początku marca 1943 roku. Szukam szczegółów z życia codziennego okupowanej Warszawy, takich jak ten, że przydział na kartkę żywnościową wynosił 350 gramów „chleba razowego mieszanego” dla dorosłych mieszkańców i 175 gramów dla dzieci, albo tego, że godziny zaciemnienia właśnie skrócono. Dnie były coraz dłuższe i od początku marca zaciemnienie obowiązywało od osiemnastej piętnaście do piątej rano.

Zabójcy opuścili mieszkanie właśnie około piątej – po godzinie policyjnej.

Wreszcie, w wydaniu poniedziałkowym z 8 marca 1943 roku, znajduję nekrolog Aleksandra Reszczyńskiego. Nekrolog – czy to ze względu na ograniczone miejsce, czy na koszt – składa się prawie wyłącznie ze skrótów. I nie chodzi tu jedynie o zwyczajowe „Śp.” zamiast świętej pamięci czy o „ppłk.” zamiast podpułkownika, „dn.” – zamiast dnia, i tak dalej. Co drugie słowo nekrologu to skrót – co wywołuje u mnie dosyć makabryczne wrażenie.

Ciarki mnie przechodzą, kiedy czytam: „Nab.” „żał.” „odb.” się w „kość.” Karola „Borom.” na „Pow”.

A dalej, po dacie i godzinie – 9 marca o 11.30 – informacja o tym, że:

„wypr.” zwłok zaraz po „skończ.” „nab.” na „cm.” „miejsc.” do „gr.” „rodz.”.

I na sam koniec – aż płakać się chce:

Na „sm.” te „obrz.” „zapr.” „krew.” „przyj.” „kol” i „znaj”. Podpisano: „Pogr.” w głębokim smutku Rodzina.

Niejako na otarcie łez znajduję później w poprzednim wydaniu „Kuriera” taki oto „smaczek”. Dnia 5 marca – czyli w dniu zabójstwa komendanta Reszczyńskiego – o 17.00 dano w Warszawie jedno jedyne, premierowe przedstawienie „rewii promienności” z Adolfem Dymszą w roli głównej, pt. *Idzie wiosna!...*

Prosektorium, ul. Oczki 1

MARTA RESZCZYŃSKA Z CZARNĄ OPASKĄ NA RAMIENIU i z ciężkim sercem, szykowała się przed lustrem w przedpokoju do wyjścia. Jej matka obserwowała ją bacznie, a córka – z błaganiem w oczach. Marta była nieugięta. Do prosektorium pójdzie sama.

Pożegnała się z nimi rezolutnie i zamknęła za sobą drzwi na trzy spusty. I wtedy dopadło ją przerażenie. Opuściła mieszkanie po raz pierwszy od śmierci męża. A co będzie, jeżeli mordercy wrócą? Wydawało jej się, że słyszy jakiś hałas na dole. Może już wrócili? Z zapartym tchem wychyliła się ostrożnie przez poręcz i spojrzała w dół. Ani żywego ducha.

Po co mieliby wrócić? To by nie miało żadnego sensu.

Ale nic już nie miało sensu. Marta nabrała powietrza i ruszyła w dół.

Mieszkali na najwyższym piętrze. Piętro niżej minęła drzwi państwa Niżyńskich. To ich młodsza córka, Kazia, miała czwartego marca imieniny, na które „Ita” się wybierała i pobiegła otworzyć drzwi, przekonana, że to właśnie jej przyjaciółka. Naprzeciwko Niżyńskich, pod siódemką, mieszkał mecenas z żoną. Ich mała Mirka bawiła się wtedy na schodach i widziała, jak napastnicy szli na górę. Mecenasostwo mieli też synka, a w dodatku ukrywali jakieś dzieci z getta. Żydówką była też pani Jeryszowa z dołu. Niedawno aresztowało ją Gestapo i wszelki ślad po niej zaginął.

Dozorczyni Górowa, która mieszkała na samym dole, krzątała się w sieni. Zagadała do Marty. Było jej żal komendantowej. Jeszcze nie czterdziestoletnia, a już wdowa.

W czeluściach niskiego budynku na Oczki unosił się trupi odór. Rana postrzałowa w głowie pułkownika Reszczyńskiego była raną ślepą. Pocisk z jego własnego parabellum, wystrzelony z niewielkiej odległości w potylicę, przeszył

mózg i utkwiał w twarzoczaszce, tuż po okiem. Rozległy wylew zniekształcił lewą stronę twarzy.

Jak to dobrze, że odmówiła „Icie”, która tak prosiła, żeby mogła po raz ostatni zobaczyć ojca.

Młodszy brat komendanta wrócił z Martą z Oczki na Krasińskiego, żeby omówić z nią kwestię pochówku. Całą drogę milczał, zatopiony w swoich myślach. Z natury nie był szczególnie rozmowny. A teraz, kiedy został ostatnim żyjącym z trzech braci, to w ogóle się nie odzywał.

Przy stole jadalnym w domu ustalili treść nekrologu. Pogrzeb zamówi się na wtorek. Trumna będzie, rzecz jasna, zamknięta.

Robiło się ciemno i Stanisław musiał się zbierać, żeby zdążyć do domu przed godziną policyjną. Ciemność i pustka otaczały ich ze wszystkich stron. Marta czuła się tak, jakby to z tej ciemności wyłoniła się niewidzialna ręka, która zabrała jej męża. Szybko zamknęła drzwi za szwagrem. Chociaż widziała oblicza zabójców i słyszała ich głosy, to nie miała pojęcia, skąd przyszli, kim byli i za co go zabili.

W kolejnych dniach jej osamotnienie wywołane śmiercią męża zaczęło się jeszcze bardziej pogłębiać. Spostrzegła, że znajomi na jej widok przechodzą na drugą stronę ulicy, a sąsiedzi ukradkiem przemykają się koło niej na schodach. „Aha, a jednak! Widać, ten pryncypialny pułkownik musiał coś mieć na sumieniu, bo jeżeli zabiło go podziemie, to już oni na pewno wiedzieli za co” – zdawały się mówić ich zacięte oblicza.

Tylko poczciwy mecenas spod siódemki brał stronę komendanta:

– Pani rozumie, że nie mogę powiedzieć wszystkiego, ale wiele rozmawiałem z pani mężem. I dlatego uważam, że zaszła jakaś straszliwa pomyłka, którą ani chybi właściwe czynniki pilnie wyjaśnią.

Wciąż oszołomiona Marta niewiele z tego rozumiała, a mecenas nie mógł wchodzić w szczegóły. W skrytości ducha gnębiły go obawy, że jakiś sąd kapturowy, jakkolwiek niesłusznie, mógł uznać komendanta za zdrajcę i zasądzić jego likwidację. Tylko jaki sąd? Na pewno nie jego sąd, bo on wiedziałby o tym jako pierwszy. Służył przecież, jak by nie było, jako prokurator Izby Cywilnej Sądu Polskiego Państwa Podziemnego.

Sąsiad z Krasińskiego

PRZYGOTOWUJĄC SIĘ DO KILKUDNIOWEGO WYWIADU Z HANKĄ, dalej buszuję w Internecie i znajduję wywiad z Jerzym Zbigniewem Sakowiczem o jego ojcu, który podczas okupacji mieszkał w Warszawie przy Krasińskiego 4, działał w podziemiu i ratował Żydów, a po wojnie mieszkał w Kutnie, gdzie za czasów stalinowskich spotkały go różne nieprzyjemności.

Zakładam, że pan Jerzy nadal mieszka w Kutnie, i szukając związanych z tym miastem osób o tym nazwisku, znajduję na Facebooku panią Natalię, która pracuje w Brukseli. Okazuje się ona córką Jerzego Zbigniewa i wnuczką sąsiada Reszczyńskich.

– Tak, słucham...

– Dzień dobry. Ja dostałem pański numer telefonu od pani Natalii...

– Tak, tak, wspominała coś. Tak, Ludomir Sakowicz to jest mój ojciec. To był mój ojciec. A pana dziadek był pułkownikiem granatowej policji?

– Stryjeczny dziadek.

– No więc mogę panu w tym temacie powiedzieć, że nie musi się pan wstydzić za dziadka. Myśmy mieszkali w Warszawie na Krasińskiego 4 i naszym sąsiadem był właśnie pan Reszczyński. Ja byłem mały w czasie okupacji. Urodziłem się we wrześniu 1939 roku. To, co pamiętam, to ludzi powieszonych i ludzi rozstrzelanych, bo tak dziwnie leżeli. I to wszystko. Ale siostra już była bardziej kumata, bo miała jedenaście–dwanaście lat i opowiadała o tej historii z ludźmi, którzy wpadli do tego mieszkania.

– Widziała ich na własne oczy?

– Niechcący była świadkiem, bo akurat bawiła się na schodach, jak dwóch facetów wparowało tam do mieszkania.

– Podobno pana ojciec często się spotykał z Reszczyńskim?

– Z opowiadań ojca wiem, że ojciec nawet z nim przyjacielskie stosunki utrzymywał, sąsiedzkie takie. To byłoby niemożliwe, gdyby pan Reszczyński

współpracował z Niemcami, dlatego, że ojciec był z ramienia rządu londyńskiego prokuratorem tzw. Izby Cywilnej i na wszelkiego rodzaju kolaborantów czy innych takich wydawał wyroki jako prokurator tej Izby. Ojciec się pochlebnie wyrażał i powiedział, że to, że pana pułkownika zabili, to była prawdopodobnie pomyłka albo jakaś nadgorliwość którejś organizacji. To jest niewykluczone, bo przecież nawet za okupacji byli tacy, wszelkiego rodzaju elementy, którzy mogli mieć różnego rodzaju zatargi z panem Reszczyńskim. I może na tej zasadzie został on wykończony. Bo ojcu nic nie było wiadomo na temat działań jakiejś organizacji, która by wykonała wyrok. To raczej mogły być jakieś bandziory, którym zalazł za skórę, bo ojciec mówił, że to był bardzo porządny człowiek. Ja też wiem od ojca, że grali w szachy, no a przecież ojciec nie utrzymywałby żadnych kontaktów z kimś podejrzanym.

Tymczasem z długiego wywiadu z Hanką na razie nici. Muszę zwrócić bilety za 210 złotych na pendolino do Gdańska, bo moja ciotka w ostatniej chwili odwołuje nasze spotkanie. Wróciła właśnie ze szpitala. Jej aorta jest zwężona do średnicy jednogroszówki i czeka ją poważna operacja. W jej wieku (osiemdziesiąt siedem lat) to nie żarty, więc na razie wywiad przełożyłem. Za anulowanie biletów PKP „Intercity” potrąca 15 procent. No cóż, trudno.

I wtedy znowu dzwoni Hanka. Choć „w Polsce są tacy świetni lekarze”, to boi się, że może „nie przeżyć czekającej ją operacji”. Mam natychmiast do Gdańska przyjechać.

– Muszę ci przecież to wszystko opowiedzieć – mówi.

Bilety na pendolino zdążyły tymczasem dwukrotnie podrożeć, jadę więc samochodem. Jedna autostrada, druga i już jestem w Gdańsku. Od razu przechodzimy do rzeczy.

Hanka zna mnie od dziecka i nieraz opowiadała mi o moim stryjecznym dziadku, a swoim ojcu, ale o tej chwili nie opowiadała nigdy:

– Wiesz, Maćku, wprawdzie tam były podwójne drzwi, bo najpierw do korytarzyka i potem drugie – tam, gdzie myśmy były – zamknięte... ale usłyszałyśmy strzał, który był bardzo krótki, ale charakterystyczny i... łoskot upadającego ciała. A potem nastąpiła cisza, głucha cisza.

Między nami też zapada cisza. Hanka odchrząkuje, sięga po szklankę z wodą i reflektuje się:

– Przecież ja to wszystko opisałam w mojej książce, więc właściwie dlaczego każesz mi to jeszcze raz opowiadać?

– Opowiedz mi jeszcze raz o zamachu.

– Jeszcze raz?

– Nie o tym. O tym drugim...

Cmentarz na Powązkach

JESZCZE JAKO MŁODEMU OFICEROWI ŚLED CZEMU Weissowi wbito do głowy, że nic tak nie popycha śledztwa do przodu, jak udział w pogrzebie ofiary zabójstwa, ale on wybrał się na pogrzeb komendanta nie tylko ze służbowego obowiązku. Gdyby tylko wiedział, że nie wzbudzi to podejrzeń, to najchętniej oddałby zamordowanemu hołd, wdzierając na tę okazję galowy mundur. Ale z drugiej strony, czy nieboszczyk czułby się uhonorowany hitlerowskimi dystynkcjami? Koniec końców Weiss pojechał na Powązki w towarzystwie swego zastępcy Szulca po cywilnemu: w zimowym płaszczu w jodełkę i w tyrolskim kapeluszu na głowie.

Z przeciwnego krańca Warszawy, z duszą na ramieniu, jechał na Powązki dwudziestoletni Jędrzek Reszczyński.

Jędrzek obawiał się, że na pogrzebie stryja będzie cała kupa Niemców, tymczasem on od dwóch dni się ukrywał, bo jego oddział zgarnęli żandarmi podczas ćwiczeń pod Komorowem. A nie mówił dowódcy, że musztra w otwartej przestrzeni to głupota? Ale ten tylko na niego ryknął: „Milczeć! Tu jest wojsko!”.

Wojsko, akurat! Wielka kompania ckm-ów, co ckm znała tylko z obrazka!

No i dzielny dowódca wpadł z całym oddziałem. Jedyne Jędrkowi z kolegą udało się uciec. Takiego popędu dostali z przerażenia, że zanim się obejrzeliby – byli już w Milanówku. Tam dopiero, u wuja, Jędrzek zorientował się, że jego płaszcz z dokumentami został na łące.

– Aha – śmiał się głośno wuj Rembek, który całą okupację spędził na lekkim rauszu – tyś wyszedł cało, a szynel poległ na polu boju!

Ale Jędrkowi było zimno i nie do śmiechu. No i od wpadki pod Komorowem nie spał w domu.

Tak jak przewidywał, na Powązkach było dużo Niemców, mundurowych i po cywilnemu. Rozpoznał nawet kilku, których obsługiwał w szulerni ojczyma, więc

trzymał się od nich w bezpiecznej odległości. Dla kogoś innego by nie ryzykował, ale stryja musiał pożegnać, choćby nie wiadomo co. Własnego ojca, którego moglię kondukt żałobny właśnie mijał, pamiętał tylko jak przez mgłę, a stryj Aleksander, który przed wojną służył zawsze poza Warszawą i którego poznał dopiero za okupacji, był dla niego prawdziwym odkryciem.

Najstarszy brat ojca był dla Jędrka po prostu wielkim człowiekiem. Był też wielkim służbistą, ale wobec niego był serdeczny, jak rodzony ojciec właśnie. Polubił się z jego matką i ojczymem. Często wpadał do ich szulerni na Marszałkowskiej, zawsze po cichu, kuchennym wejściem, jakby go śledzono. Czasem przychodził z córką, Hanią. Zostawiał ją wtedy w kuchni z kuzynami i szedł rznąć w brydża. Gospodyni, pani Murzyńska, zawsze dała młodym coś do przegryzienia i tak sobie siedzieli we trójkę. Młodszy brat Jędrka zabawiał Hanę chodzeniem na rękach, a Jędrak, poważniejszy, opowiadał o książkach. W głębi ducha zazdrościł tej smarkuli takiego ojca. Ich ojczym, zwany Misiem, bardzo Jędrka i jego brata kochał, ale – przy całym swoim szlacheckim pochodzeniu – był człowiekiem nieskomplikowanym. Lubił karty i dziewczyny, a w swoim domu gry prowadził szemrane interesy z Żydami i Niemcami. Stryj tymczasem, choć Niemcom z konieczności służył, już samym swym wyglądem budził respekt. Biły od niego powaga, duma i poczucie odpowiedzialności, z którymi nawet przed wojną nie było mu łatwo, a co dopiero teraz. Podczas gdy Miś kazał Jędrkowi chodzić z towarem do getta, to stryj kazał mu wstąpić do konspiracji i walczyć. Taka była między nimi różnica.

A teraz kładli go w dziurze wykopanej w marcowym błocie.

Wobec tego widoku bieganie po lesie z chłopakami z 1 kompanii ckm, wydawało się dziecinadą. *Wielkie mi wojsko, co ćwiczy musztrę z patykami zamiast karabinów, podczas gdy bandyci mordują najlepszych Polaków!* – myślał Jędrak.

Jakiś starzec przemówił nad otwartą mogiłą zdumiewająco mocnym głosem. Mówił odważnie o ciemnych siłach, uzurpujących sobie prawo decydowania o życiu i śmierci współobywateli. Pięknie mówił, ale Jędrak nie czekał już do końca mowy. Wolał się zawczasu ulotnić.

Już prawie przedostał się przez ciżbę żałobników, kiedy ktoś nagle położył mu rękę na ramieniu. Zamarł. Przeleciało mu przez myśl, że papiery, które zostały w płaszczu, to jedno, ale co będzie, jeżeli któryś z pojmanych kolegów zacznie sypać? Albo już zaczął? I wtedy usłyszał znajomy, nieco piskliwy głos:

– Co ty tu robisz, na Boga?

Odetchnął z ulgą. Dziadek! Staruszek miał już pod osiemdziesiątkę, a jednak też się pofatygował. Odeszli trochę na bok.

– Podobnież się ukrywasz? Gadaj natychmiast, coś nabroił? Albo nie, nic mi nie mów. Ja wszystko rozumiem. Tajemnica!

Jędrak przytaknął tylko.

– Biedny Olek – westchnął dziadek. – I pomyśleć, że dopiero co byłem u niego na pysznym obiedzie! – Dziadek wskazał w kierunku mogiły. – To był wielki patriota! Za Polskę zginął.

– Tak, dziadku – przytaknął skwapliwie Jędrak. – Prawdziwy Konrad Wallenrod!

Dziadek Gąsiorowski miał zakład fryzjerski na Marszałkowskiej i trzy kamienice w mieście, ale o żadnym Wallenrodzie nigdy nie słyszał.

– To utwór Adama Mickiewicza, dziadku. Wallenrod pracował dla wroga, ale był szpiegiem i zaraził Hiszpanów śmiertelną chorobą.

– Aha – rzekł dziadek. Widać było, że nadal nie rozumie, co robił ten Wallenrod w Polsce, ale że żałobnicy zaczęli się już rozchodzić, to Jędrak nie miał czasu się w to zagłębiać i zaczął się żegnać.

Dziadek przyciągnął go do siebie:

– Tylko do domu na razie nie chodź – powiedział konfidencjonalnie – i uważaj na tę waszą gospodynię...

– Co, dziadek!? Na panią Murzyńską?

– To jest potwór. Wiem, co mówię. Znam się na ludziach.

Coś sobie ubzdurał staruszek – pomyślał Jędrak. Cmoknął dziadka w jak zawsze gładko ogolony policzek i czmychnął w boczną alejkę.

„Podejrzewano, że ktoś z AK to zrobił”

KIEDY NA POCZĄTKU LAT DZIEWIĘCDZIESIĄTYCH, nie mając zielonego pojęcia o dziennikarstwie, trafiłem do Polskiej Sekcji BBC w Londynie, to moją zawodową „matką chrzestną” została Krystyna Cywińska. Pod jej bacznym okiem jako początkujący radiowiec tłukłem całymi dniami w maszynę do pisania, kiepsko tłumacząc ze dwa tuziny depesz agencyjnych dziennie, do audycji zwanej w redakcyjnym slangu „Arenarem” – od angielskiego *Radio News Reel* – czyli „AR and AR”.

Tę audycję wspomnieliśmy sobie z Krysią, kiedy dwadzieścia pięć lat później, w 2015 roku, zadzwoniłem do niej do Londynu z prośbą o kontakt z jej mężem, żołnierzem AK, Januszem Cywińskim.

Zadzwoniłem wkrótce na jego własny numer, bo – żeby nie biegać do telefonu – każde z nich ma swój własny numer stacjonarny...

– To, czym się zajmowałem – mówi Janusz Cywiński – wystarczyłoby na napisanie książki. Na przełomie tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego i czterdziestego trzeciego roku byłem po pierwsze na szkoleniu w oddziałach „Baszty” i to nazywało się Szkoła Podchorążych Rezerwy. Po drugie byłem adiutantem, jeśli to tak można nazwać, takim pomocnikiem szefa kontrwywiadu Armii Krajowej, Bolesława Kozubowskiego, pseudonim „Mocarz”, więc sprawa pułkownika Reszczyńskiego jest mi znana.

– Podobno przez dłuższy czas nie było wiadomo, kto stał za zamachem na Reszczyńskiego? – pytam.

– Tak, to się zgadza, dlatego że w „Biuletynie Informacyjnym” umieszczony był tylko jednozdaniowy komunikat o tym, że doszło do takiej likwidacji. Ale nie było na ten temat nic więcej. Nikt z Armii Krajowej nie odważył się rozszerzać tej informacji i dawać czegoś więcej, bo Armia Krajowa przypuszczała, że może ktoś z wewnątrz to zrobił. Nie na skutek jakiegoś wyroku sądowego, ale na

skutek decyzji jakiegoś miejscowego dowódcy. Likwidacji bez wyroku sądowego, tego było w czasie okupacji dość dużo.

– Sami zabójcy udawali na początku Niemców...

– ... To żeby przekonać rodzinę o tym, że to jest akcja niemiecka, a nie akcja podziemna. To jest jedyne wytłumaczenie.

– A dlaczego, według pana, czekali aż do rana, do końca godziny policyjnej? Żeby się bezpiecznie ulotnić?

– Niekoniecznie. W czasie godziny policyjnej ludzie z konspiracji poruszali się ulicami, dlatego że przede wszystkim było zmniejszone oświetlenie. Przesuwanie się ciemną ulicą nie było takie trudne.

– Jak pan myśli, dlaczego spędzili z nim tyle godzin?

– Widocznie potrzebne były im jakieś informacje, które Reszczyński mógł posiadać. Likwidacje, które przeprowadzała Armia Krajowa, to były likwidacje natychmiastowe, szło się na jakąś akcję i przeprowadzało likwidację. Idea była taka, żeby wykonać to zadanie w jak najkrótszym czasie. Wykonać i ulotnić się. W żadnym wypadku nie przebywać przez dłuższy czas w obecności tego, kogo się likwidowało.

Ul. Chocimska

„POMIMO WIELOKROTNYCH ZARZĄDZEŃ I SUROWYCH KAR powtarzają się nadal wypadki picia wódki przez policjantów podczas służby. Tego rodzaju postępowanie jest najczęściej przyczyną różnych wykroczeń służbowych, a nawet ciężkich występków. Przestrzegam tedy ponownie lekkomyślnych policjantów przed skutkiem raczenia się wódką podczas służby. W stosunku do niestosujących się do tego rozkazu wyciągane będą w przyszłości jak najsurowsze konsekwencje, przy czym żadne względy nie będą brane pod uwagę. Nietrzeźwy policjant zamiast być opiekunem i obrońcą, staje się niebezpiecznym dla otoczenia. Picie wódki nie jest nikomu potrzebne do szczęścia, a pociąga za sobą zwykle bardzo przykre następstwa dla zainteresowanego i jego rodziny, często uginającej się pod brzemieniem niedostatku materialnego. Policjant, który nadużył alkoholu, przynosi nadto ujmę ogółowi policyjnemu, naraża się na śmieszność i złośliwe uwagi, podważając powagę policji w ogóle”.

Czytając te słowa Reszczyńskiego, inspektor Kriminalpolizei Joachim Weiss uśmiechnął się do siebie. Przetarł zmęczone oczy. Pierwsze promienie marcowego słońca wpadły do okna niewielkiego mieszkania w niemieckiej dzielnicy, w którym mieszkał samotnie od swego przyjazdu do Warszawy przed dwoma laty.

Przedarłszy się przez szparę między roletą zaciemniającą i framugą okna, promienie słońca musnęły sansewierię na parapecie, przeszły koronkową firankę, a następnie, ślizgając się po zawalonym papierami stole, poprzez zielonkawe szkło pustej butelki po koniaku wpadły prosto w lewe oko inspektora.

Weiss zmrużył oko, ale nie przerwał lektury znalezionej na Krasieńskiego, zapisanego gęstym maczkiem brulionu. Przewrócił kolejną kartkę. To właśnie w tym miejscu kilka stron zapisków komendanta było wyrwanych z zeszytu. Na biurku na Krasieńskiego Weiss znalazł cztery wyrwane kartki. Tak jak wszystkie

kartki brulionu, te wyrwane były obustronnie zapisane, a każda strona nosiła na górze podkreślony esem-floresem numer. Wyjął je z teczki, przewertował i tak jak to już próbował zrobić na miejscu zbrodni, teraz już na spokojnie dopasował do miejsca, z którego zostały wyrwane.

Ten brulion nie dawał mu spać całą noc i Weiss zerwał się dziś z łóżka bladym świtem. Nie po raz pierwszy w swojej karierze przekonał się, że wczesnym rankiem jego umysł był jasny i niezburzony nieistotnymi sprawami.

Jak mogłem tego wcześniej nie zauważyć: brakuje jednej kartki!

W swoim nieodłącznym, czarnym, kieszonkowym notesie zapisał brakujące strony. Zapiski urywały się na stronie 49 i wznawiały na 59. Cztery wyrwane strony ponumerowane były od 52 do 58. Kartki ze stronami 50 i 51 nie było ani na stole, ani – mógł dać za to głowę – na biurku pułkownika...

Gdyby nie była ona próżna, to Weiss napiłby się prosto z butelki. Ale najbliższa pełna butelka stała na serwantce w rogu, a on był zbyt zaaferowany, żeby przejść te parę kroków.

Prawe górne rogi wyrwanych stron zagięte były w sposób sugerujący, że wyrwano je jednocześnie. Ktoś przytrzymał otwarty brulion lewą ręką, a wyrwał je prawą. Weiss mógł sobie świetnie wyobrazić, że ten ktoś spojrzął potem na plik wyrwanych stron i po namyśle jedną z nich wziął ze sobą.

Niedobrze – pomyślał. I wtedy właśnie, na domiar złego, tuż przed miejscem, gdzie strony były wyrwane, dostrzegł niezauważony wcześniej, niemal nieczytelny dopisek. Z gąszczu mikroskopijnych liter wyrastały wyraźnie dwie, które przykuły jego uwagę i głęboko go zaniepokoiły. Były to litery „J” i „W”.

Jego inicjały...

Reszty długo nie mógł rozgryźć. Po pierwsze, nie posługiwał się polskim w piśmie na tyle biegle, żeby móc wydedukować treść z samego kształtu, długości i następstwa słów, a po drugie, te dopiski komendanta czynione były dosłownie na marginesie jego wspomnień i przemyśleń, naprędce, szybciej i jeszcze bardziej nerwowym od reszty charakterem pisma.

Słońce coraz odważniej przebijało się przez szparę w rolecie. Weiss dawno dałby już sobie spokój, gdyby nie to, że poza inicjałami i czymś, co wyglądało na datę, odcyfrował także słowo, które niemal w stu procentach wyglądało mu na „Kraków”.

A „Kraków” i „J.W.” w tym samym zdaniu to już było coś więcej niż prosty zbieg okoliczności. To właśnie Kraków bowiem łączył inspektora Kripo Joachima Weissa z zamordowanym komendantem z miasta Warszawy. Było to dobrych kilka lat temu, ale to, co wtedy między nimi zaszło, i to, o czym wówczas mówili, pod żadnym pozorem nie mogło wyjść na światło dzienne. Kłopotliwe byłoby również ujawnienie ich późniejszych kontaktów, już w czasie

wojny w Warszawie, ale to, co komendant wiedział o Weissie jeszcze z Krakowa, oznaczać mogło nie tylko nagły koniec jego kariery, ale obóz i pewną śmierć.

Inspektor zamyślił się głęboko ze wzrokiem wbitym w papier. A potem – chociaż racjonalnie rzecz biorąc, było to zupełnie pozbawione sensu – jednym ruchem ręki wyrwał z brulionu kartkę z niemal nieczytelnym zapiskiem na spodzie 49 strony.

Nie wypuszczając jej z ręki, podszedł do okna i wolną ręką zwinął roletę. Światło padło na papier i oślepiło go. Przymrużył oczy i skierował się do drzwi. Jak zwykle zawadził przy tym o zajmujący pół pokoju fortepian, pamiątkę po muzyku filharmonii, do którego mieszkanie należało, zanim wysiedlono go z kamienicy razem z zamieszkującymi ją Polakami. Weiss skorygował kurs, ominął Blüthnera i wyłączając po drodze świecący nad stołem przez całą noc żyrandol, udał się do toalety. I tu nie przestał wpatrywać się w gąszcz liter, nawet kiedy płukał lewą rękę pod kranem, i dalej, w kuchni, gdzie na oślep napełnił wodą czajnik na poranną kawę. Odłożył kartkę na bok dopiero po to, żeby tę kawę zaparzyć, ale wtedy rozległ się dzwonek u drzwi. Jego kierowca już ty był.

Bazgroły komendanta i cała ta niebezpieczna historia musiały poczekać.

Pan komendant i dorożkarz

ABY OŻYWIĆ JEJ WSPOMNIENIA, jadę do Hani z tabletem pełnym archiwalnych źródeł na temat jej ojca. Zanim zaczniemy główny wywiad, na którym oparta będzie książka, gadamy sobie przy herbatce.

– Wiesz, Haniu, w pewnym sensie całą historię przedwojennej kariery twojego ojca i frustracji z nią związanych można w dużym stopniu odtworzyć z ówczesnej prasy...

– Ale w jaki sposób?

– Dziś jest to dosyć proste. Wiele gazet z tamtych czasów jest już dostępnych w wersji cyfrowej, czyli w Internecie. A gazety pisały dosyć o dużo policji i o twoim ojcu. „Kurier Wileński” na przykład go lubił. To była dość liberalna gazeta. Ale nawet oni dwa czy trzy razy się go czepiali. Na przykład, w 1927 roku zmarł bardzo młodo, po zabiegu ślepej kiszki, Kazimierz Wimbor. To był komisarz rządu na Litwę. Był bardzo szanowany i lubiany, a miał zaledwie trzydzieści parę lat. I pisze „Kurier Wileński”: „Niemily zgrzyt. Do utrzymania porządku na pogrzebie świętej pamięci Wimбора powołana została policja. Zwykła w takich razach gorliwość władz policyjnych przeszła wszelkie oczekiwania, niemile rażąc uczestników pogrzebu. Od ósmej rano zamknięty został dostęp publiczności na plac Katedralny. Od dziesiątej, w czasie nabożeństwa, policjanci informowali przybyłych, nawet członków delegacji, że drzwi już zamknięte i do kościoła przejść nie można”. I tak dalej, i tak dalej, i na zakończenie: „Nie chcieliśmy tej przykrej sprawy poruszać, ale szereg poważnych obywateli przyniósł nam obserwacje...”. I dalej jest o tych obserwacjach, i wreszcie, kto za to wszystko odpowiada. No i tu jest o twoim ojcu: „Sprawami porządkowymi w Komitecie pogrzebowym kierował nadkomisarz Reszczyński”. Nie raz go tak opisali.

– Coś takiego! – konstatuje Hania.

– Pisali o nim dużo, nawet o tym, kiedy komendant wyjeżdżał i kiedy wracał z urlopu. O tu: „Komendant Policji miasta Wilna Nadkomisarz Reszczyński począł korzystać z czterotygodniowego urlopu wypoczynkowego...”.

– Ho, ho!

– Pisali o tym, że zakupił łódzie dla policji wodnej, że działał w kasie zapomogowo-pożyczkowej policji i upominał się o proporcjonalne traktowanie jej członków... A tu jest coś szczególnie śmiesznego. Kiedy ty się urodziłaś?

– Piątego stycznia...

– ...tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego, tak? No, a drugiego stycznia „Kurier Wileński” pisze: „Inspekcja komisariatów. Onegdaj komendant policji wileńskiej, nadkomisarz Reszczyński...” – onegdaj, czyli pierwszego stycznia – „...przeprowadził szczegółową inspekcję wszystkich komisariatów na terenie miasta Wilna” – ewidentnie nie mógł usiedzieć, oczekując na twoje urodziny...

– Ja ci powiem, jak to musiało być. Widocznie oni nie mogli pójść na bal sylwestrowy, bo mama już nie była w stanie, i wobec tego on się musiał jakoś wyładować.

– I wyładował się na biednych policjantach. No to teraz: gwóźdź programu. Jest piętnasty czerwca dwudziestego siódmego roku. „Kurier Wileński” pisze: „Komendant Policji miasta Wilna i dorożkarze”.

– Porządny ojciec, porządna matka, a syn dorożkarz? Tak się kiedyś mówiło...

– Coś w tym rodzaju. Posłuchaj: „W pierwszy dzień Zielonych Świątek o godzinie siódmej minut trzydzieści, przejeżdżała przez Pośpieszkę dorożka zaopatrzona numerem 470, którą powoził Wulf Ganes, zamieszkały przy Koziej, numer 3”.

– Ha, ha!

– Świetny adres, co? No i dalej piszą, że kiedy ta dorożka mijiała posterunek policji na Antopolu, to zastąpił jej drogę, zgadnij kto? Nadkomisarz Policji Państwowej Wilna, Reszczyński! I zwraca się „do Bogu ducha winnego dorożkarza temi słowami: Panie prezesie, jak pan wyglądasz? Kazał mu oddać prawo jazdy i polecił funkcjonariuszowi spisać protokół. Nie pomogły tłumaczenia dorożkarza, że dorożka jest czysta, buda cała, płaszcz zaś niełatany. Pan Reszczyński postawił na swoim”. Tutaj następują nazwiska trzech naocznych świadków, którzy „ze zdziwieniem przyglądali się niezasłużonej krzywdzie niewinnego dorożkarza, jaka go spotkała ze strony czegoś widocznie zdysumorowanego lub wesoło w tym momencie usposobionego pana komisarza Reszczyńskiego”. I tu jest apel: „Panie komisarzu, nie wolno z powodu złego humoru pozbawiać niewinnego człowieka sposobu zarabiania na życie”.

– Ale co on temu Wulfowi powiedział?

– Kazał go spisać!

- Ale dlaczego?
- Wkurzył go dorożkarz.
- Ale ty tego nie będziesz dawał?
- Dlaczego nie?
- Czy to w ogóle jest prawda?
- No chyba całkiem tego nie zmyślili... A, powiedz mi, często się tak wkurzał?
- Wiesz co, właśnie ze względu na tę jego dyscyplinę to ja jako dziecko wołałam, kiedy chodził po cywilnemu. Bo czasem chodził po cywilnemu. Bardzo elegancko wyglądał. I jak był w cywilu, to ja byłam szczęśliwa.
- Dlaczego? Przecież świetnie się prezentował w mundurze.
- No tak, ale... Czasem namawiał mnie, żeby z nim pójść na spacer i wtedy zaczynał mi opowiadać o Dowborze-Muśnickim, o legionach... A mnie to tyle obchodziło, co psa piąta noga. No więc oczywiście grzecznie słuchałam, ale nie miałam zielonego pojęcia, o co chodziło. A on się chciał wygadać, więc mi opowiadał, jak rozbrajał Niemców w osiemnastym roku. Ponieważ była okupacja, to jak mi opowiadał o rozbrajaniu Niemców, to mnie to interesowało, ale o Dowborze to już zupełnie nie... Tylko że kiedy był w mundurze, to wtedy nie daj Boże, jeżeli obok gdzieś przechodził jakiś inny policjant. Ja się wtedy kurczyłam cała, bo nie daj Boże, żeby ten policjant jakoś nie tak machnął do daszka, nie dał takiego odpowiedniego salutu... Jak tylko coś nie tak było, to ojciec rugał takiego delikwenta jak burego psa.
- Dlatego wołałaś go w cywilu?
- Właśnie tak.

Krakowskie Przedmieście 1

NA KANCELARYJNYM WIESZAKU W KOMENDZIE POLICJI POLSKIEJ, po obu stronach granatowego szynela komendanta, wisiały szynele Gestapo, a po obu stronach granatowej czapki z emblematem syrenki – gestapowskie czapki z trupią czaszką. Pan komendant miał niezapowiedzianych gości. Inspektor Weiss i jego zastępca Szulc musieli więc poczekać, co szczególnie rozeźliło tego drugiego. Gdyby to od niego zależało, to wezwałby majora na przesłuchanie w Alei Szucha i po kilku latach służenia pod jego komendą pokazałby mu wreszcie, kto tu rządzi. Ale Weiss, jak jakiś stary glina, lubił łązić po mieście i rozmawiać ze świadkami w ich własnym otoczeniu. Lubiał dosłownie obwąchać każdą sprawę. Powiesili więc swoje okrycia na wieszaku i tkwili teraz na twardych krzesłach, jak zwykli interesanci. To znaczy Weiss ze swym czarnym kieszonkowym notesem w dłoni cierpliwie siedział i swoim zwyczajem wdychał zapach papieru, atramentu i mundurów, a Szulc się wiercił. Przez kancelarię przewijało się sporo jego znajomych funkcjonariuszy, co chwila więc zrywał się na równe nogi, by ścisnąć prawicę byłych kolegów. Ale jego wylewność spotykała się z chłodnym przyjęciem. *Jego zła sława już tu dotarła* – pomyślał, widząc to, Weiss.

Niezapowiedzianymi gośćmi majora okazali się SS–Sturmbannführer Kurtz z jakimś młodszym rangą, ospowatym gestapowcem. Tego pierwszego Weiss dobrze znał i uważał za szczególnie bezwzględneho sadystę. Ponieważ śledztwo, które Weiss prowadził, dotyczyło funkcjonariusza narodowości polskiej i leżało w kompetencjach I Komisariatu Kripo, to aż do chwili przekazania sprawy do Gestapo Kurtz nie miał tu nic do roboty. *No, ale Gestapo miało takie subtelności gdzieś!* – pomyślał Weiss.

Kripowcy i gestapowcy zasalutowali sobie zdawkowo w przejściu i dwaj śledczy weszli teraz do gabinetu majora.

– Gdyby nie smutne okoliczności, w których się spotykamy, to pogratulowałbym panu nominacji na komendanta... – zaczął Weiss.

Major podziękował mu skinieniem głowy i przeprosił, że musieli czekać.

Weiss nie skomentował wizyty Gestapo. Odłożył sobie tę kwestię na później.

– Jak pan wie – zaczął Szulc, bezceremonialnie rozkładając swój służbowy notatnik na skraju biurka majora – Kraków bardzo się interesuje tokiem naszego śledztwa. Kraków, a nawet... nawet Berlin!

Słuchając jednym uchem, Weiss rozglądał się po rozświetlonym porannym słońcem gabinecie. Widać było, że major dopiero zaczął się tu wprowadzać. Część zdjęć i dyplomów jego poprzednika trafiła już do drewnianego pudła, ale sporo wisiało jeszcze na ścianach. Na zdjęciach widać było Reszczyńskiego, zawsze z tą samą surową miną stróża porządku, w towarzystwie różnych cywilnych dostojników i notabli, nad którymi ze względu na swój słuszny wzrost zawsze górował. Weiss rozpoznał zdjęcie Reszczyńskiego sprzed katedry wawelskiej, w towarzystwie wojewody krakowskiego, Świtalskiego, wielkiego piłsudczyka, i uśmiechnął się w duchu, czytał bowiem minionej nocy w jego pamiętniku, co Reszczyński myślał o wojewodzie...

– To nie jest, panie majorze, zwykłe dochodzenie w sprawie zabójstwa osoby narodowości polskiej – kontynuował monotonnym głosem Szulc, rad z okazji, aby odegrać przed majorem ważniaka. – To sprawa, ze względu na rangę ofiary, prestiżowa. Urząd pana gubernatora uważa, że zamordowanie pańskiego poprzednika oznacza poważne pogorszenie sytuacji bezpieczeństwa w dystrykcie...

Zlustrowawszy gabinet, Weiss wyrzwał przez okno i ujrzał po prawej pomnik Kopernika z astrolabium i cyrklem. Nie odwracając się od okna, zapytał nagle:

– Panie komendancie, a o której Reszczyński zazwyczaj jechał do domu?

– O szóstej, siódmej wieczorem – odpowiedział major. – Nie wcześniej. Często pracował w niedzielę, wtedy jechał do domu na obiad około pierwszej i wracał do pracy...

Weiss odwrócił się ku niemu. Był zaskoczony perfekcyjnym niemieckim majora. Słyszał o jego wielkopolskich korzeniach i bohaterskiej służbie w armii cesarskiej, ale nie spodziewał się w tym miejscu i roli kogoś, kto aż do tego stopnia brzmiał i zachowywał się, jak niemiecki oficer o nienagannych manierach.

– Rozumiem... – Weiss zanotował coś szybko w notesie. – Jeździł zawsze o tej samej porze i zawsze tą samą trasą?

Major przytaknął.

– Niestety, pułkownik zupełnie nie dbał o swoje bezpieczeństwo, a przy tym... nie był tak naprawdę typem człowieka, któremu można było zwrócić uwagę, jeżeli pan rozumie, co mam na myśli...

– Czy miał jakichś szczególnych wrogów wśród swoich podwładnych?

– Jeżeli o mnie chodzi, to był najlepszym dowódcą, jakiego miałem – odpowiedział wymijająco major.

Na ulicy pod oknem zabrzączał dzwonek tramwaju. Weiss rozłożył ręce w geście oznaczającym, że nie o to majora pytał, a ten westchnął:

– No cóż... Pan komendant był bardzo wymagający.

– Służbista?

– Tępił z pasją wszelkie przejawy braku dyscypliny. – Tu major powoli i z pełną premedytacją odwrócił się w stronę Szulca. – Zwłaszcza pijaństwo i przekupstwo – powiedział dobitnie. – Mamy tu całe tomy jego rozkazów na ten temat. Lubił wydawać długie rozkazy. – Major wskazał na półkę uginającą się pod ciężarem akt.

– Czyli że miał wrogów... – podsumował Weiss. Przeszedł kilka kroków, przejechał palcami po zdobionych kaflach pieca w rogu gabinetu i zatrzymał się za plecami majora.

– A jakie były jego przekonania polityczne? Mam oczywiście na myśli czas przed wojną!

– O żadnych jego przekonaniach nic mi nie wiadomo, panie inspektorze. Był, jak to się mówi, apolityczny.

Weiss pokiwał głową i powrócił wreszcie na swoje miejsce.

– No właśnie. Był apolityczny... Czyli że zabić go mogła zarówno AK, jak i jakaś bolszewicka banda...

Major milczał.

– Jako osoba a polityczna, jak pan to określił, czyż tym bardziej nie powinien mieć ochrony? – zapytał Weiss. – Przecież to miasto to istna dżungla!

– Zawsze miał ze sobą kierowcę... – zaczął major, ale widząc sceptyczny grymas na twarzy Weissa, zaczął po pauzie od nowa:

– Pan komendant był bardzo odważnym człowiekiem....

– Bzdura! – zachnął się Weiss. – Ja panu powiem, dlaczego on sobie nie życzył ochrony. On po prostu uważał, że od Polaków nic mu nie grozi. Powiada pan, że był apolityczny? Zgodna. Ale był wybitnym przedwojennym funkcjonariuszem. – Weiss szerokim gestem wskazał okolicznościowe zdjęcia na ścianach. – A więc, nie oszukujmy się. Współpracował z podziemiem!

„Nie chciał być w żadnej opcji, chciał być stróżem porządku”

JESTEM U HANKI W GDAŃSKU. NA WIDOK DYKTAFONU HANKA PYTA:

– Ale nie będziesz nagrywał na razie?

– Będę. Ja robię tak, że nagrywam wszystkie rozmowy, a potem słowo w słowo to przepisuję i dzięki temu mam prawdziwe, że tak powiem, frazowanie i tok mowy. A po drugie, na kartce lepiej widać. Przy przepisywaniu zauważam rzeczy, których słuchając, nie zauważyłem... A więc. Gdybyś teraz zamknęła oczy i sięgnęła pamięcią do pierwszego wspomnienia swojego ojca, to co by to było?

– To chyba z tą czapką, bo miałam wtedy jakieś trzy, cztery lata. To wtedy się rejestruje. Wcześniej nie pamiętam, a to dokładnie pamiętam.

– Z czapką?

– Ja z ojcem specjalnie takiego bardzo bliskiego kontaktu jako malutkie dziecko nie miałam. Ojciec ciągle pracował bez przerwy, więc wiesz, była mama, była niania, była babcia... I właśnie ten moment utkwił mi dokładnie w pamięci, bo to było nietypowe. Coś było nie tak, bo ojciec normalnie wychodził rano do komendy i potem przychodził na obiad. Gdzieś czwarta, piąta trzeba było tam koło niego grzecznie się zachowywać. Nie było właściwie specjalnych takich...

– Czułości?

– Ja ojca bardzo, bardzo kochałam, bo to był człowiek, który był ogromnie ciepły. Tylko, ponieważ był ciągle zapracowany, to na to dziecko małe nie miał specjalnie czasu. Ale w ten akurat, ten konkretny dzień, kiedy on w ciągu dnia – gdzieś to było o pierwszej po południu, czy coś takiego – wpadł do domu i tak jakoś rzucił tę czapkę z rękawiczkami do przedpokoju i ja to złapałam. Tę czapkę włożyłam i on mi potem pstryknął to zdjęcie. To musiał być Lwów albo Stanisławów, albo Tłumacz... – Hanka westchnęła. – To, że znalazł się w Tłumaczu, to była degradacja definitywnie. Do mnie to nie docierało, bo ja

byłam za mała, ale to była dla niego definitywna degradacja. Ale też okazało się potem, że on usiłował pisać jakieś wspomnienia ze swojej służby, już w Warszawie, w czasie okupacji. I wiem, że godzinami siedział i pisał, pisał, pisał. Tylko wiesz, odręcznie, dlatego że nie miał maszyny w domu. Więc on pisał odręcznie te swoje wspomnienia w związku z tym, że on się czuł strasznie po prostu spostonowany przez to, że taki przerzucany z jednego miejsca na drugie. Ale jakieś tam fragmenty czytał matce i ja to podsłuchiwałam, bo mnie tego nie czytał. Ja zresztą miałam swoje inne... miałam wtedy dwanaście-trzyście lat... Coś tam słyszałam, że wysyłali go tylko w takie miejsca, gdzie były jakieś problemy, i to szczególnie właśnie z tymi Ukraińcami czy z komunistami... że ciągle były trudności... Jego tak przerzucali. Pierwsze to było Wilno, a później Lwów i ciągle coś było... Podpadał, ponieważ nie należał do żadnej klikki politycznej, bo uważał, że to są brudy i koniec. I ja to nieraz słyszałam przy obiedzie, jak się siedziało. No i właśnie to, że ciągle, ciągle go przerzucają. On nie chce żadnej polityki, on nie chce być endkiem ani nie chce być w innej opcji. Nic, nic, nic. On chce być stróżem porządku. To była jego maksyma. No i taka zresztą była sytuacja z moją matką. Dlatego że ona była bardzo przeciwna wyjściu za niego za męża, bo on był oficerem policji. A ona nie chciała i dopiero jego naleganie i tłumaczenia, że on... no przecież... dlaczego mundur wojskowy jest lepszy niż mundur policyjny, skoro on jest stróżem porządku, a żołnierz idzie na wojnę po prostu, jako mięso armatnie. Tak jej to tłumaczył.

Krakowskie Przedmieście 1

PO STWIERDZENIU WEISSA O NIEWĄTPLIWEJ WSPÓŁPRACY zamordowanego komendanta z podziemiem w gabinecie majora zapadła długa cisza. Oficerowie w milczeniu popijali herbatę podaną przez sekretarkę.

Major, który tak jak większość jego oficerów sam współpracował z państwem podziemnym, starał się ze wszystkich sił nic nie dać po sobie poznać. Dobrze znał okupantów. Ale jednocześnie wiedział, że jego zachowanie i nienaganny niemiecki skutecznie usypiają ich czujność. Musiał jedynie zachować spokój...

– Gdyby przyjąć pański tok myślenia, panie inspektorze, to ja jestem czysty jak łąza – powiedział w końcu z lekkim uśmiechem.

– Jak proszę?

– Ja bardzo dbam o swoją ochronę osobistą. Mam nawet przed domem budkę strażniczą. A zatem, według pańskiej teorii...

– Rozumiem – uśmiechnął się Weiss. – Słyszał to pan, Szulc? Major ma ochronę, czyli nie współpracuje z podziemiem.

– Właśnie! – powiedział major.

Inspektorzy roześmiali się, a major klasnął w dłonie, zadowolony, że udało mu się rozładować atmosferę.

Ten major robił na Weissie dobre wrażenie i inspektor żałował, że przyjechał tu ze swoim zastępcą, co uniemożliwiało szczerą rozmowę. Postanowił wrócić tu bez Szulca w późniejszym terminie.

– Ale jeżeli pański poprzednik czuł się bezpiecznie, to kto go zamordował? – zapytał na odchodnym.

Major przez chwilę się zadumał, zanim odpowiedział pytaniem na pytanie:

– A któż, panie inspektorze, zabija policjantów?

– Bandyci, oczywiście! – odpowiedział Weiss. – Ale ja uważam, że nie byli to bandyci związani z przedwojennymi władzami, ci, których się nie bał, tylko że to

byli bolszewicy, których nie docenił... Nie widzę innej możliwości. A pan? Jak pan myśli? – zapytał niewinnie.

Major nerwowo przełknął ślinę. Sam z tymi władzami współpracując, nie mógł ani przytaknąć, ani zaprzeczyć – bo skąd niby miał wiedzieć? Na szczęście Weiss już wychodził, więc musiał go tylko zbyć. Musiał grać na czas.

– Dla mnie, panie inspektorze, liczą się przede wszystkim dowody!

– Kula z jego własnego rewolweru, kartka z trzema słowami i kupa zupełnie nieznanymi odcisków palców? To mają być dowody? – zachnął się Weiss. – No cóż... do widzenia, panie majorze – pożegnał się i przepuścił Szulca przodem.

Kiedy ten opuścił gabinet, major niespodziewanie szybko powiedział do Weissa:

– Ja też podejrzewam komunistów...

– Aha? A Kurtz kogo podejrzewa? – Weiss popatrzył komendantowi w oczy. – Co sądzi na ten temat Sturmbannführer Kurtz? Przecież nie przyszedł do pana z kurtuazyjną wizytą!

– Kurtz? Kurtz to ma już twarde dowody, że to oni!

– Tego się właśnie spodziewałem – powiedział Weiss z przekąsem. – Gestapo, co? Jak zwykle są szybsi od nas!

Szulc nałożył już płaszcz i demonstracyjnie czekał na swojego szefa na samym środku kancelarii. Ten zamknął mu drzwi przed nosem.

– A jeżeli to rzeczywiście byli bolszewicy, to jaki mieli motyw? – zapytał szybko majora.

– Motyw propagandowy! Nie widzi pan? Mówi o tym całe miasto.

– Zamordowaliby go dla rozgłosu?

Major przytaknął z przekonaniem.

Parę chwil później, z okna swojego gabinetu, major patrzył, jak Weiss z zastępcą kierują się do samochodu. O ile o Szulcu miał jak najgorsze zdanie, to co do Weissa nie mógł się jeszcze zdecydować. Rzeczywiście był chadzającym własnymi ścieżkami oryginałem. Mówiono, że dowództwo SS i policji toleruje go jedynie ze względu na jego świetne znajomości w Berlinie. A jeżeli naprawdę chciał złapać zabójców komendanta?

Z tych przemyśleń wyrwała majora osobliwa scenka, jaka rozegrała się w tym momencie tuż pod jego oknem.

W pół drogi do opla Weissowi zastąpił drogę oficer policji. Był to jednooki komisarz Rachoń. Zaczął entuzjastycznie ścisnąć prawicę Weissa, który najwyraźniej nie miał ochoty z nim rozmawiać i ze swą dłonią w jego uścisku szedł dalej w stronę wozu, obracając Polaka wokół jego własnej osi. Weissowi udało się wreszcie wyrwać, ale Rachoń i tak nie dał za wygraną i nawet kiedy

opel już ruszył i zawrócił w stronę Nowego Świata, to przebiegł za nim kilka kroków, energicznie machając ręką na pożegnanie...

„Zmagał się z korupcją. Próbował coś z tym zrobić”

JEST PIĘKNY WRZEŚNIOWY DZIEŃ W 2015 ROKU. Tam, gdzie kiedyś była Komenda Policji Polskiej, jest dzisiaj bank. Po drugiej stronie Krakowskiego Przedmieścia i kilkaset metrów dalej, w Zakładzie Historii XX Wieku Instytutu Historii Uniwersytetu Warszawskiego, siadam nieopatrznie w typowym dwudziestowiecznym foteliku i zapadam się w nim tak głęboko, że kiedy profesor Jerzy Kochanowski otwiera drzwi, mam trudności ze wstaniem.

– Foteliki są dziewiętnastowieczne – mówi profesor.

Jesteśmy z profesorem mniej więcej w tym samym wieku i łączy nas jeszcze to, że jego dziadek, tak jak brat mojego, był granatowym policjantem. Swojego czasu w prasie pojawił się wywiad z profesorem Kochanowskim o niemożliwości jednoznacznej oceny granatowej policji. Na mojego e-maila w tej sprawie odpowiedział, że jego zainteresowania wynikają bardziej ze względów rodzinnych niż naukowych, ale zgodził się porozmawiać ze mną o wyborach, jakich dokonywali przedwojenni policjanci, idąc na służbę w granatowej policji. Dziadek pana profesora po powrocie z niewoli niemieckiej nawiązał kontakt z podziemiem. I od razu i został przez podziemie skierowany do pracy w policji.

– Czy to znaczy, że uzależnił swoją decyzję wstąpienia do granatowej policji od opinii podziemia? – pytam.

– To było absolutnie konsultowane. Został skierowany do pracy w Otwocku i tam też był albo zastępcą komendanta, albo sekretarzem komisariatu, przez cały czas funkcjonując jakby na dwóch etatach: z jednej strony szef wywiadu „Obroży” – miał legitymację akowską i tak dalej – a z drugiej strony był normalnym policjantem. I tak funkcjonował do lipca czterdziestego czwartego roku.

– Pana dziadek miał wielkie zasługi dla konspiracji...

– ...to on „wystawił” AK Hugo Dietza. To był taki gestapowiec, na którego został wydany wyrok. To właśnie dziadek go wskazał tym, którzy mieli go wykonywać. Ten mundur dawał olbrzymie szanse kamuflażu, na wszelkie możliwe sposoby. Przechowywał różne rzeczy. Ludzi, broń...

– A co do Reszczyńskiego? Uważa pan, że też pomagał?

– Ja kilka dokumentów podpisanych przez Reszczyńskiego znalazłem, bardzo interesujących. To są papiery nawołujące policjantów do zachowań etycznych. Zmagał się z korupcją. Próbował z tym coś zrobić. Znajdzie je pan w Archiwum Akt Nowych, w zespole „Armia Krajowa”...

Ul. Krasińskiego 4

MARTA I JEJ MATKA, STOJĄC PRZY KUCHENNYM STOLE zastawionym miskami z ciastem, z trudem powstrzymując łzy, słuchały w grobowej ciszy wiersza Hani o mogile ojca. Dziewczyna mówiła z głębi serca o okrutnym rozstaniu, o samotnej mogile i o śmierci ojca za tę ziemię, w której spoczął. Wiersz był zdumiewająco dojrzały, bo cóż bardziej przyspiesza dojrzewanie niż tragiczna śmierć rodzica?

– „Dobrze ci będzie tutaj wśród ciszy Powązek, gdzie w noc majową słowik tak żałośnie śpiewa...” – recytowała właśnie Hania, kiedy służąca Stasia z impetem wpadła do mieszkania, krzycząc triumfalnie od drzwi:

– Fasolę mam, proszę pani!

Na widok trzech zapłakanych twarzy Stasia stanęła jak wryta u progu kuchni.

– „... i wielki spokój śmierci wokół się rozlewa, a srebrne krople rosy spadają z gałązek” – dokończyła Hania powoli.

Babcia pierwsza przerwała ciszę:

– Masz fasolę? – zapytała Stasię i otarła łzy koniuszkiem kuchennego fartucha.

– No to umyj ją porządnie i postaw, żeby zmiękła. – A widząc pytające spojrzenie Hani, wyjaśniła:

– Migdałów jest tyle, co kot napłakał, a fasolę się podgotuje, zmiesza i w torcie będzie smakować tak samo, jak migdały.

Pozbawione środków do życia, kobiety ratowały się, piekąc ze zdobytych na prawo i lewo erzaców słodzone sacharyną torty. Przelykając wrodzoną dumę, Marta sprzedawała je następnie w śródmiejskich cukierniach.

Przed Wielkanocą torty znikwały na pniu. Na Krasińskiego produkcja szła pełną parą, nie zostawiając kobietom wiele czasu na ponure myśli. Marta kursowała między Żoliborzem a Śródmieściem z torbami pełnymi towaru. Trochę tortów kupowali byli podwładni komendanta. Chcieli pomóc wdowie, a jej torty były słodkie i pełne bakalii...

„PPR walczy ze szpiclami”

KOLEJNEGO UPALNEGO DNIA REKORDOWO GORĄCEGO LATA 2015 ROKU z Allegro nadchodzi następne tomisko z czasów PRL-u. Tym razem są to: „Komunikaty Dowództwa Głównego Gwardii Ludowej i Armii Ludowej – dokumenty”, opracowane przez „zespół pracowników Zakładu Historii Partii przy KC PZPR”.

Siadam w cieniu i zaglądam do przybrudzonego tomu. Komunikaty są oparte na kolejnych wydaniach „Gwardzisty”, a poszczególne sekcje posługują się oryginalnymi podtytułami wziętymi wprost z organu Gwardii Ludowej.

Wzmiankę o zamachu na Reszczyńskiego („Gwardzista” 12 kwietnia 1943) znajduję w omówieniu tego numeru, w sekcji „Walka ze szpiclami”.

„W Warszawie grupa bojowa G.L. wykonała wyrok śmierci na komendancie policji granatowej okręgu warszawskiego Reszczyńskim, za wysługiwanie się Niemcom i znęcanie nad ludnością polską”.

Obok informacje z tego samego wydania „Gwardzisty”, o zabiciu komendanta komisariatu na Żoliborzu Kierskiego oraz szeregu innych „granatowych” policjantów, urzędników gminnych, volksdeutschów, żandarmów, konfidentów gestapo i innych osób „współpracujących z okupantem”.

Dla historyków i większości ludzi mojego pokolenia jest to „oczywista oczywistość”, ale warto zwrócić na nią uwagę: historią partii zajmowali się w PRL partyjni historycy ze wszystkimi wynikającymi z tego faktu konsekwencjami. I tak na przykład w skład zespołu, który przygotował ten opracowany w twardą, obciążoną szarym płótnem okładkę tom, wchodził między innymi Ryszard Nazarewicz, pepeerowiec i partyjny historyk, którego życiorys naukowy i bibliografia stanowią doskonałą ilustrację pojęcia: partyjny historyk.

Związany z lewicą od wczesnej młodości, Ryszard Nazarewicz w duchu pozostał partyjnym historykiem na długo po rozwiązaniu PZPR w 1990 roku. W roku 1998, w książce o „dramatach i dylematach Armii Ludowej”, poświęca

dość dużo miejsca pułkownikowi Reszczyńskiemu – nadal konsekwentnie pisząc z punktu widzenia partyjnego historyka. Ale ta pozycja zajmuje dalsze miejsce na mojej liście lektur.

Jestem partyjnym historykom wdzięczny za to, że opatrzyli komunikaty „Gwardzisty” licznymi przypisami oraz indeksami relacji, nazwisk, pseudonimów i poszczególnych akcji. Te przypisy odwołują się do dokumentów źródłowych, które po rozwiązaniu PZPR trafiły z Archiwum Zakładu Historii Partii do Archiwum Akt Nowych na Ochocie. Zanim tam dotrę, ujrzę je na własne oczy i dotknę własnymi rękami – będzie już zima.

Krakowskie Przedmieście 1

ZBLIŻAJĄC SIĘ WŁAŚNIE DO KOMENDY na Krakowskim Przedmieściu z pełną torbą tortów, Marta ujrzała z daleka wsiadającego do samochodu inspektora, który przesłuchiwał ją po zabójstwie męża. Oglądając się za odjeżdżającym samochodem, nagle stanęła twarzą w twarz z młodym blondynem, którego twarz na zawsze utkwiała w jej pamięci. Nie miała żadnych wątpliwości. To był on – w biały dzień, w samym sercu miasta, pod samiutką komendą: herszt morderców jej męża. Miał nawet na sobie ten sam skórzany płaszcz i kaszkiet, co kilka tygodni temu, i był równie zaskoczony jak ona. Ale opamiętał się, wyminął ją szybkim krokiem i oddalił w stronę kościoła Świętego Krzyża. Marcie nogi odmówiły posłuszeństwa. Opierając się o mur, jak pijana dowlekła się do wartownika przed komendą.

– Jestem Reszczyńska. Tam idzie zabójca mojego męża. Łapcie go!

Wartownik jej nie znał i wziął za pomyłkę. Ale wchodzący właśnie do budynku oficer ją rozpoznał. Ona też go rozpoznała, bo bywał u nich w domu i często się wtedy zastanawiała, jak może służyć w policji z opaską na oku.

Jednooki policjant rzucił się natychmiast w pościg, a wartownicy pobiegli po posiłki. Rozległy się policyjne gwizdki. Z komendy wybiegli granatowi policjanci i niemieccy żandarmi z bronią gotową do strzału.

Przekonani, że to łapanka, przechodnie zaczęli się rozbiegać na wszystkie strony. Ulica przed komendą w okamgnieniu opustoszała. Nieopodal na chodniku leżał stratowany pakunek z tortami. Po mężczyźnie w kaszkiecie nie było ani śladu.

Jednooki oficer wrócił dopiero po jakimś czasie, bo zapuścił się za tamtym aż w Traugutta, gdzie go zgubił. Kręcąc z daleka głową, rozłożył bezradnie ręce i nawet nie podchodząc do Marty, zniknął w czeluściach komendy.

Na ulicę powoli powrócił normalny ruch. Wsiadając do tramwaju, Marta nawet nie zauważyła, że za nią wskoczyło dwóch mężczyzn. Przepisnęli się ku niej

w tłoku i obstawili z dwóch stron. Dopiero wtedy zwróciła na nich uwagę. Nie znała ich. Ledwie mogła się między nimi ruszyć. Na placu Wilsona wysiedli razem z nią. Ruszyli ramię w ramię w stronę domu. Przez całą drogę nie odezwali się ani słowem. Dopiero pod bramą starszy z nich zastąpił jej drogę.

– Macie matkę i córkę. Lepiej nie robić żadnych głupstw. To wasze ostatnie ostrzeżenie – powiedział, patrząc jej głęboko w oczy.

Spalona kryjówka u cioci na Mokotowie

W HISTORII ZABÓJSTWA RESZCZYŃSKIEGO dodatkowo odrazą napawa fakt, że mordercy nie zostawili jego żony i córki w spokoju.

Nasz wywiad-rzekę prowadzimy w Oliwie już drugi dzień, nie przerywając nawet podczas posiłków. Słucham z pełnymi ustami, a Hania opowiada:

– Po tym jak ci dwaj z tramwaju przyszli z mamą pod sam dom i powiedzieli: „macie jeszcze matkę i córkę”, to myśmy przeniosły się na Mokotów, na Madalińskiego, do tak zwanej cioci, Zosi Dajkowskiej, która była daleką kuzynką mojego ojca. Ona miała piękną willę, była wdową i chętnie nas przygarnęła. I tam poczułyśmy się troszkę bezpieczniej. Ale tylko na krótko, bo kiedy poszłam po jakieś zakupy i wracałam do domu, to natknęłam się przy furtce na tego „żółtego” z płaskim nosem. Nogi mi się ugięły, bo widziałam, że on tam stoi i patrzy. Więc ja udawałam, że go w ogóle nie poznaję, ale byłam tak przerażona, że mi się nogi trzęsły, no i oczywiście zaraz zameldowałam mamie.

Ul. Marszałkowska 138

JĘDREK PRZEZ DŁUŻSZY CZAS BACZNIE OBSERWOWAŁ z bezpiecznej odległości wejście do domu na Marszałkowskiej i nie mógł się zdecydować na przejście przez ulicę. O tej porze ostatni klienci opuszczali szulernię w ich mieszkaniu. Pojedynczo i parami, znane mu dobrze typy i typki wychodziły z bramy. Robiło się ciemno i zbliżała się godzina policyjna, a on był głodny i zmarznięty. A tamci ciągle wychodzili i wychodzili. Same znajome postacie. Paru znanych mu z widzenia handlarzy i paru ukrywających się Żydów. Wszedł nawet gestapowiec Kurtz, który przychodził grać na zmianę w skata i w ruletkę, a paru sznapsach wyciągał spluwę i buszował po całym mieszkaniu. Szukał Żydów i strzelał w sufit. Dobrze, że Jędrrek się na niego nie napatoczył.

W końcu gracze przestali wychodzić. Jędrrek nie miał, co prawda żadnej pewności, że i tak ktoś na niego nie czeka, ale po kilku tygodniach miał już dosyć ukrywania się. Raz kozie śmierć!

Zamknąwszy drzwi na trzy spusty za ostatnim klientem, Miś wdrapał się na stołek i wyjął ze skrytki w korytarzu zwiniętą w rulon mapę. W kuchni, gospodyni – pani Murzyńska – mieszała drewnianą łyżką zupę na węglowej kuchni, a Misiowa z nieodłącznym papierosem w lufce i z filiżanką kawy układała przy stole pasjansa.

– Niedobrze, pani Murzyńska, znowu Niemcy Charków wzięli! – zaanonsował Miś, rozkładając na stole mapę frontu wschodniego.

– Do trzech razy sztuka, panie Misiewicz, do trzech razy sztuka!

Pani Murzyńska, która w tajemnicy przed swym chlebodawcą była łączniczką Gwardii Ludowej o pseudonimie Maria, a przed wojną kucharką w sowieckiej ambasadzie, oddawała Stalinowi boską cześć, nawet pomimo tego, że zamordował jej męża, członka KPP.

– To prawda! Ten wasz Stalin to genialny strateg – przytaknął Miś, wodząc palcem po mapie.

Misiowa uśmiechnęła się do siebie znad pasjansa. Jej mąż, potomek obszarników z siedmioma pałkami w herbie, miał jakąś dziwną słabość do komunistów.

Nagle domownicy zamarli. Ktoś pukał do kuchennych drzwi. Miś w popłochu zaczął składać dopiero co rozłożoną mapę frontu. Rozwalił przy tym żonie pasjansa i wywrócił filiżankę.

Misiowa załamała ręce. – Heniek, na Boga, to prawdziwa kawa!

– Kobieto, nie kawa teraz najważniejsza. A jeżeli to Gestapo?

– Znowu?

Tylko pani Murzyńska zachowała kamienny spokój. Położyła palec na ustach i odczekawszy, aż Miś upora się z ogromnym rulonem, podeszła powoli do drzwi.

– Kto tam?

– To ja, pani Murzyńska, Jędrak!

Późnym wieczorem Miś zajrzał do pokoju chłopaków. Jędrak jak zwykle czytał w łóżku.

– *W osiemdziesiąt dni dookoła świata?*

– Już dawno skończyłem. To *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi*. Też Verne'a.

– Dwadzieścia tysięcy? To dużo... – Miś przysiadł na krawędzi łóżka. Od książek zawsze wolał karty.

– A gdzie „Tadek”? – zapytał Jędrak, nie odrywając się od lektury, wskazując przy tym głową puste łóżko brata.

– Nosi, cholera, coś do getta! – odparł Miś.

– Broń, wiem – mruknął Jędrak znad książki.

– Całymi dniami go nie ma. Ale na noc powinien.... – Miś obejrzał się za siebie i zniżył głos:

– Ja też mam tu coś do czytania – powiedział konfidencyjnym tonem, po czym wyjął książkę z rąk pasierba, odłożył ją starannie grzbietem do góry i podał mu złożoną we czworo ulotkę.

Jędrak poprawił okulary na nosie. – „Gwardzista”! Skąd?

– No wiesz, prawdę mówiąc, z za dekoltu towarzyszkii Murzyńskiej... – Miś skinął głową w stronę drzwi.

Jędrak drżącymi rękoma rozłożył podziemną gazetkę i przysunął bliżej nocną lampkę. Druk był rozmazany i niewyraźny.

– W tym miejscu! – Miś wskazał mu palcem nagłówek „Walka ze szpiclami”.

– „Wykonanie wyroku na pułkowniku...”? – Jędrak podniósł wzrok na Niedźwiedzia. – To znaczy, że to komuniści zrobili? – zapytał z niedowierzaniem.

Miś pokiwał powoli głową.

– Słuchaj, zanieś to stryjowi Stanisławowi na Żoliborz. Lepiej, żeby twoja stryjenka wiedziała.

Jędrrek wetknął złożoną gazetkę pod papierową okładkę Verne'a.

– Spokojna głowa, tato!

Miś wstał z westchnieniem, podszedł do drzwi i położył rękę na klamce.

– Tylko dobrze schowaj...

– Tato?

– Tak?

– A jeżeli to nasza... pani Murzyńska nadała tę robotę?

– Co ty gadasz?

Jędrrek skinął na ojczyrna. Pociągnął go, by przysiadł z powrotem na łóżku.

– Zawsze mamrotała, kiedy tu przychodził – wyszeptał. – Pomstowała na niego pod nosem, że sprzedawczyk, zdrajca... Sam słyszałem... Dokładnie tak, jak tu piszą. To są jej własne słowa...

Miś sceptycznie kręcił głową.

– ...przecież ona zna tych wszystkich komunistów – gorączkował się Jędrrek – a jej siostra mieszka koło stryja na Żoliborzu i zna adres, a dziadek mówił...

Miś spojrzał na pasierba z politowaniem.

– Twój dziadek to kamienicznik, więc robi w portki przed komunistami. A ty – tu Miś położył rękę na tomie Verne'a – naczytałeś się powieści fantastycznych i wymyślasz Bóg wie co!

Kucharka z sowieckiej ambasady

WE WSPOMNIENIACH MOJEGO OJCA przewija się niejaka pani Marzyńska, gospodyni u jego rodziców podczas wojny na Marszałkowskiej – komunistka. Ojca ponoć lubiła, z poświęceniem nosiła mu paczki, kiedy siedział na Pawiaku, nienawidziła natomiast bawiącego od czasu do czasu na Marszałkowskiej Aleksandra Reszczyńskiego. Ojciec podejrzewał wręcz, że maczała palce w organizacji zamachu na niego. Marzyńska usiłowała nawet przekabacić na komunizm swojego pracodawcę, ojczyzna ojca Henryka Niedźwieckiego – który nietypowo, jak na potomka ziemiańskiego rodu, niezdrowo interesował się bolszewizmem. W 1945 został nawet komisarzem ziemskim, rozparcelowującym ziemię wśród chłopów.

I teraz, uwaga – zajmował się tym w powiecie bielskim i miał na pieńku z antykomunistycznym podziemiem, które usiłowało go sprzątnąć. W tym samym czasie, szukając zemsty za śmierć ojca, z tymże podziemiem, w tymże Bielsku, zwiąże się Hanka Reszczyńska...

Al. Ujazdowskie

WBREW SWEMU ABSOLUTNEMU BRAKOWI ZAINTERESOWANIA sprawą zabójstwa komendanta, nic nie mówiąc o tym Weissowi, który w tajemnicy przed wszystkimi o niczym innym nie mógł myśleć, Szulc wezwał wdowę po Reszczyńskim na przesłuchanie w komendzie Kripo. Nawet nie wspomniał o tym swemu szefowi. Taka była zresztą procedura: w tydzień, dwa po zabójstwie przesłuchiowano świadków ponownie.

Krańcowo zdenerwowana komendantowa stawiała się w wyznaczonym dniu. Szulc poczłapał do szafy w kancelarii po segregator z jej zeznaniami z 5 marca. W drodze powrotnej natknął się na kierowcę Kowalskiego, który miał do niego jakąś sprawę.

– Nie teraz – warknął zirytowany, bo znacznie bardziej był ciekaw, co Kowalski ma mu do powiedzenia niż czekająca wdowa. Ale sam ją wezwał i musiał się jej najpierw pozbyć. Zatrzasnął drzwi za sobą i usiadł naprzeciwko niej za biurkiem, kładąc między nimi protokół z Krasińskiego. Miał zamiar rutynowo sprawdzić, czy wdowa nie ma niczego do dodania, i odesłać ją do domu. Kowalski czekał, a to oznaczało interesy.

– A więc, pani pułkownikowo... – zaczął, kiedy drzwi do jego gabinetu otworzyły się.

– Nie teraz... – zaczął Szulc, ale zobaczył w drzwiach Weissa, więc nie dokończył, tylko zerwał się na równe nogi i zasalutował. Wdowa zastygła w bezruchu, niepewna, czy ma wstać, czy też nie.

Na jej widok w Weissie się zagotowało.

Ten kretyń Szulc! Po co on ją tu ciągnął? – pomyślał wściekły na swojego zastępcę. Ale był jednocześnie zły na siebie, że nie pomyślał, iż Szulc, niczym stara dorożkarska szkapa będzie w tym śledztwie, jak w każdym innym, podążał tą samą co zawsze, utartą drogą: w dwa tygodnie po zabójstwie wezwie głównych świadków dla uzupełnienia zeznań, nic od nich nie wyciągnie

i odhaczy zadanie jako wykonane. Chodziło tylko o to, żeby jak najszybciej odhaczyć, bo interesy czekały... A przecież to nie było śledztwo jak każde inne. Tylko że Szulc nie miał o tym wiedzieć.

Cały ten długi proces myślowy trwał w rzeczywistości tylko pół sekundy.

Weiss skinął głową i wycofał się za drzwi.

Kiedy dwadzieścia minut później komendantowa z ulgą opuściła ponure gmaszysko na rogu Alei Ujazdowskich, Weiss wyszedł zza rogu Koszykowej i podążył za nią. Szła do przystanku tramwajowego, nie oglądając się za siebie. Weiss był coraz bliżej niej. Układał sobie w głowie słowa otuchy i obietnicę, którą chciał jej złożyć. Nie miał zamiaru jej spłoszyć czy nastraszyć, a tylko dać jej subtelnie do zrozumienia, że nie jest sama w swym nieszczęściu i że z przyczyn, o których lepiej by nie wiedziała, może na niego liczyć.

Komendantowa zatrzymała się na zatłoczonym przystanku i odwróciła, wypatrując tramwaju. Weiss odruchowo odwrócił się, żeby go nie spostrzegła, choć przecież go nie znała, a w dniu zabójstwa była zbyt roztrzęsiona, by go zauważyć.

Kiedy jednak teraz do niej podejście i przedstawi się, to nie będzie już odwrotu. Niczego jej nie mówiąc o naturze swej znajomości z pułkownikiem, tylko pobudzi jej ciekawość. I co wtedy? A jeżeli Szulc wezwie ją ponownie i wyda się, że z nim rozmawiała?

Zdjęcie „wąskonosego”

HANIĘ WPROWADZIŁEM W ARKANA INTERNETU, kiedy jeszcze w latach dziewięćdziesiątych oboje mieszkaliśmy w Londynie. Nauka nie poszła w las. Obok spotkań i telefonu posługujemy się teraz pocztą elektroniczną, a zanim skończę tę książkę, będziemy korespondować także przez Facebook’a.

Przez kilka tygodni jesienią 2015 roku wysyłałem jej przez Internet niewyraźne podobizny różnych gagatków z opasłego tomu o PPR, a ona niezmiennie odpowiadała, że nikogo jej to czy inne zdjęcie nie przypomina. Aż wreszcie:

„W dniu 8 listopada 2015 15:07 użytkownik Maciek Bernatt-Reszczyński napisał:

Haneczko,

Rozumiem, że to było ponad siedemdziesiąt lat temu, ale rzuć, proszę, okiem na załączone zdjęcie. Wszystko wskazuje na to, że ten gentelman był jednym z zamachowców. Okazuje się, że miał taki charakterystyczny nos, co widać na załączonym obrazku (zdjęcie sprzed wojny, więc jest na nim młodszy niż w 1943).

W dniu 8 listopada 2015 18:58 użytkownik Hanna Essigman napisał:

Maćku, wygląda mi na to, że to mógł być ten »Tadek« lub »Zyg«. Taka sama pociągła twarz i ten nos bardzo blisko ust – tylko nie miał wąsów.

Serdeczności
H.”.

Ul. Krasińskiego 4

OBJUCZONE WALIZKAMI I TORBAMI HANIA, BABCIA I STASIA PATRZYŁY, jak Marta z ciężkim westchnieniem zamyka drzwi mieszkania, odstawia walizkę i szuka klucza w torebce.

– To ja już zamknę moim, pani komendantowo – powiedziała usłużnie asystująca im dozorczyńni Górowa. Marta przytaknęła z wdzięcznością i obejrzawszy się na córkę, przybrała rezolutną minę.

– Głowa do góry, Haneczko – powiedziała do niej. – Wrócimy tu, przyrzekam ci!

– A pewnie, że wrócicie – zawtórowała jej Górowa i pogłaskała Hanię po głowie.

Zaczęły właśnie powoli schodzić, kiedy usłyszały, jak z dołu ktoś wbiega na górę. Na półpiętrze zatrzymał ich zdyszany brat komendanta.

– Nie próbuj nas zatrzymać... – zaczęła Marta.

– Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia...

– Oni tu wrócą, Staszku. Więc mów, co chcesz, ale ja zdania nie zmienię...

Patrząca na nich z góry dozorczyńni nadstawiła ucha.

Szwagier wziął Martę za rękę. – Nie tutaj – powiedział. – Chodźmy do mieszkania.

Hania, babcia i Stasia odstawiły pakunki, a Górowa z przekąsem otworzyła swoim kluczem drzwi pod numerem 10.

Marta siedziała jak sparaliżowana przy stole, przy którym często pisała swoje wiersze. Tam, gdzie zwykle leżała przed nią niezapisana kartka, teraz znajdowała się, wymięta od ciągłego rozkładania, komunistyczna gazetka. W tej gazetce, obleczona w ohydne kłamstwo, była jednak prawda o tym, co zaszło tu przed kilkoma tygodniami. Czarno na białym napisano w niej coś, o czym nie wolno było napisać w nekrologu, o czym nie wolno było powiedzieć na pogrzebie. To, że Olka zamordowano...

Marta otrząsnęła się i podniosła wzrok na szwagra.

– Przyznali się... Tym bardziej nie możemy tu zostać.

Brat komendanta wstał z miejsca, podszedł do niej i położył dłoń na jej dłoni.

– Właśnie to cały czas usiłuję ci powiedzieć. Musicie stąd natychmiast zniknąć!

Wiersz czternastolatki na grobie zamordowanego ojca

– MYŚMY POSZŁY NA GRÓB ROK PO ŚMIERCI OJCA – opowiada Hanka – i były tam szarfy piękne biało-czerwone. Mam gdzieś zdjęcie. Na tych szarfach napisane były nazwiska młodzieży i słowa: „dziękujemy za ratowanie naszych ojców i braci”. To było szalenie wzruszające i myśmy to zachowały. Mało tego, myśmy kiedyś, przyjeżdżając z Anglii, znów znalazły coś w tym stylu na grobie ojca. Podpisane to było: „kochanemu komendantowi – podwładni”.

A ten wiersz napisałam w kilka dni po jego pogrzebie:

„Wszystko stało się nagle i niespodziewanie,
Jeszcze wczoraj, jak żywy stoisz przed oczami,
Jeszcze wczoraj, tak, wczoraj byłeś razem z nami,
A dziś nastąpiło okrutne rozstanie.
Powiędły na twym grobie kwiaty, wieńce świeże,
Odeszli wszyscy, sam tu o zmroku zostałeś,
Pod pagórkiem tej ziemi, którą tak kochałeś
I za którą swe życie oddałeś w ofierze.
Dobrze ci będzie tutaj, wśród ciszy Powązek,
Gdzie w noc majową słowik tak żałośnie śpiewa,
I wielki spokój śmierci wokół się rozlewa,
A srebrne krople rosy spadają z gałązek”.

Ul. Marii Kazimiery

„WYRAZIŁEM ROZGORYCZENIE z powodu podcinania podstaw karność w policji, przez rozdwojenie dyscypliny policjanta między władzą legalną dowództwa oraz władzą »kanalizacyjną«. Praca nielegalna pochłonęła za mego urzędowania, a więc w okresie dwóch lat, życie około czterystu policjantów, nie prowadząc do niczego. Wszelkie nielegalne działanie w policji może iść tylko przeze mnie samego, a cały korpus policyjny powinien być mi ślepo oddany. Tymczasem, jak sądzę około połowa policjantów jest zaangażowanych w pracach konspiracyjnych. W ten sposób w przełomowym momencie znajduję się bez ludzi, względnie z »samymi dziadami«. Uważam to za kompletny nonsens ze względu na ciągłość władzy, którą wszak reprezentuję. Dlatego też nie mogę się pogodzić z takim właśnie systemem pracy konspiracyjnej, gdyż w każdym wypadku cała odpowiedzialność za funkcjonowanie PP spadnie wyłącznie na mnie samego”[1].

Tu Weissowi lekturę zakłócił telefon. O świcie na Marymoncie znaleziono zwłoki kapitana policji Teofila Kierskiego.

Kiedy dojeżdżali już na miejsce, Weiss powiedział swojemu zastępcy, że drewniane domki w tej części Żoliborza bardzo przypominają mu Galicję. Polak przytaknął grzecznościowo, ale nie był w nastroju do pogawędki o pejzażu. Weiss zresztą też – odezwał się jedynie dlatego, żeby Szulc nie zauważył, że jest zaabsorbowany czym innym.

Dzisiaj, jak co rano od dwóch tygodni, zaczął dzień bardzo wcześnie od mozolnej lektury dziennika komendanta. Liczył na to, że brakujące kartki wyrwane zostały na chybił trafił i szukał dalszych wzmianek o „J.W.”, czyli o sobie lub o łączących go z komendantem dyskretnych stosunkach. Na próżno. Dziennik był ciekawy, jako szczerza manifestacja uczuć i przemyśleń skrepowanego swoim położeniem w służbie okupanta człowieka, ale wyglądało na to, że notatka na temat Weissa, była nietypowym odruchem. Pytanie zaś, czy

na brakujących stronach komendant „kontynuował temat”, pozostawało bez odpowiedzi...

Czarny opel zatrzymał się na rogu ulicy, kilka metrów od leżącego na wznak ciała kapitana. Nieopodal stała garstka „granatowych” i patrol żandarmerii. Po drugiej stronie ulicy grupa wypadowa w cywilu czekała na sygnał do rozpoczęcia czynności śledczych. W oddali przemykali się chyłkiem okoliczni mieszkańcy.

Starszy posterunkowy Policji Polskiej z przejściem zaraportował inspektorom swe dotychczasowe skromne ustalenia.

Stanęli nad zeszywniałym w groteskowej pozie trupem. Szulc przyklęknął, aby z bliska przyjrzeć się ranom postrzałowym, a Weiss rozglądał się po ulicy.

Wyszli na niego po ciemku zza rogu – pomyślał, przesuwając ręką po nieogolonym, w typowym dla niego porannym pośpiechu, podbródku.

– No to mamy serię! – mruknął Szulc, ni to do siebie, ni to do swojego zwierzchnika.

– To znaczy? – zapytał Weiss.

Szulc wskazał na zabitego:

– Dowódca komisariatu, w tej samej dzielnicy co komendant, w trzytygodniowym odstępie czasu. Ewidentna seria! – zawyrokował.

– Znał go pan?

Szulc pokręcił głową.

Weiss i tak mu nie wierzył. Miał swojego zastępcę za pospolitego szubrawca i łapownika spasionego na ludzkiej niedoli. Sam Weiss mieszkał co prawda w mieszkaniu po żydowskim wirtuozie, ale dbał o nie i traktował tak, jakby właściciel miał tam lada chwila wrócić, chociaż dobrze wiedział, że muzyk już dawno poszedł do pieca. Ale ten renegat bez sumienia handlował żydowskimi istnieniami jak przedmiotami, pracę w policji traktując wyłącznie jako koncesję dla swojego bandyckiego procederu. Ta jego teoria, że mają do czynienia z serią zamachów, też służyć miała wyłącznie szybkiemu zamknięciu obu spraw. Getto już płonęło, interesy czekały!

– A więc sprawa jest dla pana jasna? – zapytał Weiss.

Szulc przytaknął gorliwie:

– Można tak powiedzieć. Mamy do czynienia z systematyczną likwidacją przez komunistów wysokich rangą oficerów policji dzielnicy Żoliborz, *Herr Inspektor*. Robota tej samej bandy. Nie zdziwiłbym się, gdyby to był ten sam sprawca.

Oho! Nawet raport już gotowy – pomyślał z ironią Weiss, po czym skinął na grupę wypadową, która przystąpiła do swoich czynności na miejscu zbrodni, i wsiadł z powrotem do opla. Patrzył stamtąd, jak Szulc, stojąc nad zwłokami z zadufaną miną, wydaje technikom śledczym ostatnie światłe wskazówki. Ma

się rozumieć, że Weiss całkowicie się z nim nie zgadzał. W jego rozumieniu dwa zamachy na policjantów nie stanowiły jeszcze żadnej serii, a sposób, w jaki ich dokonano, kazał wątpić, że zabójca był w obu przypadkach ten sam. Ale dobrze, niech Polak gmatwa sprawę!

– A on dokąd? – zapytał na głos Szulc, kiedy czarny opel z Weissem odjechał nagle ulicą Marii Kazimiery w stronę miasta. Odwrócił się do kaprała z XXVI Komisariatu, którego dobrze znał, tak samo zresztą, jak dobrze znał zabitego, kapitana Kierskiego. Wskazał za odjeżdżającym samochodem.

– Polacy się mordują, a Szwabom w to graj! – powiedział do niego po cichu z pogardliwym wyrazem na twarzy. Stary posterunkowy pokiwał tylko głową.

Na scenę wkracza Hedda

KIEDY ROZMAWIAŁEM Z PROFESOREM JERZYM KOCHANOWSKIM w jego gabinecie w Zakładzie Historii XX Wieku Instytutu Historii Uniwersytetu Warszawskiego o jego dziadku, „granatowym policjancie”, profesor, jak to profesor – pod koniec września nie miał za dużo czasu. Rozmowę co chwila przerywali nam spanikowani studenci, a on raz po raz zerkał na zegarek. Zbierając się, mimochodem wspomniałem o zagadkowym telefonie, jaki otrzymała matka Hanksi już w Londynie:

– Panie profesorze, mam taką zagadkę do rozwiązania: jakaś krewna uczestnika zamachu na Reszcyńskiego, może tego, który go zastrzelił, zadzwoniła do wdowy po nim, która mieszkała w Londynie bodajże w latach pięćdziesiątych...

– Możliwe, że to jego żona, która żyła dość długo.

– Żona? Ale czy była w Londynie?

– Nie wiem, czy była. To trzeba by sprawdzić. Ja kilkakrotnie natrafiłem na jej historię. Ona funkcjonowała po wojnie w różnych kręgach... Hedda.

– Proszę?

– Hedda, tak miała na imię.

– To takie ibsenowskie.

– No bardzo, ale to takie pokolenie. Hedda była ciekawą postacią. Proszę zajrzeć do słownika biograficznego działaczy polskiego ruchu robotniczego.

– Hmm... Hedda, mówi pan?

Trop podrzucony mi przez profesora Kochanowskiego okazuje się być nieoceniony, a postać Heddy fascynująca – i jak zrozumieć później: tragiczna.

Z *Polskiego Słownika Biograficznego* dowiaduję się, że ojciec Heddy Bartoszek, pseudonim „Fryga” (Edmund Semil, który między innymi był przed wojną profesorem w III Liceum Ogólnokształcącym im. Stefana Batorego), po

śmierci jej matki ożenił się ponownie. Odnajduję jedną z jego córek z drugiego małżeństwa.

Nasza pierwsza rozmowa jest bardzo interesująca, ale z czasem kontakt będzie coraz trudniejszy, a w końcu – pomimo moich licznych prób utrzymania go – całkowicie się urwie. Z tego powodu nie podaję nazwiska przyrodniej siostry, która najwyraźniej w pewnym momencie doszła do wniosku, że nie chce ze mną rozmawiać.

W trakcie naszej pierwszej rozmowy dowiedziałem się, że Hedda zawsze miała lewicowe ciągoty. Jeszcze przed wojną była w socjalistycznym „Spartakusie”. Potem była w GL, a ich ojciec w AK. Jak się wyraziła jej siostra: „typowe polskie losy”. Przybrana mama Heddy mówiła o niej, że jest narwana, a gosposia ukrywała przed rodzicami to, że Hedda przez okno wychodziła i wracała z akcji.

Do okien w ogóle miała ciągotę, bo ponoć jeszcze w Gimnazjum im. Królowej Jadwigi na placu Trzech Krzyży, przed wojną, wychodziła przez okno na gzyms, robić mostki.

A ta Hedda to stąd, że jej zmarła przed wojną matka była z Estonii. Ale siostry mówiły na nią Dusia: „no bo Hedda, Heddusia...”.

Hedda była ciężko ranna w powstaniu. „Miała wyszarpany kawał uda”.

Na koniec siostra przypomina sobie, że przed laty cykl artykułów o Heddzie napisał w „Tygodniku Kulturalnym” mój starszy kolega z telewizji, Jacek Snopkiewicz...

To następny ślad.

Ul. Krasińskiego 4

JEŻELI IDZIE O JOACHIMA WEISSA, to słowa Szulca nie mogły być odleglejsze od prawdy. Nie był nawet żadnym Szwabem, tylko Austriakiem, a do tego urodzonym we Lwowie. A co do mordujących się nawzajem Polaków, to Szulc też niewłaściwie oceniał swojego szefa...

Wracając z Marymontu na placu Wilsona, kazał kierowcy skręcić w lewo i zatrzymać samochód koło parku, naprzeciwko domu komendanta. W świetle świeżej lektury jego pamiętnika zupełnie inaczej patrzył teraz na to miejsce. Dlaczego dumny były komendant policji wszystkich najważniejszych polskich miast po kolei ulokował się w takim skromnym mieszkanku na trzecim piętrze bez windy, bez żadnej ochrony, i to na Żoliborzu, na którym aż roiło się od konspiratorów wszelkiej maści? Przecież dobrze wiedział, co robi, bo był rodowitym warszawiakiem. Był nim, a jednak przez prawie dwadzieścia lat przerzucali go z Lublina do Wilna, z Wilna do Lwowa, ze Lwowa do Krakowa, z Krakowa do Poznania i tak wkoło Macieju... Tylko nie do Warszawy!

Weiss uświadomił sobie paradoksalny fakt, że to dopiero Niemcy zrobili z Reszczyńskiego komendanta policji w stolicy. Tyle tylko, że Warszawa nie była już wówczas stolicą, a policja nie była polską policją.

Nic dziwnego, że był rozgoryczony – pomyślał i przesunął się na tylnym siedzeniu, żeby mieć lepszy widok na mieszkanie. Wydawało mu się, że na trzecim piętrze poruszyła się firanka w oknie i zamajaczyła za nią kobieca postać. Kiedy tak wykręcał w górę szyję, żeby ją lepiej widzieć, w lusterku wstecznym mignęło mu grobowe oblicze jego kierowcy. Był to niemłody już polski policjant, jakiś krewny Szulca.

– A wy znaliście pułkownika Reszczyńskiego? – Weiss skinął głową w stronę domu.

Polak najpierw jakby długo się zastanawiał, a potem tylko przytaknął.

– A kapitana Kierskiego też znaliście? – zapytał Weiss po dłuższej chwili.

Kierowca znowu powoli skinął głową.

Weiss dał ręką znak i zawróciwszy, odjechali w stronę placu Wilsona.

– Jeszcze w Straży Obywatelskiej służyliśmy, pod Niemcami – powiedział ni stąd, ni zowąd kierowca, kiedy skręcili w Mickiewicza. – Wszyscy trzej...

Aha. Podał się stary. Nostalgia wzięła górę nad ostrożnością – pomyślał Weiss.

– Kiedy to było? – zapytał jakby od niechcienia, tak żeby go nie spłoszyć.

Przejechali spory kawałek, zanim kierowca znowu się odezwał:

– W piętnastym roku, panie Sturmbannführer. Niedługo będzie trzydzieści lat.

Służyli pod Niemcami w poprzedniej wojnie – uświadomił sobie Weiss. – Czyli właściwie, tak jak teraz.

– Ale to porządna służba była – rozgadał się kierowca. – Po-rząd-na! – przesylabizował. – Najdrobniejszy szwindel, raport i dymisja! A gwizdki to, panie, dezynfekowali od chorób. De-zyn-fe-ko-wali! Nie to co... – Nie dokończył zdania.

– Może pan dokończyć – uśmiechnął się Weiss. – Chciał pan powiedzieć – nie to co dzisiaj!

Ale kierowca milczał. Na wszelki wypadek więcej się już nie odezwał, aż do samych Alej.

Mogiła na Powązkach

NO I ZGUBIŁEM SIĘ! Zdezorientowany remontem Trasy AK, mój telefon „nie widzi” satelity i nawigacja „nie wie”, gdzie jest. A ja bez nawigacji też nie wiem, gdzie jestem, bo nie znam Warszawy zbyt dobrze. Wiem tylko, że tuż przed mostem Grota-Roweckiego w ostatniej chwili zjechałem na Trasę Toruńską. Pierwszą w prawo próbuję „wcelować” w Żoliborz. I nagle na skarpie po prawej wyrasta przede mną ten dom: Krasińskiego 2/4/6. Nie jest to oczywiście ten sam dom, tylko powojenna odbudowa w stalinowskim stylu. Ale to właśnie tutaj zginął Aleksander Reszczyński. Budynek, który oczyma wyobraźni widziałem w ciemny i ponury marcowy wieczór, jest skąpany w promieniach porannego słońca.

Na Powązkach, dokąd zawożę Hankę, jest jeszcze piękniej. Mój kuzyn, Piotr Reszczyński, pucuje nowiuteńką płytę z inskrypcją „Aleksander Reszczyński, ur. 1892, zginął za Polskę”. Hanka też tutaj spocznie.

– A co się ma miejsce marnować – mówi.

Na płycie jest już nawet gotowa jej własna inskrypcja, ozdobiona powstańczą kotwicą; brakuje tylko daty śmierci. Kuzyn poleruje granit woskiem od samochodu, a Hanka, siedząc na ławeczce, recytuje mi swój wiersz o ojcu, napisany wkrótce po pogrzebie.

Jest to ten czas w październiku, kiedy powązkowskie klony i wiązy, oślepiające złotymi koronami na tle błękitnego nieba, zaczynają powoli rzednąć, pokrywając mogiły płaszczem liści. Odgarniamy więc nowo opadłe liście z wypolerowanego granitu i znajdujemy pomyłkę na świeżo obstalowanej płycie. W dacie śmierci Aleksandra nie zgadza się miesiąc. 5 stycznia to urodziny Hanki – a on został zabity 5 marca. Reszta czasu na Powązkach upływa nam na zastanawianiu się, co z tym fantem zrobić.

Stacja Warszawa Wileńska

DYŻURNY RUCHU DAŁ CZERWONYM LIZAKIEM SYGNAŁ DO ODJAZDU pociągu do Lwowa. Babcia i Hania wyglądały z zatłoczonego przedziału na korytarz, gdzie Marta wychyliła się przez okno wagonu.

– Zajrzyj, proszę, czasem do mieszkania, Staszku! – krzyknęła na odjeżdżającym do szwagra. – Bóg wie, kiedy wrócimy.

– Zajmę się wszystkim tak długo, jak trzeba, żebyście tylko były bezpieczne! – odkrzyknął, ale jego słowa zagłuszył gwizd lokomotywy.

Kłęby pary spowiły peron, a kiedy opadły, Stanisław Reszczyński nadal nie przestawał machać za odjeżdżającym pociągiem, aż wreszcie włożył ręce do kieszeni i wolnym krokiem skierował się w stronę wyjścia do miasta.

W bezpiecznej odległości za nim, postawiwszy kołnierz płaszcza do góry, podążał mężczyzna z wąskim nosem i żółtą cerą.

Aleja Szucha 25

WYGLĄDAŁO TO NA AKT WIELKIEJ POKORY: prowadząc śledztwo, którego wyniki miały być i tak ostatecznie przekazane Gestapo, inspektor Joachim Weiss przyznał się do porażki i dyskretnie poprosił gestapowca Kurtza o pomoc. Ten Weiss był skoligacony ze starą pruską arystokracją i był w Kripo czymś w rodzaju świętej krowy, więc Sturmbannführer nie kazał się długo prosić. Był nieprawdopodobnie zapracowany, ale unizona prośba ustosunkowanego inspektora na swój sposób mu pochlebiła. Zaprosił go na Szucha, na szóstą rano. Aby wstać tak wcześnie, Weiss musiał położyć się wcześniej i na trzeźwo, poza jednym jedynym dużym sznappsem na sen. W rezultacie czuł się rano nadzwyczaj rześko. Za to Kurtz był niewyspany, po całonocnym przesłuchaniu, po którym, jak z przerażeniem zauważył Weiss, pozostały mu na wystających spod munduru mankietach koszuli mikroskopijne plamki krwi. Weiss wzdragał się na myśl o tym, w jaki sposób tam się znalazły.

Kurtz powitał go tyradą o bandyckim kraju, w którym przyszło im zaprowadzać porządek, i nie przerywając jej, wydobywał z segregatora kolejne dokumenty...

– Kraj urodzonych bandytów, dżungla... – zżymał się, rzucając na biurko spięte spinaczami, zapisane odręcznym pismem karteczki. Weiss sięgnął po nie, ale Kurtz sprzątnął mu je przed nosa. – Raportów naszych agentów nie mogę panu pokazać, ale powiem panu w zaufaniu, że już w kilka dni po zamachu na komendanta pisali, że to robota bolszewików. A wiedzą, o czym mówią, bo siedzą w samym środku. Czerwona dzicz i żydowska zaraza.

Sięgnął po następny plik i wertując go, kontynuował:

– Weichelstrasse to ewidentnie robota tej samej bandy, co w Wytwórni Papierów, na Dworcu Głównym i w Kasie Oszczędności, a hersztem jest komunista, kryminalista wydalony z armii... Co za kraj, panie inspektorze! A jednak zeznania wiarygodnych niemieckich świadków wszystkich poprzednich

akcji tej bandy dają nam niezłe pojęcie o jej składzie. Mamy tu całą kupę wiarygodnych rysopisów. Oszczędzę panu oglądania tych wszystkich identycznych, słowiańskich mord i poprzestanę na tym oto, moim skromnym zdaniem, raczej nie-Aryjczyku...

Zdjęcie, które mu następnie podał wraz aktami, było bardzo małe i Weiss musiał grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu okularów.

Ze zdjęcia patrzył na niego ciemnowłosy i ciemnooki mężczyzna o szalenie charakterystycznym, wąskim jak brzytwa nosie.

– Co za fizjonomia, nieprawdaż? – zaśmiał się Kurtz, a Weissa nagle olśniło:

A więc to jego miały na myśli kobiety z ulicy Krasińskiego, kiedy mówiły o napastniku z płaskim nosem – pomyślał. – Chodziło im o wąski nos, a nie o rozpłaszczony, tak jak to wpierw zrozumiałem. To był on, „wąskonosy”. A gdzie „wąskonosy”, tam i zabójca.

Oddając gestapowcowi akta, spróbował go delikatnie podejść:

– Niesłychanie mi pan pomógł, panie Sturmbannführer. Pytanie tylko, gdzie go szukać?

Kurtz wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia i mówiąc między nami – zupełnie mnie to nie interesuje. Nigdy zresztą nie przepadałem za tym Reszczyńskim, wie pan? Typowy polski zarozumialec, moim zdaniem. Ale skoro pana to zajmuje... to niech pan sobie na spokojnie przestudiuje akta tego gagatka i niech go pan sobie sam poszuka!

„Czapka Frygijska”

JESIEŃ SIĘ KOŃCZY, NA DWORZE ZIMNO, a ja w ciepłutkiej czytelni Biblioteki Narodowej wertuję wspomnienia Mieczysława Bermana o grupie malarskiej „Czapka Frygijska”, której dwóch członków – Bartoszek i Bobowski – stanie się następnie członkami specgrupy Gwardii Ludowej...

Przebojowe przedwojenne hasło reklamowe autorstwa Melchiora Wańkowicza, „cukier krzepi”, wykorzystano na szeregu plakatów, z których próbę czasu najlepiej chyba przetrwał minimalistyczny fotomontaż Mieczysława Bermana, z białą-czarną buźką bobasa w biało-czerwonym śliniaku. Berman był wybitnym fotomontażystą. Stanisław Jerzy Lec, którego *Myśli nieuczesane* Berman ilustrował, uważał jego prace za tak przenikliwe, że nazwał je „rentgenogramami epoki”. Berman był zaprzysięgłym lewicowcem, a przed wojną członkiem grupy „Czapka Frygijska”.

We wspomnieniach Bermana znajdują obszerne fragmenty poświęcone uczestnikowi zabójstwa komendanta Reszczyńskiego – Bobowskiemu. O jego wyglądzie Berman pisze, że miał twarz pociągłą i „mimo młodego wieku” pełną zmarszczek, a jednocześnie miał miły uśmiech. Mówił „mało, ale sensownie”.

O sztuce wydalonego z ASP wychowanka profesora Kotarbińskiego, pisze Berman z sympatią, że jej siła wyrazu kompensowała braki formalne. Kiedy odwiedza artystę w jego pracowni na Żoliborzu, to na sztalugach, w zalanym światłem pokoju z widokiem na park, znajduje szkic obrazu *Biedaszybikarze*. Życie robotnicze to główny temat prac Bobowskiego. Berman pisze, że ekspresyjne potraktowanie przez niego postaci ludzkiej było formą oskarżenia i „protestu przeciwko ustrojowi wyzysku”.

Obok sztalug, na półce, księgozbiór malarza. Bobowski czytał, według Bermana, „sporo literatury marksistowskiej”, periodyki komunistyczne i „dużo książek radzieckich”, a także dzieła poświęcone teorii estetyki marksistowskiej.

Jeżeli Berman nie upiększa zgodnie z wymogami epoki – wspomnienia ukazują się bowiem w latach sześćdziesiątych – to ten opis księgozbioru przysłego członka grupy uderzeniowej Gwardii Ludowej, choć niezbyt oryginalny, jest jednocześnie fascynujący.

O tym, jak pewnego razu ojciec sprzął Hanke

MY, RESZCZYŃSCY, MAMY TO DO SIEBIE, że jesteśmy bardzo gościnni, ale podczas moich roboczych wizyt Hania przechodzi samą siebie. Zamawia specjalnie dla mnie wegetariańskie jedzenie i pilnuje, żeby nic nie zostało. I znowu z pełnymi ustami podejmuję naszą przerwana rozmowę:

– Twój ojciec szalenie poważnie podchodził do swoich obowiązków...

– Służbistą był nieprawdopodobnym i było to nieznośne. To ja wiem sama ze swojego doświadczenia jako dziecko. Na przykład ojciec sobie zażyczył, żebym ja – to jest śmieszne – żebym ja mu cerowała skarpetki. Nikt inny. Wtedy musiało się cerować skarpetki, bo to było w czasie wojny już. Miałam dwanaście–trzyście lat, a ojciec życzył sobie, że to ja mam mu cerować skarpetki, bo nie można nowych zdobyć w tym czasie. I to właśnie miałam zrobić ja. Chodziło o to, jak przypuszczam, żeby mnie wdrożyć, żebym miała jakieś obowiązki, które muszą być wykonane. I jak, nie daj Boże, skarpetka była niezacerowana, albo niedobrze zacerowana, że uwierała – no to ja miałam wtedy burę niesamowitą. Opieprzał mnie dokładnie. Raz mnie pasem zbił. Ja miałam już wtedy czternaście czy piętnaście lat. Ale to było zrozumiałe. Wiem dlaczego. To było na Żoliborzu. Był niedzielny obiad i ojciec oczywiście zawsze był na tym obiedzie. Ja poszłam do kościoła, bo tam miałam z koleżankami i z kolegami spotkanie. Miałam być na pierwszą w domu. Zegarka nie miałam. No i tak się złożyło, że była piękna pogoda, żeśmy poszli po tym kościele gdzieś tam do parku, a potem jeszcze gdzieś... Jednym słowem, było tak cudownie, że nagle jak ja się ocknęłam, że jest piętnaście po pierwszej, to myślałam, że ja ze skóry wyskoczę, i biegiem oczywiście – gnałam do domu jak nieprzytomna. Wpadłam do mieszkania, a w nim dramat niesamowity. Dlatego, że przecież łapanki były szalone. Ja już byłam wyrosniętą dziewczyną, biuściastą i w ogóle, i tutaj nagle wpadam do domu, a ojciec jak nie ryknął na mnie: „Co ty sobie wyobrażasz, matka i ja szalejemy, a ty gdzie się podziewasz?”. On ryknął, ja coś tam

odburknęłam, a ojciec zdjął z siebie pas... Oczywiście nie zbił mnie jako tako, ale tak ze dwa czy trzy razy mi tym bardzo szerokim pasem po pupie przyłożył. Ja się tak śmiertelnie obraziłam wtedy, że wyszłam. Powiedziałam „dziękuję” i wyszłam. I potem zrobiłam psikusa obojgu rodzicom. Była godzina policyjna – szósta, powiedzmy – a ja wyszłam z mieszkania, poszłam piętro wyżej na półpiętro, pod stryszek, i usiadłam tam na schodach. I oni szukają mnie, a mnie nie ma. No, ale potem już się objawiłam. Bo się wściekłam strasznie, żeby mnie, taką pannę... ja już zakochana byłam i tego... a tutaj raptem ojciec mnie pasem...

Ul. Poznańska 53

BYŁO JUŻ POD WIECZÓR, kiedy „wąskonosy” zapukał umówionym szyfrem do drzwi na trzecim piętrze kamienicy przy Poznańskiej. „Fryga” uchyliła drzwi.

– On teraz śpi – powiedziała szeptem, a widząc jego przejętą minę, otworzyła drzwi szerzej. – No dobrze, wejdź na chwilę, ale nie będziemy go budzić.

W drzwiach w głębi mieszkania pojawił się ojciec dziewczyny.

– Kto tam, Dusiu?

– To do mnie, tato...

– „Tadek”?

– Dobry wieczór, panie profesorze – ukłonił się „wąskonosy”, odczekał, aż ojciec sobie pójdzie, i zniżając głos, powiedział:

– Powiedz „Jackowi”, że te z Krasińskiego pojechały na Lwów...

– No to macie go z głowy! Powiem mu – „Fryga” wskazała Tadekowi drzwi, a on położył dłoń na klamce:

– Ale z tej żony uparta sztuka. Może jeszcze wrócić. Nie byłoby całego kłopotu, gdyby nie był taki rycerski – powiedział z wyrzutem, otwierając drzwi.

„Fryga” zamknęła je ponownie i stanęła naprzeciwko niego. Jej ogromne oczy świeciły w półmroku, niczym u kota. Złożyła ręce na piersiach:

– Co dokładnie masz na myśli?

– To, że niepotrzebnie ryzykował życiem towarzyszy. Trzeba było baby od razu sprzątnąć.

– Aha? Taki z ciebie bohater? To czemu sam tego nie zrobiłeś? – zapytała.

Nagle usłyszeli za sobą głos „Jacka”. W ciemnym korytarzu zamajaczyła im jego sylwetka.

– Jak będzie trzeba, to się je też sprzątnie – powiedział.

– Patrzcie, jaki z niego teraz chojrak – skrzywił się „Tadek”.

Norman Davies o kolaboracji

NASZA KOOPERACJA Z HANIĄ nie jest całkowicie pozbawiona napięć. Hani w zrozumiały sposób zależy na takim portrecie ojca, który weźmie pod uwagę także jej – jego córki – wrażliwość.

– Maćku, ja jeszcze żyję – mówi raz do mnie po przeczytaniu któregoś ustępu!

Boję się więc, że mnie znienawidzi za tak postawione pytanie, ale: czy Aleksander Reszczyński był w końcu kolaborantem, czy też nie?

Jeżeli chodzi o opublikowane drukiem oceny nieżyjących już wybitnych polskich autorytetów historycznych, takich jak Tomasz Strzembosz czy Jerzy Ślaski, są w tej mierze w podobny sposób niejednoznaczne i ostrożne.

Już w demokratycznej Polsce nawet „partyjny historyk” Ryszard Nazarewicz pisał jedynie ostrożnie, że pułkownik co najwyżej „stał się dla wielu ludzi swojego rodzaju symbolem kolaboracji”.

Jeszcze później i z większego dystansu, pisząc o samych okolicznościach i motywach kolaboracji w okupowanej Europie, nieoceniony Norman Davies chłodno przypomina, że kolaboranci sami byli gnębieni, że totalitarne reżimy stosowały w tym celu „piekielne środki” i w końcu że: „...jeśli kolaborację ma się oceniać sprawiedliwie, to trzeba ją oceniać na podstawie norm, które stosują się do wszystkich. Skoro jest rzeczą złą, jeśli jakaś jednostka, lub grupa pomaga prześladować innych, to jest także rzeczą złą, jeśli w analogicznych warunkach prześladowani nie cofają się przed prześladowaniem kogoś innego”.

Davies postuluje więc, że jeżeli już trzeba potępiać – czego, jak podkreśla, wielu, którzy poznali wojnę na własnej skórze, odmawia – to potępiać trzeba równomiernie.

Pisząc dalej o lokalnych policjach tworzonych przez okupantów we wszystkich częściach kontynentu, podkreśla, że ich służba nosiła pozory normalności, ale tylko do czasu. Że prędzej czy później przychodził dzień, w którym wykonywać musieli rozkazy nieludzkie, przed którymi nie było ucieczki innej niż własna

śmierć. Ale – co Davies podkreśla: „Z moralnego punktu widzenie nie było większej różnicy, czy rozkaz wydawało SS, czy NKWD”.

Jeżeli dobrze rozumiem tę myśl, to w odniesieniu do zabójstwa Reszczyńskiego oznaczałaby ona co następuje: jeżeli nawet przyjąć, że Reszczyński w jakiś sposób kolaborował z Niemcami, to równocześnie w akcie jego zabójstwa jego oprawcy działali jako kolaboranci sowieccy[2].

Ul. Miodowa

MAJOR NIE PRZESADZAŁ, mówiąc, że bardzo dba o własne bezpieczeństwo. Posterunkowy z budki wartowniczej przed jego domem o mały włos nie zastrzelił mężczyzny, który tuż po godzinie policyjnej podszedł do niego, sięgając jednocześnie prawą ręką do kieszeni płaszcza. Na szczęście Joachim Weiss, bo to on był owym mężczyzną, wrzasnął na niego po niemiecku w sposób niepozostawiający żadnych wątpliwości co do tego, kim był, i jednocześnie podstawił mu pod nos swoją legitymację służbową Sturmbannführera SS.

Z głębi mieszkania dobiegała muzyka z gramofonu. Major pojawił się w przedpokoju, odprawił przestraszonego posterunkowego i chłodnym gestem zaprosił Weissa do środka. Ten przeprosił za najście.

Był po cywilnemu, a major miał na sobie bordową bonzurkę. Obaj czuli się niezręcznie, w swoich niecodziennych rolach, ale Weiss był na leciutkim rauszu i bardziej rozmowny.

– Czyżbym słyszał dzieło mojego wielkiego rodaka, Wolfganga Amadeusza? – zagaił, wskazując w stronę, skąd dobiegała muzyka.

– Ma pan absolutną rację. W wykonaniu Berliner Philharmoniker – przytaknął major. – Furtwaengler dyryguje...

– Furtwaengler „obdarzony bożą łaską” – Weiss delikatnie sparodiował sposób mówienia führera, a major lekko się uśmiechnął.

Weiss uznał pierwsze lody za przełamane.

W saloniku komendanta panował przyjemny półmrok. Uwertura dobiegła końca. Major z nabożeństwem zdjął płytę z gramofonu, zaaplikował nieproszonemu gościowi końską dawkę koniaku i schował się na powrót w swojej skorupie, a Weiss, sącząc trunek, zaczął go od nowa obłaskawiać.

– Jeszcze raz dziękuję, że pan major zgodził się ze mną porozmawiać – zaczął, ale ten miał znowu nieprzystępną minę, więc szybko dodał: – Wiem, wiem, co pan myśli. Sam się zaprosiłem, a panu nie wypada... ba, nie może pan mi

odmówić rozmowy. Zdaję sobie sprawę z niezręczności sytuacji. Ale spróbujmy porozmawiać jak policjant z policjantem.

Major, wyprostowany w swoim fotelu, splótł dłonie.

Weiss odstawił ciężki kryształowy kieliszek.

– Jak koledzy, dobrze?...

– Zamieniam się w słuch.

Weiss ściszył głos, ale i tak strzelił z grubej rury.

– Wiem, kto zamordował Reszczyńskiego!

Tej rewelacji major się nie spodziewał i stracił nieco kontenans. Jeżeli Weiss wie, to dlaczego przychodzi z tym do niego? Czyżby zrobił to któryś z jego renegatów w granatowym mundurze? Tylko spokojnie...

– My też mamy kogoś na oku – powiedział, nie do końca zgodnie z prawdą. A na pytające spojrzenie Weissa wyjaśnił. – Wiemy, na przykład, że Reszczyńskiego zamordowała bolszewicka banda.

Weiss przytaknął.

– Wspominał pan już o tym. A konkretnie kto?

Konkretnie major nie mógł powiedzieć, zmienił więc nieco temat:

– Musi pan wiedzieć, że pułkownik Reszczyński miał na pieńku z komunistami. Służąc przed wojną w Krakowie, dał rozkaz strzelania do robotników.

– O ile mi wiadomo, uczynił to na polecenie wojewody...

Teraz major sięgnął po swój koniak.

– Widzę, że jest pan świetnie przygotowany.

– Dziękuję. Przebywałem po prostu wówczas w Krakowie. Ale tym historycznym tropem daleko nie zajdziemy. Czasy się zmieniły.

Weiss przysunął się nieco bliżej ze swoim fotelem:

– Panie majorze, proszę pana o pomoc. Schwytajmy razem zabójcę komendanta. Chyba panu na tym zależy, prawda?

– Oczywiście, ale skoro pan już wie, kto nim jest, to na co mogę się jeszcze przydać?

– Powiem panu po następnej kolejce, dobrze? – Weiss uśmiechnął się po szelmowsku i skinął w stronę butelki z girlandą gwiazdek.

Majorowi ulżyło. Austriak chyba jednak blefował. Napełnił kieliszki. Koniak był piekielnie drogi, francuski, a Weiss był koneserem markowych trunków. Długo delektował się następnym łykiem.

– Jak pan wie, zeznania świadków i dowody rzeczowe były niewiele warte... – powiedział w końcu.

– Zgadzam się.

– Moja hipoteza nie była zatem oparta na klasycznym materiale dowodowym, a raczej na poszlakach. Niemniej uważam... jestem przekonany – poprawił się Weiss – że udało mi się w bardzo wysokim stopniu prawdopodobieństwa ustalić, kim był zabójca...

„Nie wiedzieliśmy o żadnej Jałcie”

POCZĄTEK GRUDNIA JEST ZIMNY, ale suchy. Jadąc na rowerze do pracy Polem Mokotowskim, zastanawiam się:

A gdyby tak którykolwiek z zamachowców na Reszczyńskiego lub bliskich im towarzyszy przeżył do dziś, to co miałyby do powiedzenia?

Przede wszystkim interesowałoby mnie, dlaczego walczyli po stronie komunistów? Dlaczego wstąpili do konspiracji moskiewskiej proveniencji? Dlaczego wybrali Gwardię Ludową? Ale skąd wziąć w 2015 roku żywego gwardzistę? Wbrew temu, co wmawiała nam przez niemal pół wieku komunistyczna propaganda, komunistyczne podziemie było bardzo nieliczne w porównaniu z AK. Ta dysproporcja oraz fizjologia sprawiają, że w 2015 roku pozostaje ich przy życiu znacznie mniej niż wiekowych akowców. Niespodziewanie odzywa się do mnie pani Krystyna Gutowska, do której napisałem dwa miesiące wcześniej z prośbą o kontakt z jej ojcem, profesorem Lechem Kobylińskim, jednym z ostatnich żyjących żołnierzy „Czwartaków”, batalionu Armii Ludowej. Kiedy już z grupy Bartosza nikt nie pozostał przy życiu, to oni byli grupą szturmową Gwardii, a potem Armii Ludowej. Choć to niewiarygodne, to po siedemdziesięciu latach od tamtych czasów profesor jest nadal bardzo aktywny. Wciąż pracuje na Politechnice Gdańskiej, w stworzonej przez siebie „szkole kapitanów” w Iławie.

O tej szkole słyszałem jeszcze od mojego dziadka filozofa, który był również pisarzem-marynistą. Gdy byłem dzieckiem, fascynowały mnie zdjęcia dorosłych mężczyzn pływających po jeziorze modelami wielkich zbiornikowców – kapitanów uczących się tanim kosztem trudnych manewrów.

Za pierwszym razem, kiedy do niego dzwonię, profesor jest właśnie w „szkole kapitanów” w Iławie, ale za drugim zastaję go w domu i długo rozmawiamy o tym, jak i dlaczego znalazł się w szeregach komunistycznego podziemia:

– Mam już dziewięćdziesiąt trzy lata... Hedda, ten pseudonim czy nazwisko, to gdzieś tam dźwięczy w głowie... Myśmy [oddział „Czwartaków GL – przyp. aut.] niezupełnie „zastąpili” specgrupę sztabu GL. Myśmy powstałi prawie z niczego, to znaczy z jakiejś małej zupełnie grupy kilku chłopców i dziewcząt, głównie z Żoliborza. Ja może okazyjnie znałem się z jednym albo dwoma ludźmi, którzy przeprowadzali jakieś szkolenia. Nazwiska poznałem dopiero po wojnie. „Czwartacy” powstałi w zupełnie inny sposób, taki oddolny. Tam było coś w komunikatach o Heddzie Bartoszek. Tak, to nazwisko mi się kojarzy, ale ponieważ ja po wojnie nie byłem w Warszawie, byłem w Gdańsku, to nie miałem kontaktu z tymi ludźmi... Nie byłem komunistą, w tym sensie, że nie należałem do PPR-u. Z „Czwartaków” nikt nie należał... no, może ktoś tam. Dlatego, że to zaczęło się od zetwuemowskiej grupy bojowej. Teoretycznie ta grupa bojowa podlegała dowództwu Gwardii Ludowej, dopóki ona istniała. Ale ten kontakt był niezwykle słaby. Może ze względu na konspirację? Ja utrzymywałem kontakt z dowództwem ZWM, to znaczy, że miałem jeden kontakt z Jankiem Krasickim, który miał te kontakty, ale on zginął w parę tygodni po tym, jak tam dołączyłem.

Nasza niezaplanowana wcześniej rozmowa z profesorem trwa bite dwie godziny.

– Ja wiem, co ja robiłem i co robili moi najbliżsi koledzy, i jak to wyglądało. Myśmy byli oczywiście formacją lewicową, której zasadniczą ideą – to znaczy Związku Walki Młodych i tego oddziału, którym dowodziłem, czyli „Czwartaków” – było walczyć z okupantem. Natomiast myśmy nie chcieli powrotu, że tak powiem, władzy sanacyjnej i na tym to polegało. Kto to mógł przewidzieć [że Polska na pięćdziesiąt lat znajdzie się pod dominacją ZSRR – przyp. aut.]? Jak zbliżało się powstanie, to w naszym gronie zastanawialiśmy się, jak należy się zachować, i nikt nie przewidywał tego, co się w rzeczywistości wydarzyło. Przewidywaliśmy, że front przejdzie. A co będzie potem – tego przecież nikt nie wiedział. Jaki będzie rząd, jakie będą koleje poszczególnych formacji. Nikt nie wiedział o żadnych układach w Jałcie. To nie było znane.

Ul. Miodowa

TAMTEGO WIECZORA major wielokrotnie dolewał nieproszonemu gościowi koniaku. Ale musiał przyznać, że nawet tak sownie podlewany wywód inspektora był całkiem trzeźwy i przekonujący. W swoim rozumowaniu Weiss wychodził od pozornie nieistotnego faktu, że prowodyr zamachu przy Krasińskiego konsekwentnie udawał z początku Niemca. Dopiero kiedy pojął, że domowniczkę go nie rozumieją, okazał się rdzennym Polakiem, i to, jak to ujęła pani starsza, „chyba dobrze wychowanym”. To prawda, że nie mówiąc po niemiecku, rodzina komendanta nie była w stanie ocenić akcentu bandyty. Ale sąsiadka, która podsłuchiwała pod drzwiami, ręczyła swoją głową, że komendanta aresztowało Gestapo.

– A sąsiadka jest rodowitą Niemką z Berlina, panie majorze. Nie mogła się mylić.

Major pił o połowę mniej od Weissa, ale jego policzki też się zaróżowiły i coraz bardziej wciągał się w opowieść.

– Chyba nie podejrzewa pan, że prowodyr był Niemcem?

– Raczej Polakiem z ziem zamieszkiwanych przez etnicznych Niemców...

– ...Śląsk, Wielkopolska, Pomorze?

– *Genau!* – przytaknął inspektor, przechodząc mimochodem na niemiecki i w tym języku już kontynuował:

– Ale proszę mi powiedzieć, czyż napastnik udawałby Niemca, gdyby nie czuł się w tej roli pewnie? Gdyby jej z powodzeniem nie odgrywał wcześniej?

W tym momencie major uznał wywód za zbyt skomplikowany. Obawiał się, że dalsza konsumpcja koniaku bez przekąski może się okazać zgubna dla nich obu. Po kawalersku, bez ceregieli, kazał zastawić mały stolik specjałami z konfiskaty, a Weiss, z pieczoną gęsią nogą w ręku, kontynuował swój wywód:

– Ta moda na podszywanie się pod niemieckich oficerów to wśród tutejszych bandytów coś nowego, ale zdarza się coraz częściej. Czy wie pan, że bombę

w restauracji Mitropy podłożył mężczyzna wyglądający i brzmiący jak rodowity Niemiec?

Major nie wiedział tego, bo śledztwo prowadziło Gestapo.

– Tak, panie majorze. Jeden z rannych w zamachu funkcjonariuszy rozmawiał z nim i podał Gestapo przed śmiercią jego dokładny rysopis! Potem, po niespełna miesiącu, mamy napad na Wytwórnę Papierów. Jeden z bandytów znowu udaje niemieckiego oficera, i to bardzo dobrze udaje, chociaż, jak pan może słyszał, rabusie odeszli z kwitkiem, bo nie dostali się do skarbca. Przed tymi dwoma wypadkami, jeszcze na jesieni, bandyci zrabowali milion złotych z Kasy Oszczędności, niedaleko od pańskiej komendy. Proszę sobie wyobrazić, że dozorcę budynku uwięził wówczas bandyta po cywilnemu, mówiący tak wybornie po niemiecku, że ten wziął go za oficera Gestapo. A dozorca był Ślązakiem!

Major z pełnymi ustami tylko przytakiwał, a inspektor, pomijając całkowicie postać „wąskonosego” i wkład Kowalskiego w jego prywatne śledztwo, przeszedł do puenty:

– Panie majorze, otóż rysopis w tych trzech sprawach pasuje w całej rozciągłości do rysopisu herszta bandy z Krasińskiego: wiek około lat trzydziestu pięciu, wysoki, blond czupryna, wystające kości policzkowe, dumnie się noszący. Można by rzec – artysta. Zresztą, jest artystą malarzem...

Tu Weissowi od gadania zaschło w gardle. Przepłukał usta koniakiem...

– Artystą? – zaciekawiał się major.

– Artysta malarz i zabójca w jednej osobie, wyobraża pan sobie? Przecież to bez precedensu! – entuzjazmował się trochę już podchmielony Weiss.

W oparach koniaku majorowi zaświtało co prawda w głowie, że w historii Polski właśnie był precedens, bo przecież to nie kto inny, jak wybitny historyk sztuki zastrzelił pierwszego prezydenta Polski, ale nie chciał mieszać Austriakowi w głowie, więc powiedział tylko:

– Brawo inspektorze! Świetna dedukcja!

– Dziękuję, panie komendancie. – Weiss odłożył pozostałość gęsiej nogi i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

– Zawsze chciałem być policjantem, a pan, panie majorze? – zapytał, oblizując palce z tłuszczu.

– Ja? Muzykiem. Zawsze chciałem zostać muzykiem.

– A ja właśnie policjantem. A jeszcze lepiej prywatnym detektywem z amerykańskiego filmu, takim jak Sam Spade! Zna pan jego filmy? Albo Philip Marlowe, zna pan Philipa Marlowe’a? Nie? Musi pan koniecznie przeczytać. Pożyczę panu książkę. Jak tam u pana z angielskim?

Rozgadał się – pomyślał major. – Koniak nie poszedł na marne. Im więcej gada, tym mniej zadaje pytań.

Usiadł przy fortepianie i od niechcienia trącił palcami klawisze...

– Niestety, nie czytam po angielsku – powiedział na głos.

– A szkoda! Ja opanowałem angielski podczas wymiany policyjnej pomiędzy Wiedniem a Chicago. O, takim gliną zawsze chciałem być, twardym irlandzkim sukinsynem znad jeziora Michigan.

– To by tłumaczyło, dlaczego zawsze ma pan przy sobie... – Major z uśmiechem wskazał na notes, który Weiss odłożył na stoliku. – Jak detektyw z amerykańskiego filmu!

– To fakt – westchnął Weiss. – Niestety, moim marzeniem kres położyła spotkana podczas wystawy światowej nad tymże jeziorem pani hrabina Weiss... Czy pan wie, że jestem mężem polskiej hrabiny?

– Coś mi się obilo o uszy... – Major zagrał kilka pierwszych taktów etiudy Szopena.

Ale Weiss był głuchy na muzykę

– Zamieszkaliśmy w Krakowie – kontynuował. – No a Kraków to nie Chicago. Pani hrabinie zaczęło się okropnie nudzić i przypawiła mi rogi z pewnym Żydem. Nie, żebym miał coś osobiście przeciwko Żydom, pan rozumie, ale zdrada... Jako człowiek honoru natychmiast wystąpiłem o separację i powróciłem do Wiednia, bo dokąd miałem powrócić? A czy pan wie, czym był Wiedeń w trzydziestym siódmym?

No to spił się na amen – pomyślał major. – I co ja z nim teraz pocznę? Ale właśnie, kiedy tak pomyślał, to Weiss z pełnym kieliszkiem w ręku, nie roniąc ani kropli, powędrował bezceremonialnie na kanapę. Pojawiała się szansa na to, że na niej zaśnie i że tak się zakończy ta niespodziewana wizyta.

Weiss w istocie ułożył się wygodnie i kontynuował wątek:

– A tu ostatnio pani hrabina znowu raczy korzystać z mojego nazwiska i z mojej protekcji oczywiście. I tylko pomyśleć, że ja przez nią musiałem wstąpić do NSDAP!

To już wyglądało na ostatnie stadium upojenia. Major zamyślał zagrać gościowi kołysankę, ale Weiss mylnie zinterpretował pierwsze takty i zaczął nucić „Horst Wessel Lied”, strasznie fałszując. Major skinął na gosposię, żeby zaczęła sprzątać po kolacji. Na jej widok Weiss zatrzymał się w pół taktu, uniósł na łokciu i oświadczył wszem i wobec.

– Złapiemy sukinsyna, *Herr Kommandant*. Zanim go dorwie Gestapo. Złapiemy i zakatrupimy. Tak jest, *Fraulein!* Pan major i ja! Pokażemy im, co to znaczy podnieść rękę na uczciwego glinę!

Po tych heroicznym słowach Weiss osunął się miękko na kanapę i natychmiast zapadł w głęboki sen.

Dniało już, kiedy Kowalski zajechał pod dom majora na Miodowej służbowym oplem Weissa. Strażnik wyszedł z budki, a dźwięk silnika obudził gospodarza, który w płaszczu narzuconym na szlafrok dogonił inspektora, wsiadającego już do samochodu.

– Przepraszam, panie inspektorze, nie słyzałem, kiedy pan wstał!

– To ja przepraszam, że tak długo zabawiłem. – Weiss wziął go pod rękę i poprowadził kilka kroków od samochodu. – To, o czym panu mówiłem... – zaczął konfidencjonalnym tonem.

– Niczego nie słyzałem, nic sobie nie przypominam. A gosposia nie mówi po niemiecku.

– Gosposia? – zmarszczył brwi Weiss. – To zabawne, bo ja z kolei nie przypominam sobie żadnej gosposi. Ale pamiętam dokładnie, co panu zaproponowałem, i pozostaję przy swojej propozycji.

Major otworzył szeroko oczy ze zdumienia i rozejrzył się, czy nikt ich nie słyzy.

– Pan nie mówi serio.

– Jak najbardziej serio. Zakatrupimy sukinsyna. Proszę to przemyśleć. – Patrząc majorowi głęboko w oczy, Weiss uściskał mu rękę na pożegnanie i skierował się ponownie w stronę samochodu.

– Dlaczego panu tak na tym zależy? – krzyknął za nim major.

Kowalski otworzył przed szefem drzwiczki limuzyny. Ten zatrzymał się i przez chwilę zastanawiał nad wyborem słów.

Major podszedł bliżej.

– Przyczyny osobiste – powiedział wreszcie, po czym wsiał do samochodu.

Kowalski zamknął za nim drzwiczki.

Weiss podniósł rękę na pożegnanie, ale major nie patrzył na niego. Jego uwaga skupiona była na Kowalskim, który unikając jego wzroku, obszedł limuzynę dookoła i siadł za kierownicą. Po chwili opel ruszył w stronę Krakowskiego Przedmieścia.

Generał Rowecki pisze do Naczelnego Wodza

JAK BY NA TO NIE PATRZEĆ, w marcu 1943 roku rząd polski wciąż utrzymuje stosunki dyplomatyczne z ZSRR. Moskwa pozostaje, technicznie rzecz biorąc, aliantem, a Policja Polska w Generalnym Gubernatorstwie jest, technicznie rzecz biorąc, formacją kolaboracyjną. Są to, rzecz jasna, uproszczenia, tak jak to, że Gwardia Ludowa jest jedynie ślepym narzędziem sowieckiej ekspansji na tyłach frontu wschodniego. Niemniej morderstwo Reszczyńskiego zbiega się w czasie z interesującymi „zalotami” PPR do Armii Krajowej.

Tuż przed 5 marca Gomułka zasiada do rozmów z Delegatem Rządu na Kraj, który zostaje niemal natychmiast potem aresztowany przez Gestapo. Niełatwe rozmowy są jednak kontynuowane z jego następcą, ale załamują się wkrótce – już po śmierci Reszczyńskiego. Jak wynika z jego szyfrogramu do Sikorskiego w marcu 1943, dowódca AK, generał Rowecki ani przez chwilę nie ma żadnych iluzji co do prawdziwych intencji PPR-u: „Równocześnie ze staraniem wpływania na polskie masy PPR podjęła próbę zalegalizowania się w opinii polskiej jako polska organizacja niepodległościowa, przodująca bojowością. Ułatwiłoby to legalizację w odbudowanym państwie podjęcia współpracy z ZSRR w razie wkroczenia wojsk rosyjskich do Polski. PPR zaproponowali Wernicowi rozmowę na temat współpracy przede wszystkim na odcinku bojowym. Na jego propozycję mojego udziału wyraziłem zgodę pod warunkiem, że treść rozmów na odcinku politycznym najpierw wyjaśnić i spowodować oficjalną deklarację PPR odnośnie:

1. że PPR nie jest obcą agenturą, a jest niezależną całkowicie od Kominternu polską partią komunistyczną.
2. że PPR staje do walki o wolną, a niepodległą Polskę w granicach co najmniej z 1939 roku, w tym granice nasze wschodnie – jak przed 1. IX. 1939.

3. że PPR uznaje jako właściwy i legalny Rząd Polski w Londynie i jego przedstawicieli cywilnych i wojskowych w Kraju, i że dyrektywom oraz zarządzeniom tych organów podporządkowuje się całkowicie.
4. że ad pkt. 1–3, deklaruje oraz da wyraz temu w swojej prasie.

Wówczas dopiero, gdyby odpowiedź na wyżej wymienione punkty wypadła pozytywnie, zgodziłbym się omówić sprawę współpracy wojskowej i ewentualnie dowództwo nad Gwardią Ludową, oczywiście z zachowaniem odpowiednich ostrożności”.

Ul. Chocimska

WEISS, CO BYŁO W NAJWYŻSZYM STOPNIU NIETYPOWE, choć był to dzień powszedni, nie udał się z Miodowej do biura, tylko kazał Kowalskiemu zawieźć się do domu.

Jechali w milczeniu. To, że major dziwnie się przyglądał jego kierowcy, nie umknęło uwadze Weissa. Obserwował go przez jakiś czas, aż, gdzieś w okolicy placu Trzech Krzyży, zapytał wprost:

– Znacie się?

Na to nagłe pytanie Kowalski nie odpowiedział ani zbyt pośpiesznie, ani też się za długo nie ociągał, ale i tak odpowiedź była wymijająca.

– Któż nie słyszał o Francu, panie inspektorze!

– Tak na niego mówią?

Kowalski pokiwał głową.

Byli już w Alejach.

Weiss nie dawał za wygraną. Bawiła go zabawa w kotka i myszkę ze starym wygą Kowalskim.

– Służyliście pod nim?

Kierowca jakby czekał na to pytanie. Odetchnął głęboko i pokręcił głową.

– Naturalnie, że nie, panie inspektorze. Major przyszedł na miejsce komendanta Kozińskiego.

– Reszczyńskiego... Macie na myśli Reszczyńskiego...

– Nie! Kozińskiego, panie inspektorze.

Jak to? – pomyślał Weiss. Stracił nieco grunt pod nogami. Nigdy nie słyszał o żadnym Kozińskim.

Dotarli na miejsce. Ale Kowalski, zamiast wysiąść i otworzyć mu drzwi, postanowił wyedukować szefa. Odwrócił się ku niemu z przedniego siedzenia.

– To było co prawda tylko na parę tygodni, ale major był komendantem przed Reszczyńskim, a po...

– ...Koziołowskim! – dokończył szybko Weiss, przekręcając nazwisko.

– ...Kozielewskim. A Kozielewski był komendantem od lat – powiedział dobitnie i dopiero wtedy wysiadł otworzyć Weissowi drzwiczki.

Dozorca wyjrzał z bramy i ukłonił się inspektorowi, który zamiast wychodzić o tej porze do pracy, właśnie przyjechał do domu. Ten zatrzymał się ze swym kierowcą przy wejściu. Kręcił z niedowierzaniem głową.

– Dlaczego Szulc mi o nim nie wspomniał? Gdzie jest teraz ten Kozielewski? Kowalski zrobił zafrasowaną minę.

– Trudno powiedzieć, panie inspektorze. Ale skoro pan uważa, że to istotne, to postaram się dyskretnie czegoś dowiedzieć.

„PPR w walce”

ZIMĄ 1944 ROKU, towarzysz Wiesław, czyli Władysław Gomułka, którego jedynym dyplomem były papiery czeladnika ślusarskiego, występuje w roli wykładowcy. Wykłada w nowo utworzonej Centralnej Szkole PPR w Lublinie. Nie wiadomo, czy zbliżający się do czterdziestki Gomułka już wtedy wymawiał słowo „towarzysze” w ów charakterystyczny nosowy sposób, niemiłosiernie przeciągając przedostatnią samogłoskę – „towarzyyyyyysze”, czy też rozwinął ten znak rozpoznawczy swoich tasiemcowych wystąpień w późniejszych latach, w każdym razie wykład jest długi – dziesięć tysięcy słów. Temat: „PPR w walce o niepodległość Polski”. Rola PPR była według wykładowcy przewodnia. Mniej więcej w połowie wykładu pada wzmianka o Reszczyńskim:

„Osobny rozdział – to walka, jaką prowadziła Gwardia Ludowa przeciwko zdrajcom narodu, którzy przeszli na służbę okupanta – mówi Gomułka. – Tym zdrajcom przeważnie zawdzięcza okupant swoje trafne nieraz ciosy, zadawane ruchowi wyzwolenicznemu i walce narodu polskiego. Gwardia Ludowa w imieniu narodu surowo karała takich zdrajców. Z jej rąk zginęło w okresie sprawozdawczym 328 szpiclów wysługujących się okupantowi. Do słynnych wyczynów Gwardii Ludowej należy likwidacja nadkomisarza policji granatowej pułkownika Reszczyńskiego w Warszawie. Gwardziści zrobili nad nim sąd w jego własnym mieszkaniu i wydali na niego wyrok śmierci. Zlikwidowanie jeszcze szeregu innych granatowych zdrajców – dygnitarzy policyjnych – miało taki skutek, że policja granatowa stała się mniej wierną niemieckim oprawcom”.

Kanon partyjnej interpretacji morderstwa na pułkowniku Reszczyńskim: „wykonanie wyroku na zdrajcy narodu”, zostaje w ten sposób ustalony na całe dziesięciolecie.

Gomułka wymienia zamordowanego komendanta z nazwiska. Dobrze zna sprawę, bo w momencie zabójstwa należał wszakże do trójki kierowniczej PPR, z I sekretarzem Finderem i z szefem sztabu GL, Józwiakiem. Jest nie do

pomyślenia, aby do zamachu specgrupy sztabu na komendanta warszawskiej policji doszło bez polecenia lub co najmniej aprobaty ze strony kierowniczej trójki. Tym samym wiele wskazuje na to, że Gomułka osobiście maczał palce w decyzji o zabójstwie Reszczyńskiego.

Ul. Pierackiego

KIEDY „FRYGA” REZOLUTNIE KROCZYŁA ULICĄ, mężczyźni bezwiednie odwracali za nią głowy. *Przyciąga uwagę* – pomyślał „Marek” obserwujący ją zza szyby kawiarni po drugiej stronie ulicy. Z punktu widzenia konspiracji było to niepożądane. Ale jednocześnie musiał przyznać, że ponieważ była w tej swojej urodzie bardzo pewna siebie, to nie wzbudzała podejrzeń. Była cennym nabytkiem, a do tego inspiracją i podporą swojego nadspodziewanie walecznego męża.

„Fryga” wkroczyła do kawiarni i znowu wszyscy obecni tam mężczyźni, jak na komendę, obrócili ku niej głowy. Żadnemu z nich przez myśl by nie przeszło, że przywiodła ją tutaj sprawa życia i śmierci, że ta ślicznotka z wielkimi sarnimi oczyma przed godziną otrzymała, od nieznanego sobie łączniczki, zaszyfrowaną wiadomość alarmową, wzywającą ją do pilnego stawienia się na spotkanie z szefem wywiadu Gwardii.

Zamówili herbatę i okupacyjne ciastko.

Szczęśliwiec z tego „Jacka” – pomyślał „Marek”. Z bliska wyglądała jeszcze atrakcyjniej. Widać było po niej fantazję i artystyczne zacięcie. Szykowny kostium i fantazyjna apaszka spięta drogą broszką. „Marek” miał oko na piękne przedmioty i od razu domyślił się jej pochodzenia. Zabawne, że odważyła się ją przypiąć na to spotkanie. A może nie domyślała się jej pochodzenia? Ale gdyby nawet się domyślała, to czy zawahałaby się ją nosić? Chyba nie. Taka już była „Fryga”. Jej pseudonim pasował do niej jak ulał.

Świadomi spojrzeń znad sąsiednich stolików, patrzyli na siebie jak rozanielona para zakochanych, ale to, co mówił do niej „Marek”, nie mogło być odleglejsze od miłosnych wyznań.

- „Jacek” musi zniknąć. Ty też powinnaś.
- Nie mogę zostawić rodziców.
- Musisz, dla ich bezpieczeństwa. A „Jacek” niech przyjdzie do mnie.

– To znaczy?

– On zna adres...

„Fryga” przytaknęła. Bez trudu zachowywała zewnętrzny spokój i randkową pozę. Wypiła łyk herbaty i nie patrząc na „Marka”, zapytała półgłosem:

– Kto wpadł?

– „Hanka”, „Wiktor” i „Zawisza”...

Z każdym pseudonimem jej serce waliło coraz mocniej.

– „Wiktor” gdzieś tutaj mieszkał!

– Ale to było na Starym Mieście. „Zawisza” zginął w boju... – kontynuował „Marek” – ...„Wiktor” ranili, znaleźli u niego jakiś dokument w skarpecie. Podejrzewam, że przed śmiercią „Hanka” i on byli torturowani...

„Fryga” westchnęła głęboko.

– Na pewno ich nie złamali – uspokoił ją.

– „Wiktor”... – wyszeptała. – „Jacek” będzie załamany.

„Marka” uderzyły jej słowa. Jeszcze raz uświadomił sobie, jaka była twarda. Jej twarz nawet nie drgnęła na wieść o wpadce. Obchodziło ją jedynie to, jak przeżyje śmierć swojego dowódcy jej wrażliwy mąż.

– Wiem, wiem... Ledwie się pozbierał po tamtym – „Marek” mimo woli spojrział na jej broszkę – a tu coś takiego.

Od razu pożałował swoich słów. „Fryga” gwałtownie wycofała dłoń i przeszła go zimnym spojrzeniem.

– O czym ty mówisz. Nie miał się po czym pozbierać!

– Oboje wiemy, że to była trudna akcja.

– Nie była trudna i wykonał ją sumiennie.

– Pierwsza likwidacja nigdy nie jest łatwa.

– On wiele zniesie. Jest twardy.

W tym momencie ulicą za szybą kawiarni, od prawej do lewej, przebiegać zaczęli ludzie. Najpierw pojedynczo, a potem grupkami. Potem zaczęli biegać w panice, w tę i z powrotem. Rozległy się krzyki.

– Łapanka!

W kawiarni też wybuchła panika; przewracając stoliki, ludzie rzucili się do wyjścia. Przeciskali się na oślep w owczym pędzie prosto w środek zasadzki. „Marek” miał precyzyjnie rozpracowane szlaki ucieczki z każdego punktu kontaktowego. Złapał „Frygę” za rękę i pociągnął ją pod prąd, w kierunku zaplecza. Kuchennym wyjściem wydostali się na podwórze i do oficyny, a stamtąd – przez tył jakiegoś sklepu – do kolejnej bramy i podwórzami na Smolną. Tam byli bezpieczni i tam się rozstali.

Zbieg okoliczności?

ŻADEN Z HISTORYKÓW, Z KTÓRYMI ROZMAWIAM, nie chce zabójstwa Reszczyńskiego łączyć w żaden sposób z rozpoczynającymi się tuż przed nim – fałszywymi, jak się okazało – zalotami PPR do Delegatury Rządu, a tym bardziej z następującym tuż po zabójstwie ich zerwaniem. Z historycznego więc punktu widzenia mam jako autor związane ręce.

Ale nie mogę się powstrzymać przed stwierdzeniem, że jakkolwiek śmierć Reszczyńskiego nie wydaje się mieć bezpośredniego związku z załamaniem się kontaktów pomiędzy PPR i Delegaturą, to nie sposób tego tła zlekceważyć. Najprościej ujmując: na przełomie lutego i marca 1943 roku członek rządzącego PPR-em triumwiratu – Gomułka, i dowódca specgrupy sztabu jej ramienia zbrojnego – Strzeszewski, pertraktują z Delegaturą, a zastępca Strzeszewskiego przygotowuje i przeprowadza zamach na komendanta policji w Warszawie...

Zanim powrócę do tego wątku, chciałbym przytoczyć przyczynek archiwalny do naszej wiedzy o „stanie ducha” PPR-u w momencie zabójstwa Reszczyńskiego. Z pierwszego marca 1943, pochodzi deklaracja programowa partii „O co walczymy”, o następującej, wiele mówiącej preambule: „Milowymi krokami zbliżamy się do zwycięstwa. Pod potężnymi ciosami Armii Czerwonej łamie się potęga hitlerowska. Wspaniałe zwycięstwa Związku Radzieckiego przyśpieszają ostateczną klęskę krwawego reżymu hitlerowskiego. Stalingrad, Rostów, Kursk, Charków – to kamienie milowe na drodze do wyzwolenia spod jarzma faszystowskiego.

Rozszerza się i wzmacnia zbrojna nasza walka z najeźdźcą. Rośnie i cementuje się wspólny front całego narodu, przygotowującego ogólnonarodowe powstanie, by wypędzić rozbestwionego okupanta hitlerowskiego i wyzwolić wolną i niepodległą Polskę”[3].

W punkcie trzecim deklaracji mówiącym o uwolnieniu obywateli polskich z więzień i obozów i o repatriacji wywiezionych, padają znamienne zdania

o doraźnym „ukaraniu katów hitlerowskich i zdrajców narodu” i o postawieniu przed specjalnym Trybunałem Ludowym „winowajców klęski wrześniowej [rząd Śmigłego, Becka – przyp. aut.]”.

Trzeba powiedzieć, że jakiegokolwiek by nie były prawdziwe motywy zabójstwa przy Krasińskiego 4, to w zadziwiająco precyzyjny sposób „realizowało” ono dezyderaty, tylko co wysłanego do Moskwy dokumentu programowego PPR. Reszczyński był w oczach swoich katów zdrajcą i częścią reżimu odpowiedzialnego za klęskę wrześniową.

Nawiasem mówiąc, wyrażona w cytowanym tu dokumencie euforia i niecierpliwość PPR, niemogącej się wręcz doczekać „nowej ery w życiu narodu: ery wolności i dobrobytu”, były tak niepohamowane, że wywołały zakłopotanie w Kominternie. W nadesłanych z Moskwy uwagach delikatnie zwrócono nawet polskim „gorącym głowom” uwagę, że jeden z proponowanych przez nich punktów „jest prawie jak cytat z Konstytucji ZSRR”.

Ul. Marszałkowska 138

W SOBOTY W SZULERNI MISIEWICZA PANOWAŁ NAJWIĘKSZY RUCH, a im bliżej było ostatecznej likwidacji getta, tym był większy, bo tym więcej załatwiano tam szemranych i coraz bardziej desperackich interesów. Trunki łały się szerokim strumieniem. Właściciele zmieniali pod stołami paszporty, kosztowności, złoto i brylanty. A jednocześnie w oparach papierosowego dymu kwitł zwykły hazard: poker, ruletka, a ze szlachetniejszych gier – brydż na niebotyczne stawki.

Szulc przychodził tu w cywilu, a Kurtz i jeszcze paru innych gestapowców w mundurach. Przychodzili tu też granatowi, a za życia nawet Reszczyński, który był w jakiś sposób skoligacony z właścicielem i grywał tu czasami w sobotnie wieczory w brydża. Ale to już była historia. Szulca znacznie bardziej zajmowała teraz przyszłość. Interesy toczyły się coraz wolniej, bo getto dogorywało, ale za to stawki były coraz wyższe. Chociaż w okrojonym getcie ludzi i pieniędzy było coraz mniej, to wciąż trafiały do niego rodziny desperacko pragnące ratować bliskich. Szulc załatwiał wtedy wykup z rąk Gestapo, a Kowalski był kurierem: złoto, dolary i kosztowności w jedną stronę – ludzie w drugą. Im głębiej w paszczy maszyny śmierci znajdował się już delikwent, tym operacja była trudniejsza, tym większy okup gotowi byli wysupłać zrozpaczeni bliscy i tym większa część doli przypadała Niemcom. Szulc jednak nie narzekał, a interes wciąż się kręcił między innymi dlatego, że skrupulatnie oliwił jego tryby. Sowiecie wynagradzał swojego człowieka w getcie, a Kurtzowi i jego kompanom nie tylko odstępował lwią część zysku, ale jeszcze do tego robił im drogie upominki, a nawet regularnie dawał się ogrywać w karty. W tym właśnie celu opanowali wraz z Kowalskim ulubionego przez gestapowców skata, nie perfekcyjnie, ale na tyle dobrze, żeby móc z nimi dyskretnie, acz wysoko przegrywać.

Kurtz namiętnie grał w karty i albo nie widział, albo nie chciał widzieć, jak Szulc i Kowalski mu się podkładają. Ani łapówki, ani drogie prezenty nie dawały mu tego poczucia triumfu, co stosunkowo niewielkie sumy wygrywane w szulerni na Marszałkowskiej. Tasowanie, rozdawanie, rozwijanie kart w wachlarzyk, licytacja, szwarce i sznajdery, i wreszcie rzucanie kart z zacięciem na zielone sukno – Kurtz uwielbiał każdy detal tego rytuału. A kiedy było już po wszystkim, z lubością zapisywał po każdej rozgrywce zdobyte punkty. Bazgrał przy tym jak kura pazurem, a później przy podsumowaniu i rozliczaniu zawsze się mylił, zazwyczaj na swoją korzyść.

Właśnie teraz wpisywał sobie 120 punktów po kolejnej rozgrywce. Robił to tak energicznie i niechlujnie, że liczby mogły być odczytane i jako 170 punktów, i jako 220, tylko nie 120...

Nieco już podchmielony Szulc żartobliwie skomentował te kulfony, a Kurtz z grobową miną przytaknął.

– My, oficerowie śledczy Gestapo, jesteśmy jak lekarze! Naszymi zręcznymi dłońmi dokonujemy wielu cudów, ale schludne pismo odręczne do nich nie należy!

Drugi gestapowiec i Kowalski zarechotali, a Szulc ochoczo się do nich przyłączywszy, rozdał karty do następnej rozgrywki, w której, jako rozdający, sam nie brał udziału.

– Pan Sturmbannführer żartuje, a mój szef traktuje te sprawy ze śmiertelną powagą – rzucił, rozdawszy karty.

– Jakie sprawy? – zdawkowo zapytał Kurtz, usiłując się skupić na licytacji.

– Charakter pisma! Zadysponował analizę grafologiczną notatki pozostawionej na miejscu zbrodni, na Weichelstrasse.

– Grafologia! Brednie mistyka Klagesa! – rzucił kompan Kurtza, ale ten, nie odrywając oczu od stolika, pokręcił głową:

– Klagesa i Pulvera wykładają na akademii policyjnej w Berlinie, drogi kolego...

– Nie w tym rzecz, panowie, tylko w tym, co uczony profesor grafolog wywnioskował z trzech słów! – powiedział Szulc, po czym wyjął z kieszeni wynik analizy i zaczął go czytać na głos z komiczną emfazą:

– „Uwagę zwracają różnej wielkości litery, pochylone na różne strony. Skala tych różnic i wychyleń wskazuje na głęboką traumę przeżywaną przez piszącego!”

Gestapowcy, nie zważając na niego, zaczęli nową rozgrywkę. Szulcowi zaś od wygłupiania się zaschło w gardle. Skinął na Jędrka, który pomagał ojczymowi w szulerni.

– Chłopcze, bądź tak dobry i nalej nam wszystkim po koniaku.

Gestapowcy grali szybko, z fasonem rzucając karty na zielony stolik. Kurtzowi udało się uszczknąć co nieco z zadeklarowanej przez przeciwnika wygranej i z uśmiechem wznosił toast zamówionym przez Szulca trunkiem.

– *Prosit!*

Szulc wypił i z braku zainteresowania ze strony Kurtza ponownie zaczął czytać raport, tym razem Kowalskiemu, który posłusznie przytakiwał przy każdym słowie:

– „Chociaż napisane one były w stanie najwyższego pobudzenia, to styl poszczególnych liter sugeruje osobowość wrażliwą i twórczą”. Co za brednie! – żołądkował się.

Kurtz z rozmachem wpisywał właśnie kolejne zdobyte punkty w odpowiednią rubrykę.

– A może, panie Sturmbannführer, powinniśmy poddać podobnej analizie próbkę pańskiego pisma? Kto wie, czego byśmy się dowiedzieli? – zasugerował żartobliwie Szulc, zaglądając mu przez ramię.

Kurtz wcale nie uważał tego pomysłu za całkowicie pozbawiony sensu. Odłożył kartkę z wynikami i zakręcił wieczne pióro.

– Mój drogi Szulc... Muszę pana rozczarować. Bo ja, tak jak pański szef, również jestem zwolennikiem grafologii...

– Nie wierzę – wykrztusił zdumiony kripowiec.

– Jak najbardziej – potwierdził Kurtz z poważną miną. Wziął od Szulca raport grafologa i przebiegł go wzrokiem:

– Nie ma w tym nic śmiesznego. „Detale, takie jak kształt, zmienna grubość kreski i sposób domknięcia liter wskazują na szczególne zdolności manualne piszącego!” Jako oficer śledczy może pan wiele wywnioskować z takiej analizy – powiedział, oddając kartkę Szulcowi. – Wyłania się z niej wyraźnie sylwetka nietypowa dla pospolitego przestępcy. Typ ideowca. Trafiony, moim zdaniem, w dziesiątkę. A skąd o tym wiem? Bo ten „kaligraf”, o którym mowa, ta „osobowość wrażliwa i twórcza”, skonał w męczarniach w mojej obecności nie dalej jak tydzień temu...

„Nie wyszedłbym bez niego. To był cud, wie pan”

W PAŹDZIERNIKU 2015 ROKU trafiam na wywiad Tomasza Kursa z „Gazety Wyborczej” z żołnierzem powstania warszawskiego i Legionu Cudzoziemskiego, panem Zygmuntem Jatczakiem, uratowanym przez Aleksandra Reszczyńskiego z obozu koncentracyjnego. Do kolegi z „Gazety” docieram w grudniu. Uprzejmie dzieli się on ze mną telefonem do pana Zygmunta.

– Ojciec służył w policji przed wojną, w dwunastce na Daniłowiczowskiej – mówi pan Zygmunt. – Był przodownikiem policji. Jak wrócił z niewoli austriackiej od razu wstąpił do milicji polskiej i służył aż do śmierci. Zmarł w trzydziestym szóstym roku, po Bożym Narodzeniu. Ja przed wojną poszedłem do gimnazjum. Od czterdziestego trzeciego roku byłem w konspiracji, zostałem aresztowany i trafiłem na Pawiak, a potem od razu do Majdanka. Ale zawsze wierzyłem, że wyjdę z tego. Takie przeczucie miałem. I tak było. Któregoś dnia przyjechało Gestapo na plac, na trzecie pole. Ono istnieje do dzisiaj. I na trzecim polu – tam był śnieg – ustawili sobie gestapowcy stół i krzesła i zaczęli wyczytywać nazwiska. Ale akurat była zupa i ja poszedłem na tę zupę, i słyszę moje nazwisko... Podeszedłem do tego stolika, a on: imię, nazwisko, kim ojciec był? A ja, że policjantem. „Do tyłu!” – krzyknął. Z tyłu był pusty barak. Po Żydach. Tam było dwóch chłopaków i jeden gestapowiec. Ale po mnie już nikogo nie wyczytali, a ten gestapowiec powiedział: „Wychodźcie na wolność, tylko pamiętajcie, coście tu widzieli, żebyście nikomu nie powiedzieli, bo jak tu wrócicie, to już nie wyjdziecie”. Zawołał kapo i kazał nas odprowadzić do szlabanu. Esesman, chyba ukraiński, podniósł szlaban i: droga wolna do Lublina. Jednego z tych kolegów matka wykupiła z Gestapo i przyjechała po niego z tą urzędniczką, i razem z nimi wróciłem do Warszawy. Mama opowiedziała mi, że od razu poszła na komendę, na Nowy Świat, do pana Reszczyńskiego. A on powiedział: „Pani Jatczakowa, niech się pani nie martwi, niech pani idzie do

domu. Pani syn wróci”. Wyszedłem, to pół człowieka było. Zawszony. Rozchorowałem się. Dopiero po wojnie się dowiedziałem, że zginął. Słyszałem opinie, że kolaborował z Niemcami, ale wie pan, trudno coś powiedzieć. Z tymi policjantami polskimi to ja wiele razy wyszedłem z tarapatów. Kiedyś mnie patrol niemiecki zatrzymał, bo przeszedłem na czerwonym świetle. Ci Niemcy zawołali policjanta polskiego, ja mu powiedziałem, że tata był też policjantem. „A jak się nazywał?” A ja mówię, tak i tak. „Znałem” – mówi – „tatę.” Coś tam pogrzebał w papierach, dopóki się ci Niemcy patrzyli, a potem puścił do domu. To był cud, wie pan. Reszczyński gdzieś miał wejście na Gestapo, przecież policja współpracowała z Niemcami. Nie wiem, jak się poznali. Wiem tylko, że znał tatę. Nie wyszedłbym bez niego, bo już nas szykowali do Oświęcimia.

Al. Szucha

„NAJOSTRZEJSZA WALKA Z ROZWYDRZENIEM SZEREGOWYCH jest konieczna, dochodzi bowiem do tego, że policjant szantażuje swego kolegę policjanta, aby wymusić na nim łapówkę, pokazując przygotowany nań raport pisemny o rzekomym znajdowaniu się na ulicy w stanie nietrzeźwym i dając do zrozumienia, że »o ile kolega nie pozna się na rzeczy i sprawy nie załatwi«, to raport ten będzie władzom przełożonym złożony, Ponieważ szantażowany nie poznał się na rzeczy, raport taki istotnie wpłynął do Komendy Miasta. Inni policjanci schwytali pewnego człowieka z przemyconym towarem, Okazało się, był to również policjant w cywilnym ubraniu. Pomimo że schwytany odwołał się do nich jak do kolegów, wymusili na nim 50 złotych łapówki za puszczenie go wolno. Przykłady te wskazują na zastraszające rozmiary demoralizacji, z którą musimy rozpocząć konsekwentnie prowadzoną walkę[4]”.

Weiss zamknął brulion, ogolił się, ubrał i poszedł piechotą na Szucha. Zjawił się w komendzie niezapowiedziany, a Kurtz spieszył się, jak zwykle na niecierpiącą zwłoki akcję, ale zgodził się poświęcić swemu ustosunkowanemu koledze z Kripo parę chwil. Poprosił tylko, by ten zreferował mu sprawę w drodze do samochodu.

Na dźwięk nazwiska komendanta Kozielowskiego zatrzymał się w pół kroku.

– Mam nadzieję, że pańskie pytanie nie ma nic wspólnego z aktami, które mi przekazałem, bo ten Kozielowski to zupełnie fałszywy trop.

– Ależ naturalnie. Chodzi o całkiem inną sprawę – skłamał Weiss. – Komendant Kozielowski był w Oświęcimiu, w pierwszym transporcie z Warszawy...

– Ach tak? Służyłem jeszcze wtedy na Wschodzie...

Weiss ledwie nadązał za gestapowcem w dół granitowych schodów.

– Nie o to chodzi, Sturmbannführer. On wyszedł z obozu i wrócił do Warszawy...

Kurtz przystanął.

– Wykupili go.

– Jasne! – powiedział zniecierpliwiony już Weiss. – Ale o to też mi nie chodzi.

– A więc o co?

Kurtz znów ruszył schodami w dół.

– Po powrocie do Warszawy zameldował się u władz, ale sprawdziłem, nie przebywa pod podanym adresem.

– To znaczy, że nie jest w ciemną bity!

– Też tak uważam – wysyczał przez zaciśnięte zęby krańcowo rozdrażniony nonszalancją gestapowca Weiss. – Musiałby być zupełnym idiotą, aby po Oświęcimiu potulnie siedzieć w domu i czekać, kiedy go tam znowu wyślemy. Chodzi mi o to, gdzie naprawdę przebywa. Chyba to wiecie?

Kurtz wszedł do czekającego nań samochodu.

– Rzecz jasna, że wiemy. Trzeba było mówić, że chodzi panu o taki drobiazg, drogi panie kolego. Polecę mojemu sekretarzowi uzyskać dla pana te informacje.

Schutzmannschaften

„PUŁKOWNIK POLICJI GRANATOWEJ, KOMENDANT POLICJI POLSKIEJ M. WARSZAWY:

Wywiad AK meldował w lipcu 1943, iż w/w jako Komendant Policji Polskiej w Warszawie aktywnie współpracował z okupantem przy tworzeniu specjalnej jednostki policyjnej »Schutzmannschaft Batalion 202«, wyznaczając przymusowo jej kandydatów[5]”.

Hanka przez całe życie walczy o oczyszczenie dobrego imienia ojca. Pod okupacją sam fakt jego zabójstwa przez podziemie automatycznie skłania mniej wnikliwych do wyводу, że był zdrajcą, a skutki takiego uproszczonego myślenia Hanka odczuwa na własnej skórze. To oskarżenie jak mantrę powtarza od swego zarania tzw. władza ludowa, a Hanka dopiero na emigracji jest w stanie podjąć rękawicę. W połowie lat siedemdziesiątych odnosi pierwszy sukces w swej walce – byli dowódcy AK zaświadczenia o współpracy jej ojca z podziemiem. Dalej już jest różnie. Pół wieku komunistycznej propagandy robi swoje, a potem wybucha wolność. Reszczyński zaczyna być przez niektórych gloryfikowany, tak jak był wcześniej przez innych mieszany z błotem. A Hance przecież nie o to chodzi, by go stawiać na piedestale, tylko by oddać mu sprawiedliwość.

Po wybuchu wolności wybucha Internet. Każda prawda i każda kalumnia rozprzestrzenia się w wirtualnej przestrzeni z elektronową prędkością. Reagowanie na oszczerstwa zaczyna przypominać walkę z wiatrakami, a czas zaciera fakty. Prasa drukowana w coraz większym stopniu polega na informacjach z Internetu – prawda miesza się z fikcją. W jej tropienie i niełatwą walkę z nią zaangażowana jest cała rodzina. Czasem już nam samym, rodzinie, wszystko zaczyna się mieszać. Już w XXI wieku Marek – syn Hanki z pierwszego małżeństwa – przysyła matce ze Stanów polski tygodnik

z niepochlebną wzmianką o swym dziadku. Chodzi o niemiecki rozkaz formowania tzw. Schutzmannschaften, który miał on jakoby skrupulatnie wykonywać w maju 1943 roku. Hanka jak lwica rzuca się do boju – przecież w maju 1943 roku jej ojciec już nie żył! Robi się z tego niezłe zamieszanie. Redaktor naczelny „Polityki” i autor przepraszają ją listownie i w druku.

Tymczasem wszystko wskazuje na to, że rozkaz niemiecki w tej sprawie Policja Polska w Generalnym Gubernatorstwie otrzymała w maju 1942 roku. Ojciec Hanka nie miał więc innego wyjścia, jak rozkaz wykonać. Takie były realia jego służby.

Może, stwierdzając tę gorzką prawdę, nie wykazuję się takim taktem co naczelny „Polityki” – ale fakty mówią same za siebie.

Ul. Felińskiego 9

„MAREK” MIESZKAŁ NA FELIŃSKIEGO, o kwadrans spacerkiem od domu komendanta. Zbliżała się już godzina policyjna, a „Jacka” jak nie było, tak nie było. Zaczynał się już niepokoić. Dwaj towarzysze z „techniki” zakończyli właśnie swoją niebezpieczną robotę, pożegnali się i chyłkiem wymknęli z budynku. „Marek” ostrożnie umieścił przygotowane przez nich ładunki wybuchowe w skrytce pod podłogą, a granaty zaczepne – używane z braku laku jako prowizoryczne zapalniki – w skrytce w korytarzu. Co prawda mieszkanie należące na papierze do Niemca było dobrze zakonspirowane, ale gdyby jednak doszło do wpadki, to wtedy będą pod ręką.

Wpadka nie musiała wcale oznaczać nagłego najścia przez Gestapo. Równie dobrze do drzwi zapukać mogli sami. Minione półrocze usłane było trupami towarzyszy – nasłanych jedni na drugich – zastrzelonych strzałami w plecy lub podsuniętych na żer Niemcom. Ta ostatnia metoda miała tę wadę, że wbrew obiegowym legendom tortury wytrzymywali jedynie nieliczni, była więc bardziej odpowiednia do walki z „sikorszczakami” niż do oczyszczania własnych szeregów.

„Stary”, „Długi”, „Anton”, „Wiktor”, „Teodor”... lista często bratobójczych ofiar była coraz dłuższa. W niektórych sprawach „Marek” maczał palce, na niektóre nie miał wpływu. Na wszelki wypadek drzwi trzymał zawsze potrójnie zaryglowane, a teraz miał jeszcze te granaty w przedpokoju. Na wszelki wypadek.

Osobiście nie zamierzał zginać śmiercią bohatera, tylko żyć długo i szczęśliwie, najlepiej jako budowniczy nowej Warszawy, modelowej socjalistycznej stolicy, z szerokimi alejami i dumnymi drapaczami chmur. Tymczasem na Felińskiego nie miał nawet rajzbretu, za to po kątach stały wciąż blejtramy „Jacka”, który niedawno dopiero się stąd wyprowadził na „swoje”, wraz z większością malarskiego dobytku. „Jacek”, który od początku wojny nie

miał pędzla w ręku, cierpiał nawet bardziej niż on z tęsknoty za przedwojennym życiem, za swoją sztuką. Ale mówił, że teraz się nie da, a swoją zawziętością w walce zadziwiał nawet zahartowanych w boju weteranów z Hiszpanii, chociaż tak na dobrą sprawę ani on, ani jego nieodłączny druh „Tadek” nie byli stworzeni do żołnierki.

Grubo po godzinie policyjnej rozległo się pukanie do drzwi. „Marek” wziął do ręki rewolwer. Usłyszał umówiony szyfr. Przez judasza ujrzał niemiecki mundur i bez zastanowienia odryglował wszystkie zamki.

Postawny mężczyzna w mundurze i stojący obok niego cywil zastygli w zaskoczonych pozach.

– Co to za głupie kawały? – „Marek” ponaglił ich, żeby szybciej wchodzili.

Ten w niemieckim mundurze wszedł prosto do pokoju i zwał się jak kłoda na kozetkę.

– To był jego pomysł z tym mundurem – powiedział „Tadek”, zdejmując płaszcz w przedpokoju.

– Domyślam się.

– „Fryga” też uważała, że to będzie świetny kawał.

Już po chwili ten na kozetce chrapał w najlepsze, a „Marek” z „Tadkiem” przeszli do kuchni. Zamknęli drzwi. Ujrawszy jego twarz w świetle żyrandola, „Marek” pokręcił głową z dezaprobatą:

– Ty też się nie powinieneś pokazywać na mieście z tym żółtym dziobem. Ani sam, ani tym bardziej z nim.

– „Fryga” mnie poprosiła. Nie mogła go wyciągnąć z mieszkania. Sam by nie przyszedł. Od dwóch tygodni leżał jak kłoda...

„Marek” poczęstował go papierosem.

– Powiedz mi, co się tam dokładnie stało?

– Gdzie? Na Krasińskiego? Nic.

– I to „nic” zajęło wam całą noc? A gdyby sąsiedzi wezwali patrol?

– „Jacek” się uparł sąd robić.

– Przez dziesięć godzin?

„Tadek” wyrzwał do pokoju, gdzie „Jacek” wciąż chrapał w najlepsze. Zamknął drzwi, obszedł kuchnię dookoła i oparł się plecami o ścianę naprzeciwko „Marka”. Zaciągnął się papierosem.

– No dobra, było ciężko... – wydusił z siebie wreszcie.

– Aha... – „Marek” usiadł przy stole, a „Tadek” zaczął znowu krząć wkoło.

– Pułkownik płakał...

– Co ty? Pułkownik się mazgał?

– Nie, no co ty? Nie szlochał, tylko łzy mu tak leciały po policzkach. Chyba z napięcia...

– Aha!
– No i... „Jackowi” też...
– Chcesz mi powiedzieć, że Jacek płakał podczas akcji?
– Nie płakał! – „Tadek” usiadł naprzeciwko „Marka” i przyłożył palce obu rąk do policzków. – Nie płakał, tylko mu oczy łzawiły tak jakoś...

„Marek” od razu wiedział, że likwidacja to może być za dużo dla „Jacka”. Ale decyzja należała wówczas do „Wiktora”, a właściwie do szefa sztabu, „Witolda”...

Wyciągnął rękę nad pokrytym ceratą w kratę stołem i poklepał „Tadka” po ramieniu.

– Ale rozkaz wykonał? – zapytał.

„Tadek” przytaknął z oczyma wbitymi w blat.

„Marek” przyjrzał mu się uważnie.

– On wykonał, tak?

– Tak – potwierdził „Tadek”, wciąż unikając jego spojrzenia.

– „Jacek” zastrzelił pułkownika? – wycedził „Marek”, próbując się upewnić.

– A jak napisał w raporcie?

– Zwariowałeś? Miał w raporcie napisać, że to on go zlikwidował?

– „Marek”, nie męcz mnie. Lepiej powiedz, coś ty się do nas tak przyczepił? Rozkaz wykonany, mało ci?

„Marek” chwilowo odpuścił i wyszedł z kuchni, zostawiając go samego i wściekłego. „Tadek” już miał na końcu języka pytanie, dlaczego właściwie przed paroma minutami tamten wpuścił do kryjówki bez żadnych ceregieli umundurowanego Niemca. Czyżby się Niemca spodziewał? Ale szefa informacji Gwardii – a zwłaszcza tego szefa informacji – lepiej i bezpieczniej o takie rzeczy nie pytać...

Marek stanął w półmroku nad śpiącym snem sprawiedliwych „Jackiem”. Potrząsnął nim lekko.

– Daj mu spokój, niech się chłop wyśpi – powiedział cicho zza jego pleców „Tadek”. – Dwa tygodnie oka nie mógł zmrużyć, a tu proszę! Przeszedł się, łyknął świeżego powietrza i śpi jak niemowlę!

– Niech się wyśpi – zgodził się „Marek”. – Jak się obudzi, to mu powiemy.

– O czym?

„Marek” wskazał leżącego obiema rękoma:

– O tym, że jest nowym dowódcą specgrupy Sztabu Gwardii imienia Ludwika Waryńskiego. Na miejsce towarzysza „Wiktora”!

„Tadek” pokręcił głową z dezaprobatą.

– W jego stanie? To szaleństwo – wyszeptał.

„Marek” odwrócił się do niego i zmierzył go spojrzeniem:

– Nie, towarzyszu. To mądra i słuszna decyzja komitetu centralnego.

„Las ludzki”

DO ZADAŃ SPECJALNYCH W MIEŚCIE GL potrzebowała innego rodzaju partyzantki, partyzantki miejskiej, takiej, która umiała walczyć w miejskim, „ludzkim lesie” – pisze w swoich wspomnieniach Marian Spychalski.

Przyszli członkowie specgrupy spotkali się po raz pierwszy u jej pierwszego dowódcy, Jana Strzeszewskiego, przy ulicy Foksal 15, w połowie września 1942 roku. Był wśród nich Franciszek Bartoszek – „Jacek”.

Nawet pisząc oględnie, Spychalski nie pozostawia żadnych wątpliwości co do przeznaczenia oddziału: „Ustalono na owym zebraniu bezpośrednią podległość grupy specjalnej Sztabowi Głównemu GL. Zadaniem grupy miało być organizowanie i wykonanie specjalnie ważnych akcji bojowych o dużym znaczeniu politycznym wraz z możliwościami doraźnej mobilizacji gwardzistów z Warszawy. Kolejnym zadaniem tworzonego oddziału była ochrona Komitetu Centralnego PPR i Sztabu Głównego GL”.

Przyjęcie przez grupę imienia Ludwika Waryńskiego – wspomina Spychalski – było pomysłem Bartoszka.

Ul. Chocimska

„OKOLICZNOŚĆ, ŻE POLICJANCI NIE SĄ DOSTATECZNIE ZAOPATRZENI i umundurowani, nie może usprawiedliwić ich beczynności, którą widzi się na każdym kroku. Zachowanie się i postępowanie policjantów wywołuje oburzenie. Zwłaszcza w miejscach publicznych, na ulicach jest dowodem bezprzykładnego rozprężenia. Na posterunkach reprezentacyjnych toczą się rozmowy, palą papierosy, trzymają ręce w kieszeniach, noszą szaliki, odwracają się tyłem do terenu. Odwracają się tyłem do terenu obserwacji służbowej. Komendant plutonu prowadzi w komisariacie gawędy z grupą podwładnych policjantów, między którymi znajduje się i ten, który winien pełnić służbę przy zatrzymanych w areszcie”[6].

Weiss uśmiechnął się sam do siebie. Wyobraził sobie komendanta w ten jego zasadniczy sposób wygłaszającego te uwagi do swoich podwładnych. Te notatki czytał już teraz dla relaksu, bo najbardziej go interesujący fragment rozszyfrował już do końca i przepisał na czysto do własnego notesu kieszonkowego.

Brzmiał on następująco:

„Miałem dziś spotkanie z J.W. w wiadomej sprawie... Po raz pierwszy z nim spotkałem twarzą w twarz od Krakowa i czasów, do których żaden z nas, każdy z innych przyczyn, wracać nie chciał. Był bardzo pomocnym, ale nie mogę jego uczynności nadużywać, między innymi ze względu na jego pozycję”.

Początkowo Weiss był na siebie wściekły, że dopiero w trzy tygodnie od znalezienia zapisków udało mu się odczytać słowa, które odnosiły się bezpośrednio do ich spotkania. Pomimo to, że bazgroły komendanta były niemal nieczytelne, a ludzi o inicjałach „J.W” było w Warszawie na pęczki, Weiss poczuł się realnie zagrożony. Istotnie wszak okazywał komendantowi wszelką możliwą pomoc, bo ten – jeszcze z Krakowa – wszystko o nim wiedział. Wszystko... Ale skąd miał Weiss wiedzieć, na jakie jeszcze wspominki naszło komendanta, kiedy

siedząc w swoim pokoiku na Krasińskiego, pisał o dawnych czasach? A jeżeli zdradził coś jeszcze, na kartkach wyrwanych z brulionu przez zabójców?

Za każdym razem, kiedy sobie o tym przypominał, na nowo ogarniały go obawy. Tym razem jednak Weiss heroicznie postanowił pójść do łóżka na trzeźwo, skutkiem czego przez całą noc nie zmrużył oka.

Około czwartej nad ranem, w porze, na którą przypada najczęściej zawałów serca, o mało nie umarł ze strachu. Na jawie dotarło do niego, że to przecież wcale nie zabójcy musieli wyrwać kartkę z brulionu komendanta...

W Weissa jakby piorun trafił. Usiadł w łóżku zdyszany i zlany zimnym potem. *Szulc!* – pomyślał z przerażeniem. Przecież gdy on przesłuchiwał matkę, córkę i wnuczkę w kuchni na Krasińskiego, Szulc buszował po mieszkaniu.

A jeżeli to ten szubrawiec poznał jego tajemnicę?

Weiss wstał, ogolił się, wziął pod rękę brulion w marmurkowej okładce i podszedł ciemnymi jeszcze ulicami prosto do biura.

„Pan komendant z paniami w rowie”

– ZOBACZ, HANIU, ZNALAZŁEM JESZCZE TAKI WYCINEK NA TEMAT TWOJEGO OJCA.

– To zaczekaj, ja założę okulary.

– To może ja ci po prostu przeczytam?

– O, właśnie!

„Fatalna przygoda dwóch wyższych oficerów policji. Smutnie zakończona majówka.

Wielkie wrażenie w Drohobyczu i Truskawcu wzbudziła katastrofa samochodowa, która spotkała dwóch wysokich dygnitarzy policyjnych ze Lwowa i na szczęście zakończyła się bez ofiar, jedynie maszyna uległa poważnemu uszkodzeniu. Oto onegdaj komendant P.P. Lwów-miasto p. Reszczyński oraz zastępca komendanta p. Apczyński w towarzystwie pań wybrali się na »majówkę« do Truskawca autem policyjnym należącym do komendy miasta. Na drodze między Stryjem a Drohobyczem, w tym dniu silnie obsadzonej przez furmanki chłopskie, z nieznanym na razie powodów auto przewróciło się i spadło do rowu. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności wszyscy pasażerowie wyszli bez szwanku, natomiast auto uległo bardzo poważnemu uszkodzeniu. Przez całe dwa dni auto naprawiano, gdyż było niezdatne zupełnie do użytku. Dopiero wczoraj rano obaj dygnitarze wraz ze swym towarzystwem odjechali do Lwowa”.

– Coś podobnego! Nic o tym nigdy nie słyszałam.

– Miałaś wtedy zaledwie roczek.

– No tak...

– Wątpię, żeby ten wypadek był jedyną przyczyną tego, co się stało później, ale mniej więcej w tym samym czasie twój ojciec został odwołany ze Lwowa i rozpoczął tę trzyletnią „kwarantannę” na ostatnich placówkach.

– W Tłumaczu, w Stanisławowie....

– Właśnie. Miał we Lwowie konflikt z władzami. Chociaż prasa pisała, że wykazywał „brak taktu w stosunku do społeczeństwa i zwierzchnich władz”, a także miał zatargi z prasą właśnie. Coś w tym jest, bo odnoszę wrażenie, że konsekwentnie dobrze pisała o nim tylko popularna gazeta Żydów lwowskich. Nazywała się „Chwila”. Chyba nawet wiem dlaczego...

Ul. Koszykowa

CHOĆ BYŁO DOPIERO WPÓŁ DO SZÓSTEJ RANO, to ku zdumieniu Weissa jego służbowy samochód stał już pod komendą na rogu Alej i Koszykowej. Zaskoczony kierowca na jego widok trzasnął obcasami. Weiss sprawdził starego u Kurtza i wiedział już, że przed wojną był on sierżantem w policji politycznej.

– Spocznij. Co tak wcześnie?

– Inspektor Szulc od piątej już w biurze, panie inspektorze. Podobno roboty moc. Ale ja widzę, że z pana inspektora też ranny ptaszek... – zmienił temat kierowca.

Weiss pokiwał głową.

– A Kozińskiego już znaleźliście? – zapytał nagle.

– Jak Boga kocham, właśnie miałem panu inspektorowi powiedzieć...

– Zamieniam się w słuch!

Kowalski przełknął ślinę i ścisząc głos, jakby przekazywał niesłyszana sensację, powiedział:

– Po wypisze z obozu zameldował się zgodnie z przepisami na Szucha, podał adres zamieszkania...

– ...ale go pod tym adresem nie ma! – dokończył za niego Weiss.

– To pan inspektor wie? – udał zaskoczenie Kowalski.

– „Pan inspektor wie” – przedrzeźnił go Weiss. – Mówią, że wyjechał do Krakowa.

– No właśnie – przytaknął kierowca. – Trzeba będzie szukać w Krakowie!

Weiss nie od dzisiaj podejrzewał, że podtykając mu pod nos osobę byłego komendanta, kierowca chce skierować jego śledztwo na manowce. Nie przychodziło mu tylko do głowy dlaczego. A może knuli przeciwko niemu razem z Szulcem?

– No cóż. Będę musiał udać się do Krakowa – powiedział, kierując się w stronę komendy.

Oczywiście niczego podobnego nie planował.

W biurze Szulc – pomimo wczesnej pory – urzędował, aż się kurzyło. Przybywając tak wcześnie w Aleje, szef pomieszał mu szyki. Likwidacja getta wchodziła w ostateczną fazę i jego interes, czyli mówiąc wprost – handel Żydami, kwitł. Niedługo nie będzie Żydów i nie będzie interesu, więc Szulc kuł żelazo póki gorące. Na widok Weissa przypomniał sobie nagle, że musi wyjść w pilnej sprawie...

– A dokąd to? – Weiss zastąpił mu drogę, demonstracyjnie trzymając przed sobą brulion w marmurkowej oprawie.

Szulcowi nawet powieka nie drgnęła na jego widok.

– Do getta – westchnął ciężko. – Służba Porządkowa zameldowała o zabójstwie handlarza z aryjskiej strony.

Kłamie jak najęty – pomyślał Weiss, ale głośno powiedział tylko:

– Aha, rozumiem... Zanim pan pójdzie... – Wskazał mu krzesło w poczekalni i sam przysiadł po drugiej stronie małego stolika.

Szulc przycupnął, jak ktoś, komu bardzo się spieszy.

Bacznie go obserwując, Weiss powoli położył brulion na stoliku pomiędzy nimi, tuż obok karafki z wodą.

Dalej nic. Szulc spoglądał nieobecny wzrokiem na Weissa, na brulion i – z nieco większą uwagą – na zegarek. Kręcił się przy tym, jak ktoś, komu właśnie ucieka pociąg.

Uspokoił tym nieco Weissa. Możliwe, że nawet nie tknął brulionu na Krasińskiego. Może go nawet wówczas nie zauważył. Nigdy nie był uzdolnionym śledczym... *Fałszywy alarm* – zdecydował w myślach Weiss, a na głos powiedział pierwsze, co mu przyszło do głowy:

– Chciałbym prosić, żeby miał pan oko na naszego majora, dobrze?

Szulc nie mógł uwierzyć własnym uszom.

Więc po to była cała ta ceremonia?

Pokiwał głową.

– Tak jest, panie inspektorze. Na majorze, czyli na Franzu... bo tak go nazywają – wyjaśnił, wstając z miejsca. – Wielu jego podwładnych policjantów w ogóle nie uważa go za Polaka. Kawaler Żelaznego Krzyża z poprzedniej wojny, służbista w pruskim stylu... No i do tego jeszcze ten jego wytrawny niemiecki...

– No to niech pan trzyma oko na Franzu...

– Tylko że to strata czasu – powiedział Szulc, dryfując w stronę drzwi. – Bo ten Franz... on rzeczywiście jest w głębi duszy Niemcem. On nawet myśli po niemiecku. A przy tym jest czysty jak łąza.

Słuchając go cierpliwie, Weiss nalał sobie pełną szklankę wody z karafki.

– Źle się wyraziłem, panie Szulc. Pan go nie ma inwigilować. Pan się ma upewnić, że jego też nie zlikwidują. Major jest poza wszelkim podejrzeniami, to chyba oczywiste?

– Ach, rozumiem! Tak jest, Sturmbannführer! A teraz na mnie już czas. – Szulc stuknął obcasami i wyszedł.

Weiss odstawił szklankę i podążył za nim.

– Czekał pan. Jadę z panem!

Tego tylko Szulcowi brakowało.

Drugi, trzeci i czwarty zamachowiec

WŚRÓD ZAMACHOWCÓW Z ULICY KRASIŃSKIEGO bezsprzecznie znajdował się Franciszek Bartoszek, a Zygmunt Bobowski najprawdopodobniej. Najprawdopodobniej, bo jego nazwisko nie pada w żadnych relacjach, ale po pierwsze: jako nierozłączny towarzysz Bartoszka Bobowski asekurował go w zdecydowanej większości akcji, więc można przypuszczać, że „nie przepuścił” i tej, o tak wysokim prestiżu, i to „u siebie”, na Żoliborzu. Po drugie, kiedy jej pokazałem zdjęcie Bobowskiego, Hanka Reszczyńska stwierdziła, że to najprawdopodobniej był on. Nie zgadzał się jej tylko jego „przedwojenny” wąs. Natomiast charakterystyczny nos mężczyzny na zdjęciu nie pozostawił u niej żadnych wątpliwości. Można zapytać, na ile wiarygodna jest taka identyfikacja po siedemdziesięciu latach? Ale zanim dotarłem do zdjęcia Bobowskiego, pokazałem Hance kilku innych „dżentelmenów” z opasłego tomu „Walka” (PPR). We wszystkich tych przypadkach jej reakcja była negatywna, ale w przypadku Bobowskiego nie. Trzeba ponadto pamiętać, że Bobowskiego widziała nie tylko na Krasińskiego, ale także w świetle dnia na Mokotowie, gdzie ją wysłedził, ukrywającą się z matką u ciotki. Zakładam więc, że zidentyfikowała go na tym zdjęciu, pomimo upływu lat, poprawnie. Ale istnieje jeszcze jedna poszlaka, wskazująca na Bobowskiego.

Dzieje jego przyjaźni z Bartoszką wskazują, że jako posiadający bardzo silną motywację ideową, doświadczenie odsiadki w sanacyjnym więzieniu i relegacji z uczelni, prawdopodobnie miał on, jak to się dzisiaj mówi – radykalizujący wpływ na przyjaciela. Jeżeli więc nawet nie był na Krasińskiego ciałem – w co należy wątpić – to co najmniej duchem był razem ze swoim towarzyszem.

W zachowanych relacjach na temat zamachu padają jeszcze dwa nazwiska: Romana Łączyńskiego i Tadeusza Szalka, którzy mieli przeprowadzić wywiad przed akcją. Czy przeprowadzenie wywiadu oznaczało także udział w samej

akcji? Zdrowy rozsądek podpowiada, że wywiadowcy, orientując się już w terenie, powinni byli wziąć w niej udział. Gdyby tak było, to razem z Bartoszkim i Bobowskim miałbym więc już nazwiska czwórki zamachowców.

Kim byli Łączyński i Szalek? O tym drugim, prawdopodobnie spokrewnionym z Janem Szalkiem, pepeerowcem z Woli, który po dziś dzień ma swoją ulicę w Warszawie (stan na maj 2016 – ale sytuacja jest dynamiczna), wiadomo niewiele. Nieco więcej natomiast wiadomo o Łączyńskim, najprawdopodobniej jedynym członku początkowego składu specgrupy im. Waryńskiego, który przeżył wojnę i spisał swoje wspomnienia. Był, jak wynika z tych wspomnień, niezłym zabijaką. Pisze na przykład o tym, jak ni z tego, ni z owego rozbroił policjanta, który mu się „napatoczył” na ulicy Grodzieńskiej i jak został za to skarcony przez dowódcę. Zanim trafił do GL, uciekł z robót w Królewcu. Wziął udział w wielu akcjach w Warszawie, a wczesną jesienią 1943 roku, był jednym z zaledwie dwóch ocalałych po nierównej bitwie oddziału GL z przeważającymi siłami niemieckim pod Kiczkami koło Mińska Mazowieckiego.

Ul. Leszno

W DRODZE DO GETTA SZULC MILCZAŁ. Kombinował, jakby się tu wywinąć od nieoczekiwanego towarzystwa, bo żadnej sprawy o zabójstwo Aryjczyka oczywiście nie było. Weiss obserwował w milczeniu, jak jego podwładny miota się we własnych sidłach, kiedy zauważył, że zamiast w stronę getta jadą na Mokotów.

– Panie Kowalski, co z panem dzisiaj jest? – huknął na kierowcę. – Dokądże pan jedzie? Pan inspektor ma sprawę w getcie!

– O Jezu! Tak jest! – Kowalski zakręcił kierownicą tak gwałtownie, że Szulca aż zarzuciło na jego szefa.

– E... w którym miejscu w getcie? – szofer rozpaczliwie szukał wzroku Szulca we wstecznym lusterku, ale zamiast niego odpowiedział mu Weiss:

– Tam gdzie zawsze, panie Kowalski... Tam, gdzie zawsze...

Weiss pochylił się i oparł o przednie siedzenie.

– À propos. Jednym z zamachowców z ulicy Krasińskiego był artysta malarz o takim charakterystycznym wąskim nosie... – Weiss pociągnął palcami przed swoją twarzą.

Kowalskiemu nie drgnął w twarzy ani jeden mięsień, a Szulc ostentacyjnie patrzył przez okno. Weiss przysunął się bliżej kierowcy.

– Jakiś „Zyg”. Był notorycznym przedwojennym komunistą. Więc pomyślałem... Nie słyszeliście może kiedyś o nim?

– Nigdy, panie inspektorze. Jak Boga kocham.

Kiedy podjechali pod kamienicę po nieparzystej stronie Leszna, Szulc wyskoczył z samochodu jak oparzony i jednym susem znalazł się w bramie. Odwrócił się jeszcze, sprawdzając, czy ktoś go nie zauważył. Rozbawiony tym zachowaniem Weiss pokiwał tylko głową. Poza kilkoma wychudzonymi i zgarbionymi postaciami kręcącymi się w oddali ulica była wyludniona. Witryny

opustoszałych sklepów zabite były deskami, w wielu oknach brakowało szyb, a po bruku wiatr zmiatał odpadki w tę i nazad.

Odprowadzeni wzrokiem przez zafrasowanego kierowcę, inspektorzy zniknęli w sieni. Szerokimi schodami weszli na drugie piętro. Jakiś młokos stał tam przy drzwiach. Na ich widok zapukał umówionym szyfrem i uciekł.

– To ja – krzyknął Szulc przez drzwi.

Po dłuższej chwili trzy ciężkie zamki zazgrzytały jeden po drugim. Mężczyzna o nieżydowskim – jak się Weissowi wydawało – wyglądzie zaprosił ich do środka. Usiedli przy okazałym, obłym stole w dostatnio umeblowanej i obszernej jadalni. Okna zasłonięte były pomimo dziennej pory ciężkimi kotarami, co pomagało zapomnieć o wymarłej ulicy poniżej. Na ścianie wisiała reprodukcja Watteau, na kredensie stały ozdobne talerze z miśnieńskiej porcelany. Nie tak Weiss wyobrażał sobie warunki mieszkaniowe w getcie. W jadalni było tak cicho, że słychać było nie tylko tykanie, ale nawet szmer mechanizmu stojącego w rogu zegara.

Reszczyński i getto

MÓJ OJCIEC OPOWIADAŁ, że w szulerni dziadka Niedźwieckiego, gdzie dobijano najróżniejszych okupacyjnych interesów, gościł co najmniej raz prezes Judenratu Adam Czerniaków, który na namowy, by nabył szwajcarski paszport i ocalił swą skórę, odpowiedzieć miał, że nie może „zostawić swoich ludzi”. Jeżeli nie wpadli na siebie u Niedźwieckiego, to Czerniaków i Aleksander Reszczyński i tak spotkali się kilkakrotnie służbowo. Jedną z tych okazji została uwieczniona na zachowanych po dziś dzień zdjęciach z uroczystości w getcie w listopadzie 1941 roku. Na najwyraźniejszym z nich widzimy od prawej: zastępcę komendanta, majora Franciszka Przymusińskiego (w czapce z dwiema gwiazdkami), komendanta Aleksandra Reszczyńskiego w mundurze z dystynkcjami podpułkownika (w czapce z jedną gwiazdką) oraz prezesa Czerniakowa i dalszych polskich, żydowskich i niemieckich oficjeli.

Jak pisze Czerniaków w dzienniku getta warszawskiego: obchodzono uroczyste rocznicę utworzenia Służby Porządkowej. Komendant Reszczyński przemawiał. Grała orkiestra Służby Porządkowej.

W zaledwie miesiąc po tych uroczystościach pluton egzekucyjny Policji Polskiej dokonuje w getcie egzekucji piętnastu osób złapanych poza gettem. Niemcy początkowo chcieli, by egzekucji dokonali funkcjonariusze Służby Porządkowej. Wygląda jednak na to, że ta na tym etapie była jeszcze w stanie skutecznie odmówić; wezwano więc dwa plutony egzekucyjne Policji Polskiej. Według relacji zachowanych w Archiwum Akt Nowych, pomimo że skazańców odurzono dodaną do porannej kawy skopolaminą, wielu wrywało się i broniło. Wydano amunicję – częściowo ślepą, częściowo ostrą. Policjanci i tak unikali jak mogli celowania do więźniów, których większość stanowiły kobiety[7]. Do pierwszej grupy strzelano dwukrotnie, do drugiej trzykrotnie. Za każdym razem oficer zmuszony był dobijać skazańców strzałem z pistoletu. Komendant

Reszczyński wraz ze swym zastępcą Przymusińskim nadzorowali przebieg egzekucji z ramienia policji.

Pułkownik Reszczyński powiedział do polskich policjantów: „Chłopcy, głowa do góry, trzymajcie się” – czytamy w relacji naocznego świadka.

Czerniaków co najmniej dwukrotnie wspomina Reszczyńskiego – nie komentując w żaden sposób jego postawy – w swoim dzienniku, chociaż pomija jego nazwisko, pisząc o egzekucji w listopadzie 1941 roku.

Ul. Leszno

GOSPODARZ MIESZKANIA NA LESZNIE najwyraźniej nie oczekiwał, że Szulc będzie miał towarzystwo. Siedział naprzeciwko przybyłych jak sparaliżowany, myśląc pewnie, że to już koniec jego procederu, a może i życia?

Szulc ze swej strony nie mógł dłużej zwlekać. Musiał natychmiast coś wymyślić. I wreszcie się odezwał:

– Panie Abrahamie, pan Sturbannführer interesuje się osobą zabitego komendanta policji. Co pan nam może o nim powiedzieć? – zagaił.

Nawet nie udaje, że prowadzi śledztwo w sprawie zabitego w getcie handlarza!
– pomyślał Weiss. Szulc tak dokładnie odwrócił kota ogonem, że jego zwierzchnik był wręcz rozbawiony tą bezczelnością. Rozbawiony i jednocześnie zaintrygowany...

– Pan pułkownik był osobą o nieposzlakowanej opinii – wycedził mężczyzna zwany Abrahamem, nie podnosząc wzroku. Mówił z wyraźnym wiedeńskim akcentem.

– Rozstrzeliwał ludzi w getcie... – zauważył Szulc.

– Tak, tak! Jak najbardziej! – Abraham energicznie przytaknął łysiejącą głową, tak jakby rozstrzeliwanie było najlepszym w świecie świadectwem prawości czyjegoś charakteru.

– Chyba osobiście ich nie rozstrzeliwał? – wtrącił z irytacją w głosie Weiss.

Na znajomy dźwięk jego wiedeńskiej wymowy po obliczu Abrahama przemknął cień rozrzewnienia. Lekko się uśmiechnął.

– Ależ naturalnie, że nie osobiście, panie Sturbannführer. Rozstrzeliwał pluton egzekucyjny policji, ale on był zawsze obecny, razem ze swoim zastępcą. No, ja tak mówię „zawsze”, ale to „zawsze” to były tylko dwa razy.

– Z zastępcą, czyli z majorem? – zaciekał się Weiss.

– Taak... – pokiwał głową Abraham. – Tylko dwa razy, a tylu ludzi rozstrzelali! – zadumał się.

– Czy to prawda, że po tych dwóch razach komendant sprzeciwił się użyciu policji do dalszych egzekucji? – zapytał Weiss, który przeczytał o tym w pamiętniku.

Teraz to Szulc uważnie spojrzął na swojego szefa.

Skąd on nagle zna takie szczegóły? – pomyślał.

Abraham też taksował Weissa spojrzeniem: Sturmbannführer był ewidentnie wiedeńczykiem. Był nieogolony, w cywilu i do tego ziało od niego alkoholem. W sumie zrobił na Abrahamie dobre wrażenie.

– Dlaczego przestali, tego nie wiem! Wiem tylko, że pan komendant to pocieszał tych swoich chłopaków, bo jak oni strzelali, to płakali... Ale oni i tak strzelali. A jak już strzelali, to tak, żeby tylko nie trafić. Ale to głupota była!

Abraham w patetycznym geście uniósł w górę rękę. Na serdecznym palcu prawej ręki miał złoty sygnet, tak wielki, że Weiss zastanawiał się, czy było mu ciężko gestykulować z tym ciężarem.

– To była głupota, bo oficer musiał tych biedaków potem z pistoletu dobijać.

Tu Abraham złapał się za głowę. Na chwilę przeniósł się myślami do tamtego dnia, po czym otrząsnął się i znowu wzniósł w górę obciążoną sygnetem dłoń:

– Ale o tym Reszczyńskim to najwięcej wiedział Szynekman. Bo on z nim służył w policji w Lublinie jeszcze przed wojną. No, ale Szynekmana też już nie ma... Tylko że jego to akurat nasi dopadli!

Weiss zaczął pracowicie notować w swoim kieszonkowym notesie.

Rozmowa z Reszczyńskiego spełzła na Szynekmana, potem na Czerniakowa, a potem na Ringelbauma, aż w końcu naturalnym trybem wygasła.

Na zakończenie Szulc wydobył ze swej przepastnej aktówki kilka angielskich mięsnych konserw i postawił je przed Abrahamem. Kiedy wychodzili, ten powiedział, pieszcząc ich blachę opuszkami palców:

– Mówią, że tego Reszczyńskiego to nie nasi dopadli, ale to i tak ta sama banda. – Machnął ręką. – Szkoda człowieka! Szynekman mi opowiadał, że przed wojną we Lwowie to on Żydów od pogromu ratował.

– Jak to? – Weiss zawrócił od progu.

– A tak to, panie Sturmbannführer, że szła procesja na Boże Ciało, czy jakoś tak... A z żydowskiego gimnazjum na tę procesję gwizdały i się głośno śmiały dziewczęta. Tylko że one się śmiały, bo tam jedna w klasie z krzesła spadła. Ale ta procesja to pomyślała, że to się z nich Żydówki śmieją. I wtedy jak się nie zacznie! Mówił mi Szynekman, że rozruchy na Żydów bite dwa tygodnie trwały. Dopiero ten Reszczyński dochodzenie zrobił i dowiódł, jak to naprawdę było!

– Co pan powie? – Weiss pokiwał głową.

– Tak jest, panie inspektorze. Uczciwy był, nie można powiedzieć. Ale go zamordowali komuniści. I tego drugiego na Żoliborzu to też oni! Partia

robotnicza to się nazywa, ale ja ich przecież dobrze znam, panie inspektorze! Jakie z nich robotniki? Tam same inżynierzy, daktory, artyści, architektury... Architektorów najwięcej! No i rzecz jasna – co drugi nasz! Trzeba na nich bardzo, ale to bardzo uważać – i tu wskazał Szulca, jako tego, który powinien szczególnie uważać.

Szulc wzruszył ramionami. Patrząc przed chwilą, jak Weiss z najwyższą uwagą słuca wywodów Abrahama, poczuł, że kamień spada mu z serca. Jego szef po prostu sfiksował na punkcie morderstwa przy ulicy Krasieńskiego. Poza tą jedną jedyną sprawą miał wszystko gdzieś. Ta jego fascynacja bardzo Szulcowi odpowiadała.

I chociaż właśnie dzisiaj miał mu powiedzieć to, co usłyszał od Kurtza, czyli właśnie o śmierci sprawcy z Krasieńskiego, to postanowił tego nie robić.

Niech sobie dalej prowadzi to swoje śledztwo – pomyślał, kiedy jechali z powrotem w Aleje – przynajmniej nie będzie się wtrącał w nie swoje sprawy.

Tak się jednak złożyło, że to nie inspektor Weiss, a ktoś zupełnie inny wtrącił się w sprawy Szulca: kiedy następnego dnia wybierał się z powrotem na Leszno, aby już bez świadków targować się z Abrahamem o cenę ludzkich dusz, został zastrzelony pod swoim domem na Nabelaka, przez nieznanych sprawców.

Wodzirej z *Popiołu i diamentu* wspomina Reszczyńskiego

JAKO DZIENNIKARZ NAUCZYŁEM SIĘ, że im moi rozmówcy starsi, tym bardziej warto pozostawać z nimi w kontakcie. Nie tylko wymagają tego dobre obyczaje, ale jest z tego i pożytek informacyjny, bo zwłaszcza starszym ludziom wiele przypomina się ponieważ – często dopiero wtedy, gdy audycja prezentowana jest już na antenie lub gdy książka ukazuje się drukiem...

Podlegając tym samym prawom fizjologii, mój własny mózg też mnie coraz częściej zaskakuje wspomnieniami z odległej przeszłości. W ten sposób właśnie mi się przypomniała jeszcze jedna bezpośrednia relacja o moim stryjecznym dziadku.

W czasach mojej młodości, w moim rodzinnym Wrocławiu, w poniemieckiej willi niedaleko siedziby Polskiego Radia, mieszkał ulubieniec wrocławskiej publiczności teatralnej – pan Artur Młodnicki. Cała Polska знаła go w tamtych czasach jako wodzireja poloneza o świcie w *Popiele i diamencie* Wajdy; a ja po prostu chodziłem do ogólniaka z jedną z jego córek.

W życiu prywatnym pan Artur też przypominał tę nadrealną postać z *Popiołu i diamentu*. Kiedy zostałem mu przedstawiony u niego w domu, to potrzęsając siwą plerezą, opowiedział mi tym swoim tubalnym głosem i subtelnie lwowską wymową nie jedną, ale dwie anegdotki o mojej rodzinie.

Pierwsza była o tym, jak grywał we lwowskim radiu w słuchowiskach dla dzieci, pióra mej ciotki Marty Reszczyńskiej, która razu pewnego zadzwoniła do niego z pretensjami, że na strasznym kacu zagrał wilka znacznie groźniejszego, niż to wynikało z tekstu, i „straszył dzieci”.

– Ale jeszcze gorzej było z pańskim stryjkiem, komendantem policji lwowskiej – perorował pan Artur. – Tak, tak. Wstyd się przyznać, ale jako student brałem udział w wielkich antysemitycznych zamieszkach we Lwowie i pana stryj mnie kazał aresztować!

Ul. Koszykowa

SZULCA ZASTRZELILI WE WTOREK, a już we czwartek szef Kripo przydzielił Weissowi nowego zastępcę. Ten był wściekły, bo z premedytacją dobrano mu najbardziej drobiazgowego służbę, jakiego można było znaleźć w całej Warszawie. Jego zadanie? Przekopać się przez wciąż rosnącą górę nierozwiązanych spraw, prowadzonych przez Weissa. Do tego i tak już długiego spisu dołączyła właśnie sprawa zabójstwa Szulca, która ze względu na narodowość ofiary także wchodziła w kompetencje I Komisariatu.

Dochodzenia I Komisariatu Kriminalpolizei w sprawach zabójstw Polaków rzadko kończyły się powodzeniem. Większość spraw trafiała nierozwiązana dalej – w ręce Gestapo – i nikt nie rozdzierał z tego powodu szat. Ale sprawa Reszczyńskiego wywołała nerwowość aż w Krakowie, a nawet wyżej – w Berlinie, i przy okazji zwróciła uwagę aparatu na niewydolność I Komisariatu.

„Nowy” wziął się raźnie do dzieła i od razu do największej sprawy na porządku dziennym, którą przez starszeństwo ofiary pozostawało zabójstwo komendanta. Przez otwarte drzwi swego gabinetu Weiss beznamiętnie obserwował kolejne kursy „Nowego” do i z archiwum z naręczami segregatorów. Żółtodziób nie miał pojęcia o tym, że jego szef znajdował się na wyciągnięcie ręki od sprawcy tego zabójstwa. I to dosłownie. Trzymał bowiem w ręku otrzymane od Kurtza przedwojenne akta „wąskonosego Zygi”.

Jak z nich wynikało, był on do tego stopnia radykalny w swoich poglądach i twórczości, że władze skonfiskowały jego debiutancką wystawę rysunku, jako wywrotową propagandę. Wkrótce potem artysta wylądował w kryminale za komunistyczną agitację, a zaraz potem wyleciał z ASP i zaczął wystawiać tę swoją propagandę jako członek postępowej grupy malarskiej.

Ku swemu najwyższemu zdumieniu Weiss zauważył, że odręczna notatka tajniaka z jednej z takich wystaw na Żoliborzu podpisana była przez starszego przodownika, Krystiana Kowalskiego, czyli przez jego obecnego kierowcę.

Podpis Kowalskiego widniał także na raporcie z aresztowania „wąskonosego Zygi”, kilka miesięcy później w lokalu przy placu Wilsona 6.

Kowalski! – pomyślał z wściekłością Weiss. Ten sam Kowalski, który bezczelnie wysyłał go do Krakowa fałszywym tropem dawnego komendanta, przez cały czas wiedział o jednym z zamachowców i nie puścił pary z ust.

Weiss kazał sekretarce połączyć się z intendenturą.

Niezależnie od jego rangi, tam również słyszeli o chodach inspektora Weissa w Berlinie, więc kiedy zażądał zwolnienia kierowcy Kowalskiego, powiedzieli, że uczynią to bezzwłocznie. Szef intendencji zaczął się nawet tłumaczyć, że właściwie to już dawno nosił się z takim zamiarem, bo Kowalski był za stary i niedowidział po ciemku, ale że jego zięć zabity niedawno przez bandytów, pan inspektor Szulc nalegał, żeby go nie ruszać...

– Szulc był jego zięciem? – zapytał Weiss z niedowierzaniem.

Po drugiej stronie zapanowało zakłopotane milczenie.

– Nie wiem, co panu powiedzieć, panie inspektorze. To było karygodne kumoterstwo... – wykrztusił wreszcie szef intendencji. – Zwolnię go natychmiast.

Ale Weiss miał inne plany.

– Ma być zwolniony dopiero w przyszłym tygodniu, rozumie pan? – powiedział kategorycznym tonem i odłożył słuchawkę.

Przesądziwszy w ten sposób o jego losie, Weiss do końca dnia starannie unikał przypadkowego spotkania z kierowcą, co było o tyle proste, że Kowalski cały dzień przebywał w policyjnym warsztacie, grzebiąc w uszkodzonym podczas zamachu na Szulca samochodzie. Następnego dnia opel był gotowy i Kowalski jak zawsze czekał pod komendą. Weiss ujrzał go już z daleka. Czuł na sobie jego wzrok, ale z premedytacją obszedł go szerokim łukiem. Chciał, żeby kierowca trochę się spociał i dobrze się zastanowił nad swoim położeniem...

Kunert

„MAM ZDECYDOWANIE JEDNĄ SUGESTIĘ, inaczej się nie da, moim zdaniem. Podoba mi się zarysowana przez pana perspektywa, ale ja bym jeszcze poszedł dalej, mianowicie, opowiedział o trzech kolejnych komendantach policji. Bo dopiero wtedy widać parę dodatkowych spraw. I to jest ważne”.

Profesor Andrzej Krzysztof Kunert jest wybitnym autorytetem w najważniejszych kwestiach, z jakimi mierzę się w tej książce, toteż nie może ona powstać bez jego głosu. Szukam z nim kontaktu w czasach, kiedy jest jeszcze sekretarzem Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, ale on jest zawsze piekielnie zajęty. Rozmawiamy w jego gabinecie w styczniu 2015 roku:

– Dlaczego jest takie ważne, żeby pamiętał pan o tych wszystkich trzech? – pyta Kunert retorycznie. – Bo generalnie taka opowieść, niezależnie od tego, czy byłaby to opowieść filmowa, czy pisana, to ona powinna się właśnie w ten sposób zaczynać, że po pierwsze tłumaczy pan w ogóle fenomen tego zjawiska policji „granatowej”, bo to naprawdę... Ja jestem od dwóch lat nauczycielem akademickim i mnie zawsze wydawało się, a teraz utwierdziłem się w przekonaniu, że studentom to trzeba tłumaczyć od podstaw różne rzeczy, bo inaczej nie rozumieją. Bo rzeczywistość jest zupełnie inna. Ale nawet dla kogoś, kto trochę, czy nawet więcej wie na temat okupacji, to rzeczywiście też nie bardzo ci ludzie rozumieją, na czym wyjątkowość tej Polskiej Policji polegała. I na dwa sposoby: po pierwsze, że dla okupanta była to instytucja niesłychanie cenna w tym sensie, że była jedyna w tak widoczny sposób nie niemiecka, tylko polska, złożona z przedstawicieli społeczeństwa okupowanego. Z drugiej strony, dla społeczeństwa okupowanego była jedyną instytucją polską. To znaczy byli najwyżsi dowódcy, oficerowie łącznikowi Niemcy, ale jednak: jedyna polska instytucja, która jest umundurowana i jest uzbrojona w kraju okupowanym przez Niemcy. Po trzecie, instytucja wyjątkowa dla samych policjantów. Biorąc pod uwagę te dwa pierwsze spostrzeżenia: każdy policjant brał na siebie gigantyczne

ryzyko. No bo generalnie postrzeganie było takie: kolaborant. Właściwie każdy mógł podejść na ulicy i faceta rąbnąć. Po czwarte: niesłychana wartość dla konspiracji. Bo byli to jedyni, którzy mogli w majestacie prawa okupacyjnego dokonywać pewnych czynności. Dokonywać rewizji, przesłuchiwać i tak dalej. I dobrze by było, żeby tu uczciwie powiedzieć, że Reszczyński jest właśnie przykładem takiego gigantycznego ryzyka (z czego sobie świetnie zdawał sprawę), ale też podkreślić to, że ci policjanci naprawdę w ogromnej większości w ten czy w inny sposób – bo nie zawsze to było do końca sformalizowane (tak, jak w wypadku Reszczyńskiego), w sensie złożenia przysięgi, wejścia na etat i tak dalej – albo współpracowali z konspiracją, albo stawali na głowie, żeby zachowywać maksymalną neutralność. Choćby ten udział w rozstrzeliwaniach czy choćby pilnowanie getta i tak dalej... I te pięć rzeczy trzeba jakoś wytłumaczyć. A w każdym razie pańskim obowiązkiem będzie pokazanie, że pan sobie zdaje z tego sprawę...

Ul. Koszykowa

W KORYTARZU PRZED JEGO BIUREM Weissa zaskoczyło niezwykle zgromadzenie. Sąsiedzi komendanta z Krasieńskiego 4 oczekiwali pod strażą na przesłuchanie. Byli tam prawie wszyscy mieszkańcy spod numeru 4, poza samą rodziną Reszczyńskiego. Nieopodal korytarzem przechadzał się młody mężczyzna w czarnym mundurze porucznika Panzerwaffe. Na widok Weissa zawołał z daleka:

– Panie Sturmbannführer, żądam wyjaśnień!

Jednocześnie z gabinetu wyszła, zalewając się łzami, Górowa – dozorczyńca z Krasieńskiego.

– Co się tu dzieje, do diabła? – Weiss krzyknął na sekretarkę.

– Pana nowy zastępca przesłuchuje od nowa wszystkich świadków z Weichelstrasse... – odpowiedziała z ledwie wyczuwalnym przekąsem.

Weiss opanował się i uniżenie zaprosił rozwścieczonego pancerniaka do siebie.

Porucznik był bohaterem niedawnych walk o Charków i jednocześnie szwagrem mecenasu spod siódemki. Spędzał właśnie zasłużony urlop u siostry w Warszawie i o świcie został wyrwany z błogiego snu frontowego bohatera przez policyjny patrol. Kiedy jego szwagra i pół tuzina mieszkańców domu zapakowano do więźniarki, to pancerniak, głuchy na protesty policjantów, też wskoczył na budę i przyjechał z nimi prosto w Aleje.

Weiss przeprosił porucznika, jak mógł najwylewniej, i zaręczył, że mecenasowi włos z głowy nie spadnie.

– To przykre nieporozumienie. Zamordowany komendant policji darzył pańskiego szwagra zaufaniem i sympatią: często się spotykali, grali razem w szachy i omawiali bieżące wydarzenia. Przyjaźnili się. A my szukamy morderców komendanta. Jesteśmy więc po tej samej stronie. Proszę wybaczyć nadgorliwość mojego młodszego kolegi i pozwolić mojemu osobistemu kierowcy odwieźć się wraz ze szwagrem do domu!

Udobruchany tą tyradą pancerniak ze szwagrem pod ramię opuścili wkrótce komendę, a Weiss solennie objechał „Nowego”. Kategoriecznie kazał mu najpierw zająć się sprawą zabójstwa jego poprzednika, Szulca, a pod wieczór sam pojechał na Krasińskiego, z kwiatami dla mecenasowej i flaszką francuskiego koniaku, którą umyślał opróżnić przy rozmowie w cztery oczy z mecenasem.

W drodze na Żoliborz Kowalski milczał jak zakłęty. Kiedy już dojeżdżali na miejsce, Weiss zapytał go obłudnie, czy wszystko jest w porządku.

– Szykują panu inspektorowi nowego kierowcę... – westchnął Kowalski.

– Jak to?

– Zięć mi tę posadę załatwił. Nie dawał odebrać... No, ale teraz...

– Szulc? Był waszym zięciem? – Weiss przekonująco udał zdumienie.

Kowalski pokiwał głową.

– Kanalia był, ale o rodzinę dbał.

– A wie pan, kto pana zwolnił?

– Intendentura, panie inspektorze. Na taką posadę to jest kolejka chętnych do samego Grójca. Pensja, mundur, mundurowe kartki, no i broń... A tu córka z wnuczętami na utrzymaniu...

Weiss nie zareagował, ale kiedy się zatrzymali na Krasińskiego i Kowalski wyskoczył otworzyć mu drzwiczki, to nachylił się do niego i szepnął do ucha:

– To nie intendentura was zwolniła, Kowalski, tylko ja.

Kowalski się cofnął.

Weiss poprawił krawat i wygładził fałdy garnitur.

– Potrzebne mi są kontakty tego z wąskim nosem. Nazwiska, adresy, pseudonimy. Masz pan trzy dni!

„Pomysłowy sługus Gestapo”

PAN PROKURATOR RĘBACZ Z IPN przychyła się do wniosku Hani o danie mi w jej imieniu wglądu w akta zakończonego postępowania, więc idę do niego na plac Krasińskich. Jest luty 2016 roku. Jak mówi prokurator Rębacz, materiału nie ma za wiele i pochodzi on głównie ze śledztwa UB w 1947 roku.

A tak! Ze śledztwa! Ze śledztwa na podstawie dekretu z 31 sierpnia 1944 roku. Szybko sprawdzam i znajduję ten dekret, określany w Wikipedii wdzięczną nazwą „sierpniówki”, a tekst na stronach Sejmu.

Aleksander Reszczyński był zatem po wojnie ścigany na podstawie dekretu o „wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się na ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców Narodu Polskiego”. Sprawę wkrótce umorzono ze względu na to, iż Reszczyński „został zastrzelony z wyroku organizacji podziemnej”. Akta umorzonego dochodzenia są bardzo nieliczne. Jest jednak wśród nich niewidziany przez mnie gdzie indziej, sporządzony w dzień po zabójstwie, zdecydowanie nieprzychylny Reszczyńskiemu meldunek bliżej niezidentyfikowanego „Lesława” (będący jednocześnie donosem na rzekomo zaprzyjaźnionego z zabitym skorumpowanego folksdojczą). Są też maszynowe odpisy z prasy podziemnej o ekscesach „granatowej” policji. Tylko jeden z nich dotyczy bezpośrednio Reszczyńskiego i jest w całości tak jak zjadliwy, jak jego tytuł: „Pomysłowy sługus Gestapo”. Jediną wskazówką co do źródła tych artykułów są numery wydań i daty, a te wydają się wskazywać na „Biuletyn Informacyjny AK”. Muszę się jednak w tej sprawie poradzić historyka i bardzo jestem ciekaw – czy to rzeczywiście „Biuletyn”? Bo jeżeli nawet prasa podziemna AK nie stroniła od bezpośrednich ataków na komendanta, to jego szanse przeżycia okupacji były od samego początku minimalne.

Ul. Krasińskiego 4

MIESZKANIE MECENASOSTWA MIAŁO O JEDEN POKÓJ WIĘCEJ niż Reszczyńskich, ale mieli oni dwoje dzieci i gościa z frontu, a do tego w służbówce, w tajemnicy, ukrywali dwie dziewczynki z getta. Było ciasno, więc przepraszając go uniżenie, mecenas zaprosił inspektora do kuchni. Mając więcej do ukrycia, mecenas pił z umiarem, za to Weissowi szybko rozwiązał się język.

– Powiem prosto z mostu: znałem Reszczyńskiego. Poznałem go podczas wizyty Goebbelsa w Krakowie. Poznałem – to za dużo powiedziane. Poznaliśmy się na uroczystym śniadaniu w Grand Hotelu. Moja żona, pani hrabina Weiss – inspektor zawsze mówił o niej w ten sposób – znała żonę niemieckiego ambasadora, też hrabiankę, no i uwielbiała takie fety, a że ja byłem na każde jej skinienie...

Weiss sięgnął po butelkę. Mecenas położył otwartą dłoń na swoim kieliszku, więc dolał koniaku jedynie sobie.

– Ten Reszczyński miał zdrowy stosunek do arystokracji. Można powiedzieć, że przypadliśmy sobie do gustu. I tyle. Po raz drugi spotkaliśmy się w Warszawie. I poznaliśmy się trochę lepiej.

Widząc zaniepokojone spojrzenie adwokata, Weiss dodał szybko:

– Niech pan się nie obawia, to ja jemu pomagałem, a nie on mnie. – Przeciągając palcem po leżącej na stole ceracie w kratkę, Weiss kreślił niewidzialny diagram opisywanej właśnie współzależności.

– Pański sąsiad był człowiekiem honoru i patriotą. Ale pan to oczywiście wie. Chodziło zwykle o jakichś Żydów albo o krewnych jego policjantów. Tych ostatnich było nawet całkiem sporo, a sadyści z Gestapo niechętnie ich wypuszczają na wolność. No, ale my policjanci musieliśmy sobie pomagać, czyż nie?

Mecenas przytaknął, a Weiss, stosując wypróbowaną policyjną sztuczkę, podniósł oczy znad ceraty i zapytał znienacka:

– Jak pan myśli, kto go załatwił?

Mecenas też nie wypadł sroce spod ogona i nie dał się zaskoczyć. Nawet nie drgnęła mu powieka.

– Wiem od pana Reszczyńskiego, że starał się służyć, najlepiej jak potrafił. Zakładam, że zamordowali go ci, którym ta służba nie odpowiadała. Ale nie jestem detektywem. Pan nim jest, inspektorze. Ja mógłbym ich jedynie bronić, gdyby pan ich złapał. Rzecz jasna, w innym czasie i miejscu.

– Mógłby pan ich bronić lub oskarżać, prawda? – powiedział Weiss, patrząc mecenasowi głęboko w oczy. – Nie trzeba się mnie bać. Pan był przed wojną prokuratorem...

Mecenas trochę się zmieszał, ale był wytrawnym prawnikiem. Potrafił z łatwością zmienić tok rozmowy:

– To prawda, ale ja nawet jako prokurator potrafiłem bronić, panie inspektorze. Da pan wiarę? Przed wojną jako prokurator wniosłem raz o uniewinnienie największego komunisty we Włocławku, niejakiego Olejniczaka. I sąd go wypuścił. Zresztą przyznam się panu, że broniłem ich też – komunistów – jako adwokat, i to dosyć często...

– A więc jednak myśli pan, że to komuniści zabili Reszczyńskiego? – zatriumfował Weiss.

– Przyznali się w nielegalnej prasie, podobno... – wyrwało się mecenasowi.

– Ale pan oczywiście tylko o tym słyszał!

Mecenas przytaknął.

– Wierzę panu... Zresztą rzeczywiście się przyznali, chełpili nawet – westchnął Weiss, który tego wieczora wyjątkowo się nie spał, tylko udawał bardziej podchmielonego, niż był w rzeczywistości. Zamiast przyciskać go do muru, pozwolił mecenasowi opowiadać o starych dziejach. O tym, na przykład, jak policjanci Reszczyńskiego zastrzelili w Krakowie przed wojną z tuzin bezbronnych demonstrantów, i o procesie, który potem nastąpił.

– Uważasz pan, proces demonstrantów, a nie policji, która do nich strzelała! – Sympatie mecenasa, jako pepeesowca, były co prawda po stronie robotników, ale i dla Reszczyńskiego miał dobre słowo. – Ale cóż miał począć? Działał z polecenia wojewody. I razem z wojewodą wyleciał!

Weiss dobrze znał tę historię, bo przecież mieszkali wtedy z hrabiną w Krakowie, a Reszczyńskiego znał bliżej, niż się przyznawał, ale nic nie mówił. Słuchał tylko mecenasa, kiwając opuszczoną głową, jak to mają w zwyczaju pijacy. Uważał, że daje to gospodarzowi poczucie przewagi nad nim i ośmiela go. Liczył na to, że mecenas opuści gardę i zdradzi, o czym tak długo i często rozmawiał z komendantem przy szachach, że puści farbę co do swoich podejrzeń o tożsamość sprawców. Ale nic z tego.

Weiss zmienił więc taktykę.

– Wątpię, mecenasie, abyśmy wpadli na trop zabójców, zaczynając od Krakowa i trzydziestego szóstego roku.

Mecenas myślał, że inspektor jest bardziej pijany.

– Nie oczekuję od pana – kontynuował Weiss – że podzieli się ze mną swoimi podejrzeniami co do tożsamości sprawców, ale bardzo chciałbym zasłużyć na pańskie zaufanie.

– Ma je pan, Sturmbannführer – zapewnił tamten.

– A pan moje, panie radco, a pan moje... Czyż gdyby było inaczej, przeszlibyśmy do porządku dziennego nad faktem, że pański rzekomy szwagier nie jest tak naprawdę bratem pańskiej małżonki, a co najwyżej dobrym jej znajomym z dawnych czasów? A nawet bardzo dobrym... czyż nie?

Zanim mecenas zdążył zareagować, Weiss wytoczył jeszcze cięższą artylerię:

– Czyż pozostawilibyśmy bez konsekwencji stwierdzone przez mojego zastępcę fakt, że ukrywa pan dzieci z getta?

Mecenas pobladł.

– Ale proszę się nie niepokoić. Mój zastępca nie żyje od dwóch dni, więc nie wymusi na panu haraczu... Ale skoro już sobie ufamy, to niech pan szybko wywiezie te dziewczynki w bezpieczne miejsce, bo niektórzy pańscy sąsiedzi nie są godni takiego samego zaufania, jak ja.

Mecenas opadł bezwładnie na swoje krzesło. Weiss pochylił się ku niemu i położył mu rękę na ramieniu.

– Niech się pan nie obawia. Nic panu nie grozi. Proszę tylko przyprowadzić tu swoją córeczkę...

Na twarzy mecenasa odmalowało się przerażenie.

– Daję panu oficerskie słowo honoru, że nic jej nie grozi... – uspokoił go Weiss.

Po kilku minutach drzwi do kuchni otworzyły się i stanęła w nich ubrana w nocną koszulę, zaspana Mirka. Miała może dwanaście lat. Za nią solidarnie stali jej rodzice i wspierał ją swoją obecnością udawany stryjek, ale wciąż autentyczny porucznik Panzerwaffe i bohater wojenny.

Weiss skinął na dziewczynkę i wyjął z kieszeni garść przygotowanych specjalnie na tę okazję cukierków.

– Przepraszam, myślałem, że jesteś młodsza, a tu taka panna!

Mirka i tak poczęstowała się cukierkiem i grzecznie podziękowała.

Jej rodzice i pancerniak w napięciu obserwowali, jak Weiss poprosił dziewczynkę, by usiadła naprzeciwko niego, i wyjął z rogu okładki kieszonkowego notesu małą fotografię.

– Czy pamiętasz, jak bawiłaś się na schodach i widziałaś, jak dwóch panów wchodziło na górę?

Mirka przytaknęła.

– Dobrze. A powiedz mi, czy to był jeden z nich?

Podsunał jej zdjęcie.

– Jakby ona to mogła pamiętać, panie inspektorze! Mireczko, nie musisz nic panu mówić! – wyszeptała jej zrozpaczona matka, a do cna załamany mecenas zakrył tylko oczy dłonią.

– Mama ma rację. Rzeczywiście nie musisz mi nic mówić – potwierdził Weiss.

– To są sprawy dorosłych, a ty jesteś jeszcze dzieckiem...

– Tak, to ten pan – przerwała mu Mirka.

– Widziałaś go przecież tylko przez sekundę – załamującym się z napięcia głosem powiedziała jej matka.

– To ten pan, mamusiu, tylko wtedy nie miał wąsa. Myślę, że się ogolił.

„Była opinia, że nie należy w żaden sposób współpracować z okupantem”

W LUTYM 2015 ROKU DZWONIĘ PONOWNIE DO LONDYNU, do pana Janusza Cywińskiego.

– To bardzo dobrze, że ktoś chce teraz opracować tę całą sprawę – mówi. Reszczyński miał pewien kontakt z Armią Krajową. W kontrwywiadzie Armii Krajowej był referat, który się nazywał referatem policji granatowej. Kierownikiem tego referatu był oficer Naimski, który utrzymywał pewne kontakty z pułkownikiem Reszczyńskim. Między innymi gdzieś tam w lecie, chyba czterdziestego drugiego roku, Niemcy zdecydowali się zrobić taką obławę na Mokotowie, w poszukiwaniu akowców, którzy mogli się tam ukrywać w domach. Informacja o tym, że ta łapanka ma się odbyć, była przekazana do AK przez pułkownika Reszczyńskiego. W związku z tym udało się pewną ilość ludzi zawiadomić o tym, że będzie taka próba aresztowań masowych na Mokotowie i ci ludzie zdążyli się uchronić. Nie wiem, na jakiej podstawie Reszczyński mógł o tym wiedzieć. Prawdopodobnie, jeżeli odbyć się miała taka masowa łapanka, to policja niemiecka nie wystarczała i trzeba było wciągnąć do pomocy policję granatową. I może na tej podstawie Reszczyński się o tym dowiedział. Ja zaś się dowiedziałem od Naimskiego.

Mogę panu powiedzieć jedną rzecz: przeciwko Reszczyńskiemu nie było żadnych zasadniczych zarzutów w czasie, kiedy był tym komendantem. Natomiast był jeden ogólny zarzut, że on zrobił bardzo źle i postąpił nielojalnie, kiedy się zgłosił do pracy w policji. Dlatego że wtedy było takie wezwanie Niemców, żeby oficerowie policji wracali do pracy. Opinia była taka, że on nie powinien był się na to zgadzać i nie powinien był się zgłaszać.

Na podstawie moich wspomnień z tamtego okresu nie bardzo mogę się zgodzić na pańskie twierdzenie, że nie miał innego wyjścia, bo wprawdzie Niemcy wezwali, żeby oficerowie policji wracali do pracy, i grozili karą więzienia czy

karą śmierci, to jednak podobne ostrzeżenia dotyczyły nie tylko oficerów policji, ale również oficerów armii i najrozmaitszych innych służb. Ci ludzie jednak nie poszli, nie zareagowali na te wezwania, tylko zdecydowali się zostać w podziemiu.

Jego działalność na stanowisku komendanta policji nie wzbudzała właściwie żadnych zastrzeżeń, dlatego że on na tej funkcji nie zrobił nic złego, nic negatywnego, ani nic takiego, za co można by go było oskarżać. Natomiast była ogólna opinia, że nie należy w żaden sposób współpracować z okupantem. Były wypadki, na przykład dziennikarzy... To był ten nastrój i jakakolwiek współpraca z okupantem była traktowana negatywnie. Dlatego jego decyzja zgłoszenia się do pracy w policji traktowana była jako element negatywny. Natomiast kiedy wszedł do tej policji, wrócił do pracy, nie robił nic takiego, o co można by go oskarżyć.

Ul. Chocimska

WRACAJĄC WIETRZNYM I MOKRYM NIEDZIELNYM PORANKIEM ze zboru przy Puławskiej, Weiss ujrzał pod swoim domem Kowalskiego. Szofer miał na sobie przemoczone palto i trząsł się z zimna. Z miną skarconego psa trzęsącymi się rękami podał inspektorowi zaadresowaną do niego brązową kopertę. Adres zaczął się już rozmywać na deszczu.

– Jak Boga kocham, panie inspektorze. To Szulc mi zakazał cokolwiek panu mówić. Groził mi!

Weiss przyjął kopertę bez słowa i zniknął w bramie.

Otworzył ją już w windzie i wyjął nieco pożółkłą broszurkę. Zdziwił się, bo nie były to żadne tajne dokumenty, tylko przedwojenny katalog wystawy postępowej grupy malarskiej w WSM na Żoliborzu, z wydartą z papieru zakładką, na której napisano niebieskim atramentem: „Sprawcy”.

W domu, nie zdejmując nawet mokrego płaszcza, Weiss usiadł przy stole i położył katalog przed sobą. Jego wzrok zawadził o stojącą obok butelkę koniaku. Przyniósł z kredensu kieliszek i napełnił go po brzegi. Z miny Kowalskiego pod bramą domyślał się wagi sprawy. Zamoczył usta w koniaku i odstawił kieliszek, a następnie nabrał powietrza w płuca i powoli otworzył katalog.

W założonym miejscu po prawej stronie ujrzał znaną mu już podobiznę „wąskonosego”. Towarzyszył jej biogram, w którym nazwisko malarza było ręcznie podkreślone niebieskim atramentem. Tekst był bardzo zwięzły, ale Weiss znał całą historię ze szczegółami od Kowalskiego. Po przeciwnej stronie jego uwagę przyciągnęło zdjęcie mężczyzny o charakterystycznym wyrazie twarzy: dumnym, niemal buńczucznym. Dokładnie takim, jak opisywały to kobiety z Krasińskiego. Bujna czupryna i wystające kości policzkowe też pasowały jak ulał do ich rysopisu. To był dowódca. Jego nazwisko także podkreślone było niebieskim atramentem.

Dotykam własnymi rękoma dowodu zbrodni

ODBYWAM SWOJEGO RODZAJU PODRÓŻ W CZASIE przez przeniesione żywcem z końca XX wieku targowisko na Banacha, do znajdującego się tuż za nim Archiwum Akt Nowych. Zamawiam na początek kilka teczek z zespołu „Armia Ludowa”. Mają być gotowe za jakąś godzinę, więc ponownie przebijam się przez wypełniony zapachem drobiowych podrobów labirynt straganów do Grójeckiej, w poszukiwaniu jakiejś kawy. Kiedy czterdzieści lat temu przyjeżdżałem tu z Wrocławia do sympatii, ta okolica wydawała mi się szczytem europejskiego szyku. Dziś obok hal Banacha, po obu stronach sześciopasmowej arterii, dominują kebaby i sklepy z odzieżą na kilogramy. Nieopodal monumentu na dawnych rogatkach Warszawy, na przejściach dla pieszych toczy się współczesna wojna: tłumy czekają pokornie na zielone światło, które nigdy nie pali się dość długo i najsłabsi zawsze utykają na długie minuty w połowie jezdni.

W AAN czeka już na mnie sześć zamówionych teczek.

Otwieram pierwszą z brzegu i oczom moim ukazuje się oryginalny, pisany na maszynie raport numer 1 komendanta oddziału specjalnego, „Jacka” (Franciszka Bartoszek), obejmujący okres od 2 lutego do 3 marca (1943) i cztery poprzedzające zamach na Reszczyńskiego akcje – dwie „kolejówki” – w Żyrardowie i pod Brwinowem, rabunek w mieszkaniu funkcjonariusza NSDAP oraz głośna akcja w Wytwórni Papierów wartościowych. W tej ostatniej, jak wiemy, Bartoszek w mundurze odgrywał niemieckiego oficera. Opisując zamach na Reszczyńskiego, Bartoszek podaje mylną datę (3 zamiast 4 marca) i pisze:

„O godz. 16.30 4 ludzi weszło do mieszkania kom. policji na m. Warszawę, A. Reszczyńskiego. Izolowano rodzinę, przeprowadzono rewizję i czekano przybycia komendanta. Ponieważ kom. do godz. 20 nie wrócił, oddział po zamknięciu mieszkania i zaarrestowaniu nadeszłych w tym czasie gości: administratorkę, 2 policjantów, sterroryzowaniu mieszkańców domu, przecięciu dwóch telefonów, oczekiwał przybycia komendanta na zewnątrz [pisownia

oryginalna] domu oraz w pokoju dyżurnym dozorca. O godzinie dwudziestej pierwszej trzydzieści najeżdżał samochód komendanta z eskortą. Oczekano odjazdu eskorty. Komendant pomimo kilkakrotnych prób telefonowania do domu, nie przewidując zasadzki wszedł sam do bramy. W sieni aresztował go członek oddziału i za chwilę weszli 3 pozostali. Komendantowi odebrano pistolet i mundur i skłoniono go do zeznań. O godz. 5.30 strzałem z pistoletu zlikwidowano go. Oddział wycofał się w porządku. Była to najbardziej udana dotąd akcja oddziału specjalnego”[8].

Ul. Puławska 2

– PRZED OBLICZEM BOGA PYTAM TERAZ, CZY ŻAŁUJESZ ZA GRZECHY SWOJE?

Za plecami pastora promienie kwietniowego słońca wpadały przez witraż w nawie do wnętrza zboru, gdzie wśród kongregacji Joachim Weiss zbierał w sobie siły do aktu pokuty.

– Jeżeli żałujesz – kontynuował pastor – przed Bogiem wyznaj: żałuję!

Weiss nie słyszał już dalszych słów liturgii spowiedniej. Czuł, jak opada z niego napięcie ostatnich tygodni, jak ustępuje zmęczenie spowodowane brakiem snu i pijaństwem. Zapytał o to wcześniej młodego pastora, a ten powiedział mu, że z samej intencji popełnienia grzechu też można, a nawet trzeba się wyspowiadać. Weiss uczynił więc to, po czym wyznał wiarę i dokonał aktu pokuty, a pastor jemu i wszystkim zgromadzonym w zborze odpuścił grzechy „w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego”.

Weiss poczuł ogromną ulgę – to co bowiem powiedział majorowi po pijanemu i czego nie omieszkął powtórzyć mu nazajutrz na trzeźwo, to nie były tylko ciche pogrożki. On naprawdę chciał znaleźć i zabić mordercę własnymi rękoma. A chciał to zrobić, ponieważ, o czym wiedział tylko on i nieboszczyk, zawdzięczał komendantowi życie.

Ale wypowiedziawszy swój zamiar po raz pierwszy na głos wobec majora, Weiss przeraził się. Nie mógł przecież, nawet w tych barbarzyńskich czasach, kierować się kodeksem Hammurabiego. Wahał się. Musiał znaleźć lepszą drogę. Spowiedź była pierwszym krokiem w tym kierunku. Powziąwszy go, od razu poczuł ukojenie. I wtedy właśnie dobiegły go odgłosy zamieszania przy wejściu do świątyni.

Odwrócił głowę i ku swojemu zdumieniu ujrzał niezgrabnie skradającego się ku niemu swojego nowego zastępcę. Jego podkute oficcerskie buty stukały niemilosierdzie na kamiennej posadzce, a z przejętej miny wynikało, że przynosi

wielkiej wagi nowinę, która absolutnie nie mogła poczekać do końca nabożeństwa.

By położyć kres zamieszaniu, zażenowany Weiss wyszedł mu naprzeciw, wziął go pod ramię i pociągnął do wyjścia. Jeszcze w przedsionku „Nowy” zaczął do niego szeptać podekscytowany:

– Mamy go, *Herr Inspektor!* Mamy go!

Weiss zacisnął tylko zęby i dopiero kiedy opuścili świątynię, zaklął siarczyście.

– Oszaleliście, Szulc? Co wy wyrabiacie? Kogo to „mamy”, do diabła?

– „Mamy” zabójcę z Weichelstrasse, *Herr Sturmbannführer!*

– Bzdura. Niemożliwe. I gdzie on niby jest?

Nowy podrapał się w głowę:

– W kostnicy na Oczki.

Wsiedli w oczekujący samochód i po pięciu minutach byli na miejscu. Pomimo dopiero co odbytego aktu spowiedzi, na myśl, że w prosektorium czekać na niego mogą zwłoki zabójcy, który jednak nie zginął z jego ręki, Weiss odczuł gorzkie rozczarowanie. Jak się okazało, było ono przedwcześnie.

To nie był herszt bandy z Krasińskiego. Co za ulga!

Mężczyzną w prosektorium był ów przedwojenny oficer, wydalony z armii jako komunista, o którym mówił Weissowi Kurtz. Bojowiec ten znany był Gestapo jako „Wiktor”. Postrzelony w zasadzce na Starym Mieście, wpadł w ręce sadystów. Jego zwłoki były okropnie pokiereszowane.

„Nowy” nie najlepiej sobie radził z tym widokiem i fetorem przechowywanego w kostnicy od prawie dwóch tygodni ciała, ale próbował ze wszystkich sił trzymać fason. Ponad zwłokami podał Weissowi jakiś papier.

– Analiza grafologiczna, oparta na próbkach pisma z miejsca zamieszkania denata...

Weiss wziął papier do ręki i sięgnął po okulary. Pomimo okoliczności był przyjemnie zaskoczony.

Analiza grafologiczna, no, no! – pomyślał z uznaniem, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu okularów. – *Może jeszcze coś z niego będzie.*

– Wyniki są pozytywne! – pochwalił się „Nowy”.

Nie mogą być pozytywne – pomyślał Weiss – *bo to nie on.*

– Rysopis także zgadza się z zeznaniami świadków – dodał „Nowy”.

– Rysopis? – Weiss wskazał na zmasakrowane ciało. – W tym stanie mógłby to być każdy!

– To fakt, *Herr Inspektor*, ale na przykład te wystające kości policzkowe...

– Mój Boże, pan tu jeszcze widzi jakieś kości policzkowe? A nawet jeżeli tak, to wszyscy Słowianie je mają. Pan też...

Weiss nie skorzystał z okazji, żeby zlustrować znajdujące się wciąż na Oczuki zwłoki swojego poprzedniego zastępcy, i kazał się odwieźć na Chocimską. Obaj z „Nowym” wynieśli na swych ubraniach zapach trupiarni, więc Weiss opuścił szybę po swojej stronie i ze sceptycznym wyrazem twarzy przeglądał zawartość teczek denata. Nowy spozierał na niego ukradkiem. Był rozczarowany. A już wydawało mu się, że tak genialnie skojarzył śledztwo w sprawie komendanta z zasadzką Gestapo na Mostowej. Odpowiedzialny za nią Sturmbannführer Kurtz nie miał żadnych wątpliwości, co do tego, że mężczyzna zmarły z odniesionych ran i w wyniku późniejszych tortur na Pawiaku był dowódcą oddziału bolszewickiego do specjalnych poruczeń, odpowiedzialnego za całą serię napadów i rabunków – od głośnego zawłaszczenia miliona złotych z Kasy Oszczędności począwszy. Dla Kurtza było oczywiste, że to bolszewicy dokonali zabójstwa komendanta, a „Wiktor”, jako dowódca, dokonał egzekucji.

W pewnym sensie Weiss chciał, żeby „Nowy” miał rację. Malarz okazałby się wówczas niewinny, a prawdziwy sprawca i tak stałby już przed wyższym od ludzkiego trybunałem. Sprawa zamknięta. Ale fakty mówiły co innego. Bojownik z Mostowej był za stary, miał pod pięćdziesiątkę. Ponadto – każda z jego akcji była organizacyjnym majstersztykiem, a akcja przy Krasińskiego zdecydowanie nią nie była. Była niepotrzebną brawurą. Zawodowiec nigdy nie spędziłby całej nocy z ofiarą, tylko bez dyskusji zastrzeliłby komendanta i po krzyku.

Właśnie się wypowiadawszy z intencji zabójstwa, Weiss miał teraz idealną okazję, aby przypieczętować swoją spowiedź. W tym momencie mógł wbrew oczywistym faktom uznać jednak „Wiktora” za sprawcę i porzucić raz na zawsze swój romantyczny zamiar osobistego pomszczenia komendanta.

Nie skorzystał z tej okazji.

– To pomyłka – powiedział „Nowemu”, kiedy przybyli na miejsce. Oddał mu teczkę „Wiktora”. „Nowy” miał przybitą minę i Weissowi zrobiło się go trochę żal. Chciał mu nawet powiedzieć coś miłego, pochwalić go w jakiś sposób, ale już wysiadł i dalej nic mu nie przychodziło do głowy. Pozostało się jedynie pożegnać.

– Proszę mi wybaczyć, ale jak pan się właściwie nazywa? Bo wie pan, pracujemy razem od tygodnia, a ja wciąż nazywam pana w myślach „Nowym”...

– Ernest Kempieński – powiedział zaskoczony „Nowy”.

– Ernest – powtórzył Weiss i pokiwał głową, tak, jakby to imię budziło w nim jakieś głębsze skojarzenia... i wtedy właśnie go olśniło. Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Jeżeli Ernest i Gestapo chcą za wszelką cenę wierzyć, że zabity z Mostowej jest mordercą komendanta, to po co wyprowadzać ich z błędu? Nawet ekspert od grafologii z niewiadomych przyczyn podparł ich hipotezę

wynikiem swojej analizy. Trzeba więc rzucić im tę kość. Oni niech ją obgryzają, a w jego rękach pozostanie los prawdziwych sprawców...

– Panie Erneście – zaintonował uroczyście Weiss. – Jestem panu winien przeprosiny. Widzi pan: po głębokim przemyśleniu pańskiej hipotezy muszę się z panem jednak zgodzić! Ten „Wiktor” mógł w istocie być zabójcą komendanta policji...

– Naprawdę pan tak uważa? – Ernest aż wysiadł za nim z samochodu. – Dziękuję, *Herr Sturmbannführer*. Nawet nie wie pan, jakie to dla mnie ważne! Tak się cieszę, że podziela pan moją skromną opinię. – Tu Ernest się zawahał:

– Ale w takim razie muszę się panu do czegoś przyznać. Jest jedno „ale”...

– Ale?

– Nie chciałem osłabiać w pańskich oczach mojej hipotezy, ale muszę o tym panu powiedzieć....

– Wykrztuście pan wreszcie!

– Odciski palców, *Herr Inspektor*! Jeżeli to jest jeden z nich, to dlaczego nie znaleźliśmy na miejscu właśnie jego odcisków?

No, no... nasz Ernest posiada zdolność logicznego myślenia. Trzeba na niego uważać – pomyślał Weiss, po czym roześmiał mu się rubasznie w twarz i poklepał protekcyjnie po ramieniu.

– Ależ to dziecinnie proste, Erneście! Ten człowiek – Weiss wskazał na tekturową teczkę – był zawodowym żołnierzem, wytrawnym zabójcą! Oczywistym jest, wobec tego, że... nosił rękawiczki!

To powiedziawszy, Weiss energicznie uściśnął Ernestowi dłoń na pożegnanie i skierował się szybko w stronę domu, a ten popatrzył za odchodzącym z niedowierzaniem i nie bez podziwu.

– Naprawdę pan tak myśli?

Zamiast odpowiedzi Weiss zawrócił i popchnął go żartobliwie w stronę samochodu.

– Jedźże już pan. Rozwiązał pan zagadkę godną Sherlocka Holmesa w sposób prosty i elegancki. Jak mawiał mój pierwszy dowódca: nie kombinować, chłopaki – proste rozwiązania są zazwyczaj najlepsze. I pan takie znalazł. Znalazł pan mordercę. Niech pan już zjeżdża...

Berdych

W SWEJ POŚWIĘCONEJ NOTORYCZNEMU AGENTOWI Janowi Berdychowi (Mütznmacherowi) bogato udokumentowanej książce Bogdan Gadomski cytuje dokumenty odzwierciedlające nastroje antykomunistyczne w kręgach państwa podziemnego na początku 1943 roku[9]. Są to raporty Berdycha, który rozpracowywał na potrzeby Gestapo służbę wywiadowczą Delegatury Rządu.

Szczególnie interesujący jest raport obejmujący okres od połowy marca do połowy kwietnia 1943 roku, zawierający wzmiankę o zabójstwie Reszczyńskiego.

Agent Gestapo donosił, że jeden z mówców określił Warszawę jako dżunglę, mówiąc: „Obecnie nie można już w Warszawie stwierdzić autentycznie, kto – kogo i za co zastrzelił na ulicy lub w mieszkaniu”.

I dalej: „Jako przykład może służyć zamordowanie podpułkownika Polskiej Policji Reszczyńskiego, który według ostatnich ustaleń zlikwidowany został przez grupę komunistyczną”.

Według Berdycha: „Kierownik Służby Bezpieczeństwa stwierdził również, że Reszczyński był w służbie polskiego II Oddziału i żadna patriotyczna »instancja« nie zabiłaby go”[10].

Znamienne jest to, że według doniesień agenta z tego okresu Służba Bezpieczeństwa Delegatury Rządu, nie tylko w kontekście zabójstwa Reszczyńskiego, poświęca wiele uwagi „narastającemu niebezpieczeństwu komunistycznemu” i aktywizacji walki z nim. Wśród konkretnych zadań, wyznaczonych przez kierownictwo wydziału poszczególnym sekcjom pod koniec marca 1943 roku, Berdych wymienia: wciągnięcie siatek wywiadowczych wszystkich organizacji patriotycznych do walki z komunistami, aktywizację kontaktów wśród polskiej policji i policji kryminalnej do walki z komunizmem oraz rozbudowę własnej siatki wywiadowczej w PPR.

Cmentarz na Powązkach

ERNEST BYŁ ICH KIEROWCĄ W DRODZE NA POWĄZKI, w miejsce Kowalskiego, który z ulgą przyjął od Weissa wiadomość, że dzięki jego wstawiennictwu nie musi się już obawiać o swoją posadę, a jako teść zamordowanego otrzymał dzień urlopu na pogrzeb.

Ceremonia zapowiadała się bardzo uroczyście. I Komisariat Kripo stawił się na Powązkach w komplecie i w galowych mundurach. Pojawił się nawet sam Kriminaldirektor Kripo, który szczególnie energicznie ścisnął prawicę Weissa i jego nowego zastępcy.

– Dobra robota ze śledztwem w sprawie zabójstwa komendanta, panowie. *Prima!* Pierwsza klasa! – powiedział, a ujrawszy kątem oka wdowę z małymi dziećmi, dodał głośniejszym głosem, tak aby go usłyszała: – A tego bydlaka, który zamordował Szulca, też dosięgnie sprawiedliwość!

– Tak jest, *Herr Kriminaldirektor!* – Ernest energicznie trzasnął obcasami, a stojący za córką Kowalski i stojący za Ernestem Weiss wymienili w tym momencie pełne politowania spojrzenia.

Kiedy kondukt opuścił cmentarną kaplicę, lunął rześisty, wiosenny deszcz. Cywile rozłożyli parasole, mundurowi cierpliwie mokli.

Deszcz odpowiadał refleksyjnemu nastrojowi Weissa. Jego poprzedni zastępca zabierał ze sobą do grobu wiedzę o tym, jak ważna była dla niego sprawa Reszczyńskiego, a nowy już o tej sprawie zapomniał, gotowy do następnych wyzwań, z dumnie wypiętą piersią, tak przejęty pochwałą zwierzchnika, że nie przeszkadzała mu nawet woda kapiąca z daszka czapki na nos!

W przeciwieństwie do niedawnego pogrzebu komendanta nad grobem Szulca nie było żadnych mów, ksiądz szybko uwinął się z modlitwą, grabarze opuścili trumnę do grobu i wkrótce ludzie zaczęli się rozchodzić. Udając zadumę, Weiss czekał, aż Ernest sobie pójdzie, zamierzał bowiem przejść się jeszcze do mogiły komendanta. Miał nadzieję, że może znajdzie tam inspirację, gdzie szukać

malarza-zamachowcy, po którym pod żadnym z jego znanych policji adresów nie było śladu. Ani po nim, ani po jego żonie. Ale Ernest chyba się jednak wzruszył pochówkiem swego poprzednika, bo nie zważając na deszcz, stał wpatrzony w świeżą mogiłę i ani myślał sobie pójść.

– Zostawię tu pana. – Weiss dotknął na pożegnanie jego ramienia i odszedł w kierunku alejki.

– Proszę zaczekać, panie inspektorze, przejdę się z panem!

Weiss ciężko westchnął i zamiast pójść prosto tam, gdzie zamierzał, zrobił małą rundę, by trafić na grób komendanta niby to przypadkiem. Bardzo mu zależało, aby Ernest uważał sprawę i jego nią zainteresowanie za zakończone, ale oto nieoczekiwanie jego zastępca zaczął właśnie na ten temat:

– Ta akcja bolszewików na Kasę Oszczędności to był majstersztyk. Kilkunastu bandytów bez jednego strzału zrabowało w biały dzień milion złotych. W Wytwórni Papierów mieli pecha, zabrakło tylko jednego z kluczy do skarbca, ale ta akcja też była na medal...

– Do czego pan zmierza? – zapytał Weiss, chociaż dobrze znał odpowiedź.

– Nie daje mi to spokoju, panie inspektorze: zabójca komendanta był dowódcą bandy i jej mózgiem, a jego akcje były wzorowe pod względem organizacji...

– Oszczędzę panu trudu. – Weiss zatrzymał się. – Zastanawia się pan, dlaczego takiemu zdolnemu organizatorowi jak „Wiktor” potrzeba było aż dziesięć godzin na likwidację komendanta?

– Właśnie! Nad tym też... – Ernest po raz kolejny nie mógł wyjść z podziwu dla przenikliwości swego szefa.

– Dlaczego pozwolił na picie alkoholu i drobne kradzieże?...

– To było przecież nietypowe...

– Niech pan pozwoli sobie wyjaśnić... – zaczął Weiss.

Nawet nie oszukiwał Ernesta. Przekonująco mówił o drogach życiowych komendanta i jego „zabójcy”. O tym, że dla „Wiktora”, oficera zdegradowanego i uwięzionego za działalność komunistyczną, komendant był żywym symbolem znienawidzonej władzy, o którego rozkazie strzelania do robotników w Krakowie uczono na bolszewickich więziennych kompletach. Mówił dalej, że nawet najwybitniejszy organizator nie musi być pozbawiony uczuć, zabójstwa komendant dokonał więc „Wiktor” w szczególny, rytualny sposób. Być może rzeczywiście bawił się w jakiś sąd i wyrok.

– A to wszystko zabrało trochę czasu, rozumie pan?...

Deszcz powoli ustawał i zaczęło się przejaśniać. Zastępca słuchał wywodów szefa z takim przejęciem, że Weiss aż sam był pełen podziwu dla swojej inwencji. I właśnie wtedy zauważył w oddali za plecami Ernesta figurę mężczyzny siedzącego na ławeczce. Jak mu się wydawało, taka sama znajdowała

się właśnie w pobliżu mogiły komendanta. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Przerwał w pół słowa i ujął Ernesta za ramiona.

– Pańskie wątpliwości to dowód pańskich policyjnych zdolności – powiedział z patosem – ale nie czas na nie. Czas pomyśleć o wdowie i dzieciach pańskiego poprzednika, Erneście! Niech pan więc wątpi, niech się zastanawia, ale wpierv niech pan znajdzie zabójców inspektora Szulca!

Gdy to mówił, mężczyzna zauważył ich i podniósł się z ławeczki. Miał trzydzieści, może czterdzieści lat i nosił się w charakterystyczny, dumny sposób... Weissowi krew uderzyła do głowy.

Dowódca zabójców komendanta...

To był niewątpliwie on. Właśnie oddalał się niespiesznie w głąb cmentarza, oglądając się dyskretnie przez ramię, a Weiss był bezradny. Gdyby nie ten dureń Ernest, to położyłby go jednym strzałem. Pal diabli spowiedź, nawet z tej odległości nie spudłowałby.

– Panie inspektorze!?! – jak z oddali dotarł do niego głos Ernesta.

Sylwetka tamtego majaczyła jeszcze wciąż pomiędzy nagrobkami.

– Pan wybaczy. Przez chwilę pański poprzednik stanął mi przed oczami jak żywy – zełgał na poczekaniu Weiss.

Podeszli do mogiły komendanta. Ernest się zadumał, a Weiss, rozglądając się ukradkiem, zauważył świeże niedopałki koło ławeczki. Kiedy podniósł wzrok, w oddali ujrzał ponownie zamachowca, który skręciwszy w lewo, zawracał szerokim łukiem w kierunku wyjścia, cały czas obserwując policjantów z bezpiecznej odległości.

Ernest wskazywał szefowi leżącą na grobie biało-czerwoną szarfę z jakimś napisem i coś do niego mówił, ale Weiss był na to wszystko ślepy i głuchy. Zamachowiec znajdował się teraz na linii prostej z krzyżem na mogile komendanta. Bawił się z Weissem. Wciąż zachowywał bezpieczną odległość, ale był na tyle blisko, że ich spojrzenia wydawały się spotykać. Ręce trzymał w kieszeniach przemoczonego płaszcza, a Weiss dyskretnie położył dłoń na kaburze pistoletu.

Myśliwy i zwierzyzna – pomyślał – tylko który z nas jest kim?

Zamiast broni, tamten wyjął z kieszeni papierosy i zapalił. Zaczął się wycofywać tyłem i zniknął pomiędzy nagrobkami.

Weiss złapał oddech. Z oddali dobiegły do niego słowa stojącego tuż obok Ernesta, kierowane do mogiły Reszczyńskiego:

– Melduję, że mamy pańskiego zabójcę, panie komendancie...

Weiss uniósł brwi ze zdumienia – *Niby Polak, a sentymentalny, jak Niemiec, lub wręcz Austriak...* – pomyślał.

„Jacek”, który wcześniej ominąć musiał szerokim łukiem pogrzeb z mnóstwem mundurowych, umyślał opuścić cmentarz, wspiąwszy się przez mur, ale kiedy zauważył z daleka, że żałobnicy już się rozeszli, zaryzykował powrót tą samą drogą przez IV Bramę. Kątem oka zauważył, że przy świeżej mogile pozostała jedynie mała grupka najbliższej rodziny. Wśród nich był jeden mundurowy.

„Jacek” przyśpieszył kroku.

Modły nad mogiłą zięcia zaczynały już nużyć Kowalskiego. Nagle ujrzał w alejce charakterystyczną postać. Przetarł oczy ze zdumienia. O pomyłce nie mogło być mowy. Malarz, dobrze mu znany kompan „wąskonosego”, niespiesznie szedł sobie właśnie w stronę wyjścia z cmentarza... Niewiele myśląc, Kowalski ruszył za nim.

– Tato, dokąd ty idziesz? – zapytała go spowita w żałobę córka.

– Zaraz wracam!

Jak za dawnych tajniackich czasów, Kowalski dyskretnie podążał za podejrzanym. Trzymając bezpieczny dystans, opuścił za nim cmentarz i skręcił w prawo. Wkrótce wskoczył za nim do jednego, a potem do drugiego tramwaju i wyskoczył w pobliżu placu Inwalidów. Niestety, z braku praktyki zrobił to za wcześnie i spłoszony mężczyzna wskoczył do tramwaju jadącego w przeciwnym kierunku. Kowalski próbował ten tramwaj dogonić, ale dostał zadyszki i musiał dać za wygraną...

Przymusiński

ŚCIŚLE RZECZ BIORĄC, Franciszek Przymusiński nie był trzecim, ale drugim i czwartym okupacyjnym komendantem Polskiej Policji w Warszawie, ponieważ po raz pierwszy pełnił obowiązki komendanta przez sześć tygodni tuż po aresztowaniu Kozińskiego, a przed nominacją Reszczyńskiego.

Uważany przez wielu Polaków za zniemczonego, konsekwentnie odrzucał „zaloty” władz niemieckich. Szeroko mówiono o cytowanej tu już jego rozmowie z szefem Gestapo, który zapytał go, po czyjej stronie opowie się Polska Policja w razie wybuchu powstania. Przymusiński odpowiedział milczeniem, a Niemiec powiedział: „brak odpowiedzi jest również odpowiedzią”.

Ul. Leszno

„OFICEROWIE MAJĄ TEŻ ODDZIAŁYWAĆ PRZEZ SWOJĄ KADRĘ podoficerską nie dopuszczając do dalszego obnaszania munduru Polskiej Policji po mieście z piętnem brutala, łapownika i łajdaka, który zasługuje tylko na takie traktowanie ze strony społeczeństwa, aby mu przyzwoici ludzie nie podawali ręki. Niechże policjanci wiedzą o tym, że ich władze przełożone nie zawahają się z wykorzystaniem uprawnień i sankcji kodeksowych.

Domagam się karnego ścigania ich występków. Omówiłem z prokuratorem Sądu Okręgowego tryb przyśpieszonego i surowego postępowania w takich wypadkach, a zwłaszcza w razie jaskrawej niesubordynacji, której winni będą natychmiast uwięzieni. Jeżeli dotąd z tego nie korzystałem, to obecnie gotów jestem zastosować takie postępowanie z całą bezwzględnością i polecam oficerom nie wahać się przed tępieniem zła tą drogą. Oficerowie nie uchronią się bowiem przed niebezpieczeństwem i obarczeniem ich odpowiedzialnością za rozwydrzenie ich podwładnych, jeżeli rozwydrzenie to będą tolerować”[11].

W mglisty kwietniowy poranek, po kolejnej trzeźwej, ale nieprzespanej nocy i po ponownej lekturze kilku ustępów z zapisków komendanta, Joachim Weiss wezwał Ernesta i kazał Kowalskiemu zawieźć ich do getta. Po drodze milczał. Nieoczekiwane spotkanie oko w oko z zamachowcem na Powązkach utwierdziło go w przekonaniu, że to właśnie on, nie „wąskonosy”, był zabójcą. Jeśli nie, to co bowiem robiłby na grobie ofiary? Ale to spotkanie uświadomiło mu także, jak trudno będzie jego romantyczne pragnienie zemsty wprowadzić w czyn. Nie mogąc zastrzelić zamachowcy ze względu na obecność Ernesta, Weiss zdał sobie jednocześnie i bardzo wyraźnie sprawę z tego, że przecież nie szło jedynie o to, żeby go zlikwidować. To nie mógł być po prostu strzał z odległości, jak do kaczkę, a tym bardziej nie strzał w plecy. To musiała być konfrontacja oko w oko. To musiała być poprzedzona sentencją wyroku egzekucja. Winny musiał wiedzieć przed śmiercią, za co ponosi karę...

Tak to wszystko widział Weiss oczyma wyobraźni, przewracając się bezsennością z boku na bok, ale w bladym świetle dnia te plany wyglądały mu na mrzonki. Był zły na siebie i na cały świat, że dał tamtemu czmychnąć. W drodze na Leszno liczył na to, że niepałający miłością do bolszewików Abraham – za odpowiednią cenę – podsunie mu trop dwóch malarzy. Siedzący obok Weissa jego zastępca z kolei liczył na to, że opisany mu przez szefa osobnik – ten Abraham – dostarczy jakichś nowych poszlak w kwestii zabójstwa Szulca. Tylko Kowalski nie miał żadnych złudzeń, że szukają wiatru w polu.

I rzeczywiście, po Abrahamie nie było na Lesznie ani śladu.

Brodząc w szparach zalegających schody, Weiss i Kempieński dotarli do mieszkania na drugim piętrze. Okute blachą drzwi były otwarte na oścież, a wewnątrz w niczym nie przypominało już ciepłego burżujskiego gniazdka, jakim Weiss zapamiętał je z pierwszej wizyty. Było do cna zdemolowane i ogołoczone ze wszelkich ruchomości; nawet parkiet był miejscami powyrywany z podłogi.

Nagle od strony kuchni rozległ się hałas. Obaj inspektorzy aż podskoczyli. Weiss zwinnie dobył z kabury broń i równie szybko ją opuścił na widok pary gołębi, która z furkotem wyleciała przez rozbite okno.

Ostrożnie weszli do pokoju jadalnego. Tam, gdzie poprzednio wisiła reprodukcja Watteau, ziała teraz w ścianie czarna dziura rozbebeszonego sejfu. Wokół na podłodze walały się papiery. Nie wypuszczając broni z ręki, Weiss podniósł ich plik, podszedł do okna i zaczął je przeglądać. Obligacje sprzed pierwszej wojny.

Kempieński wyjrzał w dół, na czekającego w samochodzie kierowcę.

– Musimy porozmawiać o Kowalskim, panie inspektorze... – powiedział niespodziewanie.

Weiss i Kempieński byli obserwowani. Para błyszczących brązowych oczu śledziła każdy ich ruch. Za półprzymkniętymi drzwiami, plecami do ściany przedpokoju stał kilkunastoletni obdartus, a tuż za nim czaiła się umorusana mała dziewczynka, z przejęciem przyciskająca do siebie obiema rękami z pół tuzina konserw.

– O Kowalskim? – zapytał Weiss. – A co znowu nabroił?

– Nabroił? – Z natury poważny Ernest był zdezorientowany.

Za drzwiami chłopak dał znak, żeby mała podała mu rękę. Pokręciła głową, a on zacisnął zęby i pogroził jej palcem.

Spojrzała na niego ze złością, kucnęła i patrząc na niego z wyrzutem, po kolei, jak tylko mogła najciszej, poodkładała puszki na podłogę.

Weiss usłyszał jakiś hałas i odwrócił głowę w stronę przedpokoju. Położył palec na ustach.

Cisza...

- Pewnie znowu gołębnie... – powiedział.
- Chodzi o zamach na inspektora Szulca...
- Nie powie mi pan chyba, że to sprawka Kowalskiego? – roześmiał mu się w oczy Weiss.

W tym momencie chłopak za drzwiami jedną dłonią chwycił małą za rękę, a drugą wskazał jej wyjście. Uniósł w powietrze kciuk i zaczął bezgłośnie odliczać do trzech: do kciuka dołączył palec wskazujący, dwa... a po nim środkowy... Trzy! Tupiąc drewnianymi podeszwami, rzucili się w stronę wyjścia.

Nagły hałas z przedpokoju wywołał u Weissa automatyczną reakcję. Inspektor obrócił się wokół własnej osi, rozrzucając wkoło wypuszczone z lewej ręki papiery, a prawą oddając trzy strzały z pistoletu w kierunku drzwi. Dwie z trzech kul przeszły drzwi tuż nad głową przebiegającej za nimi dziewczynki. Gdyby to był ktoś starszy i o parę centymetrów wyższy, to byłby trup na miejscu, ale zarówno chłopak, jak i jego mała towarzyszka zbiegli niedraśnięci.

Weiss wybiegł na korytarz i ze zdumieniem ujrzał na podłodze znajome puszek podarowane Abrahamowi przez Szulca.

- Panie inspektorze! – Ernest wybiegł za nim. – Kto to był?

Weiss rozłożył ręce. Wyjrzał na klatkę schodową i schował broń do kabury.

- A więc? Mówił pan o zamachu na Szulca.

- To nie był zamach na Szulca, panie inspektorze, tylko na Kowalskiego...

Zanim Weiss zdążył zareagować, usłyszeli ciężkie kroki na schodach. Zdyszany kierowca wpadł do przedpokoju.

- Wszystko w porządku, panowie oficerowie?

Weiss i Kempieński pokiwali głowami.

Samozwańczy „zabójca komendanta”

WSZYSCY BADACZE ZGODNIE PODKREŚLAJĄ, że zabójstwo Reszcyńskiego odbiło się w Warszawie bardzo szerokim echem. Krążyło mnóstwo domysłów co do tożsamości sprawców. Początkowo mało kto podejrzewał komunistów, bo mało kto o nich wtedy jeszcze słyszał, a Gwardia Ludowa pochwaliła się zamachem w swoim organie, „Gwardziście”, dopiero 12 kwietnia. Niemniej było o nim głośno, także w getcie.

Po wielu latach zamieszkały w Kanadzie uczestnik powstania w getcie i powstania warszawskiego – Avrom Feldberg – twierdził nawet, że nie kto inny, jak właśnie on jako dziewiętnastolatek dowodził pięcioma polskimi partyzantami, którzy „dokonali egzekucji szefa policji po aryjskiej stronie”.

Felbergowi mylą się daty, bo twierdzi, że zamachem dowodził jesienią 1942 roku. Prawdą natomiast wydaje się, że Felberg walczył w powstaniu w getcie i w powstaniu warszawskim, jak również i to, że trafił do obozu w Dachau. Po wojnie Feldberg mieszkał w Kanadzie, gdzie opowiedział swoją historię kronikarzowi Holocaustu, Alvinowi Abramowi.

Getto

PODCZAS GDY WEISS I KEMPIŃSKI PRZEBYWALI NA LESZNIE, o kilka zaledwie przecznic dalej major dokonywał zleconej przez jego niemieckich mocodawców lotnej inspekcji posterunków Polskiej Policji wokół okrojonego getta. Samochód kołysał się i bujał na kocich łbach opustoszałej ulicy. Major, a właściwie podpułkownik, na którego został promowany jako nowy komendant, nie mógł uwierzyć, że już ponad miesiąc minął od zabójstwa Reszczyńskiego. Tutaj w getcie, z którym wiązało się tyle koszmarnych wspomnień, wspominał go szczególnie intensywnie. Najgorsze były te egzekucje dokonane przez policję, zanim komendant postawił się Niemcom. Ale ostatnio każda kolejna inspekcja tu była jak wizyta w kolejnym kręgu piekła. Ile jeszcze tych kręgów pozostało?

Wraz z siedzącym obok niego jednookim komisarzem Rachoniem świeżo mianowany podpułkownik patrzył w milczeniu na zamurowane okna granicznych kamienic i na opustoszałe domy za murem. Getto było zdziesiątkowane i wydawało się nieme. Lada dzień miało zostać ostatecznie zlikwidowane.

– Liczę na to, że nasi ludzie nie zostaną wciągnięci w tę „akcję” – powiedział ni stąd, ni zowąd do Rachonia.

– To byłoby tragiczne. – Komisarz pokręcił głową.

Z mgły przed nimi wyłonił się niemiecki patrol pieszy. Żandarmi minęli samochód, zaglądając do środka, ale go nie zatrzymując.

– Dojdą pana pewnie pogłoski, że dezawuuje naszych ludzi w kontaktach z Niemcami – odezwał się podpułkownik. – Chcę, żeby pan wiedział, że robię to umyślnie. Powiem im, co tylko będzie trzeba, żeby nasi ludzie nie brali w tym udziału.

Nie było już wśród żywych tych, którzy bezskutecznie próbowali ucywilizować proces zagłady: Czerniakowa, Szeryńskiego i całego Judenratu. Tak jak po drugiej stronie muru nie było już Reszczyńskiego i wielu innych. Nieludzki proces destylacji poprzez głód, przemoc i wywózki pozostawił

w okrojonym getcie jedynie najsłabszych i najtwardszych. Przez wyłomy w murze płynęła broń.

Getto nie podda się bez walki, a Niemcy będą tym bardziej bezlitośni. Po co mieli by więc wciągać w to nas, którym tak głęboko nie ufają? – spekulował w myślach podpułkownik.

Ich kierowca ponownie zwołnił, bo z naprzeciwka szedł, a właściwie człapał patrol policji. Na widok opla komendanta policjanci dumnie wyprężyli się, wypięli piersi do przodu i dziarsko zasalutowali otwartymi dłońmi według niemieckiego regulaminu. Samochód się zatrzymał, a funkcjonariusze stali tak wyprężeni przez dłuższą chwilę. Wreszcie drzwiczki się otworzyły i z wnętrza wyłonił się oficer w granatowym szynelu. To, że drzwiczek nie otworzył kierowca, dało policjantom pewną nadzieję. Nie mylili się, bo z opla wysiadł nie komendant, tylko komisarz Rachoń.

Jednooki! Posterunkowi odetchnęli z ulgą...

Z wnętrza maszyny podpułkownik bacznie obserwował, jak Rachoń dokonuje lustracji mundurów i uzbrojenia patrolu, drobiazgowo, ale – jak to on – z pewną swadą, bo policjanci nie wyglądali na szczególnie spiętych. Właśnie to drażniło podpułkownika. Korciło go, żeby obsztorcować te dwie łajzy, tak jak zrobiłby to Reszczyński, ale przed inspekcją podjął mocne postanowienie, że wobec panującej sytuacji postawi dziś na podniesienie morale. A, że nie był jako dowódca typem „swojego chłopca”, do tej roboty zabrał więc Rachonia. Ten to umiał rubaszenie żartować z posterunkowymi. Hojnie częstował papierosami, a co drugiego znał z nazwiska. Było to o tyle imponujące, że do wojny służył w Krakowie. Ale był ciekaw tych, co z nim służyli, i obdarzony dobrą pamięcią do twarzy, więc znał z nazwiska chyba każdego warszawskiego policjanta. *Urodzony dowódca...* – pomyślał podpułkownik i zaraz się rozeźlił.

– A do diabła z tym! – warknął i zanim kierowca zdążył zareagować, wyskoczył z opla i ruszył w stronę patrolu. Jego natura służbisty wzięła nad nim górę. *Nie czas, na pieszczoty – myślał – jest wojna, a najgorsze jeszcze przed nami.*

Policjanci zamarli na jego widok, a Rachoń odwrócił się ku niemu zaskoczony. *Stary nie wytrzymał...*

Po nieudanej próbie podnoszenia morale przez komisarza Rachonia, podpułkownik już osobiście dokonywał inspekcji posterunków, a ich stan gotowości wypadł tak, jak się obawiał, czyli bardzo źle. Poczynając od drobiazgów, które do szewskiej pasji doprowadzały jego poprzednika – od tych wszystkich czapek na bakier, niedopiętych mundurów czy, o zgrozo, brakujących lub nieregulaminowych przy tych mundurach guzików – po dużo poważniejsze niedociągnięcia.

Na Franciszkańskiej od obu posterunkowych jechało wódką, a na Niskiej, nieopodal dawnego komisariatu, jeden był w sztok pijany. Kiedy nowy komendant lekko go popchnął dla pewności, posterunkowy zwał się na ziemię jak kłoda. Przy wyjeździe z getta na rogu Żelaznej i Leszna było jeszcze gorzej. Posterunkowy pełnił służbę samotnie, bo „kolega akurat, jak raz, musiał za potrzebą, panie komendancie”. Odczekali we trzech cały kwadrans, ale „kolega” przepadł jak kamień w wodę. Podpułkownik zrobił piekielną awanturę. Miał już dosyć inspekcji i postanowił wracać na komendę.

Po drodze Rachoń na próżno próbował poprawić szefowi humor, opowiadając, jak to komendant Reszczyński chwalił się guzikami z orzełkiem przy mundurze zamiast regulaminowych z syrenką. Ale ten nawet na niego nie spojrzał, tylko siedział sztywno wyprostowany ze wzrokiem wbitym w okno.

Jadąc Lesznem, z daleka zobaczył samochód stojący pod kamienicą o szczególnie złej sławie. Dobrze znał ten adres. Tym większe było jego zdziwienie, gdy w chwili, kiedy właśnie przejeżdżali obok, wyszedł z niej Weiss z jakimś drugim kripowcem.

A ten czego tutaj szuka? Dał kierowcy znak, żeby się zatrzymał.

Rachoń swoim zwyczajem powitał Weissa jak dawno niewidzianego bliskiego krewnego, a ten jak zwykle się przed nim opędał. Komendanta też zbył historyjką o śledztwie w sprawie zabójstwa swojego zastępcy Szulca. Najwyraźniej nie chciał gadać w obecności swojego zastępcy, kierowcy i namolnego Rachonia, więc wymieniwszy z nim jeszcze kilka grzeczności, podpułkownik zostawił go w spokoju.

Kiedy już dojeżdżali do Krakowskiego Przedmieścia, zapytał Rachonia:

– Dlaczego Weiss zawsze opęda się od pana jak od uprzykrzonej muchy?

Rachoń wykręcił głowę, aby popatrzeć na szefa swym jedynym okiem:

– Tak pan uważa? – zapytał zdziwiony. – Nie mam pojęcia. Zawsze bardzo go lubiłem. A może przypominam mu o skandalu?

– O zdradzie hrabiny?

Rachoń odchrząknął znacząco. Wyraźnie nie chciał wchodzić w szczegóły przy świadkach, więc kiedy wjechali już na dziedziniec komendy, podpułkownik odprawił kierowcę i usadowił się wygodnie w rogu siedzenia.

– Gadaj pan. Co tam się takiego wydarzyło?

– Pełniłem tej nocy służbę – zaczął Rachoń – i to ja wezwałem komendanta Reszczyńskiego...

– A co on miał wspólnego ze zdradą małżeńską?

– Panie komendancie! – zaśmiał się Rachoń. – Żeby tu chodziło o zwykłą zdradę! O, nie! Nasze koleżanki z obyczajówki przyłapały hrabinę Weissową *in flagranti*, proszę uważać: w bramie na Kazimierzu! Jako prostytutkę zabrały ją na

komendę i tam się dopiero okazało, kim jest, kiedy pokazała pierścień z herbem z trzema pałkami. Chociaż one jej nie wierzyły. Myślały, że go ukradła. Szczerze mówiąc, dowodem jej tożsamości okazała się najwykwintniejsza francuska bielizna. Zapachniało wielkim skandalem!

Komendant aż się klepnął w udo.

– Rany boskie!... Hmm, biedny Weiss.

– Pan komendant Reszczyński też tak uważał... – Pomimo że byli już sami, Rachoń zniżył głos i przysunął się bliżej do swego dowódcy. – ... nader dyskretnie więc ściągnął Weissa na komendę, przekazał wiarołomną pod jego pieczę, a całą sprawę kazał starannie zatuszować. Obyczajówkę i cały komisariat zaprzysiągł do milczenia. Ale Weiss ze wstydu i tak czmychnął do Wiednia i tam już pozostał. Aż do wojny...

„Ludzie z kontrwywiadu mówili niesłychanie pozytywnie o tej postaci”

PYTAM PROFESORA KUNERTA, kiedy po raz pierwszy usłyszał o sprawie Reszczyńskiego. Domyślam się, że pewnie jeszcze w „poprzednich czasach”...

– Zdecydowanie w poprzednich czasach, i to dość wcześnie. Skończyłem studia w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku, na dobrym uniwersytecie, na dobrym wydziale, u znakomitych profesorów. Już na trzecim roku wymyśliłem sobie temat pracy magisterskiej. Wymyśliłem, że będę pisał o podziemiu, że będę pisał o Armii Krajowej i że będę pisał o służbach specjalnych: kontrwywiad, sądownictwo, służby likwidacyjne. Wariacki pomysł, jak na tamte czasy. Oczywiście istniało ogromne ryzyko, że nikt mi nie zatwierdzi tego tematu. Nie na zasadzie czynników politycznych, tylko na zasadzie składu profesury. Bo wtedy – trudno w to uwierzyć, ale nie było żadnego seminarium poświęconego drugiej wojnie... I przyjął mnie profesor Holzer, który specjalizował się w faszyzmie, w totalitaryzmie i tak dalej... I powiedział mi otwartym tekstem: wie pan, ja nie mam zielonego pojęcia na temat, który jest strasznie fajny, ale musi pan sobie znaleźć jakiegoś autentycznego promotora. I ja wtedy z ulicy wszedłem do profesora Tomasza Strzembosza, który mnie natychmiast przyjął, co się skończyło wielką przyjaźnią paręnaście lat później. Ale oczywiście miałem pełną świadomość tego, że trzeba będzie trochę pogrzebać i spróbować wejść do tego zamkniętego środowiska wywiadowczego. I miałem bardzo dużo szczęścia, bo w tych latach siedemdziesiątych, z wyjątkiem dwóch czy trzech ludzi, których chciałem przepyttać, to właściwie dotarłem do wszystkich tych, do których chciałem. Żadnego z nich już nie ma, ale ja zdążyłem. I oni naprawdę mieli ten czas świeżo w pamięci. I dlatego zrobiłem ten skromny wtęt o mojej skromnej osobie. Po to, żeby powiedzieć, że ja już właśnie wtedy gdzieś tam w siedemdziesiątym piątym roku już o Reszczyńskim, o sprawie Reszczyńskiego, coś tam wiedziałem. Bo ci ludzie z kontrwywiadu mi o tym mówili. I mówili niesłychanie pozytywnie o tej postaci. Miałem to nieprawdopodobne szczęście, że prawie usynowił mnie pułkownik Wincenty Kwieciński, szef kontrwywiadu Okręgu

Warszawskiego AK, przed powstaniem i w czasie powstania w sztabie „Montera”. Wspaniała postać. No i dzięki niemu, bo jeżeli on ręczył za takiego szczeniaka, studenta czwartego czy piątego roku, to każdy mnie przyjmował. Ale naprawdę byłem wtedy świadkiem takich filmowych scen, jak to przy mnie ktoś wykonuje telefon do Argentyny, o ile pamiętam. Pani stoi na baczność, melduje się dowódcy i prosi o pozwolenie zwolnienia z przysięgi na godzinę, żeby odpowiedzieć na kilka pytań. Brzmi to nieco humorystycznie, ale oni niesłychanie poważnie to traktowali. I to były wczesne początki wiedzy mojej na temat. Właśnie od pułkownika Kwiecińskiego i od paru innych ludzi z bardzo profesjonalną wiedzą na temat mechanizmów rządzących konspiracją i okupacją wiedziałem trochę więcej o tym zjawisku policji, tak zwanej granatowej.

Ul. Poznańska

„FRYGA” WYSKOCZYŁA Z ZATŁOCZONEJ „TRÓJKI” i z ulgą odetchnęła świeżym wiosennym powietrzem. Niespiesznie obeszła plac Inwalidów dwa razy dookoła, upewniając się, że nikt za nią nie idzie, i skręciła w Czarnieckiego, a potem w Tanią. Uliczki były puste, a jej serce waliło coraz mocniej. Nie widziała się z mężem od dwóch tygodni.

Na Felińskiego też panował niewielki ruch. Niezauważona przez nikogo weszła do domu pod numerem 9 i znalazła mieszkanie „Marka”. Zapukała z pełną świadomością, że nie zna umówionego szyfru, ale była pewna, że kiedy „Jacek” ją przez judasza zobaczy, to ją wpuści do środka. Ustawiała się w takiej odległości od drzwi, żeby ją od razu zobaczył. Zapukała ponownie. Nic. Zza drzwi nie dotarł do niej żaden dźwięk, a w wizjerze nic się nie poruszyło. „Fryga” od kilku dni zbierała w sobie odwagę, żeby tu przyjechać wbrew surowym regułom konspiracji. Wystroiła się specjalnie dla „Jacka”. Założyła broszkę z feniksem. I nic. Za drzwiami panowała głucha cisza. Pomyślała, że nie mógł przecież ot tak sobie gdzieś wyjść, bo to nie było bezpieczne. A jeżeli coś mu się stało? I znowu serce zaczęło jej walić jak młotem. Postanowiła zapukać po raz trzeci i ostatni: nie mogła przecież wystawać pod drzwiami bez końca, bo to też mogło być niebezpieczne.

I dalej nic.

„Jacek” stał w ciemnym korytarzu tuż za drzwiami, mniej niż pół metra od swojej żony. Widział ją przez judasza, jak rozczarowana daje za wygraną i odchodzi ze zwieszoną głową. Otworzyłby drzwi i pobiegł za nią, gdyby nie „Tadek”, który stojąc plecami do drzwi, z lugerem w dłoni, tarasował mu drogę.

– Mówię ci, że jest sama – wyszeptał „Jacek”.

„Tadek” tylko pokręcił głową.

– Wszystkich nas naraziłeś, dając jej ten adres, rozumiesz?

W drodze do tramwaju, mniej więcej w połowie ulicy Taniej, „Fryga” poczuła nagle czyjąś dłoń, żelaznym uściskiem łapiącą ją za ramię.

– Idź dalej, jakby nigdy nic – wysyczał do niej „Tadek”.

Pomyślała, że jednak coś złego się stało. Nogi się pod nią ugięły, ale „Tadek” trzymał ją mocno.

– Co z „Jackiem”? – zapytała, nie patrząc na niego.

– Co ty wyrabiasz, dziewczyno? – agresywnie odpowiedział pytaniem na pytanie, również na nią nie patrząc – chcesz, żeby nas wszystkich przez ciebie aresztowali?

Początkowo chciał ją tylko odprowadzić do tramwaju, ale żeby mieć absolutną pewność, że znowu nie zrobi czegoś głupiego, pojechał z nią z powrotem aż do Marszałkowskiej i odprowadził do domu. Błagała go, żeby wszedł. Chciała dokładnie wiedzieć, co z „Jackiem”. Zgodził się. Gosposia podała im herbatę w stołowym.

– Powiem ci, że jest w bardzo bojowym nastroju – powiedział „Tadek”, kiedy zostali sami. – Słyszał, że podobno sikorszczacy zlikwidowali paru zdrajców. Podziało mu to na ambicję i pali się do roboty.

Tego właśnie „Fryga” się obawiała. Też słyszała o zlikwidowanych urzędnikach Arbeitsamtu.

– On się nie nadaje do akcji likwidacyjnych.

– Wiem... Ale za to jest dobry w kolejówkach – uśmiechnął się tajemniczo „Tadek”.

– ...więc będzie kolejówka?

Tego „Tadek” za nic w świecie by nie zdradził, a tym bardziej teraz, bo do pokoju właśnie weszła matka „Frygi”. Pocałował panią Eugenię szarmancko w rękę, a ona zapytała go z miejsca o „Jacka”.

– Bardzo się o niego martwimy – powiedziała.

„Fryga” zrobiła zniecierpliwioną minę. – A skąd pan ma wiedzieć, co z „Jackiem”? Nie powinnaś go o takie rzeczy pytać!

– Dobrze już, dobrze ... – uspokoił ją „Tadek”. – Wszystko w jak najlepszym porządku, pani profesorowo. Śle pozdrowienia!

– No widzisz! – powiedziała pani Eugenia do córki. – Ja dobrze rozumiem, co to konspiracja – powiedziała, patrząc jej głęboko w oczy.

„Fryga” nawet nie mrugnęła okiem.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, mamó.

Nagle z przedpokoju dobiegło ich natrętne pukanie do drzwi. Cała trójka znieruchomiała. Gosposia zajrzała do stołowego z pytającym wyrazem twarzy...

– Rany boskie, niech pan się schowa! – powiedziała do „Tadka” gospodyni, wychodząc za gosposią na korytarz.

– Mamo, poczekaj. – „Fryga” wybiegła za nimi, a „Tadek” niewiele myśląc, wyjął zza paska lugera i go odbezpieczył...

Gospoia zrobiła wielkie oczy.

– Czy jest tu kuchenne wyjście? – zapytał.

– Jest, ale... z kuchni – odpowiedziała.

Było już za późno. Przez szparę w drzwiach „Tadek” zobaczył, jak mężczyzna w czarnym mundurze wchodzi do mieszkania, a pani Eugenia zamyka za nim drzwi. Był sam. Była więc szansa... W tym momencie „Fryga” rzuciła się mężczyźnie na szyję. „Tadkowi” szczęka opadła ze zdumienia. Dopiero teraz rozpoznał jej ojca. Pośpiesznie ukrył pistolet za paskiem, wyszedł na korytarz i też się przywitał. Profesor był rozbawiony swoim psikussem. Jego czarny kolejarzski mundur z daleka rzeczywiście wyglądał groźnie.

– Przeszedłem tak całe miasto z pracy w lokomotywowni. Żeby pan tylko widział, jak ludzie mi schodzili z drogi!

„Strzał katyński”

O KATYNIU ŚWIAT DOWIADUJE SIĘ PO RAZ PIERWSZY w miesiąc po zabójstwie Reszczyńskiego.

Od dłuższego czasu zastanawiam się nad użytym przez Hankę określeniem śmiertelnego strzału oddanego do jej ojca, jako „typowego strzału katyńskiego”. To emocjonalne sformułowanie jest jednocześnie niezwykle przenikliwe. Zawiera nie tylko informację niejako kryminalistyczną – „ojcu strzelono z małej odległości w tył głowy”, ale niesie też ze sobą określony ładunek ideologiczny. Według Hanki jej ojciec nie tylko został zabity w ten sam sposób, co polscy oficerowie w Katyniu, ale też przez przedstawicieli tego samego systemu i z tych samych pobudek. Rzecz jasna, 5 marca 1943 roku o Katyniu w Polsce jeszcze nikt nie słyszał. Niemcy obwieścili światu swoje makabryczne znalezisko w lasach Kozich Gór dopiero miesiąc później. Ale kiedy już do tego doszło i kiedy stopniowo ujawniano, w jaki sposób ginęli Polacy w Katyniu, to skojarzenia wśród najbliższych Aleksandra Reszczyńskiego nie mogły być inne.

Komendant zresztą nieświadomie otarł się o katyński los we wrześniu 1939 roku, a mała Hanka była przy tym obecna i po latach opisała ten moment w swoich wspomnieniach.

W dwa tygodnie po ewakuacji policji z Poznania rodzina komendanta była już pod Równem, kiedy od wschodu uderzyli Sowieci. Reszczyńscy dołączyli się do przypadkowo spotkanej, silnie uzbrojonej kolumny policji i cofnęli się z nimi do Łucka. Na drodze dalszej ucieczki w kierunku zachodnim kolumna trafiła na przeszkodę. Łucki most nad Styrem był już obstawiony przez rosyjską forpocztę. Kilku polskich policjantów rzuciło już nawet na ich widok broń.

Reszczyński zagrał *va banque*. Wysiadł ze swojej limuzyny i z tą swoją władczą postawą i manierą po prostu kazał czerwonoarmiejcowi w budionowce przepuścić o wiele liczniejszą i lepiej uzbrojoną kolumnę polskiej policji...

Co prawda następnego dnia w Krystynopolu policyjna kolumna wpadła w ręce Niemców, ale przynajmniej nie podzieliła losu tysięcy innych polskich oficerów, którzy zostali wówczas internowani przez Armię Czerwoną.

Internowania i śmierci w Katyniu uniknęło też prawdopodobnie kilka tysięcy policjantów warszawskich. Stało się tak dzięki niesubordynacji ówczesnego komendanta Warszawy, pułkownika Kozielowskiego, który wbrew rozkazowi Naczelnego Wodza odmówił ewakuacji podlegających sobie sił. Przy wielu niechlubnych kartach w późniejszej historii warszawskiej „policji granatowej”, kto wie o ile gorzej wypadłaby ta formacja, gdyby nie ten solidny trzon przedwojennych policjantów, którzy dzięki Kozielowskiemu pozostali w stolicy?

Hanka ma rację. W pewnym sensie jej ojca spotkał katyński los, tyle że nie w 1940 w Katyniu a trzy lata później w Warszawie.

Jak inaczej określić tę sytuację? Działającą pod auspicjami Moskwy bojówkę, nocne przesłuchanie i strzał w potylicę? Nawet jeżeli żaden z zamachowców nie miał bezpośredniego kontaktu z NKWD, to już ich wszyscy mocodawcy z Komitetu Centralnego PPR, z jego I sekretarzem Pawłem Finderem na czele, byli szkoleni przez NKWD przed przetrzuceniem do Polski.

Chociaż te analogie i powiązania personalne wydają mi się dosyć przekonujące, to bez wątpienia do wyobraźni jeszcze bardziej przemawia symbolizm samej daty zabójstwa podpułkownika Reszczyńskiego.

Tak zwana „decyzja katyńska” podjęta była w marcu 1940 roku. Na miesiąc przed rozpoczęciem masowych egzekucji. Sekretarz Biura Politycznego Komitetu Centralnego Partii Komunistycznej Bolszewików, Narodowy Komisarz do Spraw Wewnętrznych, Ławrentij Beria, pisze do Stalina o 24 700 polskich jeńcach wojennych i aresztowanych, twierdząc, że NKWD, „biorąc pod uwagę, że wszyscy oni są zatwardziałymi i niepoprawnymi wrogami władzy sowieckiej”, uważa za niezbędne, by ich sprawy „rozpatrzyć w trybie specjalnym, z zastosowaniem wobec nich najwyższego wymiaru kary – rozstrzelania”.

Stalin aprobuje. Zamaszystym podpisem na pół strony posyła Polaków na śmierć. Wszystko to ma miejsce 5 marca 1940 roku.

Aleksander Reszczyński zostaje zamordowany 5 marca 1943 roku, dokładnie w trzecią rocznicę „decyzji katyńskiej”.

Ul. Koszykowa

GORYCZ PORAŻKI, jaką odczuwał w związku ze sprawą komendanta, osłodził nieco Weissowi jego zastępca, który po nitce do kłębka doszedł do tego, co naprawdę stało się przy ulicy Nabelaka. Weiss musiał przyznać, że Ernest Kempieński spisał się na medal. W rekordowo krótkim czasie – jak na I Komisariat – udało mu się ustalić, że jego poprzednik, Szulc, wcale nie był celem zamachu. Było to tym większe osiągnięcie, że prawdziwy cel zamachowców, czyli Kowalski, złożył w śledztwie wykrętne zeznania. Dopiero analiza balistyczna naprowadziła Kempieńskiego na właściwy trop. Analiza przebiegu toru pocisku – która, tak jak ekspertyzy grafologiczne i inne nowoczesne narzędzia kryminalistyczne nie była często stosowana przez śledczych I Komisariatu – przy tej okazji pomogła szybko wyjaśnić skrzętnie ukrywany przez Kowalskiego przebieg zajścia. Nie przybliżyło to jednak śledczego do odnalezienia sprawców, bo kierowca uporczywie zasłaniając się szokiem, twierdził, że niczego nie pamięta.

Jedynym tropem pozostały wyniki przeszukania mieszkania przy Nabelaka zajmowanego przez Szulca z rodziną, włącznie z teściem, Kowalskim. Zgodnie z przeczuciami Weissa śledczy znaleźli tam małą fortunę: ponad tysiąc dolarów w banknotach i złotych monetach, drogie kamienie i kosztowności oraz prawdziwy skarb – czyli pół tuzina honduraskich paszportów, wartych na czarnym rynku po tysiąc dolarów za sztukę. Z takim to cennym bagażem Ernest Kempieński zjawiał się rano u swojego szefa, który umieścił depozyt w szafie pancерnej.

Okna gabinetu Weissa wychodziły na Park Ujazdowski i pomieszczenie wypełniało tego przedpołudnia łagodne kwietniowe słońce. Stojąc w tym świetle naprzeciw jego biurka, Ernest wyraźnie ociągał się z wyjściem. W końcu przyznał się, że nie bardzo wiedział, co dalej począć z kierowcą.

– To wszystko – wskazał w stronę sejfu – zarobili razem z Szulcem. Ale Kowalski uporczywie twierdzi, że o niczym nie wiedział...

– Naprawdę? – roześmiał się Weiss. – No wie pan... trudno mu się dziwić. Przecież Gestapo ma gdzieś, to kto zabił inspektora Szulca. Zapewniam pana, że z całego naszego dochodzenia zainteresuje ich wyłącznie to, co właśnie umieściliśmy w sejfie. To i nasz pan Kowalski... – Tu Weiss westchnął głęboko. – Będą się chcieli koniecznie od niego dowiedzieć od kogo, za co i dlaczego nie dostali swojej doli. Sytuacja nie do pozazdroszczenia!

– Co pan wobec tego rozkaże? Dać mu spokój?

– W żadnym wypadku! Proszę wszystko dokładnie opisać w protokole.

Odczekawszy, aż Ernest późnym popołudniem opuści komendę, Weiss wezwał Kowalskiego i kazał mu się odwieźć do domu. Było to bardzo blisko i inspektor zazwyczaj pokonywał tę trasę na piechotę, więc kierowca z góry przeczuwał nieprzyjemności. Kiedy dotarli na miejsce i chciał właśnie wyskoczyć z samochodu, żeby otworzyć mu drzwiczki, Weiss przyłożył mu do pleców lufę pistoletu.

Kowalski zamarł w bezruchu. Teraz już nie miał żadnych wątpliwości. Stary ostatecznie zwariował.

Weiss sięgnął zza fotela drugą ręką i wyjął mu z kabury pistolet.

– Panie inspektorze, nie, błagam...

– Ani słowa! Broń dostaniesz z powrotem, kiedy wreszcie dostarczysz mi zabójcę pułkownika, tak jak obiecałeś.

– Błagam... zabiją mnie... już raz do mnie strzelali... – bełkotał Kowalski.

Weiss wysiadł i obszedł samochód dookoła. Oparł się o drzwiczki kierowcy i Kowalski pospiesznie odkręcił szybę.

– Mam na biurku gotowy raport z Nabelaka, a w sejfie wszystkie wasze łupy. Mam nadzieję, że sprawiedliwie się dzieliliście z chłopakami z Szucha... Bo jeżeli nie, to po moim raporcie zrobią z ciebie marmoladę...

Jerzy Ślaski: „Czarny i biały nie wystarczają...”

JEŚLI NIE LICZYĆ OPINII GOMUŁKI I HISTORYKÓW PARTYJNYCH, to wspomniane już przez mnie umieszczenie nazwiska Reszczyńskiego w indeksie „funkcjonariuszy aparatu terroru” w książce *1859 dni Warszawy* przez Władysława Bartoszewskiego, było przykładem bodaj najsurowszej oceny postaci pułkownika w literaturze przedmiotu. Żaden liczący się historyk nie nazwał pułkownika wprost kolaborantem.

W swoim monumentalnym opracowaniu *Polska Walcząca* profesor Ślaski pisze o Reszczyńskim jak o „osobistości niewątpliwie kontrowersyjnej” i dosyć brutalnie przeciwstawia go służącym „w szeregach policji granatowej ludziom godnym najwyższego szacunku i pracującym dla Polski”. Sam pisze jednak dalej, że mnożenie przykładów kolaboracji z jednej strony i bohaterstwa granatowych policjantów z drugiej jest pozbawione sensu, i sugeruje, że prawda leży gdzieś pośrodku.

Nie zestawiając bezpośrednio tych trzech postaci, poza Reszczyńskim, Ślaski pisze w tej samej części *Polski Walczącej* o jego poprzedniku na stanowisku komendanta, Marianie Kozielskim, i o następcy, Franciszku Przymusińskim. Tak jak Reszczyński, oni też, chociaż z różnych przyczyn, okazują się w ostatecznym rachunku postaciami tragicznymi.

Marian Kozielski, komendant stolicy we wrześniu 1939 roku, z początkiem okupacji niejako automatycznie staje na czele policji pod kontrolą niemiecką. Z całej trójki komendantów to właśnie on najaktywniej angażuje się w działalność wolnościową, ale jego aresztowanie wraz z całą kadrą oficerską i zsyłka do Oświęcimia w słynnym „pierwszym transporcie warszawskim” najprawdopodobniej nie miały nic wspólnego z jego działalnością podziemną na stanowisku komendanta. Ślaski pisze, że aresztowano go za wystawianie aryjskich dokumentów Żydom. W każdym razie Kozielski zostaje z Oświęcimia zwolniony (najprawdopodobniej wykupiony) i wraca do

Warszawy. Powróciwszy, rzuca się w wir konspiracji. Stoi na czele policji Delegatury Rządu, czyli Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa a potem walczy w powstaniu.

Najciężej i z mieszanymi wynikami pracował na reputację „pracującego dla Polski” pochodzący z Pomorza absolwent niemieckiej akademii policyjnej i kawaler Krzyża Żelaznego z pierwszej wojny, pułkownik Przymusiński. Ślaski przytacza budującą opowieść o tym, jak Przymusiński bohatersko upierał się wobec Niemców przy swej polskości. Przyparty do muru pytaniem, po której stronie znajdzie się Polska Policja w razie powstania, Przymusiński uparcie milczy, a Geibel, warszawski dowódca SS po Kutscherze, konkluduje, że „milczenie też jest formą odpowiedzi...”.

Jak więc ocenić, który z nich był dobrym Polakiem, a który służył Niemcom? Może najlepiej przyjąć za Ślaskim, że „dwa kolory – czarny lub biały – nie wystarczają, by oddać wielość i różnorodność ludzkich poglądów, postaw i zachowań”[12].

Ul. Chocimska

„PEWNA TRUDNOŚCIĄ W ZWALCZANIU DEMORALIZACJI czy wręcz przestępczości w policji stanowi fakt posuwania się niektórych funkcjonariuszy do składania z zemsty donosów na swych przełożonych do władz niemieckich. Zdeprawowani policjanci w razie potępienia ich bezceństw przez przełożonych uciekają się do pisania anonimowych gróźb oraz insynuacji. Władze niemieckie zapewniają, że są zdania, iż oficer, na którego piszą anonimy jego podkomendni, na pewno jest odpowiednim jako czynny i energiczny. Sam również otrzymuję od policjantów anonimy z pogrózkami i reaguję na to właśnie wzmocnieniem dyscypliny służby”[13].

Zmagając się nie tylko z pułapkami polszczyzny jako takiej, ale także z zawikłym charakterem pisma komendanta, Weiss z najwyższym trudem przebrnął przez cały jego pamiętnik dopiero po miesiącu. Zakończył lekturę w niedzielne popołudnie w połowie kwietnia, nie znajdując żadnych innych zapisków, ani nawet zawołowanych wzmianek na swój temat, co jednak go nie uspokoiło. Zawartość wyrwanych stron pozostawała zagadką. Weiss żywił nadzieję, że komendant zabrał ich wspólną tajemnicę ze sobą do grobu, tym bardziej we wspomnieniach koncentrował się raczej na wcześniejszych latach, na problemach, jakie miał z „Hromadą”, kiedy służył w Wilnie, a z narodowcami i z Ukraińcami we Lwowie. Kolejny rozdział, krakowski, urywał się na pogrzebie Piłsudskiego, za którego organizację był odpowiedzialny jako komendant miasta. Weiss sam dobrze pamiętał tę okazję, na którą zjechały się głowy państw z całej Europy i nie tylko.

Reszczyński opisywał, jak przez bite trzy tygodnie przed uroczystościami praktycznie mieszkał w komendzie, zajmując się przygotowaniem do uroczystości na Wawelu i jak wszystko potem poszło jak z płatka. Przygotowania były tak gruntowne, że nawet do krakowskiej obyczajówki dokooptowano cztery policjantki, dla lepszej kontroli nad miejscowymi „córkami Koryntu” przy tak

solennej okazji. Tak się składało, że o efektywności tej wzmocnionej jednostki, niedługo po pogrzebie Piłsudskiego, Weiss przekonał się na własnej skórze. To ewentualny opis lub nawet aluzje do tego właśnie epizodu tak się bał znaleźć na kartach pamiętnika, ale dyskretny Reszczyński nie wspomniał o nim w żaden sposób. Nie wspomniał też o roli, która mu z urzędu przypadła w głośnych wypadkach krakowskich, a którą przypłacił przeniesieniem do Poznania, ani o kolejnym swoim spostponowaniu przez władze policyjne: przeniesieniu, tuż przed wojną, do Lublina. Zamiast tych historii z Krakowa w 1935 roku komendant przeskoczył prosto do roku 1939 i do tego, jak po bitwie pod Krystynopolem trafił do niemieckiej niewoli. Pisał o tym, jak zażądał od Niemców, żeby „nie zawracali sobie głowy szeregowymi, wzięli jako jeńców wyłącznie nas, oficerów”.

Weiss pokręcił głową, czytając te słowa. – *Typowy Reszczyński! W niewoli dyktuje warunki* – pomyślał. „Zażądałem od Niemców...” Dobrze sobie! Ta pewność siebie w każdej sytuacji. Weiss mógł przysiąc, choć nie miał na to żadnych dowodów, że Reszczyński w taki sam sposób rozmawiał ze swoimi zabójcami. A może dlatego nie zastrzelili go od razu?

Wtedy, w roku 1939, Niemcy nie tylko przystali na żądanie komendanta, ale nawet bez żadnej obstawy puścili go na kwaterę pożegnać się z rodziną.

„Hanusia wybiegła do mnie z otwartymi ramionami: Tato puścili cię! Niestety musiałem jej powiedzieć: Nie wypuścili mnie, kochanie. Dałem im słowo honoru, że wrócę, i pozwolili mi się pożegnać z rodziną...”

W tym miejscu i w taki symboliczny sposób – na pożegnaniu z rodziną – kończyły się zapiski Aleksandra Reszczyńskiego. Zajmowały trochę więcej niż połowę objętości brulionu. Weiss przewertował ostatnie, niezapisane strony, z głębokim westchnieniem zamknął marmurkową okładkę i popatrzył przed siebie. Za oknem słońce chyliło się ku zachodowi, malując szare tynki kamienic na różowo.

Myślał o tym, że trochę mniej niż połowa niezapisanych kartek w brulionie to tak jakby trochę mniej niż połowa życia, którą miał przed sobą czterdziestodwuletni pułkownik. Jakby wyglądały jego dalsze losy, gdyby nie został zamordowany? Czy dożyłby spokojnej starości? Weiss wątpił w to. Na czyjąkolwiek stronę nie przechylił się w końcu szala wojny, to dumny komendant i tak byłby solą w oku zwycięzcy.

Jak to bywa po lekturze czyichś wspomnień, Weiss zaczął myśleć o swoim losie i perspektywach. O swoim życiu, które komendantowi zawdzięczał, a które wojna też może w każdej chwili brutalnie przerwać. Czy zrobił ze swojego życia dobry użytek?

Od swojego wymuszonego powrotu z Krakowa do Wiednia Weiss wpadł tak jak Reszczyński w tryby policyjnej maszyny, z tą różnicą, że ta wiedeńska była już pod rządami hitlerowców i o jakiegokolwiek apolityczności nie mogło być mowy. Stąd niczego dobrego nie mógł zrobić i nic od niego nie zależało. I tak się to ciągnęło, aż do zabójstwa tego, który go ocalił. Tragedia pułkownika dała mu szansę na godny uczynek. Dzięki niej ma szansę na heroiczny akt. I dokona go, choćby to miało być ostatnie, czego w życiu dokona.

Popatrzył na zegarek. Była piąta po południu. Kowalski miał jeszcze godzinę na dostarczenie mu adresu kryjówki zamachowców.

Dwie wystawy

W MAJU 1936 ROKU, W LOKALU GOSPODY WSM NA ŻOLIBORZU, pomimo niewielu wzmianek prasowych, co najmniej ponad tysiąc osób obejrzało obrazy, rysunki, grafiki i fotomontaże Bobowskiego, Bartosza, Bermana i innych członków „Czapki Frygijskiej”.

Prace wszystkich trzech znalazły się rok później na wystawie Warszawskiej Grupy Plastyków „Czapka Frygijska” w Krakowie. Zygmunt Bobowski – wspomina w latach sześćdziesiątych Berman – powrócił z wernisażu do Warszawy z opowieściami o zainteresowaniu, jakie wywołała „wśród krakowskiej publiczności robotniczej i inteligencji postępowej”. Sęk w tym, że kiedy po trzech tygodniach wrócił do Krakowa zamknąć wystawę, to była już ona zamknięta... od trzech tygodni, bo nikt na nią nie chodził.

W związku z obiema wystawami nie mogę nie zauważyć, że:

Wystawa warszawska odbywa się przy Krasińskiego 10, o jakieś trzysta metrów od miejsca, gdzie siedem lat później dwóch z pokazujących na niej swe prace artystów weźmie udział w zabójstwie komendanta Reszczyńskiego.

Wystawa krakowska, a ściślej rzecz biorąc, jej otwarcie i zamknięcie, zbiegają się w czasie z procesem uczestników wydarzeń krakowskich z marca poprzedniego roku, podczas których podinspektor Reszczyński wydaje swoim oddziałom rozkaz otwarcia ognia. Podczas relacjonowanego obszernie na łamach lewicowej prasy procesu pół setki oskarżonych często pada jego nazwisko.

Przypuszczam, że o ile nie zetknął się on z tym nazwiskiem wcześniej, to przebywający wówczas w Krakowie Bobowski nie może nie interesować się trwającym tam procesem. Wśród krakowskich oskarżonych przeważają co prawda bezrobotni i żydowska biedota miejska, ale dla ideowca Bobowskiego i jemu podobnych rzecz idzie o słuszną walkę proletariatu.

Wypadki krakowskie mają miejsce w czasie przygotowań członków „Czapki Frygijskiej” do wystawy warszawskiej. Na niej – miesiąc po wypadkach

krakowskich – Bobowski wystawia cykl rysunków, opisanych przez Bermana jako pokazujące „konflikty między robotnikami, a fabrykantami i policją”.

Tuż po zamknięciu wystawy Bobowski zostaje aresztowany. Podstawą aresztowania jest według Bermana list z opisem wystawy i prac Bobowskiego znaleziony podczas rewizji u adresata przez lwowską policję. Pretekst wydaje się wątpliwy, ale aresztowanie było faktem[14].

Ul. Lwowska 13

KOWALSKI, BOLEŚNIE ŚWIADOM PRESJI CZASU, zdecydowanym krokiem przemierzał właśnie podwórze w oficynie kamienicy przy Lwowskiej. Dodawał sobie tym wojskowym krokiem odwagi. W głębi ducha czuł się goły i bosy bez skonfiskowanej przez Weissa broni przybocznej. Strzelając do niego na Nabelaka, bandyci przypadkowo zlikwidowali znacznie większą szyszkę niż on i Kowalski modlił się, żeby ich to na razie zadowoliło. Modlił się także o to, by zamachowcami okazali się akowcy, a nie komuniści, do których gniazda, nieuzbrojony, właśnie zmierzał.

Mijając stojącą w podwórku figurę Pana Jezusa, przeżegnał się w myślach i wszedł do klatki schodowej w kształcie elipsy. Jego obecność na posesji nie umknęła uwadze wiecznie przesiadujących w oknach sąsiadek. Chociaż był po cywilnemu, to na twarzy wypisane miał lata wytężonej policyjnej służby. Gdzieś na górnych piętrach ktoś chował w pośpiechu bibułę, a ktoś inny z ciężko bijącym sercem wchodził do skrytki. Stary tajniak czuł przez skórę ten niepokój gołębi na widok kota. Nawet lubił ten dreszczyk strachu, który wywoływał swoją obecnością. W tej chwili pomagał mu on zapomnieć o tym, jakie niebezpieczeństwo groziło mu ze wszystkich stron.

Elipsoidalnymi schodami dotarł na trzecie piętro i zdyszany podszedł do drzwi Walczaków.

Walczak należał do śródmiejskiej Gwardii. Przed wojną, po powrocie z Hiszpanii, został policyjnym konfidentem, a teraz też pracował na obie strony. Policji donosił na komunistów, a komunistom na policję. Z Walczakiem łączyło go wiele godzin spędzonych wspólnie przed wojną w zakonspirowanych pomieszczeniach policji politycznej na rogu Marszałkowskiej i Złotej. Po trzech dniach, które młody weteran hiszpańskiej wojny domowej przesiedział w bezruchu na krześle bez jedzenia i picia, Kowalski kazał go zawlec do sąsiedniego pokoju tortur. Tak przynajmniej wyglądało to pomieszczenie,

w którym królowała drewniana ława z rzemiennymi pasami i duży stół wypełniony gumowymi i stalowymi pałkami, kajdanami i prętami. To, czego nie osiągnęły trzy dni unieruchomienia i głodówki, widok pokoju tortur uczynił w okamgnieniu. Po tym, czego doświadczył w Hiszpanii, gdzie obie strony stosowały najwymyślniejsze męczarnie, Walczak natychmiast się załamał. Skazany potem dla niepoznaki na pół roku więzienia, posłusznie został konfidentem, i to w dodatku bardzo gorliwym.

Kowalski zapukał do drzwi na trzecim piętrze, jak mógł najdelikatniej, ale tak jak jego oblicze, jego sposób pukania nosił na sobie piętno dekad policyjnej służby. Otworzyła mu zapłakana kobieta.

– Staszek w domu?

Matka Walczaka poznała go od razu i wpuściła do mieszkania, po czym oparłszy się o nie plecami, zanosła się szlochem.

– No i czego pani płacze, przecież mnie pani zna! – zżymał się Kowalski.

– Znam, znam! Z sądu!

– Dawne czasy...

W drzwiach w końcu korytarza pojawiła się kobieta w towarzystwie dwójki zasmarkanych dzieci.

– Gdzie Staszek? – rzucił w jej kierunku Kowalski, ale ona tylko odwróciła się na pięcie i zagarnawszy dzieci, zamknęła za sobą drzwi.

– Nie ma go – wychlipała matka.

– A gdzie jest?

Kobieta znowu zanosła się płaczem.

– Na Pawiaku! Spóźnił się pan sierżant...

Kowalski zaklął szpetnie i wybiegł z mieszkania. Czas uciekał. Ale zanim jeszcze dotarł kręconymi schodami na parter, doszedł do wniosku, że z aresztowanego Walczaka może być nawet większy pożytek, bo może być skłonniejszy do współpracy. Musiał tylko dotrzeć do Weissa, przedstawić mu sytuację i błagać o odroczenie dymisji. Bez kripowskiego munduru i broni był chodzącym trupem. Mniejsza o córkę i wnuki, które pozostały na jego utrzymaniu. Przez ostatnie dwa lata dosyć się z zięciem obłowił, żeby dać radę ich wyżywić, a nie wszystko chował w mieszkaniu. Ale bolszewicy! Ci nigdy mu nie podarują. Ten nowy, Kempieński, dobrze wywęchał, kto był rzeczywistym celem na Nabelaka. Bo ci trzej czekali na niego, nie na Szulca. Strzelali do niego przez okno od strony kierowcy, a kiedy ruszył z piskiem opon, to podziurawili kulami całą lewą stronę opla. Szulcowi dostało się dopiero wtedy, kiedy na odgłos strzałów niepotrzebnie wybiegł z domu, ale celem był on, Kowalski. Napisali potem w jakiejś gazecie, że Szulca zlikwidowali niby to za wydawanie

Żydów, ale on dobrze wiedział, że tak naprawdę to chodziło o niego i o dawne, przedwojenne sprawy...

Co czuje wykonawca wyroku śmierci w imieniu podziemia?

JEST LUTY 2016. Jadę do Londynu, osobiście porozmawiać z panem Januszem Cywińskim.

– Pułownika Reszczyńskiego nie zamordował zwyczajny oddział, tylko specgrupa sztabu głównego, od specjalnych poruczeń można powiedzieć. Czy dobrze rozumiem, że pan zajmował się podobnymi zadaniami w szeregach Armii Krajowej?

– Robiłem to, co mi kazali. W jednym wypadku przeprowadzałem likwidację, razem z grupą kilku tych chłopców, którzy ze mną pracowali u Kozubowskiego. Rozstrzelaliśmy czternaście osób. Za to, że wydawali Żydów do likwidacji Niemcom.

– Jak to wyglądało?

– Tak, że przyszedł rozkaz likwidacji tych gestapowców i trzeba było tę likwidację wykonać w ciągu następnych kilku godzin. Kontrwywiad Armii Krajowej otrzymał informację o tych, których szukał i do których się dobierał, bo przeprowadzali likwidację Żydów, wysyłając ich do Hotelu Polskiego. Ustalono zostało, że szef tego oddziału będzie na kolacji w małej restauracji na rogu Nowogrodzkiej i Marszałkowskiej. I to była pierwsza możliwość przeprowadzenia tej likwidacji, bo wcześniej nie można było do niego podejść. To był pierwszy taki wypadek i w związku z tym był rozkaz Chruściela, żeby robić likwidację natychmiast. Czasu mieliśmy na to raptem dwie godziny. Za mało, żeby wydać polecenie organizacji, takiej jak Kedyw, czy tym oddziałom AK, które się tym zajmowały. I w związku z tym jedyne rozwiązanie było takie, żeby ta grupa u Kozubowskiego, która miała zupełnie inne zadania, ze względu na wiek (od szesnastu do osiemnastu lat) zajmowała się obserwowaniem. Tak zwana inwigilacja, to było jej jedyne zadanie. Ale to była jedyna grupa, która była pod ręką, którą można było wykorzystać. Dlatego ta grupa dostała rozkaz

wykonania tych likwidacji. Strzelaliśmy w restauracji na Nowogrodzkiej, a potem w mieszkaniu prywatnym na Solcu...

Ul. Koszykowa

WALCZAK TRAFIŁ NA PAWIAK oskarżony bardzo ogólnym podejrzeniem o działalność komunistyczną i groziło mu rozstrzelanie, ale przy odrobinie szczęścia mógł jeszcze trafić do transportu do Oświęcimia lub któregoś z obozów na terenie Rzeszy. Tak przynajmniej wyklarował mu to Kowalski, zanim inspektor Weiss dołączył do nich w podziemnym pomieszczeniu z granatowo-zieloną lamperią i kamienną posadzką.

Kowalski ubłagał Weissa, aby dał mu ostatnią szansę z Walczakiem i ten go nie zawiódł. W czasie przesłuchania aresztant śpiewał jak z nut. Rzucił na prawo i lewo adresami, pseudonimami i funkcjami partyjnymi w takim tempie, że protokolant ledwie mógł za nim nadążyć. Niestety, o zamachu na komendanta nic nie wiedział, poza tym, że dowódcą oddziału specjalnego sztabu był przedwojenny wojskowy, „Wiktor”.

W tym miejscu Weiss i Kowalski wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Ten Walczak był nie w ciemną bity. Wiedział, że „Wiktor” poległ i nie można go już było obciążyć.

Weiss postanowił, że czas już przejść do sedna. Odprawił protokolanta i eskortę, po czym wstał i podszedł do przesłuchiwanego.

– Interesuje mnie wyłącznie dowódca zabójców komendanta, czyli „Jacek”, ewentualnie jego współnik „Tadek”!

– Nie znam żadnego „Jacka” ani „Tadka”, panie Sturmbannführer – powiedział Walczak, patrząc na niego. Po przesłuchaniach na Pawiaku oczekiwał w tym momencie nieuniknionego ciosu, ale Weiss tylko wzruszył ramionami.

– Nic nie szkodzi. Wyjdzie pan na wolność i znajdzie pan ich dla mnie.

– Na wolność, panie Sturmbannführer? – zapytał z niedowierzaniem Walczak.

– Pan ma matkę, żonę i dzieci! Na pewno się ucieszą...

Walczak powoli pokiwał głową na znak, że rozumie i ofertę, i groźbę.

– Zbiegnie pan z transportu w drodze powrotnej na Pawiak – kontynuował Weiss: – Kowalski się tym zajmie.

– Rozumiem...

– Tylko najpierw trzeba mu zdrowo dać po mordzie, panie inspektorze, bo inaczej od razu poznają, że kapuś – odezwał się milczący dotąd Kowalski.

– Święta racja! – podchwycił Weiss i załomotał w drzwi: – Strażnik!

– Panie Sturmbannführer! A może pan Kowalski by to zrobił? – zaproponował nieśmiało Walczak. – Zawszeć to swój...

„Granice konieczności życiowej”

– PANIE PROFESORZE – pytam Andrzeja Krzysztofa Kunerta – a dlaczego właściwie GL miałyby zastrzelić Reszczyńskiego?

– Ciężko powiedzieć...

– Bo najwybitniejsi znawcy przedmiotu, tacy jak profesorowie Ślaski i Strzembosz, piszą, że właściwie to mogło być nieporozumienie, samowola...

– Tu znowu trzeba by paręnaście zdań poświęcić na wyjaśnienie czytelnikowi tego, że była ogromna różnica, taka absolutnie ideowa, na zasadzie fundamentu, między polskim państwem podziemnym i jego siłą zbrojną a komunistami. W tym sensie, że polskie państwo podziemne naprawdę robiło wszystko, co było możliwe. Ja naprawdę kilka lat się tym sądownictwem podziemnym zajmowałem i trochę wiem na ten temat: robiono naprawdę wszystko, żeby działać w ramach prawa. Zdawano sobie świetnie sprawę, że każda okupacja demoralizuje. Zdawano sobie znakomicie od początku sprawę, że trzeba nie tylko uregulować wymiar sprawiedliwości, ale że trzeba wziąć pod uwagę zwykłych ludzi, którzy muszą utrzymać rodzinę, zarobić na chleb, więc podejmują pracę w jakichś instytucjach mieszczących się w strukturach okupacyjnych... I wymyślono strasznie fajną rzecz, a mianowicie ileś tam różnych instrukcji zachowania się. Dość wcześnie się o tym dowiedziałem, strasznie mi się to spodobało i zawsze uważałem to za szalenie ważną rzecz, jeżeli oceniamy realnie to państwo. Wymyślono taką genialną tezę wyrażającą się trzema słowami: „granice konieczności życiowej”. Wszystko to, co się mieści w tych ramach, jest dopuszczalne, a wykroczenie ponad to już może być karalne, a na pewno piętnowane. To nie musi być czyn zasługujący na karę śmierci, to może być po prostu nadgorliwość na stanowisku, które samo w sobie jest dopuszczalne.

– Służenie – tak, wysługiwanie się – nie?

– Tak. Ale oczywiście jeszcze większą uwagę zwracano na to, że piętnowanie publiczne było w porządku. To było tam ładnie zróżnicowane: napiętnowanie

publiczne, infamia i tak dalej. I generalnie sądownictwo dzieliło się na trzy kategorie: wojskowe sądy specjalne i wewnętrzne, sądy cywilne dla obywateli Rzeczypospolitej i komisje piętnujące do spraw niższej kategorii, niezasługujących na karę śmierci. Przyjęto tę logiczną zasadę. W związku z tym zawsze mnie śmieszyło, kiedy mówiono o „wykonaniu wyroku na Kutscherze” i tak dalej. Nie było oczywiście żadnych wyroków śmierci na Niemców. Wymiar sprawiedliwości polskiego państwa podziemnego obejmował obywateli Rzeczypospolitej i naprawdę tego pilnowano. Ja znam większość kawałków, bo komplety aktów sądowych się nie zachowały. Ale kawałki się zachowały, rozsypane... I to jest materiał fascynujący: jak można w warunkach takiego terroru i takiej dysproporcji sił i środków, nie dysponując żadnymi klasycznymi środkami technicznymi, jednak sprawić, że był to dość skuteczny wymiar sprawiedliwości, działający rzeczywiście odstraszająco. Te różne legendy o przysyłaniu Niemcom wyroków śmierci na piśmie do domów to bzdura. Ale niemiecka panika, którą mamy odnotowaną w źródłach, wśród tych, którzy to otrzymywali, pokazuje, że to rzeczywiście działało. Był taki obraz tego podziemia, które obserwuje i daje sygnał, że trzeba uważać. Nie dotyczyły Niemców kary śmierci? Nieważne. Chodziło o zjawisko, o właściwy skutek, na jakim podziemiu zależało.

Chmielna

WEISS MUSIAŁ DAĆ KOWALSKIEMU KOLEJNY TYDZIEŃ PROLONGATY, bo minęło dobrych kilka dni, zanim Walczak przyszedł do siebie po biciu w Alejach i po skoku na bruk z pędzącej budy. Cały plan o mało co diabli wzięli, bo niewtajemniczony żandarm z eskorty otworzył ogień do uciekającego. Na szczęście kula tylko drasnęła Walczaka w pośladek. To obrażenie dodało jego ucieczce wiarygodności, ale towarzysze z podziemia i tak zastosowali wobec niego, przyjętą w takich przypadkach nagłego i niespodziewanego uwolnienia z Pawiaka, kwarantannę.

Walczak dobrze znał cenę swej wolności i z każdą przeleżaną na brzuchu, ze względu na charakter odniesionych obrażeń, zmarnowaną godziną coraz bardziej obawiał się o los swoich bliskich. Znał Kowalskiego i wiedział, że ten był zdolny do wszystkiego. Tylko jak mógł Walczak zasięgnąć języka o „Jacku” i o „Tadku”, skoro nie mógł, za przeproszeniem, nawet na dupie usiąść?

Wybawienie przyszło w postaci śródmiejskiej łączniczki, towarzyszki Murzyńskiej, ps. „Maria”, która przyjaźniła się z jego żoną i pod tym pozorem, lekceważąc wszelkie reguły bezpieczeństwa, odwiedziła ich z prawdziwą kawą i ze słoikiem praktycznie niedostępnego w Warszawie miodu dla dzieci. Leżąc z konieczności na boku, posiniaczony Walczak opowiedział jej na pół zmyśloną historię swej ucieczki w drodze z alei Szucha na Pawiak. Posłużył się w niej, podsuniętym przez Kowalskiego nazwiskiem autentycznego gestapowca, Kurtza, oraz kilkoma innymi mającymi ją uwierzytelnić detalami. Murzyńska była ich niezmiernie ciekawa i Walczakowi przyszło do głowy, że może, przychodząc w odwiedziny, wcale nie złamała żadnych konspiracyjnych reguł, tylko wręcz przeciwnie, dostała rozkaz, żeby go sprawdzić. Tym lepiej było dla jego planu. Kiedy już sobie pogadali i powspominali huczne przedwojenne obchody rocznicy rewolucji w sowieckiej ambasadzie, zdrętwiały Walczak z jękiem bólu zmienił

pozycję. Położył się na brzuchu i nie patrząc Murzyńskiej w oczy, powiedział ni stąd, ni zowąd:

– Nie wiem, czy ci to powinienem mówić, ale widziałem na Gestapo jednego z naszych.

– Kogo?

– Nie wiem. Znam go z akcji. Nosił wtedy niemiecki mundur.

– Z jakiej akcji?

– No chyba nie myślisz, że ci to powiem? Dowództwo już wie, na jakiej akcji byłem z jednym z naszych w niemieckim mundurze, to wystarczy.

Walczak starannie przygotował i przećwiczył swoją historyjkę z Kowalskim, a teraz odgrywał ją z głębokim przekonaniem. Zafrapowana Murzyńska przesunęła się ku wezglowiu jego łóżka i zajrzała mu głęboko w oczy.

– Chcesz donieść do dowództwa?

– A jak on mnie poznał? Jak to kapuś?

– A jak ci się przywidziało?

– Wiesz co, zapomnij o tym. Przywidziało mi się! – Walczak odwrócił głowę do ściany.

– Bili cię po głowie, co, biedaku? – powiedziała czule Murzyńska i delikatnie pogłaskała go po zabandażowanej czaszce. – Ty chyba w ogóle masz gorączkę, wiesz...

Zmieniła temat tak nagle, że Walczak pomyślał, iż chyba połknęła haczyk, tym bardziej że wkrótce potem bardzo szybko wyszła, nie żegnając się nawet z jego żoną.

Nie mylił się. Prowokacja przyniosła niemal natychmiastowy skutek. Nazajutrz rano przyszła wiadomość, że ma się stawić na spotkanie w kawiarni na Chmielnej. Kazał żonie telefonicznie przekazać wiadomość Kowalskiemu i wyszedł z domu z dużym zapasem czasu, bo wciąż był bardzo obolały. Dowłókł się na miejsce dopiero po godzinie, ale to nie był jeszcze koniec. Kiedy starając się utrzymać cały ciężar ciała na swoim zdrowym pośladku, siedział przy stoliku, podszedł do niego, znany mu z widzenia gwardzista o pseudonimie „Roman”. Prawą rękę trzymał w kieszeni płaszcza i kazał mu iść przed sobą na przystanek tramwajowy. Tam wsiedli w „trójkę” na Żoliborz. Po drodze przechwalał się, że dzień wcześniej „walnął” na Pradze jakiegoś Niemca, który na niego krzywo popatrzył. Taki chojrak!

Cała ta eskapada kosztowała Walczaka wiele wysiłku i kiedy dotarli na Felińskiego, przy każdym kroku jęczał już z bólu.

„Roman” podrapał w umówiony sposób w drzwi i wpuszczono ich do środka. W pokoju pod żyrandolem przy stole siedział ktoś starszy i ważny, a obok niego stał młodszy mężczyzna z bujną czupryną i zaciętym wyrazem twarzy.

– Dzień dobry – powiedział Walczak. Stojący skinął mu głową, uściśnął dłoń „Romana” i wyszedł z mieszkania.

Ten starszy kazał mu poczekać na zewnątrz, a Walczakowi wskazał krzesło, na którym ten z ulgą, ale ostrożnie, usiadł.

„Marek” odczekał chwilę.

– Człowiek, którego mówicie, że widzieliście na Szucha... Czy to był ten, który właśnie stąd wyszedł? – zapytał.

Walczak siedział przy stole ze zbolaną miną, ciężko oddychając i dłubiąc palcem w koronkowym obrusie. Nie ciągnęliby go tu ze Śródmieścia, żeby mu pokazać byle kogo, a więc to musiał być ten. A jeżeli go rzeczywiście znalazł, to Kripo zostawi go i jego rodzinę w spokoju. Z drugiej strony, jeżeli się mylił, to po prostu był już trupem.

Raz kozie śmierć – pomyślał. Nie miał już siły kombinować.

– Tak, to on – powiedział ze wzrokiem wbitym w stół.

– Ale on was nie zna.

– Nie wiem. Ja go znam z akcji...

„Marek” pokiwał głową, tak jakby słowa Walczaka trafiły mu do przekonania.

– Dziękuję wam, to wszystko. Jesteście wolni – powiedział, wskazując mu drzwi.

– Wszystko?

– Tak.

Walczak niepewnie wstał, z wysiłkiem opierając się o stół. Kiedy się wyprostował, nagle zrobiło mu się słabo i runął na podłogę jak kłoda.

Słońce zniżało się ku zachodowi, kiedy Walczak przyszedł do siebie. Świeciło mu prosto w oczy. Ktoś szarpał go za ramię. Bolało. Czyli że żył. To już coś. Z trudem podniósł powieki i ujrzał nad sobą najpierw niewyraźnie, a potem stopniowo coraz ostrzej twarz towarzyszkii „Marii”. Jak z oddali dotarł do niego jej głos:

– Obudź się człowieku! Wstawaj, słyszysz?

Leżał, tak jak zemdlą, w płaszczu. Rozejrzał się po obcym mieszkaniu i zaczął się gramolić z kanapy, niezbornie jak pijak. Murzyńska przytrzymała go w pionie, wcisnęła czapkę na głowę i pociągnęła do wyjścia.

– Pośpiesz się. Oni mogą w każdej chwili wrócić.

Instynkt samozachowawczy wyzwolił adrenalinę i oszołomiony Walczak dał się powlec w kierunku przystanku. Murzyńska ciągnęła go z całych sił, bo zbliżała się godzina policyjna. Dopiero gdy znalazła dla niego miejsce w tramwaju, złapała oddech.

– Aleś narozrabiał, człowieku!

– A co to był za jeden? Jakaś szycha?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć!

Jechali dalej w milczeniu, a przez okna po lewej stronie tramwaju zapadający zmrok rozświetlała luna płonącego getta. Wysiedli z tramwaju na Marszałkowskiej i dopiero wtedy Murzyńska odezwała się ponownie. Powiedziała mu, że nie może wrócić do domu i musi się przez jakiś czas ukryć.

– Poręczyłam za ciebie. Ale diabli wiedzą, co robi, ten którego wskazałeś, więc musisz na razie zostać tutaj – powiedziała, otwierając drzwi mieszkania Misiów, gdzie pracowała jako gospoia. W korytarzu natknęli się na jej pracodawczynię, panią Misiową, która jak zwykle była w szlafroku i z papierosem w ręku. Murzyńska przeprosiła ją, usadziła Walczaka w kuchni i zamknawszy drzwi za sobą, wprowadziła gospodynię w sytuację. Nie było to trudne, bo pani Stasia wierzyła głęboko w to, że ludziom trzeba pomagać.

Murzyńska dobrze znała historię o tym, jak ten gestapowiec, co to lubił strzelać po pijanemu w sufit, przyszedł raz do pani Stasi na trzeźwo, ni to w zaloty, ni to szukając ukrywającego się w ich kamienicy Żyda. Ten młody Żyd z Małopolski, nazwiskiem Werner, rzeczywiście się tam ukrywał, uczył nawet Jędrka w swej kryjówce angielskiego. Zdążył go jednak nauczyć tylko angielskiego hymnu, *God save the King* i zniknął bez śladu. Gestapowiec musiał coś o tym wiedzieć, bo kiedy wypytywał panią Stasię, a jej syn właśnie wszedł do kuchni nalać sobie mleka, to przystawił mu rewolwer do głowy.

– Nie kłam – wrzasnął na nią – bo zastrzelę szczeniaka!

Ale pani Stasia, niewzruszona postawiła nogę na kuchennym stołku i rozchylając poły szlafrocka, pogłaskała się po zgrabnej łydce w szykownych nylonach.

– A takie nylony widział pan, panie oficerze? Prawdziwe angielskie. Chciałby pan takie narzeczonej sprawić?

Gestapowiec się uspokoił, a kiedy sobie już poszedł, to Jędrak miał do mamy ogromny żal.

– On mi pistolet do głowy, a mama mu jeszcze nogę pokazuje? – mówił z niedowierzaniem.

– Cicho bądź, szczeniaku, ludziom trzeba pomagać – powiedziała mu na to.

– Wernerowi i tak już nic nie pomoże! – rzucił jej rozżalony.

W odpowiedzi pani Stasia włożyła tylko do lufki papierosa i zapaliła. Faktycznie temu Wernerowi jej pomoc nie na wiele się zdała, bo jak się później okazało, w następnym miejscu, w którym się ukrywał ze swoją matką, wydał ich jeden z sąsiadów.

Jeżeli zaś chodzi o rzekomego kuzyna gospoia Murzyńskiej, to pani Stasia bez oporów i bez zbędnych pytań przyjęła do wiadomości, że zatrzyma się on parę

dni w jej pokoiku. Nazajutrz Murzyńska poinformowała o wszystkim zrozpaczoną Walczakową, która nie widząc męża od poprzedniego ranka, już go w myślach pochowała. Przybiegła też jak mogła najszybciej na Marszałkowską, a Walczak, odczekawszy, aż Murzyńska zostawi ich samych, przekazał jej adres na Żoliborzu dla Kowalskiego.

„Pierwszy raz o AL usłyszałem w drugim tygodniu powstania”

W JEGO DOMKU W POŁUDNIOWYM LONDYNIE kontynuuję rozmowę z panem Januszem Cywińskim – niegdyś młodocianym likwidatorem:

– Czy był pan świadom w czasie okupacji, że był taki komendant Reszczyński?

– Nie, nie, bo, proszę pana, ja byłem za małą szyszką, żeby mieć z tym do czynienia. Ja służyłem za kogoś na kształt gońca dla szefa kontrwywiadu i on mnie wysyłał na spotkania z różnymi ludźmi i między innymi widywałem się z kilku jego oficerami. Jednym z tych oficerów był porucznik Naimski. A porucznik Naimski był referentem od spraw policji. I Naimski miał kontakty z Reszczyńskim. Nie tylko z nim. On takich kontaktów miał znacznie więcej. Ja spotykałem się z granatowym policjantem, który się nazywał Władysław Myller. Naimski posłał mnie dwukrotnie na spotkanie z nim. Raz to był w barze kawowym Fogga, na rogu Wspólnej i Marszałkowskiej. To była jakaś dłuższa rozmowa. O Reszczyńskim... Tylko raz jeden zetknąłem się z informacjami, których on udzielił. To jest wtedy, kiedy Naimski przywiózł do tego naszego biura zawiadomienie, że następnego dnia będzie odprawa na Mokotowie. To był jeden jedyny wypadek, kiedy wiedziałem, że istnieje taki wysoki kontakt. Nie wiem, czy Naimski wymienił wtedy nazwisko Reszczyńskiego, czy nie. Powiedział tylko, że z bardzo wysokiego szczebla, ze szczytów policji...

– Co pan sądzi z perspektywy tego, co pan teraz wie o takiej postawie Reszczyńskiego, o tym, że uważał za niewłaściwe, że tylu jego oficerów jest zaprzysiężonych w AK. O tym, że uważał, że albo ktoś jest oficerem policji, albo jest w podziemiu.

– Dla mnie to jest stanowisko nieprawdopodobne. Dlatego, że z tego, co Naimski mówił o swoim kontakcie ze szczytami [policyjnymi], to wyrażał się bardzo pozytywnie. Mnie nie powiedział, kto był tym kontaktem, bo

Kozubowskiemu pewnie powiedział. Był taki pułkownik, Juszczynski albo Jaszczynski, w Drugim Korpusie, szef wydziału weryfikacyjnego, który od samego początku uważał, że Kozubowski to był bandyta i gestapowiec, i nie chciał go zweryfikować. Ja miałem też trudności weryfikacyjne. Mnie stawiał zarzut, że ja też nie byłem w pełni lojalny do AK.

– Na jakiej podstawie?

– Na tej podstawie, że byłem blisko związany z Kozubowskim[15]. A Kozubowski stawiał sprawę jasno: pamiętajcie, że jeżeli chcecie przeżyć aresztowanie i przesłuchania, to musicie zeznawać, że jedynym waszym zajęciem było szpiegowanie komunistów. To przemówi do Niemców, i to was uratuje. Ja się w takiej sytuacji nie znalazłem, ale wydaje mi się, że Kozubowski właśnie w takiej sytuacji się znalazł i tak się zachował. I dlatego przeżył.

– Wracając do zabójstwa Reszczyńskiego: co wy, jako młodzi akowcy wiedzieliście o tym komunistycznym podziemiu? Kiedy pan usłyszał o Gwardii Ludowej, jeżeli w ogóle?

– Ja byłem w szczególnej sytuacji, bo szefem wydziału antykomunistycznego w Komendzie Głównej AK był mój wuj Stanisław Ostoja-Chrostowski, a jego córka mieszkała u nas w domu. Ale on był oficerem wywiadu polskiego od dwudziestego szóstego roku. Ja podejrzewałem, że on w tym czasie nawiązał jakieś kontakty z moją mamą i że moja mama miała coś z tym z wspólnego. Dlatego że on i przed wojną bardzo często bywał, a w czasie wojny bardzo często się zamykali i ze sobą rozmawiali. Właściwie pierwszy raz usłyszałem o nich w drugim tygodniu powstania. Dlatego że wtedy przydzielono nam pluton Armii Ludowej do pomocy...

– Ale czy rzeczywiście wcześniej nie słyszał pan o ataku na Café Club albo na restaurację na Dworcu Głównym?

– No tak, ale wtedy nie było wiadomo, że to zrobili komuniści...

– Pytam dlatego, że tak zwana świadomość historyczna mojego pokolenia wychowanego w PRL-u zatruta jest jednak przez tę propagandę, w której z kolei nie istniało żadne AK i była tylko Armia Ludowa, która bohatercko walczyła i samotrzeć pokonała Hitlera i tak dalej... Ale pytam także dlatego, że spotkałem się z teorią, jakoby zabójstwo Reszczyńskiego miało cel propagandowy. Że zastrzelenie kogoś tak wysoko postawionego spowodowało, że niektórzy po raz pierwszy usłyszeli o jakiejś Gwardii Ludowej. Chociaż, jak na ironię, na samym początku podejrzewano, że Reszczyńskiego zabiła AK, niekoniecznie z wyroku, ale może na przykład z samowoli jakiegoś lokalnego dowódcy.

– Było bardzo dużo likwidacji w czasie okupacji bez żadnego sądu i bez żadnych formalnych decyzji, a były to decyzje dowódcy jakiegoś plutonu czy

jakiejś kompanii, któremu się wydawało, że ktoś go śledzi, więc bezpieczniej go zabić.

Ul. Podwale

DO PEŁNI ZOSTAŁO TYLKO KILKA DNI. Jasny blask księżyca oświetlał drogę oddziałowi „Jacka”, przemykającemu się cichcem wzdłuż nasypu linii średnicowej. Nad tą akcją, swoją pierwszą od ponad miesiąca, mężczyzna ślęczał od wielu dni. Wszystko miało być jak należy, dopracowane w najdrobniejszym szczególe, tak jakby zaplanował to „Wiktor”. Celem był nocny transport oddziałów i zaopatrzenia, zmierzający na front wschodni zawsze o drugiej nad ranem. „Jacek” własnoręcznie przygotował i przyniósł na punkt zborny domowej roboty zapalnik i ładunek wybuchowy. Zebrali się w Parku Paderewskiego na Pradze jeszcze przed godziną policyjną. Dopiero koło pierwszej „Jacek” dał znak. W ciszy przemykali się ogródkami w stronę wiaduktu, gdzie wspięli się na nasyp. Tak samo jak wcześniej na linii żyrardowskiej, „Jacek” własnymi, pewnymi rękoma założył ładunek. Tym razem miał lepszy materiał wybuchowy niż wtedy w lutym i oczekiwał o wiele bardziej spektakularnych rezultatów. Wycofali się na bezpieczną odległość. Nocny transport punktualnie jak w zegarku pojawił się po drugiej stronie Wisły, wjechał na most i powoli, ale nieuchronnie zbliżał się do punktu, gdzie podłożyli ładunek. Oczyma wyobraźni już widzieli staczające się z nasypu wagony, ale zapalnik przerobiony z granatu zadziałał, jak granat, z opóźnieniem. Transport przetoczył się z łoskotem nad ich głowami i nic. Dopiero kiedy ujrzeli światelka końcowe ostatniego wagonu, nastąpił wybuch. Jacek dał sygnał do odwrotu, ale nie dał za wygraną. W dniu, w którym Niemcy rozpoczęli likwidację getta, powrócił ze swoim oddziałem na nasyp linii średnicowej z nowym ładunkiem i z ulepszonym zapalnikiem. Tym razem jasny księżyc krzyżował im szyki. Po poprzednim ataku linii strzegły gęsto rozstawione posterunki, a widoczność była tak dobra, że oddział mógł się przemieszczać tylko wtedy, kiedy księżyc zasłaniały chmury. „Jacek” i „Tadek” wspięli się na tor. Pierwszy z nich po omacku mocował ładunek, kiedy metal zadzwonił nagle o metal. Niewiele myśląc, zwałił towarzysza z nasypu i sam sturlał się za nim.

Powietrzem wstrząsnęła potężna eksplozja, żwir i kawałki rozerwanego toru uniosły się w powietrze i opadły śmiertcionośnym deszczem, cudem tylko nikogo nie raniąc. „Jacek” dotarł na Felińskiego, wciąż ogłuszony, podłamany powtórny niepowodzeniem i zdecydowany, jak przedtem – od razu, natychmiast szykować się do następnej akcji.

„Marek” obserwował go z mieszanymi uczuciami. Obie nieudane kolejówki nie poszły całkiem na marne, bo każda na parę godzin zakłóciła transport na tyłach wroga, odciążając w jakiś sposób Armię Czerwoną. Ale niepokoił go stan „Jacka”. Miał wrażenie, że chce on nadrobić stracony w marcu czas. Że nie spocznie, dopóki nie osiągnie jakiegoś spektakularnego sukcesu, jaki przyćmiłby i pozostawił w cieniu likwidację pułkownika, która wciąż go na swój sposób dręczyła. O zabiciu komendanta zdecydowało ściśle kierownictwo partii. „Marek” niekoniecznie uważał ten rozkaz za słuszny, ale nie miał nań wpływu. Natomiast kiedy wyrok został już wykonany, to uznał, że „Jacek”, obiektywnie rzecz biorąc, osiągnął w ten sposób szczyt swojej bojowej kariery. To byłby dobry moment, żeby spocząć na laurach. Ale on widział to inaczej, a dowództwu jego zapął był na rękę.

Biblioteka Narodowa: nadrabianie zaległości w literaturze przedmiotu

MOJA WRODZONA NIECIERPLIWOŚĆ powoduje, że już przy drugiej z kolei książce znowu nie czekam z pisaniem do zakończenia zbierania dokumentacji. Mam już naszkicowane siedem arkuszy, a dopiero teraz przedzieram się w Bibliotecę Narodową przez ostatnie pozycje na liście lektur, które wydają mi się obowiązkowe. Nie odkrywam w tych książkach Ameryki, bo sprawa komendanta jest dosyć wyczerpująco opracowana, tylko znajduję szeroko rozrzucone szczegóły. Problem, z którym usiłuję sobie w tej książce poradzić, polega właśnie na tym, że fakty i opinie na jej temat są tak szeroko rozrzucone w literaturze, w tak drobnych okrucach.

Za oknami biblioteki słoneczny i mroźny zimowy dzień, a ja sięgam w Informatorium do *Słownika Biograficznego*, w którym artykuł o Aleksandrze Reszczyńskim zredagowali Adam Hempel i Andrzej Krzysztof Kunert. Powinienem był od niego zacząć, ale lepiej późno niż wcale. Najważniejsze, że jego treść nie kłóci się z żadnymi ustaleniami, które poczyniłem swoim własnym sumptem. Jest w nim też mnóstwo detali, których do tej pory nie znałem.

Tamże, w zacisznym Informatorium biblioteki, w „Polskim Życiu Artystycznym 1915–1939” znajduję z kolei dokumentację nt. wystaw, na których swoje prace prezentowali późniejsi zamachowcy, Franciszek Bartoszek i Zygmunt Bobowski, a także odczytów i artykułów Bartoszka (który poza „Arkadami” pisał dla „Pionu” i dla lwowskich „Sygnałów”). Sądząc z cytowanych recenzji, prace towarzysza i przyjaciela Bartoszka, Bobowskiego, były wyżej oceniane przez krytykę. Podążając tropem z tego wydawnictwa, trafiam na cenne dla mnie, ideowe i bardzo osobiste sprawozdanie Bartoszka z biennale weneckiego 1938 roku (we lwowskim „Sygnale”), a późnym popołudniem docieram do wspomnień wybitnego grafika Mieczysława Bermana o grupie plastyków „Czapka Frygijska”. Jest to istna kopalnia wiedzy

o Bartoszkę i Bobowskim, ilustrowana reprodukcjami ich obrazów. Berman także wydaje się cenić malarstwo Bobowskiego wyżej od Bartoszka.

Już pod wieczór i po kolejnej kawie z automatu w szatni znajduję jedyne znane mi do tej pory odniesienie do Reszczyńskiego w beletrystyce. Jest to osnuta na faktach powieść Józefa Mackiewicza *Nie trzeba nic mówić*. Jeden z jej bohaterów twierdzi, że „Reszczyński pomagał Żydom i dał nawet pewne tajne instrukcje podległej mu policji, mocno ryzykując osobiście”. Wydając mi Mackiewicza, pan bibliotekarz gorąco go poleca – szkoda, że w tej chwili nie mam czasu porządnie go przeczytać.

Powieść Mackiewicza zaskakuje mnie swoją formułą. Jest to beletrystyka osnuta na twardych faktach historycznych. Mackiewicz to ja oczywiście nie jestem, ale sposób, w jaki przeplata on fakty i fikcję, dodaje mi odwagi.

Jeżeli zaś chodzi o suche fakty, mnóstwo faktów, to absolutnym przebojem staje się dla mnie fascynująca książka Tomasza Marszałkowskiego o zamieszkach, ekscesach i demonstracjach w Krakowie, zawierająca świetnie udokumentowany, szczegółowy opis zajść krakowskich oraz roli w nich Reszczyńskiego, jako komendanta miasta. Marszałkowski cytuje dokumenty wskazujące na to, że Reszczyński usiłował zapobiec rozlewowi krwi, np. każąc policji strzelać ponad głowami napierających demonstrantów.

Na zakończenie spędzonego nad książkami dnia z 1936 roku przenoszę się do lat czterdziestych i do „Tajnych dokumentów” GL–AL i PPR.

Wobec szumnych deklaracji pepeerowskiej propagandy o tym, że rabowane przez GL pieniądze idą na „walkę z wrogiem”, ciekawy jest cytat z pamiętników Gomułki, piszącego czarno na białym, że wpływy z akcji ekspropriacyjnych, tzw. eksów zasilały „fundusze kierownictwa centralnego partii”. Na przykład „po odbiciu przez specgrupę GL milionowej kontrybucji z KKO – pisze Gomułka – otrzymywałem od Findera regularnie 500 złotych miesięcznie na utrzymanie”.

Kolejne „kwiatki” to raport o kontaktach członków specgrupy Sztabu GL z Gestapo i meldunki wywiadu GL na temat tożsamości komendanta AK, Grota-Roweckiego, i jego córki.

I wreszcie, tuż przed zamknięciem czytelnicy, otwieram bezkompromisową *Polską Partię Robotniczą. Droga do władzy 1941–1944*, Gontarczyka, który uważa, że zabicie podpułkownika Reszczyńskiego „trudno sklasyfikować inaczej niż typowy przykład akcji terrorystycznych PPR”, a zarzuty wobec niego określa mianem „propagandowej konfabulacji”.

Po spędzeniu kilku bitych godzin na lekturze o Bartoszkę i Bobowskim jako o uzdolnionych, wrażliwych artystach takie postawienie sprawy przez nazywanego rzeczy po imieniu historyka działa równie mocno, jak cios

mroźnego powietrza w nozdrza, kiedy po wyjściu z biblioteki idę w świetle księżyca w pełni, ośnieżonym parkiem w kierunku stacji metra.

Ul. Kilińskiego

W TRZECIM DNIU LIKWIDACJI GETTA „Marek” miał umówione spotkanie na Starym Mieście. Ulice pełne były żandarmerii i obstawiających tyły operacji w getcie polskich policjantów. W pewnej chwili po drugiej stronie ulicy zobaczył rozchełstanego „Tadka”, zmierzającego szybkim krokiem w stronę Starego Miasta. Przeszedł do niego przez jezdnię. Chłopak był blady jak trup.

„Marek” złapał go pod ramię. – Co się stało?

– „Jacek”... Pod gettem... Człowieku... – wydyszał tamten, łapiąc oddech.

Pod „Markiem” natychmiast nogi się ugięły. Kiedy tylko usłyszał w pierwszym dniu likwidacji getta o bohaterskiej akcji sikorszczaków pod murem na Bonifraterskiej, to od razu pomyślał, że „Jacek” na pewno potraktuje ją jako wyzwanie...

– Co z „Jackiem”, żyje?

„Tadek” przytaknął, a on, nie zwalniając kroku, poczęstował go papierosem.

– Spokojnie. Po kolei. Co się stało?

Doszli do Podwala, a „Tadek” wciąż nie mógł przyjść do siebie. Łapczywie zaciągał się papierosem, nie przestając kręcić głową, jakby wciąż nie mógł uwierzyć w to, czego był przed chwilą świadkiem i w kółko powtarzał coś o rozwaleniu czterech Niemców...

– Z parabellum, pach, pach, pach... cztery trupy na miejscu! Potem jeszcze dwóch granatowych... – gorączkował się.

– Ale gdzie, jak?

– Na Nowowiniarskiej...

Szli dalej Podwalem. Wyciągając od niego słowo po słowie, bez ładu i składu, „Marek” ustalił, że chodziło o gniazdo ckm-u, obstawione przez SS i granatowych, i że „Jacek” dał rozkaz, by rzucić w nich granatem z tłumu stojących nieopodal gapiów.

Kiedy powtórzył tę uporządkowaną wersję jego własnej chaotycznej relacji „Tadkowi” i zapytał go, czy tak właśnie było, ten nieco otrzeźwiał, zatrzymał się, zaciągnął się papierosem i całkiem zbornie potwierdził.

– Tak było. Ale nasz chłopak poczuł cykorię i nie rzucił tym granatem. No to „Jacek” nie wytrzymał... Ja się patrzę, a ten idzie do tych granatowych, gada coś po niemiecku. Oni go przepuszczają, a on wali prosto do tego ckm-u, wyciąga parabellum i bach, bach, bach, bach... Odwraca się do tych granatowych i znowu: bach, bach. A potem bierze mnie za frak i spokojnie mówi: „idziemy, szkoda, że nie umiem obsługiwać ckm-u – mówi – bo bym im dopiero pokazał!”.

Ochłonawszy nieco, „Tadek” zaczął mówić o początku akcji, ale „Marek” nie słuchał go już tak uważnie. Przed nimi był plac z ruinami Zamku, z którego we wrześniu 1939 roku „Jacek” pomagał ewakuować obrazy. „Markowi” stanął przed oczyma tamten chłopak sprzed wojny. Syn wiejskiego nauczyciela, który dochrapał się posady w Muzeum Narodowym. „Jacek” malarz, „Jacek” koneser sztuki włoskiej, z zadartą do góry głową podziwiający freski w Wenecji u św. Marka. Wtedy i teraz jeden z najbardziej obiecujących i najwartościowszych. Tacy, „Marek” wiedział to z gorzkiego doświadczenia, zazwyczaj giną za młodu. Heroiczne wyczyny „Jacka” pod murami getta, zamiast wypełnić go dumą z podopiecznego, napełniły go obawami.

„Wymiar sprawiedliwości Polski podziemnej”

– JEŻELI CHODZI O RESZCZYŃSKIEGO, Gwardię Ludową i policjantów – kontynuuje profesor Kunert – to przyjęto, że na Niemców nie ma wyroków śmierci, są decyzje, i to podejmowane na dość wysokim szczeblu: nie każdy może wyciągnąć spluwę. Na Kutscherę stosowny dokument podpisał Komendant Kedywu, Komendy Głównej AK, czyli generał Fieldorf, ps. „Nil”. I sprawa najistotniejsza w sumie – taka „numer jeden”. Mądrzy ludzie, którzy tworzyli podziemie, to zrozumieli. Przez pierwsze dwa lata mamy do czynienia po obu stronach z dwoma okupantami; wiemy, że okupant stosuje najgorszy, najbrutalniejszy rodzaj represji, czyli ślepą odpowiedzialność zbiorową. My stawiamy opór. Stosujemy gradację dopuszczalnych rodzajów oporu, w miarę rozwoju sytuacji. Przecież nie od początku były akcje dywersji zbrojnej. Nie od początku. Ale właśnie te akcje likwidacyjne, a właściwie powinno się mówić – akcje wyrokowe. Bo akcje likwidacyjne to były na Niemców. Te były dopuszczalne od początku. W niewielkim stopniu, ale wiadomo – organizacja musi się bronić przed agentami i zdrajcami.

– Ale obwieszczenia o akcjach wyrokowych nie pojawiły się od razu, o ile dobrze rozumiem?

– Obwieszczenia się pojawiły w czterdziestym trzecim roku. Dopiero w tym roku pojawiły się Cywilne Sądy Specjalne, bo generalnie, jeśli chodzi o policjantów, to właśnie cywilne sądy wydawały wyroki. A dlaczego tak późno? To też pięknie świadczy o Polsce i o Polakach. Bo prawnicy zaprotestowali, że to jest jednak niedopuszczalne. Jesteśmy państwem prawa, owszem, pokonanym, podbitym, okupowanym, ale to nie zwalnia nas ze stosowania podstawowych reguł prawnych. Rozważanie powołania wymiaru sprawiedliwości cywilnego, wymierzone w obywateli Rzeczypospolitej bez udziału prokuratora ani obrońcy? Niedopuszczalne, powiedzieli prawnicy, nie ma na to zgody! I tak jak wojskowe sądy specjalne działają na dobrą sprawę od czterdziestego roku, tak cywilne

uruchomiono dopiero w trzy lata później. Bo tak silny był ten opór. Ale mimo tego, to naprawdę te dochodzenia były prowadzone w imponujący sposób. Zachowało się zestawienie raportów z różnych komórek kontrwywiadu po aresztowaniu „Grota”. Usiłowanie rozszyfrowania, kto za tym stoi – to jest lektura imponująca. To było prawdziwe państwo podziemne. A dzięki policjantom w tych różnych strukturach, głównie kontrwywiadu, w kilku wypadkach udało się nawet przeprowadzić analizę balistyczną pocisku. W kilku udało się uruchomić policjantów, którzy *lege artis* dokonali rewizji w mieszkaniu delikwenta, oczywiście maskując to innymi celami. Udało mi się dojść do rozproszonej dokumentacji istnienia tych różnych komórek policyjnych w różnych kontrwywiadach. Bo sama Armia Krajowa to jest w Warszawie: Komenda Główna i Komenda Obszaru i Komenda Okręgu, o dzielnicach i obwodach nie wspominając. Ale to są te trzy duże sztaby. W każdym jest kontrwywiad i w każdym jest mniejsza lub większa komórka policyjna. Nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, że w samej Warszawie policjantów na etacie, zaprzysiężonych żołnierzy AK, było, myślę, że do tysiąca.

Ul. Chocimska

KIEDY WEISS, WSIADAJĄC DO WINDY, usłyszał z górnych pięter dźwięk fortepianu, nawet przez myśl mu nie przeszło, że to „jego” Blüthner. Ale kiedy wysiadł na trzecim piętrze, to nie miał już żadnych wątpliwości. Ktoś grał w jego mieszkaniu na fortepianie. Łzawe akordy *Modlitwy dziewicy* Bądarzewskiej powinny mu były podpowiedzieć, kto to mógł być, ale Weissowi nie pomieściłoby się to w głowie...

Kiedy ją zobaczył przy fortepianie, w etoli z lisa i w filuternym kapelusiku, oniemiał. Jego żona nie przerwała początkowo gry, ale Weiss stojący w progu z rozdziawionymi ustami wyglądał przy akompaniamencie Bądarzewskiej tak komicznie, że zaczęła się śmiać. Szybko się opanowała, a Weiss odzyskał mowę:

– Janina?... Co ty tu robisz? Jak się tu dostałaś?...

Kobieta wstała od fortepianu.

– Jako twoja żona, oczywiście.

Weiss wciąż kręcił głową z niedowierzaniem. Dopiero teraz zauważył pośrodku pokoju nową, elegancką, jednodrzwiową szafę z lustrem. Bez słowa wskazał ją ręką...

– A, właśnie – Janina podeszła do mebla. – Czyż nie przepiękny ten *biedermeier*!

– Co się dzieje, Janina? – zapytał grobowym głosem Weiss.

Nie wiedziała od czego zacząć, więc obeszła dookoła stół i wskazała na stojącą na nim napoczętą butelkę *martella*.

– Napijemy się?

– Nie mam ochoty.

– O?... Brawo!

Janina zasiadła sama do stołu, naląła sobie pełny kieliszek i wypła jednym haustem.

– Znajduję się w rozpaczliwej sytuacji, Joachimie. Wiem, wiem, wiem, co o mnie myślisz, ale w tej chwili tylko ty możesz mi pomóc...

Wyciągnęła rękę w jego kierunku, ale Weiss nieporuszony tkwił dalej w progu.

– Nie chodzi tu zresztą o mnie. Chodzi o Jakuba...

– O Ellenberga? Wyciągnąłem go z obozu...

– Ale teraz się ukrywa. Ja wiem, Joachimie, jak wielką krzywdę ci wyrządziłam, i nigdy nie przestanę tego żałować, ale teraz idzie o życie. Po prostu musimy, musimy go uratować!

Teraz to Weiss się roześmiał. On miałby ratować jej kochanka? I to po raz drugi? Tupet pani hrabiny przechodził ludzkie pojęcie. Ale Weiss dobrze ją znał i wiedział, że tak łatwo się jej nie pozbędzie. Może jej prośba nie było aż tak trudna do spełnienia...

Zrobił pierwszy krok w jej kierunku.

– Gdzie się ukrywa?

– Tutaj.

– W Warszawie?

Pokręciła głową.

– Tutaj. W twojej sypialni... Jakubie! – zawołała.

Drzwi od sypialni otworzyły się i stanął w nich Ellenberg, a właściwie cień człowieka, którego Weiss znał przed laty pod tym nazwiskiem. Był schludnie ubrany, uczesany i ogolony, ale tak wynędzniały, że ledwie stał na nogach, a ubranie wisiało na nim jak na kijku od szczotki.

– Mój garnitur! – powiedział z niedowierzaniem Weiss.

– Nie gniewaj się! Musiałam go umyć i przebrać...

– Ale jak się tu dostał? Przecież jeśli go ktoś widział, to już jest po nas.

– Nikt go nie widział. – Janina pokręciła energicznie głową i wskazała biedermeierowską szafę.

Weiss z niedowierzaniem podszedł do mebla, otworzył go, zajrzał do środka i znowu zamknął, po czym podszedł do stołu i odkorkował butelkę. Postanowił, że jednak się napije. Koniak rozgrzał mu wnętrzności i rozjaśnił umysł.

Janina gestem przywołała Jakuba, wskazując mu wolne krzesło. Obserwowany bacznie przez Weissa, mężczyzna przyczłapał do stołu.

Siedzieli tak teraz we troje, milcząc i mierząc się nawzajem wzrokiem.

Weiss ponownie nalał sobie koniaku. Wypił i otarł wargi wierzchem dłoni.

– Jakie masz plany? – zapytał Janinę.

– Wracam jeszcze dziś do Wiednia.

– A on?

– Joachimie... On musi tu zostać. Nie zważając na wszystko, co między nami zaszło. Zaklinam cię! – zakończyła melodramatycznym tonem.

Nieco ponad godzinę później pani hrabina opuściła Warszawę nocnym pociągiem z Dworca Głównego, a Weiss został w mieszkaniu sam na sam z jej kochankiem. Byłoby to dla niego całkowicie nie do zniesienia, gdyby chwilowo nie miał ważniejszych spraw na głowie. Już po godzinie policyjnej rozległ się dzwonek do drzwi mieszkania. Kazawszy Ellenbergowi się schować, Weiss podszedł do nich z odbezpieczoną bronią, ale okazało się, że był to jedynie Kowalski. Podał inspektorowi adres kryjówki na Żoliborzu i powiedział mu, że wcześniej tego wieczora widział tam zamachowca na własne oczy. Weiss pochwalił go, ale nie oddał mu broni i natychmiast odprawił.

Nie miał chwili do stracenia.

Dekomunizacja Krakowskiego Przedmieścia

CHOCIAŻ NIE JESTEM Z WARSZAWY, to i tak musiałem w swoim życiu przechodzić koło tej tablicy pamiątkowej przy Krakowskim Przedmieściu setki razy. Jeszcze jako dziecko zabierali mnie tu na spacer rodzice, kiedy przywozili mnie z Wrocławia do dziadków, do odbudowywanej wrocławską cegłą stolicy. Ale szczerze mówiąc, z tych czasów pamiętam jedynie moją pierwszą w życiu jazdę pierwszymi w Polsce ruchomymi schodami na trasie W–Z. Już jako nastolatek namiętnie odwiedzałem w Warszawie pewną koleżankę z wakacji. Trzymając się za ręce, włóczyliśmy się całymi dniami od Łazienek do kolumny Zygmunta i z powrotem, ale z tych spacerów zapamiętałem jedynie jej uroczy grecki profil.

Kiedy czterdzieści lat później zacząłem pisać o zabójstwie Aleksandra Reszczyńskiego, moja ciotka Hanka napomknęła coś o tablicy na Krakowskim, a ja wpisałem sobie tę tablicę na moją długą listę miejsc do odwiedzenia, książek do przeczytania i ludzi do spotkania. Wpisałem i zapomniałem, a przypomniałem sobie ponownie dopiero pewnej słonecznej i mroźnej styczniowej soboty w 2016 roku, przy okazji pewnej demonstracji. Przechodząc w drodze spod Urzędu Rady Ministrów do Pałacu Prezydenckiego, pod kościołem św. Krzyża wyskoczyłem na chwilę z szeregu i znalazłem wreszcie tę tablicę po przeciwnej stronie ulicy.

Jest to jedna z dwóch istniejących po dziś dzień tablic na cześć Franciszka Bartoszka. Druga znajduje się w wielkopolskim Czarnkowie. Także tam ówczesne władze przemianowały na jego cześć główny plac. To, że w czasach PRL robiono z Bartoszka bohatera właśnie Czarnkowa, jest o tyle dziwne, że choć istotnie spędził tam on swoje młodsze lata, to urodził się w Pieraniu na Kujawach. Ale w Pieraniu żadnych tablic nie ustanowiono. Być może uznano, że kult Bartoszka i tak nie ma szans wobec famy Matki Boskiej Pierańskiej, której cudowny obraz znajduje się w tamtejszej bazylice...

Poza głównym placem imienia Pułkownika Bartosza w Czarnkowie, mamy jeszcze warszawską uliczkę Franciszka Bartosza na dolnym Mokotowie i szkołę podstawową im. Pułkownika Franciszka Bartosza w Jędrzejewie koło Czarnkowa. Do 1990 roku jego imię nosiły także poznańskie liceum plastyczne i gnieźnieńska jednostka wojskowa. Istniała też w PRL nagroda plastyczna imienia Bartosza i poległego wraz z nim Bobowskiego.

Dzięki Mazowieckiej Bibliotece Cyfrowej w tygodniku „Stolica” z maja 1964 roku znajduję – bez wychodzenia z domu – obszernie życiorysy obu patronów i zasady przyznawania nagrody ustanowionej z inicjatywy ówczesnego ministra obrony Mariana Spychalskiego. Spychalski (konspiracyjny pseudonim „Marek”) nigdy nie przestał podtrzymywać pamięci, a wręcz kreować legendy Bartosza. Czynił to często w tym samym oklepanym stylu, w jakim spisane są zasady konkursu ku czci dwóch przyjaciół, których „nowatorstwo w poszukiwaniu artystycznego wyrazu” spletało się nieodłącznie z „postępową tematyką, ze służeniem sprawie postępu i sprawiedliwości społecznej”...

Spychalski, który w momencie ustanowienia nagrody był marszałkiem Polski, członkiem KC i ewidentnie głównym motorem kultu Bartosza. Pisząc w tygodniku „Odrodzenie” w piątą rocznicę jego śmierci, Spychalski prawie całkowicie unika fałszywego języka komunistycznej propagandy i uderza w bardzo osobisty ton. Stwierdza z bolesną szczerością, że wśród tych, co ginęli w walce, byli „może właśnie ci najwartościowsi”. Zakładam, że to właśnie wielka konspiracyjna przyjaźń Spychalskiego z Bartoszem zdecydowała o tych wszystkich publicznych dowodach pamięci: o dwóch tablicach, dwóch szkołach, jednostce wojskowej i ulicy na Mokotowie. To zresztą jeszcze nie wszystko. Jak przypominała w wydanej pod koniec 2015 roku fantastycznej książce *Przed wojną i pałacem* Magdalena Stopa, imię Franciszka Bartosza nosiła od 1947 roku ulica Żłota.

Konsekwencja Spychalskiego w podtrzymywaniu pamięci o Bartoszu sugeruje mi, że istniała między nimi nić autentycznej sympatii. Sądząc z tego, co opowiadał mi o swojej znajomości ze Spychalskim inny jego ówczesny młody protegowany, dowódca „Czwartaków”, prof. Lech Kobylński – późniejszy minister obrony potrafił być nader lojalnym przyjacielem. Jeżeli chodzi o Bartosza, to poszedłbym nawet dalej. Odnoszę wrażenie, że Spychalskiego dręczyły w związku z jego śmiercią wyrzuty sumienia, choć na ostatnią akcję wysłał go nie on, ale Franciszek Jóźwiak...

Liczne śródmięskie tablice upamiętniające bojowników GL i AL, niektóre z nich ozdobione pięcioramiennymi gwiazdami, są nie od dziś solą w oku zwolenników totalnej dekomunizacji przestrzeni publicznej. Tablicom czczącym bojowników Gwardii Ludowej jak dotąd się upiekło, chociaż niektórzy ostrzą

sobie na nie zęby, tak jak na pozostałe jeszcze tu i ówdzie ulice nazwane na cześć zasłużonych komunistów. Nazwa co najmniej jeszcze jednej z warszawskich ulic powiązana jest także pośrednio z zamachem na Reszczyńskiego. Swoją ulicę na Kole ma do dziś Jan Szałek, ps. „Szymon”, sekretarz Komitetu Dzielnicowego PPR na Woli podczas okupacji. Wiele wskazuje na to, że był on krewnym (możliwe, że starszym bratem) Tadeusza Szałka. A Tadeusz Szałek to według opracowań partyjnych historyków jeden z organizatorów zamachu na Reszczyńskiego.

Ulica Jana Szałka zajmuje poczesne miejsce na liście ulic do „dekomunizacji”. W razie zaś ewentualnej przyszłej „dekomunizacji” tablic pamiątkowych tę przy Krakowskim Przedmieściu 16/18 ocalić może fakt, że przy konserwacji (prawdopodobnie podczas generalnego remontu ulicy) znikła z niej charakterystyczna pięcioramienna gwiazda. Ale to może nie wystarczyć, bo poza datą oraz nazwiskami Bartoszką, Bobowskiego i trzech pozostałych poległych treść tablicy rozmija się, ściśle rzecz biorąc, z prawdą historyczną.

Stojąc pod nią właśnie w dniu marszu przeciwko polityce Prawa i Sprawiedliwości, mogę sobie doskonale wyobrazić argumenty „dekomunizatorów” o tym, że akcja GL na bank „Społem” nie była, jak chce tego tablica, „akcją bojową”, tylko rabunkową. Ale czym wobec tego był o trzy miesiące wcześniejszy udany skok AK na ten sam bank? Znowu doskonale mogę sobie wyobrazić argumenty padające z tych samych ust, że to akurat była akcja bojowa...

Takie to są dylematy na styku historii i polityki.

Al. Szucha

GOSPODZA KURTZA POWIEDZIAŁA WEISSOWI PRZEZ TELEFON, że Sturmbannführer był wciąż jeszcze w pracy, więc inspektor, niewiele myśląc, zamknął Ellenberga na trzy spusty i poszedł na komendę SS i policji. To nie była sprawa na telefon.

Kurtza nie było w biurze. Przyjechał na Szucha prosto z getta dopiero przed północą. Zamierzał jeszcze popracować nad kilkoma opornymi więźniami, przenocować na polowym łóżku i zameldować się rano z powrotem do osłaniania akcji likwidacyjnej. Taki to był z niego tytan pracy.

Weissa przyjął z otwartymi ramionami, bo przed tym wszystkim pilnie potrzebował napić się sznapsa, a inspektor cieszył się opinią świetnego kompana do butelki. Tym jednak razem pijaństwo wyjątkowo nie było Weissowi w głowie. Zależało mu na tym, aby gestapowiec jak najszybciej wysłał swoich ludzi na Felińskiego, i chciał wziąć osobiście udział w tej akcji.

Kiedy parę godzin wcześniej sięgnął po telefon, uczynił to odruchowo. Nie spodziewał się, że Kowalski tak szybko ustali kryjówkę zamachowca. Ale kiedy już trzymał świstek z adresem w ręku, to wszystkie jego wcześniejsze pomysły diabli wzięli. Tu potrzeba było natychmiast dwóch lor z żandarmerią i pół tuzina gestapowców. A obławę mógł bez zbędnych pytań załatwić tylko Kurtz.

Czekając parę godzin na gestapowca w alei Szucha, Weiss pożegnał się z romantyczną ideą bezpośredniej konfrontacji z zamachowcem, jeden na jednego. Znając adres jego kryjówki, mógł się co prawda zacząć na niego gdzieś w pobliżu... Tylko że tamten nie był zwykłym zjadaczem chleba, który trzyma się ustalonego rozkładu dnia. Jak długo musiałby na niego czekać? W jaki sposób miałby zająć mu drogę i zastrzelić, zanim tamten zastrzeliłby jego? Ta wyśniona samotna egzekucja to były oczywiste mrzonki. Teraz musiał przekonać Kurtza do szybkiej i zdecydowanej akcji, sam wziąć w niej udział i zakończyć sprawę raz na zawsze.

Po całym dniu wytężonej pracy spragniony pogromca getta wychleptał pół szklanki sznapsa, jakby to była woda źródłana, a Weiss przeszedł do rzeczy. Podał mu adres, pod którym przebywała szajka schwytanego na Mostowej „Wiktora”. Powiedział mu, że to ci sami ludzie, którzy dokonali zamachu na komendanta Policji Polskiej. Dodał wreszcie, nie wymieniając Kowalskiego z nazwiska, że jego człowiek widział tam bandytów na własne oczy przed około czterema godzinami. I jeszcze jedno: ze względu na wagę śledztwa poprosił o umożliwienie mu osobistego udziału w obławie.

– Ależ naturalnie! – Kurtz wziął od niego karteluszek z adresem, pokiwał głową z uznaniem, powiedział, że osobiście się tym zajmie, po czym nalał następną kolejkę...

– Ale kiedy? – zaniepokoił się Weiss. – Czas ucieka!

– Jeszcze przed Wielkanocą! – zapewnił go Kurtz. – Stroop to genialny dowódca, nie to co, wie pan... jego poprzednik. Sprawy w getcie posuwają się w dobrym tempie. A zatem, kto wie, może zajmiemy się tym nawet przed końcem tygodnia! *Prosit!*

– *Prosit!*

Weiss był zdruzgotany. Nawet z Ellenbergiem ukrywającym się u niego na Chocimskiej na śmierć zapomniał, że Gestapo miało inne sprawy na głowie. Zapomniał o getcie!

– Ale ta akcja nie może czekać, panie Sturmbannführer! Sam pan wie, jaką wagę władze przywiązują do śledztwa w sprawie komendanta, a ci ludzie mogą się przemieścić...

– Naturalnie! – przytaknął Kurtz. – I dlatego zapewniam pana, że zrobimy, co do nas należy, jeszcze przez Wielkanocą... – Wstał od biurka i poprawił pas. Wyrzwał przez okno i wskazał na księżyc w pełni.

– Patrz pan, panie Weiss. Maj za pasem, a to dopiero pierwsza pełnia księżyca od zrównania dnia z nocą – powiedział rozmarzonym głosem. – Czy pan wie, że następna taka późna Wielkanoc będzie dopiero za sto lat? – dodał i zamyślił się.

I znowu Krakowskie Przedmieście

ŚWIADOM TEGO, ŻE WĄTEK DALSZYCH LOSÓW ELLENBERGA zaprowadzi mnie w tę okolicę, idę do IPN ulicą Długą, żeby lepiej się przyjrzeć budynkowi Hotelu Polskiego, z którego po powstaniu pozostała tylko oryginalna fasada, upstrzona dziś tandetnymi tablicami informacyjnymi. W odbudowanym w 1949 roku budynku można się dziś zatrzymać w pokojach gościnnych Związku Metalowców, a całą długość parteru prawego skrzydła zajmuje restauracja Mekong. Jak pokazuje w Internecie Google Streetview, wmurowana na prawym skrzydle tablica upamiętniająca los „podstępnie tu zwabionych i zamordowanych w niemieckich obozach zagłady Żydów polskich” staje się latem niezupełnie pasującym elementem wystroju ulicznego ogródka azjatyckiej restauracji.

Ale teraz mamy środek zimy, która przypomina o sobie nagłym spadkiem temperatury. Szparkim krokiem idę więc z IPN do metra okrężną drogą przez Miodową, gdzie mieszkał podpułkownik Przymusiński, i oczywiście przez Krakowskie Przedmieście. Hanka pamięta z dzieciństwa kondukt pogrzebowy Kutschery, więc zanim zacznę o nim pisać, chcę rzucić okiem na dzisiejszy Pałac Prezydencki, gdzie tenże kondukt zatrzymał się w celu odbycia zaślubin trupa z ciężarną Norweżką... Nie zmyślam!

Jak to ostatnio bywa, przed pałacem dziś nie jedna, ale dwie demonstracje: sprzeciwu obywatelskiego wobec prezydenta i Amnesty International przeciwko ustawie o inwigilacji. Ten budynek wiele już widział...

Idąc prawą stroną Krakowskiego Przedmieścia w kierunku metra, po raz pierwszy zauważam, że na tyłach odbudowanej jako dwupiętrowa kamienicy, gdzie znajdował się przed wojną bank „Społem”, stoi wciąż przedwojenna sześciopiętrowa oficyna, a przywróconej niedawno do życia restauracji Pod Mesalką znowu nie ma. Obok tablicy ku czci Bartoszką i jego towarzyszy, obok obowiązkowych tandetnych szyldów – straszy za to zamknięta restauracja meksykańska.

Przechodzę pod wskazującym wyraźnie w kierunku numeru 16/18 palcem Chrystusa przed kościołem św. Krzyża i zapuszczam się bramą dawnego budynku Komendy Policji na jej dawny dziedziniec. Usiłuję sobie wyobrazić, jak ze zdobytego wcześniej w ciężkich walkach kościoła obok powstańcy wdarli się tu i opanowali komendę, aresztując więzionego przez Niemców komendanta Przymusińskiego...

Ul. Chocimska

„PÓŁTORAROCZNE DOŚWIADCZENIE WYKAZAŁO, że nie wszyscy policjanci z rozkazu o dyscyplinie wyciągnęli właściwą naukę. Niektórzy bowiem nie tylko nie poczuwają się do odpowiedzialności za karygodne poczynania pewnej kategorii mieszkańców miasta, lecz bez zażenowania naśladują ich, lekceważąc opinię władz i społeczeństwa o policji. Podnoszę z naciskiem, że nic nie jest w stanie przysporzyć fatalniejszej opinii, jak nieusprawiedliwiona brutalność oraz grubiańskie zachowanie. Od przełożonych wszystkich szczebli hierarchii służbowej wymagam, ażeby stale pouczali podwładnych na temat obowiązku taktownego postępowania z publicznością i zdecydowanie wkraczali we wszystkich wypadkach grubiańskiego i brutalnego postępowania, pociągając winnych do odpowiedzialności”.

Czytając po raz kolejny słowa napisane własną ręką zamordowanego komendanta, Weiss nie mógł od siebie odpędzić myśli o marności tego świata.

Wciąż czekał na wiadomość od Kurtza. Czekał dzień, dwa, trzy... i nic. Przez cały ten czas, w bezpiecznej odległości od niego, kulił się po kątach jego mieszkania kochanek jego żony. Spędziwszy cały miniony rok w ciasnej kryjówce, Ellenberg bardzo powoli przychodził do siebie. Początkowo całymi godzinami gapił się zza firanki przez okno, na ruch uliczny, na niebo i na gołębie, ale z czasem przeniósł swą uwagę na księgozbiór inspektora. Zaszywał się z książką w jakimś kącie i czytał od rana do zmroku. Poza surowymi instrukcjami: „do okna nie podchodzić”, „siedzieć cicho” i „nie chodzić niepotrzebnie po mieszkaniu w ciągu dnia”, Weiss niemal się doń nie odzywał. Kiedy co drugi dzień rano przychodziła gosposia, zamykał go na klucz w sypialni, a jej kategorycznie zabraniał tam wchodzić.

Gosposia wytłumaczyła sobie, że do inspektora wprowadziła się nareszcie jakaś kobieta, która widocznie lubiła do późna spać. Sprzątała więc resztę

mieszkania, przynosiła zakupy, przygotowywała śniadanie (dyskretnie, dla jednej osoby) i wychodziła. Połowę obfitego śniadania Weiss zostawiał Ellenbergowi, któremu od doświadczanego przez tyle miesięcy głodu musiał chyba skurczyć się żołądek, bo ledwie tykał jedzenia.

W końcu, po czterech dniach bezowocnego oczekiwania na wiadomość od Kurtza, Weiss osobiście pofatygował się do niego na Szucha. To, co tam usłyszał, było dla niego szokiem. Gestapowiec był zajęty przy przesłuchaniu i powiedział mu jedynie, że doszło do pomyłki, bo pod podanym adresem mieszka jakiś Bogu ducha winny *reichsdeutsch*.

Wracając do domu załamany i wściekły, Weiss przemókł do cna w nagłym kwietniowym deszczu ze śniegiem i nazajutrz obudził się z wysoką gorączką. Postraszył gospozię, że to może być coś zaraźliwego i kazał jej aż do odwołania zostawiać zakupy na klatce schodowej. Dwaj mężczyźni byli teraz skazani wyłącznie na swoją obecność przez całą dobę. Wkrótce Weiss był już tak osłabiony, że nie miał nawet siły przeganiać Ellenberga, który faszzerował go aspiryną i poił rumiankiem na zakażone gardło. Kiedy nie doglądał chorego, Ellenberg nadal buszował wśród jego książek, aż natknął się w końcu na odręczny dziennik komendanta. Przy tej to lekturze zastał go, zmuszony moczopędnym działaniem rumianku do zwleczenia się z łoża boleści, Weiss...

– Niech pan to odłoży. Niech pan tu się nie szarogęsi! – wysyczał, wlokąc się noga za nogą do toalety.

Ellenberg posłusznie zamknął i odłożył brulion na miejsce, a kiedy Weiss był w drodze powrotnej, to powiedział do niego cicho:

– Znam jego postać z procesu...

Weiss oparł się o framugę drzwi do sypialni. Ciężko westchnął.

– Czyją postać, do cholery? – zapytał, nie odwracając głowy.

– Komendanta Reszczyńskiego.

– Reszczyńskiego? A to ciekawe. Zamordowali go w marcu komuniści... – powiedział Weiss i trzaskając drzwiami, zniknął w sypialni.

– Co pan... co pan powie? – dokończył już sam do siebie Ellenberg.

Nazajutrz stan Weissa się pogorszył. Leżał bez ruchu, na zmianę trzęsiony dreszczami i zlany potem, ogarnięty poczuciem całkowitej bezsilności wobec przedłużającego się milczenia Kurtza. Ostatkiem sił zadzwonił jeszcze do niego i tak go wystraszył swoim rżeniem, że tamten przysłał mu do domu policyjnego lekarza.

„Spojrzenie wstecz” – krakowskie wspomnienia Lidii Ciołkoszowej

ŚMIERCIONOŚNA SALWA ODDANA W STRONĘ DEMONSTRANTÓW w Krakowie 23 marca 1936 roku przez oddziały policji stała się cezurą w przedwojennej karierze komendanta Aleksandra Reszczyńskiego. Już w dwa miesiące po wypadkach krakowskich Reszczyńskiego przeniesiono do Poznania. O ile wcześniejsze oddelegowanie ze Lwowa do Krakowa można było rozpatrywać jako awans, bo Kraków był od Lwowa mniejszy – to Poznań, choć podobnej do Krakowa wielkości, cieszył się mniejszym prestiżem. Kariera Reszczyńskiego już wcześniej przypominała sinusoidę, ale można powiedzieć, że po Krakowie akcje Reszczyńskiego poszły zdecydowanie w dół. Nie tylko zresztą jego. Odpowiedzialność polityczną za wypadki krakowskie poniósł, odwołany ze stanowiska, wojewoda krakowski Kazimierz Świtalski. Jak wspomina Lidia Ciołkoszowa, to właśnie on wydał policji rozkaz spacyfikowania, poprzedzających tragedię krakowską, strajków okupacyjnych w fabryce Semperit i w kopalni w Wieliczce. PPS, której przywódcą w Krakowie był mąż Ciołkoszowej, Adam, ogłosiła całodobowy strajk. W dniu strajku, jak mówi Ciołkoszowa: „Tłumom wracającym ze zgromadzenia ulicą Warszawską do placu Matejki zagroziła drogę znana ze swej brutalności policja z Gołędzinowa, która obawiając się demonstracji pod siedzibą wojewody, bezskutecznie starała się ludzi zawrócić. Policja użyła broni: ośmiu robotników zostało zabitych i dwudziestu sześciu rannych”[16].

Ciekawostką dla kogoś z mojego pokolenia jest udział w opisywanych wydarzeniach Józefa Cyrankiewicza („na wieki wieków premiera” z PRL). Lidia Ciołkoszowa opisuje na przykład, jak z ramienia PPS hamował on w marcu 1936 roku bardziej radykalne plany strajkowe krakowskich komunistów.

Notabene, Cyrankiewicz przewija się też na dalszym planie późniejszych dziejów Reszczyńskiego, bo obaj są wezwani jako świadkowie na procesie

innego jeszcze krakowskiego działacza PPS, Bolesława Drobnera, oskarżonego w 1938 roku o działalność komunistyczną. Z tym że świadek Reszczyński – już wówczas komendant w Poznaniu – nie stawi się w krakowskim sądzie z powodu choroby...

Warto także odnotować, że zanim trafi on podczas wojny do Auschwitz, Józef Cyrankiewicz kieruje akcją odbicia z rąk Gestapo Jana Karskiego, czyli Jana Kozińskiego, młodszego brata poprzednika Reszczyńskiego na stanowisku warszawskiego komendanta policji, Mariana Kozińskiego.

Swojego rodzaju późny epilog wypadków krakowskich, które tak negatywnie odbiły się na karierze Aleksandra Reszczyńskiego, rozegrał się kilkanaście lat później, podczas stalinowskiego procesu Kazimierza Świtalskiego, wytoczonego mu na podstawie dekretu KRN „o faszycyzacji kraju i odpowiedzialności za klęskę wrześniową”. Do procesu doszło po sześciu latach uwięzienia Świtalskiego bez wyroku. Po zaledwie tygodniowym procesie, w maju 1954 roku, został on skazany na osiem lat więzienia. W drugim dniu procesu, oskarżony stanowczo zaprzeczył, jakoby wydał rozkaz pacyfikacji Semperitu, a w efekcie strzelania do robotników.

Prawa ręka Piłsudskiego, były premier, minister, marszałek Sejmu i wojewoda krakowski Kazimierz Świtalski został skazany za swoją przedwojenną działalność polityczną, „skierowaną – jak to ujęto w sentencji wyroku – przeciwko polskim masom pracującym, walczącym o wolność społeczną, o swobody demokratyczne, o pracę, o chleb i pokój”[17].

Ul. Chocimska

CHORY WEISS RZĘZIŁ TAK POTWORNIE, że słyhać go było przez zamknięte drzwi, ale Ellenberg nie mógł już mu pomóc. Trzeba było czekać na wezwanego przezeń ostatkiem sił lekarza policyjnego, a w przypadku Ellenberga – nasłuchiwać, żeby się przed nim w porę ukryć. O spaniu więc nie było mowy; zresztą i tak nie mógłby zasnąć. Pod wpływem wiadomości o śmierci Reszczyńskiego zaroilo mu się w głowie od krakowskich wspomnień.

Proces demonstrantów z marca 1936 roku rozpoczął się u progu lata i ciągnął się niemiłosiernie długimi upalnymi dniami. Sprawy pół setki demonstrantów połączono w jedną wielką rozprawę. Po kilku dniach wszystkie zeznania zlewały się w jedno. Oskarżeni oczywiście nie „rzucali kamieniami” i nie krzyczeli „precz z Polską”, a policja, broń Boże, nikogo nie biła i do nikogo w szczególności nie strzelała. Oskarżonych broniło dwie dziesiątki krakowskich adwokatów, a do tego jeszcze kilku członków warszawskiej palestry, powtarzając od początku, że winien zajściom był wojewoda Świtalski, a proces był polityczny i powinien mieć miejsce przed sądem przysięgłych. Celował w tej argumentacji jego pryncypał, mecenas Rozenzweig, który do niczego Ellenberga właściwie nie potrzebował, więc ten ratował się przed zaduchem i nudą, raz wachlując się, a raz ukradkiem czytając pod stołem gazetę. Gdzieś w połowie procesu w doniesieniu z Gdańska przeczytał, że Niemcy drażnili Polaków dwuwierszem: „Gdy się skończy olimpiada, będzie z Polski marmelada!”.

Odruchowo parsknął śmiechem.

Sala zamarła, sędzia przeszył go bazyliżkowym wzrokiem, a Rozenzweig kopnął w kostkę. Za pokutę Ellenberg z własnej nieprzymuszonej woli wertował przez tydzień protokoły oględzin zwłok zabitych i z ogonem między nogami przyniósł rozgniewanemu pryncypałowi swoje znalezisko: kilku z zabitych ranionych było mianowicie w plecy. Przeczyło to linii policji, że strzelała do atakujących. Udobruchany Rozenzweig użył nawet tego argumentu na sali

sądowej i Ellenberg mógł spokojnie nudzić się dalej, aż do dnia, kiedy po raz pierwszy padło w procesie nazwisko Reszczyńskiego...

Ellenberg bardzo się obawiał, że komendant może zostać wezwany na świadka i go rozpoznać. Byłoby mu to nie na rękę, bo feralnej nocy, kilka godzin po tym, jak obyczajówka przyłapała go *in flagranti* z hrabiną, to właśnie Reszczyński stanął pomiędzy nim i zdradzonym mężem, Weissem. Miało to miejsce w tej samej bramie na Kazimierzu. Najpierw oślepiony żądzą zemsty Weiss znalazł go w środku nocy w knajpce przy Rynku, pod lufą pistoletu wrzucił do swojego packarda i kazał sobie wskazać miejsce, gdzie przyprawiono mu rogi. Zaprowadziwszy go do bramy na Dietlowskiej, Ellenberg padł w niej na kolana błagając, by Weiss darował mu życie. Tak zastał ich komendant. Zaalarmowany przez hrabinę i przywiedziony na miejsce swym policyjnym instynktem, stanął między nimi. Kazał Ellenbergowi zmiatać...

Ten Reszczyński poznałby go w sądzie na pewno i kto wie, jakie z tego wynikłyby nieprzyjemności, ale na szczęście był zbyt dużą szyszką, żeby zeznawać w procesie, który był koniec końców procesem demonstrantów, a nie policji.

Nad ranem, w szarości pomiędzy nocą i dniem, Weissa obudził dzwonek telefonu. Był to Kurtz, z nieoczekiwaną wiadomością, że za godzinę wyrusza na likwidację komunistycznej kryjówki na Żoliborzu i wysyła po niego samochód, jeśli tylko inspektor nadal życzy sobie wziąć osobisty udział w akcji. Weiss zerwał się z łóżka. Po Ellenbergu nie było ani śladu, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Zasiadł przy stole i przygotował swoją broń przyboczną. Powoli, systematycznie, rytualnie wręcz, rozebrał i wyczyścił pistolet, który umieścił następnie w kaburze u pasa polowego munduru. Na Szucha jego samochód dołączył do konwoju dwóch ciężarówek i trzech samochodów osobowych, który niczym mała armia z łoskotem potoczył się opustoszałymi ulicami w kierunku zachodnim. Na miejscu ciężarówki zamknęły oba wyloty ulicy, a dom pod numerem 9 otoczył zbrojny kordon Gestapo. Na komendę Kurtza, żandarm załomotał do drzwi. Nie czekając zbyt długo na odpowiedź, drzwi wyważono. Jakaś niewidzialna siła popchnęła Weissa w kierunku pokoju na prawo od korytarza. Kopniakiem otworzył drzwi i wbiegł z pistoletem w dłoni do środka. Na zasłanym łóżku, z wycelowanym w Weissa parabellum, siedział człowiek w płaszczu i w kaszkiecie. To był on, mężczyzna z Powązek, zamachowiec z Krasińskiego. Przez ułamek sekundy mierzyli w siebie nawzajem.

– To za pułkownika! – wykrzyknął Weiss, naciskając spust jako pierwszy. Jego kula ugodziła zamachowca w tułów. Jednocześnie pierwsza kula z pistoletu

zamachowca trafiła Weissa w krtań. Krew bryzgnęła po ścianach. Zamachowiec osunął się na łóżko, a Weiss padł na wznak. Kurtz wpadł do pokoju i mierząc w zamachowca, uklęknął przy Weissie, który trzymając się obiema rękoma za szyję, dusił się własną krwią z przestrzelonej tchawicy.

– Weiss, Weiss! – krzyczał gestapowiec.

I wtedy Weiss się obudził.

Ujrzał nad sobą czyjąś twarz i usłyszał jakiś głos. Rysy twarzy były niewyraźne, a słowa niezrozumiałe. Długo przychodził do siebie. Bardzo powoli otoczenie zaczęło nabierać ostrości. Leżał w biały dzień, w swoim łóżku, w mieszkaniu na Chocimskiej. Na pochylonej nad nim twarzy malowała się troska.

– Czy pan mnie słyszy, inspektorze?

– Kurtz? – wyszeptał Weiss spierzchniętymi wargami.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Jestem lekarzem policyjnym – powiedział.

Weiss złapał się za szyję. Szukał palcami rany postrzałowej. Nie znalazłszy jej, wziął głęboki oddech. Grało mu w płucach, ale mógł oddychać. Żył...

– A tamten? – zapytał z wysiłkiem.

– Kto?... – zapytał lekarz. – Jesteśmy tu sami.

Prawda zaczynała powoli do niego docierać. Nikogo nie zabił. Nie było żadnej obławy.

– Skąd pan się tu wziął?

– Przysłał mnie Sturmbannführer Kurtz. I wspaniałomyślnie przekazał dla pana to... – lekarz pokazał mu fiolkę z białą zawiesiną.

– Co to za świństwo?

– Ha! Skarb z getta. Najprawdziwsza angielska penicylina.

– Co takiego?

To, że w czasie choroby Weissa obecność Ellenberga w jego mieszkaniu nie wyszła na jaw, graniczyło z cudem. Kiedy zjawił się w towarzystwie dozorca ten niemiecki lekarz, Ellenberg dosłownie w ostatniej chwili zdołał ukryć się w spiżarni. Później z kolei o mały włos nie znalazł go Kowalski, który przyjechał krótko po lekarzu, posiedział krótko przy swym majaczącym pryncypale, a potem długo myszkował po mieszkaniu, bezskutecznie poszukując swojego pistoletu. Nazajutrz z kolei Ellenberga wyrwało ze snu przybycie wojskowej pielęgniarki. Znowu musiał się ukryć. Zaaplikowawszy Weissowi kolejny zastrzyk i oporządziwszy go nieco, gruba Niemka postanowiła się posilić jego kosztem, a podbierając ze spiżarni marmoladę, o mały włos nie nakryła Ellenberga. Na odchodnym zapowiedziała się Weissowi na kolejny dzień, bo w serii zastrzyków pozostało jeszcze pięć fiolek.

Skrajnie osłabiony Weiss na tyle odzyskał jasność umysłu, że po jej wyjściu kazał się Ellenbergowi zaprowadzić do telefonu. Przez Kempieńskiego kategorycznie zakazał wszelkich wizyt Kowalskiemu, pielęgniarce i komukolwiek innemu. Kolejny zastrzyk wykonać musiał w tej sytuacji Ellenberg. Weiss wyjaśnił mu z pamięci, jak to robiła grubaska. Ellenberg przegotował strzykawkę i igłę, nabrał lekarstwa z fiolki, zdezynfekował wskazane miejsce koniakiem i przystąpił do dzieła.

Leżąc na brzuchu, z fałdą obnażonego pośladka pomiędzy palcami kochanka swojej żony, Weiss czuł się jak postać z tragifarsy. Ellenberg wykonał zastrzyk i rozmasowując miejsce nakłucia wacikiem nasączonym w alkoholu, zapytał nagle:

- Jak pan myśli, dlaczego go zabili?
- Kogo? – jęknął Weiss.
- Reszczyńskiego...
- A dajże mi pan święty spokój!

Ale Ellenberg nie dawał za wygraną. W czwartym dniu kuracji inspektor poczuł się na tyle dobrze, że usiadł przy stole do przygotowanej przez niego zupy z kostki maggi z kartoflami, a Ellenberg zaczął ni stąd, ni zowąd opowiadać o krakowskich rozruchach z 1936 roku. Przyznał się, że same demonstracje pamiętał jak przez mgłę, bo prowadził wtedy nadzwyczaj bujne życie towarzyskie i większość dni przesypiał.

– Ale po wiadomym panu incydencie musiałem przysiąc memu ojcu, że wezmę się za siebie...

Na bezpośrednią wzmiankę o zdradzie swojej żony Weiss podniósł na niego z odrazą wzrok, ale nic nie powiedział, a Ellenberg po krótkiej pauzie kontynuował:

– ...podjąłem aplikację adwokacką u mecenasa Rosenzweiga. No a ten Rosenzweig został obrońcą w procesie krakowskim. Wielki proces! Dwudziestu obrońców, oskarżonych pół setki, głównie młodych Żydów, parę Żydówek, robotników, robotnic i biedoty. I wie pan, że niemal ciągle powracało nazwisko Reszczyńskiego, bo ci oskarżeni skarżyli się, że to ich policja biła. To jest najpierw biła, a potem Reszczyński kazał strzelać...

Weiss odsunął niedokończony wywar z kostek maggi. Obtarł wargi serwetką.

- Miał polecenie wojewody – powiedział powoli, podejmując wreszcie temat.
- Ale komendant podlegał prezydentowi!
- Ale demonstranci grozili urzędowi wojewódzkiemu. Leciwały kamienie, butelki z kwasem, ktoś strzelał z tłumy...
- Pan go broni...

– Żebyś pan wiedział, że go bronię! – Weiss podniósł głos na tyle, na ile miał sił.

Nagle siedzący naprzeciw niego Ellenberg zastygł w bezruchu. Ale nie miało to nic wspólnego ani z Weissem, ani z Reszczyńskim. W drzwiach pokoju stał kierowca, Kowalski.

Weiss przytomnie sięgnął po broń, ale ponieważ nie przyszedł jeszcze do siebie po chorobie, to mierząc z pistoletu w Kowalskiego, zaczął wkrótce słaniać się na nogach. Przysiadł więc, nie spuszcżając kierowcy z oka. Podejrzewając, że Kowalski mógł się ponownie uzbroić, kazał Ellenbergowi sprawdzić jego kaburę, ale ta była pusta. Weiss myślał gorączkowo, co zrobić.

– Rozbieraj się! – rozkazał w końcu.

Obaj mężczyźni popatrzyli na niego pytająco.

– Obaj się rozbierajcie!

Kowalski bez szemrania zdjął mundur, a Ellenberg spodnie. Trzymając go wciąż na muszce, Weiss zamknął kierowcę w komórce w przedpokoju, a jego mundur kazał założyć Ellenbergowi, który był mniej więcej tego samego wzrostu.

Ellenberg, ubierając się, patrzył na Weissa z niepokojem, usiłując rozpaczliwie odgadnąć, co Austriak zamierza. Weiss ze sceptycznym wyrazem twarzy studiował jego wygląd. Niestety, zamiast odciągnąć uwagę od jego semickich rysów, mundur jedynie je podkreślał, bo aż tak były wyostrzone miesiącami głodu. Płaszcz Kowalskiego i pas z pustą kaburą, oraz jego czapka też niewiele pomogły. Weiss dał za wygraną. Narzucił na ramiona swój płaszcz i bez słowa otworzył przed Ellenbergiem drzwi wyjściowe...

Na dole minęli pospiesznie okienko dozorczy i stukając przekonująco obcasami, stanowczym krokiem wyszli z bramy, prosto do zaparkowanego pod domem czarnego opla. Zderzyli się przy jego tylnych drzwiczkach.

– Pan prowadzi! – warknął Weiss.

– Ale ja nie umiem...

Weiss zaklął po niemiecku. Niezgrabnie otworzył przed Ellenbergiem drzwiczki i dosłownie wepchnął go do środka. Szczęście wciąż im sprzyjało, bo na ulicy tuż przed godziną policyjną było dość pusto. Weiss opanował się nieco i obszedłszy samochód wolnym krokiem, zasiadł za kierownicą.

Na placu Unii minęli patrol żandarmerii. Przy pewnej dozie spostrzegawczości, łatwo było zauważyć, że kierowcą czarnego opla jest cywil, a pasażerem zwykły Sturmmann, ale na szczęście patrol nawet nie spojrział w ich stronę. Pod komisariatem Kripo Weiss zatrzymał auto z fasonem i szparkim krokiem wmaszerował do budynku.

Chodzenie bardzo go męczyło. Kiedy zamknął za sobą drzwi gabinetu, znowu musiał złapać oddech. Opierając się o szafę pancerną, wyjął z niej pudełko z paszportami i włączył lampę na biurku. Przewertował paszporty jeden po drugim, zwracając uwagę jedynie na zdjęcia właścicieli. Kilka z nich, wystawionych na kobiety, odłożył z powrotem. Spośród pozostałych wybrał trzy ze zdjęciami mężczyzn, którzy w jakimś stopniu przypominali Ellenberga. Jeden z nich, z najlepszą podobizną, schował do kieszeni. Zamykając szafę pancerną, zawahał się. Wziął z niej brązową kopertę i wyjął z niej kilka studolarówek.

W drodze na Długą, zrzucając szynel i mundurową kurtkę Kowalskiego, Ellenberg przeobraził się na tylnym siedzeniu opla z powrotem w cywila. W rękę dzierżył kurczowo nowiutki paszport Republiki Hondurasu. Na miejscu wysiedli z samochodu i dziarskim krokiem podeszli do żandarmów rozstawionych od początku akcji likwidacyjnej w getcie, na warcie u wrót okazałego dwuskrzydłowego budynku. Weiss wziął od Ellenberga paszport w okładce koloru fuksji i podsunął go pod sam nos wachy.

Wchodząc przez furkę we wrotach budynku odległego o zaledwie kilkaset metrów od bram płonącego getta, znaleźli się w innym świecie. O Hotelu Polskim przy ulicy Długiej krążyły w Warszawie legendy i miejsce to w istocie miało w sobie coś całkowicie nierealnego. W jego ciemnych korytarzach i na dziedzińcu kłębiła się ciżba przestraszonych i niepewnych przyszłości, ale w odróżnieniu od setek tysięcy ofiar getta – wciąż żywych i żywiących nadzieję na rychłe ocalenie ludzi.

Na widok munduru Weissa desperacka kolejka interesantów do biura rejestracyjnego rozstała się na boki. Większość z nich miała dopiero zamiar kupić od Niemców dokumenty, natomiast Ellenberg już się legitymował paszportem. W dodatku towarzyszył mu oficer niemieckiej policji, który przed podaniem fuksjowego dokumentu gestapowcowi z ospowatym obliczem nie omieszkał wsunąć doń jednej ze studolarówek. Zostali obsłużeni szybko i sprawnie. Ellenberga przydzielono nawet do pokoju, gdzie miał oczekiwać na kolejny transport do Francji.

Ponieważ zapis na transport wiązał się, jak wszystko w Hotelu Polskim, z łapówką, to na pożegnanie Weiss wsunął mu do ręki resztę studolarówek.

Przeciskając się następnie między koczującymi w korytarzu uciekinierami z getta w stronę wyjścia, Weiss nie mógł się nadziwić, jak różnorodne było to zbiorowisko. Widział wśród nich dostojne, patrycjuszowskie oblicza bankierów i przedsiębiorców tuż obok zasuszonych uczonych w piśmie z twarzami z pergaminu. Widział zdesperowane spojrzenia matek z dziećmi i ruchliwe oczka jakichś podejrzanych typów, może spekulantów, a może kolaborantów... Honduraskie, portorykańskie czy wenezuelskie paszporty miały im wszystkim

dać wolność. Umożliwić bezpieczny wyjazd do francuskiego obozu, a stamtąd, w drodze wymiany za niemieckich jeńców, na statek, ku wolności, na drugą półkulę. Oddali wszystkie swe ziemskie skarby za ten upragniony paszport i dobrowolnie zarejestrowali się tutaj, u wrót raju. Tylko że tych wrót nie strzegł bynajmniej święty Piotr, ale skorumpowany gestapowiec z ospowatym obliczem... Czy Ellenbergowi się uda? Weiss uznał, że zrobił, co mógł. Gdyby nie to, że miał niedokończone sprawy w Warszawie, to sam chętnie znalazłby się na jego miejscu...

Rembek o Reszczyńskim

W SWOIM *DZIENNIKU OKUPACYJNYM* polski Isaak Babel, czyli Stanisław Rembek, nawiązuje bezpośrednio do Aleksandra Reszczyńskiego w trzy miesiące po jego śmierci. W niedzielę, 6 czerwca 1943 roku, Rembek odnotowuje, że odwiedził go Kisiel (Stefan Kisielewski), do którego dobiło jeszcze dwóch kolegów, wobec czego Rembek poszedł po „bimbra”.

Przy bimbrze rozmowa toczyła się wokół kwestii długo oczekiwanego desantu aliantów we Francji i terroru, „który od marca stosują rozmaite tajne organizacje wobec Niemców i współdziałających z Niemcami”.

I tu pada nazwisko komendanta Reszczyńskiego:

„Zaczęło się od zabójstwa komendanta policji warszawskiej Reszczyńskiego, stryjka Jędrka i Tadka”.

Potem mowa jest przy bimbrze o zlikwidowanych w Warszawie trzech kierownikach Arbeitsamtów. Rembek pisze, że w samym kwietniu 1943 roku zastrzelić miano w Warszawie 243 Niemców – „nie licząc współdziałających z nimi Polaków, których pada o wiele więcej”.

Ul. Poznańska

„FRYGA” NIE MOGŁA ZASNAĆ. Tak długo przewracała się z boku na bok, że aż siostra, z którą dzieliła pokój, zaczęła się budzić i fukać na nią, więc teraz leżała tylko nieruchomo na wznak, wpatrując się w ciemność. Od kilku dni prześladowały ją złe przeczucia, które wczoraj się ziściły. Żandarmi zatrzymali ją z dwoma towarzyszami na Hożej, kiedy stali tam we troje, po prostu rozmawiając. Musieli wyglądać podejrzanie, bo nagle usłyszeli za sobą: „*Ihre Papieren...*” i zobaczyli wymierzone w siebie lufy karabinów. „Fryga” nigdy jeszcze nie była tak bliska wpadki. Jeden z jej towarzyszy miał w teczce rękopisy do następnego numeru podziemnej gazetki, a drugi trzymał w kieszeniach płaszcz rozkazy Gwardii i meldunki o wykonanych akcjach. Żandarmi zawlekli ich do bramy i zaczęli gruntownie przeszukiwać. Heddzie serce stanęło w gardle, kiedy kątem oka zobaczyła w teczce Stefana rękopis. Bez trudu ujrzała słowo „marksizm” w tytule... Ale Niemcy szukali czegoś bardziej konkretnego. Najprawdopodobniej broni, bo tylko pobieżnie pokleпали wewnętrzne kieszenie płaszcz Antka, w których znajdowały się meldunki. Jeżeli chodzi o nią samą, to wygrzebali jej nawet z kieszeni płaszcz przedwojenny bilet tramwajowy, ale nic poza tym. Pół godziny ich tak maglowali, a potem zaczęli się spierać, czy ich aresztować. W zamkniętej bramie zaczęło pachnieć szubienicą. Kiedy ich w końcu puścili, cała trójka odeszła w stronę Marszałkowskiej na miękkich nogach. „Fryga” cały dzień nie mogła potem przyjść do siebie, a w nocy niemal nie zmrużyła oka. Ale wyszedłszy cało z opresji, bynajmniej nie pozbyła się dręczących ją złych przeczuc. Pomyślała w końcu, że może te uporczywe obawy nie dotyczą jej samej, tylko „Jacka”. Nie widziała go od wielu dni. Przy ostatnim spotkaniu opowiadał jej z błyskiem w oczach o swoich wyczynach pod murami getta. Była z niego dumna. Zawsze się o niego bała, choć zawsze duma brała górę. Teraz po prostu się o niego bała.

W sąsiednim łóżku jej siostra spała w najlepsze. W nocnej ciszy „Fryga” słyszała wyraźnie jej równomierny oddech. Pomyślała, że jeśli zacznie oddychać w tym samym spokojnym tempie, to może sama też zaśnie snem sprawiedliwych. Wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze z płuc, kiedy nagle poczuła grzmot. Właśnie „poczuła”, a nie „usłyszała”. Poczuła go kręgosłupem poprzez materac, niczym dobiegający z głębi ziemi pomruk bestii. Przez szczelinę między roletą i framugą okna rozbłysło światło. Podbiegła do okna. Niebo było nadal rozświetlone. To nie były błyskawice, to było upiorne światło flar zrzuconych z ogromnej wysokości, a grzmoty to były wybuchy padających na miasto bomb burzących. W oddali waliły działa obrony przeciwlotniczej. Nalot!

W otwartych drzwiach pokoju stanął jej ojciec:

– Obudź Wandę! Szybko, do piwnicy! – krzyknął.

Po zarwanej nocy cała rodzina, niewyspana i w grobowym nastroju, zasiadła o świcie przy kuchennym stole. Gospośia przyniosła z sąsiedztwa hiobowe wieści. Zbombardowane były Koszyki, kamienice na Marszałkowskiej, Śniadeckich i dalej, kolejne ulice na Ochocie. Było wielu zabitych i rannych.

– A to wszystko, to Ruskie zrobiły! – z naciskiem zakończyła swoją relację gospośia.

Pani Eugenia pokiwała głową. Popatrzyła wymownie na przybraną córkę, a potem na swojego męża.

– Słyszeliście, co Gienia powiedziała?

Oboje wbili wzrok w stół. Żadne z nich nie potrafiło sobie wytłumaczyć, czym kierowali się Sowieci, decydując się na bombardowanie zamieszkałych dzielnic Warszawy.

– Najważniejsze, że żyjemy... że tym razem przeszło bokiem – powiedziała w końcu filozoficznie pani Eugenia.

„Fryga” pokiwała głową. Chciała powiedzieć, że radzieckie dowództwo musiało mieć nadzwyczajny powód, żeby dokonać bombardowania. Nie mieściło jej się w głowie, żeby mogło być inaczej. *Najpewniej szło o niemieckie koszary, a bomby upadły zbyt daleko* – myślała, ale postanowiła zachować te przemyślenia dla siebie. Nie odczuwała przy tym żadnej ulgi, że bombardowanie nie dosięgło ich domu. Nadal miała złe przeczucia i kiedy cała rodzina rozeszła się już do swoich zajęć, to ona dalej tkwiła przy kuchennym stole.

Tego dnia nawet się nie ubrała, a nazajutrz, po kolejnej bezsennej nocy, znowu siedziała w szlafroku przy kuchennym stole, aż do południa.

W południe ktoś zapukał do drzwi. Pani Eugenia przyprowadziła do kuchni nieznanego „Frydze” mężczyznę i poprosiła, żeby gospośia zostawiła ich samych. Mężczyzna wyszedł stamtąd po kilku minutach, bez pożegnania opuścił mieszkanie i szybko zbiegł schodami. Pani Eugenia zamknęła za nim drzwi,

a potem na palcach weszła do kuchni. „Fryga” siedziała nieruchomo w tym samym miejscu, obracając w palcach broszkę z feniksem. Na widok pani Eugenii wyprostowała się, nabrała powietrza i z trudem powstrzymując łzy, powiedziała tylko jedno słowo:

– „Jacek” ...

Caravaggio, Niewiadomski... Bartoszek?

MUSZĘ SIĘ CIĄGLE PILNOWAĆ, żeby nie pisać o Franciszku Bartoszkowi jako o zabójcy pułkownika Reszczyńskiego, ponieważ z faktu, że to on dowodził zamachowcami, wcale nie wynika, że pociągnął za spust. Można się spierać, czy jako dowódca nie ponosi co najmniej częściowej odpowiedzialności, dzieląc ją z podkomendnym, który być może dokonał za niego egzekucji, oraz ze swoimi mocodawcami, którzy go wysłali na ulicę Krasieńskiego 4. Ale – bez dzielenia włosa na czworo – faktem jest, że zamachem dowodzi uzdolniony, młody malarz. Mało tego. Jeżeli Hanka Reszczyńska prawidłowo rozpoznała go na zdjęciu, to drugim z zamachowców jest, bodajże jeszcze bardziej od Bartoszka uzdolniony malarz, Zygmunt Bobowski. To fakt, że po siedemdziesięciu z górą latach do takiej identyfikacji ze zdjęcia należy podchodzić z ostrożnością. Ale faktem jest również, że Bobowski i Bartoszek byli nierozłączni do tego stopnia, że zginęli razem, więc jestem skłonny przypuszczać, że wśród zabójców pułkownika Reszczyńskiego był nie jeden, ale aż dwóch artystów malarzy.

Przy czym Bartoszek był nie tylko plastykiem, ale także historykiem sztuki i krytykiem. Dla miesięcznika „Arkady” pisał z Włoch tuż przed wojną szkice o sztuce monumentalnej, a w korespondencji z biennale weneckiego dla lwowskich „Sygnałów” w 1939 roku w taki oto znamieny sposób pisał o twórczym indywidualizmie:

„Plastyk, sam człowiek myślący i czujący, ma swoje treści, swą wolę, swą potrzebę tworzenia, która nie zawsze musi podlegać racjonalistycznej dyscyplinie; w tym plastyku jest ponadto i przede wszystkim dużo elementu życia emocjonalnego, podświadomego nawet, wyrażającego się w mocnym akcie plastycznego działania, w tej absolutnej konieczności kształtowania”.

Co się stało z autorem tych słów pomiędzy 1939 rokiem, kiedy je napisał, a rokiem 1942, kiedy ten wrażliwy artysta został bojownikiem komunistycznego podziemia? Jak to się stało, że podobny los wybrał także jego kolega po piędzlu?

Kto tu kogo inspirował? Czy to starszy, o wiele bardziej radykalnie lewicowo nastawiony żołnierz rezerwy, Bobowski, wciągnął do walki młodszego Bartosza? Ich zaangażowanie ma wyraźne zabarwienie ideowe, a dopiero potem patriotyczne. Wiążąc swoje losy z Gwardią Ludową, przystępują do walki zbrojnej dopiero na półmetku wojny. Początkowo podejrzewałem, że radykalizacja Bartosza mogła mieć także związek z jego małżeństwem z Heddą Semil, córką wybitnego działacza socjalistycznego, członkinią PPR i żołnierzem GL, ale jak się później okaże, możliwe, że związek z Heddą był skutkiem, a nie przyczyną ewolucji poglądów malarza.

A może w jego w przeobrażeniu w bojówkarza nie ma właściwie niczego dziwnego? Wrażliwe dusze, jakimi są artyści malarze, nie muszą być konieczne świętoszkami. Uwielbiana przez Bartosza sztuka włoska zna co najmniej dwa przykłady malarzy awanturników. Notorycznym zabójcą był szesnastowieczny rzeźbiarz Benvenuto Cellini, a ojciec malarstwa barokowego, Caravaggio, był skazany na banicję za zabójstwo.

Niestety, nie trzeba szukać aż w Italii przykładu artysty, który zamienił pędzel na pistolet. Zabójca Gabriela Narutowicza, Eligiusz Niewiadomski, też był malarzem, uczniem Wojciecha Gersona i historykiem sztuki. W piątym dniu urzędowania pierwszego prezydenta RP Niewiadomski strzelił mu trzy razy w plecy, kiedy ten podziwiał podczas wizyty w Zachęcie nastrojowe płótno przedstawiające zimowy pejzaż.

O tym Niewiadomskim zgadało się, kiedy po ciężkim dla nas obu wywiadzie z panem Januszem Cywińskim w Londynie gawędziliśmy sobie o różnych malarzach-zabójcach. Opowiedział mi wtedy o tym, że wśród witających Narutowicza w Zachęcie był jego ojciec, minister robót publicznych. To właśnie Władysław Cywiński okrył ciało białą-czerwoną flagą.

Skazanego na śmierć przez rozstrzelanie zabójcę odprowadzało na Powązki dziesięć tysięcy „prawdziwych Polaków”.

Poplamiona krwią zamordowanego prezydenta flaga, przechowywana przez Cywińskich jak relikwia, spłonęła wraz z ich domem w powstaniu...

Ul. Krasińskiego 4

W ŁAGODNY MAJOWY WIECZÓR KOWALSKI ZAWIÓŻŁ WEISSA NA ŻOLIBORZ.

Od czasu incydentu z Ellenbergiem upłynęło kilka tygodni, a pomiędzy inspektorem i jego kierowcą zaistniało coś w rodzaju zawieszenia broni. Weiss nadal rozporządzał obciążającymi Kowalskiego dowodami, ten zaś przyłapał swojego szefa na przechowywaniu Żyda – sytuacja była patowa. Przede wszystkim jednak byli sobie nadal potrzebni. Niezrażony fiaskiem obławy na Felińskiego, Weiss nadal snuł plany pojmania zabójców, a desperacko potrzebujący ochrony kripowskiego munduru kierowca umiejętnie podsycił jego obsesję i zwodził go coraz to nowymi informacjami o rzekomych losach specgrupy. Te informacje były w większości wysane z palca. Jeżeli Gestapo nie zrobiło kotła na Felińskiego – rozumował Kowalski – to znaczy, że adres był trefny, a ukrywający się pod nim komuniści mieli swoje konszachty z Gestapo. W tej sytuacji sam poradził swemu informatorowi, Walczakowi, żeby zwiewał z Warszawy gdzie pieprz rośnie i był całkowicie odcięty od jakichkolwiek źródeł informacji. O żadnej samodzielnej zaś robocie wywiadowczej z jego strony nie mogło być mowy – czerwoni i tak przecież na niego polowali. Nieświadom tego wszystkiego, Weiss oddał nawet kierowcy jego broń i udawał, że mu ufa, a ten udawał, że tropi dłań zabójców komendanta.

Ostatnie wiadomości naruszały tę łagodną równowagę, ale póki co Weiss był nimi zbyt podekscytowany, żeby się przejmować Kowalskim. Rażno wysiadł z czarnego opla pod kamienicą na Krasińskiego i spojrzawszy przelotnie w górę, w kierunku mieszkania Reszczyńskich, wszedł do bramy. Nie był tu od marca i idąc w górę schodami, raz jeszcze próbował sobie wyobrazić, co się na nich rozegrało tamtej nocy, kiedy zamachowcy prowadzili nimi rozbrojonego komendanta.

Pod drzwiami z numerem dziesięć poprawił okrycie. Zapukał. Za drzwiami panowała cisza, natomiast z dołu dobiegł go odgłos ciężkich kroków i ciężkie sapanie.

Zdyszana gospodyni Górowa zatrzymała się dla złapania oddechu piętro niżej.

– Halo tam, pan do kogo? – zawołała.

Weiss wychylił się przez poręcz.

– A! To pan oficer z policji! – Górowa udała zaskoczenie.

– Czy pani wie, gdzie jest pani Reszczyńska?

– A nie ma ich?

– Nikt nie odpowiada.

Górowa otworzyła drzwi swoim kluczem i Weiss wszedł za nią do ciemnego przedpokoju. Zapach w środku zdradzał, że mieszkania nie wietrzono od dłuższego czasu, ale Górowa na wszelki wypadek konsekwentnie udawała, że nic nie wie o wyjeździe lokatorów ani o niczym innym. Już raz ją odwieźli na Kripo jak jakąś bandytkę i wołała być ostrożna.

Weiss wszedł do pokoiku od podwórza. Wszystko było tu na swoim miejscu. Pokój komendanta w niczym nie przypominał już miejsca zbrodni. Był uporządkowany, jakby oczekiwał na jego powrót. Porządek i zapach stęchłego powietrza sprawiały, że pokój przypominał ekspozycję w muzeum. Inspektor delikatnie przesunął palcami po fornirowanym blacie. Nie oczekiwał, że powrót na miejsce zabójstwa będzie miał na niego taki wpływ. Zdał sobie sprawę, że Górowa, wzięwszy się pod boki, obserwuje go z progu.

– Proszę zostawić klucz w drzwiach – powiedział tonem służbisty.

Kobieta przygryzła dolną wargę. Widać było, jak jej natura dozorczyńi walczy z instynktem samozachowawczym, a potem jak ten ostatni bierze górę:

– Tak jest, panie oficerze!

Weiss usiadł w fotelu w rogu pokoju. Został w półmroku sam ze swoim poczuciem porażki. Otworzył leżące na stoliku obok szachy i w zamyśleniu zaczął ustawiać figury na szachownicy. Ustawił już prawie wszystkie, kiedy nagle zadrżały wszystkie szyby w oknach. Od strony ulicy dobiegł go odgłos dalekiej, ale potężnej eksplozji. Weiss wypuścił trzymany w ręku pionek i wybiegł na balkon. W oddali ujrzał pnący się powoli w górę, aż do chmur, oświetlony zachodzącym słońcem, potężny słup dymu. Był to przerażający, a zarazem piękny widok.

Kątem oka Weiss zauważył poniżej mecenasa, który z całą rodziną wybiegł na balkon.

Mecenas też go spostrzegł i cofnął się szybko, ale było już za późno udawać, że nie widzi Weissa, który zaczął przyjaźnie do niego machać, więc uklonił mu

się lekko. Weiss odwzajemnił ukłon.

– Getto? – zapytał, wskazując na południe.

Mecenas przytaknął.

– Niewiarygodny widok – powiedział Weiss, patrząc na opadający już słup dymu, a potem gestem zaprosił mecenasa na górę.

– Niech pan będzie łaskaw... muszę panu coś ważnego powiedzieć.

Usiedli przy stole.

Mecenas, tak samo jak Weiss, czuł się tu nieswojo. Ostatnim razem był tu za życia komendanta. Nie wiedział też, czego się spodziewać po Austriaku. Obawiał się, że ten znowu będzie usiłował coś od niego wyciągnąć, ale Weissowi ani to było w głowie.

– Zabójca pana komendanta nie żyje – powiedział bez zbędnych wstępów.

– Zabójca?... – zapytał zaskoczony mecenas.

– No tak... Pan jest prawnikiem. Powinienem być powiedzieć, dowódca zamachowców – poprawił się Weiss. – Oczywiście ma pan rację, nie wiemy przecież do końca, czy to on osobiście oddał fatalny strzał.

– Nie żyje? – upewnił się mecenas.

Weiss pokiwał głową.

– On... i jeszcze jeden z zamachowców. Ci sami, których widziała pana córeczka na schodach.

– Rozumiem... – Mecenas z całych sił starał się ukryć targające nim uczucia. Jeżeli Weiss mówił prawdę, to sprawiedliwości stało się zadość. A to graniczyłoby z cudem. Sprawiedliwość to było coś nadzwyczaj rzadkiego w zniewolonej Warszawie. Ale z drugiej strony, nie wiedział przecież, kto i w jaki sposób wymierzył zamachowcom tę sprawiedliwość. Czy zginęli w walce, czy zostali zakatowani w lochach na Szucha...

– A więc to zdjęcie, które pan pokazał mojej córce, doprowadziło pana do nich? – zapytał, mając nadzieję, że Weiss zdradzi mu szczegóły.

– Niezupełnie. Widzi pan, mecenasie... niestety, zanim do nich dotarłem, popełnili samobójstwo...

– Jak to?

– ...no bo jakże inaczej można określić napad w biały dzień na bank tuż obok komendy policji? To była samobójcza misja i tak też się skończyła. Padali pod kulami jak muchy. Ten, którego rozpoznała pana córeczka, wrócił pod bank po rannego towarzysza i sam też został ranny. Jego przyjaciel i dowódca wrócił z kolei po niego i wszyscy razem zginęli...

Mecenas westchnął głęboko, po czym powoli wstał z miejsca.

Weiss odprowadził go do wyjścia.

– Może śmierć tych ludzi będzie jakimś zadośćuczynieniem dla rodziny – powiedział na pożegnanie.

– Sam nie wiem... – Przez otwarte drzwi pokoju od podwórza mecenas zauważył rozstawioną szachownicę. – Nie przywróci mi to życia, inspektorze.

– A jednak jest w tym jakaś sprawiedliwość. – Weiss chwycił mecenasza za ramię i potrząsając nim rytmicznie, powiedział, delektując się każdym słowem:

– Widzę w tym sprawiedliwość, bo strzelali do nich Niemcy i Polacy, ale Polacy strzelali dużo celniej. Da pan wiarę, panie radco? Zabójcy pana komendanta zginęli od kul jego policjantów, od kul polskiej policji!

Dwaj stryjkiowie

TO, ŻE – NIETYPOWO JAK NA DZIECKO PRL – od wczesnej młodości zajmowała mnie kwestia tak zwanej „policji granatowej”, wynikało głównie z tego, że pułkownik Aleksander Reszczyński był stryjem ojca. Ale nie tylko z tego. Stryjem – choć przyszywanym – ojca był także Stanisław Rembek – autor najgłośniejszej powieści o „granatowych”, a właściwie o jej jednym niesławnym przedstawicielu, zatytułowanej *Wyrok na Franciszka Kłosa*. Wydana po raz pierwszy tuż po wojnie, stała się ona tak naprawdę głośna dopiero po ekranizacji Andrzeja Wajdy, który uważał ją za jedną z najlepszych polskich powieści o wojnie. Mieliśmy w domu jej wydanie z 1956 roku oraz książki Rembeka o tematyce związanej z wojną 1920 roku i z powstaniem styczniowym. Te ostatnie posłużyły Juliuszowi Machulskiemu jako kanwa znakomitego filmu *Szwadron*.

O stryju Rembeka słyszałem więc od ojca od dziecka, a jego książki przeczytałem, zanim je zrozumiałem. Ale tak naprawdę ciekawie zrobiło się dopiero w latach dziewięćdziesiątych, kiedy ukazał się okupacyjny *Dziennik* Rembeka. Opisując gorzką jak kawa z cykorii prozę podwarszawskiego okupacyjnego życia, Rembek wspomina często ciepło moją babcię Stasię Niedźwiecką i resztę rodziny, łącznie z „małą Hanią Reszczyńską”, którą Babcia do Grodziska przywoziła – tak samo zresztą, jak woziła mnie jako dziecko w latach pięćdziesiątych w te same okolice, do swoich milanowskich kum.

Ojciec mój, dwudziestolatek, też pojawia się u Rembeków w Grodzisku z wielką częstotliwością; pojawia się i znika, bo ciągle lata – jak pisze Rembek – do pewnej majorowej w Milanówku, której mąż całą wojnę przesiedział w oflagu. Rembek pisze nawet, że Jędrak był o niego w kontekście majorowej zazdrosny – ku czemu, jak skwapliwie podkreśla, nie było żadnych przesłanek.

Ale, rzecz jasna, w historii polskiej literatury znaczenie *Dziennika* nie wynika z niedyskrecji na temat mojego ojca, a – między innymi – z tego, że to właśnie

w *Dzienniku*, w notatce z lipca 1943 roku Rembek odnotowuje zastrzelenie notorycznego kolaboranta, granatowego policjanta, Franciszka Kłosa, którego niesławną postać uwieczni następnie w swojej wstrząsającej powieści.

Kłós Rembeka to oparty na faktach negatywny stereotyp granatowego policjanta, gorliwego kolaboranta, skorumpowanego i pozbawionego sumienia szubrawca. W pewnym sensie to o takich właśnie indywidualnościach, występujących wśród jego podwładnych, czytamy w rozkazach komendanta Reszczyńskiego (którego notabene Rembek znał osobiście). Niemniej można stwierdzić, że choć Kłós w żaden sposób nie reprezentuje postawy większości polskich policjantów podczas okupacji, to właśnie ten stereotyp przeważa w obiegowych opiniach. Dlatego, wbrew historycznym faktom, wbrew wyczerpującym i obiektywnym opracowaniom poświęconym „granatowej” policji, takim jak *Pogrobowcy klęski* Adama Hempla – jej rolę jako całości i rolę poszczególnych funkcjonariuszy, takich jak Reszczyński, ocenia się potocznie w najlepszym razie jako kontrowersyjną.

Prawdziwego Kłosa zastrzelono z wyroku państwa podziemnego 30 lipca 1943 roku, w pięć miesięcy po morderstwie Reszczyńskiego, w którego przypadku o żadnym wyroku, wbrew twierdzeniom jego zabójców, nie było mowy.

Al. Szucha

MŁODY ZASTĘPCA WEISSA NIE SKOJARZYŁ NAPADU NA BANK „SPOŁEM” ze sprawą zabójstwa komendanta, bo tamtą już dawno uważał za zamkniętą. Nad ciałami bojowców w podziemnej kostnicy jego szef wyprowadził go z błędu. Wytłumaczył mu, że choć uznany uprzednio za zabójcę „Wiktor” był prawdopodobnie dowódcą grupy szturmowej, to akcją na Krasieńskiego dowodził jego zastępca „Jacek”, którego ciało, oświetlone żółtawą poświatą zakratowanej żarówki na sklepieniu, leżało teraz u ich stóp na kamiennej posadzce, wyprostowane, jakby został zabity, stojąc na baczność. „Jacek” nawet w chwili śmierci nie utracił swojego zaciętego wyrazu twarzy i gdyby nie jej trupio żółta bladość, wydawać by się mogło, że bardzo intensywnie myśli o czymś z zamkniętymi oczami. W przeciwieństwie do jego kompana leżące obok zwłoki „wąskonosego Tadka” zastygły na posadzce na boku, z przykurczonymi postrzelanymi nogami, rękoma zgiętymi w łokciach i dłońmi zaciśniętymi w kulaki tuż przy twarzy. Ten wyglądał zdecydowanie jak trup, podobnie jak leżący dalej w równym rzędzie jeszcze trzech bojowcy, których Weiss nie znał i którzy nie bardzo go interesowali. Weiss przeszedł do końca rzędu, zawrócił i zatrzymał się nad ciałem „Jacka”.

– Kapitan Rachoń wbiegł na schody kościoła i strzelał z za figury Chrystusa z krzyżem – zaczął ni to do siebie, ni to do Kempieńskiego – dokładnie w kierunku wskazanym prawą ręką Zbawiciela. Jedno oko i pewna ręka. Z bożą pomocą strzelił z czterdziestu metrów prosto w serce zabójcy.

– Zabójcy?... – zapytał nieśmiało Kempieński.

Weiss obrócił ku niemu spojrzenie.

– A wie pan, tak właśnie zwykłem o nim myśleć... ale ma pan oczywiście rację: jako dowódca nie musiał wcale być tym, który pociągnął za spust...

– Niemniej jako dowódca musiał wydać rozkaz – dokończył za niego myślał Kempieński.

– Tak jest: co najmniej wydał rozkaz... – Weiss pokiwał głową.

W tym momencie w górze otworzyły się drzwi, wpuszczając do podziemi snop dziennego światła, w którym zeszli, głośno rozmawiając, dwaj posługacze z noszami. Na widok policjantów nagle zamilkli i zatrzymali się w pół kroku.

Weiss dał im ręką znak, żeby zaczekali.

Położył dłoń na ramieniu swego zastępcy.

– Zastrzelił lub wydał rozkaz... A przy tym sam był wykonawcą rozkazu swojego dowódcy, który z kolei działał na polecenie swoich mocodawców i tak dalej, i dalej... aż do samej Moskwy!

Weiss spojrzął po raz ostatni na wyprostowane na posadzce zwłoki, po czym skinął na porządkowych, którzy z wprawą załadowali ciało na nosze i ruszyli schodami w górę. Kempieński w milczeniu obserwował Weissa, którego nawet nie podejrzewał, że przywiązuje taką wielką wagę do sprawy komendanta. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego przydzielił go do innych zajęć i dlaczego przyznał mu rację co do „Wiktora”.

Noszowi powrócili jeszcze cztery razy. Weiss w milczeniu uporczywie obserwował ich pracę, jakby chciał wysnuć z niej jakieś wnioski w swoim prywatnym śledztwie. Stojący obok niego Kempieński nie miał wątpliwości co do tego, że Weiss będzie je nadal kontynuować, chociaż źródła tej fascynacji pozostawały dla niego zagadką.

„Jest pewne zadanie i człowiek myśli o wykonaniu tego zadania... ale po wyjściu dostałem mdłości”

NA KONIEC NASZEJ ROZMOWY W JEGO LONDYŃSKIM DOMU pytam pana Janusza Cywińskiego o egzekucje, które sam przeprowadzał:

– Jakkolwiek różniły się one pod każdym niemal względem od egzekucji dokonanej na pułkowniku Reszczyńskim, to tylko pan może mi pomóc zrozumieć, co mógł czuć ten, który go zabił. Tylko pan może mi wytłumaczyć z własnego doświadczenia, co to znaczy dokonać egzekucji?

– Egzekucje, których dokonywałem, sprowadzały się do okresu trzech dni. Najpierw Kozubowski został zawiadomiony o tym, że Skosowski siedzi z pracownikiem delegatury rządu na obiedzie, na ulicy Nowogrodzkiej, i że to jest moment, kiedy można pójść i go zlikwidować. Ja właśnie wróciłem z wykładów, razem z Januszem Kulczyckim, i naraz Kozubowski zapytał, czy ja się podejmę tej likwidacji. Zapytałem się Janusza Kulczyckiego. Wyjęliśmy ze skrytki pod podłogą dwa pistolety. Jeden to był walter, a drugi parabellum. Nigdy nie były używane przedtem. Wobec tego ruszenie na tę likwidację z niesprawdzoną bronią – to było czyste szaleństwo. O dziwo, jak żeśmy poszli, to te pistolety działały. Ruszyliśmy do tej restauracji. Na zewnątrz, na ulicy, było dwóch moich kolegów z harcerstwa. Jeden to był Jan Jurek, a drugim był Strzembosz. Po likwidacji pod opieką tych dwóch kolegów poszliśmy na Wspólną, zameldować Kozubowskiemu o tym, co się stało. I wtedy on powiedział, że jeszcze jeden z tych ludzi jest na Solcu. No więc nawet nie sprawdzając, ile mamy jeszcze amunicji, poszliśmy na Solec. Kiedy weszliśmy do tego mieszkania, gdzie mieliśmy zlikwidować jednego współpracownika Skosowskiego, naraz zastaliśmy tam całe zebranie. Oprócz niego, który leżał na łóżku, obok na krzesłach siedziały cztery dziewczyny i z nim rozmawiały. My

zdecydowaliśmy się likwidować wszystkie. Zastrzeliliśmy najpierw tego współpracownika Skosowskiego, a potem na zmianę zastrzeliliśmy te cztery dziewczyny. I jak już mieliśmy wychodzić, to zauważyliśmy, że przy ścianie stała jeszcze jedna. Zaczęliśmy wymieniać z Januszem spojrzenia, co robić. Nie bardzo mogliśmy się zdecydować. W końcu jednak zdecydowaliśmy, że lepiej strzelać. Zastrzeliliśmy i tę dziewczynę. A ta okazała się być siostrzenicą Kostka, szefa kontrwywiadu okręgu Warszawa i on nigdy Kozubowskiemu tego nie wybaczył. Te cztery dziewczyny znaleźliśmy i wiedzieliśmy, że pracowały dla Skosowskiego. Ale ta była dla nas nieznaną. A ponieważ widziała całą akcję, to doszliśmy do wniosku, że...

– Wróćmy na chwilę do tej restauracji. Oni jedli obiad, a wyście tam weszli i?... Jak to przebiegło? Nie bardzo mogę to sobie wyobrazić...

– Myśmy weszli do restauracji we dwóch. Z tym że ja szedłem pierwszy, a Kulczycki za mną. Jak żeśmy weszli do tej sali jadalnej, to Kulczycki się zatrzymał, żeby mnie osłaniać. A ja musiałem przejść odległość może jak przez ten pokój, w którym teraz siedzimy. Na końcu był stolik, przy którym siedział Skosowski i nieznany mi mężczyzna. Skosowskiego już widywałem przedtem.

Oni siedzieli razem za stołem i jedli obiad. Jak się zacząłem zbliżać, to Skosowski zapytał: pan chce ze mną rozmawiać?

– On pana poznał?

– Tak, bo ja przedtem byłem u niego w mieszkaniu.

– A jak się nazywała ta restauracja?

– Nie pamiętam, to było na rogu Marszałkowskiej i Nowogrodzkiej...

– A, to tam, gdzie teraz jest mój bank! A więc Skosowski pana poznał? I myślał, że pan chce z nim pogadać?

– Tak, a ja przeszedłem tych pięć czy sześć kroków, wyjąłem pistolet i zastrzeliłem go.

– Strzelił pan w głowę?

– Nie, strzeliłem w klatkę piersiową, chyba ze dwa razy. I on się osunął na podłogę. I jak on się osunął na podłogę, to wtedy strzeliłem w głowę. Dwa razy. I okazuje się, że jeden strzał trafił w głowę, a drugi w nogę tego pracownika delegatury, który go nam wystawiał. Zresztą spotkałem go później w czasie powstania i on kulał i powiedział, „widzisz, kuleję, bo żeś mnie wtedy trafił w nogę”.

– A jaka była reakcja ludzi w tej restauracji?

– Żadnej.

– Nie było żadnych krzyków, nic?

– Nic.

– A czy człowiek ma czas myśleć w takiej sytuacji?

- Jest pewne zadanie i człowiek myśli o wykonaniu tego zadania.
- A potem? Czy jest uczucie ulgi?
- Proszę pana, po wyjściu z Solca ja dostałem mdłości...
- ...po tych dziewczynach?
- Tak... I wtedy Kozubowski powiedział nam, że tak... ale jeszcze została jedna dziewczyna, która jest w biurze na Brackiej...
- Jezus Maria...
- ... i trzeba ją zastrzelić. I ja już... Ja już nie mogłem. I Janusz Kulczycki powiedział: „dobrze, to ja to zrobię”.
- I zrobił?
- Poszedł i zrobił. Ale niestety, to nie była ta, którą mieliśmy zastrzelić, ale jej siostra czy koleżanka, która właśnie przyjechała z Łodzi i była tam u niej w biurze. Janusz Kulczycki ją zastrzelił, bo tej, którą mieliśmy zlikwidować, to on nigdy nie widział. Ta druga otworzyła mu drzwi i on ją zastrzelił. W ciągu kilkunastu godzin Kozubowski się dowiedział, że zastrzeliliśmy nie tę dziewczynę. Okazało się natomiast, że ta, którą mieliśmy zlikwidować, jest w domu na ulicy Złotej. Ja poszedłem na tę Złotą, zobaczyłem, jak wyszła z domu, zamieniłem z nią dwa słowa i poszliśmy każde w swoją stronę. I wtedy, kiedy odległość między nami wyniosła jakieś pięć metrów, to ja się zawróciłem, podszedłem i ją zastrzeliłem.
- Od tyłu?
- Od tyłu.
- Ile pan miał wtedy lat?
- Osiemnaście.

Ul. Koszykowa

MINEŁO LATO i przyszły, odpowiadające akurat ponuremu nastojowi inspektora Weissa, jesienne słoty. Jego pracowity jak mrówka zastępca Ernest po cichu prowadził za niego większość spraw, regularnie przekazując zakończone dochodzenia na Gestapo, czym zjednał sobie sympatię następcy Kurtza, samego bowiem Kurtza AK zastrzeliło latem na placu Trzech Krzyży.

Jeszcze wcześniej padli w boju wszyscy, poza jednym, pozostali przy życiu członkowie grupy bojowej Bartoszka. Nie żył też Kowalski. Zwrócony mu w końcu przez Weissa pistolet nie ocalił go przed serią z peemu w tym samym miejscu na Mokotowie, gdzie poprzednio udało mu się ujść z życiem. Weissowi dokuczało w związku z tym pewne poczucie winy i zainteresował się losem rodziny kierowcy, ale jego córka wyrzuciła go za drzwi. Weissowi aż strach było pomyśleć, co też ten drań Kowalski jej o nim naopowiadał.

Jedynym jasnym promykiem w tym paśmie nieszczęść była kartka pocztowa, ze standardowymi słowami „Jestem zdrow i czuję się dobrze”, otrzymana przez Weissa z obozu internowania we francuskich Wogezach i podpisana przez Jakuba Ellenberga. Uratowanie Jakuba, którego Weiss nie planował i do którego doszło nieomal przez przypadek, a właściwie przez Kowalskiego, okazało się jedynym, co mu się tak naprawdę udało. Postanowił, nie po raz pierwszy, oblać to osiągnięcie i sięgnął do szuflady biurka po podręczną flaszkę brandy.

Taak, dla mnie wojna się skończyła – pomyślał, odkręcając ją. Pociągnął długo i zachłannie... i świat od razu zaczął wyglądać przyjaźniej.

Zamknął szufladę. Tak długo, jak tylko utytułowani niemieccy krewni hrabiny zapewniali mu protekcję, nie zamierzał już nawet kiwnąć palcem dla Niemców, Polaków czy Żydów. Na szczęście Ernest Kempieński był ambitnym młodym człowiekiem i pracował za nich dwóch. Nowy szef SS i policji dokręcał śrubę, starzy wyjadacze mruclili pod nosem, a Kempieński przeciwnie: był zachwycony nawałem pracy.

Jakby wywołany jego myślami, jego zastępca zapukał do drzwi. W ręku miał plik papierów, a na twarzy ekstatyczny uśmiech zapracowanego prymusa.

– To pana zainteresuje, panie inspektorze – zawołał od drzwi.

– Skoro pan tak mówi...

Kempiński nie zraził się jego zblazowanym tonem.

– Naprawdę, to pana rozbawi! Pamięta pan napad na bank „Społem”?

Czy ja pamiętam bank „Społem”! – pomyślał z ironią Weiss – *Czy ten Kempieński naprawdę jest taki głupi, czy tylko udaje?*

– Pamięta pan, że ze skarbca znikło kilkadziesiąt tysięcy?

– Coś sobie przypominam... – zwodził go Weiss.

– Założyliśmy, że uciekli z nimi ocalali bandyci...

Weiss pokiwał głową.

– Otóż nie, panie inspektorze!

Kempiński z wypiekami na twarzy przysiadł na krześle i przewertowawszy na kolanie plik kartek, znalazł poszukiwany ustęp.

„Numer 38, Rotkiewicz, kpt. Policji, zamieszkały przy Daniłowiczowskiej, brał zakonspirowany udział w akcji na bank »Społem«, z powodu zabicia zamachowców teczkę z pieniędzmi zatrzymał i oddał komunie (około 70 tys.)”.

Weiss szeroko otworzył usta ze zdumienia.

– A to dopiero! Skąd pan to w ogóle ma?

Kempiński z dumą położył kartkę przed swoim szefem.

– To coś, nad czym pracujemy z Obersturmbannführerem Wolfem...

– ... pana nowym przyjacielem z Gestapo – rzucił Weiss, przebiegając oczyma dokument. – Co to za nazwiska? O co tu chodzi?

– Wciąż jeszcze pracujemy nad tym, panie inspektorze, ale najogólniej mówiąc, jest to donos partii komunistycznej na jej własnych ludzi, skierowany do Gestapo...

Nür fur Polen

Z WARSZAWY DO WROCŁAWIA można teraz dojechać samochodem w mniej niż trzy godziny. We wrześnieowym słońcu mkniemy nowiutką drogą, a właściwie mknie moja żona, a ja, jak zwykle, dowiaduję się z Facebooka, co słyhać na świecie. Nie jest dobrze. Ktoś z moich znajomych podaje dalej wpis pani Katarzyny Czajki. Z jej profilu dowiaduję się, że jest ona researcherem tygodnika „Polityka” i że studiowała historię na Uniwersytecie Warszawskim. Z jej wpisu dowiaduję się, że naszemu wspólnemu znajomemu przydarzyła się wczoraj nieprzyjemna przygoda:

„Wczoraj w tramwaju nr 22 – pisze pani Katarzyna – który spokojnie dowozi mnie co dzień do pracy, pobito mojego promotora profesora Jerzego Kochanowskiego. Pobito go, bo wraz ze swoim znajomym profesorem uniwersytetu w Jenie rozmawiał po niemiecku. Nie spodobało się to jadącemu z nimi pasażerowi. W odpowiedzi na pytanie »Dlaczego mam nie mówić po niemiecku?«, ten wstał i go pobił”.

Profesor Kochanowski był pierwszym z historyków, z którymi rozmawiałem podczas pracy nad tą książką. Jego dziadek, tak jak i mój stryjeczny dziadek, służył w granatowej policji. Z tą różnicą, że o ile Reszczyński jedynie współpracował z podziemiem, to on został do pracy w policji skierowany przez AK.

Biorąc pod uwagę obiegowe opinie o granatowej policji pokutujące w pewnych warstwach naszego społeczeństwa, może to i lepiej, że obrońca polskości z tramwaju numer 22 nie wiedział o rodzinnych koneksjach profesora, bo może biłby z jeszcze większym przekonaniem?

Ul. Krasińskiego 4

DOPIERO NA DWA DNI PRZED ŚWIĘTAMI BOŻEGO NARODZENIA „Ita” zdała sobie sprawę, że jej matka naprawdę mówiła poważnie, że żadnej Wigilii w tym roku nie będzie. Z piętnastoletniego punktu widzenia była to rażąca niesprawiedliwość. Oczywiście, że wciąż jeszcze trwała żałoba po ojcu, ale co by komu przeszkadzało choćby małe drzewko i parę świeczek? Marta była jednak nieugięta, a Babuleńka trzymała jej stronę. Koniec końców „Itę” zaprosiła na Wigilię rodzina jej sympatii z pierwszego piętra i choć wstyd jej się było do tego przyznać, tego wieczora, przy kolędach i świetle świec, zapomniała całkowicie o swej żałobie, o wojnie, o szalejącym w Warszawie terrorze. A potem było już po świętach i terror rozpuł się ponownie z całą mocą. „Ita” marzyła o zemście i o konspiracji. Ojciec za życia obiecywał jej solennie, że jeżeli będzie mowa o jakimś powstaniu, to on będzie wiedział pierwszy i jej powie. Bo powiedziała mu, że chce do konspiracji, a on na to:

– Ja ci nie mogę w tej chwili dać żadnej rady na ten temat ani żadnych wskazówek, ale ci obiecuję, że będę pierwszy wiedział, kiedy coś takiego będzie się szykowało. I załatwię ci wtedy specjalne przeszkolenie, żebyś mogła wziąć udział.

– Przyrzekasz?

– Przyrzekam.

W pewien piątek pod koniec stycznia matka wróciła wstrząśnięta do domu. Długo szeptała o czymś w kuchni z Babuleńką, aż wreszcie „Ita” nie wytrzymała. Wkroczyła tam, mówiąc, że skończyła już piętnaście lat, bo przecież dopiero co były jej urodziny, że domaga się, by jej nie traktowały jak dziecko.

Ujrzała zapłakane oblicza.

Mama przyniosła hiobowe wieści o kolejnej wielkiej egzekucji w samym środku miasta.

– Kiedy to się skończy? – chlupała Babuleńka.

Gdyby to ode mnie zależało, pokazałabym tym Szkopom – pomyślała „Ita”. Ale nic od niej nie zależało. Bez ojca nie miała nawet szans trafić do konspiracji. Jakaż więc była jej radość, gdy dosłownie kilka dni po wielkich płaczach mamy i Babuleńki w kuchni miasto obiegła nowina o zabiciu kata Warszawy, dowódcy SS i policji, Kutschery. Do tej pory nikt nie znał nawet jego nazwiska, ale chłopcy z AK zidentyfikowali go i zabili w biały dzień w Alejach Ujazdowskich. Jakaż była z nich dumna i jak mocno chciała być jak oni! A najbardziej cieszyła się, gdy kilka dni po zamachu Niemcy obstawili pół Żoliborza, kazali zasłonić i nie zbliżać się pod groźbą strzału do okien, po czym tuż pod ich domem, od strony placu Wilsona, w stronę Wisły przejechał kondukt kata Warszawy. Nie mogły sobie z mamą odmówić przyjemności ujrzenia go na własne oczy. Zrobiły więc szpilkami dziurki w roletcie do zaciemniania i ostrożnie, żeby jej nie poruszyć, jednym okiem patrzyły na poprzedzające lawetę z trumną motocykle i na niekończący się sznur wojskowych samochodów.

Siedemdziesiąt lat upłynęło, zanim „Ita” dowiedziała się, że na jej oczach, jej ulicą, na Dworzec Gdański, na pociąg do Berlina, podążał nie tylko trup, ale i oblubieniec w jednej osobie, a w aucie za trumną jechała dopiero co uroczyście zaślubiona nieboszczykowi w wielkiej sali Pałacu Namiestnikowskiego jego norweska żona, w zaawansowanej ciąży pod czarną ślubną suknią żałobną.

Hania pisze do prezydenta Kaczyńskiego

JESIENIĄ 2015 ROKU HANIA JEST BARDZO ZADOWOLONA z wyników wyborów parlamentarnych i tych poprzednich, prezydenckich. Sukcesy PiS-u z jego polityką historyczną odnawiają jej wiarę w ewentualną rehabilitację ojca, zachwianą śmiercią pod Smoleńskiem jej sprzymierzeńca w sprawie, prezydenta Kaczorowskiego, no i prezydenta Kaczyńskiego.

Do tego drugiego, powołując się na pierwszego, Hanka pisze w lipcu 2007 roku jako do „opiekuna prawdziwej historii i tradycji Rzeczypospolitej Polskiej”, jako do jedyne go, który „mógłby po zapoznaniu się z faktami spowodować szybkie oczyszczenie imienia” jej ojca.

W obszernym liście Hania streszcza główne fakty sprawy, (nieliczne) publikacje, inicjatywy badawcze i śledztwa dziennikarskie, takie jak program TVP *Rewizja Nadzwyczajna* pod redakcją Dariusza Baliszewskiego, w którym, w 1993 roku, po raz pierwszy padła publicznie sugestia nazwania imieniem Aleksandra Reszczyńskiego którejś z ulic w Warszawie.

„Wierzę – pisze Hanka do prezydenta Kaczyńskiego – że gdyby pamięć mego Ojca została publicznie uczczona po tylu latach, w których szargane było Jego imię, nareszcie Sprawiedliwości stałoby się zadość”.

Ul. Żurawia

„FRYGA” BYŁA WŚCIEKŁA. Macocha zamykała drzwi wyjściowe na trzy spusty i chowała przed nią klucz, a okien na podwórze pilnowała ze srogą miną gosposia. Nie była przecież małą dziewczynką, ani nawet dziewczyną, tylko dojrzałą kobietą. Była wdową, na miłość boską! Wdową po pułkowniku!

– Dusiu, ty nigdzie nie idź. Dusiu, proszę! Twoja matka mnie zabije – błagała gosposia, ale „Fryga” była głucha na jej błagania. Przewiesiła przez ramię wypchaną torebkę, w której oprócz meldunków i materiałów do podziemnego dwumiesięcznika zawsze nosiła na wypadek aresztowania parę majtek na zmianę i szczoteczkę do zębów, zadarła poły płaszcza, wskoczyła na parapet, otworzyła okno i już jej nie było.

Zrezygnowana gosposia szybko zamknęła okno. Im później pani zauważy, że Dusia się wymknęła, tym lepiej, tym później ją za to zruca.

W uporczywym dążeniu do wyrwania się z domu „Fryga” trochę się pośpieszyła, bo umówiona była na Żurawiej dopiero na dwunastą w południe. Krążyła więc w listopadowym chłdzie ulicami Śródmieścia, starając się nie zwracać na siebie uwagi i omijać z daleka patrole. Tuż po śmierci „Jacka” było jej wszystko jedno, czy ją złapią. Bywało, że szła z bibułą w torebce, z głową do góry, środkiem chodnika prosto na żandarmów. Towarzysze brali to za brawurę, za chęć pokazania Niemcom, że się ich nie boi, ale była to obojętność. „Fryga” czuła się pusta w środku. Zresztą „Jacek” zginął od polskiej, a nie od niemieckiej kuli. Niemcy nie byli jedynym wrogiem. Właśnie dlatego tylko co wpadli Finder i Fornalska. A jeżeli wpadło tych dwoje ze ścisłego kierownictwa partii, to co dopiero groziło tym poniżej? Zwłaszcza takim jak ona, z całą jej wiedzą wynikającą ze służby w informacji...

W perspektywie Marszałkowskiej zamajaczył przed nią patrol. Dyskretnie zawróciła w stronę Wspólnej. Zachowywała się tak ostrożnie nie ze względu na siebie. Wbrew wrazeniu, jakie sprawiała, i wbrew temu, jak ją postrzegali

towarzysze, w głębi ducha nie wierzyła, że podołałaby torturom. Bała się zatem nie o siebie, ale o tych, których mogłaby wydać.

Na spotkanie w zakładzie wulkanizatorskim na Żurawiej przyszła za wcześnie. Czekala na Janka kilka minut, ale uznała, że to zbyt niebezpieczne. Skręciła w Bracką i ruszyła w stronę Alej, by powrócić na miejsce od strony Kruczej. Takie bezczynne krążenie po śródmiejskich ulicach nie tylko wiązało się z niebezpieczeństwem, że ktoś zwróci na nią uwagę, ale wywoływało też bolesne wspomnienia. Przywoływała je każda przecznica, gdzie się spotykali, każda witryna sklepowa, przed którą zwykli przystawać, i każda kawiarnia, w której kiedykolwiek siedzieli z „Jackiem”. Usiłowała sobie radzić z tym bólem, myśląc o bohaterstwie jego czynów i o obietnicy „Marka”, że już niedługo „Jacka” wysoko pośmiertnie awansują – ale ucisk w gardle nie ustępował.

Widok, jaki zastała, powróciwszy na Żurawia, okazał się najskuteczniejszym lekarstwem na nostalgię: pod zakładem wulkanizatorskim stała czarna limuzyna Gestapo.

Serce podeszło jej do gardła. Na miękkich nogach minęła złowrogie auto. Była przekonana, że to ona, kręcąc się tu nierozważnie, zwabiła Niemców w to miejsce. Poszła na oślep przed siebie, byle dalej od skrzynki kontaktowej, aż dotarła, ślepa i głucha na krzyki gazeciarzy i dzwonki ryksz, na wszystko, co ją otaczało, do rogu Mokotowskiej. Nagle ktoś rzucił się jej na szyję.

Janek!

Ujrawszy limuzynę Gestapo, każde z nich pomyślało, że to drugie wpadło. Niemcy zaś przyjechali właśnie po wulkanizatora i wzięli go na Szucha, gdzie zginął jak bohater, nikogo nie wydając.

Spotkanie rodzinne, sierpień 2014

W SIEDEMDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ WYBUCHU POWSTANIA mieliśmy u nas w domu huczne spotkanie rodzinne, którego gościem honorowym była Hanka. Jako sanitariuszka w powstaniu została zaproszona do Warszawy na oficjalne uroczystości. Jak na typową polską rodzinę przystało, przy stole w naszym ogrodzie drugą jej gałąź reprezentowała moja młodsza ode mnie ciocia, Małgorzata Pichelska, której dziadka, a mojego pradziadka Gąsiorowskiego, fryzjera z Marszałkowskiej, Niemcy rozstrzelali w pierwszym dniu powstania na Szucha. Ale Małgorzata jest w moim wieku, a Hania urodziła się w 1928 roku, a tu jak na złość okrągła rocznica powstania wypadła w jednym z najgorętszych dni w roku. Poważnie obawialiśmy się, że upał może Hani zaszkodzić. A przecież nie wypić z takiej okazji – nie wypada. Na szczęście, wszystko bardzo dobrze się udało.

W Warszawie Hanię eskortował jak zwykle mój kuzyn Piotr Reszczyński, którego ojciec, a mój stryj, Tadeusz, też był w powstaniu. Tadeusz zawsze z dumą pokazywał mi jako dziecku budynek PAST-y, o którą walczył.

Dzisiaj jego syn Piotr z żoną opiekują się Hanką, która po trzydziestu latach na emigracji powróciła do Polski, zamieszkała wygodnie w Oliwie i zadziwia nas wszystkich swą jasnością umysłu, pogodą ducha i energią. Tylko na walkę o oczyszczenie imienia jej ojca w wolnej Polsce nie bardzo starcza jej już sił. Kiedy się spotykamy „w sprawie książki”, czuję, że liczy w tej materii na mnie; ja jednak konsekwentnie podkreślam, że nie próbuję jej ojca rehabilitować, zbieram jedynie fakty i opinie. Nawet tam, gdzie puszczam wodze fantazji, w wątku fabularnym książki, staram się trzymać głównych faktów sprawy.

Ul. Słowackiego

W ŚRODKU LATA, KIEDY BYŁO NIECO ŁATWIEJ O ŻYWNOSĆ, stryjostwo Reszczyńscy zaprosili Martę i jej matkę wraz z „Itą” na niedzielny obiad. Chociaż intencją stryja było wspierać i podnosić bratową na duchu, to jemu samemu nie było lekko. Jego żona, ciotka Aniela, opłakiwała swego brata Antka, pilota RAF-u, którego wellington roztrzaskał się o góry w Austrii. Stało się to ponad rok wcześniej, ale wiadomość dopiero teraz dotarła określną drogą z Anglii i o ile to w ogóle możliwe, wydawała się przez to opóźnienie jeszcze bardziej tragiczna.

„Icie” podobało się mieszkanie stryjostwa, znacznie większe niż ich klitka przy Krasińskiego. U szczytu wielkiego stołu siedziała babcia Tosia Reszczyńska. Chociaż już dawno minął rok od zabójstwa jej syna, to wciąż nosiła żałobę. Jak zwykle milczała. „Ita” w ogóle słyszała ją chyba tylko raz w życiu, tego pamiętnego dnia, kiedy nad zwłokami syna, nieutulona w żalu babcia zawodziła: „Synie mój, synie...”. Właśnie tak wtedy zawodziła, nie „synu”, tylko „synie”, a klęcząca przed zwłokami ojca „Ita”, przy całym tragizmie sytuacji, nie mogła się oprzeć zdumieniu, że jej rodzona babcia tak niegramatycznie zawodzi. Z całego towarzystwa tylko jej młodszemu kuzynowi Jasiowi dopisywał dobry humor. Zabawiał ją przez stół głupimi minami, ale „Ita” nie zwracała na niego uwagi. Zbyt przejęta była tylko co usłyszaną historią bohaterskiej śmierci pilota Antka. W jej piętnastoletniej głowie przewijały się wizje jej własnego bohaterstwa, do którego tak jej było spieszno. Grzebiąc łyżką w cienkim rosolu z makaronem, widziała się z rozpylaczem, kładącą trupem kata Warszawy, albo jako dzielną aliancką lotniczkę, prowadzącą zrzuty uzbrojenia dla walecznych partyzantów.

Z zamyślenia wyrwał ją delikatny szturchaniec mamy. Zwracała jej uwagę, że stryj mówił właśnie do niej, o jej kuzynach z Marszałkowskiej. Jak na złość, „Gruber” i „Tadek” zajmowali się tym, o czym „Ita” mogła jedynie marzyć.

Trafili nawet na Pawiak! Ich rodzice przeżyli chwile grozy, bo wkrótce po aresztowaniu chłopaków Niemcy w jednym zaledwie dniu rozstrzelali w ruinach getta kilkuset więźniów z więzienia przy Pawiej. Ale na szczęście młodszy wkrótce wyszedł. „Gruber” wybronił go, powołując się na zamordowanego przez komunistów stryja, i Niemcy go wypuścili. Samemu „Gruberowi” nawet zamordowany stryj nie pomógł i wywieźli go właśnie do obozu.

Przy stole zapanowała cisza. Jeżeli ta historia miała ostudzić słabo ukrywany zapal bojowy „Ity”, to nie spełniła swojego zadania. Lada dzień miało wybuchnąć powstanie, a ona nie mogła się go po prostu doczekać.

Nadzieje pogrzebane w tupolewie

NA DŁUGO JESZCZE ZANIM HANIA RESZCZYŃSKA ZOSTAŁA JEGO DRUGĄ ŻONĄ, a on jej drugim mężem, pochodzący z Warszawy doktor Władysław Essigman miał duże wzięcie wśród londyńskiej Polonii. A że polskie stawy fatalnie znoszą angielską wilgoć, to od kiedy doktor Essigman wyspecjalizował się w reumatologii, jego popularność wzrosła jeszcze bardziej. Można śmiało powiedzieć, że nie było w Londynie i okolicach żadnego niedomagającego polskiego kolana, biodra czy łokcia, niezbadanego przez doktora Essigmana. Kiedy więc podczas kolejnej wizyty u mamy w Londynie w latach siedemdziesiątych Hanię mocno rozbolały stawy, to nieuchronnie trafiła do tego Essigmana. Kuracja okazała się tak udana, że wkrótce pan doktor i piękna pacjentka stanęli razem na ślubnym kobiercu.

Władek nieba by Hani przychylił, a więc kwestia oczyszczenia dobrego imienia jej ojca stała się bliska także i jemu. Nieprzypadkowo też powstała wkrótce w tym celu w Londynie komisja składała się w dużej mierze z pacjentów doktora Essigmana. I to z jakich pacjentów! Do życia powołał ją sam zastępca dowódcy Armii Krajowej, generał brygady, Tadeusz Pełczyński, a przewodniczył ostatni szef wywiadu AK, pułkownik Iranek-Osmecki.

W dniu, którego data składała się z samych siódemek, czyli 7 lipca 1977 roku, komisja stwierdziła jednoznacznie, że podpułkownik Aleksander Reszczyński „był współpracownikiem” wywiadu AK, oraz potwierdziła, że jego zabójstwo „nie było wykonaniem wyroku przez oddział egzekucyjny AK”.

Tylko tyle i aż tyle udało się w trzydzieści cztery lata po śmierci Reszczyńskiego ustalić temu gronu na podstawie dostępnych mu dokumentów oraz zeznań świadków i relacji żołnierzy kontrwywiadu AK. Reprezentując w istocie tylko siebie, czyli byłych żołnierzy i dowódców Armii Krajowej, komisja stwierdziła jednocześnie, że na zamordowanym nie ciążyły „żadne przewinienia współpracy z wrogiem mogące zniesławić go jako Polaka.” Wybitni

akowcy nie zakwestionowali tym samym faktu współpracy z wrogiem. Stwierdzili natomiast, że nie przekroczyła ona granic przyzwoitości.

I to musiało Hani i jej matce wystarczyć na kilkanaście następnych lat. Kolejna szansa na zapewnienie Aleksandrowi Reszczyńskiemu należnej mu pamięci pojawiła się dopiero wraz ze zmianami ustrojowymi w Polsce i z zainteresowaniem się sprawą przez ostatniego prezydenta na uchodźstwie, Ryszarda Kaczorowskiego – także od dawien dawna, wraz z całą jego rodziną, pacjenta Władka Essigmana.

To zainteresowanie zaczęło się prozaicznie. Hania pożyczyła dobrej znajomej rękopis swoich wspomnień, który na urodzinach tejże znajomej przeglądać zaczął Ryszard Kaczorowski i – jak wspomina Hanka – tak się wciągnął, że większą część przyjęcia spędził na lekturze pod drzewem w ogródku.

W tym czytelniku swoich memuarów Hanka uzyskała ważnego sojusznika w sprawie przywrócenia dobrego imienia jej ojca.

Niestety, wśród wszystkich planów i nadziei, jakie przekreśliła katastrofa prezydenckiego tupolewa pod Smoleńskiem, znalazły się też zawiedzione nadzieje Hani Reszczyńskiej na oczyszczenie imienia jej ojca w wolnej Polsce. Nieco wcześniej, z poparciem Kaczorowskiego, Hania zwróciła się w sprawie ojca do prezydenta Kaczyńskiego. Odpowiedź z Kancelarii Prezydenta naprowadzała ją na właściwy trop. Sugerowano w niej, by zwróciła się do Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, jako urzędu zdolnego działać na rzecz „zapewnienia należnej pamięci i szacunku bohaterom, do których zaliczyć należy Pani ojca”. Było to z jednej strony typowe urzędnicze odesłanie osiemdziesięciolatki do „innego okienka”, ale z drugiej po raz pierwszy ktoś rzeczowo i z taktem zasugerował konstruktywny tok postępowania.

Hania jednak nie podjęła tej sugestii, a jej autorka, pani Barbara Mamińska, tragicznie zginęła pod Smoleńskiem. Tamże, wśród innych wybitnych ofiar, życie zakończył sprzymierzeniec Hani, prezydent Kaczorowski.

Ul. Tucholska

MARTA I JEJ MATKA ODCHODZIŁY OD ZMYŚLÓW. W drugim dniu powstania „Ita” przepadła bez śladu. W jednej chwili wraz z nimi podawała worki z piaskiem do budowy barykady na Czarneckiego, a w drugiej już jej tam nie było. Marta nie mogła sobie miejsca znaleźć.

– Pewnie przystąpiła do powstania – próbowała ją uspokoić matka. Tego właśnie Marta obawiała się najbardziej. Z „Itą” nie było do tej pory właściwie większych kłopotów, choć po śmierci ojca zachowywała się czasem, jakby chciała zapomnieć o ich żałobie. A wcześniej, za życia Olka, ponieważ była do niego nieco podobna charakterem, to w miarę jej dorastania dochodziło do pewnych kolizji.

Raz, kiedy w niedzielę nie wróciła po kościele prosto do domu na rodzinny obiad, tylko włóczyła się nie wiadomo gdzie i z kim, ojciec zdjął pas i nawet dał jej raz czy dwa po pupie. Takiej dużej pannicy! W odwecie „Ita” znowu znikła. Nie było jej wtedy tak długo, że nawet Olek zaczął się niepokoić i wyrzucać sobie, że ją przedtem upokorzył z tym pasem. Spodziewali się już najgorszego, a ona tymczasem poszła po prostu na półpiętro i tam siedziała do ciemnej nocy, żeby ojca ukarać za to, co jej zrobił.

Ale teraz nie szło chyba o rewanz. A walki się wzmagaly. Pocisk trafił w dach ich domu i wraz z innymi mieszkańcami Marta i jej matka musiały przenieść się do piwnicy.

Tam też odnalazła je „Ita”. Była przemoczona do suchej nitki i ekstatycznie szczęśliwa – spędziła cały dzień przy obieraniu kartofli w kuchni punktu sanitarnego na Tucholskiej. Marcie kamień spadł z serca i kiedy następnego dnia córka poszła znowu na Tucholską, nawet nie próbowała jej zatrzymać; przynajmniej wiedziała, co się z nią dzieje. Ale po paru godzinach „Ita” wróciła zapłakana, a następnego dnia została z nimi w piwnicy. Marta próbowała od niej wyciągnąć, w czym rzecz, ale bez skutku. Wszystko wyjaśniło się dopiero, kiedy

w piwnicy pojawił się jakiś chłopaczek z biało-czerwoną opaską na ramieniu i z zaadresowanym do „Ity” wezwaniem na komendę obwodu.

– Idę z tobą – kategorycznie oświadczyła jej matka, która po godzinie wróciła do piwnicy bez córki, ale za to z jakimś chłopaczkiem, z którym zaczęła energicznie przekopywać węgiel w ich części piwnicy. Babcia usiłowała dowiedzieć się, o co chodzi, ale niewiele mogła zrozumieć z nieskładnych tłumaczeń Marty z determinacją machającej szuflą w rozświetlonej migoczącą świeczką chmurze węglowego miazgu.

Wreszcie Marta rzuciła łopatę:

– Aresztowali ją, rozumie mama, aresztowali „Itę”!

Babcia złapała się za głowę:

– Jak to aresztowali, Martusiu, za co?

– Do dyspozycji sądu polowego...

– Jezus Maria, za co?

Marta przerwała na chwilę kopanie. Jej oczy świeciły w umorusanej węglem twarzy.

– Jak to za co? Za współpracę Olka z Niemcami!

– Ależ to absurd!

– Tak im też powiedziałam, ale oni myślą, że jego zabiła Armia Krajowa, a jej należy się kula w łeb, rozumie mama? Kula w łeb, tak jej powiedzieli! – Marta z wściekłością zaatakowała ponownie górę węgla. – No gdzie jest ta przeklęta butelka!

– Jaka znowu butelka, Martusiu?

Poszukiwana przez Martę butelka z typową złośliwością przedmiotów martwych „ukryła” się na samym spodzie zwałów węgla i dopiero po godzinie szkło zadzwoniło pod szuflą jej młodocianego pomagiera z AK.

– Ostrożnie – krzyknęła do niego Marta i upadła na kolana. Wydobyła z węgla zakorkowaną butelkę, otarła utyłane w węglu ręce o fartuch i z nabożeństwem wydobyła z niej zwiniętą w rulonik komunistyczną gazetkę.

– Skąd to? – zapytała babcia.

– To ta gazetka o Olku od Staszka. Przecież nie mogłam tego trzymać w domu, mammo! – wyjaśniła Marta. – Proszę! – Podsunęła gazetkę pod nos swojego Bogu ducha winnego pomocnika. – Sami tu piszą, czarno na białym, że go zlikwidowali, widzi pan? Chyba umie pan czytać!

Kiedy wieczorem wróciły z „Itą” do piwnicy, Marta wciąż wyglądała jak po zmianie w kopalni, ale było jej to obojętne, a jej córka z przejęciem ścisnęła w rękę świstek z nieporadną, ręcznie wykonaną powstańczą pieczęcią, zaświadczający, że na Hannie Janinie Reszczyńskiej nie ciąży żadne zarzuty.

Jeszcze o tupolewie

KIEDY LOS ZETKNAŁ MNIE Z OSTATNIM PREZYDENTEM na uchodźstwie, Ryszardem Kaczorowskim, nie miałem pojęcia o tym, że jest dobrym znajomym Hanki i że zna sprawę stryja. Jak na ironię pierwsze i ostatnie nasze spotkanie miało miejsce na pokładzie tego samego samolotu, w którego katastrofie zginął dwadzieścia lat później.

W 1990 roku brałem udział, jako reporter redakcji polskiej BBC, w historycznej wyprawie prezydenta i rządu na uchodźstwie do Warszawy, w celu przekazania insygniów wolnej Polski nowo obranemu prezydentowi Wałęsie.

Była to podniosła chwila. Większość lecących wówczas do Warszawy „londyńczyków” nigdy nie marzyła, że kiedykolwiek dożyje takiej chwili.

Po raz pierwszy (i ostatni) w swej historii rząd londyński w pełnym składzie znajduje się w jednym samolocie. W ogólnym podnieceniu na pokładzie ktoś rzuca makabryczny żart: „Żebyśmy tylko nie skończyli tak jak Sikorski w Gibraltarze!”.

W tym właśnie momencie przez głośniki dowódca samolotu wita dostojnych gości na pokładzie. „Nasz” kapitan mówi trochę tak jak Wałęsa. Tak jak Wałęsa wymawia swoje słynne „nie chcem, ale muszem”, tak nasz kapitan wita nas na pokładzie wraz ze swą załogą.

– Samolot ruski, ale kapitan, jak słyhać, jest człowiekiem Wałęsy – podchwytuje londyński żartowniś.

– Najważniejsze, że to nie Czech! – pada aluzja do kapitana samolotu Sikorskiego.

– No, to jesteśmy bezpieczni, panowie ministrowie!

W tyle samolotu śmichy-chichy, a z przodu w salonie powaga. W pierwszym rzędzie foteli państwowego odrzutowca całą drogę siedzi ktoś samotnie. „Londyn” pokazuje go sobie palcem.

– Szef kancelarii Wałęsy. Z nikim nie gada – szepce ktoś wtajemniczony.

– Kaczyński przyleciał po Kaczorowskiego – zauważa ktoś inny, akcentując z rozmysłem identyczny korzeń obu nazwisk.

Sam prezydent Kaczorowski siedzi w dalszych rzędach salonu, w otoczeniu swoich londyńskich ministrów. Właśnie zaczyna mi opowiadać do mikrofonu o tym, jak go w 1939 roku z Polski „wyjechali Ruscy” i że jego stopa stanie na polskiej ziemi po raz pierwszy od pół wieku, kiedy nasz kapitan swoją charakterystyczną wymową anonsuje:

– Szanowni państwo, miło mi jest poinformować, że przelecieliśmy właśnie nad granicom państwowom i że od tej pory lecimy już nad terytorium Polski!

Wzruszenie chwytam mnie za gardło, a prezydent Kaczorowski łapie mnie za rękę i płacze jak dziecko.

Co za chwila i co za zbieg okoliczności! Po raz pierwszy i ostatni w mojej radiowej karierze ktoś popłakał mi się na mikrofon. I to od razu prezydent!

Chociaż w grudniu 1990 roku rządowy samolot jest wciąż jeszcze pomalowany w barwy „Lotu”, to jest to właśnie ten przyszły biało-czerwony tupolew, numer boczny 101, w którym prezydent Kaczorowski zginie w 2010 roku.

Ul. Świętokrzyska

W DWUDZIESTYM CZWARTYM DNIU POWSTANIA, o godzinie trzynastej, ze zdobytego przez powstańców po wielodniowych walkach budynku Komendy Policji przy Krakowskim Przedmieściu wyłoniło się kilkudziesięciu policjantów od trzech tygodni przetrzymywanych przez Niemców w podziemiach. Oślepieni światłem dnia i dezorientowani, słaniali się na nogach. Niektórych nieść musieli koledzy. Zatrzymali się pośrodku dziedzińca. Wokół nich kłębili się w euforii powstańcy wynoszący z komendy zdobytą żywność i broń. Kwiczały gonione przez nich świny, które Niemcy trzymali w zaimprovizowanym chlewiku na dziedzińcu. Dowódca uwolnionych policjantów w randze majora dumnie zameldował się dowódcy powstańców, majorowi Woli. Wytyczne dowództwa powstania były jednoznaczne, wszyscy granatowi policjanci traktowani mieli być jako jeńcy. Po byłego komendanta Policji Polskiej w Warszawie, jako po szczególnie ważnego jeńca, zgłosili się dwaj funkcjonariusze policji powstańczej, którzy niezwłocznie wyruszyli z nim w kierunku kwatery głównej w budynku PKO.

Komendant, który powstanie znał dotąd jedynie z docierających do lochu odgłosów kanonady, wybuchów i jazgotu nurkujących niemieckich bombowców, był wstrząśnięty skalą zniszczeń, wypalonymi kamienicami i podwórkami zamienionymi w powstańcze cmentarze. Część drogi do rogu Jasnej aresztowany i jego eskorta przebyć musieli przejściami wybitymi pomiędzy piwnicami domów. Całe życie przeniosło się z domów na górze do tych piwnic: kwilące niemowlęta i kaszlący starcy, kobiety o pustych spojrzeniach i dogorywający ranni. Prowadzony pod lufą pistoletu rejestrował podejrzliwe spojrzenia. Jakaś kobieta z dzieckiem na ręku podskoczyła z polowego łóżka i wymachując kułakiem, zastąpiła mu drogę. Myślała, że powstańcy prowadzą jakiegoś Niemca, ale rozpoznawszy w migoczącym świetle karbidówek przyprószoney gruzem

granatowy mundur, zdezorientowana opuściła pięść. Wymamrotała tylko pod adresem komendanta jakieś przekleństwo i wróciła na swoje posłanie.

W okolicach Mazowieckiej wyszli na powierzchnię, prosto pod niemieckie bomby lotnicze. Młodszy powstaniec z eskorty powalił komendanta na ziemię i osłonił go własnym ciałem. Powodował nim częściowo odruch, a częściowo świadomość rangi jeńca. Kiedy kurz opadł, stoczył się z niego, niemal zażenowany. Aresztant podziękował mu spojrzeniem. Starszy powstaniec zdecydował, że się cofną. Kiedy czołgali się wstecz w stronę piwnicy, ziemia pod nimi ponownie zadrzała, powietrzem wstrząsnęły eksplozje, a z nieba posypały się odłamki gruzu i cegły. Przywarli do gruntu za niewysokim murkiem, obejmując głowy rękoma. Kiedy tak leżeli, w nozdrza uderzył ich trupi odór. Komendant uniósł wzrok. Zza załomu wystawały gołe stopy trupa. Ktoś już dawno musiał pożyczyć sobie jego buty. Spuchnięte, gnijące kończyny obsiadły zielone muchy, które po chwili zainteresowały się leżącymi w pobliżu żywymi i z głośnym bzyczeniem zaczęły lądować na ich twarzach i dłoniach. Wreszcie bombowce odleciały. Konwojenci pomogli więźniowi wstać i otrzepali nawet jego mundur.

Odganiając natrętne zielone muchy, cała trójka ruszyła dalej.

W podziemiach gmachu PKO panował półmrok, a poprzez grube stropy z góry nie docierały prawie żadne dźwięki, czasem tylko posadzka drżała od odległych wybuchów. Areszt w pomieszczeniach skarbca był przepełniony.

Po trzech tygodniach w piwnicach komendy przeprawa do budynku PKO dostarczyła komendantowi tylu wrażeń, że długo nie mógł przyjść do siebie. Leżał na twardym sienniku z otwartymi oczami. Ilekroć je zamknął, pod jego powiekami ruszał kalejdoskop apokaliptycznych obrazów zniszczenia, które ujrzał tam, na górze. Kiedy je otwierał, powracały myśli o jego własnym położeniu. Pierwsze przesłuchanie ograniczyło się do formalności: dane metrykalne, stopień, dane o służbie. Młody porucznik Korpusu Bezpieczeństwa nie miał rzecz jasna pojęcia o podwójnej grze komendanta i o jego przedpowstaniowych kontaktach z „Dwójką”, bo nie mógł go mieć, a ten na razie nie puszczał pary z ust. Miał nadzieję, że w trakcie dalszych przesłuchań i tak wyjdą one na jaw. Wreszcie, znużony, zasnął.

Ze snu obudziło go lekkie szturchnięcie. W podziemiach panował półmrok i nie wiadomo było, czy to dzień, czy noc.

– Majaczył pan – szepnął pochylony nad nim mężczyzna.

Komendant przetarł oczy. Dawno nie spał tak dobrze, jak w tym polskim areszcie. Może coś mu się przyśniło. Plecy bolały go od twardego siennika. Uniósł się na łokciu.

– Dziękuję.

Mężczyzna pokiwał głową i wrócił na swój siennik obok majora.

– Pan mnie nie poznaje – szepnął.

Ten głos, a właściwie nie tyle głos, co akcent, wydał się komendantowi znajomy. Był to właściwie tylko cień akcentu, jak to bywa, kiedy człowiek szepce, ale ten cień wystarczył.

– Pan Weiss?

– Pan? A to dobre! Dziękuję, panie podpułkowniku, za pańską dyskrecję, ale nasi... gospodarze i tak znają moją tożsamość. Może pan śmiało używać mojego stopnia policyjnego, moje godziny i tak są policzone...

W ich kojcu spało jeszcze z dziesięciu chłopów. Wszyscy chrapali w najlepsze, ale komendant nie chciał pogarszać swojego położenia podejrzeniami o konszachty z wrogiem. Na wszelki wypadek przysunął się bliżej do Weissa i niemalże wyszeptał mu do ucha:

– Nie trzeba być takim czarnowidzem. Jest pan jeńcem...

Weiss obrócił się na brzuch i też obniżył głos.

– Ja jestem policja niemiecka, a to znaczy kula w łeb. Nie trzeba podtrzymywać mnie na duchu. Jestem gotowy na śmierć. To i tak cud, że żyłem tak długo...

Jakiś aresztant zaczął gadać przez sen. Inny głośno zakasłał. Weiss odczekał parę minut, zanim znowu się odezwał.

– Dożyłem przynajmniej dnia, kiedy pańskim ludziom udało się zlikwidować zabójców pułkownika.

– Rachoń i Rodkiewicz... Spisali się na medal – przytaknął w półmroku podpułkownik.

– Nie wie pan o tym, że miałem wobec pułkownika dług...

– Wiem, panie inspektorze, świętej pamięci kapitan Rachoń wszystko mi opowiedział.

– Rachoń zginął?

– Stawiał opór przy internowaniu nas przez Niemców.

– Szkoda chłopów. Ale Rachoń nie znał całej prawdy... – powiedział enigmatycznie, jakby czekał na zachętę do wyznań, ale nie doczekawszy się jej, obrócił się na drugi bok.

Wiedząc, że i tak już nie zaśnie, komendant postanowił go zachęcić.

– Prawdy, czyli czego? – zapytał, kiedy nagle usłyszeli metaliczny hałas otwieranych pancernych drzwi i kroki na schodach. Weiss uniósł się na posłaniu. Skinął głową w stronę korytarza.

– To po mnie – uśmiechnął się gorzko i zaczął gramolić się z siennika.

Na dźwięk kroków strażników kilku aresztantów się obudziło.

Dwóch żołnierzy stanęło w otwartych drzwiach.

– Joachim Weiss?

Weiss pokiwał głową. Skrępowali mu ręce za plecami.

– Prawda jest taka, panie podpułkowniku, że Reszczyński uratował mi życie – powiedział jeszcze na odchodnym.

Rewizja IPN u profesora Kobylińskiego w marcu 2016

W TRZY DNI PO ZDOBYCIU PRZEZ POWSTAŃCÓW kościoła św. Krzyża i Komendy Policji niedaleko stamtąd, na Starym Mieście, cudem uchodzi z życiem dwudziestojednoletni Lech Kobyliński, ps. „Konrad”. Bomba rozwała wtedy budynek przy Freta 16, zabijając cały sztab AL. Przybyłych na odprawę „Konrada” i „Frygę” ratuje podobno skok przez okno z walącego się budynku.

AL-owiec, profesor Kobyliński, tak jak AK-owiec, Janusz Cywiński, odgrywa kluczową rolę w moim rozumieniu tego, co czuli i myśleli młodzi ludzie, którym przyszło podczas okupacji strzelać zarówno do Niemców, jak i do Polaków. O ile z panem Cywińskim rozmawiałem już kilkakrotnie, to pomimo zachęty ze strony profesora Kobylińskiego przez kilka miesięcy nie zdążyłem się skontaktować z nim ponownie. A szkoda, bo takie drugie i trzecie wywiady są zazwyczaj bardziej owocne. Tym bardziej iż okazało się, że mamy wspólnych znajomych poprzez rodzinę mojego ojca, od której usłyszałem wiele ciekawego o rodzie Kobylińskich.

W świetle tych tradycji rodzinnych wybrana przez Kobylińskiego w młodości opcja ideowa wygląda dosyć dziwnie. Przyszło mi do głowy, że może zradyzalizował się w pewnym momencie trochę tak, jak Franciszek Bartoszek. Mogłoby się to wydawać naciągane, ale związek pomiędzy Kobylińskim i Bartoszką jest naprawdę bliższy, niżby się mogło na pierwszy rzut oka wydawać.

Na przykład jednym tchem wymienia ich obu w swojej pomnikowej pracy o akcjach zbrojnych podziemnej Warszawy Tomasz Strzembosz, jako dowódców będących „prawdziwymi duszami” swoich zespołów.

Bartoszka i Kobylińskiego łączyła też pewna ciągłość organizacyjna. Po śmierci jej dowódcy Bartoszka na Krakowskim Przedmieściu specgrupa Gwardii Ludowej w ciągu kilku miesięcy przestała istnieć. Zastąpili ją z czasem właśnie

„Czwartacy”, specjalny oddział szturmowy, którego dowódcą był Kobyliński, ps. „Konrad”.

I tak przez dłuższy czas nosiłem się z zamiarem ponownego zatelefonowania do profesora Kobylińskiego, kiedy nagle na początku marca jego nazwisko znalazło się na czołówkach gazet.

Drugiego marca 2016 roku, o godzinie siódmej rano, kiedy profesor jeszcze spał, do jego drzwi w Gdańsku zapukali przedstawiciele IPN w asyście policji. Przeprowadzono trwające kilka godzin przeszukanie w związku z „podejrzeniem ukrycia przez osobę nieuprawnioną dokumentów podlegających przekazaniu Instytutowi Pamięci Narodowej”. Podobno profesor nie najlepiej się podczas przeszukania poczuł, ale twierdził, że goście byli bardzo kulturalni.

Gazety spekulują, że IPN szukał u profesora materiałów obciążających generała Jaruzelskiego. Kobylińskiemu miał je rzekomo przekazać generał Rozłubirski, jego zastępca w „Czwartakach”. O tym ostatnim czołowi ipeenowscy badacze mają wyjątkowo złą opinię.

„Generał Ludowego Wojska Polskiego o mentalności niemal gangsterskiej – pójść, zastrzelić, buty zabrać...” – mówi o nim Piotr Gontarczyk w „Biuletynie IPN”, a Janusz Marszalec dodaje oskarżycielsko: „...okupację sowiecką przeżył we Lwowie. W tym czasie jego ojciec – oficer szwoleżerów – został zamordowany w Katyniu przez Sowietów (w życiorysie pisany w 1948 roku „Gustaw” podał, że przez Niemców). W 1941 roku jakoś wyrwał się ze Lwowa i trafił do Warszawy”.

A do tego wszystkiego, jak zauważa pracownica IPN, Barbara Polak: „W 1968 roku brał udział w inwazji na Czechosłowację na czele »czerwonych beretów«”[18].

Ani w tej rozmowie w „Biuletynie IPN” sprzed dziesięciu lat, ani w absolutnie żadnym z obecnych doniesień mediów (nawet w „Gazecie Wyborczej”) na temat rewizji w domu Kobylińskiego nie ma żadnej wzmianki o jego niekwestionowanych zasługach w walce z Niemcami. Ani o jego udziale w zamachu na Café Club i o jego ranach w powstaniu, ani tym bardziej o Virtuti Militari, które jego zastępca Rozłubirski otrzymał od Grota-Komorowskiego za bohaterstwo w walkach na Starym Mieście...

Nie chcę w żaden sposób bronić formacji odpowiedzialnej za śmierć brata mojego dziadka, ale nie chcę się też dać zwariować tylko dlatego, że jakieś fakty nie pasują twórcom podręczników historii dla ubogich wyobraźnią.

Ul. Jasna

OD STRONY PRAGI WSTAWAŁO JUŻ SŁOŃCE, a z chmur nad Śródmieściem mżyło, kiedy dwaj młodzi powstańcy z biało-czerwonymi opaskami na ramionach i z przejętymi minami prowadzili Weissa w ruiny, żeby go rozstrzelać. Powietrze było rześkie. Weiss szedł na śmierć z głową do góry. Starał się oddychać pełną piersią i patrzeć na świat szeroko otwartymi oczyma, chłonąc z całej siły swe ostatnie chwile. Zdumiało go to, że wśród morza ruin, gdzieś w pobliżu, ćwierkały ptaszki. Wsłuchując się w ich trele, usłyszał nagle w oddali warkot lotniczych silników. Obrócił lekko głowę i ujrzał trzy bombowce w bojowym szyku. Powstańcy kazali mu się zatrzymać. Jeden celował w Weissa, a drugi śledził złowrogie maszyny. Leciały dość wysoko od strony Okęcia i właśnie wchodziły gdzieś nad Filtrami w prawoskrętny łuk, w kierunku Starego Miasta, kiedy nagle maszyna z prawego skrzydła oderwała się od formacji i weszła w lot nurkowy. Cała trójka dobrze wiedziała, co to znaczy. Powstaniec z karabinem wycelowanym w skazańca rozpaczliwie oczekiwał od tego drugiego jakiegoś rozkazu. Charakterystyczne wycie sztukasa przerwało ptasie trele. Wreszcie padła komenda:

– Na ziemię!

Wszyscy trzej padli w gruz zalegający ścieżkę między ruinami. Od skrzydeł nurkującego prosto na nich samolotu oderwały się bomby. Ich świst zmieszany z wyciem samolotu wypełnił powietrze.

Zrywając się na proste nogi, Weiss nie umykał przed egzekucją, tylko przed tymi bombami. Kryjąc się i celując zarazem, powstańcy strzelali za nim beładnie. Klucząc w biegu pomiędzy rozrzuconymi na ścieżce bryłami elewacji, ceglami i metalowymi prętami, Weiss skutecznie unikał lecących za nim kul. Przez myśl przemknęło mu, że musi schronić się pod ziemią. Tylko gdzie? Nagle za jego plecami eksplodowała bomba. Jej podmuch rzucił go na ziemię. Przysypał go deszcz gruzu, po czym zapadła cisza. Ogłuszony wybuchem

i oślepiiony pyłem podniósł się powoli na czworaki. Tam, skąd do niego strzelali, dymił lej po bombie.

Przykro, że było u pana przeszukanie...

PROFESOR KOBYLIŃSKI ZBYTNIO SIĘ NIE PRZEJMUJE przeprowadzoną u niego o świcie rewizją IPN.

– Ja to przyjąłem spokojnie – mówi – bo przyszła policja z nakazem prokuratora, to co ja miałem zrobić, prawda?

– Ale bardzo wcześnie rano przyszli... o siódmej rano?

– No wie pan, wcześnie. Ja już jestem na emeryturze, to człowiek trochę dłużej śpi. Nie wstaję o godzinie szóstej. Wstaję o szóstej, jak prowadzę wykłady w Iławie. Bo ja jeszcze mam wykłady w Iławie. To wtedy wstaję rzeczywiście o szóstej.

– Podziwiam pana spokój i pogodę ducha w tej sytuacji.

– Dziękuję bardzo. Trzeba przyjmować takie rzeczy spokojnie.

– Jak pan to tłumaczy, że prasa, pisząc o tej „wizycie” i o pańskiej sylwetce, ogranicza się do czasów PRL-u, że nikt nie pisze o pańskiej walce w podziemiu?

– Ja potem nie chciałem rozmawiać z dziennikarzami, więc oni pisali to, co chcieli...

– Ale przecież czołowi historycy IPN-u dobrze wiedzą, że np. taki Rozłubirski, o którego i jego związki z generałem Jaruzelskim w tym przeszukaniu głównie chodziło, dostał od Bora-Komorowskiego Virtuti Militari, a o tym się nie wspomina...

– Okazuje się, że teraz to nie ma znaczenia. Chodzi o naświetlenie tego od innej strony i to wszystko, co do tego nie pasuje, trzeba pominąć.

– Pan też został odznaczony... dostał pan Krzyż Walecznych...

– Ja też dostałem Virtuti Militari, ale dopiero po wojnie, a Rozłubirski w czasie powstania. Właściwie to było w ten sposób, że ja dowodziłem taką placówką na skrzyżowaniu ulic Mostowej i Rybaki. Taka barykada. Było nas tam dość dużo, ale był też tam oddział akowski. Był tam z nimi taki jeden bardzo dzielny chłopak, miał pseudonim „Orlikowski”. On niestety później zginął. Ale ponieważ

na tej barykadzie były walki dosyć silne, myśmy zniszczyli kilka czołgów, to dowództwo Armii Ludowej postanowiło dać jemu Krzyż Grunwaldu. I w odpowiedzi na to „Gustawowi”, czyli Rozłubirskiemu, przyznano Virtuti Militari. To był taki rewanż. Uznanie wzajemnych zasług. To była taka przyjemna sprawa. A czołgi tam podchodziły pod barykadę. Myśmy wspólnie tę placówkę trzymali. Jeden czołg zaczął się palić, Niemcy uciekli, a „Orlikowski” wskoczył do tego palącego się czołgu i wyciągnął karabin maszynowy. I za to dowódca z Armii Ludowej przyznał mu od razu ten Krzyż Grunwaldu. Nie materialnie, bo nie było tego krzyża. No i potem, „Wachnowski” [dowódca grupy „Północ” AK] przyznał „Gustawowi” ten krzyż Virtuti Militari.

– Pan został ranny w powstaniu?

– Myśmy się potem rozdzielili. Ja z jedną częścią oddziału przeszedłem na Żoliborz, a on z drugą do Śródmieścia. To było na przełomie sierpnia i września. Jak była kapitulacja Żoliborza, to myśmy w nocy przedarli się przez pozycje niemieckie. Gdy dochodziliśmy do Wisły – zostałem ranny.

– Panie profesorze. Mam takie osobiste pytanie do pana. Mówią o panu, że z porządnej ziemiańskiej rodziny, porządny ojciec, porządna matka, a syn w Gwardii Ludowej. Jak to z panem było?

– Moja rodzina na pewno była porządna. Ziemiańska była w pewnym sensie, ale to kiedyś, bo po powstaniu styczniowym majątek mojego dziadka, Kazimierza Kobylińskiego, został skonfiskowany.

– Słyszałem od naszych wspólnych znajomych, że pana pierwsza żona była bardziej ideologicznie zaangażowana od pana. Czy to ona, że tak powiem, naprowadziła pana na „właściwe tory”?

– To nie tak. Kiedy myśmy się poznali, ja już byłem w Gwardii Ludowej. Na ten temat można by dużo mówić...

– Jeden z bohaterów, czy też antybohater mojej książki, to niejako pana poprzednik w szeregach Gwardii Ludowej, przedostatni dowódca specgrupy sztabu, Franciszek Bartoszek. Wie pan, on przed wojną był artystą malarzem, krytykiem sztuki... Miał lewicowe przekonania, ale ja mam takie wrażenie, że dopiero na ASP się zradyzalizował, a potem jeszcze bardziej po ślubie z córką socjalisty Edmunda Semila. Pan był już w konspiracji, kiedy poznał pan swoją żonę. Czy pana żona była komunistką?

– Jej brat był. On został wywieziony w czterdziestym roku ze Lwowa. Cała rodzina została wywieziona do Kazachstanu... Ale w mojej rodzinie było wielu ludzi o poglądach lewicowych. W domu była lewicowa atmosfera. Wujkowie moi, młodsi bracia mojej mamy, mieli na mnie ogromny wpływ. Oni byli niewiele ode mnie starsi, jeden z nich był działaczem studenckim. Była to postępową inteligencja.

– Skoro się poznaliście już w konspiracji, to jaki stosunek miała pana żona do pańskiej działalności bojowej? To znaczy: bała się czy była dumna?

– Ja myślę, że była dumna. Ja ją poznałem, gdy została przydzielona jako łączniczka do mojego oddziału. I w czasie powstania też była łączniczką. Drugą była taka Zosia Dąbrowska. Obie nie żyją. Moja żona mi wielokrotnie uratowała życie w czasie powstania. Bo myśmy się kochali i ona mnie pilnowała, żebym nie wychylił głowy zza barykady.

– A nie było trudno tak walczyć?

– Trzeba było strzelać. Ja wychylałem głowę nad barykadę, ona mnie ściąga i w tej chwili pada strzał, który zabija drugiego kolegę. Tak było. Ona mnie pilnowała strasznie i dzięki temu może przeżyłem. Miała na imię Stefa.

Ul. Solec i ul. Śmiała

PODCZAS GDY „GRUBER” GNIŁ OD DWÓCH MIESIĘCY w niemieckim obozie, jego młodszy brat „Tadek” strzelał do Niemców w powstaniu jak do kaczek. Amunicji było co prawda jak na lekarstwo, ale dopóki była, nie marnował ani naboju. W drugiej połowie września na Czerniakowie strzelać nie bardzo było już czym, a Niemcy raz po raz atakowali ich pozycje z pomocą czołgów i dział szturmowych. Nadzieje na pomoc zza Wisły rozbudzone wcześniejszym desantem berlingowców okazały się płonne. Powstańcom pozostało jedynie przebić się do Śródmieścia. Przed wycofaniem się tam wstrzymywały ich jedynie setki cywilów, których nie mogli pozostawić ich losowi w niemieckim kotle. Po rannych przyływały z Saskiej Kępy łodzie, ale było ich jak na lekarstwo. Sytuacja była beznadziejna. Niektórzy tracili ducha i poddawali się Niemcom, inni próbowali przepłynąć na prawy brzeg o własnych siłach. Wisła była zresztą dosyć płytką tego lata.

Skierowani pod wieczór do zabezpieczenia odprawy, „Tadek” wraz towarzyszem z oddziału przykucnęli na brzegu. Rannych wnoszono na statek „Bajka”, skąd miano ich ładować do łodzi desantowych. Przeprawa opóźniała się. Korzystając z tego opóźnienia, „Tadek” namawiał kolegę, by też się ewakuował. Znali się przelotnie jeszcze sprzed powstania, bo tamten ukrywał się w ich domu na Marszałkowskiej. Był to ten Werner, który udzielał jego bratu korepetycji, a potem przepadł jak kamień w wodę. Okazało się, że razem z matką trafił na Pawiak, gdzie ich rozdzielono. Ją wywieźli do Oświęcimia, a syna uwięzili w obozie na Gęsiej.

Za ich plecami dogorywała Warszawa, a gdzieś daleko za Wisłą grzmiała ruska artyleria.

– Z twoim wyglądem, Kaziu, to ty musisz wiać – klarował „Tadek” koledze. – Lada dzień będzie kapitulacja, Niemcy ci nie przepuszczą!

Werner słuchał go w milczeniu.

Niejedno już razem przeszli. Do oddziału Werner przyłączył się w piątym dniu powstania, kiedy go uwolnili wraz z setkami innych z obozu „Gęsiówka”. Z Woli przeszedł z nimi na Starówkę, ze Starówki do Śródmieścia i wreszcie dotarł na Czerniaków.

– Jak cię nie wpuszczą na ponton, to pływ sam, ale tutaj na pewno nic po tobie – zakończył „Tadek”, poklepał go po ramieniu, wstał i przeciągnął się. Na brzegu dowódca migał zieloną latarką. Pontony były już w drodze. Czas się było upewnić, że Niemcy nagle ich nie znajdą od tyłu.

„Tadek” czule objął palcami kolbę zdobycznego pistoletu maszynowego i ruszył wzdłuż brzegu, bacznie lustrując nabrzeżne ruiny. Czujnie nasłuchując, przeszedł kilkanaście kroków. Mrużąc oczy, wypatrywał w półmroku jakichkolwiek oznak życia. Nagle za sobą usłyszał głośny plusk. Zawrócił.

– Kazik?

Po Wernerze nie było ani śladu.

Posłuchał jego rady.

Następnego ranka na Żoliborzu trzy sanitariuszki przycupnęły za węglem zbombardowanego dwupiętrowego budynku przy Śmiałej.

Zmęczonymi spojrzeniami lustrowały przestrzeń dzielącą je od następnych ruin. Szykując się do kolejnego skoku, chłodno kalkulowały, ile im zajmie przebycie tej odległości, biorąc poprawkę na zalegające na ulicy przeszkody i na spowalniającą je parę drewnianych noszy. Mniej więcej w połowie placyku białała nietknięta kulami kapliczka, pod którą dopalała się postawiona tam przez nie wiedzieć kogo świeczka.

Kapliczka wyznaczała mniej więcej połowę odległości do następnego budynku – kalkulowała „Ita”. W połowie zaś odległości do niej jako takie schronienie oferował murek będący chyba pozostałością podwórkowej wygódki.

„Ita” powzięła decyzję i ruszyła pierwsza, ale zanim nawet dotarła do murku, na którego osłonę liczyła, to nagle nad jej głową przeleciała długa seria z peemu. Zakręciła się w miejscu i po chwili zdyszana wylądowała z powrotem za węglem.

– Lepiej uważaj – syknęła jej koleżanka – bo ciebie nie zamierzam nieść z powrotem.

– Spokojna głowa. Za szybko dla nich biegam.

– Walasiewiczówna się znalazła!

– A żebyś wiedziała! Setka to mój najlepszy dystans!

Niemcy już byli tuż, tuż. Od strony Cytadeli słychać było odgłosy walki. Dni Żoliborza, a może nawet jego godziny, były policzone, a one przekomarzały się jak licealistki, którymi były aż do ostatnich przed powstaniem ferii. Wkrótce jednak umilkły i znowu mierzyły przedpole oczyma zahartowanych w boju

weteranek. Choć miały zaledwie po kilkanaście lat, to minione pięćdziesiąt dni gwałtownie przyspieszyło ich dorastanie. „Icie” z końca września „Ita” z początku sierpnia wydawała się naiwnym dzieckiem. Tak niedawno jeszcze na mdłości jej się zbierało na widok skaleczonego kolana, a dziś? Niestraszne jej już były ani ucięte w polowym szpitalu kończyny, ani trupy z wybebeszonymi wnętrznościami. Z politowaniem myślała o „tamtej” sobie sprzed powstania, naiwnej jedynaczce, z głową pełną dziewczęcych fantazji, która nawet swój pseudonim wzięła z infantylniej książki Zarzyckiej dla pensjonarek. Jakie to żenujące!

Czasu do rozmyślań miała sporo, bo tkwiły tak unieruchomione pod osłoną ruin przez kolejne kilka godzin, aż do zmroku, a do ewakuowanego punktu opatrunkowego dotarły dopiero przed północą.

Było chyba koło pierwszej, kiedy w drodze powrotnej przed oczyma zamajaczyła im znowu podwórkowa kapliczka. Oprócz rannej, którą sanitariuszki taszczyły na noszach, towarzyszyło im kilku łżej rannych, poruszających się o kulach. Wlekli się niemiłosiernie, ale na szczęście nikt do nich nie strzelał. Ranni poczuli się nawet do tego stopnia bezpieczni, że jeden przyklęknął przy kapliczce i przeżegnał się lewą ręką, bo prawą miał na temblaku. „Ita” fuknęła ze złością. Szła sama z przodu i chociaż ranna na noszach nie była ciężka, to po kwadransie marszu ramiona już jej omdlewały. Ten pod kapliczką natomiast, zaczął się rytmicznie kołysać. Zanosił się na dłuższą modlitwę. Chcąc nie chcąc, zatrzymali się nieopodal, pod osłoną tego samego murku, co przed kilkoma godzinami.

– Na różaniec mu się zebrało! – odezwała się nagle kobieta na noszach. – Dewot!

„Ita” syknęła na nią i położyła palec na ustach.

Ranna uśmiechnęła się w ciemności.

– Nie bój się, dziecko! Szkopy jeszcze daleko!

Co ty tam wiesz! – pomyślała „Ita” i tylko zacisnęła zęby ze złości. – *I do tego jeszcze ten ton wyższości!*

Ranna była nie tylko starsza od niej wiekiem. Była żołnierzem powstania, a nie jakąś tam smarkatą sanitariuszką. Kiedy na likwidowanym na Śmiałej punkcie sanitarnym okazało się, że z ciężką raną uda nie będzie wstanie iść o kulach, to „Ita” z największym trudem przekonała ją, by położyła się na noszach. A teraz to protekcyjne traktowanie!

Jak na wrzesień noc była wyjątkowo chłodna. Ranna miała na sobie kożuszek, a i tak trzęsa się z zimna. Wykręciła głowę ku kapliczce.

– Hej tam, towarzyszu, my tutaj marzniemy. Długo jeszcze tych modłów? – zapytała donośnym szeptem.

„Ita” nadstawiła uszu: „towarzyszu?”. W ciemności widziała niewiele więcej niż wielkie, błyszczące oczy rannej. Nagle doznała olśnienia. W szpitalach polowych na Śmiałej i na Mickiewicza leżeli przecież jacyś komuniści! Kiedy o tym pierwszy raz usłyszała na odprawie w Fortach, to aż zazgrzytała zębami, ale potem miała ważniejsze sprawy na głowie, takie choćby, jak śmierć od niemieckiego granatu swojej najlepszej przyjaciółki – i na śmierć o tamtych zapomniała. A teraz okazało się, że z narażeniem życia pomagała w ich ewakuacji.

– Jak to „towarzyszu”, proszę pani? – zapytała leżącą niewinnym tonem.

– A tak to – odpowiedziała tamta. – Nie powiedzieli ci? Jesteśmy AL. Tak, tak, moje dziecko. Przypatrz się dobrze bolszewikom. Ten tam wierzący to towarzysz „Marek”, ja jestem towarzyszka „Fryga”... A ty?

Wyciągnęła do niej rękę.

– No nie bocz się, mała, daj grabę...

Mała!?

W „Itę” jakby piorun strzelił. Odwróciła się plecami do wyciągniętej w jej kierunku dłoni. Stała na równe nogi, dała ręką znak pozostałym, po czym schyliła się po uchwyty noszy i szarpnęła nimi gwałtownie w górę. „Fryga” o mały włos nie wylądowała na ziemi. Zasyczała z bólu.

Widząc kątem oka, że tamci ruszają, modlący się pod kapliczką szybko przeżegnał się lewą ręką i dołączył do grupy.

Idącej przodem „Icie” chciało się płakać ze złości. Ze wszystkich okrucieństw powstańczego losu to jedno wydawało jej się najdotkliwsze: ratowała ludzi odpowiedzialnych za śmierć jej ojca!

Profesor Kobyliński – ewakuacja

– JA MIAŁEM DOSYĆ TAKIE CIEKAWE PRZYGODY, bo byłem na Starym Mieście, potem na Żoliborzu. A w momencie kapitulacji Żoliborza – to były rozbite oddziały. Kompletnie rozbite oddziały. Była zapowiedź próby przebicia się na Żerań. Ale pomiędzy terenami zajętymi przez powstańców a Wisłą były działki zajęte przez Niemców. I myśmy dostępu do Wisły nie mieli. I była planowana taka próba przebicia się przez ten teren do brzegu Wisły, gdzie przez Armię Berlinga przysłane miały być pontony, które miały przejąć tych ewakuowanych. Ale tak się nie zdarzyło. Dlatego że w momencie, kiedy już zebrane były oddziały na Żoliborzu, w rejonie ulicy Dziennikarskiej, zgromadziła się tam duża liczba powstańców. Pojawił się Wachnowski z parlamentarzystami niemieckimi i ogłoszono kapitulację, to było ostatniego września o jakiejś tam siedemnastej czy osiemnastej, w każdym razie już zmierzchało. Zapadła konsternacja; powstańcy byli zdezorientowani, ale część chciała przebijać się jednak przez pozycje niemieckie. Pomijam różne szczegóły. Ktoś wyskoczył, że jest rozkaz, że się poddajemy. Jest kapitulacja. Niemcy obstawili czołgami ten teren między Wisłą a naszymi liniami, ostatnimi pozycjami, i mówiono, że nikt nie przejdzie. Nawet ja tam miałem dobre kontakty z oddziałem takiego kapitana „Sławomira”. Umawialiśmy się, że będziemy razem się przebijać, ale w końcu on posłuchał rozkazu i mówi: musimy jednak kapitulować. Ale ja zebrałem tam kilku żołnierzy, pięciu–sześciu powiedzmy nas tam było, i powiedzieliśmy, że my jednak spróbujemy. Po prostu zebraliśmy trochę broni, granaty dodatkowe i tak dalej, i ruszyliśmy poprzez te działki, po zmroku. Już ciemność zapadła i do nas dołączyło kilkanaście osób (między innymi Kliszko ze swoją żoną i kuzynką, oni nie byli nawet uzbrojeni). Okazało się, że ten teren, obstawa tych linii niemieckich, był bardzo słabo pilnowany. Ja napotkałem tam dwa stanowiska karabinów maszynowych, które żeśmy granatami postraszyli. To znaczy rzuciłem granatami i oni uciekli. Okazało się, że to byli Rosjanie, prawdopodobnie

„własowcy”. I oni po prostu uciekli. Któryś tam rzucił granat i ja zostałem ranny. Ale dalej bez przeszkód dotarliśmy do Wisły i na brzegu nikogo nie spotkaliśmy. Był spokój. Z jednym z kolegów przepłynęliśmy na drugą stronę i przyprowadziliśmy pontony, które zabrały resztę. Ja na Pradze trafiłem do szpitala. Potem mnie zawieziono do Lublina. Tam leżałem prawie sześć tygodni.

Epilog części pierwszej

W SWOICH PAMIĘTNIKACH HANKA RESZCZYŃSKA tak pisze o upadku powstania:

„Wczesnym rankiem 30 września 1944 roku Niemcy, którzy weszli do Fortu, zachowywali się zupełnie przyzwoicie. Dostaliśmy wszyscy zupełną z kuchni polowej, a potem kazano nam wziąć nosze i pójść zbierać rannych”.

Z ich bloku przy Krasińskiego 4 zostały jedynie ruiny:

„Był to chyba jeden z największych wstrząsów w moim życiu. Wiedziałam, że w naszym domu był punkt oporu AK i że poprzedniej nocy toczyła się tam walka. Dom stał, choć palił się od góry, więc nie było szansy, aby dotrzeć do mieszkania na trzecim piętrze. Koło schodków prowadzących do piwnic leżało ciało żołnierza”.

Po matce i babci nie było ani śladu:

„Musiałam zacisnąć zęby i przemóc się, aby zejść do schronu. Pusto – i ta śmiertelna cisza dookoła. Rozejrzałam się i zobaczyłam płaszcz mamy, szalik Babuleńki i kilka drobiazgów... wciąż pełno było tutaj ich obecności... Ale tym razem nikt mnie nie powitał i nikt nie pożegnał. [...] I nagle, jak najjaskrawszy dysonans, jak zgrzyt przeraźliwy, w tę pustkę śmierci wdarł się głos patefonu, ustawionego na ruinach sąsiedniego domu przez pijanych żołnierzy niemieckich: *Komm zurück, Ich warte auf Dich...*”.

Część II

HANNA I HEDDA

Wstęp do części drugiej

WOJNA Z NIEMCAMI SIĘ SKOŃCZYŁA. Władza znalazła się w rękach komunistów. Ulica w sercu w Warszawy została przemianowana na cześć dowódcy zabójców komendanta Reszczyńskiego.

Wdowa po Bartoszku, Hedda, doczekała się wreszcie takiej Polski, o jaką walczyła, ale dla córki komendanta, Hanki, była to Polska postawiona na głowie. Podjęła z tą Polską, która, jak mówi, „nie była Polską”, nierówną walkę. Próbowła pomścić śmierć ojca w tak niefortunny sposób, że tylko jej niepełnoletniość uratowała ją przed plutonem egzekucyjnym.

Wiedząc, że w takiej Polsce nie będzie bezpieczny, poprzednik komendanta Reszczyńskiego, Marian Kozielski, z pomocą brata salwował się wyjazdem na Zachód. Następca Reszczyńskiego, Franciszek Przymusiński, nie zdążył się uratować. Nawet nie próbował. Wywieziony przez NKWD, przepadł w Gułagu, gdzieś za Wołgą i Kamą.

Ale na dłuższą metę bezpieczny nie był tak naprawdę nikt z głównych bohaterów tej opowieści.

W niecałe pięć lat po wojnie mocodawcy specgrupy Bartoszka sami stali się ofiarami zaciekłych represji. Tak jak wcześniej Hanka, tortur i poniżenia – i to nieporównanie okrutniejszych i długotrwałych – doznała komunistka Hedda. Swój wieloletni pobyt w areszcie śledczym przypłaciła głębokimi fizycznymi i psychicznymi bliznami, a pomimo to i tak nigdy nie wyparła się swej ideologii.

Każda z głównych postaci tej historii, wcześniej czy później, stawała się „niewygodnym Polakiem” lub Polką – tak jak stało się to już po wojnie najpierw z Hanką, a później z Heddą, czyli – żeby pozostać przy ich wojennych pseudonimach – „Itą” i „Frygą”.

Bielsko, ul. Kolejowa 3 (lipiec 1945)

SĄDZĄC PO ICH MŁODYCH TWARZACH, można byłoby przypuszczać, że trzech chłopaków chowających się za rogiem korytarza na trzecim piętrze szykowało jakiś wyborny kawał. A może chcieli się popisać przed dziewczyną? Bo była z nimi też dziewczyna – młoda i ładna. Ustawiła się właśnie naprzeciwko drzwi z numerem dziesięć i jakby w przygotowaniu do tego kawału poprawiała na sobie kwiecistą sukienkę. Była gotowa. Pytającym wzrokiem popatrzyła na najwyższego z nich.

Zamachowcy naciągnęli na twarze maski i odbezpieczyli pistolety. Dali sygnał i dziewczyna nacisnęła mosiężny ręczny dzwonek. W przedpokoju zapaliło się światło. Rozległy się kroki.

– Kto tam? – zapytał przez drzwi Werner.

– To ja, „Ita”!

– Aa!

Werner otworzył drzwi i uśmiechnął się na jej widok. Kiedy się poznali kilka tygodni temu, on powiedział jej, że pracuje w „Polpressie”, a ona zapytała, czy nie rzuciłby okiem na jej wiersze.

– Ja właśnie z tymi wierszami... – powiedziała i cofnęła się o krok, a zamachowcy wyskoczyli zza rogu i otworzyli ogień.

Werner był doskonale wyszkolony. Rzucił się na podłogę. Zamiast niego kule dosięgły jego ojca, który pojawił się za synem w korytarzu i natychmiast upadł, trafiony przeznaczonymi dla syna pociskami.

– Zwiewaj! – krzyknął do dziewczyny dowódca.

„Ita” jak szalona rzuciła się schodami w dół, a już po chwili, jak gdyby nigdy nic, wyszła spokojnie na ulicę.

Raport sztabu Oddziału Informacji II Korpusu Polskiego (1946)

WOJNA JESZCZE TRWAŁA NA DOBRE, kiedy rozkazem numer 16 ministra Radkiewicza tuż za Armią Czerwoną do Bielska przybyła w połowie lutego czteroosobowa grupa operacyjna Urzędu Bezpieczeństwa Państwowego, pod dowództwem Kazimierza Świderskiego. W ciągu miesiąca Urząd działał już pełną parą[19].

Czym się zajmował?

Jak pisze o działalności UBP badacz, Krzysztof Szwagrzyk:

„Obiektami działalności operacyjnej funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa byli autentyczni lub wymagani przeciwnicy władzy komunistycznej instalowanej od 1944 roku w Polsce [...]. »Wrogiem ludu« [*de facto* wrogiem partii] była ponadto każda osoba, niezależnie od wieku, płci, pochodzenia czy narodowości, nieuznająca władzy PPR/PZPR, niegodząca się z narzuconym systemem, niezadowolona z poczynania władz lub je krytykująca, niepotrafiąca sprostać stawianym przez partię zadaniom [np. dostawy obowiązkowe] itp.”[20]

Aparat bezpieczeństwa nie był oczywiście w żadnej mierze suwerenny, co krótko i węzłowato opisuje cytowany przez Szwagrzyka raport wywiadu II Korpusu Polskiego.

„W miarę »uwalniania« terenów polskich, obszary te były obsadzone przez placówki NKWD i NKGB. Równocześnie delegowano na ten teren Radkiewicza, który miał w oparciu o tę sowiecką sieć »kontrrazwiedki« tworzyć polskie jej odpowiedniki (Radkiewicz był i jest w całej tej robocie figurantem, poprzez którego pracują generałowie NKGB). W późniejszej fazie placówki sowieckie zaczęły przybierać polskie szyldy, dokooptowując »pewnych« dla tej pracy Polaków lub złąły się z placówkami Radkiewicza, a całość przyjęła nazwę Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, nie wychodząc w gruncie rzeczy dotychczas z ogólnej sieci sowieckiej bezpieczeństwa i wywiadu. Jest to

w pierwszym rządzie policja polityczna, rekrutowana w 1945 roku ochotniczo spośród członków PPR, a obecnie z ludzi przydzielanych ze szkół wojskowych spec[jalnych] lub wprost z oddziałów wojskowych Żymierskiego”.

U progu lata 1945 roku, siedemnastoletnia wówczas Hanka Reszczyńska nie mogła co prawda znać mechanizmów obejmowania odrodzonej Polski mackami bezpieczeństwa, ale czuła przez skórę, że coś jest nie tak i ze wszystkich sił pragnęła walczyć z – jak to dziś ujmuje – „komuną, która udawała, że jest Polską, ale nią nie jest”.

Bielsko, ul. Kopernika

KIEDY „GRUBER” ZNALAZŁ SIĘ WRESZCIE U CELU PODRÓŻY, to stąpił po bielskim bruku jak we śnie. Po piekle obozu i po wrocławskim morzu ruin nietknięte wojną Bielsko wydawało mu się krainą z bajki.

Był wyczerpany. Pociągi i dworce były oblężone. Wzdłuż i wszerz kraju przelewały się ludzkie fale, trwała największa w całej jego historii wędrówka ludów. „Gruber” czuł się onieśmielony tym widokiem tłumów wolnych ludzi. Zaledwie miesiąc minął od dnia, kiedy pod bramy jego obozu przyjechali Ruscy na koniach.

Bramy otworzyli na oścież. Niemców zamknęli tam, gdzie Niemcy przedtem trzymali psy, i pojechali. Bramy pozostały szeroko otwarte, ale więźniowie dopiero po kilku dniach zrozumieli, że to był koniec niewoli.

W mieszkaniu na Kopernika na widok pierworodnego jego matka zaczęła słańać się na nogach, a „Gruberowi” też zrobiło się słabo, trochę ze wzruszenia, a trochę ze zmęczenia. Słaniając się tak oboje, padli sobie w ramiona. Misiowa poczuła pod palcami jego wystające żebra i zaniósła się głośnym szlochem. Ściskając go, praktycznie mogła unieść syna w górę. Prawie dwumetrowy dryblas po wyjściu z obozu ważył zaledwie czterdzieści kilo.

Był głodny. Głodny będzie już teraz zawsze. A ona będzie go mogła wreszcie znowu karmić.

Matka i syn mieli dużo czasu dla siebie, bo „Tadek” jak zwykle latał gdzieś po mieście, a Misiewicz był „w terenie”. Były dziedzic, teraz jako komisarz ziemski, w imieniu nowej władzy rozparcelowywał pańskie grunta. Misiewiczowa bardzo się o niego martwiła, bo już dwukrotnie do niego z tego powodu strzelali, ale on z tego tylko się śmiał.

Ale kiedy w lipcu 1945 roku nadszedł ten dzień, kiedy bielska bezpieka aresztowała za udział w zamachu z bronią w ręku na jakiegoś innego

funkcjonariusza komunistycznej władzy tę młodziutką, niewinniutką, małą „Itę”,
Misiewicz przestał się śmiać...

– „Ita”? Nasza „Ita” aresztowana?

Misiowa pokiwała solennie głową.

– Aa... pewnie chciała ojca pomścić – zawyrokował Miś.

Krakowiacy i Górale

– HANIU, CZY DOSZŁY TE SKANY TWOICH ZEZNAŃ Z CZTERDZIESTEGO PIĄTEGO?

– Oj wiesz, Internet mi się zepsuł.

– Czyli że nie doszły?

– A wiesz, właściwie to doszły. Doszły, zanim się zepsuł. Dziękuję ci bardzo. Wciąż niełatwo mi to czytać. Ty nie masz pojęcia, jak oni nas katowali. Ja po pewnym czasie zrozumiałam, że wszyscy inni i tak wszystko powiedzieli, więc sama też wszystko potwierdzałam...

– Rozumiem... Mam kilka pytań o to, co robiłaś w Bielsku jeszcze przed aresztowaniem.

– Aha...

– Czy pamiętasz na przykład, co śpiewałaś w *Krakowiakach i Góralach*?

– Wiesz, ja raczej nie śpiewałam, tylko tańczyłam.

– Ale jako krakowianka tańczyłaś czy jako góralka?

– Miałam strój krakowski, to pamiętam.

– Czyli że jako krakowianka? A czy pamiętasz, kogo grali w tym przedstawieniu ci chłopcy? Pozostali członkowie waszej grupy?

– Pamiętam, że Romek Horodyski grał tego chłopaka Basi.

– A wiem! Krakowiaka, Jonka...

– Znasz *Krakowiaków i Górali*?

– Byłem niedawno, tu niedaleko od nas w „Mateczniku Mazowsze”, na *Krakowiakach i Góralach*, na dokumentacji można powiedzieć. Więc tak.

– Miał piękny głos ten Romek! To jedna z głównych partii.

– No tak, główne partie to krakowiak Jonek, góral Bryndus i student Bardos... Jak widzisz, z *Krakowiaków i Górali* jestem na bieżąco...

– Pięknie to ten Romek śpiewał!

– Rozumiem. Chciałem cię jeszcze zapytać, czy daleko miałaś z domu do teatru?

– Oj, bardzo.

– Przechodziłaś przez most na Białej?

– Oj, wiesz, to było tyle lat temu.

– Mieszkałaś na Republikańskiej 76, czyli na przedwojennej Piłsudskiego. Teraz zresztą znowu tak się nazywa. A ulica, przy której stoi teatr, to teraz 1 Maja...

– Nie pamiętam.

– A czy pamiętasz, że Farber mieszkał na Kolejowej...

– Nie pamiętam.

– Rozumiem. Kolejowej zresztą już w tym miejscu nie ma, jest tylko poszerzona ulica 3 Maja.

– Wiesz, ja tyle lat tam nie byłam...

Most kolejowy na rzece Kamie, Mołotow, Rosja (czerwiec 1945)

NA WIDOK MAJESTATYCZNEJ KAMY Waśka miał łzy w oczach, chociaż był tak głęboko odwodniony, że nie bardzo miał już czym płakać. Te kilka słonych kropeł, które starł palcem i zlizął łapczywie, to nie były łzy wzruszenia, tylko ulgi. Czuł, że jego gehenna dobiega kresu. Eszelon dudnił na niekończącym się kolejowym moście, wysoko nad lustrem wody. Szatkowane żelaznymi kratownicami mostu promienie słońca migały poprzez szparę w drzwiach bydlęcego wagonu, jak w kalejdoskopie. *To już niedługo* – myślał Waśka. O dzień drogi za Kamą ciągnęły się na północ permskie szachty, dokąd z pewnością ich wieźli.

– Franciszek! Franciszek! – potrząsnął towarzyszem niedoli, którego głowa spoczywała mu na kolanach. – Franek! To już Mołotow! Ocknij się, już niedaleko!

Na dźwięk nazwy Mołotow Przymusiński podniósł na niego oczy, tak jakby mu ona coś mówiła, i z najwyższym wysiłkiem skinął głową.

Niepowstrzymany entuzjazm Waśki przestał drażnić byłego już komendanta z półtora tysiąca kilometrów wcześniej, jeszcze pod Moskwą. Teraz mijał miesiąc ich transportu, a ten nadwołżański Niemiec wciąż nie tracił ducha. Może było tak dlatego, że od wczesnej młodości przebywał w łagrach i się zahartował, a może dlatego, że wciąż jeszcze żył wspomnieniami najlepszego, co mu się przydarzyło w jego dotychczasowym parszywym życiu – niewolniczej pracy u bauera na Pomorzu, dokąd wywieźli go Niemcy w pierwszym roku Wielkiej Ojczyźnianej.

Pięćset kilometrów wcześniej, w Kazaniu, więźniowie z eszelonu doświadczyli cudu. Co prawda strażnicy i tam kategorycznie odmówili wyładowania zmarłych, których na każdy wagon przypadało na tym etapie już po kilku, ale za to dali więźniom wrzątek. Wrzątek! Cóż to była za radość. Nalali go parę razy w przypadający na dwa tysiące więźniów tuzin wiader. Zręczny Waśka

wywalczył kubek dla siebie i kubek dla Franciszka. Gorąca ciecz rozgrzała im wnętrzności i znowu przypomniała Waśce dobre czasy. Ponownie więc opowiadał współtowarzyszowi o tym, jak jego doskonały niemiecki uratował go przed obozem, jak trafił na roboty, i opowiadał mu o ciepłym jeszcze chlebie prosto z pieca, którego pierwszy raz w życiu posmakował właśnie u bauera.

– Nie było u niego źle, Franek, nie było źle... Jeść dawali! A ja za młodu białomorski kanał budowałem. O, tam... tam to było źle. Głód! A u bauera jeść dawali!

Te wspomnienia Waśki, który zwierzył się Przymusińskiemu, że jego prawdziwe, niemieckie imię to Walther, zbliżyły obu mężczyzn. Nie tylko byli rówieśnikami, ale do tego okazało się, że te swoje dwa najszczęśliwsze w życiu lata robót, Walther spędził dosłownie o międzę od Skarszew, miejscowości, w której Franciszek się urodził. Znał on rodzinę tego bauera.

Za Uralem zaczynało się już nieśmiało lato. Aromat traw i polnych kwiatów wdzierał się do zaduchu bydłowego wagonu i mieszał z fetorem złożonych pod derkami trupów. Co prawda Walther mówił, że do celu jeszcze tylko dzień lub dwa, ale zmyślał, bo widział, że z Polaka z każdą chwilą uchodzi życie.

Biedny durak – myślał o swoim towarzyszynie niedoli, który jeszcze gdy miał siły, opowiedział mu o tym, jak tuż po wyzwoleniu aresztowało go NKWD. Było to w małym mieście na zachód od Warszawy.

– A czemu się nie ukrywał? – zapytał go wówczas Walther.

– Nie zrobiłem nic złego, pełniłem tylko służbę! – odpowiedział mu Przymusiński.

Nu tak – Walther pokiwał głową i znowu pomyślał sobie: *Durak!*, po czym dla poprawienia samopoczucia przyłożył nozdrza do szczeliny w drzwiach wagonu i z lubością zaciągnął się zapachem pól. Chciało mu się żyć i podzielić tą chęcią z Frankiem, ale ten znowu odpłynął w malignę.

Opracowanie „Internowani na Uralu”[21] – ślad Przymusińskiego

„W LATACH 1945–1948 CO NAJMNIJ 3940 INTERNOWANYCH POLAKÓW i obywateli polskich przeszło przez obóz kontrolno-filtracyjny nr 0302 w obwodzie mołotowskim i obozy jenieckie nr 231 oraz nr 523 w obwodzie swierdłowskim, będące w składzie Siewgułagu NKWD–MWD.

Na podkreślenie zasługuje fakt, że najwięcej więźniów zmarło podczas transportu albo w najbliższych tygodniach lub miesiącach po przyjeździe do obozów na Ural.

Numer pozycji: 503

Nazwisko i imię Przymuszyński (sic!) Franciszek

Obóz –

Ostatni ślad –

Rok urodzenia 1908

Data śmierci 1945.06.02

Komentarz –

Miejsce przebywania (więzienia obozy) PFŁ nr 0302

Los osoby – ”.

Teatr miejski, Bielsko, czerwiec 1945

DWA LATA TEMU ZABILI JEJ OJCA, rok temu wykradła się z domu, żeby walczyć w powstaniu, a teraz w kolorowym krakowskim stroju, ze sznurem czerwonych koralików na szyi i w czerwonych trzewikach stała na deskach niewielkiego, ale pięknego jak bombonierka teatru. W oczy raził ją blask jupiterów, z kanału grzmiała orkiestra, a pośrodku sceny góral Bryndus śpiewał buńczucznie o... zemście:

„Wnet poznacie zemstę moją, ja się tych groźbów nie boję,
Nic gorsego nad Górala,
Gdy go słusny gniew zapala...”.

Jak każdego scenicznego złotodzioba, „Itę” onieśmiała widownia. Nie wiedziała, gdzie podziać oczy i co zrobić z rękami. Ale zawzięła się. Chciała zostać aktorką i tyle. Od dziecka pisała wiersze i pięknie recytowała.

Za to ze śpiewaniem było gorzej, więc w *Krakowiakach i Góralach* pozwolili jej tylko tańczyć, a i to po dyżurze w kasie teatru, skąd musiała pędzić na łeb na szyję, trzy piętra w górę, do garderoby, przebrać się do pierwszej zbiorówki i znowu trzy piętra w dół. Za to jako krakowianka wyglądała prześlicznie...

Stojąc pośrodku sceny, oko w oko z Bryndusem, krakowiak Jontek, czyli Romek Horodyski, śpiewał przepięknym tenorem:

„Psecie chciejcie tylko słuchać,
Wsak my nie chcemy waszej skody.
Nie damyć się w kasie dmuchać,
Ale skłonnaśwa do zgody...”.

Chór wtórował głównym bohaterom. Krakowiacy i górale robili dziarskie miny, a krakowianki i góralki, trzymając się pod boki, kręciły rytmicznie biodrami. Kiedy już „Ita” odważyła się zerknąć na pierwsze rzędy, zobaczyła twarze naznaczone uniesieniem, jak w kościele. Jak by nie było, siedzieli na polskim przedstawieniu, w polskim teatrze, w miesiąc po wojnie. *Zupełnie jakby wojny nigdy nie było – myślała – jakby nie było powstania, bomb, trupów, ruin i pożarów.*

Między scenami, za kulisami i poza teatrem, trzymała się z chłopakami. Romek był fajny, ale najfajniejszy był ich nieco starszy kolega, Janek – nawet pomimo tego, że był jasnym blondynem, a jej przecież najbardziej podobali się bruneci. Bardzo chciała rozmawiać z tymi chłopakami o swoich przeżyciach. Bąknęła coś razy czy drugi o powstaniu. Oni coś tam odbąknęli. I tak od słowa do słowa wciągnęli ją do konspiracji.

„Itę” jakby ktoś na sto koni wsadził. Przez ojca, no i przez to, że była jednak ciut za młoda, w czasie wojny konspiracja ją ominęła i bardzo chciała nadrobić zaległości.

No i ten Janek, czyli „Prawy”, prowodyr całej grupy, który jej się tak szalenie podobał. Zwierzyła mu się, kim była i co się stało z jej ojcem. Miała nadzieję, że to wystarczy jako jej rekomendacja do konspiracji.

Pewnego razu, kiedy reszta chłopaków podbiegła już na scenę do kolejnego numeru, Romek przytrzymał ją w kulisie za kotarę, złapał za rękę i spojrzał głęboko w oczy.

– Mam wiadomość od „Prawego”... – powiedział tym swoim aksamitnym barytonem. – Przyjmie cię. W twojej sytuacji to jest jedyna droga, żebyś mogła pomścić swojego ojca.

– Naprawdę? Przyjmiecie mnie?

Romek przytaknął, a ona ucałowała go w oba policzki i jak na skrzydłach pobiegła na scenę, gdzie wpadła w wir tańczących z takim animuszem, że nikt nie zauważył, iż trochę się spóźniła.

Stacja Baskaja, Permski Kraj

PIERWSZY OKUPACYJNY KOMENDANT POLICJI WARSZAWSKIEJ Marian Koziulewski spoczywa na cmentarzu w Waszyngtonie, a drugi, Aleksander Reszczyński, na Powązkach – ale gdzie znajduje się miejsce spoczynku trzeciego, ostatniego warszawskiego komendanta policji czasu wojny, Franciszka Przymusińskiego – tego dokładnie nie wie nikt, poza tym, że jest to gdzieś za Uralem.

W odróżnieniu od Koziulewskiego i Reszczyńskiego, Przymusiński został oficjalnie zrehabilitowany. To właśnie w trakcie procesu rehabilitacyjnego w 1947 roku świadek podał jako miejsce jego zgonu przystanek kolejowy Baskaja na północnej odnodze uralskiej magistrali kolejowej z ówczesnego Mołotowa do Swierdłowska, mniej więcej w połowie drogi między stacjami Czusowoj i Gubacha.

Do stacji Baskaja transporty z jeńcami wojennymi, deportowanymi i więźniami politycznymi przybywały regularnie od połowy 1942 roku. Wkrótce odcięty od Donbasu Związek Sowiecki na gwałt potrzebował nowych kopalń – a ludzie mówili, że na wschód od rzeki Kamy węgiel po prostu sam wyłazi z ziemi, wystarczy tylko trochę pogrzebać. Ale rzesze nieszczęśników zwiezionych do niewolniczej pracy przy budowie kopalń w tundrze przekonały się na własnej skórze, że sprawa nie była aż taka prosta.

Chociaż kolej za Uralem zbudowano jeszcze za carów, to do lat trzydziestych dwudziestego wieku w tych okolicach wciąż więcej było dzikich niedźwiedzi niż ludzi. Było ich w samej rzeczy tak dużo, że tamtejsi myśliwi nie tylko sami się nimi pożywiali, ale jeszcze dostarczali niedźwiedziego mięsa na potrzeby Armii Czerwonej. Dopiero wraz ze stalinowskim czyszkami drugiej połowy lat trzydziestych na wschód od Permu zaczęło przybywać mieszkańców: potoczyły się tam eszelony z więźniami politycznymi. Potem Perm został przemianowany

na Mołotow, na cześć ówczesnego ministra spraw zagranicznych i, przynajmniej tytułarnie, szefa rządu.

W zmianie Permu na Mołotow było coś symbolicznego. Wiaczesław Mołotow, sowiecki sygnatariusz niesławnego paktu z hitlerowskimi Niemcami, jako młody rewolucjonista sam zmienił nazwisko. Naprawdę Mołotow miał na nazwisko Skriabin. W czasach swej bolszewickiej młodości inteligent Skriabin przemianował się na głęboko proletariackiego Mołotowa, czyli jak byśmy powiedzieli po polsku, Młotowa, a na pięćdziesiąte urodziny Stalin zrobił mu nie lada podarek, przemianowując na jego cześć historyczny Perm nad Kamą.

Stalin był wdzięczny Mołotowowi za powstrzymanie Niemiec i Japonii przed napaścią na Sowiety. Nie przewidywał pewnie, że w półtora roku później powód tej wdzięczności, pakt Ribbentrop-Mołotow, legnie w gruzach: hitlerowskie Niemcy zaatakują sowiecką Rosję.

Minęły trzy lata Wielkiej Wojny Ojczyźnianej i nawet w przeklętych uralskich szachtach świętowano. Niemcy upadły. Z Zachodu ciągnęły transporty z pokonanymi niewolnikami.

Uczeń technikum w Gremiaczyńsku, Artjom Minabudtinow urodził się w ponad pół wieku po zakończeniu wojny. Artjom jest typowym nastolatkiem. Na swojej stronie, w rosyjskim odpowiedniku Facebooka, dzieli się tak jak jego rówieśnicy na całym świecie zdjęciami samochodów i muzyką, której słucha. Jak się dowiadujemy, jego ulubionym gatunkiem jest hip-hop, a jego dziewczyna ma na imię Natalia.

W ramach hucznie obchodzonej w Rosji w 2015 roku siedemdziesiątej rocznicy „zwycięstwa w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej” jego nauczycielka wysłała na jedną z wielu rocznicowych stron w Internecie wypracowanie Artjoma, pt. *Cmentarz Białe Kamienie*.

Wypracowań z okazji rocznicy zakończenia wojny rok w rok powstaje w szkołach, wzdłuż i wszerz Rosji, krocie i jak można przypuszczać, z reguły odwzorowują samą kalkę. Głoszą wieczną chwałę Armii Czerwonej, tego wielomilionowego „nieśmiertelnego pułku”, co swą krwią uświęcił na wieki szlak bojowy aż do Berlina, i cementują Putinowski mit stalinowskiej Rosji, samotrzeć ratującej świat przed hitlerowską zagładą.

Ale wypracowanie Artjoma stanowczo odbiega od normy. Formalnie jest niby opatrzone stosownymi rytualnymi formułkami o pisanym zawsze z wielkiej litery „Zwycięstwie” nad faszyzmem, ale z jego treści wynika nieoczekiwane zrozumienie, że obraz historyczny nie jest czarno-biały i że po stronie Związku Radzieckiego zaszło wiele złego. Jest to – jak na czasy polityki historycznej prezydenta Putina – ujęcie wręcz obrazoburcze.

Zaintrygowany, poprzez witrynę internetową „zaprzyjaźniam” się z Artjomem i proszę o pozwolenie zacytowania tu fragmentów jego wypracowania. Artjom zgadza się. Życzy mi powodzenia z książką, a ja jemu sukcesów w szkole...

Zaczynając wypracowanie od swojego rodzinnego, zauralskiego Gremiaczyńska, Artjom pisze wbrew oficjalnym kalkom, że:

„Jest on dziełem rąk nie tylko ochotników, ale w dużej mierze więźniów, przymusowo przesiedlonych, członków karnych batalionów i jeńców wykorzystywanych jako darmowa siła robocza”.

Na wszelki wypadek Artjom dodaje, że owi przedstawiciele czterdziestu jeden nacji „wnosili w ten sposób swój wkład w Zwycięstwo”.

Zwycięstwo, rzecz jasna, z obowiązkowej wielkiej litery.

Tytułowe „Białe Kamienie” znane są dziś przede wszystkim jako punkt widokowy przy drodze do Gubachy. Rozpościera się stamtąd zapierająca dech w piersiach panorama Uralu. Ale w punkcie widokowym znajduje się także cmentarz, przez który drogę zbudowano.

Artjom przytacza świadectwo długoletniego mieszkańca Gremiaczyńska, Friedricha Iwanowicza Walgera, o tym, że do 1946 roku chowano tu robotników rosyjskich, Niemców z batalionów karnych oraz polskich jeńców:

„Pewnego razu w czasach wojny na stację Baskaja przybyło kilka wagonów towarowych wypełnionych trupami polskich żołnierzy. Młodemu Walgerowi przypadła smutna misja przewiezienia ciał zaprzęgiem ze stacji na miejsce pochówku na Białych Kamieniach. Pochowali ich we wspólnej mogile i leżą tam bezimienni. Ustalenie, kim byli, jest już dziś praktycznie niemożliwe”.

Kolejny cytowany przez Artjoma świadek także nosi niemiecko brzmiące nazwisko, przypominające o tym, jak licznie za Ural trafiali wysiedlani przymusowo ze swoich ziem Niemcy zawołańscy.

„Edward Iwanowicz Rein żyje w przysiółku Baskaja od ponad pół wieku. Jesienią 2010 roku na miejscu obozu i cmentarza wspominał tak:

»Tu po prawej grzebali Niemców i Polaków, a po lewej Rumunów i Bułgarów. Ciała były nagie. A z grzebaniem nie nadążano, więc przy ścieżce leżały całe ich stosy. Wiosną i latem śmierdziało tu na całą okolicę«”.

W 2009 roku mieszkańcy Gremiaczyńska ustawili w tym miejscu krzyż i tablicę pamiątkową.

„Ale nie powstały tam długo – pisze Artjom – po roku krzyż nieznani sprawcy po prostu spiłowali, a tablicę zniszczyli. Dziś żadnych pamiątkowych znaków już się tam nie stawia. O tym, że w miasteczku znajdowały się obozy i cmentarze, wielu po prostu nie wie. O tej stronie dziejów z trybun nigdzie i nigdy nie mówiono. Jedynie w 1989 roku na czterdziestolecie Gremiaczyńska nagłośniono te dane publicznie. A naszym zadaniem jest nie zapomnieć, pamiętać

o straszliwej tragedii tych, którzy kładli fundamenty pod nasze miasto, o bohaterach, którzy swoją pracą przybliżali Zwycięstwo”.

Kolejna rytualna wzmianka o zwycięstwie przez wielkie „z”, jest w tym kontekście o tyle nielogiczna, że większość z tych, o których pisze Artjom, było nie budowniczymi, tylko ofiarami owego zwycięstwa.

Jedną z tych ofiar był zastępca i następca Reszczyńskiego, ostatni komendant granatowej policji Warszawy, pułkownik Franciszek Przymusiński, który nie przeżył podróży do Gremiaczyńska.

Możliwe, że jego ciało było w transporcie śmierci, o którym Artjomowi opowiadał Friedrich Walger.

Bielsko, ul. Kopernika

„ITA” Z WUJOSTWEM ZOSTALI ZAPROSZENI DO MISIEWICZÓW na uroczysty obiad z okazji powrotu „Grubera” z obozu. Na obiad był rosół z lanymi kluskami i sztuka mięsa. Przy stole mowa była głównie o Warszawie, dokąd któregoś dnia wszyscy mieli zamiar powrócić. „Gruber” opowiadał z pełnymi ustami o obozowym głodzie.

– Kiedy grymasilem jako dziecko, to mama zawsze mi mówiła: „Zobaczysz, jeszcze będziesz zebrał o skórkę od czarnego chleba”. Prawda mammo?

Misiowa dobrotliwie przytaknęła.

– I wiecie co? – „Gruber” zrobił dramatyczną pauzę. – Rzeczywiście zebrałem!

Pierwszy od stołu wstał „Tadek”, który jak zawsze miał jakieś sprawy na mieście, a potem zaczął się zbierać pan Misiewicz. Pomimo tego, że to była niedziela, zaczął pakować jakieś papiery do wypchanej teczki.

Popijając kompot z papierówek, „Ita” obserwowała Misiewicza ukradkiem. Wychodząc, szarmancko pocałował w rękę jej mamę i potem, dłużej i mocniej, ją. Pani Stasia patrzyła na to z przekąsem. Rozkwitła z dziewczynki w ponętą siedemnastolatkę, „Ita” ewidentnie jej mężowi babiarzowi wpadła w oko. „Icie” nawet to do głowy nie przyszło, zauważyła za to, że pod letnim wdziankiem Misiewicz miał pistolet.

– Rozdaje ziemię chłopom – powiedziała pani Stasia, tłumacząc nagłe wyjście męża.

– Nawet w niedzielę? – zapytała ciotka „Ity”.

– Zwłaszcza w niedzielę, bo wtedy chłopci są w domu – wyjaśnił „Gruber”.

– A czy to nie jest niebezpieczne? – zainteresowała się ciocia „Ity”.

Ona sama przysłuchiwała się rozmowie w milczeniu. Jakże czuła się teraz dorosła! Kiedyś z zazdrością patrzyła na swoich kuzynów, którzy byli

w konspiracji. Teraz role się odwróciły. Teraz to ona była w konspiracji i walczyła o Polskę.

Jak z oddali dotarły do niej czyjeś słowa. To „Gruber” pytał, jak jej szło w gimnazjum.

Popatrzyła na niego nieobecnyimi oczyma i coś tam mu odpowiedziała, ale myślami była gdzie indziej. Zastanawiała się, czy jej konspiracyjnym obowiązkiem nie będzie zameldować „Prawemu”, że ojczym jej kuzynów, Misiewicz, jest komisarzem ziemskim na usługach komunistycznej władzy.

„Ita” doskonale wiedziała, że to Gwardia Ludowa stała za zabójstwem jej ojca, i uważała udział w grupie „Prawego” za idealny sposób na to, by śmierć ojca pomścić. Okazja nadarzyła się wcześniej, niż się spodziewała. Od jej pierwszej rozmowy z chłopakami od „Prawego” za kulisami w teatrze, nie minęły nawet dwa miesiące, jak Hanka znalazła się w areszcie. Wszystko odbyło się tak szybko, że nie była nawet jeszcze zaprzysiężona.

Ten „Prawy”, który tak szalenie jej się podobał, uczynił z niej wywiadowcę. Najpierw pomagała im śledzić pewną zetempówkę, na którą jego grupa gotowała zasadzkę, a kiedy nic z tego nie wyszło, „Prawy” zajął się Wernerem. Uważał, że ten Werner pod pokrywką korespondenta „Polpressu” zbiera informacje o podziemiu dla swojego ojca, pracownika bezpieki, i postanowił go zlikwidować. Rozkazał „Icie” przeprowadzić pod jego nieobecność wywiad w mieszkaniu Wenera.

W upalny licowy dzień stary Werner otworzył drzwi nieznanym, czarująco uśmiechniętej dziewczynie i powiedział jej, że syna nie ma w domu.

„Ita” nawet nie skłamała, mówiąc, że syna zna, bo rzeczywiście poznali się kilka tygodni wcześniej. On jej powiedział, że jest dziennikarzem w „Polpressie”, a ona jemu, że pisze wiersze i czy może kiedyś rzuciłby na nie okiem, a nuż coś się nada do druku?

Teraz wspomniała o tych wierszach ojcu Wenera i powiedziała mu, że się zgrzała. Taki upał! Poprosiła o szklanek wody, a kiedy stary poszedł do kuchni, sprawdziła rozkład mieszkania. Potem uypiła łyk, podziękowała i zapowiedziała się z powrotem.

Następnego dnia już był zamach, a tuż po północy „Ita” została aresztowana. Nawet niezadrażnięty kulami zamachowców, młody Werner wpadł do mieszkania wujostwa z pistoletem w dłoni, wrzeszcząc na nią okropnie. Towarzyszący mu uzbrojeni mundurowi kazali jej się ubierać i wraz z wujem zabrali na komendę.

Pożytek z pracy w TVP

O JACKA SNOPKIEWICZA OTARŁEM SIĘ W TEN SPOSÓB, że kiedy spróbowałem po dwudziestu sześciu latach za granicą powrócić do Polski, to trafiłem do Telewizji Polskiej, w której w oparciu o moje doświadczenie w BBC zostałem jednym z dyrektorów. Jacek pracował wtedy w TVP2 i był tradycyjnie związany z opcją SLD, która pospołu z PSL „pomagała” PO rządzić telewizją. Ten model zarządzania publiczną telewizją miał wiele wspólnego z tym, że odwołano mnie ze stanowiska p.o. dyrektora programowego nawet szybciej, niż mnie powołano. Ale na złość prezesowi Juliuszowi Braunowi zgodnie z moim kontraktem pozostałem w telewizji jako urzędnik. Wykorzystałem jak mogłem najlepiej ten czas, pisząc między innymi książkę o twórcy teleturnieju *Wielka gra*, czyli o historii telewizji. U zmierzchu prezesury Brauna Jacek znowu został dyrektorem i kiedy zwróciłem się do niego z pytaniem o Heddę Bartoszek, siedział już w nowym gabinecie na peryferiach kompleksu przy Woronicza.

Jacek miał żyłkę do historii i kiedyś sam pytał mnie nawet o Aleksandra Reszczyńskiego. Obiecał mi materiały o Heddzie, ale spotkać się już nie daliśmy rady. Zmienił się prezydent, rząd i prezes, a ja odszedłem z TVP. Przez koleżankę Jacek przekazał mi zeznania Heddy z procesu jej stalinowskich oprawców. Potem miał dla mnie jeszcze jakieś materiały, ale sam długo nie zabawił w telewizji pod rządami Jarosława Kurskiego i nie zdążyłem się już z nim spotkać.

Miejski Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, Bielsko, Krasińskiego 30

BYŁO JUŻ CIEMNO, kiedy gazik Urzędu Bezpieczeństwa zatrzymał się z piskiem opon na Republikańskiej. Werner wpadł do mieszkania w towarzystwie referenta UB, Pajaka i trzech mundurowych. Wymachiwał pistoletem i darł się strasznie na Hanę, podczas gdy mundurowi przeprowadzali pośpieszną rewizję, a Pajak formalnie dokonał jej aresztowania za udział w bandzie terrorystycznej i zamachu. Najgorzej odnosił się do niej Werner, który nie mógł uwierzyć, że ta smarkuła ze swoimi sentymentalnymi wierszykami o powstaniu była podstawiona przez podziemie i miała pomóc go zabić, natomiast przesłuchujący ją podchorąży UB, Badyłak, z cierpliwością wysłuchiwał jej tłumaczeń, że nie chodziło wcale o to, by Wenera zabić, tylko go nastraszyć...

Podając swój życiorys, „Ita” bardzo oględnie wspomniała o ojcu, mówiąc jedynie, że straciła go podczas okupacji. Nie była naiwna, wiedziała, z kim ma do czynienia, i wiedziała, że był dla nich „wrogiem klasowym”. Wciąż liczyła na to, że niebezpieczeństwo wkrótce minie, tak jak szybko miną narzucone Polsce rządy.

Co do swoich towarzyszy, to nie próbowała nawet wyprzeć się znajomości z nimi. Podała nazwiska Romka, Janka, Julka i parę pseudonimów. Udawała tylko, że nie zna ich adresów, na wypadek gdyby jakimś cudem nie byli jeszcze zatrzymani. Zgodnie z prawdą zeznała też, że nie była w żadnej organizacji. Akcję planowali przedwczoraj, w niedzielę. Wczoraj, czyli w poniedziałek po południu, „Ita” podstępem poznała plan mieszkania. Wieczorem zaś było już po wszystkim.

Podchorąży Badyłak zainteresował się ich niedzielnym spotkaniem na Piotra Skargi. „Ita” zeznała, że było tam poza Jankiem i Romkiem czterech nieznanymi jej ludzi.

– Co to byli za ludzie?

Powiedziała, że dwóch szatynów i dwóch, których zupełnie nie mogła sobie przypomnieć. Żeby Badylak jej nie dociskał pytaniami o nich, wspomniała o teczce z bronią, myśląc, że coś w tym rodzaju go zainteresuje. Śledczy połknął haczyk. Kazał jej tę broń opisać. Opisała mgliście i powiedziała, że broń nie należała do nikogo w szczególności, była wspólna. Było tam cztery albo pięć pistoletów i kilka granatów.

– Jakie to były granaty? – zaciekał się Badylak.

„Ita” zrobiła minę niewiniątka, panienci z dobrego domu, której główną pasją są wiersze patriotyczne o powstaniu. Uśmiechnęła się naiwnie i pokręciła głową:

– No wie pan... to były takie granaty... jajkowe.

Badylak westchnął głęboko.

– Proszę podać przebieg rozmowy podczas spotkania...

Po czterech godzinach i dwudziestu minutach pierwszego przesłuchania pozostało siedem stron protokołu w maszynopisie, czyli około pół godziny na stronę. Śledczy Badylak miał nie lada powody do satysfakcji, bo jak wynika z protokołu sporządzonego przez obywatelkę Florczak, przesłuchiwana śpiewała jak z nut.

Florczak zaprotokołowała, że według „Ity”: kierownik biura „Polpressu” w Bielsku, Werner, i działaczka ZWM, Drewniakówna, posiadali pewne informacje grożące grupie „Prawego”. Że grupa miała ich obserwować i że mowa była o zamachu na Wenera. „Icie” zlecili rozpoznanie układu jego mieszkania, co podstępem uczyniła. Podczas samego zamachu „Ita” była zaskoczona strzałami, bo myślała, że planem nie było zastrzelić Wenera, tylko go sterroryzować przy pomocy morfiny...

Każdą z siedmiu stron maszynopisu „Ita” podpisała własnoręcznie, włącznie z tą, według której o zadaniach i celach bojówki „Prawego” powiedzieć miała, że „ponieważ AK było rozwiązane”, to podlegali dyrektywom rządu londyńskiego, i że „zadaniem grupy było sianie zamieszania i fermentu za pomocą wydawania wyroków na Polaków współpracujących z rządem za pomocą dywersji, napadów i aktów sabotażu”...

Z angielską flegmą o ubeckim biciu

JESTEŚMY W JEJ MIESZKANIU W GDAŃSKU. Hanka czeka cierpliwie w fotelu, aż ustawię sprzęt do nagrania jej wspomnień z aresztu. Od przedwczoraj przegadaliśmy już dobrych kilkanaście godzin, a teraz zapiszemy dokumentację wideo. Hanka przebrała się do zdjęć i nałożyła makijaż. Co aktorka, to aktorka.

Zza okien od wschodu przez firankę do jej eleganckiego salonu wpada miękkie, rozproszone światło. W kadrze za głową Hanki widzę nieostry w wizjerze wazon z herbaciano-różowymi mieczykami. Z jej twarzy bije spokój. Ot, dystygowana starsza pani w komfortowym wnętrzu, która o ubeckiej kaźni mówi z zażenowanym uśmiechem, jakby przepraszała za to, co ją spotkało:

– Zaczęli mnie strasznie bić... Zaczął mnie bić – poprawia się – śledczy. Takim pejczem na konie...

Po kilkadziesiąt lat spędzonych w Londynie Hania nawet o tym, jak ją bili, opowiada z wyspiarską rezerwą. O tym, jak śledczy pejczem pociął na strzepy batystową bluzkę na jej plecach, mówi „po angielsku”:

– No więc, to nie było bardzo przyjemne. – I żeby być całkiem *fair* wobec swych oprawców, zaznacza: – ale nie lali po głowie, tylko właśnie po plecach i po pupie. Lali zdrowo.

Z kąta izby przesłuchań bicie obserwował ruski oficer. Żeby zagłuszyć jej płacz, puścił radio na cały regulator, a ona, próbując przemówić do ich sumień, krzyczała, że „tylko Niemcy mogą tak traktować! Jak możecie jako Polacy być tacy okropni...”.

– Płakałam, ryczałam, ale oni wcale się tym nie przejmowali i dalej mnie lali – konstatuje.

Po jakimś czasie bijący się zmienili. Ten nowy, wypoczęty, kazał jej podnieść nogi, zdjął jej pantofle i zaczął walić w pięty.

– To był okropny ból i znowu krzyczałam, ale na próżno. Pomyślałam, że jeżeli nie zrobią jakiejś przerwy, to nie wytrzymam tego wszystkiego, więc

udałam, że mdleję... Bitemu człowiekowi nie tak łatwo udać omdlenie – mówi z szelmowskim uśmiechem, jakby opisywała zrobionego komuś psikusa. – To było bardzo trudne, dlatego że jak człowiek się kurczy, to wydaje mu się, że te razy nie są takie bolesne. Ale zmiotczałam i na podłodze się znalazłam...

Teatr miejski w Bielsku

W SAMYM ŚRODKU PRZEDSTAWIENIA z hukiem otworzyły się drzwi na widownię i w pięknie udekorowanym wnętrzu miejskiego teatru z dźwiękami muzyki zmieszał się złowrogi tupot żołnierskich buciorów. Widzowie nie od razu się połapali, że chłopaki w mundurach nie są częścią przedstawienia, a w kanale niczego nieświadoma orkiestra nadal w najlepsze rznąła krakowiaka. Przestała dopiero, gdy druga część oddziału, z karabinami gotowymi do strzału, wtargnęła na scenę od kulis, a dowódca wymierzył lufę w kierunku dyrygenta. Wir tańczących pośrodku sceny zamarł w bezruchu. W teatrze zapadła martwa cisza. Od strony kulis jakiś cywil wskazał palcem jednego z krakowiaków. Romek, który trzymając się pod boki, zastygł w tanecznej pozie, powoli uniół ręce do góry. Widownia wydała z siebie zbiorowy jęk zdumienia, a pozostali tancerze, cofając się, rozeszli się powoli na boki. Romek, nie opuszczając rąk, powoli zdjął z głowy czapkę z pawim piórem i potrząsnął buńczucznie bujną blond czupryną, jakby chciał powiedzieć: bierzcie mnie, jestem gotowy.

W MUBP na Krasińskiego „Itę” bili dalej, a ona płakała i szlochała, ale na próżno. Dopiero nad ranem ten, co ją bił, zmęczył się i do akcji przystąpił jego kompan. Kazał jej podnieść nogi, zdjął jej pantofle i zaczął walić w pięty. I znowu płacze i szlochy na nic się nie zdały, ale tym razem ból był absolutnie nie do zniesienia. „Ita” postanowiła odegrać zemdlenie. Była wszak początkującą, ale zawsze aktorką. Skupiła się z całej siły na tym, żeby rozluźnić wszystkie mięśnie, ale skurczonej z bólu nie przychodziło jej to łatwo, tym bardziej że wciąż sypały się na nią razy. Wreszcie zwiotczała i znalazła się na podłodze. Z zamkniętymi oczami nasłuchiwała, jak jej oprawcy się naradzają. Chyba też już mieli dosyć, bo wylali na nią wiadro wody i kazali odnieść na dół do celi.

Jakieś kobiety podniosły ją tam z podłogi i położyły na brzuchu na pryczy. Były to głównie bielszczanki, które za okupacji podpisały volkslistę.

– A ciebie za co zamknęli? –zapytała ją ta, która zrobiła jej miejsce na swojej pryczy.

– Ja nie wiem za co – wyszeptała „Ita” wyschniętymi wargami.

Tamta przyłożyła jej do ust kubek z wodą. „Ita” piła łapczywie.

– Jasne, że nie wiesz za co – pokiwała głową kobieta. – Jestem „Truda”, a ty? „Ita” wyszeptała swoje imię i zboląła zaczęła się gramolić z pryczy. „Truda” przytrzymała ją delikatnie.

– Dokąd? Lepiej chwilę odpocznij, bo zaraz będzie pobudka. No połów się...

„Ita” nie mogła z bólu leżeć. Wbrew naleganiom „Trudy” usiadła na brzegu pryczy i ledwie znalazła względnie wygodną pozycję, a już towarzyszki niedoli zaczęły ją szturchać, żeby wstała. Pobudka.

W oparach więziennego smrodu „Ita” słuchała niepojętego dla niej rytuału meldowania przez „Trudę” stanu więźniarek celi dwudziestej dziewiątej oddziałowemu. Po służbistych okrzykach „Trudy” i wszystkich tych „obywatelu oddziałowy”, „baczność” i „spocznij” zadzwoniły bańki z poranną lurą, czyli więzienną kawą. Przeżuwając czerstwy kawałek więziennego chleba, skulona wciąż na brzegu pryczy „Ita” myślała z przerażeniem o tym, co z nią będzie dalej. Ale chociaż zmaltretowana, nie wyglądała na przerażoną. Jej okupacyjne przeżycia, a zwłaszcza powstanie, zahartowały ją. Nawet jeżeli się bała śledztwa, bicia i więzienia, to była zbyt dumna, żeby to po sobie pokazać.

Z życiorysu Kazimierza Farbera, 1946 r.[22]

NIEDOSZŁA OFIARA ZAMACHU GRUPY „PRAWEGO”, Kazimierz Farber, został później dla własnego bezpieczeństwa przeniesiony do Warszawy, a wkrótce potem podjął pracę w Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie. Hance obito się kiedyś o uszy, że później emigrował do Izraela.

W swoim odręcznym życiorysie, zachowanym w archiwach IPN, Farber pisze:

„Ukończyłem szkołę powszechną i średnią w Bielsku, a wyniki działań wojennych przeszkodziły mi w ukończeniu studiów wyższych. W roku 1939 z rozpoczęciem działań wojennych wyjechałem do Warszawy i tu do roku 1942 udzielałem korepetycji. W roku 1942 za sprawę pochodzenia zostałem osadzony w obozie (Warszawa Zachodnia), a w roku 1943 przewieziony do więzienia na Pawiaku w Warszawie, gdzie przesiedziałem do roku 1944. W 7 dniu Powstania Warszawskiego zostałem odbity przez powstańców. Po wzięciu udziału przez 8 tygodni w walce w Powstaniu Warszawskim, przedarłem się przez linię frontu, przepływając Wisłę z Warszawy na Warszawę Praga. Z Pragi udałem się do Lublina, gdzie pracowałem w Ministerstwie Informacji i Propagandy. Od stycznia 1945 roku byłem korespondentem a zarazem kierownikiem działu Śląska Cieszyńskiego Polskiej Agencji Prasowej w Bielsku”.

Więzienie w Bielsku, Słowackiego 15

OLEK MĄKA Z KANCELARII BIELSKIEGO WIĘZIENIA zjadł na obiad grochówkę, a po obiedzie wziął „Itę” w obroty, pytając ją prosto z mostu o to, czym się zajmował jej ojciec. Podchorąży Badylak tym razem tylko się przysłuchiwał, a Mąka nie tylko prowadził przesłuchanie, ale też je protokołował, bo Badylak pisał niewyraźnie i powoli. Niby to zwalniając, by Mąka nadążył z protokołowaniem, „Ita” jak zwykle kluczyła jak mogła. Siedziała już prawie dwa tygodnie, więc miała mnóstwo czasu, żeby przygotować się do nieuniknionego pytania o ojca. Bo zamach na Wenera to była pestka, najcięższą „winą” „Ity” było jej pochodzenie, to, czyją była córką. I dobrze sobie z tego zdawała sprawę. Próbując nie gapić się na ślady po grochówce w kąciku ust referenta Mąki, najpierw opowiedziała mu ze szczegółami całą przedwojenną wędrówkę jej ojca z placówki na placówkę: Lublin, Wilno, Lwów, Kraków... Ale nie, Kraków pominęła. Nie była taka głupia. Przecież w Krakowie od kul policji zginęli robotnicy, a ci, co ją przesłuchiwali, do inteligencji raczej nie należeli. Kluczyła tak długo jak mogła, aż wreszcie, chcąc nie chcąc, dociągnęła historię do zabójstwa ojca.

– W jakich okolicznościach został zamordowany, przez kogo, kiedy i jak? – zapytał Mąka.

„Ita” opowiedziała, jak trzech nieznajomi zapukali do drzwi ich warszawskiego mieszkania, mówiąc, że są z policji, i jak wtargnęli do środka z bronią w rękę, ale nie zastali ojca.

– Aha – pokiwał głową Mąka i wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Badylakiem – więc tak to było!

„Ita” nie zrozumiała ich spojrzeń. Nie widziała żadnej analogii pomiędzy tym, co się wydarzyło przed dwoma laty na klatce schodowej na Żoliborzu i przed dwoma tygodniami na klatce schodowej w Bielsku. Na pytanie, kim byli sprawcy, skłamała, że wraz z matką podejrzewały Gestapo.

Mąka pisał dosyć szybko. Chyba się spieszył, bo po godzinie było już po wszystkim. „Ita” potulnie podpisała protokół. Zauważyła, że Mąka miał całkiem ładny charakter pisma.

To było jej ostatnie przesłuchanie w Bielsku. Wkrótce oskarżyli ją formalnie o wstąpienie do organizacji terrorystycznej AK, w roli wywiadowcy, o to, że przeprowadziła wywiad i wzięła udział w zamachu na Wenera, a także o to, że składając fałszywe zeznania, nie pomogła władzom zapobiec kolejnemu, już udanemu zamachowi i zabiciu przez bandę „Prawego”, działaczki ZMP Janiny Drewniakówny, zabitej nazajutrz po nieudanym zamachu na Wenera, koło jej domu w Bielsku, pojedynczym strzałem w tył głowy.

Wobec odczytującego jej zarzuty Olka Mąki „Ita” do wszystkiego się przyznała.

Kaci dzielą cele z ofiarami

W WIĘZIENIU HANKA ZETKNEŁA SIĘ Z PEWNĄ MŁODĄ BOJOWNICZKĄ akowskiego podziemia, której matka, także żołnierz AK, podczas okupacji trafiła do Oświęcimia, a po wojnie siedziała w jednej celi z SS-mankami, swoimi oprawczyniami z tego obozu. Takie rzeczy były na porządku dziennym.

Jak już wspomniałem wcześniej, kiedy Władysław Bartoszewski w swoich *1859 dniach Warszawy* umieścił pułkownika Reszczyńskiego w indeksie osobowym „funkcjonariuszy aparatu przemocy”, tym, który przekonał go do zmiany tej klasyfikacji w drugim wydaniu książki, był Kazimierz Moczarski. Moczarski był związany z wywiadem AK, dobrze znał sprawę Reszczyńskiego i napisał do Bartoszewskiego, że pułkownik nie tylko nie był zbrodniarzem, ale wręcz przeciwnie – pracował dla kontrwywiadu AK.

Osobiście z nazwiskiem Moczarskiego zetknąłem się po raz pierwszy jako nastolatek, kiedy w latach siedemdziesiątych wrocławski miesięcznik „Odra” zaczął publikować w odcinkach jego *Rozmowy z katem*, czyli Juergenem Stroopem, katem getta warszawskiego, z którym w jednej celi posadzili go, żołnierza AK, komuniści. Tej premierze *Rozmów z katem* w „Odrze” towarzyszyła lekka atmosfera sensacji, bo do czasów Gierka taka publikacja byłaby absolutnie nie do pomyślenia.

Ale za Gierka, oficjalny stosunek do AK i powstania warszawskiego uległ zmianie. Dobra znajoma naszej rodziny jako pięćdziesięciolatka była w postaniu łączniczką. Jako dziewięćdziesięciolatka opowiadała mi, jak z dzwonnicy na Starym Mieście widziała przez lornetkę krasnoarmiejców opalających się na praskim brzegu Wisły. Ale swoją powstańczą przeszłością za głośno się nie chwaliła. Wraz z mężem prowadziła sklep z piórami na ówczesnej ulicy Świerczewskiego we Wrocławiu. Jako tak zwana prywatna inicjatywa miała dosyć kłopotów.

W połowie gierkowskiej dekady do naszej znajomej przyszła delegacja pod krawatami i z medalem powstańczym dla niej. Dumna ta kobieta nawet nie wpuściła oficjeli do mieszkania, tylko posłała ich do diabła razem z tym medalem, mówiąc, że nie po to tyle lat musiała ukrywać przed władzami fakt, że była w powstaniu, aby dziś przyjmować od nich odznaczenia. Ale najbardziej nam zaimponowała tym, że na nieśmiałą uwagę, że chyba się jej nie przelewa, i wzmiankę o tym, że jako weteranka mogłaby liczyć na zasiłek, powiedziała im, że się bez niego obejdzie, bo nie uważa Polski za dojną krowę.

Ale zanim Gierek zaczął odbudowywać Zamek Królewski w Warszawie i rozdawać medale za powstanie, coś takiego jak *Rozmowy z katem* mogło się ukazać jedynie w renomowanej, ale jednak prowincjonalnej „Odrze”, obok wierszy Różewicza i Urszuli Koziół i artykułów o Teatrze Laboratorium Jerzego Grotowskiego. W ten sposób jako młody entuzjasta poezji, przez Różewicza, którym bardziej się wtedy interesowałem, odkryłem Moczarskiego i fakt, że komuniści z premedytacją sadzali bohaterów akowskiego ruchu oporu razem z hitlerowskimi oprawcami. Historia Moczarskiego i Stroopa była jednym z najjaskrawszych przykładów powszechnej w latach powojennych praktyki. Z czasem zresztą, w ramach stalinowskich czystek i ofensywy przeciwko „gomułkowszczyźnie”, bezpieka zaczęła wsadzać do więzień również „swoich” bohaterów komunistycznego ruchu oporu, często gęsto odsiadujących swoje wyroki w tych samych co hitlerowscy zbrodniarze więzieniach.

Proces w kinie Zorza

„GRUBER” ZMIERZAŁ DO KINA, którego wysoki budynek widoczny był z daleka. Wzniesiony przed wojną jako Dom Powstańca, przetrwał ciężkie walki w 1939 i wciąż nosił ich ślady. Nad strzeżonym przez uzbrojonych żołnierzy wejściem zwisała groźnie wyglądająca uszkodzona betonowa konstrukcja. W gablocie w szatni uwagę „Grubera” zwróciły fotosy młodzieńców w szkolnych mundurkach, takich samych jak ten, który on sam nosił przed wojną. Kiedy kino nie było sądem, wyświetlali tu przedwojenny film *Młody las*. Ale dziś był tu surowy, wojskowy sąd. Z perspektywy kinowego balkonu „Gruber” miał doskonały widok na salę. Umundurowani sędziowie i prokuratorzy siedzieli na scenie, oskarżeni pod strażą w pierwszym rzędzie, a kilka rzędów dalej publiczność. „Gruber” niestety się spóźnił, bo „Ita” już wracała na miejsce po złożeniu zeznań. Usiłował nawet do niej pomachać, ale oślepiąca reflektorami nie miała szans go widzieć, a przy tym i tak wypatrywała siedzącej na parterze matki. Za to stojący na balkonie żołnierz spojrzał na machającego „Grubera” tak groźnie, że ten tylko się skulił i usiadł, gdzie popadło. Usiadłszy, natychmiast zresztą podskoczył z wrażenia, bo z głośników dobiegło go jego własne nazwisko. Padło ono z ust wojskowego sędziego i odnosiło się oczywiście do „Ity”...

– Zeznawała córka służalca *gitlierowskiego*, Reszczyńska – wycedził sędzia do mikrofonu z silnym rosyjskim akcentem i z taką pogardą, że tylko co doprowadzona na swoje miejsce w rzędzie oskarżonych „Ita” nie wytrzymała i zerwała się na równe nogi:

– Protestuję, protestuję! – krzyczała.

Sala zamarła. Żołnierze podbiegli do niej i usiłowali posadzić na miejsce.

– *Sjadać, sjadać!* – krzychał do mikrofonu sędzia.

„Gruber” wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć szamotaninę.

Wreszcie strażnicy dosłownie wgnietli dziewczynę w drewniany kinowy fotel i odmaszerowali na swoje pozycje na obu końcach pierwszego rzędu.

Nieco później w trakcie procesu w kinie Zorza, kiedy sala nieco już ochłonęła, ten sam sędzia, pułkownik o polskim imieniu i nazwisku Stefan Piekarski, zaczął krzyczeć z tym swoim rosyjskim akcentem i składnią na oskarżonego Horodyskiego:

– *Wyscje* przeciwko Polski walczyli, a?

– Nigdy nie walczyłem przeciwko Polsce – hardo odpowiedział mu Horodyski, rozmyślnie stawiając nacisk na poprawną formę.

Piekarski pojął aluzję do swojej zruszczonej polszczyzny. Pokiwał z politowaniem głową i pogroził mu palcem:

– *Nu* tak, Horodyski! *Wyscje* już na *sjebie* wyrok wydali!

„Gruberowi”, który nawet w najbardziej dramatycznych okolicznościach lubił sobie pofilozofować, akcent Piekarskiego przypomniał, wypisz wymaluj, akcent carskiego rusyfikatora polskiej młodzieży, profesora Pakotina, postaci z filmu *Młody las*, który jak na ironię wyświetlano w kinie Zorza, kiedy nie wykorzystywano go jako sali sądowej...

Moment ogłoszenia wyroku Hanki

– OJCIEC NIE PALIŁ, więc kiedy dostał w prezencie od znajomego tę srebrną papierośnicę w kształcie podkowy, to podarował ją mamie, a ona wprawiła w nią lusterko i używała jako puderniczki – mówi Hanka, pokazując mi papierośnicę-puderniczkę z emaliowanym obrazkiem siwego i karego konia na wieczku.

Kiedy ją podziwiam, Hanka oświadcza, że dostanę tę papierośnicę w spadku po niej! Zmieniam więc temat. Wracamy do katowickiego procesu w kinie Zorza. Ja wracam za kamerę, a Hanka wznowia swoją opowieść.

– Ponieważ ja przeżyłam okupację niemiecką... widziałam rozmaite tragiczne wypadki, które się działy na terenie Warszawy, przeżyłam powstanie... widziałam wszystkie makabry, które się działy, to byłam do pewnego stopnia zahartowana. Poza tym byłam za bardzo dumna, żeby okazać jakiś lęk, czy jakąś słabość, więc tylko zaciskałam zęby... Ale matka moja ratowała mnie w sposób cudowny, ponieważ była na tym procesie i była na sali jako widz. Oczywiście nie pozwolili mi się zetknąć z matką, ale wiedziałam, że tam jest.

W ostatnim dniu procesu głos zabrali prokuratorzy. Krótco i konkretnie kapitan Wojtasiewicz, a po nim długo i z politycznym zacięciem prokurator Holder.

Jego mowa przytoczona w całości przez katowicką „Trybunę Robotniczą” wyraźnie ukazuje, że Hanka zasiada na ławie oskarżonych niejako ramię w ramię ze swoim zamordowanym ojcem. Jest to jakby i jego proces.

Holder zaczyna od tego, że to dopiero powstała w 1942 roku PPR wysunęła hasło „walki bezzwłocznej” z okupantem, podczas gdy formacje „sanacyjne” preferowały „stanie z bronią u nogi”.

Wojskowy prokurator twierdzi, że w reakcji wezwania PPR do broni AK i NSZ stają do walki... nie z okupantem, a właśnie z lewicą:

„...ludzie Sosnkowskiego, Bora [Komorowskiego] i NSZ rozpoczynają swoją pracę – peroruje Holder. – Rozpoczynają od propagandy! PPR nazywają agentem

Moskwy, a czyny Gwardii Ludowej niepoczytalnymi i niezdrowymi”.

Sala milczy w napięciu. Diapazon mowy prokuratorskiej nie wróży oskarżonym nic dobrego. Prosto w twarz córki zamordowanego komendanta Holder rzuca szokującą kalumnię. Twierdzi, że ludzie „Sosnkowskiego, Bora i NSZ” zamiast Niemców prowadzili bratobójczą walkę z Armią Ludową.

Jako uczestniczce powstania Hance dostaje się też od Holdera za to, że według niego powstańcy przeciwko okupantowi wystąpili dopiero wtedy, gdy Warszawa właśnie „miała być wzięta manewrem oskrzydającym [przez Armię Czerwoną]” i tylko po to, aby „wziąć w rękę władzę”.

I wreszcie, w kulminacyjnym momencie prokuratorskiego wystąpienia, następuje pełna bezwstydną demonizacja, nie „Prawego”, nie tych, którzy strzelali do Drewniakówny i Farbera, ale właśnie najmłodszej oskarżonej, Hanksi:

„Wysoki sędzi! Przeżywamy teraz poważny kryzys reakcji. Wybito jej z rąk wszystkie atuty, którymi wszystkich chciała mieć. Mówili: będą kołchozy. Sowietyzacja. Zbolszewizowanie. Komunizm. Dziś każdy widzi, że były to strachy na lachy. Ale reakcja w swojej wywrotowej robocie nie przebiera w środkach. Symbolem tego jest Reszczyńska – symbol zła i występku politycznego. Ojciec – nadkomisarz hitlerowskiej granatowej policji w Warszawie. A córka? Walczy w Bielsku »o Polskę!«”.

Po tej mowie nie było dla nikogo zaskoczeniem, że Holder zażądał dla sześciorga oskarżonych kary śmierci. Nie wymieniał ich jednak w porządku alfabetycznym, więc wszyscy przez cały czas siedzieli jak na szpilkach.

Po Habasie, Zemanie, Wadoniu i Horodyskim, a przed Grzywą, jako przedostatnią wymienił... Reszczyńską.

Po siedemdziesięciu latach Hanka wspomina:

– Jak usłyszałam, że kara śmierci, to trochę mi się zrobiło miękko w okolicy żołądka i obejrzałam się na salę... I zobaczyłam mamę, która była tak opanowana...

Po raz pierwszy i ostatni podczas trzech bitych dni naszych rozmów o tamtych czasach oczy Hani wypełniają się łzami. Macha ręką w kierunku kamery:

– Wyłącz to!

Robimy przerwę.

Chociaż zapis wideo ma być jedynie suchą dokumentacją, a nie filmem, to żeby dać Hani czas na przyjście do siebie, kręcę tymczasem kilka zbliżeń srebrnej puderniczki z koźmi na wieczku – karym i siwym.

Po przerwie Hania, niczym prawdziwy zawodowiec, którym wszak jest, nalega na dubla. Wracamy do momentu, w którym prokurator żąda dla niej kary śmierci, a ona odwraca się ku matce:

– Moja mama była tak opanowana... zrobiła tylko taki gest... Uśmiechnęła się i zrobiła taki gest, nic to! Po czym podniosła tę puderniczkę, otworzyła ją i zaczęła sobie pudrować nos.

Nazajutrz po mowie Holdera zapadają trzy wyroki śmierci. W dwa lata po zamordowaniu jej ojca przez Gwardię Ludową Hanka jako niepełnoletnia unika rozstrzelania, ale zostaje skazana na dziesięć lat więzienia.

Kraków, ul. Świętego Jana

DOPIERO PRZED DZIESIĄTĄ RANO słońce zaczęło się nieśmiało przebijać przez stalowe chmury nad Krakowem. Grudniowy dzień był ciemny i mroźny, ale bezśnieżny. Prosto ze stacji Marta spieszyła śliskimi chodnikami w stronę ulicy Świętego Jana. Zanim dotarła na miejsce, to zdążyła już na wskroś przemarznąć. Na szczęście w rogu salonu sztuki Wojciechowskiego w kaflowym piecu głośno buzował ogień. Z zaplecza wyszedł mężczyzna, który wyglądał na właściciela, i krzątając się w głębi galerii, obserwował Martę ukradkiem, a ona udawała, że ogląda wystawione płótna, i czekała...

Choć tyle ją z Krakowem wiązało, to nie było jej zupełnie do wspomnień. Nie mogła nawet wiedzieć, że przed laty to właśnie na Świętego Jana rozegrał się znamieny epizod wypadków krakowskich, które w konsekwencji wyгнаły ich z Olkiem i „Itą” do Poznania.

Około południa, 26 marca 1936 roku, uzbrojony tajniak zatrzymał na ulicy przywódców robotniczych z Drobnerem i Ciołkoszową. Po licznych perypetiach policja doprowadziła ich przed oblicze wojewody Świtalskiego, na którego prośbę Drobner miał przemówić do demonstrantów, żeby zapobiec dalszemu rozlewowi krwi. Ale ci i tak już się rozchodzili. Dalszych ofiar rzeczywiście nie było.

Na swoim procesie w 1938 roku Drobner twierdził, że właśnie na ulicy Świętego Jana tajniak przyłożył mu lufę pistoletu do głowy. Ale o Drobnerze Marta wiedziała tylko tyle, że kiedy sąd wezwał Olka na jego proces do Krakowa w charakterze świadka, to ten nie mógł pojechać, bo dostał właśnie ostrej anginy, a adres, Świętego Jana 3, pod który poleciła jej się udać Solska, nic jej nie mówił.

Ten, na kogo czekała, stanął w drzwiach galerii równo kwadrans po dziesiątej. Nawet pod światło nie mogła mieć żadnych wątpliwości, że to był Mistrz we własnej osobie. Właściciel podbiegł doń truchcikiem, z atencją pomógł zdjąć

palto, posadził w fotelu i poleciał po czekającą już na gościa świeżo zaparzoną herbatę.

Dopiero teraz Mistrz zauważył Martę, a ona onieśmielona wykonała coś w rodzaju dygnięcia, jak pensjonarka, którą była wtedy, kiedy on dobijał już siedemdziesiątki. Ba, Marta urodziła się dopiero w rok po tym, jak Wyspiański uwiecznił Mistrza na płótnie, w niemej roli Starego Wiarusa w *Warszawiance*. Wywodzący się ze szczególnie długowiecznej rodziny, Mistrz był w świetnej formie. Ujrawszy ją w rogu galerii z listem w wyciągniętej ręce, skinął, by doń podeszła.

Kazimierz Wojciechowski, krewny wielkiego aktora i właściciel salonu, wrócił z gorącą herbatą. Mistrz pewną ręką sownie ją sobie posłodził, zamieszał srebrną łyżeczką i zwrócił się do Marty:

– Pani do mnie, moje dziecko?

Marta przedstawiła się i podała mu list. Mistrz otworzył kopertę, poprawił na nosie binokle i podniósł list ku światłu zza okna:

– „Pani Matuchno najmiłsza... – zaczął czytać tym swoim głosem, od którego nawet w takiej chwili pod Martą ugięły się nogi – ...byłam w Warszawie, stąd opóźnienie w odpowiedzi; proszę niech Pani idzie w Krakowie na ulicy Świętego Jana 3 – Salon Sztuki – Kazimierza Wojciechowskiego...”.

Marta chrząknęła cicho.

– Z drugiej strony... Mistrzu... – powiedziała nieśmiało i wykonała gest odwracania listu.

Starzec odwrócił kartkę.

– „Drogi Ojczy i Dyrektorze, oddawczyni tego listu, bardzo świetna nasza poetka...” – odczytał na głos, spojrzął na Martę, pokiwał głową i kontynuował już bezgłośnie.

W liście jego była, druga z trzech żon, prosiła go o wysłuchanie prośby oddawczyni w sprawie jej uwięzionej córki. Marta poprosiła Solską o protekcję, bo tak jej adwokatowi poradził życzliwy urzędnik z kancelarii Bieruta, po niepowodzeniu pierwszej prośby do prezydenta o ułaskawienie „Ity”. Może głos wybitnego artysty pomoże – brzmiała sugestia. Marta już sama dawno wpadła na ten pomysł. Jeszcze rok temu napisała do Juliusza Osterwy, z którym poznali się za komendantury Olka w Wilnie. Osterwa odpisał, że oczywiście ją pamięta i że o losie jej córki od Solskiej słyszał, niemniej czuje się bezsilny. Bezsilny czy nie – Marta czytała potem w gazecie, że Bierut zaszczycił swą obecnością występ Osterwy w *Lilli Wenedzie* i że w dowód uznania posłał mu bukiet kwiatów, ale dalej się nie narzucała. Zamiast tego wyłuszczyła sprawę w błagalnym liście do Ireny Solskiej, z prośbą o protekcję u wielkiego Ludwika, do którego nowa władza także odnosiła się z wielką atencją, a ten chętnie przyjmował jej hołdy.

Dochodziło południe, zanim Marta zdążyła opowiedzieć Solskiemu całą tragiczną historię córki, której wysłuchał, nie przerywając, kiwając tylko ze współczuciem głową. Raz czy dwa zebrało jej się na łzy, a starzec uspokajająco pogłaskał ją po dłoni. Na koniec skinął na Wojciechowskiego, nałożył z jego pomocą płaszcz i ucałowawszy szarmancko dłoń Marty, polecił jej być dobrej myśli. Po czym pożegnał się i opuścił salon.

Więzienie i prośby o ułaskawienie

W SWOICH WSPOMNIENIACH *KAPRYSY LOSU*[23], Hania przejmująco i drobiazgowo opisuje swoją odsiadkę w katowickim więzieniu przy Mikołowskiej, gdzie przychodzi jej „obchodzić” osiemnaste urodziny, a niedługo po nich słyszeć z więziennego dziedzińca trzy salwy plutonu egzekucyjnego – rozstrzelanie jej towarzyszy z grupy „Prawego”.

Hanka w więzieniu pracowała. Matka regularnie przyjeżdżała z Bytomia na widzenia i opowiadała o swojej walce na rzecz jej ułaskawienia. Ale Hanka buńczucznie wierzyła, że da radę nawet te niewyobrażalnie długie dziesięć lat odsiedzieć. Wdrażała się w więzienną rutynę, uczyła komu ze współwięźniarek i klawiszy ufać, a od kogo trzymać się z daleka. Dni i noce, miesiące i pory roku mijały.

Wszyscy skazani w kinie Zorza na wyroki więzienia wraz z rodzinami zasypywali kancelarię prezydenta Bieruta prośbami o ułaskawienie. Ponieważ skazani byli przez sąd wojskowy (śląskiego okręgu wojskowego) prośby o ułaskawienie opiniuje prokurator wojskowy – wszystkie, konsekwentnie, negatywnie.

Rodziny wtórują swym dzieciom, piszą do Bieruta o ich trudnych wojennych dzieciństwach, wywózkach na roboty, utracie bliskich, o tym, że w nich pokładają całą nadzieję na spokojną starość. Apelują do uczuć.

„Miej litość nade mną, złamaną staruszką, Obywatelu Prezydencie, a za łaską jaką udzielisz mojemu synowi, będę Ci wdzięczna do grobowej deski” – pisze do Bieruta matka Jana Wadonia[24].

W załączonej do prośby matki o ułaskawienie, w opinii o więźniu Wadoni, naczelnik kryminału przy Mikołowskiej pisze sceptycznie, że sprawuje się on zaledwie „dostatecznie” i że, choć „chętny do prac i okazuje skrucę i żal za popełnione czyny”, to naczelnik nie gwarantuje, „czy przy ewentualnym uwolnieniu nie powróci na drogę występku”...

Prokurator wojskowy, major Winawer, ze swej strony opiniuje, że prośba Wadonia nie zasługuje na uwzględnienie. Identyczny wyrok, dziesięć lat więzienia, odsiada Hanka.

Jej matka pisze pierwszą prośbę do Bieruta o ułaskawienie córki na wiosnę, a drugą jesienią 1946 roku.

Opinia skazanej z więzienia jest wzorowa: „wobec funkcjonariuszy odnosi się inteligentnie (sic!) i dodatnio wpływa na otoczenie”.

Gorzej z jej zdrowiem; lekarz więzienny, doktor Kaczyński, stwierdza „prawostronną gruźlicę czynną górnego płata prawego płuca” i ostrzega, że dłuższy pobyt w więzieniu może „poważnie zagrozić życiu więźniarki”.

O kiepskim zdrowiu Hanki jej matka pisze do Bieruta, że straszne warunki okupacji odbiły się na nim w postaci „silnych zaburzeń nerwowych objawiających się płasawicą, lunatyzmem i niedomogą tarczycy”. Pisze dalej o jej udziale w powstaniu, o zdolnościach artystycznych i o tym, jak została „wplątana” w działalność grupy „Prawego”.

O sprawie Farbera pisze, że „córka została zaskoczona, nie miała czasu na jej przemyślenie i organizatorzy zamachu wykorzystali jej niedoświadczenie życiowe powiązane z patriotyzmem, egzaltacją i naiwnością dziecięcą”...

Tymczasem równoległa z apelami do Bieruta prośba Wadonia, Hanki i dalszych czworga skazanych o ułaskawienie przez okręgowy sąd wojskowy, który ich skazał, kończy się niepowodzeniem. Pod koniec listopada 1946 roku sędzieja Piekarski, ten, którego rosyjski akcent tak utkwiał Hance w pamięci, zawiadamia rodzinę, że jej prośba o ułaskawienie „pozostawioną została bez dalszego biegu”.

Symboliczny szczegół: decyzja w tej sprawie z niejawnego posiedzenia sądu wojskowego zachowana w archiwach, napisana jest na maszynie czerwoną czcionką, która nawet po sześćdziesięciu latach w archiwach nie utraciła swojego jasnokrwistego odcienia.

Ze swej strony Hanka pisze do Bieruta, że jedynym usprawiedliwieniem jej czynu jest to, że miała wówczas „zaledwie 17 lat” i „zaślepią miłością do Horodyskiego, uległa jego namowom i została sprowadzona na manowce”.

Horodyski, utalentowany tenor z *Krakowiaków i Górali* rzeczywiście się Hance podobał, ale nie tak, jak podobał jej się prowadzący grupę, „Prawy” – jednak prawda w tej kwestii raczej nie zyskałaby Hance przychylności Bieruta.

Katowice, ul. Mikołowska

WCZESNYM ZIMOWYM PORANKIEM CZARNY CITRÖEN PRZEJECHAŁ powoli wzdłuż muru z czerwonej cegły i zatrzymał się nieopodal wielkiej więziennej bramy. Mężczyzna na tylnym siedzeniu przetarł zamarzającą szybę i rozejrzał się wkoło. Byli za wcześnie. Zaoferował kierowcy papierosa. Ten podziękował wylewnie i uniżenie podał pryncypałowi ogień. Zaciągnęli się obaj. Wnętrze samochodu wypełnił papierosowy dym. Mężczyzna z tylnego siedzenia odkręcał właśnie szybę, kiedy klucz zazgrzytał w zamku drzwi więziennej bramy. Niespiesznie wysiadł z samochodu i wygładził zimowe palto. Zdjął, a potem ponownie nałożył na głowę kapelusz. Miał po pięćdziesiątce i był kimś ważnym, ale wyraźnie była to dla niego sytuacja niezwykła.

Kilka minut po dziewiątej „Ita” wyszła z więzienia. Ujrzała czarną limuzynę. Była dokładnie taka sama, jak ta, którą przyjechali ją aresztować. Zawahała się. Plebejczyka znała tylko z relacji mamy, która poznała go, kiedy „Ita” już siedziała. Pomagał jej, podtrzymywał na duchu i starał się o jej uwolnienie. No i była wolna.

Podeszła do niego i przedstawiła się, ni to kłaniając się, ni to dygając, a on w odpowiedzi szarmancko pocałował ją w rękawiczkę.

– Plebejczyk!

Odruchowo cofnęła rękę.

Plebejczyk otworzył przed nią drzwiczki citröena, a kiedy onieśmielona wsiadła, sam zajął miejsce z przodu. Wóz ruszył i zawrócił w stronę Bytomia.

Mama poznała go na przystanku tramwajowym. Zagadał do niej – był przystojnym, postawnym mężczyzną, ładnie mówił. Od słowa do słowa – zaprzyjaźnili się. Był działaczem. Dawał do zrozumienia, że może pomóc w sprawie „Ity”. Może pomógł. Mogli przecież na Mikołowskiej traktować ją z większą brutalnością, mogli reglamentować widzenia z matką, konfiskować zawartość przesyłek... Może to Plebejczyk pomógł.

Ale w ostatecznym rachunku ułaskawił „Itę” Bierut.

Zaledwie dwa tygodnie wcześniej dobrą nowinę zasygnalizował telegram. Kiedy listonosz Dorosz zadzwonił do drzwi mieszkania przy Fałata, to sam był ciekaw, co zawiera przesyłka. Telegram, jak to telegram – albo się ktoś narodził, albo umarł. Dorosz znał sytuację z „Itą”. Nosił na Fałata całe tuziny urzędowych odpowiedzi z Warszawy, ale telegram był z Krakowa... Jak to zwykle bywa w takich wypadkach, matka „Ity” nie czekała z jego otwarciem. Podczas gdy jej matka wysuptywała napiwek dla Dorosza, ona sama drżącymi rękoma rozłożyła depeszę.

– „Córka będzie ułaskawiona... – przeczytała na głos i po pauzie – ... Osterwa”.

A jednak Osterwa! Ten Osterwa, który tak się zarzekał, że nie ma wpływów żadnych.

Po pół godzinie przybyli na miejsce. „Ita” po raz pierwszy była na Fałata. Plebejczyk odprowadził ją pod same drzwi mieszkania na pierwszym piętrze, ale wejść nie chciał. Mama „Ity” była w pracy. Babcia na widok wnuczki zalała się łzami szczęścia. Zignorowany Plebejczyk bez pożegnania zbiegł schodami.

Kariera i upadek prokuratora Szpądrowskiego

DWUDZIESTEGO STYCZNIA 1947 ROKU, obdarzony silnym rosyjskim akcentem pułkownik Piekarski, szef Wojskowego Sądu Okręgowego we Wrocławiu i sędzia, który skazał Hanę, otrzymuje z Warszawy trzy tomy akt i pismo przewodnie.

Prezydent Krajowej Rady Narodowej – czytamy w piśmie – skorzystał 10 stycznia 1947 roku z prawa łaski i ułaskawił „Reszczyńską Annę vel Hanę”, zawieszając „nieodcierpianą część kary” na trzy lata.

Szef Wydziału Karnego Departamentu Służby Sprawiedliwości MON, podpułkownik Szpądrowski, prosi w piśmie o „niezwłoczne przekazanie decyzji do wykonania” i powiadomienie go o dniu zwolnienia Reszczyńskiej z więzienia.

Historia i dalsze losy podpułkownika Szpądrowskiego to materiał na osobną książkę. Przedwojenny prokurator, absolwent wileńskiego Uniwersytetu im. Jana Batorego, odegrał zbrodniczą rolę jako oskarżyciel w szeregu powojennych procesów pokazowych. Z racji pełnionej funkcji za każdym razem, gdy Bierut „nie skorzystał z prawa łaski”, Szpądrowski nadzorował egzekucje na Rakowieckiej.

Za każdym razem, czyli wielokrotnie.

Aż wreszcie „ponieśli i wilka”. Były „sanacyjny” prokurator aż za dobrze pasował do nowego, kolejnego już za rządów Bieruta profilu wroga we własnych szeregach. Wystarczył donos kolegów – wojskowych prokuratorów. Aresztowany w styczniu 1949 roku, w maju podpułkownik Szpądrowski został skazany na karę śmierci za szpiegostwo.

Jak na ironię Bierut skorzystał tym razem z prawa łaski i zamienił karę śmierci na dożywocie.

Łódź, ul. Sienkiewicza 21

ELLENBERG OPUSZCZAŁ SECESYJNE GMASZYSKO SĄDU z poczuciem zawodowej satysfakcji, o tyle jak na prokuratora nietypowej, że wyrok, który właśnie zapadł, był w sumie na jego niekorzyść, o jedną trzecią niższy od tego, którego się domagał. Ale to o taki właśnie lub jeszcze niższy wyrok przez cały czas mu chodziło!

Ellenberg miał z oskarżonym dawne, a nawet bardzo dawne porachunki, tak zagmatwane, że sam już się w nich zaczynał gubić. Po tylu latach szamotaniny któż się połapie, czy to on był jeszcze coś winien Austriakowi, czy też on jemu? Kto by się doliczył i zbilansował przewiny i przysługi? Przewiny, takie jak uwiedzenie Weissowej, i przysługi, takie jak tego dnia, kiedy Weiss podarował mu nowe życie, zabierając Ellenberga do Hotelu Polskiego. Kto by wówczas pomyślał, że z tej eskapady coś wyjdzie! A jednak Ellenberg umknął Hitlerowi spod łopaty. Minęło zaledwie kilka lat, a tu proszę: wciąż młody, przystojny, w eleganckim mundurze zbiegał sobie po dwa stopnie naraz kręconymi schodami sądu, beztroski, a jednak wojskowy prokurator, pan życia i śmierci.

W takim to nastroju Ellenberg wybiegł przed gmach i znalazł się na rogu Sienkiewicza i Moniuszki. Dzień był pogodny. Po trzech długich dniach spędzonych ciurkiem w zamkniętym pomieszczeniu łapczywie wystawił twarz do słońca. I wtedy zjawiała się ona. Zaszła go od południa i oślepiony nie od razu ją poznał, ale kiedy się do niego odezwała, tym swoim matowym, wcale nie arystokratycznym tembrem głosu, to nie miał żadnych wątpliwości.

To była ona. Hrabina!

– No cóż, towarzyszu prokuratorze! Spisaliście się na medal – zwróciła się do niego na obowiązującą modłę.

– Janina?

– Ja w sprawie honorarium – powiedziała i uniosła jego podbródek elegancko wymanikiurowanym paluszkiem.

Z sądu właśnie wychodzili jego koledzy wojskowi prokuratorzy i Ellenberg spanikował. Zaciągnął ja za róg gmachu. A ona, opacznie to interpretując, rzuciła mu się na szyję.

Skończyło się to wszystko tak, jak było do przewidzenia – w przedwojennym, hebanowym łożu, w jej apartamencie w Grandzie. Po drugim zbliżeniu, zaciągając się jego papierosem, Hrabina przyznała się kochankowi, że wróciła do Polski już dawno, a proces śledziła od samego początku, ale nie chciała się ujawniać ani jemu, ani Weissowi, bo nie była pewna wyniku.

– Jak to? Wynik był z góry przesądzony...

– A gdyby dostał stryczek?

– Wykluczone! Nawet taki dureń, jak nasz przewodniczący trybunału, nie dałby się nabrać temu mitomanowi Walczakowi. O karze śmierci nie mogło być mowy.

Ellenberg podał jej papierosa:

– Ale zakładając, że tak, że dostałby karę śmierci, czy wtedy też byś mu się nie pokazała?

Hrabina wypuściła z uszminekowanych na karminowo ust kłęb dymu.

– Ależ wtedy bym się ujawniła. Wtedy tak! Przecież musiałabym się z nim pożegnać...

– A tak, to nie? Nawet nie wie, biedak, że byłaś na sali!

– A tak byłoby mu tylko przykro. Mógłby sobie pomyśleć, że będę czekać w twoich ramionach, aż wyjdzie...

– A to by dopiero było...

Ellenberg, dumny jak paw ze wszystkich swoich osiągnięć tego dnia, wyciągnął się wygodnie na zburzonej pościeli i gładząc zaspokojoną kochankę jedną ręką, drugą gestykulował, delektując się przed nią swoją prawniczą zagrywką, która poskutkowała wyrokiem zaledwie siedmiu lat więzienia dla Weissa.

Tłumaczył hrabinie, jak to zażądawszy dlań początkowo surowej kary dziesięciu lat więzienia, zaczął się potem z rozmysłem płatać w swej własnej głównej tezie. A to twierdził, że Kripo, jako podporządkowane wraz z Gestapo i SS Policji Bezpieczeństwa, należało traktować na równi z tymi dwoma, a to, że wręcz przeciwnie. Cytował i przekręcał wyroki norymberskie i generalnie tak zmącił wodę, że wojskowy trybunał niemalże z ulgą dał Austriakowi znacznie lżejszy od „wymaganego” przez prokuratora wymiar kary.

Cały ten proces – tłumaczył hrabinie – niby hitlerowca, ale w istocie poczciwego austriackiego gliny, był dla wojskowego trybunału mile widzianą zmianą rutyny, polegającej już od dłuższego czasu na seryjnym skazywaniu akowców.

Wielka rola Juliusza Osterwy

CZTERY ZACHOWANE LISTY do i od Juliusza Osterwy i Ireny Solskiej Hanka przekazała do działu rękopisów Biblioteki Narodowej przy placu Krasińskich w Warszawie. Po długich miesiącach wizyt w nieprzyjemnym nawet architektonicznie sąsiednim IPN-ie i czytaniu donosów, paszkwili oraz wszelkich innych niechlubnych odpadków po stalinizmie przyjemnie było wpaść do pałacu obok, gdzie rzeczony rękopisy podał mi dystyngowany pan w bawełnianych rękawiczkach. Na tym jednak przyjemności się skończyły. Ze stonowanych listów matki uwięzionej Hanka była ewidentna niema rozpacz. Przyjęła w nich spokojny i godny ton, matki niewinnie skazanej – Bóg jedyny wie, ile to ją musiało kosztować. Swoją kampanię na rzecz uwolnienia córki rozpoczęła od zwrócenia się do poznanej bliżej tuż po wojnie w Zakopanem pierwszej żony matuzalema polskiej sceny, Ludwika Solskiego, Ireny. Prosiła ją o wstawiennictwo zarówno u niego, jak i u równie co on szanowanego przez władze komunistyczne Juliusza Osterwy. Z braku odpowiedzi Osterwy Marta pisze do niego spokojnie i bez patosu. Jego odpowiedź jest tyleż dramatyczna, co rozczarowująca:

„List Pani wstrząsnął mną”, pisze mistrz sceny. Pisze, że „wczuwa się” w jej położenie, i obiecuje pomoc „modlitwą”, albowiem swoje realne wpływy u władz opisuje ogródkowo jako mizerne.

Jak na ironię, to właśnie jego interwencja przekona ostatecznie Bieruta do ułaskawienia Hanka. Ale najpierw Marta skupia się na możliwości interwencji przez dziewięćdziesięcioletniego Solskiego, poprzez wstawiennictwo Ireny Solskiej, która Martę poleca byłemu mężowi.

Czy do spotkania w galerii obrazów przy Świętego Jana rzeczywiście doszło – tego do końca nie wiemy. Hanka w więzieniu, nic o nim nie słyszała, a jego echa przytłumiła ostateczna interwencja Osterwy, który znał osobiście Gomułkę. Jego niska ocena swych notowań u władz, powoli się dezaktualizuje. Nie mogąc

przybyć na uroczysty spektakl *Lilli Wenedy* w Teatrze Polskim w Warszawie w pierwszą rocznicę jej wyzwolenia, Bolesław Bierut przesyła Osterwie kwiaty i własnoręcznie skreślony bilecik.

Bierut nadrabia nieobecność miesiąc później, zaszczycając swoją obecnością przedstawienie *Lilli Wenedy* w towarzystwie jugosłowiańskiego przywódcy Bros Tity. Tym razem kwiaty przysyła dyrektor kancelarii cywilnej prezydenta, niejaki Walewski. Akcje Osterwy dalej rosną. Jesienią do dyrektury krakowskich teatrów dramatycznych przybywa mu dyrektura Państwowej Szkoły Dramatycznej. Niesłuchanie zapracowany, wiosną 1947 roku zapada na zdrowiu. Ale przedtem, gdzieś w tym całym nawale zajęć, znaleźć musiał czas na interwencję w sprawie Hanki u Bieruta.

Telegram od Osterwy przychodzi na początku 1947 roku. „Córka będzie ułaskawiona”.

Bytom, ul. Fałata

„ITA” MIAŁA STRASZNE ZALEGŁOŚCI W NAUCE. Na te okupacyjne nałożyły się te więzienne. Trzeba było wrócić do szkoły. Ale skupić się na nauce nie było łatwo. Z jednej strony znów były we trzy, jak za dawnych czasów: ona, mama i babcia, ale na dokładkę miały tego Plebejczyka! Jakiegoś socjalistę! „Ita” go nienawidziła. Przy najdrobniejszej okazji skakali sobie do oczu. „Ita” robiła mu piekielne awantury za to, co oni wyprawiali z Polską, ale w głębi ducha chodziło jej o mamę, bo Plebejczyk, jak jej się wydawało, chyba się w mamie podkochiwał...

Ale ten Plebejczyk nic sobie z tego nie robił. Podobało mu się u nich na Fałata. W piątek czy świętek zawsze do nich przyłaził. I tkwił!

A z mamą przypadkowo się spotkał, kiedy jeszcze „Ita” siedziała. Mama wyglądała młodo i bardzo atrakcyjnie, i na przystanku tramwajowym zaczepił ją wieczorem.

– Czy może pani w czymś pomóc?

Pomóc! Ona czekała sobie spokojnie na przystanku, w deszczu. Ten tramwaj bardzo długo nie przyjeżdżał. A ten zaraz: „pomóc”! Do tego żonaty był. Ale mama była wdową. Szalenie się podobała. A on, niestety, też był szalenie postawny, wysoki, atrakcyjnie wyglądający, gdzieś po pięćdziesiątce, czy coś takiego. No i się nią zaopiekował.

Na któreś widzenie mama przyszła z jakimś facetem. Bo mogły dwie osoby przyjść. Więc przyszła z nim i w tym całym tłoku i zamieszaniu tak jakoś szybko przedstawiła go „Icie”, o tyle, o ile to można było, że to jest wujek...

Po pół roku odsiadki niewinna „Ita” znacznie lepiej się orientowała w tajnikach stosunków damsko-męskich, ale sama nie wiedziała, co o tym sądzić.

– No, cholera, niech będzie wujek – pomyślała wtedy – wszystko mi jedno.

Ale kiedy wyszła na wolność i on ciągle przyłaził, to nie było już jej wszystko jedno. W głowie się jej nie mieściło, żeby oni mieli jakiś romans. Co to, to nie.

Owszem – on adorował mamę, do domu odprowadzał i ciągle przychodził... było w tym coś niedwuznacznego.

A w samochodzie z więzienia palnął do niej mowę, że... „twoja mamusia to jest taka cudowna, że w ogóle”. A mamusia według „Ity” wcale nie była nim zainteresowana. Chodziło tylko o to, że on miał jakieś chody gdzieś, w Komitecie Centralnym, czy coś.

„Ita” miała dziewiętnaście lat i wciąż nie miała chłopaka. Zadurzenie w „Prawym” było czyste... a jej pierwsza miłość, sympatia z Krasińskiego, Andrzej, po wojnie znalazł się w Anglii. Naiwnie, po dziewczynsku „Ita” wierzyła, że Andrzej na pewno się z nią skontaktuje i że kiedyś, tak jak to sobie przysięgali podczas wojny w parku Żeromskiego, będą razem i będą mieli dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Nawet imiona uzgodnili. „Ita” nie miała najmniejszych wątpliwości, że Andrzej do niej napisze. Ale ten wyśniony, wyczekiwany list z Anglii wciąż nie przychodził. Wracając ze szkoły już od placu Rodła, „Ita” przyśpieszała kroku, wpadała do przedsionka biegiem i zdyszana podbiegała do skrzynki na listy. I znowu nic.

Aż pewnego wiosennego dnia, kiedy już prawie straciła nadzieję, w skrzynce znalazła list. Zaadresowany właśnie do niej. I wcale nie z Anglii, tylko z Polski. Przycisnęła go do piersi i jak na skrzydłach pobiegła w stronę pobliskich ogródków, by znaleźć spokojne miejsce, żeby go przeczytać. Znalazła je. Usiadła w słońcu na niewysokim murku pod kwitnącym kasztanem. Serce waliło jej jak młotem.

Ten list to nie był nawet list, tylko jakiś skrawek papieru. I nie był od Andrzeja. A to, co tam było napisane, zapamiętała na całe życie.

„Ojciec twój był służalcem hitlerowskim i mordował ludzi. Matka twoja kurwi się z żonatym mężczyzną, a ty młoda kurewko pocałuj mnie w dupę”.

Podarty na kawałeczki strzępek spuściła z wodą w ustępie.

A Andrzej napisze następnej wiosny. Te dzieci z tymi imionami też będą mieli. Tylko nie ze sobą.

Postać Plebejczyka, przyjaciela Marty, który przywozi Hankę z Mikołowskiej na Fałata, jest autentyczna, zmieniłem tylko nazwisko – właściwie wyłącznie po to, żeby móc opowiedzieć następującą historię.

Truciciel z Radomia

ISTNIENIE PLEBEJCZYKA, żeby pozostać przy jego zmyślonym nazwisku, udało mi się potwierdzić jednym dokumentem. Z relacji Hanka wiadomo, że był działaczem, a jego prawdziwe imię i nazwisko znajduję na liście odznaczonych medalem dziesięciolecia odzyskanej niepodległości.

Najciekawsze jednak jest to, że osoba o identycznym imieniu i nazwisku pojawia się w prasie przedwojennej, jako negatywny bohater sensacyjnego procesu sądowego, skazany na dziesięć lat więzienia za śmiertelne otrucie męża swojej kochanki. Plebejczyka z Katowic z Plebejczykiem skazanym w 1932 roku w Radomiu poza imieniem i nazwiskiem łączy wykształcenie – Hanka opowiada, że był to „inteligent” – oraz wiek – „po pięćdziesiątce”.

Były inspektor szkolny, „Plebejczyk”, był oskarżony o to, że w trakcie alkoholowej libacji śmiertelnie otrął rywala. W trakcie procesu miało wyjść na jaw, że będąc sam żonaty, Plebejczyk planował także otrucie swojej żony, aby ożenić się z owdowiałą kochanką.

Proces był poszlakowy. Plebejczyk dostał dziesięć lat. Apelacja trafiła do Sądu Najwyższego, który chyba utrzymał wyrok w mocy.

Nie mam żadnych podstaw, aby sugerować, że przyjaciel matki Hani i przedwojenny truciciel to jedna i ta sama osoba. Jak by powiedziała moja babcia, niejednemu psu Burek. Wspominam o nim wyłącznie z powodu pewnego niewiarygodnego zbiegu okoliczności.

Otóż Plebejczyk, powojenny działacz, zaleca się do matki Hanka, wdowy po oficerze policji, podczas gdy kochanką Plebejczyka, przedwojennego truciciela, była żona... komendanta powiatowego policji państwowej.

Cóż by to była za historia, gdyby chodziło o tego samego „Plebejczyka”, obdarzonego słabością do policyjnych połowic. Ale to oczywiście tylko moje słabo udokumentowane fantazje...

Amnestia

JEDNEGO, PIERWSZEGO TOMU AKT w sprawie Hanki i grupy „Prawego” nie ma lub jest niedostępny w IPN-ie. Tom trzeci kończy się na pełnej dokumentacji wszczętego przez nią przed sądem we Wrocławiu na początku lat sześćdziesiątych postępowania o zatarcie wyroku z 1945 roku. Nieco wcześniej udokumentowane jest nieoczekiwane postscriptum do jej ułaskawienia przez Bieruta w styczniu 1947 roku. Dwa miesiące później ogłoszono bowiem w Polsce amnestię, która objęła kilka osób spośród skazanych w związku z grupą „Prawego”; co ciekawe – łącznie ze znajdującą się już na wolności Hanką.

Po roku, sześciu miesiącach i czterech dniach więzienia Hanka wychodzi na wolność z nieodsiedzianą częścią wyroku w zawieszeniu na trzy lata. Ten „nieodcierpiany”, jak go określa prokurator, wyrok to mniej więcej osiem i pół roku. Ale amnestia 1947 roku zmienia ten stan rzeczy. Reszczyńska, Wadoń, Koterbski, Olejak i inni, wszyscy skazani w 1945 roku na dziesięć lat, zostają potraktowani w mniej więcej ten sam sposób. Na posiedzeniach niejawnych skład sędziowski pod przewodnictwem dobrze już nam znanego pułkownika Piekarskiego, żonglując rozporządzeniem o amnestii i długością poszczególnych części składowych wyroków, określa większości z nich pozostałą do odsiedzenia karę na siedem lat więzienia. Ponieważ wszyscy siedzą od półtora roku, to amnestia skraca każdemu jego wyrok mniej więcej o półtora roku. Zamiast w drugiej połowie 1955 roku mogą oczekiwać wolności „już” na początku roku 1954. Z całej ósemki tylko ułaskawiona osobnym aktem prezydenta Bieruta Hanka cieszy się wolnością już w 1947 roku.

Zakład karny we Wronkach

NAJPIERW, JAK CO RANO, za oknem zaczęły zwiabione wysypanymi na parapet okruszkami wróble, a potem Weiss usłyszał w oddali znajomy gwizd i sapanie ruszającej z pobliskiego dworca lokomotywy. Nie wiedział i pewnie nigdy się nie dowie, dokąd odjeżdżał ten pociąg. Wiedział jedynie, że latem jego odgłos był zwiastunem wschodu słońca. Nie otwierając oczu, zastygł w bezruchu, czekając na pierwsze promienie. Poczł na policzku ciepłó. Wiedząc, że potrwa to tylko kilka chwil, uchylił powieki na tyle jedynie, żeby się nacieszyć jedynym żywym kolorem w swej codziennej, więziennej szarzyźnie: różową poświatą na ścianie celi, tuż nad swoją pryczą.

Zaraz po wojnie trafił do Łodzi, gdzie dość długo żył spokojnie pod zmienionym nazwiskiem, podając się za Żyda ocalałego z tamtejszego getta. Zważając na jego akcent i odrobinę semicki wygląd, była to niemal idealna przykrywka. Dostał niezłą pracę w biurze centrali tekstylnej. Szef go lubił i nawet obiecywał awansować. Weiss wynajmował ładny pokój przy Stalina i odkładał bez końca moment decyzji, co dalej ma ze sobą zrobić. Do Austrii wracać się bał, bo obilo mu się coś o uszy o trwającej tam denazyfikacji, a zresztą legalnie i tak nie mógł wyjechać, bo bał się, że go zatrzymają za służbę w Kripo. Trwał więc w stanie limbo i nawet zaczynał mu on odpowiadać, tym bardziej że do pracy chodził po południu i mógł spokojnie upijać się co noc, tak jak lubił, chociaż z braku wytworniejszych trunków zadowalać się musiał zwykłą siwuchą.

Ale o ile Austriak Weiss nawet upijał się według zegarka, to człowiek, który okazał się jego zgubą, pił po robociarsku, na umór i kiedy popadnie. Był to pepeerowiec Walczak, ten który za okupacji jednak nie doprowadził Weissa do zabójców komendanta, za to w powojennej Łodzi doprowadził go w biały dzień do komisariatu milicji przy Sienkiewicza i zadenuncjował jako zbrodniarza hitlerowskiego.

Tego dnia Weiss był całkowicie trzeźwy ze względu na popołudniową porę, schludnie ubrany i w okularach z drucianymi oprawkami, bo wzrok zaczął mu się bardzo psuć od pracy za biurkiem. Jednym słowem pasował na ukrywającego się hitlerowca. Niemniej dyżurny milicjant bardziej niż Weissem zainteresował się w sztok pijanym obywatelem, który go na komisariat doprowadził. I byłoby się Weissowi upiekło, gdyby nie to, że przechodzący przypadkowo sierżant znał Walczaka z PPR-u.

W rezultacie Weiss został natychmiast zatrzymany, a Walczak z kurtuazją odwieziony do domu milicyjnym łazikiem.

Hedda wychodzi z cienia na Ochocie

PODPISAWSZY I ODESŁAWSZY DO WYDAWNICTWA UMOWĘ na *Niewygodnego Polaka*, odczuwam nagle na swych barkach ogromny ciężar odpowiedzialności. Jest listopad 2016 roku. Termin na ukończenie książki jest bardzo blisko, ja mam wciąż tyle jeszcze niedokończonych spraw i nierozwiązanych wątków. Nadganiem więc zaległości. Kontaktuję się z panią profesor Anną Muller z Uniwersytetu Michigan, która zajmowała się postacią Heddy, a równocześnie w Bibliotece Narodowej przekopuję się przez roczniki prasy emigracyjnej, szukając publicznych sporów Hanki na temat postaci jej ojca. Wreszcie w Narodowym Archiwum Cyfrowym spotykam Heddę Bartoszek, nie tyle we własnej osobie – zmarła w 2000 roku – ile opowiadając historię swym własnym głosem.

W dwudziestą rocznicę śmierci Bartoszka Polskie Radio poświęciło mu audycję pod tytułem *Paleta i karabin*, z udziałem malarzy, alowców i wdowy po Bartoszku, Heddy. W blisko pięćdziesięciu minutach audycji Hedda występuje przez mniej niż dwie minuty. Delikatnym, dziewczęcym niemal głosem – w 1963 roku ma dopiero czterdzieści cztery lata – mówiąc tak miękko, że niemal sepleniąc, opowiada nie o żadnym z kluczowych momentów życia Bartoszka, tylko o tym, jak trudno było mu w czasie okupacji malować.

Audycja jest wciąż nie wgrana do komputera, więc odsłuchuję ją na wielkim, szpulowym magnetofonie, w czeluściach NAC, a kiedy odzywa się Hedda, nie mogę się powstrzymać z podniecenia. Od półtora roku czytam o niej i rozmawiam z różnymi ludźmi i nagle wreszcie słyszę jej głos. Co za dziwne uczucie!

Hedda mówi dosłownie parę słów, zaczynając od tego, że Bartoszek miał żywy stosunek do malarstwa.

„Tym malarzem, którego bardzo cenił, to był Goya. To się mówi »nabożny stosunek« – Goya miał ogromne wartości jako malarz i on w nim rzeczywiście te

wartości widział. Wiele kryzysów osobistych »Jacka« w trakcie okupacji polegało na tym, że on nie mógł równocześnie malować i równocześnie znosić tego upodlenia, które na niego jednak ta potworna sytuacja okupacyjna narzucała. On się czuł zgnębiony, upokorzony. On się czuł jak człowiek doprowadzony do jakiegoś dna człowieczeństwa i znaczy buntował się przeciw temu. On się buntował tak dalece, że on nie mógł malować. Myśmy mieszkali w Jaśle... więc on nie mógł malować, rzeczywiście dręczył się tym, że nie może pracować, że mu to nie wychodzi...”

I tyle. Ani słowa o akcji, w której Bartoszek zginął, a której rocznicę upamiętniać ma audycja, nie mówiąc już o zabójstwie Aleksandra Reszczyńskiego. Wiem z relacji, że od zwolnienia z więzienia aż do końca jej dni z nerwami Heddy było krucho. Jest wielce prawdopodobne, że wyciąganie z niej traumatycznych wspomnień mogłoby się źle skończyć. Ale to, o czym w audycji się nie mówi, także o czymś świadczy. Żaden z uczestników, opowiadając o bohaterskich czynach Bartoszka, nie wspomina ani słowem o akcji na Krasieńskiego, która wszak ze względu na osobę zamordowanego prominenta była największym Bartoszka „wyczynem”...

MUBP Łódź

W ŁODZI ZACZEŁO SIĘ ŻMUDNE ŚLEDZTWO W SPRAWIE WEISSA. Z akt osobowych Kripo nic się nie zachowało i wszystko opierało się na zeznaniach Walczaka, który z każdym przesłuchaniem złośliwie mnożył zarzuty wobec Austriaka. Pograżał go umyślnie i umyślnie kreował się jego kosztem na bohatera, bo przez wódkę znalazł się ostatnio w prawdziwych tarapatach. Jak to z alkoholem bywa, przyczyną wszystkich kłopotów była tak naprawdę towarzyszka Murzyńska, z która Walczak zszedł się w Łodzi po wojnie. Chociaż matka jego dzieci Walczakowa w żaden sposób nie potrafiła tego pojąć, to konspiracja miała to do siebie, że bardzo mocno zbliżała ludzi, a Walczaka zbliżyła właśnie z towarzyszką Marią. To ona załatwiła mu dobrą posadę majstra w zakładach włókienniczych i to ona ulokowała Walczaków w kwaterunku, a potem od czasu do czasu ich tam odwiedzała, zawsze z flaszką pod pachą i pod nieobecność Walczakowej. Kiedy wreszcie Walczakowa miała już dość tych odwiedzin, jej mężowi przyszło spotykać się z Murzyńską na mieście lub w jej obszernym mieszkaniu przy Narutowicza. Któregoś dnia, kiedy, wytrzeźwiawszy, wrócił do domu szybko się przebrać do roboty, zastał na stole kartkę od żony. Walczakowa zabrała dzieci i wróciła do rodziców na wieś pod Radom. Towarzyszka Maria jakoś od tego momentu też zaczęła tracić zainteresowanie Walczakiem i kiedy partia wezwała ją do roboty w stolicy, nie zastanawiała się ani chwili. Walczak czuł się samotny. Picie się wzmogło. W pracy zaczęli na niego krzywo patrzeć, bo wódka i maszyny włókiennicze na dłuższą metę nie stanowią bezpiecznej kombinacji. Zaczęli pod nim ryc. Na zebraniu organizacji była mowa o pijakach i dywersantach. Poczuli, że piją do niego. Jeszcze nie nazwano go po imieniu, ale ziemia zaczynała mu się palić pod nogami. I właśnie wtedy pijany jak bela wpadł na ulicy Stalina prosto na Weissa. Wywiązała się dziwna sytuacja, bo złapał Austriaka za kołnierz i wrzeszcząc na całe gardło, zaczął ciągnąć na komisariat, a Weiss nie chcąc się szarpać z pijakiem, nie tylko

dał mu się potulnie prowadzić, ale nawet gdy Walczak za mocno się zataczał, podtrzymywał go, żeby ten nie upadł.

W śledztwie przeciwko Weissowi, poza samym faktem służby w Kripo, która była także udziałem wielu Polaków, nie wysunięto żadnych innych zarzutów niż ten o znęcanie się nad Walczakiem w podziemiach komendy Kripo. Temu Weiss stanowczo i zgodnie z prawdą zaprzeczał. Ale im bardziej zaprzeczał, tym nowsze Walczak przypominał sobie szykany wobec siebie i innych lewicowców, którzy na złość jak jeden mąż zginęli w walce z okupantem, więc nie mogli tych oskarżeń poświadczyć.

Fama o okupacyjnej gehennie zakładowego pijaka szybko się rozniosła. Ludzie zaczęli ze zrozumieniem kiwać głowami. „Tyle przeszedł! Nie dziwota, że chla. Kto by na jego miejscu nie chlał”.

Im bardziej Walczak rozkwitał w chwale bojownika o wolność i demokrację, tym głębiej pogrążał Weissa, który tę odmianę losu przyjmował ze spokojną rezygnacją. Nawet zbyt gwałtownie nie zaprzeczał coraz to nowym wymysłom Walczaka, powtarzając jedynie do znudzenia, że to wymysły.

„Ta cholerna akcja na bank »Społem«”

W PIERWSZEJ POŁOWIE 1963 ROKU w rocznicowej audycji ku czci Bartosza bierze udział dwoje wysokiej rangi działaczy komunistycznych – oboje z dającymi wiele do myślenia, każda na swój sposób, relacjami. Ta para to: otoczona niesławą głośna stalinowska prokurator, Helena Wolińska, w 1963 roku pracownik naukowy KC PZPR i były komendant Milicji Obywatelskiej, generał dywizji Franciszek Józwiak. Wolińską i Józwiaka łączy to, że do 1956 roku byli małżeństwem. Wcześniej on był szefem sztabu GL/AL, a ona kierowała biurem sztabu. Oboje wiedzą o Bartoszu o wiele więcej, niż mówią przed mikrofonem, ale młodszą Wolińską w trakcie nagrania ponosi, a Józwiak mówi z zadęciem rasowego aparatczyka, sztywno, jakby połączył kij od szczotki.

Była stalinowska prokurator z pasją opowiada o Bartoszu jako o „wiecznie żarzącym się człowieku, pełnym energii, pełnym siły, pełnym jakiejś wiary”.

„Tyle w nim było radości życia – mówi – że kiedy zginął, to w ogóle trudno było to sobie wyobrazić...”

Jej szok na wieść o śmierci Bartosza był tym większy, że spotkała go w przeddzień tragicznej akcji na bank „Społem” przy Krakowskim Przedmieściu. Kiedy je relacjonuje, to jej wyrywa się najmocniejsze w całej tej rocznicowej audycji słowo. Mówi mianowicie, że spotkała go w przeddzień tej „cholernej” akcji:

„Widziałam go. Jeszcze opowiadałam mu takie ostatnie wrażenia, bo ja też zaglądałam do tego banku, żeby mu tam jeszcze dopowiedzieć, jakie tam jest wejście, jak tam wygląda wszystko”.

Nasuwa się pytanie, jak mogło dojść do tego, że na dzień przed skokiem na bank „Społem” dowódca oddziału, Bartoszek, nie znał nawet rozkładu pomieszczeń. Ze słów Wolińskiej wynika to, czego wydarzenia następnego dnia w tragiczny sposób dowiodły – akcja w bezpośrednim sąsiedztwie Komendy Policji miasta Warszawy była słabo zaplanowana.

Jak wiadomo, wykonawcy poprzedniej, akowskiej akcji na ten sam bank wynieśli z niego z najwyższym trudem, ale bez żadnych ofiar, pięćdziesięciokilogramowy worek z pieniędzmi. Akcja AK była świetnie przygotowana i przeprowadzona we właściwym momencie. Grupa Bartoszka natomiast napadła bez ładu i składu na bank, w którym praktycznie nie było pieniędzy, a cały ich łup zmieścił się w skórzanej teczce. Dlaczego i po co?

To, co Wolińska mówi dalej, jeszcze bardziej pogrąża organizację, która Bartoszka i towarzyszy wysłała na pewną śmierć.

„Liczyliśmy wtedy, że wszystko się uda”.

Liczyliśmy... Brzmi to niepokojąco.

A jakie były podstawy tych kalkulacji?

Ze słów Wolińskiej wynika, że jej wiara w powodzenie akcji oparta była na... wierze w szczęście Bartoszka:

„...wierzyliśmy w »Jacka« – mówi. – Wierzyliśmy, że wszystkie akcje, którymi on kieruje, to są takie na sto procent udane, więc w ogóle nie podlegało żadnej wątpliwości, że wszystko będzie w porządku”.

Stało się inaczej. Umówiona była z Bartoszkem na Żoliborzu, ale on nie przyszedł po akcji, chociaż nigdy się nie spóźniał. Czekala na niego pół godziny. Była niespokojna, a że nie chciała się kręcić w jednym miejscu, pojechała na Stare Miasto, gdzie miała kolejne spotkanie.

„Miałam takie miejsce koło Barbakanu, tam usiadłam [...] i nagle dwóch czy trzech takich chłopców, takich urwisów, głośno ze sobą rozmawiając, mówią: »ale dzisiaj była strzelanina na Krakowskim Przedmieściu!«”

Z sercem na ramieniu pojechała tramwajem w stronę banku.

„...no i wtedy widziałam tam już okna wystawowe podziurawione kulami. Zrozumiałam z tego, że jakaś strzelanina była i że chyba oni zostali w jakiś sposób zaskoczeni. Ale dopiero wieczorem dowiedziałam się, że z tej akcji został tylko Jurek Duracz i Wanda [Niuta Tajtelbaum], no i dowiedzieliśmy się, jak było naprawdę...”

Uczestnicy rocznicowej audycji sprzed ponad pół wieku nagrani zostali chyba wspólnie, bo czasem przerywają jeden drugiemu i wchodzą sobie w słowo. Jedynym, którego w studio nie ma, jest były szef sztabu GL/AL, Franciszek Józwiak. Jego wypowiedź zamykająca audycję, ewidentnie nagrana osobno i najprawdopodobniej odczytana z kartki, w stylu i charakterze przypomina bardziej referat na partyjnym zjeździe niż wspomnienie o kimś, kogo jako dowódca wysłało się na pewną śmierć.

„Od dnia bohaterskiej śmierci towarzysza Bartoszka Franciszka, »Jacka«, jednego z pionierów Gwardii Ludowej minęło dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat to duży szmat czasu...” – zaczyna Józwiak i kontynuuje w tym stylu do samego

końca, nie omieszkując dodać też, że tylko prawdziwy „marksista-leninista” mógł wykazać się taką odwagą, która charakteryzowała, jak go konsekwentnie z partyjnym sznytem nazywa, „towarzysza Bartoszką Franciszką, »Jacka«”.

Z psychologicznego punktu widzenia można by Józwiaka próbować usprawiedliwić, na przykład wyrzutami sumienia. Założyć, że czuje się winny i decyduje się wygłosić swój „referat” właśnie po to, by nic po sobie nie dać poznać. Jeżeli w ogóle wiedział, co to są wyrzuty sumienia, to powody ku nim miał nie lada jakie. Istnieją relacje wskazujące na to, że Józwiak nie wysłał Bartoszkę na tę tragiczną ostatnią akcję ot tak sobie, ale z rozmysłem i z jak najniższych pobudek...

MUBP Łódź

W CAŁYM DŁUGIM ŁÓDZKIM ŚLEDZTWIE Weissowi tylko raz mocniej zabiło serce i zabrakło mu tchu. Pewnego dnia zamiast jego regularnego śledczego w izbie przesłuchań niespodziewanie pojawił się ktoś w innego niż zazwyczaj koloru mundurze.

Nieznajomy długo wyjmował z teczki i metodycznie rozkładał przed sobą na stole jakieś dokumenty. Weiss był zdzwiony, ale przyjmował to wszystko ze stoickim spokojem. Już go i tak nie wypuszczą ze swoich szponów. Co będzie, to będzie!

I nagle oficer zapytał:

– Co was łączyło z pułkownikiem granatowej policji Reszczyńskim Aleksandrem?

W Weissa jakby grom trafił. Zaparło mu dech i pobladł jak ściana. Śledczy natychmiast to zauważył. Przysunął się doń bliżej.

Co go łączyło? O co tu mogło chodzić? Dlaczego teraz? – myślał rozpaczliwie Weiss, ale zauważył, że śledczy znowu jak gdyby nigdy nic grzebie w papierach, jakby odpowiedź aresztanta nieszczególnie go interesowała.

– Prowadziłem śledztwo, w sprawie... – cedząc słowa, Weiss uważnie przyglądał się śledczemu. Z braku jakiegokolwiek reakcji wypalił wreszcie prosto z mostu: – Prowadziłem śledztwo w sprawie zabójstwa komendanta!

Ulżyło mu.

Śledczy tylko pokiwał głową.

– Czy pamiętacie datę?

– Oczywiście! – wyrwało się Weissowi tak nagle, że śledczy aż podskoczył.

– Oczywiście – powtórzył ciszej – piąty marca tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku.

– Widzieliście zwłoki?

– Oczywiście... – potwierdził Weiss już spokojniej. – Na miejscu zabójstwa oraz w prosektorium przy ulicy Oczuki.

Weiss wciąż nie rozumiał tego nagłego zwrotu w śledztwie, ale ponieważ wiedział, że ma do czynienia z władzą wywodzącą się w linii prostej od mocodawców zabójców komendanta, to wołał się zbytnio nie narażać. Przebywać w obecnym stanie zawieszenia, tylko za kratami, odsiedzieć spokojnie parę lat – to nie koniec świata. Ale Weiss nie miał najmniejszego zamiaru zgnić do cna i umrzeć w polskim kryminale.

– Śledztwo spełzło na niczym – dodał rezolutnie.

– Rozumiem – śledczy pokiwał głową. – A kto potwierdził tożsamość denata?

Weiss nie zrozumiał sensu pytania.

– Skąd pewność, że to był on?

– Jak to kto skąd? Byli tam najbliżsi. Sąsiedzi. Służąca.

– Rozumiem – powtórzył śledczy. – Wyście osobiście go nie znali?

– Ja?

Cholera! – pomyślał. – *Co za niesłychanie celne pytanie. Jakby był jasnowidzem ten śledczy...*

Rozsądek podpowiadał mu, żeby się wyprzeć Reszczyńskiego. Diabeł jeden wiedział, co się kryło za tymi pytaniami. Byłoby szaleństwem przyznawać się, że go znał. Komuniści odsądzali wszak granatową policję od czci i wiary, więc przyznając się do znajomości, ryzykowałby... Ale z drugiej strony Weiss czuł, że wyprzeć się właśnie jego, komendanta, byłoby aktem nikczemnej zdrady. Wahał się i wahał.

– Tak. Spotkaliśmy się wcześniej... – powiedział w końcu powoli.

– Aha! – ucieszył się śledczy. – To świetnie! – powiedział i zaczął składać papiery.

Wiele lat później Weiss dowiedział się, że tak jak wszyscy granatowi Reszczyński był po wojnie ścigany na podstawie tak zwanej „sierpniówki”. Fakt, że zginął, oszczędził śledczym roboty. To wszystko. Na sprawę samego Weissa wątek Reszczyńskiego nie wpłynął w żaden sposób, natomiast za „tortury i znęcanie się nad towarzyszem Walczakiem” oraz za przynależność z racji służby w Kripo do SS Weiss otrzymał stosunkowo łagodny wyrok ośmiu lat więzienia. Nie bez znaczenia był przy tym fakt, że prokuratorem w sprawie był Jakub Ellenberg, któremu cudem udało się wyjść cało z Hotelu Polskiego i który, choć niewiele Weissowi pomógł, to przynajmniej dodatkowo go nie pognębił i niezbyt przekonująco domagał się dlań szczególnie surowej kary. Weiss i tak trafił do owianych wyjątkowo złą sławą Wronek, więc odsiadka zapowiadała się niewesoło...

Promienie słońca opuściły ponurą celę, żeby powrócić do niej dopiero nazajutrz. Na pryczy pod nim, pokaszując, budził się akowiec Jan, a na samym dole kryminalista Alek, który bez wstawania z pryczy zapalał swego pierwszego papierosa i zaraz pewnie skorzysta z kibla. Dzień jak co dzień.

Koledzy z baraku

MÓJ OJCIEC BYŁ CAŁKOWICIE BEZPARTYJNY aż do czasu, kiedy szef jego kliniki powiedział mu bez ogródek, że nie ma szans na dalszą karierę jako ginekolog, jeżeli się wreszcie nie zapisze do partii. Powiedział to półżartem, ale ojciec dobrze rozumiał, że to było ultimatum.

„No i co, zapisałeś się do partii?” – zapytał go po jakimś czasie. „Zapisałem się, szefie!” – zameldował ojciec służbiście. „Hmm... a na zebraniu POP cię nie widziałem” – szef pogroził mu palcem. A ojciec na to, strasznie z siebie zadowolony: „A bo ja się zapisałem nie do waszej partii, tylko do Stronnictwa Demokratycznego!”.

Takie to miał mój stary poczucie humoru. Dla świętego spokoju zamiast do PZPR zapisał się do jego przybudówki, tam gdzie z podobnych powodów zapisywała się prywatna inicjatywa i im podobni.

Jako członek SD nikt się już go co prawda nie czepiał, ale jego możliwości awansu zawodowego były znacznie bardziej ograniczone niż członek PZPR. Jeżeli więc mojemu ojcu cokolwiek udało się zawodowo osiągnąć – opatentować kilka wynalazków, wprowadzić do produkcji pierwszą polską wkładkę antykoncepcyjną itd. – to tylko dzięki kolegom należącym do PZPR. Niektórzy ci partyjniacy to byli jego dawni koledzy z samopomocy akademickiej, tzw. bratniaka, jeszcze ze studenckich czasów, a niektórzy z jeszcze dawniejszych czasów obozowych.

Kilku jego współwięźniów z Gross Rosen zostało z czasem wielkimi partyjnymi szyszkami. A największą wśród nich szychą był członek KC, a w latach sześćdziesiątych minister finansów, Jerzy Albrecht. Na własne oczy go widziałem gdzieś tam wysoko na trybunie, kiedy ojciec zabrał mnie na rocznicę wyzwolenia obozu Gross Rosen.

A kiedy ojciec szukał protekcji, żeby wprowadzać do produkcji te swoje ginekologiczne wynalazki, to czasem odgrażał się, że napisze właśnie do

towarzysza Albrechta, swego, jak to mówił – „kolegi z obozu”, chociaż szczerze wątpię, czy się kiedykolwiek w obozie spotkali.

W każdym razie osoba Albrechta, widzianego z daleka na obchodach w obozie Gross Rosen, przypomniła mi się po latach, kiedy dowiedziałem się, że był on najpierw Heddy towarzyszem z PPR i AL, a potem drugim, po Bartoszką, mężem.

Warszawa, ul. Poznańska 12

„FRYGA” SPOTKAŁA JURKA TUŻ PO WOJNIE, niedługo po jego powrocie z obozu. Zmężniał w niewoli. Zнали się jeszcze z „Życia”, a potem z podziemia. Ale to nie był już tamten przedwojenny Jureczek, studencik, adwokacki synalek. Był wynędzniały, jakiś taki wypłowiwały, ale przy tym pełen zapału, gotowy do budowania, na ruinach tamtej Polski, Polski nowej, komunistycznej. Towarzysze wkrótce zrobili z niego sekretarza Warszawy, a „Fryga”, jakkolwiek nieformalnie, została „panią sekretarzową”. Jak na ubogie powojenne czasy powodziło im się wyśmienicie. Mieszkali na Poznańskiej, między Wilczą a Hożą. „Fryga” pracowała i działała między innymi w harcerstwie. Przed wojną walczyła o harcerstwo laickie, w parę lat po wojnie innego nie będzie. Do pełni szczęścia brakowało jej tylko najbliższych, bo ojciec wyjechał na placówkę dyplomatyczną do Kanady, zabierając ze sobą jej przybraną mamę i siostry. Pozostała co prawda w kraju jej rodzona siostra, która jednak w rok po wojnie wyszła za pewnego pracownika KC i jakoś się od siebie oddaliły, jeszcze zanim wyjechała z nim do Olsztyna.

Co do „Jacka”, od którego śmierci w momencie zakończenia wojny upłynęły dwa lata, to jego pewnie też jej brakowało, ale „Fryga” była jak zwykle zbyt zabiegana, by dać cokolwiek po sobie poznać. On miał swoją ulicę, tam gdzie kiedyś była Złota, a ona chodziła po dźwigającym się z ruin mieście w aureoli bohaterki Gwardii, wdowy po bohaterze Gwardii i wielkiej działaczki. A do tego pod rękę z młodym i przystojnym sekretarzem Warszawy.

Rozstali się wkrótce po tym, jak Jurek awansował do KC. „Fryga” była potem z Jurkiem, urzędnikiem ministerialnym. Zresztą sama była już wtedy wielką szyszką w Ministerstwie Kultury, działała w różnych organizacjach, a że znała biegle kilka języków, jeździła ciągle za granicę na zjazdy i kongresy. Niektórzy dawni koledzy z AL podejrzewali ją nawet o to, że była szpiegiem, bo takie to były czasy – podejrzliwości. W każdym razie „Fryga”, jak to „Fryga” – nigdy nie

mogła usiedzieć na miejscu. Aż do chwili, kiedy ją zatrzymali w listopadzie 1949 roku.

Wojujący katolik zostaje komunistą

PRZY CAŁYM SWOIM IDEOWYM ZAKŁAMANIU poświęcona mu audycja radiowa z 1963 roku i tak zawiera bezcenny dla mnie materiał na temat Franciszka Bartoszka. Całkiem wiarygodna na przykład wydaje mi się relacja wybitnego scenografa Teatru Baj, Witolda Millera, sugerująca, że urodzony w słynnym z Bazyliki Maryjnej Pieraniu, Bartoszek był w młodości porządnym, gorliwie wierzącym studentem.

„Nazwisko Bartoszka – wspomina Miller – zaczęło mi się obijać o uszy na terenie Akademii, gdzieś w trzydziestym trzecim, może trzydziestym czwartym roku – nie pamiętam dokładnie. Nie wiedziałem, kto to jest. Dostał jakąś nagrodę już na drugim roku... I kiedyś stojąc przed wejściem do Akademii, tak pod wieczór, zobaczyłem wychodzącego młodego człowieka w czapce uniwersyteckiej... Drugi kolega, który ze mną stał, mówi: o, to jest Bartoszek! Pytam go, gdzie zmierza. Powiada, lecę na majowe. Co znaczy: na majowe? Na majowe nabożeństwo! Bo to był chłopak z Iuventus Christiana. My mieliśmy koło »życiowe« na Akademii. Ponieważ Bartoszek bardzo wydał nam się takim impulsywnym, to zaczęliśmy koło niego chodzić. Rozmowy, rozmowy... prawda – w końcu wciągnęliśmy go do »Życia«. I z członka młodzieży katolickiej, zrobił się komunistą”[25].

Ul. Koszykowa

„FRYGA” NIE PRZECZUWAŁA ALBO NIE CHCIAŁA PRZECZUWAĆ nadchodzącego zagrożenia. Pracowała, działała z takim samym jak zawsze entuzjazmem. Czy poczuła nutkę niepokoju, kiedy jesienią 1948 roku w kręgach byłych AL-owców rozchodziły się wieści o zatrzymaniu Alfreda Jaroszewicza i dziesiątków innych dawnych towarzyszy? Czy dopuszczała możliwość zdrady, czy też była absolutnie przekonana o jego niewinności? A zatrzymanie Jaroszewicza – to był dopiero początek, pętla zaczynała się zaciskać wokół głównych podejrzanych przez Moskwę – „Marka” i Gomułki.

A kiedy wezmą się za „Marka”, to nikt z jego najbliższych okupacyjnych współpracowników nie będzie bezpieczny, łącznie z „Frygą”. Nikt tego nie wiedział lepiej niż jej były mąż Jurek, ale jej nie ostrzegł, bo sam był na ich celowniku. To, że jest w niebezpieczeństwie, zrozumiała po zatrzymaniu jej szwagierki Gieni, ale cóż mogła począć, przecież nie uciec, bo niczego złego nie zrobiła. A Gienię zatrzymali właśnie pod zarzutem ucieczki, w pociągu do Włoch, w podróży służbowej z ramienia MSZ. Zatrzymali ją i wszelki ślad po niej zaginął.

Po „Frygę” przyjechali na Poznańską rano. Powiedzieli, że jest pilnie wzywana do komitetu miejskiego. Rok wcześniej taki pretekst nie wywołałby u niej aż takich podejrzeń, bo sekretarzem Warszawy był wówczas jeszcze Jurek, z którym co prawda wcześniej się rozstała, ale teraz...

Uspokoiła Wojtka, który dopiero niedawno się wprowadził, że to pewnie jakieś nieporozumienie, i powiedziała, żeby lepiej już szedł do pracy, bo się spóźni. On poszedł do siebie, do ministerstwa, a ją zawieźli jesiennymi ulicami prosto na UB, na Koszykową.

Rozpoczęte w ten sposób „nieporozumienie” sprawi, że „Fryga” nie wróci do domu przez bite pięć lat.

Na Koszykowej czekali na nią jacyś dwaj. Powiedzieli, że chce się z nią widzieć pułkownik Różański. Znała go przelotnie z ubiegłorocznego kongresu wrocławskiego. Szef „Czytelnika”, Borejsza, polecił jej go w sprawach ochrony, ale że chodziło o sprawy prasowe, Różański, który był zresztą bratem Borejszy – ich prawdziwe nazwisko brzmiało Goldberg – odesłał ją do szefa cenzury, Zabłudowskiego. Tyle znała Różańskiego.

– Jeżeli pułkownik chce ze mną pilnie rozmawiać – oświadczyła butnie – to niech się do mnie pofatyguje.

Tu „Fryga” wydmuchała czerwony od kataru nos w chusteczkę.

– Jestem przeziębiona i mam pilny referat do ukończenia, więc...

Ale tamci dwaj tylko tak się jakoś dziwnie uśmiechnęli i kazali jej spisać odręczny życiorys.

To już powinno było jej dać do myślenia. Ale „Fryga”, kapitan Armii Ludowej, wysokiej rangi urzędniczka ministerstwa kultury i wdowa po bohaterze ruchu robotniczego, była do tego stopnia przekonana o swojej niewinności i nietykalności, że nawet polecenie napisania życiorysu, od jakiego przecież zaczynały się rutynowo wszystkie śledztwa, nie wywołało u niej specjalnych podejrzeń.

I wtedy zjawił się Różański. Dopiero to dało jej do myślenia. Różański to była jednak figura, szef departamentu śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa.

Różański demonstracyjnie podarł jej życiorys i ryknął na żołnierza, który miał protokołować nowy.

Życiorys sięgał dwa pokolenia wstecz, do dziadka Semila, handlarza futer we Lwowie i babki Julii Low, obszarniczki z majątkami pod Tarnopolem i Stanisławowem. Ich syn, Edward, ożenił się z Adelą Rascall, z niemiecko-szwedzkiej rodziny zamieszkałej w Tallinie. Hedda przyszła na świat 3 października 1921 roku. Na tydzień przed aresztowaniem ukończyła dwadzieścia osiem lat.

„Fryga” znalazła się w areszcie w podziemiach, który znała z wojennych opowiadań jako areszt Kripo.

Jej życiorys był wałkowany na Koszykowej przez tydzień, a potem przewieziono ją na Rakowiecką.

„Ksenia” melduje

KIEDY HEDDA SIEDZIAŁA W WIĘZIENIU, całkowicie nieświadomi, z kim rozmawiają, jej były mąż Jerzy Albrecht i były towarzysz z AL Jan Kott zwierzali się agentce, ukrywającej się pod pseudonimem „Ksenia”.

W swoim pomnikowym opracowaniu *Komuniści przeciwko komunistom* Spalek cytuje jej raporty.

Przerażony zatrzymaniem Heddy i tyłu swoich dawnych towarzyszy, czując już i na swoich plecach zimny oddech bezpieki, Albrecht mówi „Kseni”, że ani na Gestapo, ani w obozie „nie było mu tak ciężko, jak teraz”.

Kott z kolei snuje wobec agentki swoje rozważania na temat uwięzionej Heddy, opowiadając, jak mu jej żal, bo „nie wiadomo, z kim mogła spać, może z jakimś agentem, bo to była wariatka, ale wysokiej klasy”.

Ul. Rakowiecka

„FRYDZE” PRZEZ MYŚL NIE PRZESZŁO, że spędzi w więzieniu wiele lat. Różański, który miał na Rakowieckiej swoje udzielne królestwo, szczególnie interesował się Jaroszewiczem, czyli „Grubym” z kontrwywiadu AL. Jaroszewicz poprzez „Frygę” przekazywał swoje meldunki na temat AK „Markowi”, a ten na ich podstawie dyktował swojej sekretarce Sowińskiej doniesienia dla towarzyszy w Moskwie. Sowińską zamknęli krótko przed „Frygą” i też bez żadnych sankcji na piśmie: do wyjaśnienia.

W pokoju przesłuchań XI pawilonu „Frygę” badali codziennie do późnej nocy przez następne pięć miesięcy. Często pojawiał się Różański, który na drugim piętrze miał swój gabinet. Choć cieszył się jak najgorszą reputacją, to on właśnie jej nie bił. Przy nim nikt też „Frygi” nie tknął.

Bez niego to różnie bywało.

Śledczy ze szczególnym upodobaniem targali ją za włosy. Na porządku dziennym były też obelgi, z których nazywanie jej kurwą i bicie po twarzy były jeszcze stosunkowo łagodne.

W celi też nie było spokoju: stójki do późnej nocy, klęczenie na betonie i inne mniej i bardziej wymyślne szykany. I od rana dzień w dzień śledztwo. Wspominać potem będzie, że przynajmniej nie zmuszano jej do stójek nago, ani nie polewano zimną wodą...

Różański czasem mocno pachniał wodą kolońską – „Fryga” podejrzewała, że wpadła mu w oko któraś z podejrzanych. Idea, że któraś z nich, uwięzionych, może się Różańskiemu podobać, oraz możliwe tej sympatii konsekwencje wydawały się „Frydze” straszne. Był przecież ewidentnie sadystą – jego zachowanie potrafiło się zmienić w mgnieniu oka o sto osiemdziesiąt stopni, a okrągła, niewinna twarz o wydatnych ustach – zmienić się w oblicze potwora.

Niepojęte dla „Frygi” było to, że czasem potrafił przysłuchiwać się zeznaniom, chrupiąc czekoladę. A kto, na miłość boską, przynosi sobie na przesłuchania

upodlonych, nie mówiąc już o tym, że wiecznie głodnych kobiet czekoladę?

Po kilku miesiącach „Fryga” była jednak zbyt zmaltretowana i skonfundowana śledztwem, by spekulować na temat swoich dręczycieli. Na początku jeszcze próbowała kluczyć w zeznaniach, skupiać się z rozmysłem na drobnostkach, żeby tylko nie mówić o „Marku”, „Grubym” czy o swoim Jurku, o którego wkrótce też zaczęli zahaczać.

Raz na przykład wspomniała, że pewnego razu sporą porcję tych dokumentów od „Grubego”, a dokładniej niepotrzebnych już kopii, które miała zniszczyć, związała w paczkę i wyrzuciła z mostu Poniatowskiego do Wisły. Popełniła wielką głupotę i o mało nie doprowadziła do wielkiej wpadki. Wyłowił je bowiem jakiś granatowy policjant i... przekazał tam, skąd pochodziły, to jest do referatu zbrojeniowego KG AK, z powrotem w ręce szpiegującego tam na rzecz AL Jaroszewicza. Skończyło się to dla niej naganą partyjną.

Ale śledczy nie dawali się łatwo zwodzić. Od tego rodzaju anegdotek bardziej interesowały ich bliskie stosunki aresztowanej z podejrzanym o współpracę z Gestapo, przedwojennym współpracownikiem sanacyjnego kontrwywiadu Jaroszewiczem, takie na przykład jak to, że od marca 1943 roku mieszkała u Jaroszewiczów na Żelaznej, czy to, że jako jego łączniczka przekazała raz list od niego kierownikowi komisariatu granatowej policji w Alejach Jerozolimskich. Jej poczucie znalezienia się w potrzasku, bez żadnej winy i szansy na ratunek, wzmagало to, że śledczy o tylu rzeczach wiedzieli. Trzymali przecież Jaroszewicza i wielu innych od roku. Wyglądało, że tamci wiele im już musieli powiedzieć. Teraz śledczy sprawdzali jednych przeciw drugim. Od „Frygi” chcieli wiedzieć, jakie informacje dostawał Jaroszewicz od granatowych? Co było w listach? Czy nosiła wiadomości dla Gestapo? Czy nosiła wiadomości dla AK?

I zawsze jak upiorny refren: jesteś gorsza od kurwy i dlaczego ciągle kłamiesz?

Jej towarzyszki niedoli usiłowały sobie radzić na różne sposoby – jedna piła mocz, żeby się rozchorować i przerwać konwejer przesłuchań, a najlepiej trafić choćby na krótko do lazaretu, o którym krążyły legendy, jako o oazie spokoju i dobrobytu w piekle Rakowieckiej. Inne symulowały chorobę psychiczną; inne jeszcze próbowały po prostu popełnić samobójstwo.

W celach całą noc paliło się światło. „Fryga” uważała, że to właśnie po to, by strażniczki mogły w czas zapobiec samobójstwom.

W obliczu niestworzonych oskarżeń o to, że pracując z Jaroszewiczem, pomagała AK i Gestapo rozpracować Armię Ludową, a nie mogąc oczekiwać znikąd pomocy, po kilku miesiącach „Fryga” zaczęła rozmyślać, jak pomóc sobie samej.

„Jak się przyznasz do wszystkiego, to wyjdiesz na wolność” – często powtarzali jej śledczy.

Zacząła się więc „przyznawać”.

Światło

NA DOKUMENTACH ZE ŚLEDZTWA HEDDY od samego początku pojawia się nazwisko wicedyrektora Departamentu X Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, Józefa Światły. Jak się okaże kilka lat później, historia Heddy była mu znana do tego stopnia, że miał nawet swoją własną, pikantną wersję tego, co zaszło pomiędzy nią, Bartoszkim i szefem sztabu Gwardii, Franciszkiem Józwiakiem...

Zanim do tego dojdzie, Światło zbiegnie na Zachód w 1953 roku, zabierając ze sobą, a następnie udostępniając za pośrednictwem radia „Wolna Europa”, a nawet ulotek zrzuconych nad Polską z amerykańskich balonów, niewiarygodną kopalnię wiedzy o kulisach „władzy ludowej”, w których przez lata odgrywał prominentną rolę.

Poza własnym pawilonem na Rakowieckiej Departament X ma tajne więzienie w willi w Miedzeszynie. Pierwszymi „lokatorami” Miedzeszyna, mającymi docelowo obciążyć Gomułkę i Spychalskiego, są Alfred Jaroszewicz i Włodzimierz Lechowicz. Hedda była jedną z łączniczek tego pierwszego w Armii Ludowej. Jego zatrzymanie poprzedzi jej aresztowanie.

Zakład karny we Wronkach

WEISSA WYWLECZONO Z CELI O ŚWICIE. Takie sytuacje się zdarzały. Nietypowe i co za tym idzie, wysoko niepokojące było to, że skuto go kajdankami, a klawiszom towarzyszyło dwóch uzbrojonych konwojentów KBW. Weiss ani się obejrzał, jak był już na trzecim, zewnętrznym dziedzińcu więzienia. Klawisze dosłownie wrzucili go do więźniarki, która ruszyła jak z kopyta ku bramie. Auto popędziło po wyboistym bruku, a skuty Weiss zwałił się z ławki jak worek kartofli. Z najwyższym trudem, opierając się plecami o ściankę, udało mu się wstać, kiedy gwałtowny zakręt w lewo znowu rzucił go na podłogę. Potem znowu były kocie łby i znowu zakręt w lewo. *Gdzie do diabła im się tak spieszy?*, kołatało się w głowie Weissa, kiedy nagle ciężarówka zatrzymała się tak gwałtownie, jak ruszyła na jakimś nieubitym placu, wzbijając obłok kurzu, który poprzez kratkę przy suficie zaczął przenikać do wnętrza. Kierowca wyłączył motor i zapadła cisza. Cała ich szaleńcza jazda nie trwała nawet dwóch minut. W tym czasie skręcili dwukrotnie w lewo. Weiss znał tę trasę, bo przebył ją kilka lat wcześniej w odwrotnym kierunku w kolumnie więźniów z kolejowej bocznicy. Z szoferki przenikał zapach papierosów. Gdzieś dalej ćwierkały ptaki, a jeszcze dalej słyhać było odgłosy parowozu. Byli więc na bocznicy i gdzieś go wysyłali. Tylko gdzie? I dlaczego samego?

Wspomnienia jego własnego przybycia do Wronek odżyły w pamięci Weissa poprzedniego dnia, wraz z przybyciem wielkiego transportu, ze stu więźniów, pewnie też kolejną, sprawnie przeżutych i połkniętych przez wronkowskiego molocha z czerwonej cegły. Jeden z nowo przybyłych trafił nawet pod celę Weissa. Niestety, nie był to nikt interesujący, tylko zwykły recydywista.

Więźniarka na bocznicy była tą samą, którą przybył wczorajszy transport. I znajdowała się w opłakanym stanie. Tylko na suficie nie było gówna. Zafajdane były kible, ściany i podłoga. Nic dziwnego: stu więźniów na dziesięć czteroosobowych klatek. Za to Weiss miał teraz całą tę zasraną „stołypinkę”

wyłącznie dla siebie. Ten zaszczyt pogłębił tylko jego niepokój. Zdegustowani kabewuowcy zostawili go w spokoju, a zmianę objął nowy konwojent, który rażno wziął się za mycie wagonu, który wkrótce podczepiono, jak zdradził Weissowi, do osobowego na Poznań.

Poznań? Coraz gorzej. Po trzech latach odsiadki Weiss odczuwał najwyższy niepokój już tylko przez to, że został wyrwany z więziennej rutyny, a to, że był w transporcie sam, że nie mógł się roztopić w masie towarzyszy niedoli, wprawiało go w przerażenie. *Czego, do diabła, od niego chcieli?* Do Poznania pracowity konwojent uwinął się z myciem wagonu, a kiedy znowu odstawiono ich na bocznicę, napił go, nakarmił i nawet podzielił się własną swoją kiełbasą, ale przy tym wszystkim nie chciał mu powiedzieć, dokąd jadą. Takie miał rozkazy. *Poznaniak!* Pół dnia stali w upale na bocznicy. Dopiero pod wieczór wagon podczepiono pod następny pociąg i dopiero kiedy ruszyli w dalszą drogę, konwojent, widząc zatroskaną minę Weissa, puścił wreszcie parę. Ten pociąg to był pośpieszny do Warszawy.

Warszawa! – pomyślał z rozrzewnieniem Weiss, a potem do niego dotarło: *Oczywiście Warszawa. Puzyński jednak wsypał! Jak mogłem być tak naiwny!*

Parę miesięcy, zanim Weissa zawieźli do Warszawy, wiosną, kiedy wydawało się już, że w czteroosobowej celi mieszczącej siedmiu więźniów nie pomieści się już nikt więcej, klawisze jak na złość dokooptowali im ósmego. Kiedy za nowym zatrasnęły się drzwi celi, Weiss od razu zauważył jego charakterystyczną postawę i spojrzenie. Nawet w więziennych łańkach, zmaltretowany, z rozlatującym się siennikiem pod pachą, nowy wyglądał na zawodowego oficera. W tym nie było nic oryginalnego – od dwóch, trzech lat komuniści wsadzali wszystkich jak leci, nawet swoich i nawet wojskowych. Ale ten okazał się oficerem policji. Oczywiście przedwojennej, i do tego kryminalnej. Można powiedzieć – kolega Weissa po fachu.

Więźniowie zaraz zaczęli obwąchiwać nowego, ale ten zupełnie nie był skłonny do zwierzeń. Jak to bowiem sobie obliczył jeszcze w transporcie, miał przed sobą jakieś dwa i pół tysiąca dni do odsiadki. Nie miał najmniejszego zamiaru przed nikim otwierać swej duszy w pierwszym z nich.

Raz już okazał nadmiar zaufania: ujawnił się w 1947 roku, w ramach powojennej amnestii, i został oficjalnie zrehabilitowany tylko po to, aby parę lat później zostać skazany z absurdalnego zarzutu o „przyczynienie się do klęski wrześniowej”. O tym, wbrew swojemu wcześniejszemu postanowieniu, powiedział Weissowi już po kilku dniach, a właściwie nocach spędzonych na twardych siennikach w bliskim sąsiedztwie kibla, dokąd Weiss się przeniósł, by z nim móc spokojnie gadać.

Było to nie lada poświęcenie z jego strony, bo z racji długości więziennego stażu Weissowi i trzem innym więźniom przypadły prycze. Trzech pozostałych rozkładało na noc sienniki na podłodze. Przy tym rozkładzie miejsc najnowszemu lokatorowi, Pużyńskiemu, przypadł kąć praktycznie pod samym kibelem, koło młodego kleryka o wiecznie różowych policzkach. Zafrapowany postacią tajemniczego oficera, Weiss zamienił się z klerykiem: z prestiżowej pryczy powędrował na podłogę obok nowego i przyznał mu się prosto z mostu, kim był. Czuł, że musi mu to powiedzieć, bo jasno widział, że po czterech latach więzienia po raz pierwszy spotyka nagle bratnią duszę, kogoś, czyje losy, a pewnie i pojmowanie świata, były bardzo podobnego do jego. W przeciwieństwie do współwięźniów Weiss nie obawiał się prowokacji, bo dawno uznał, że nie ma na sumieniu niczego takiego, za co stalinowskie władze mogły go ukarać jeszcze srożej, a jeźliby nawet postanowiły go represjonować za coś, czego nie zrobił, to i tak nie miał na to żadnego wpływu. Taką to sobie sformułował filozofię...

Pużyński ze swej strony bez wahania odpłacił mu szczerością za szczerość. I wtedy dopiero zaczęły się nocne policjantów rozmowy! A im dłużej rozmawiali, tym bardziej okazywali się sobie bliscy. Tak jak Weiss, Pużyński był przedwojennym gliną i tak jak Weiss służył potem w Kripo, w tak dobrze znanym Weissowi Krakowie.

Ich spotkanie sprawiło, że rozdział, który Weiss już dawno uważał za zamknięty, nie tylko otworzył się przed nim na nowo, ale nawet ukazał nieprzeczytane dotąd karty. Najmocniej przeżył fakt, że jego nowy towarzysz niedoli dobrze znał, jeszcze sprzed wojny, Reszczyńskiego.

I nie była to przelotna znajomość. Znał go dobrze. Służył razem z nim i wiedział o nim bardzo dużo, w tym różne, z pozoru nieistotne rzeczy, o których Weiss słuchał jak zauroczony. Na przykład zdradził mu taki szczegół, że pułkownik, który był wielkim służbistą i szalenie surowym dowódcą, okazywał wielką czułość zwierzętom. Uwielbiał psy i biada jego podwładnym, którzy o tym nie wiedzieli.

Innej nocy Pużyński opowiadał, że kiedy służył ramię w ramię z komendantem jako oficer łącznikowy w Lublinie, w 1939 roku, to ktoś chciał ich w jakiejś sprawie przekupić kurczakiem. I że wtedy Reszczyński z krzykiem przegnał łapówkarza, a później zwierzył się młodszemu koledze, że nie tyka drobiu od czasu, kiedy jako dziecko widział, jak zarzynano kurę...

– Hmm... – zadumał się Weiss. Przyszła jego kolej na wspomnienia o Reszczyńskim. Opowiadał bez ogródek o zdradzie żony i o tym, jak komendant wziął wówczas sprawę w swoje ręce.

– Czy da pan wiarę? Zatuszował cały skandal! Zaprzysiągł swoje policjantki z obyczajówki i cały komisariat do milczenia. Uratował mnie od wstydu przed całym światem. Osobiście odwiózł moją żonę, przyłapaną na cudzołóstwie w obskurnej bramie na Dietlowskiej, do domu. Zanim od nas wyszedł, dosłownie wlał we mnie flaszkę koniaku na uspokojenie. Ale ja byłem zbyt poruszony, więc po zamknięciu hrabiny na cztery spusty, z browningiem w kieszeni wróciłem do miasta. Godzinami błąkałem się po ulicach, aż znalazłem tego drania, Ellenberga, z którym przyprawiała mi rogi. Zapędziłem go na miejsce mojej hańby...

Na górnej pryczy recydywista przewrócił się z boku na bok, uwalniając przy tym głośno gazy. Weiss przerwał swoją opowieść.

Ale Pużyński już się wciągnął w tę intrygę jakby rodem z taniego romansu. Tracił go łokciem.

– I co dalej?

Weiss chętnie kontynuował.

– I byłbym rozwalił drania, gdyby nie hrabina. Jednak, wie pan, te kobiety... Wiedziona kobiecą intuicją, podniosła alarm. Dasz pan wiarę? Zadzwoiła w środku nocy do komendanta, żeby mnie szukał... Ten też miał nosa: znalazł mnie w tej samej bramie na Dietlowskiej, z Ellenbergiem na muszce. Stanął, proszę pana, między nami, no i tamten, rzecz jasna, prysnął. Ja, niewiele myśląc, przyłożyłem sobie lufę do skroni. Komendant jakieś pół godziny mi perswadował, żebym broń odłożył. Przemawiał do mnie jak ojciec, chociaż był przecież niewiele starszy ode mnie. Ręka zdrętwiała mi już od przyciskania pistoletu do czaszki, a on gadał i gadał, i gadał...

Tu Weiss zrobił pauzę, a Pużyński wstrzymał oddech w oczekiwaniu na kulminacyjny moment opowieści. Wreszcie Weiss, głęboko westchnąwszy, podjął ją na nowo:

– I wie pan, co przeważało szalę? – zapytał retorycznie. – Otóż gadając tak i gadając, chyba przypadkowo poruszył w dość obcesowy sposób sprawę pochodzenia Ellenberga. Powiedział, żebym sobie nie zawracał tym Żydem głowy. Nie miał złych intencji, wie pan, ale niechcący dotknął bardzo drażliwej kwestii. Bo widzi pan, ja jestem pół-Żydem. Zwyczajnym *mischlingiem*... Moja mamusia była Żydówką... Ale to jeszcze nie wszystko, ponieważ Żydem był również mój dziadek ze strony ojca. A ten fakt przeważa już szalę. W myśl ustaw norymberskich jestem Żydem! Żydem pełnej krwi, można powiedzieć...

Wyszeptawszy to Pużyńskiemu, w okolicach kibla w celi wronkowskiego więzienia, Weiss nagle poczuł, tak jak przed laty w bramie na Kazimierzu, nagłą i głęboką ulgę. Westchnął pełną piersią, wyciągnął się na twardym sienniku i kontynuował:

– Ale przecież był pan w policji po *Anschlussie*... – zauważył sensownie Pużyński – czyżby nikt się nie domyślał?

– Pracując w wiedeńskiej policji, w czas zatarłem fakty o moim pochodzeniu, gubiąc i niszcząc odpowiednie akta. Nikt nie znał prawdy. Ale wtedy na Dietlowskiej, reagując na jego słowa o Ellenbergu, w momencie słabości przyznałem się Reszczyńskiemu... W ten sposób powstała między nami ta szczególna więź. I dlatego nigdy sobie nie wybaczę, że nie dałem rady ująć jego zabójców.

– Wie pan – szeptał Weiss do ucha Pużyńskiego – wtedy ich motywy wydawały mi się zupełnie pozbawione sensu, ale dzisiaj, z perspektywy lat, rozumiem, że nie zrobili tego na pokaz. To było z góry ukartowane. Z Moskwy.

Pużyński z przekonaniem potakiwał w ciemności, a gdy Weiss zamilkł, odwrócił do niego głowę. Tak to wyglądała ich rozmowa: kiedy jeden szeptał, to drugi odwracał głowę na trzeszczącym sienniku i nastawiał ucha, a potem się zamieniali.

Teraz była kolej Weissa, by nastawić ucha.

– Wie pan, oni już wtedy czyścili przedpole dla nowej władzy – szeptał Pużyński. – Ma pan rację, los Reszczyńskiego był z góry przesądzony. Gdyby go wtedy nie załatwili, to skończyłby, jak jego zastępca, za Uralem.

– Za Uralem? – zapytał Weiss tak głośno, że recydywista zasyczał na niego z górnej pryczy.

Tamtej nocy Weiss długo nie mógł zasnąć. Zadumał się nad losem komendanta, jego zastępcy i nad swoim. Myślał, że właściwie z całej trójki powiodło mu się najlepiej. Jak by nie było – żył jeszcze. Zastanawiał się też, rzecz jasna, czy ten zbieg okoliczności, jakim było pojawienie się w jego celi tej bratniej duszy: byłego policjanta, kripowca, towarzysza służby Reszczyńskiego, był istotnie zbiegiem okoliczności? A jeżeli nie, jeżeli umyślnie podstawili mu Pużyńskiego, to jakie informacje chcieli od niego wyciągnąć? Przecież o niczym ważnym nie wiedział...

Pięć lat przesłuchań

PRZEZ PONAD PIĘĆ LAT ARESZTU Hedda nigdy nie została o nic formalnie oskarżona. Była przesłuchiwana niemal do samego końca, chociaż w miarę upływu czasu coraz rzadziej i coraz mniej w swojej, nie do końca określonej „sprawie”. Po najbrutalniejszym pierwszym roku śledztwa koncentrującego się na osobach jej byłego dowódcy z AL Jaroszewicza i jej byłego męża Albrechta, presja na nią ze strony śledczych zmalała, ale do końca nie ustała. Tak jak pozostałych zatrzymanych w ramach przygotowań do tzw. procesów odpryskowych, pośrednio związanych z główną sprawą Mariana Spychalskiego, Hedde regularnie przesłuchiowano w sprawach, o których nie miała pojęcia. Rozpracowując po kolei każdego z podejrzanych, śledczy przesłuchiwali ich na okoliczność podejrzeń wobec niemal wszystkich pozostałych. Nawet przy „najlepszej woli” i „pracowitości” oprawców cały ten proces wymagał czasu – nic dziwnego, że na przykład Hedde przetrzymywali przez bite pięć lat i ciągle czegoś od niej chcieli. Nie tylko w związku z głównymi figurantami śledztwa. Zachowały się „zlecenia” pobocznych przesłuchań „podejrzanej” Heddy „na okoliczność”: Witolda Górskiego, który pod pokrywką wulkanizatora prowadził dobrze jej znany punkt kontaktowy GL na Nowogrodzkiej, lub znanej Heddzie z ministerstwa malarki Janiny Domańskiej, która w 1949 roku „wybrała wolność” w Italii, czy też nieznanego jej akowca Bohdana Gębarskiego.

Inne przesłuchania miały posmak kryminalny. Na przykład po dwóch i pół roku aresztu śledczy Adamuszek przesłuchał Hedde wiosną 1952 roku na okoliczność maszyny do pisania „Olympia” zarekwirowanej w roku 1949 w trakcie rewizji jej mieszkania na Poznańskiej, a będącej własnością Biura Współpracy Kulturalnej z Zagranicą Ministerstwa Kultury – gdzie Hedda pracowała w momencie zatrzymania.

Ul. Rakowiecka

SPĘDZAJĄC WSPÓLNIE DŁUGIE MIESIĄCE, a czasem nawet i lata, współwięźniarki prędzej czy później zwierzały się przed sobą ze wszystkiego, poczynając od spraw rodzinnych, a na damsko-męskich kończąc. To niewiarygodne, ile można sobie powiedzieć, leżąc na rzuconych na beton twardych siennikach. Zaczynając od zwierzeń o mężach i kochankach, o świecie, który pozostał za kratami, z czasem kobiety przechodziły do tematów bieżących, do tego, co było treścią ich życia w mokotowskim więzieniu, do swoich śledstw. Co która powiedziała w śledztwie, co jej powiedzieli, co będzie dalej. Szeptaly o tym całymi nocami z Tosią, akówką oskarżoną, tak jak „Fryga”, o współpracę z Gestapo.

W stanie, w którym się znajdowała, „Fryga” nawet nie zauważyła, że to ona zwierza się Tosi w stopniu znacznie większym niż ona jej. A zaczęło się, jak zawsze, od mężczyzn w ich życiu.

Chociaż się rozeszli, to „Fryga” mówiła bardzo dobrze o Jurku. O tym, jaki jest pracowity, mądry i przystojny. Najwyraźniej wciąż go kochała. Rozstali się – mówiła – bo nigdy się nie zgadzali. Niestety, Jurek nigdy jej nie kochał. Teraz, po rozwodzie, „Fryga” miała kogoś, ale z Jurkiem utrzymywali dobre stosunki.

To w związku z Jurkiem „Fryga” załamała się w śledztwie.

– Jak tam Jureczek i jego brudne sprawy? – syczał jej regularnie do ucha major Dusza, a Różański tak długo mu wtórował, aż w końcu nie wytrzymał.

Jeden jedyny raz w śledztwie rzucił się na „Frygę”. Walił ją po twarzy i wyzywał od kurew francowatych. Po nim Dusza targał ją za włosy i bił po twarzy. Posiniaczona i z maltretowana, „Fryga” nie powiedziała ani słowa, które mogłoby obciążać jej ukochanego Jurka.

Zmyśliła gestapowca Wenera, którego miała odwiedzać na Dolnej z wiadomościami o Jaroszewiczu, którego też już nie broniła. Pograżała jego i coraz głębiej pograżała siebie. Śledztwo ją złamało, ale ponieważ nie miała się

do czego przyznać, musiała zmyślać swoje winy. Brnęła w nie coraz głębiej, aż wreszcie zaczęła sama mieć kłopoty z odróżnieniem fikcji o rzeczywistości.

Jak najszczerzej oskarżała samą siebie, nawet o to, że na przykład, skierowana przed wojną przez partię, by siać komunistyczne ideały w szeregach harcerstwa, założyła komunizującą drużynę harcerską u Świętej Jadwigi, ale jednocześnie brała udział w obozach harcerskich, gdzie właśnie tłoczono w głowy młodzieży antykomunizm. *Ergo* – prowadziła nieświadomie antykomunistyczną dywersję, czyż nie? Takie rzeczy zaczęły się dziać w głowie „Frygi”.

Zacząła się miotać. Zeznawać i odwoływać zeznania. Podzegały ją do tego Tosia i inne współwięźniarki. Śledczy wydawali się bardzo zadowoleni. Mówili, że anulują jej wcześniejsze zeznania, robili notatki i uprzejmie prosili przypomnieć sobie więcej. Mieli poczucie satysfakcji – prawda „Frygi” ewoluowała, pokonywała liczne zakręty, ale dryfowała powoli, konsekwentnie i nieuchronnie w stronę ich prawdy.

Ale w istocie nie było żadnej prawdy i żadnego łagodnego dryfowania. W istocie „Fryga” wpadła w wir opętania.

Zawsze lubiła i umiała rysować. Z głową pogrążoną w chaosie, ale pewną ręką zaczęła rysować swoją podobiznę w hitlerowskim mundurze. Siebie katującą więźniów w obozie. Śledczy byli zafrapowani, prosili o dalsze rysunkowe spowiedzie, a „Fryga” spełniała ich żądania. W oparciu o rysunki na wpół już nieczytalnej kobiety, śledczy formułowali coraz to bardziej obciążające oskarżenia, a „Fryga” podpisywała je bez mrugnięcia okiem.

Protegowani Spychalskiego

MARIAN SPYCHALSKI, ps. „MAREK”, przed wojną był znany jako utalentowany, młody architekt. Był działaczem komunistycznym, członkiem ścisłego kierownictwa PPR, GL i AL. Jego protegowanym był między innymi Franciszek Bartoszek, ps. „Jacek”. Zaraz po wojnie został wpływowym wiceministrem obrony. Za kilka lat znajomość ze Spychalskim będzie przekleństwem dla wielu. Ale zaraz po wojnie jest on na fali. Pomaga między innymi byłemu dowódcy „Czwartaków” – związku, który *de facto* zajął miejsce specgrupy Bartoszka – Lechowi Kobylińskiemu (ps. „Konrad”).

– Panie profesorze – pytam Lecha Kobylińskiego – czy cieszył pan się protekcją Mariana Spychalskiego?

– Kliszko[26] chciał mnie wepchnąć do Bezpieczeństwa, więc ja poszedłem do Spychalskiego, a on mnie wziął do Sztabu Wojska Polskiego i byłem tam jako taki pomocnik oficera operacyjnego. Byłem wciąż jeszcze rehabilitantem, bo po tym szpitalu nie byłem jeszcze sprawny. I tak do końca kwietnia czterdziestego piątego. Ale ja miałem ochotę studiować budowę okrętów w Gdańsku. Powiedziałem o tym Spychalskiemu, który mnie odkomenderował do batalionu rezerwowego w Nowym Porcie, w Gdańsku. Trafiłem tam, a potem zostałem komendantem straży stoczniowej. A w momencie, kiedy zaczął się rok akademicki tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego, to zacząłem studia. Spychalski mi pomógł. Polecił, żeby mnie zatrudniono w Oficerskiej Szkole Marynarki Wojennej. Nie byłem tam za bardzo obciążony i mogłem spokojnie studiować. A ja już byłem po szkole zawodowej i pierwszym roku tajnej politechniki podczas okupacji....

– Kiedy pański protektor, Marian Spychalski, został aresztowany w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku, to zamknięto też wielu jego współpracowników i towarzyszy. Czy pana też spotkały jakieś nieprzyjemności?

– Większość absolwentów mojego wydziału z przełomu czterdziestego dziewiątego i pięćdziesiątego zostało wziętych do marynarki wojennej, bo w związku z wojną koreańską oczekiwano rozbudowy floty wojennej. Ja dostałem się do stoczni marynarki wojennej, no i pracowałem tam dwa lata, ale bardzo się chciałem zwolnić z wojska, bo zależało mi na tym, żeby pracować naukowo, a nie w wojsku. Ale nie było wtedy rady. I pewnego dnia przychodzę do stoczni, a komandor Jasiński, który był komendantem stoczni MW mówi: „masz się zgłosić do działu personalnego sztabu MW w Gdyni”. A tam mówią: „w dniu dzisiejszym jesteś z wojska zwolniony”. Dostałem skierowanie do WKR-u. Musiałem oddać wszystko – umundurowanie, akta i tak dalej. I już nie jestem w wojsku. To było trochę podejrzane. To był ten okres procesu komandorów. Wzięli się wtedy za marynarkę wojenną. Bardzo się cieszyłem z tego, że zostałem zwolniony, ale trochę się bałem, bo nie wiedziałem dlaczego. To było podejrzane. I po dwóch tygodniach zjawił się u mnie żołnierz z wezwaniem, że na drugi dzień rano muszę się stawić w Sztabie Głównym w wydziale personalnym w Warszawie. Pojechałem do Warszawy, zgłosiłem się. W alei Szucha to było. Mówi mi proszę czekać. Po pół godzinie zjawia się pułkownik w mundurze lotnictwa, który mówi: „Na *pajedziem* do lotnictwa...”. Ja myślę sobie – *cholera o co chodzi, do jakiego lotnictwa, co ja mam z lotnictwem wspólnego?* No nic... Wsiadamy do samochodu, a on spojrzał na mnie i mówi: „Ja tylko tak *pawiedział*, że my do lotnictwa, a my *jadziem* do informacji...”. I ja się zacząłem bać. Pojechaliśmy do informacji i tam przesłuchanie. Przesłuchanie, które trwało od godziny dziesiątej rano do dziesiątej wieczór. Oni mnie przesłuchiwali, a ja nie wiedziałem o co chodzi. I czy mnie w ogóle zostawią, czy wezmą do więzienia i co to się będzie działo. Ale o dziesiątej wieczorem mnie puścili. Ja do tej pory nie wiem, o co chodziło. Ale przypuszczam, przypuszczam, że chodziło o Spychalskiego i być może szukali jakiegoś haka na niego, bo szykowano wtedy jego proces. Ale ja tak blisko z nim nie współpracowałem, nie miałem z nim wiele kontaktów. Miałem z nim dwa albo trzy spotkania wszystkiego. Jakieś tam posiedzenie sztabu... Oczywiście tam wypytywano mnie o różne rzeczy, bo rozpytywano mnie o mojego zastępcę z AL, Gustawa Rozłubirskiego, który wtedy był już z wojska wyrzucony. Pytano mnie o niego, czy on czegoś tam nie kombinuje. Ale mnie zwolniono i na tym się skończyło. To było niebezpieczne, ale ponieważ ja nie byłem w Warszawie blisko Spychalskiego, tylko byłem w Gdańsku i nie miałem z nim większych kontaktów, to tak mi się udało. To był koniec pięćdziesiątego drugiego roku, a potem w pięćdziesiątym trzecim umarł Stalin i nastąpił początek odwilży.

Więzienie na Rakowieckiej

W DRODZE PUSTĄ WIĘZIARKĄ Z POZNANIA DO WARSZAWY Weiss nie miał już żadnych wątpliwości, że jednak komuniści czegoś od niego chcieli, a Pużyńskiego wykorzystali, żeby go wybadać. Nie miał o to do niego żalu. Uważał go i tak za uczciwego człowieka. Znał metody UB. Pewnie szantażowali go, grożąc pozostałym na wolności jego bliskim...

W Warszawie Weissa posadzili i na kilka miesięcy o nim zapomnieli. Jeżeli chodziło o to, żeby go zmiękczyć, to tracili tylko czas: po Wronkach Weiss bez problemu dostosował się do nowego reżimu i znowu stopniowo zobojętniał. Nawet się już nie zastanawiał, czego od niego chcą. I kiedy w pewien słoneczny, jesienny dzień wreszcie przyszli po niego i zabrali na przesłuchanie, to siedł obokurnym korytarzem bez obaw. Ten błogi stan pogłębiło wyjątkowo uprzejme traktowanie ze strony śledczego, który przedstawił się, grzecznie prosił siadać, poczęstował papierosem i położył przed nim protokół jakiegoś przesłuchania do przeczytania. Weiss przez grzeczność zaciągał się papierosem i zagłębił w lekturze. Gdyby jeszcze miał w drugim ręku kawę, to równie dobrze mógłby czytać sobie teraz gazetę w wiedeńskiej kawiarni, a śledczy, major Dusza, mógłby być po prostu sąsiadem przy stoliku. Ale to, co było w protokole, wkrótce zakłóciło ten błogostan. Już po kilku stronach, starając się ukryć wzburzenie, Weiss obrócił kartki w poszukiwaniu nazwiska świadka. Kiedy je znalazł na pierwszej stronie, to nie od razu je rozpoznał. Pochodziło z tamtego, zamkniętego rozdziału. *Ernest Kempieński... Ernest Kempieński?*

No jasne. Jego bystry zastępca! Co za szuja!

Jak na brutalnego sadystę, śledczy, major Dusza, nie tylko wybornie udawał układowego oficera, ale „miał” do tego jakąś bardzo czułą „antenę”, wykrywającą niezawodnie najmniejsze drgania nastroju przesłuchiwanego. Coś takiego wyczuł właśnie u Weissa i przysunął się bliżej do dzielącego ich stołu...

Weiss to zauważył i z wszystkich sił udawał obojętność. Nie było to łatwe, zważywszy, że Kempieński, który tak ochoczo współpracował z Gestapo, utrzymywał zażyłe stosunki z gestapowcem Wolffem i zupełnie się ześwinił, ochoczo rozstrzeliwując cywilów na początku powstania, w swoich zeznaniach przypisał to wszystko jemu... Weissowi.

Więc dlatego przywieźli mnie do Warszawy...

Zachowując, jak mu się wydawało, twarz pokerzysty, Weiss dotarł do końca protokołu i niewinnie podniósł wzrok na śledczego. Ten beznamiętnie, a nawet z cieniem uprzejmego uśmiechu odłożył papiery do jednej tekturowej teczki, a z drugiej wyciągnął pojedynczą stronę maszynopisu. Pieczołowicie umieścił ją przed Weissiem i powiedział:

– A teraz to...

Weiss skinął głową.

Maszynopis był donosem do Gestapo. Po kilku zdaniach o zagrożeniu ze strony wspólnego wroga, żydokomuny, następowała lista nazwisk i adresów kilkudziesięciu osób. Nic z treści donosu z niczym, ale to z absolutnie niczym się Weissowi nie kojarzyło.

– Czy znacie ten dokument?

– Nigdy nie widziałem go na oczy.

– Oczywiście, że nie. To jest odpis. Czy widzieliście oryginał?

Weiss pokręcił głową:

– Nie. Nie pamiętam...

– Lepiej się zastanówcie. Kempieński zeznał, że to wy mu go pokazaliście...

– Kempieński kłamie.

– Kłamał – poprawił go śledczy. – Niestety, powiesił się w celi.

Nagle Weissowi przestało być wszystko jedno. Pomyślał, że jego też najprawdopodobniej znajdą powieszzonego w celi, więc co by mu szkodziło ze wszystkim się zgodzić i do wszystkiego się przyznać. A nuż zdarzy się cud? Może dożyje do końca odsiadki? A może nawet kiedyś zobaczy jeszcze swoją niewierną hrabinę przesyłającą mu paczki, które pomogły mu przeżyć piekło Wronek. Raz kozie śmierć!

Tylko ten odpis... Za nic nie mógł go sobie przypomnieć. Zaczął go czytać od początku.

Śledczy czekał cierpliwie.

Niestety, zbyt wiele się wydarzyło od 1943 roku. Weiss nie miał pojęcia, czy i kiedy widział oryginał tego donosu.

– Tak, przypominam sobie – powiedział solennie, podnosząc wzrok na śledczego.

Major Dusza skinął na protokolanta.

– Obersturmbannführer Wolff pokazał mi ten list w związku z pewnym śledztwem, które prowadziłem w czterdziestym trzecim roku, jako oficer śledczy policji kryminalnej...

Jak pies rzucony do wody instynktownie zaczyna przebierać łapami, tak Weiss zaczął instynktownie zmyślać.

Zastukotała maszyna do pisania, więc z myślą o protokolancie zrobił pauzę i wtedy przypomniał sobie nagle, że wcale nie musiał zmyślać, bo rzeczywiście znał ten dokument i że niemal dziesięć lat temu trzymał w ręku oryginał, przyniesiony mu przez Kempnińskiego.

– Główni podejrzani w moim śledztwie zginęli w akcji na Krakowskim Przedmieściu, od kul żandarmerii i granatowej policji... – Weiss starał się formułować zdania w sposób odpowiadający komunistycznej nomenklaturze. – Polski policjant, który ich zastrzelił, był typowym szubrawcem i ukradł trupowi teczkę z pieniędzmi. O tu. – Weiss przewertował maszynopis i wskazał palcem nazwisko. – O, kapitan Rotkiewicz.

Znowu zastukotała maszyna do pisania, a na twarzy śledczego pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

– Dobrze. Bardzo dobrze...

I tak wydarzył się cud.

Dusza zostawił go w spokoju. Ani się Weiss obejrzał, a już był w drodze powrotnej do Wroniek.

Podczas podróży nie tylko nikt Weissa ani razu nie uderzył, ale wręcz wydawało mu się, że eskorta otrzymała rozkaz, aby go dobrze traktować, bo podczas postojów suto go karmili i częstowali papierosami. Tylko starszy z dwóch konwojentów, kiedy prowadził go na stronę w sosnowym lesku i kiedy nikt ich nie widział, przywalił mu ni stąd, ni zowąd z całej siły kułakiem i łokciem po nerkach. Weiss długo wił się z bólu na podłożu z igliwia, a tamten tylko stał nad nim i tępo patrzył. Całą rodzinę rozwalili mu Niemcy, a więzień był – bądź co bądź – jakimś hitlerowcem.

Na kolejnym postoju, na szczęście, za potrzebą zaprowadził go ten młodszy. Z rękoma skutymi kajdankami, Weiss rozmyślnie celował w żółte suche liście. Tak jak się spodziewał, po poprzednim postoju sikał krwią. Nie mogąc sobie później z bólu znaleźć wygodnej pozycji, zwałił się z ławki na podłogę i próbował kołysaniem się więźniarki na wybojach utulić się do snu. Wyczerpany wielogodziną jazdą i obolały, nie mógł jednak zasnąć. Zaciśnął powieki i uporczywie usiłował przypomnieć sobie rzeczy miłe i kojące, dalekie od jego więziennej codzienności. Nie pamiętał ich wiele. Pod powiekami zamajaczyła mu postać hrabiny. Nie widział jej tak dawno, że zaczynał mieć trudności z przypomnieniem sobie rysów jej twarzy. Już lepiej pamiętał jej figurę...

I wtedy go olśniło. Przecież widział dzisiaj żywą, najprawdziwszą w świecie kobietę! Po raz pierwszy od co najmniej pięciu lat nie tylko widział kobietę, ale wręcz otarł się o nią, jej rozczochrane włosy musnęły jego ramię, a w nozdrza uderzył go jej kobiecy zapach. Jak mógł zapomnieć! Zaciśnął mocniej powieki, zwinął się z jękiem bólu w kłębek na deskach podłogi i próbował z całych sił odtworzyć w pamięci ten moment.

Było to w drzwiach pokoju przesłuchań w areszcie na Mokotowskiej. Wyraźnie usatysfakcjonowany zeznaniami Weissa, major Dusza pożegnał go i kazał wyprowadzić. Wartownik otworzył okute drzwi i Weiss o mały włos nie zderzył się z młodą kobietą o rozczochranych włosach i szalonym wzroku. Wrażenie jej szaleństwa potęgował fakt, że jedno oko miała podbite i zmrużone, a drugie jakby wybałuszone w obłądnie. Weiss najzwyczajniej w świecie się jej wystraszył i odskoczył od drzwi jak oparzony, powodując tym nagły wybuch śmiechu majora Duszy.

Ta kobieta na pewno nie znalazła się za drzwiami przez przypadek. Opamiętawszy się, Weiss zaczął węszyć podstęp. Ale jeżeli nawet był to jakiś rodzaj konfrontacji przez zaskoczenie i jeżeli śledczy chciał sprawdzić, czy tych dwoje świadków w prowadzonej przezeń sprawie nic nie łączy, to oboje próbę tę przeszli na medal. Dusza tak długo wmawiał aresztantce fraternizowanie się z hitlerowcami, że w końcu sama w to uwierzyła, mówiła o tym, podpisała zeznania, a nawet z talentem rysowała nieskromne ilustracje tej... fraternizacji. Ale z tym świadkiem, Dusza zobaczył to od razu, nie łączyło ją nic. Oboje zachowali się jak zupełnie obcy sobie ludzie. Ani major Dusza, ani żadne z nich nie mogło wiedzieć, że jednak mieli ze sobą coś wspólnego. Że ona była wdową po zabójcy, którego on bezskutecznie ścigał. Tego dnia w drzwiach pokoju przesłuchań w areszcie na Mokotowskiej otarli się o siebie po raz pierwszy i ostatni w życiu, a Weiss zapamiętał ją po prostu jako brudną, zmaltretowaną, cuchnącą, z obłądem w oczach, ale jednak przy tym wszystkim kobietę.

Jan Kott: „odpowiedziała cicho – jestem winna”

JAN KOTT PISZE W SWOJEJ BIOGRAFII, że dowiedziawszy się o aresztowaniu Heddy w 1949 roku – nie pierwszym wówczas w alowskich kręgach, ale pierwszym w jego kilkusobowej komórce AL – natychmiast skontaktował się z Julią Bristigierową, szefową departamentu w Ministerstwie Bezpieczeństwa, i wkrótce się z nią w sprawie Heddy spotkał. Bristigierowa obiecała wziąć sprawę w swoje ręce, ale na kolejnym spotkaniu miała dlań złe wiadomości:

„Pomyliliście się, profesorze – relacjonuje jej słowa Kott. – Hedda była w agenturze na długo, zanim się poznaliście. Tej jeszcze nocy, kiedy zginął bohatersko towarzysz Bartoszek, odbyła się orgia w burdelu na Złotej. Hedda brała w niej udział razem z co najmniej pięcioma oficerami z Gestapo”.

Bristigierowa pokazała mu zeznanie tejże treści, jakoby osobiście podpisane przez Heddę i poradziła wziąć przykład z jej męża, członka Jerzego Albrechta, który, jak powiedziała, w sprawie żony nie interweniował[27].

Kott opisuje uwolnienie Heddy wiosną 1954 roku. Relacjonuje, że kiedy ją spotkał nazajutrz po wyjściu z więzienia, to jej ogromne niebieskie, przezroczyste oczy wydawały się „zupełnie martwe”. Mówił jej, że jest niewinna, że Różański został oddany do dyspozycji prokuratury. „Jesteś niewinna” – powtarzał, a ona odpowiedziała cicho – „Jestem winna. Wszyscy jesteśmy winni, Janku. Zostałam zrekrutowana jeszcze w Hiszpanii w 1936 roku”.

Szok Kotta wydaje się tym większy, że – jak pisze – wszystko to Hedda mówi cichym, naturalnym głosem.

„Po tygodniu – wspomina – pojechała do zakładu zamkniętego”.

Ul. Poznańska

Z CZASEM „FRYGE” PO PROSTU WYPUŚCILI. Śledczy już dawno zrozumieli, że jest chora. Na Rakowieckiej były nieco wygodniejsze cele. W takiej celi dali papier i akwarele, i „Fryga” rysowała i malowała. Szczególnie lubiła malować takie historyjki obrazkowe. Z tej celi także częściej wypuszczali ją na spacer. I w końcu ją wypuścili. Był piękny maj 1954 roku. Zrozpaczony ojciec musiał jej pomagać w kąpieli, taka była zmaltretowana. Nazajutrz po zwolnieniu odwiedził ją Janek. Wspominał potem, że była jakby nieobecna, a jej ogromne niebieskie oczy wydawały się martwe. Mówiła coś o pisaniu odręcznego życiorysu o ponumerowanych kartkach i że wszyscy byli winni, a ona została rekrutowana w Hiszpanii w roku 1936. Po tygodniu ojciec zawiózł ją na leczenie do Kościana. Potem trwała terapia, ale, jak to ujął Janek, „Fryga” „dalej została w areszcie”. Jednak poprawiło jej się, ukończyła historię sztuki, a w trzy lata po wyjściu z więzienia urodziła córkę. Nie rozpowiadała, kto był ojcem. Obrazy „Jacka” „Fryga” oddała do muzeum. Później zaczęła pracować w miesięczniku „Polska” z Młodożęncem, którego znała jeszcze, kiedy jej ojciec uczył go przed wojną w szkole im. Stefana Batorego. Ale, tak jak wspominał Janek, nigdy nie przyszła tak całkowicie do siebie. W jej głowie fakty splatały się z fikcją. W latach sześćdziesiątych opowiadała siostrze, że była łączniczką generała de Gaulle’a i że do Chin jeździła na jakieś tajne operacje. Opowiadał o tym w sposób tak przekonujący, że było to straszne. Ale naprawdę głęboki kryzys zbiegł się z przesileniem 1968 roku. Siostra i córka z najwyższym trudem namówiły ją na leczenie w Tworkach pod opieką doktor Kołakowskiej. Szło dobrze, aż do czasu, kiedy Kołakowscy zmuszeni byli wyjechać do Izraela. Nowemu lekarzowi „Fryga” nie ufała i odmawiała przyjmowania leków. I tak już było do końca. Taka huśtawka.

Kult Bartoszka

GRZEBIĄC TAK JAK JA W HISTORII, człowiek znajduje dokumenty i relacje bez ładu i składu. To nie wykopaliska, gdzie artefakty potulnie czekają na ich wydobycie w chronologicznych warstwach. Takim niepotulnym znaleziskiem była dla mnie poświęcona Bartoszkowi audycja rocznicowa Polskiego Radia z 1963 roku. Wywróciła ona do góry nogami niektóre moje wyobrażenia o nim samym i o Heddzie, oraz naprowadziła na wcześniej niepodjęte tropy. A wszystko to pomimo faktu, że była przede wszystkim przedsięwzięciem propagandowym. Dobrym przykładem tego, jak budowano kult Bartoszka – romantycznego, komunistycznego bohatera, co to z „kapitalistycznym wyzyskiem” walczył paletą i pędzlem, a z okupantem z bronią w ręku. Proces ten na dobrą sprawę rozpoczął się od jego pośmiertnej nominacji przez dowództwo Gwardii Ludowej na stopień podpułkownika, wraz z odznaczeniem nowo utworzonym Krzyżem Grunwaldu III klasy, już w styczniu 1944 roku. W latach powojennych kult budował konsekwentnie Marian Spychalski, ps. „Marek” – autor tekstu w „Odrodzeniu” z 1946 roku, który również poświęcił mu sporo miejsca i dobrych słów w swoich wspomnieniach *Początek walki*. Pomógł też pewnie drugi mąż Heddy, Jerzy Albrecht, pod którego sekretarskimi rządami w powojennej Warszawie ulica Żłota przez pięć lat nosiła imię Bartoszka. Do tego dochodziła tablica pamiątkowa w Czarnkowie i poznańskie liceum plastyczne im. Bartoszka. Dwudziesta rocznica śmierci „Jacka” przynosi wspomnianą już audycję radiową, a w rok później kierowane przez już nie generała, lecz marszałka Mariana Spychalskiego Ministerstwo Obrony Narodowej ustanawia nagrodę plastyczną imienia Bartoszka i Bobowskiego.

Audycja *Pędzel i karabin* rozbrzmiewa na falach Polskiego Radia w dwie czerwcowe soboty 1963 roku. Jej autorzy to były ałowiec Zbigniew Lipiński i wytrawny radiowiec, zmarły dopiero w 2016 roku, Bogusław Czajkowski. Zestawiając ich sylwetki nietrudno sobie wyobrazić podział pracy nad audycją.

Lipiński, który przez wiele lat piastował ważne funkcje na wysuniętych placówkach propagandowych w dziale publicystyki i informacji radia, był niewątpliwie odpowiedzialny za kręgosłup ideowy programu, Czajkowski zaś czuwał nad stroną dziennikarsko-radiową. Czajkowski otrzymał w 1963 roku (i w wielu następnych) nagrodę prezesa Radiokomiteu za audycję historyczną, choć trudno dziś ustalić, czy właśnie za tę o Bartoszkach.

Jako piszący o Bartoszkach słuchałem tej audycji z szeroko otwartymi ustami. Jako były radiowiec nie byłem jednak pod równie wielkim wrażeniem. Z około pięćdziesięciu minut programu większość nagrana jest najwyraźniej za jednym zamachem. Wygląda na to, że koledzy Bartoszkach z ASP – Helena Wolińska z Gwardii Ludowej i Hedda Bartoszek – nagrani zostali podczas jednorazowej rozmowy w studiu. Rozmowę nieco podmoutowano i trochę uporządkowano wątki. Przy studyjnym stole jednych słyhać lepiej, drugich gorzej. Proporcje długości wypowiedzi są niewspółmierne do ich wagi. Innymi słowy – arcydzieło sztuki radiowej to na pewno nie jest, a do największego zgrzytu (nie tylko warsztatowego) dochodzi pod koniec audycji, gdzie dofastrygowana jest wygłaszana przez byłego szefa sztabu GL Jóźwiaka sztywna „mowa-trawa”, nagrana wyraźnie zupełnie gdzie indziej. No, ale towarzysz tej rangi to przecież gwóździł programu, a to, że zgodził się na nagranie, to wielki dla twórców był zaszczyt.

Kraków, Krzywa 10

WEISS WRACAŁ ZE ZBORU. Upał, więzienne choroby i sześćdziesiątka na karku sprawiały, że z najwyższym trudem, sapiąc i szurając, wspinał się ku swej stacji na trzecim piętrze. Na domiar złego w pół drogi dopadł go kaszel gruźlika. Wtedy zauważył przy poręczy u szczytu schodów swoją gospodynię. Sygnalizowała nerwowo w jego kierunku – jedną ręką, żeby był cicho, a drugą, żeby nie wchodził na górę. Odkaszlawszy, Weiss zignorował ją i kontynuował mozolną wspinaczkę. Kiedy dotarł do ostatniego półpiętra przed celem, gospodyni dała za wygraną. Wzięła się tylko pod boki i kręciła z dezaprobatą głową. A kiedy ją beznamietnie minął w progu, to wyszeptała za nim trwoźnie:

– U pana jest tajniak!

Weiss znalazł się w korytarzu i popchnął palcem uchylone drzwi swojego pokoju. Odwrócony do niego plecami przy stole pod oknem, przewracając palcem leżące tam stosy papierów, stał mężczyzna w jasnym garniturze. Usłyszawszy pisk zawiasów i rżenie oddechu Weissa, odwrócił się ku niemu. Był nieco zgarbiony i miał przyprószone siwizną skronie, ale Weiss od razu go poznał.

Ellenberg!

Tamten skinął, żeby Weiss zamknął za sobą drzwi.

Nie widzieli się od łódzkiego procesu Weissa, czyli – ile to już? Dziesięć lat!

– Ja też dopiero niedawno wyszedłem – powiedział Ellenberg, jakby od niechcenia unosząc w górę wronkowską wypiskę Weissa.

– Proszę?

– Koncepcja spisku w armii. Wmieszali mnie w to. Siedziałem cztery lata. A pan? Skąd pan się wziął w Krakowie?

– We Wronkach zrobili mi wypiskę na przedwojenny adres. Na Kraków. Gospodyni powiedziała, żeś pan tajniak, więc myślałem, że pan wie.

– Coś jej musiałem powiedzieć.

– Aha! A więc wizyta prywatna – pokiwał głową Weiss. – Dlatego grzebie pan w moich rzeczach...

Ellenberg w końcu odwrócił się od stołu

– Proszę wybaczyć. Czekalem na pana i rzuciłem okiem. Widzę, że wciąż nie daje pan za wygraną. Grzebie pan w dawnych dziejach... Struktury Gwardii? Po co to panu?

– Czego pan chce?

Ellenberg przysunął sobie krzesło. Rozgościł się.

– Przyszedłem się pożegnać.

– Tak? No to żegnam. – Weiss podszedł do stołu i zaczął porządkować rozgrzebane przez gościa papiery.

– Pan też powinien wyjechać, panie inspektorze. Co pan tu jeszcze robi?

– Czy pan wie, co by ze mną zrobili w Austrii?

– Jest jeszcze Izrael. Teraz jest dobry czas.

Weiss spojrział uważnie na gościa. Powoli podszedł do komódki w rogu, napełnił dwie szklanki wodą i włożył do pierwszej elektryczną grzałkę.

– I czegoż to ja, były funkcjonariusz Kriminalpolizei i były członek NSDAP, miałbym szukać w Izraelu? Panie Ellenberg!

– Jest pan Żydem. A za pana szlachetność ja poświadczę osobiście. Człowieku! Uratował mi pan życie.

Weiss nie podjął tematu od razu. Zaczekał, aż woda się zagotuje, po czym przełożył syczącą grzałkę do drugiej szklanki, a do pierwszej nasypał herbaty z papierowej torebki.

– Z tym moim żydostwem to nie przesadzałbym. Osobiście zniszczyłem wszelkie dokumenty i zatarłem wszystkie ślady. I nigdy tak naprawdę się do niego nie poczuwałem. – Zrobił wolne miejsce na brzegu stołu i postawił przed gościem szklankę z herbatą.

– Ale tutaj tylko napyta pan sobie biedy. Struktura dowództwa Gwardii Ludowej? Wspomnienia Światły przepisane z Wolnej Europy? – Ellenberg wskazał wzrokiem stosy papierów. – Józwiak, Gomułka, Spychalski... po co to panu?

Zamiast odpowiedzi Weiss podstawiał mu słoik z cukrem. Sam nasypał sobie kilka kopiastych łyżeczek, zamieszał i z lubością zanurzył usta w lukrowatej gorącej herbacie.

– Dowiodę, kto wydał rozkaz na Reszczyńskiego – powiedział, oblizując wargi.

– Bzdura, drogi panie. Im wszystkie rozkazy wydał Stalin!

Weiss odstawił szklankę z herbatą. Chciał zaoponować. Powiedzieć, że to ogromne uproszczenie, ale nie zdołał wykrztusić z siebie ani słowa. Zamiast

ukoić, gorący napój spowodował, że Weiss rozkaszał się na nowo ze zdwojoną siłą. Jedną ręką zasłaniał usta, a drugą oparł się o ścianę. Odwrócił się plecami do Ellenberga, a kaszel targał jego całym ciałem.

Korzystając z okazji, Ellenberg wstał z krzesła i zgarnawszy ze stołu garść zapisków, podszedł do kaflowego pieca i otworzył żeliwne drzwiczki. Wracając kilkakrotnie do stołu, aż systematycznie napchał piec i przystawił do papierów płonąca zapalkę. W tym momencie Weiss przyszedł od siebie. Ujrzał bijący z pieca blask, opróżniony stół i Ellenberga z wyrazem twarzy człowieka, który właśnie uratował bliźniego przed nim samym.

Weiss uśmiechnął się w środku. Te szpargały były i tak bez znaczenia, bo przecież wszystkie zapisane w nich fakty były i tak, na zawsze, głęboko wyryte w jego pamięci.

Aby to zademonstrować, przysunął do stołu krzesło, wyjął kieszonkowy notes i skinął na Ellenberga. Na dole strony napisał nazwisko Reszczyńskiego.

– Zamordowany – powiedział, wskazując je koniuszkiem ołówka.

Nieco wyżej narysował strzałkę, a nad nią nazwisko Bartosza.

– Zabójca!

Nad Bartoszem i nad kolejną strzałką napisał: „Strzeszewski”.

– Dowódca Grupy Specjalnej Sztabu Głównego Gwardii Ludowej – wyjaśnił i nad kolejną strzałką napisał po raz pierwszy imię i nazwisko: „Franciszek Józwiak”.

– Szef Sztabu Głównego Gwardii Ludowej i członek KC PPR, a obecnie wicepremier – powiedział dobitnie. – Mam kontynuować?

Hanka wnosi o starcie wyroku

„DO SĄDU WOJEWÓDZKIEGO W KATOWICACH

Wydział Karny

Dotyczy sprawy Wojskowego Sądu Okręgowego w Katowicach sygn. akt 0.53/45

Hanna Tomczykiewicz z domu Reszczyńska
Kraków, Osiedle Rydla blok 1/16
Działająca przez obrońcę
Mec. Stanisława Janikowskiego, adwokata
Kraków, ul. Sławkowska 6 Zesp. Adw. nr.10

Podanie o zatarcie skazania.

Wyrokiem b. Wojskowego Sądu Okręgowego z dnia 22 listopada 1945 r. sygn. C. 53/45 Hanna Reszczyńska obecnie zameżna Tomczykiewicz skazana została na karę 10 lat więzienia za przestępstwo z art. 29 KKWP w zw. z art. 225 §1 K.K., którą to karę na mocy ustawy o amnestii z roku 1947 zmniejszono do lat 5.

Skazana odbyła zmniejszoną na mocy amnestii karę więzienia i od czasu opuszczenia więzienia prowadzi nienaganne życie, nie była nigdy później karana, nie stawała przed sądem. Skazana pracuje od szeregu lat jako artystka dramatyczna, ostatnio i obecnie w Miejskim Teatrze Rapsodycznym w Krakowie, ul. Skarbowa 2.

W związku z powyższym skazana prosi o zatarcie skazania orzeczonego w wymienionym na wstępie wyroku.

St. Janikowski
adwokat”.

Dzwonię do Hani, żeby zapytać ją, czym się kierowała, wnosząc na początku lat sześćdziesiątych o zatarcie wyroku z 1945 roku. Czy chodziło jej o skazę na życiorysie, który w PRL-u zawsze znajdował się w aktach pracownika, czy też o dyskomfort psychiczny i poczucie niewinności? A może o możliwość wyjazdu do Anglii, gdzie już znalazła się jej mama?

Dzwonię do niej także z życzeniami bożonarodzeniowymi, a w końcu zapominam nawet zapytać o ten wniosek, bo Hanka okazuje się w słabej formie. Wróciły jej skoki ciśnienia i bez tej odkładanej na później operacji chyba się jednak nie obejdzie.

– Kiedy operacja?

– Lekarz powiedział mi, że jakbym była umierająca, to żebym się natychmiast zgłosiła – mówi Hania.

Hmm...

W tej sytuacji moje pytanie, nie jest aż takie ważne. Zapytam przy następnej okazji.

Kraków, bohaterów Stalingradu, luty 1961

KRAKÓW ŻEGNAŁ WEISSA PRZERAŻLIWYM CHŁODEM i mdłym światłem latarni ledwie przebijającym się przez mgłę zagęszczoną wyziewami z tysięcy węglowych pieców. Tylko nie z jego pieca. Złośliwa gospodyni stacji, wiedząc, że Austriak rano wyjeżdża raz na zawsze, nie pofatygowała się nawet mu napalić, siedział więc pośrodku swego ogołoczonego z całego dobytku pokoiku, chuchając w zmarznięte dłonie i nie wiedząc, co ze sobą do wieczora począć. Decyzja o wyjeździe do Ameryki, za jaki tyłu wtedy po tej stronie żelaznej kurtyny dałoby sobie prawą rękę uciąć, wcale nie przyszła mu łatwo, ale hrabina nalegała. Słała mu list za listem, telegram za telegramem, aż w końcu uległ. Najpierw pojechał do amerykańskiej ambasady po wizę. Nie był w Warszawie od czasów przesłuchania na Mokotowskiej, a i wtedy mało co widział przez kratę więźniarki. Teraz, piętnaście lat po wojnie, Warszawa w ogóle nie przypominała mu miasta, które kiedyś znał. Tam, gdzie kiedyś Marszałkowska przecinała Aleje, szerokie prospekty zbiegały się teraz przy drapaczu chmur zwieńczonym złotą iglicą. Tak Weiss wyobrażał sobie raczej stalinowską Moskwę niż Warszawę, którą tak dobrze znał. Ale czuł się tu obcy nie tylko dlatego. Był tu obcy. W tej Warszawie, w tym Krakowie, gdzie wśród żywych nikogo już nie znał i w ogóle w Polsce. W więzieniu wśród hitlerowców i akowców czuł się bardziej w domu niż na wolności. W drodze powrotnej do Krakowa ostatecznie pogodził się z powziętą za niego przez hrabinę decyzją. Nic tu więcej po nim. Tym bardziej że nie był już młody. Więzienie zniósł niby dobrze, ale jednak – co osiem lat to osiem lat i zdrowie zaczęło mu powoli szwankować. Zwłaszcza płuca po więziennej gruźlicy. A w Ameryce, przekonywała go hrabina, mają przecież najlepszych lekarzy...

Rano będzie zatem w pociągu do Gdyni, a dzień później na „Batorym”. W kabinie pierwszej klasy z widokiem na morze i własną łazienką. Hrabina była

taka dumna z tej kabiny, którą mu zafundowała. Taka się z niej zrobiła Amerykanka.

A za dwa tygodnie będzie w Nowym Jorku... Gdyby był młodszy, zdrowszy, mniej pogodzony z losem, to może nawet odczułby teraz iskierkę podniecenia. Ale nie czuł nic.

Popatrzył na zegarek i podniósł się z zydlu. Czas było udać się do teatru. Cóż innego bowiem może ze sobą począć jutrzejszy emigrant, już spakowany, siedzący na walizkach, z ostatnimi godzinami na polskiej ziemi do zabicia? W Krakowie? Oczywiście – pójść do teatru.

Afisz z nazwiskiem „Ity” Weiss zobaczył zaledwie na kilka dni, można powiedzieć w ostatniej chwili, przed wyjazdem. Przez brudną szybę gabloty przyglądał się jej zdjęciu. *Wykapany ojciec* – pomyślał. Kupił bilet na przedstawienie. Nie miał zamiaru zawracać jej głowy, chciał tylko ją zobaczyć, ze względu na pamięć o komendancie. I to zobaczyć ją szczególnie tu, w Krakowie, gdzie splątały się jego i komendanta losy.

Po zostawieniu płaszcza w szatni przypomniało mu się, że kiedyś słyszał, jak to podobno bolszewicy nakłonili masy do uczęszczania do teatrów, po prostu dobrze je ogrzewając. W teatrze było gorąco jak w łaźni, a sztuka była współczesna. Pocił się więc i nic z niej nie rozumiał, poza tym, że w pierwszym akcie chodziło o młode małżeństwo czekające niecierpliwie na śmierć matki. Błogie ciepło i spokojnym jazzowy podkład muzyczny przedstawienia całkiem go rozłożyły. Zasnął jak osesek. Drzemałby i na drugim akcie, gdyby nie to, że na niewielkiej scenie zjawiała się wreszcie córka komendanta. Weiss dalej nie rozumiał nic z intrygi, ale oczu nie mógł oderwać od „Ity”, którą widział przecież tylko raz w życiu, jako dziecko, ale która była tak szalenie podobna do ojca, że Austriakowi ciarki przeszły po plecach. Przedstawienie wkrótce się skończyło i Weiss znalazł się z powrotem na mrozie. Zastawiał się, czy nie zaczekać na „Itę”, nie podejść i nie przedstawić się, ale zdecydował dać spokój. Usiadł tylko w knajpce naprzeciwko z dobrym widokiem na wejście do teatru i zamówił dużą wódkę.

Ulica wnet opustoszała, a przed teatrem pojawił się wysoki przystojny mężczyzna z synem. Chłopak miał może dziesięć lat. Wreszcie z teatru wyszła „Ita”, która nieco teatralnie ucieszyła się na ich widok. Mężczyzna chciał zatrzymać taksówkę, ale ona powstrzymała go gestem i we troje oddalili się opustoszałą ulicą.

– Gratuluję wnuka, panie komendancie – powiedział cicho Weiss i wznosił toast pustym kieliszkiem.

Śmierć Bartoszką: teoria trójkąta

CHOCIAŻ W AUDYCJI O BARTOSZKU po raz pierwszy usłyszałem na własne uszy głos Heddy, to znacznie ciekawsze od niej rzeczy mówiła była szefowa biura sztabu generalnego GL, Wolińska, a w szczególnie ciekawy sposób wystąpił, nic konkretnego właściwie nie mówiąc, dowódca Bartoszką, Franciszek Jóźwiak, były mąż Wolińskiej.

Jóźwiak i Wolińska byli małżeństwem w momencie śmierci Bartoszką. A za tę śmierć, według zbiegłego na Zachód w 1953 roku dygnitarza bezpieczeństwa, Józefa Światły, odpowiedzialny był osobiście Jóźwiak.

Z jego wspomnień, nagranych i rozpowszechnionych przez Radio Wolna Europa, wynika sensacyjna wersja wydarzeń, które doprowadziły do śmierci Franciszka Bartoszką. Jeżeli jest ona prawdziwa, to nadzorując wiele lat później śledztwo w sprawie Heddy Bartoszek – a na wielu zachowanych dokumentach widnieje jego podpis – Światło posiada wręcz intymną wiedzę na jej temat.

Radio Wolna Europa oddelegowało do Stanów Zbigniewa Błażyńskiego, jednego ze swoich najlepszych dziennikarzy, który pod czujnym okiem CIA na przestrzeni kilku miesięcy zredagował i nagrał ze Światłą kilkadziesiąt programów, nadawanych przez Wolną Europę, a nawet rozrzuconych nad Polską w formie drukowanej z amerykańskich balonów. Codzienna, wielotygodniowa współpraca dziennikarza i zbiegłego ubeka wyglądała w ten sposób, że jednego dnia Światło opowiadał, a Błażyński notował, drugiego zaś Światło poprawiał i nagrywał zredagowane przez niego notatki, a potem dalej dyktował kolejne.

Tak więc możemy sobie wyobrazić, że pewnego jesiennego dnia w 1954 roku, gdzieś w Waszyngtonie lub w jego okolicy, bo ze względów bezpieczeństwa miejsca spotkań stale się zmieniały, Błażyński wręcza Światle zredagowane notatki z poprzedniego dnia. Zawsze schludny i elegancki Światło, pykając z fajki, niespiesznie je przegląda, nanosi kilka poprawek, po czym daje znak, że jest gotowy do nagrania. Błażyński sygnalizuje technikowi. Taśma startuje.

Tego dnia Światło czyta swoje wspomnienia o byłym szefie sztabu GL, Franciszku Józwiaku. Czyta lekko pogardliwym tonem o jego młodości, o karierze w szeregach Komunistycznej Partii Robotniczej Polski i wreszcie o funkcji szefa sztabu Gwardii. I tu właśnie docieramy do sensacji.

Na zachowanym do dziś w archiwum Polskiego Radia nagraniu Światło mówi: „W czasach, kiedy Józwiak pełnił służbę szefa sztabu Gwardii Ludowej, miał w swych szeregach młodego i dzielnego chłopaka, niejakiemu Bartoszkowi. Bartoszek był żonaty i do jego żony bardzo się spieszyło szefowi sztabu Gwardii Ludowej. Co zrobił Józwiak?”.

Do nagrania odziedziczonego po Wolnej Europie przez Polskie Radio dotarłem w ostatniej fazie pracy nad *Niewygodnym Polakiem*. Znalazłem je na stronie internetowej radia. Z opisu urywka wynikało, że Światło mówi coś o Józwiaku, a nagranie rozpoczynało się od informacji, że w latach dwudziestych Józwiak potajemnie starał się o przyjęcie w szeregi policji. Starał się w Lublinie, niewykluczone, że w tym samym okresie, kiedy służył tam Aleksander Reszczyński. Józwiak nie został przyjęty do policji i jest wysoce nieprawdopodobne, aby Reszczyński miał z tym cokolwiek wspólnego. W przeciwnym razie cóż to byłoby za odkrycie! Zleceniodawca zabójstwa komendanta policji został przez niego kiedyś odrzucony jako kandydat na policjanta!

Powyższe to, rzecz jasna – czysta fantazja, ale przez krótką chwilę przekonany byłem, że informacja o zbiegu życiorysów Józwiaka i Reszczyńskiego będzie jedynym pożytkiem ze słuchania wspomnień Światły. I właśnie wtedy Światło zaczął mówić o Bartoszkowi, a ja nadstawiłem uszu. Okazuje się, że Józwiak ma chętkę na Heddę. I co robi?

Według Światły: „Wysłał Bartoszkę z małym oddziałem na niebezpieczną i nieprzygotowaną, ryzykowną akcję. Młody Bartoszek broni się, tłumaczy, że akcja jest nierozpracowana, nie ma planu zabezpieczenia, nie ma żadnych warunków jej wykonania. Ale rozkaz został wydany i podkomendny musi go wykonać. Grupa Bartoszkę podejmuje akcję i zostaje niemal do nogi wybita przez Niemców. Bartoszek ginie. Uratował się tylko jeden człowiek, który przedostaje się do Józwiaka, aby mu zameldować o nieudaniu się akcji. Zastaje go w domu Bartoszkę. Józwiak jest w kałesonach, a żona młodego chłopaka, który zginął, w łóżku...”.

M/S „Batory”, północny Atlantyk

JEDNAK TEN ELLENBERG MIAŁ RACJĘ, trzeba było już dawno rzucić to wszystko w diabły. Kogo to wszystko jeszcze obchodzi? Kto, poza najbliższymi, tak naprawdę chce wiedzieć, kto kogo, kiedy i dlaczego zamordował? Kto komu czym wadził? Kto wydał rozkaz, a kto pociągnął za spust? Przecież każde dziecko wie, że zrobili to oni. Oni, którzy na ruskich bagnietach podbili Polskę i uczynili ją sowiecką kolonią. Czy wobec totalitarnego potopu pojedyncze śmierci, pojedyncze tragedie w ogóle się jeszcze liczyły?

– Jeszcze jeden kieliszeczek whisky, proszę pana?

Weiss ocknął się z zamyślenia. Tłuściutki barman uśmiechał się przymilnie. Za oknem baru pierwszej klasy szarzał północny Atlantyk, a w przytulnym wnętrzu podświetlone rzędy lekko podzwaniających butelek na półkach i przyćmione światła tworzyły ciepłą atmosferę – błogą jak skutki Chivas Regal w jego organizmie.

Skinął głową. Tak, jeszcze jeden kieliszeczek. Jako lokator zewnętrznej kabiny pierwszej klasy, tu na pokładzie łodziowym, nigdy w życiu nie miał jeszcze tak blisko z ulubionego baru do swojego łóżka i mocne postanowienie, by tę sytuację wykorzystać do maksimum.

Weiss musiał się przyznać przed samym sobą, że już po pierwszej dobie w objęciach luksusu na pokładzie transatlantyku cały *angst* minionej dekady przeszedł mu jak ręką odjął. Hrabina była jednak bardzo mądrą kobietą. Nawet jego kaszel zelżał od słonego morskiego powietrza. A we wnętrzach! Te puchowe kołdry i poduszki, te pachnące mydełka i wody kolońskie, nie mówiąc o barze pierwszej klasy. Wszystko to głuszyło złość, poczucie swojej i obcych krzywd i inne wzniosłe idee, które tłukły mu się po głowie jeszcze w pociągu i jeszcze na gdyńskim nabrzeżu. Nie przeszli jeszcze Kanału Kilońskiego, a Weiss już czuł, że odmłodził w środku o dwadzieścia lat. Tak, jakby nigdy nie było Hitlera, wojny ani więzienia. Bo i przecież po tamtej stronie Wielkiej Wody nigdy ich nie

było. Tam była jego młodzieńcza wyprawa do Chicago, twarde amerykańskie gliny i jego romans z lat trzydziestych. Weiss zaczął nawet nieco tęsknić do miłości swej młodości i na swój sposób cieszyć się na spotkanie z hrabiną, która czekała na niego za Atlantykiem. Jakże sprytnie ona to wszystko obmyśliła! Nawet nie wiedział, jak sprytnie. Dopiero steward przygotowujący do spania jego królewskie łoża uzmysłowił mu, że jego kabina to nie była pierwsza lepsza kabina pierwszej klasy. O nie! Hrabina specjalnie obstalowała ją bowiem na sterburcie, tak aby w drodze do Ameryki okna zawsze wychodziły na południe, zapewniając pasażerowi maksimum rzadkich o tej porze roku słonecznych promieni. Taka to była zapobiegliwa pani hrabina Weiss!

– Jeszcze jeden chivas, proszę szanownego pana?

– Owszem!

Podróż na „Batorym” miała także to do siebie, że czując się jedną nogą w Ameryce, drugą Weiss wciąż twardo stąpał po polskiej ziemi. Ten polski gwar w tle, te twarze współpasażerów opowiadające mu bez słów swoje typowe polskie historie. Tęsknota, nostalgia, złość i nawet tu, pośrodku Atlantyku, jakiś strach w oczach. No i wóda! Nawet w barze pierwszej klasy wóda lała się strumieniami.

Po całej flaszce whisky Weiss powinien był znacznie lepiej spać, ale w środku nocy statkiem zaczęło rzucać na wszystkie strony i do rana tak nim miotało po całym łożu, że szarym świtem przeniósł się po prostu na podłogę, zaklinował się łokciami i kolanami w kącie kabiny i dopiero w tej pozycji na chwilę zmrużył oczy.

Obudziło go pukanie do drzwi. To był steward ze śniadaniem. Weiss dumnie odmówił. Powiedział, że nie takie sztormy widział i że zejdzie nań do restauracji.

– Niech mi pan tylko pomoże wstać!

Takich jak on śmiazków była w restauracji zaledwie garstka.

Kelner postawił przed nim na mokrym obrusie jajecznicę na boczku. Pokonując kołysanie i odruchy wymiotne, Weiss przystąpił do jedzenia. Żując smażony boczek, ujrzał, że o kilka stolików dalej mężczyzna w kiepsko skrojonym garniturze, do śniadania zamówił wódkę. Weiss pomyślał, że to dobry pomysł, i też poszedł w jego ślady. Wódka rzeczywiście pomagała na kołysanie i whiskowego kaca! Drugi z kolei kieliszek Weiss uniósł kordialnie w górę w kierunku nieznanego, a tamten odwzajemnił toast.

Wcale nie był nieznanym. Weiss go rozpoznał. A tamten jego.

Wsadzając Weissa do więzienia w 1949 roku, Walczak otoczył się nimbem bohatera walki o wolność i demokrację, właśnie wtedy, kiedy partia zaczęła w ramach czystki pożerać najlepszych swoich ludzi. Był popyt na świeżą, nieskażoną krew. W ten sposób wypłynął. Okres stalinowski odsłużył – nie

wychylając się i nie obnosząc swoimi niekorzystnymi okupacyjnymi znajomościami z kręgu Spychalskiego – na szczepku komitetu dzielnicowego, aby po odwilży wrócić w chwałę do rodzimej Warszawy.

– Jestem nowym wicekonsulem w Nowym Jorku – powiedział Weissowi, kiedy w kilka dni po sztormie, spacerowali w zimowym słońcu po pokładzie.

Weiss nie mógł uwierzyć własnym uszom. Walczak! Dyplomatą? Chciał zapytać, jakie posiadał w tym celu wykształcenie, jakie miał doświadczenie, ale dał za wygraną. Było oczywiste, jak dwa plus dwa, że był ubekiem.

– Odsłużyłem cztery lata w naszej ambasadzie w Moskwie – wyjaśnił Walczak, jakby czytając w jego myślach. – Potem Berlin, a teraz Nowy Jork. A pan, panie Weiss, dokąd pan się wybiera?

To z pozoru niewinne pytanie zabrzmiało groźnie w ustach kogoś, kto wysłał go na dziesięć lat za kratki.

– Do Ameryki, tak jak pan – odpowiedział wymijająco Weiss.

Przy całej ich historii Weiss i Walczak świetnie do siebie pasowali jako kompani do butelki i pozostałą część rejsu spędzili, regularnie się upijając.

Raz nawet Walczak spił się do tego stopnia, że ledwo stojąc na nogach, przyniósł z kabiny służbowy pistolet. Groził Weissowi aresztowaniem i wysłaniem go z powrotem do kraju pod zarzutem szpiegostwa. Ale Weiss też nie wypadł sroce spod ogona. Bez trudu go rozbroił i położył do łóżka.

To było najdramatyczniejsze z ich pijaństw. Zazwyczaj ich libacje kończyły się jedynie na pijackim gadaniu. Weiss opowiadał szeroko i szczerze o więzieniu, ale Walczak nawet całkiem pijany nigdy nie puszczał farby. Był na to za dobrze przeszkolony. Głędził tylko o tym, jak to sanacja strzelała do robotników i gnębiła tysiące więźniów politycznych. O obozie w Berezie Kartuskiej i o niedemokratycznej konstytucji kwietniowej. Weissowi było to wszystko głęboko obojętne.

– Ja tam nie wiem, ja dopiero wtedy przyjechałem do Polski... – mamrotał.

– Ale o policji granatowej wiesz, co? – tłukł pięścią w stół Walczak. – O obławach, łapaniach, obstawach, blokadach, egzekucjach w getcie? Ten twój cały Reszczyński, nieważne co tam sobie myślał i o czym donosił AK, dla mnie był symbolem kolaboracji, rozumiesz!

Weiss zapewne wdałby się w polemikę, gdyby nie to, że chwilę wcześniej stoczył się pod stół.

Doktor Anna

ZANIM PRZYRODZONA SIOSTRA HEDDY ZERWAŁA ZE MNĄ KONTAKT, to wspomniała o pani historyk z Uniwersytetu Michigan, która zajmuje się między innymi Heddą.

Doktor Anna Muller szybko i miło odpowiada na mój e-mail. Nawiązujemy dłuższą korespondencję, z której wynika, że podążaliśmy podobnymi tropami. Dowiaduję się od niej kilku cennych dla mnie szczegółów, poczynając od bezcennego – takiego mianowicie, że Hedda i jej towarzyszka niedoli i szwagierka, Ewa Piwińska, po pięciu latach męczarni i poniżeń opuściły więzienie w sukienkach z tego samego syntetycznego jedwabiu w kwiecistym wzorze kupionego dla nich przez więzienne władze.

Od doktor Anny dowiaduję się również, że początkowe leczenie psychiatryczne Heddy w szpitalu w Kościanie obejmowało wstrząsy elektryczne, a także, że zasłużone działaczki, jak Hedda, otoczone zostały w okresie odwilży wszechstronną opieką partii włącznie z mieszkaniem – w przypadku Heddy dwoma: dla niej i w sąsiedztwie dla opiekujących się nią sióstr. „Leczenie – pisze doktor Anna – było o tyle udane, że Hedda mogła podjąć studia, a w 1957 roku urodziła córkę – i otrzymała większe mieszkanie oraz wiele rzeczy i obrazy Bartoszką skonfiskowane w 1949 roku”.

Anna rozmawiała z córką Heddy, o której wiem już od siostry przyrodniej i z którą – mimo to, że wiem, kim jest, szanując prośbę siostry, decyduję się nie kontaktować, tym bardziej że rozmowa Anny z nią, jak mi mówi, nie była łatwa.

Waszyngton, dystrykt Kolumbia, lipiec 1964

CZERWONY SPORTOWY MERCEDES wjechał z fasonem na dziedziniec przed zakładem Sióstr Służebniczek. Wsiadła z niego dystygowana starsza pani, która dziarskim krokiem weszła do neogotyckiego budynku z czerwonej cegły. Jedna z sióstr zaprowadziła ją na taras, gdzie w ciepłe dni leżakowali rekonwalescenci. Na widok żony Weiss uśmiechnął się od ucha do ucha pod przezroczystą maską tlenową. Ucałowała go przy samym jej skraju i przysiadła obok, a że dzień był dość upalny, więc zdjęła żakiet i żywo gestykulując, opowiadała mężowi o najnowszych domowych nowinkach, takich jak wyczyny ich cocker-spaniela, za którym jej mąż bardzo tęsknił, i kaprysy ogrodnika, którego nie znosił. On słuchał jej jak zwykle jednym uchem, bo, żeby go nie denerwować, zawsze opowiadała mu o tych samych nic nieznaczących drobiazgach. Dzisiaj jednak zaryzykowała i wspomniała mimochodem o swoim kółku polonijnym. Był to jeden z drażliwych tematów, ponieważ jej mąż unikał kontaktów z Polakami jak diabeł święconej wody, a jednocześnie był chorobliwie o nie zazdrosny, zwłaszcza o tych cmokających ją w rękę przedwojennych oficerów, którym tak strasznie imponował jej tytuł hrabiny. Anegdota, którą mu bardzo ostrożnie opowiedziała, właściwie też dotyczyła przedwojennego oficera, ale nie jednego z tych gogusiów, tylko biednego jak mysz kościelna, wojennego bohatera i żołnierza powstania. Dowiedziawszy się o jego opłakanej sytuacji, waszyngtońska Polonia z największym poświęceniem zebrała na jego rzecz dobrych kilkaset dolarów, których przyjęcia ten jednak kategorycznie odmówił.

Widząc, że jej opowieść zaczyna już irytować męża, który zaczął się wiercić i przewracać oczami, hrabina pogłaskała go po rękę.

– Mówię ci o tym tylko dlatego, że ponoć był on wielką szyszką: komendantem warszawskiej policji przed wojną i podczas wojny....

Wiercenie się ustało. Dopiero teraz, po raz pierwszy od początku wizyty, mąż zainteresował się jej słowami. Ściągnął nawet z twarzy maskę tlenową.

– Komendantem podczas wojny? – zapytał zdumiewająco silnym głosem.

Siostrzyczka, która właśnie przyniosła tackę ze zwyczajową herbatą dla gościa, na widok zdjętej maski pokręciła głową z dezaprobatą. Hrabina zaczęła, aż opiekunka postawi tackę na niewielkim stoliku i zostawi ich samych, po czym nasunęła mu maskę na usta i znowu pogłaskała go po rękę.

– Tak, był komendantem w czasie wojny.

Maska została ponownie zdjęta...

– Muszę koniecznie się z nim zobaczyć!

Ona znowu nasunęła mu maskę, on ją znowu zdjął. A siostrzyczka obserwowała ich od drzwi tarasu.

Hrabina dała jej gestem znać, że kontroluje sytuację.

– Wykluczone – powiedziała apodyktycznym tonem.

Noc po śmierci Bartoszka – wersja Światły czy wersja Różańskiego?

CZY – TAK JAK TWIERDZI JÓZEF ŚWIATŁO – dowódca Bartoszka istotnie wysłał go na pewną śmierć, po to by uwieść jego żonę? Czy – tak jak w zeznaniu podsuniełym Heddzie w śledztwie przez ludzi Różańskiego – rzeczywiście w burdelu na Złotej odbyła się orgia z jej udziałem?

Obie wersje wydarzeń w noc po śmierci Bartoszka wydają się wyssane z palca. Wążąc to, co mówi Światło, pamiętać należy, że z jego relacji na temat Józwiaka nie tylko w epizodzie z Heddą, ale na każdym kroku wyziera antypatia znacznie głębsza niż wobec wielu innych towarzyszy. W tej obrzydliwej wersji Światły na temat nocy po śmierci jej męża idzie – moim zdaniem – nie tyle o Heddę, co o pogrążenie Józwiaka.

Z kolei to, co Różański i jego ludzie wyczyniają w śledztwie z Heddą i Piwińską oraz z innymi nieszczęsnymi kobietami (i mężczyznami), służyć ma uderzeniu w Jaroszewicza, a pośrednio w Spychalskiego i w ostatecznym rachunku w Gomułkę, który jest ostatecznym celem kampanii. W wersji, nazwijmy ją, Różańskiego – historia zawarta w podpisanych przez Heddę zeznaniach o jej rzekomym udziale w noc po tragicznej śmierci jej męża w orgii z udziałem pięciu gestapowców w burdelu na Złotej, ma służyć pogębieniu Jaroszewicza. Ma dowieść jego moralnego upadku na przykładzie jego najbardziej zaufanej łączniczki, na zasadzie: jeżeli ona jest „taka”, to co dopiero on!

Sylwetka Różańskiego wyłaniająca się ze wspomnień niewątpliwie uprzedzonego w stosunku doń Światły to, wypisz wymaluj opis osobnika, który mógłby podsunąć Heddzie tak poniżającą wersję wydarzeń, jak hitlerowska orgia z nią w roli głównej.

Po pierwsze, jak wspomina Światło, Różański konsekwentnie wyolbrzymiał „postępy w śledztwie” przeciwko Jaroszewiczowi. Chociaż brutalnie

maltretowani podejrzeni „przyznawali się” do najbardziej nieprawdopodobnych występków, to ludziom Różańskiego zawsze było mało. Protokoły zawsze szły jeszcze dalej, czego dowiedziono, porównując je z taśmami z przesłuchań przed odsunięciem Różańskiego od śledztwa.

Po drugie, szeroki repertuar tych tortur i znęcania się nad więźniami i więźniarkami, w którego zakres wchodziło wyrywanie włosów czy wybijanie zębów, przypomina nam o sadystycznych skłonnościach Różańskiego. A poza wszystkimi innymi odrażającymi właściwościami czymże innym niż wyrafinowanym sadyzmem było zasugerowanie, bądź co bądź bojownicze podziemia, wdowie po bohaterze i więźniarce u progu załamania nerwowego, że była nie tylko hitlerowską agentką, ale i rozwiązłą hitlerowską dziwką?

I – rozwijając ten nieprzyjemny wątek – pytanie: skąd się wzięło właśnie to seksualne tło oskarżeń wobec Heddy?

„Dzielni” wychowankowie NKWD systematycznie wykorzystują seksualność jako narzędzie psychicznych i fizycznych tortur. A według Światły Różański ma do seksu szczególną predylekcję. Wspomina go on jako rozwiązłego kobieciarza, który „nie przepuszczał żadnej pracownicy”, a w swoim gabinecie urządzał rozwiązłe orgie. W świetle tych informacji nietrudno sobie wyobrazić, że wersja o orgii w burdelu na Złotej to po prostu czysty wymysł zdeprawowanej wyobraźni Różańskiego.

W ostatecznym rachunku ofiarą obu wersji jest Hedda. Nic dziwnego, że wychodzi z Rakowieckiej złamana psychicznie. Nic dziwnego, że nagrywając audycję w 1963 roku, radiowcy nie sadzają Heddy w studiu przy jednym stole z Józwiakiem.

Waszyngton, dystrykt Kolumbia

MĘŻCZYŻNA SIEDZĄCY PRZY OKNIE W WYKUSZU miał pod siedemdziesiątkę. Beznamiętnie obserwował, jak przed domem zatrzymała się taksówka i wysiadł z niej czarnoskóry pielęgniarz, w jesionce narzuconej na szpitalny kitel. Pomógł on następnie wygramolić się z tylnego siedzenia starszemu człowiekowi. Spod jego płaszcza z futrzanym kołnierzem wystawał bordowy szlafrok.

Po kilku minutach rozległ się dzwonek do drzwi. Mężczyzna siedzący przy oknie usłyszał, jak jego żona rozmawia z kimś w przedpokoju, a po chwili w drzwiach ukazał się starszy mężczyzna, podtrzymywany pod ramię przez czarnoskórego.

– *Hello!* – uniósł rękę w pozdrowieniu.

W odpowiedzi mężczyzna przy oknie skinął tylko podejrzliwie głową.

– Przepraszam za najście, panie pułkowniku... – tamten przeszedł na polski z mocnym niemieckim akcentem. – Nie uprzedziłem pana, bo moje nazwisko i tak mu nic nie powie. Nazywam się Joachim Weiss...

– Pan jest Niemcem? – zapytał mężczyzna, nazwany przez niego pułkownikiem.

– Austriakiem...

Pułkownik odwrócił się do okna.

– No tak. To jeszcze gorzej.

Weiss poczłapał kilka kroków bliżej gospodarza.

Żona pułkownika stała w drzwiach z założonymi rękami i z wyrazem troski na twarzy obserwując obu starszych panów. W końcu pułkownik z westchnieniem zwrócił się ku niemu i wskazał krzesło.

Wspomagany przez czarnoskórego Weiss z wdzięcznością przysiadł.

– Czego pan ode mnie chce? – po chwili, beznamiętnie, zapytał gospodarz.

– Panie pułkowniku. Podczas wojny służyłem w Warszawie jako inspektor Kriminalpolizei...

Pułkownik pokiwał głową.

– Wiem o tym.

Weiss otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Państwowy Korpus Bezpieczeństwa...?

– ...mieliśmy pana na oku...

– W związku ze śledztwem w sprawie morderstwa pana następcy?

Pułkownik pokręcił głową.

– Nie tylko, panie Weiss, nie tylko...

Widząc, że rozmowa powoli zaczyna się kleić, jego żona zapytała, czy ma podać herbatę dla gościa, i pułkownik, nie patrząc na nią, przytaknął.

Weiss wciąż nie mógł wprost uwierzyć, że ten go rozpoznał.

– To niesłychane, że pan wie, kim jestem. Byliście jednak świetnie zorganizowani! – powiedział z podziwem.

– Wy też! – odburknął pułkownik. – Widziałem na własne oczy, co potraficie... w Oświęcimiu...W getcie. I w powstaniu!

Weiss nie zareagował. Miał ponad dwadzieścia lat doświadczenia w wysłuchiwaniu takich zarzutów i nie miał zamiaru – jak to zasłyszał u Amerykanów – dowodzić, że nie jest koniem.

– Ma pan rację, ale nie mówmy o mnie, tylko o pańskim Państwowym Korpusie Bezpieczeństwa. Byliście świetnie zorganizowani, ale nie przyciągnęliście Reszczyńskiego. Obawiał się pan konkurencji?

– Bzdura! To on. Był uparty...

– Jak pan?

– To wszystko nie tak. – Pułkownik pokręcił gwałtownie głową. – Nie będę pana długo zatrzymywał, ale jedno panu powiem: próbowaliśmy go przyciągnąć, ale on nas miał za intrygantów i politykierów, a siebie za niezłomnego stróża porządku. I doczekał się! No. Niech pan już idzie!

Zapadła cisza. Sanitariusz Weissa nie rozumiał z ich rozmowy ani słowa, ale nigdy go szczególnie nie interesowało o czym ze sobą gaworzą śmieszni starszaki, których na lewo i prawo woził na różnego rodzaju potajemne schadzki. Stał tuż za Weissem, żując gumę i przestępując z nogi na nogę. Za tę dwudziestkę, którą od niego dostał, gotów był tak postać jeszcze parę minut. Żona pułkownika przyniosła właśnie herbatę.

– Niepotrzebna ta herbata, Jadziu, pan Obersturmbannführer już wychodzi.

– Ależ mój drogi! – Pani Jadwiga rzuciła Weissowi przepraszające i błagalne spojrzenie, żeby jednak został. – Proszę zostać. Mąż jest w podłym nastroju, ale lubi sobie powspominać...

– Ja naprawdę nie zrobiłem nic złego, szanowna pani! – Weiss uderzył się w piersi.

– Jakbym słyshał proces w Norymberdze – rzucił pogardliwie pułkownik.

Sanitariusz nic z tego wszystkiego nie rozumiał. Weiss dał mu znak, że wychodzą. Pułkownikowa spojrziała z wyrzutem na męża.

– No wiesz!

– I co takiego pan wyśledził, inspektorze! Złapał pan zabójców? Zmienił pan bieg historii? – dosyć mocnym głosem rzucił za nim gospodarz.

Weiss zatrzymał się w drzwiach.

– Zabójcy polegli w dwa miesiące później, panie pułkowniku. – Weiss oparł się o framugę i złapał oddech. – Ich nazwiska to Franciszek Bartoszek i Zygmunt Bobowski, prawdopodobnie także Szalek i Łączyński, reszty nie jestem pewien. Rozkaz Bartoszkowi wydał dowódca Grupy Specjalnej, Strzeszewski, pseudonim „Wiktor”, jemu zaś szef sztabu GL, Józwiak, członek KC PPR. Nie zdążyłem ich zatrzymać, to prawda. Ma pan rację, nie daliśmy rady powstrzymać biegu historii. Tak jak Reszczyński. Ani ja. Ani pan!

Pułkownik odwrócił się w stronę okna.

– Ani Przymusiński! Też przepadł w sowieckim obozie – powiedział na wpół do siebie.

Weiss wrócił do niego i wyciągnął rękę na pożegnanie. Pułkownik zawahał się, ale też podał mu rękę.

– A wiesz pan, jak Reszczyński mówił na podziemiu? Kanalizacja! Na nas się wściekał, że mieliśmy wśród jego kadry swoich ludzi. A na Niemców, że wykorzystują policję do egzekucji. To była głupota. Nawet Herkules nie da rady tak na wszystkie fronty. To nie był człowiek na wojenne czasy, panie Weiss. – Pułkownik westchnął. – Tak jak ja się nie nadaję na czas pokoju...

Czas zacząć kończyć. Podsumowanie. Rozmowa z profesorem Andrzejem Friszke

– PANIE PROFESORZE, dlaczego w Polsce tak trudno być bohaterem i nie zostać wcześniej czy później okrzykniętym zdrajcą?

– To jest bardzo filozoficzne pytanie, więc zacznijmy od rzeczy prostszych. Ja się oczywiście na tym wszystkim nie bardzo wyznaję, bo się nie zajmowałem okupacją tak szczegółowo ani zbrodniami okresu stalinowskiego...

– Porozmawiajmy wobec tego o pana zawodzie, o zawodzie historyka. Czy historia najnowsza Polski kiedyś się ułoży, czy też jesteśmy skazani na bezustanną reinterpretację? Na przykład, że te archiwa niemieckie, które Rosjanie wywieźli z Polski nagle się otworzą i że znowu wszystko będziemy przerabiać?

– Nie, nie sędzę. Powiedziałbym, że mogą być jakieś sprawy konkretne, że coś wyjdzie inaczej, niż się to przyjęło, ale nie żeby się zmienił wydzźwięk ogólny. Przecież jeżeli się ma odpowiednią ilość dokumentacji, to w zasadzie trudno, żeby nagle odkryte zostały jakieś materiały, które obalą to, czym w tej chwili dysponujemy. To, co powiedziałem, dotyczy normalnego procedowania według zasad naukowych: czyli bierzemy wszystkie możliwe źródła pisane z epoki, jakie mamy, ewentualnie korygujemy jakieś szczegóły i, że tak powiem, opisujemy, jak było. A czym innym zupełnie są późniejsze oceny ogólne, zwłaszcza w takich sprawach generalnych. One bardzo często są podporządkowane pewnym koncepcjom ideologicznym i politycznym. Mają coś uwiarygadniać albo mają coś dezawuować. Szczerze mówiąc, to tego typu sposób podchodzenia do historii jest stary jak świat. Nie będziemy sięgać w średniowiecze, ale, powiedzmy, atak „stańczyków” na tradycje powstańczą, atak endeków na Piłsudskiego, na piłsudczyków, legiony i całą irredentę... Atak piłsudczyków na endeków za kolaborację z Rosją. I oczywiście komuniści – ci to już byli mistrzami w tym zakresie, bo atakowali całą tradycję patriotyczną, a z okresu II Rzeczypospolitej wydobywali wszystko, co w nim złe, zwłaszcza dopóki im na tym zależało, czyli

do lat sześćdziesiątych, powiedzmy. I tak w gruncie rzeczy mamy z tym do czynienia dzisiaj – to znaczy, jeżeli są ludzie, którzy negują III Rzeczpospolitą, chcą, że tak powiem, ją zdezwauować, no to dezawuuują również jej okoliczności założycielskie i tych przywódców. Okazuje się, że wszystko było złe. Wałęsa był zły, Mazowiecki był zły, Geremek był zły, Kuroń był zły i że z tego zła wynikło złe państwo. I w gruncie rzeczy to jest podporządkowane takiej wizji.

– Mówił pan w jednym z wywiadów, że „podziały historyczne” w Polsce występują na tle podziałów ideologicznych. Czy pana zdaniem nie doprowadza to do paradoksalnych sytuacji, w których – na przykład – szeroko rozumiane „ofiary transformacji” angażują się, mówiąc w największym skrócie, w kult tzw. żołnierzy wyklętych, którzy walczyli między innymi z reformą rolną i strzelali do komisarzy, którzy rozdawali ziemię chłopom. Czy to wszystko nie jest trochę postawione na głowie?

– Jest to jeszcze bardziej skomplikowane, bo to jest w gruncie rzeczy próba zbudowania ideologii zasadniczo rewolucyjnej. Mitologii odrzucającej układy, kompromisy, ograniczenia... Zbudowania takiej ideologii, gdzie proces historyczny to nie jest polityka, tylko wybór postaw moralnych. I to jest dużo głębszy problem, bo – w zasadzie nie wiem, do czego to doprowadzi.

The Kane Republican, Kane Pennsylvania, 28 lipca 1964

TRAGICZNA ŚMIERĆ POLSKIEGO IMIGRANTA, w samym sercu Waszyngtonu, w lipcu 1964 roku, musiała przemówić do wyobraźni wielu Amerykanów, a doniesienie na jej temat przedrukować musiało wiele lokalnych dzienników w całych Stanach, skoro pierwsze, na które trafiłem w Internecie, pochodzi z lokalnej gazety w małym miasteczku Kane, na północy stanu Pensylwania, odległym o niemal pół tysiąca kilometrów od Waszyngtonu:

„Kilka dni temu odebrał sobie życie 66-letni nocny stróż w Galerii Sztuki Corcorana w Waszyngtonie. Kiedy policja otrzymała tę wiadomość, wydawało się, że to po prostu jeszcze jedna z tych pospolitych ludzkich tragedii, zdarzających się w całym kraju.

Ale z pojawiających się szczegółów wyłoniła się całkiem niezwykła historia. Zmarłym był Marian Kozielski, bohater wojskowy w swojej ojczyźnie, Polsce. Przez dziesięć lat przed nazistowską okupacją był szefem policji warszawskiej, a wcześniej jednym z najbardziej zasłużonych oficerów polskiej armii.

Podczas drugiej wojny światowej działał w podziemiu antynazistowskim i przeżył obóz koncentracyjny w Auschwitz. Po wyjściu z niego powrócił do podziemia i został ranny w powstaniu przeciwko Niemcom pod koniec wojny.

Jednak Kozielskiemu niełatwo przychodziło dostosowanie się do życia w nowym świecie. Nie mówił po angielsku. Nie był potrzebny armii ani policji, którym służył przez całe życie. Chory i cierpiący na depresję, sam zrobił to, co nigdy nie udało się Niemcom – zakończył swoje życie”.

Garden party u Bena i Loli a sprawa polska

JEŻELI CHODZI O ŻYCIORYS ALEKSANDRA RESZCZYŃSKIEGO, to najbardziej autorytatywnym źródłem jest artykuł Kunerta i Hempla w *Polskim Słowniku Biograficznym*.

Najbardziej wyczerpującym świadectwem zabójstwa jest relacja jego świadka, Hanka Reszczyńskiej.

Jeżeli natomiast idzie o świadectwo patriotycznej postawy i stosunku Aleksandra Reszczyńskiego do Armii Krajowej, to najważniejszym dokumentem jest wspomniane już, wydane w 1977 roku, orzeczenie komisji składającej się z byłych żołnierzy i dowódców AK.

To oświadczenie jest jednocześnie czymś najbardziej zbliżonym do rehabilitacji jej ojca, co udało się Hance wywalczyć – chociaż w swojej istocie nie jest rehabilitacją, a tylko bardzo oględnie sformułowanym stanowiskiem nieformalnej w istocie grupy.

Okoliczności jego powstania są barwnym przyczynkiem do mechanizmów życia emigracyjnego:

Hanka przebywała w Londynie już od kilku lat. Przyjechała z kolejną wizytą do matki i nie wróciła do Polski. Szukając porady na swój bolący kręgosłup, poznała czarującego i rozwiedzionego reumatologa Władka Essigmana, za którego wkrótce wyszła za mąż. Jego urok osobisty w połączeniu z jej urokiem osobistym i z jego szerokimi znajomościami w kręgach emigracyjnych szalenie pomogły w kampanii na rzecz oczyszczenia dobrego imienia Aleksandra Reszczyńskiego. Hanka chętnie to przyznaje. Nie kryje, że na przykład komisja powołana przez generała brygady Tadeusza Pełczyńskiego, byłego szefa sztabu i zastępcę dowódcy Armii Krajowej, to „jej robota”:

– Ja to nagrałam z pomocą Władka, którego pacjentem był Iranek-Osmecki. Iranek zorganizował całą tę komisję przy pomocy Janusza Cywińskiego, który pod przysięgą zeznał, ale potem się wyparł. Ta komisja ustaliła, że w każdym

razie z całą pewnością żaden wyrok Armii Krajowej nie wchodził w rachubę w zabójstwie Reszczyńskiego.

Iranek-Osmecki to oczywiście pułkownik Kazimierz Iranek-Osmecki, były przewodniczący Komisji Weryfikacyjnej AK, emisariusz naczelnego wodza, współautor decyzji o wybuchu powstania warszawskiego i współsygnatariusz rozejmu po nim; w 1977 roku był nadal bardzo aktywny. W swe osiemdziesiąte urodziny, po czerwcowych wydarzeniach radomsko-ursuskich, zainicjował powołanie w Londynie Obywatelskiego Komitetu Zbiórki Pomocy Robotnikom w Polsce, którego następnie został dyrektorem. W lipcu zaś znalazł się w składzie Komisji Pełczyńskiego obok dwóch znacznie młodszych kolegów: pięćdziesięciosześcioletniego komandora Bolesława Markowskiego, przewodniczącego Głównego Sądu Koleżeńkiego Koła AK, i pięćdziesięcioletniego podpułkownika Mieczysława Wałęgi, przewodniczącego komisji weryfikacyjnej AK.

Niezależnie od dzielących ich różnic wieku, po czterdziestu latach nikogo z członków komisji nie ma już wśród żywych. Żyje tylko Hanka, która mniej lub bardziej świadomie odbrażawia tryb powołania komisji do życia. Po tym jak sprawa została „nagrana” z pomocą Władka Essigmana, wszyscy zainteresowani spotkali się towarzysko na *garden party* u jego przyjaciela, biznesmena i filantropa, Beno Randa.

Historia Beno i jego żony, aktorki Loli Kitajewicz, jest równie romantyczna, jak ich imiona i nazwiska, a jej najdramatyczniejszym epizodem było wydostanie Loli przez emisariuszy Beno z warszawskiego getta i przekazanie jej poprzez łańcuch pośredników do oczekującego w Palestynie małżonka. W polskim Londynie Lola brylowała jako aktorka w produkcjach Mariana Hemara i jako gospodyni spotkań towarzyskich, na których – jak mawiają Anglicy – bywał każdy, kto był „kimś”.

– I tam – opowiada Hanka – się z nimi spotkałam, u Beno Randów. W ich pięknej rezydencji Lola Kitajewicz zrobiła *party* w ogrodzie. Byli tam [członkowie komisji], oni się już wcześniej w tej sprawie zebrali i tam się z nimi spotkałam. Oni wszyscy powiedzieli wtedy zgodnym chórem, że chętnie napiszą takie oświadczenie.

Orzeczenie:

„Komisja powołana przez gen. bryg. Tadeusza Pełczyńskiego, b. szefa sztabu i zastępcę Dowódcy Armii Krajowej w składzie: Płk Kazimierz Iranek-Osmecki, b. przewodniczący Komisji Weryfikacyjnej AK. Kmdr Bolesław Markowski, przewodniczący Głównego Sądu Koleżeńkiego Koła AK. Ppłk Mieczysław Wałęga, przewodniczący komisji weryfikacyjnej. AK rozpatrzyła prośbę rodziny

Inspektora Policji Państwowej Aleksandra Reszczyńskiego i oficerów wywiadu Okręgu Warszawa AK o ustalenie okoliczności jego śmierci.

Na podstawie przedstawionych dowodów Komisja stwierdza:

1. Insp. Aleksander Reszczyński nie był zaprzysiężonym żołnierzem AK, natomiast był współpracownikiem Wywiadu Obronnego Okręgu Warszawa AK i Komendy Głównej AK, udzielał wielu cennych informacji z zakresu bezpieczeństwa. W ewidencji Wywiadu Obronnego AK był zaliczony do grupy współpracowników.

2. Na podstawie posiadanych dokumentów Komisja stwierdza, że zastrzelenie Insp. Aleksandra Reszczyńskiego nie było wykonaniem wyroku przez oddział egzekucyjny Armii Krajowej”.

Po tym stwierdzeniu komisja przytacza wykorzystane dokumenty i świadectwa – przywołuje z jednej strony książkę z 1952 roku pt. *Polska Partia Robotnicza w walce o Wyzwolenie Społeczne i Narodowe* Franciszka Józwiaka, w której autor przyznaje, że Reszczyński „został zastrzelony przez żołnierzy GL”, z drugiej świadectwa podporucznika J.W. Cywińskiego, Bernarda Zakrzewskiego, Ludomira Sakowicza, Wincentego Kwiecińskiego i wspomniany już list Kazimierza Moczarskiego świadczące na korzyść zamordowanego komendanta – by dojść do konkluzji:

„[...] inspektor Aleksander Reszczyński był współpracownikiem władz Polski Podziemnej i oddawał wywiadowi obronnemu AK cenne usługi – morderstwa insp. A. Reszczyńskiego dokonali członkowie Gwardii Ludowej PPR.

[...] na Aleksandrze Reszczyńskim nie ciąży żadne przewinienia współpracy z wrogiem mogące zniesławić go jako Polaka”.

Wrocław, ul. Sądowa, maj 2000

W PARKU WZDŁUŻ WROCŁAWSKIEJ FOSY KASZTANY KWITŁY JAK SZALONE. Po jej drugiej stronie widok nigdy nie był tak przyjemny. Rozsiadł się tu ponury, neogotycki kompleks: sądy, policja i więzienie. Przed głównym budynkiem sądu zatrzymała się właśnie taksówka. Z jej cuchnącego papierosami wnętrza ze zmarszczonym z obrzydzenia nosem wysiadła elegancka starsza pani. Jej adwokat zapłacił taksówkarzowi i poprowadził klientkę w stronę gmaszyska z czerwonej cegły.

Chociaż od jej wyjazdu minęło zaledwie kilkanaście lat, to „Ita” w żadnej mierze nie wyglądała na kogoś „stąd”. A kiedy przed sądem podała nieskazitelną dykcją swoje personalia i odpowiedziała przepiękną polszczyzną na kilka pytań pani sędziny, to nie mogło być już żadnych wątpliwości. Na sto procent „nie była stąd”. Nikt tak pięknie dziś w Polsce nie mówi.

Jej dykcja zawsze wyostrzała się, kiedy miała tremę. Pozostała rasową aktorką. A sąd był wszak rodzajem teatru. To zaś, że sztuką było jej życie, tylko wzmacniało jej niepokój.

Odczytywane przez sędzinę uzasadnienie wyroku przeniosło ją czterdzieści pięć lat wstecz, na klatkę schodową domu przy Kolejowej w Bielsku, gdzie „działając wspólnie z nieujętymi dotąd »Prawym«, Heczko i Skupieniem, dopuścili się gwałtownego zamachu na korespondenta Polskiej Agencji Prasowej i jego ojca, urzędnika Urzędu Bezpieczeństwa...”.

Sędzia czytała, a „Ita” oczyma wyobraźni widziała siebie, jakby od góry, spoza własnego ciała, jak puka do drzwi, pyta o Wenera, a ten otwiera. Zeman i „Prawy” wyskakują przed nią. „Prawy” strzela dwa razy, Zeman raz. Obaj pudłują, a Heczko strzela trzy razy w nogę starego Wenera...

Jak przez mgłę dociera do „Ity” werdykt o tym, że wyrok sądu wojskowego z 1945 roku jest nieważny, bo jej czyny popełnione były w związku z działalnością na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego. W pełnym

majestacie prawa jest niewinna – a to, co się stało w Bielsku, w jakimś niewielkim stopniu wyrównuje rachunki za zabójstwo przez komunistów jej ojca.

Wyrok i nekrolog – maj, czerwiec 2000

UNIEWINNIENIE HANKI PRZEZ WROCŁAWSKI SĄD jest nie tylko uniewinnieniem, ale także usankcjonowaniem w majestacie prawa jej roli jako bojownika o niepodległość Polski. Jest symbolicznym końcem pewnego rozdziału w jej życiu i w tej całej historii.

W tym kontekście nie mniej symbolicznym zbiegiem okoliczności jest to, że w niespełna trzy tygodnie po orzeczeniu wrocławskiego sądu, w Warszawie umiera powiązana z Hanką przez osobę swojego męża, Franciszka Bartosza, osiemdziesięcioletnia Hedda. Jak pisze o niej zaduszkowe wydanie „Gazety Wyborczej” – „harcerka, żołnierz podziemia, uczestniczka Powstania Warszawskiego, więzień polityczny w latach 1949–55, historyk sztuki, dziennikarz”[28].

Cmentarz Mount Olivet, Waszyngton, dystrykt Kolumbia

MAURICE, BO TAK MIAŁ NA IMIĘ SANITARIUSZ z zakładu Sióstr Służebniczek, z ich błogosławieństwem zabrał Weissa na pogrzeb polskiego pułkownika policji. Dzień był upalny i duszny, ale w klimatyzowanym, choć nienowym sunbeamie panował przyjemny chłód. Jechali w milczeniu. Wszystko już sobie wygarnęli wcześniej, kiedy okazało się, że Maurice rozumiał znacznie więcej z historii Weissa – a zatem także z jego pierwszej i ostatniej rozmowy z pułkownikiem – niż się wydawało. Maurice nie przyznał się do tego ani razu przez dłuższy czas. Długo obwąchiwał eksinspektora, testował go podchwytliwymi pytaniami, a nawet w tajemnicy przed nim spędził kilka godzin w bibliotece, sprawdzając fakty historyczne. Dopiero gdy wszystko mu się zgodziło, doszło między nimi do konfrontacji. Stało się to po tym, jak Weiss znalazł nekrolog pułkownika i poprosił Maurice'a, żeby się dowiedział, gdzie i kiedy odbędzie się pogrzeb. Ten zaczął od zasięgnięcia języka na największym katolickim cmentarzu w Waszyngtonie, ale sprawa i tak nie była łatwa. Pułkownik bądź co bądź targnął się na swoje życie – może dlatego chowano go bez rozgłosu. Ale Maurice był nie w ciemną bitą i zdążył się dowiedzieć o pogrzebie na dzień wcześniej przez swojego znajomego u jezuitów, który słyszał, że rodzina zwróciła się do braciszków o odprawienie pochówku samobójcy. Weiss był Maurice'owi szalenie wdzięczny i zupełnie nieprzygotowany na to, że kiedy usiłował mu wetknąć dwudziestodolarówkę do kieszeni kitla, ten chwycił go mocno za przegub i wysyczał:

– A więc to tak, *Herr Weiss*? Jesteś niczym innym, jak pieprzonym starym nazistą.

– Ja? Zwariowałeś, Maurice?

– Na własne uszy słyszałem u pułkownika...

– Byłem w Kripo, Maurice, a to nie jest jednoznaczne... tam nawet służyli Polacy. To policja kryminalna.

– I nie łapaliście, nie wydawaliście Żydów Gestapo, tak?

– Maurice, na miłość boską. Ja sam jestem Żydem!

Maurice stracił kontenans. Poluźnił żelazny uścisk.

– Co? Jak to?

Weiss rozmasowywał obolały nadgarstek.

– Do jasnej cholery, Maurice! Co cię napadło? I co tobie w ogóle do nazistów?

Maurice z zakłopotanym wyrazem twarzy przysiadł na ogrodowej ławce. Długo zbierał się z odpowiedzią i zaczął przecierać kułakiem oczy. Weiss nie mógł uwierzyć własnym oczom. Pielęgniarsz płakał.

Jadąc w kierunku północnego Waszyngtonu na pogrzeb Kozińskiego, Weiss obserwował w milczeniu swojego kierowcę. Dzień wcześniej przy ogrodowej ławce zabrakło mu wyobraźni, żeby dodać dwa do dwóch. Po prostu nie miał pojęcia, co się Maurice'owi stało, a tamten w najlepsze zanosił się łzami, aż wreszcie się opanował, zapalił papierosa, przeszedł kilka kroków w tę i nazad i w końcu w prostych słowach wytłumaczył Weissowi, co takiego miał do nazistów. Był weteranem 45 Dywizji Piechoty. Walczył od Sycylii po Niemcy i wyzwał obóz w Dachau...

– I wiesz, co było najgorsze? Nie stosy trupów. Nie fetor i nie błakające się w samym środku tego piekła dziecięce szkielety. – Maurice pociągnął nosem i przemógł łkanie. – Nie! Najgorsze były... żywe trupy. Wyczołgujące się spod stosów ciał i z niezasypanych świeżych rowów. Niedobitki, rozumiesz? Bałem się ich tak, że chciałem do nich strzelać.

Na wielkim starym cmentarzu podjechali powoli do miejsca, gdzie chowano pułkownika. Nad nielicznymi żałobnikami górował wysoki mężczyzna o wyrazistym profilu, podtrzymujący pod ramię żonę zmarłego. Weiss z żałobnym bukietem w ręku wysiadł z samochodu i skierował się w stronę pogrzebu, ale na dźwięk zatraskiwanych drzwiczek wdowa odwróciła się i ujrawszy go, zaszepotała coś do wysokiego. Jego jedno spojrzenie wystarczyło, żeby Weiss zawrócił na pięcie. Kiedy już z samochodu obserwował dalszy ciąg ceremonii, to tuż za nimi zatrzymał się czarny cadillac. Wsiadło z niego dwóch mężczyzn w fatalnie skrojonych garniturach. Weiss obserwował, jak wysoki obrzuca ich odpychającym spojrzeniem, ale oni nic sobie z tego nie robili. Kiedy mijali sunbeama, jeden z nich zajrzał do środka i zapukał w szybę. Przez szybę i pod słońce Weiss rozpoznał go dopiero, kiedy tamten się odezwał tym swoim knajackim, warszawskim akcentem.

Walczak!

Przez otwarte okno Walczak zafundował Weissowi grabę. Za jego plecami wysoki oderwał się od ceremonii i zmierzał zamaszystymi krokami po murawie w ich kierunku.

– Co to, to nie – krzyczał z daleka. – Wynoście się stąd, „towarzysze”, nic tu po was!

Wykorzystując moment, Weiss wypchnął rękę Walczaka za okno i zaczął desperacko zakręcać szybę.

– Jedź Maurice, jedź. Jeszcze pomyślą, że jesteśmy z nimi!

Dopiero kiedy dojeżdżali z powrotem do zakładu, Maurice zapytał go, co się właściwie stało tam na cmentarzu i dlaczego odjechali w takim pośpiechu.

– Po tym jak tyś mnie wziął za hitlerowca, nie chciałem, żeby rodzina pułkownika pomyślała, że szpieguję razem z tamtymi, z komunistami z polskiego konsulatu. – Weiss był nawet nieco rozbawiony, ale zaraz spoważniał. Wziął do ręki żałobny bukiet i ze złością cisnął go za okno.

„Tydzień”

CHOĆ TO SIĘ WYDAJE NIEWIARYGODNE, to dopiero w pięćdziesiąt lat po zabójstwie komendanta ukazała się pierwsza publikacja zawierająca wyczerpującą, dokumentalną relację na ten temat. Była to relacja z pierwszej ręki w pamiętnikach Hanki, *Kaprysy losu*, które ukazały się drukiem w 2001 roku. Ich promocja odbyła się w londyńskim POSK-u na początku maja 2002 roku i zaowocowała recenzją w emigracyjnym „Tygodniu” oraz obszerną, sceptyczną wzmianką jego stałej felietonistki, Krystyny Cywińskiej. O ile recenzja była wyważona i przychylna, to znana z ciętego pióra Cywińska swoimi uwagami zapoczątkowała wielotygodniową zażartą polemikę, i to nie tylko z autorką.

Tydzień w tydzień obie panie wymieniały się retorycznymi i merytorycznymi ciosami w dyskusji dotyczącej głównie oceny postaci ojca Hanki, aż wreszcie na ring wkroczył w roli arbitra wybitny znawca przedmiotu, Andrzej Krzysztof Kunert. Ale nawet jego autorytet i niedwuznaczne poparcie pozytywnej oceny przez Hankę postaci jej ojca nie przekonały krewkiej felietonistki. W ostatnim felietonie „na temat” dostało się też Kunertowi.

Kilkanaście lat później obie polemistki pozostają na swoich pozycjach, chociaż kiedy spotkałem się z Krysią Cywińską, z którą pracowałem kiedyś w BBC, to wyraziła coś w rodzaju skruchy. Wydaje mi się, że żał jej było, że po awanturze ich bliskie niegdyś stosunki z Hanią nigdy już nie były takie same. Jeszcze bardziej żał było chyba jej mężowi Januszowi, który Hanię darzył szczególną sympatią, a który odegrał w niesławnym starciu obu pań dosyć dziwną i chyba nieszczytną rolę.

Na wczesnym etapie pisania *Niewygodnego Polaka* pojechałem właśnie do Janusza Cywińskiego do Londynu, aby z jego własnych ust usłyszeć przytoczone tu wcześniej świadectwo przysług wyświadczonych przez ojca Hanki kontrwywiadowi AK i jego wstrząsające wspomnienia osiemnastoletniego likwidatora. Wszystkiego tego łączywie wysłuchałem, siedząc z panem

Cywińskim w jego pracowni z widokiem na ogród, z ich cocker-spanielem u stóp. Później dołączyła do nas Krysia i gawędziliśmy sobie przy *cup of tea* o „starych Polakach”. Tym większe było więc moje zdumienie, kiedy później dotarłem do archiwalnych egzemplarzy londyńskiego „Tygodnia”, na którego łamach Cywiński włączył się w polemikę żony z Hanką, zarzucając tej ostatniej nieścistości i bagatelizując przysługi wyświadczone przez jej ojca kontrwywiadowi AK. Ale jego list do redakcji to była niewinna igraszka w porównaniu z ostrymi jak brzytwa felietonami jego żony na ten sam temat. Ostre – choć nie do końca niesprawiedliwymi.

Moim skromnym zdaniem jej byłego czeladnika, Krysia Cywińska jest rasową dziennikarką, a jej najmocniejszym atutem jest absolutna niezdolność do owijania rzeczy w bawełnę. W słusznej czy w niesłusznej sprawie zawsze zabierała głos. Obok jej felietonów nie sposób było przejść obojętnie. Kiedy zdobywałem u jej boku dziennikarskie ostrogi w BBC, to wydawało mi się, że Krysia miota się w zaduchu emigracji. W swoich felietonach raz po raz nakłuwiała balon wiecznych emigracyjnych wspomnień i przechwałek swoim zirytowanym „ile można w kółko o tym samym?”. Nie zjednywała tym sobie bynajmniej przyjaciół. Na emigracyjne zjawiska i autorytety patrzyła w szerszej perspektywie, brutalnie pomniejszającej ich wagę. Ale pracowała bądź co bądź w BBC, zajmowała się na co dzień wielką międzynarodową polityką i wydarzeniami na globalną skalę. Nic dziwnego, że wobec emigracyjnego życia miała ten właśnie, nieco lekceważący stosunek.

Taka to właśnie Krysia Cywińska polemicznie „rzuciła się” w maju 2002 roku na swoją niczego nieprzeczuwającą przyjaciółkę, Hanię. Hanię, której jedyną „winą” było to, że zachciało jej się tuż przed siedemdziesiątką pracowicie spisać i własnym sumptem wydać wspomnienia, włącznie z wyczerpującym opisem okoliczności tragicznej śmierci jej ukochanego ojca.

Dosłowne cytowanie otwierającego polemikę felietonu Cywińskiej byłoby znęcaniem się nad obiema bohaterkami tej historii. Dość powiedzieć, że Krysia bezpardonowo zakwestionowała walory literackie wspomnień oraz przytaczane przez Hanię fakty historyczne, a ta nie pozostała jej dłużna.

W świątku londyńsko-polskim, skupionym jak w soczewce w dziale listów do redakcji „Tygodnia”, zawrzało. Ktoś podnosił kwestię zasług ojca Hani, dorzucając do polemiki swe wspomnienia o tym, jak po zabójstwie Reszczyńskiego zapytał wysoko postawionego w AK wuja, czy był to wyrok Polski Podziemnej – wuj powiedział, że nie, i autor listu „spokojnie” poszedł na pogrzeb. Ktoś inny stanął w obronie stylu „Kaprysów losu”, argumentując, że osobiście woli „konsumować historię” pod postacią memuarów.

Ale awantura na dobre nabrała obrotów, kiedy do polemiki przyłączył się mąż felietonistki, Janusz Cywiński, atakując wspomnienia Hanka pod kątem nieścisłości historycznych – po pierwsze dotyczących niego samego, po drugie jej ojca, który „nigdy nie wchodził w skład kontrwywiadu AK”, a jedynie przekazał mu „kilka informacji”.

List Cywińskiego do londyńskiego „Tygodnia” – tego samego Cywińskiego, który zaledwie kilka lat wcześniej zeznawał przed komisją byłych akowców o przysługach wyświadczonych przez jej ojca kontrwywiadowi, zabolął Hanke szczególnie, ale to był wciąż dopiero początek bólu.

W kolejnym felietonie w emigracyjnym „Tygodniu” Krystyna Cywińska poszerzyła pole sporu. Opowiedziała o telefonie od czytelniczki, która płacząc w słuchawkę, broniła zasług... Gwardii Ludowej, bo walczył w niej jej ojciec, a on „nie był mordercą”. Gwardia Ludowa też walczyła o Polskę, twierdziła czytelniczka, i „ratowała wielu Żydów”. A granatowi policjanci ich wydawali Niemcom, „bo się ich bali”.

Cytując te pochwały Gwardzistów, Cywińska nawiązuje do pamiętników Hanka i pisze, że „smutny jest los kobiet wplątanych w konflikty pamięci o ich mężach czy ojcach. I chyba czas, żeby nad tymi konfliktami zapuścić zasłonę od kuchni i od frontu”[29].

Po tygodniu Hanka odpowiada obojgu Cywińskim w utrzymanym w ugodowym tonie liście do redakcji.

Cywińska ze swej strony też odpuszcza. Kolejny felieton nie odnosi się w bezpośredni sposób do sporu, chociaż poświęcony jest w dużej mierze jałowości emigracyjnych sporów w ogóle i ukoronowany cytatem z J. Sakowskiego: „Nie po to zostaliśmy za granicą, by tworzyć suwerenny zaścianek”.

Z zakończonej w ten sposób wielotygodniowej, zażartej dyskusji na łamach emigracyjnego tygodnika wynikło następnie coś pozytywnego i ważnego dla procesu ustalania prawdy historycznej o postaci podpułkownika Reszczyńskiego. Na odsiecz Hance ruszył największy znawca przedmiotu, Andrzej Krzysztof Kunert. W rzeczowy sposób rozprawił się z argumentami Cywińskich, a jednocześnie, w zwięzły i udokumentowany sposób, podsumował wiedzę na ten temat i historyczne oceny postaci Reszczyńskiego.

Cywińska co prawda i tak nie dała za wygraną i w ostatnim felietonie poświęconym sprawie zdyskontowała uwagi historyka jako „uczynek towarzyski”, ale jej zjadliwy felieton nie zmienia faktu, że to podsumowanie pióra profesora Kunerta stało się pierwszą tak wyczerpującą wypowiedzią historyka na ten temat na łamach, co prawda emigracyjnej, niemniej jednak, polskiej prasy.

Poprzedzająca je awantura była nad wyraz nieprzyjemna – ale widać nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Waszyngton, dystrykt Kolumbia

WEISS CORAZ BARDZIEJ WĄTPIŁ, że kiedykolwiek jeszcze rzeczywiście przeniesie się od Sióstr Służebniczek do jakiegoś porządnego protestanckiego domu starców. Prawda była taka, że był coraz słabszy. Kto by się spodziewał, że hrabina umrze wcześniej od niego i zostawi go na pastwę siostrzyczek! Jego dni też dobiegały końca, ale nie obawiał się śmierci i nie odczuwał goryczy.

Leżakując w ostatnie już cieplejsze dni na tarasie, cieszył się feerią kolorów jesieni w Nowej Anglii, a czasem nawet ściągał maskę tlenową, żeby pogwarzyć ze swoimi katolickimi towarzyszami niedoli. Byli wśród nich, oprócz Włochów i Latynosów, także i Polacy. Z tymi ostatnimi zachowywał ostrożność, bo nie mógł wytrzymać bez tlenu wystarczająco długo, żeby się zdążyć wytłumaczyć ze swego akcentu i przeszłości. Czasem za to podbierał im ich emigracyjne gazety, pełne ogłoszeń sklepów z polską szynką i wiecznych sporów o to, kto był większym patriotą, a kto większym zdrajcą.

Pewnego dnia, gdy wertował taki, podwędzony komuś dla niego przez Maurice'a, polski periodyk, serce w nim nagle zamarło. Ujrzał nazwisko komendanta. Nie było ono zresztą takie rzadkie. Przez dwadzieścia lat w Ameryce kilka razy rzuciło mu się w oczy w polskim biznesie lub w książce telefonicznej, ale tu wyraźnie chodziło o komendanta i o jeszcze jedną emigracyjną awanturę.

Jak donosił angielski korespondent gazety, kilku emerytowanych wojskowych zebrało się niedawno w Londynie i oświadczyło, że pułkownik nie tylko nie był zdrajcą, ale wręcz współpracował z AK.

Ha – pomyślał Weiss – tylko trzydziestu lat potrzebowali, żeby dokonać tego odkrycia!

Ale – w typowym dla emigracji stylu – sprawa na tym się nie skończyła, bo oto ktoś wysmarował list do redakcji, że pułkownik jednak był kolaborantem. Na

to jego rodzina odpowiedziała z oburzeniem na łamach gazety, że jednak nie był. Na to tamci, że właśnie był... i tak wkoło Macieju.

Weissowi opadły ręce. I to zarówno w przenośni, jak i dosłownie, bo zbyt długo trzymać musiał gazetę w górze, tak aby nie zasłaniała mu jej krawędź maski tlenowej. Ułożył je więc wzdłuż ciała i wyczerpany wkrótce zasnął.

„Czy Gestapo działało inaczej niż UB? No, nie działało inaczej”

NA ZAKOŃCZENIE MOJEJ ROZMOWY z profesorem Andrzejem Friszke pytam go, czy nie uważa, że w pierwszych latach powojennych komunistyczny terror dopiero nabierał rozpędu:

– Córka pułkownika Reszczyńskiego, poprzez swój udział w powstaniu, a po wojnie w walce z „władzą ludową” i przez otrzymany surowy wyrok, wpisuje się w ten kanon „wyklętych”. Ale rozmawiając z nią i czytając akta sprawy, mam wrażenie, że ją i tych spośród jej towarzyszy, których nie skazano na karę śmierci, potraktowano jednak stosunkowo łagodnie. Owszem, bito w śledztwie. Owszem, sąd był farsą, ale jesienią czterdziestego piątego ten reżim był jeszcze trochę nieopierzony, a w czterdziestym siódmym była nawet amnestia...

– To jest bardzo różnie. Nie można generalizować. Zależy, w jakich sprawach. Jeżeli chodzi na przykład o sprawę komendy WiN-u, no to może i stosunkowo łagodnie, natomiast jeżeli chodzi o zwłaszcza teren, no to tam się działy straszne rzeczy. Co zresztą jest zgodne z pewną zasadą: zawsze w terenie jest gorzej niż w centrali. Bezprawie większe, brutalność większa. Ci ubeccy analfabeci, którzy nic innego nie umieli, tylko bić. Wymuszać różne rzeczy. Ten „teren” opisywała jeszcze w latach osiemdziesiątych Maria Turlejska – tę niejednoznaczność tych wszystkich sytuacji. To ona opisywała chociażby tak zwane sądy na kółkach, które jeżdżąc po prowincji, wydawały wyroki śmierci.

– Ale mimo wszystko jeszcze był Mikołajczyk, jeszcze była jakaś nadzieja. Nawet Andrzejewski opisuje w *Popiele i diamentach* taką nie do końca czarno-białą jeszcze rzeczywistość...

– Ależ oczywiście, to była jeszcze bardzo skomplikowana rzeczywistość. Jest taka książka Marcina Zaręby, która od strony psychologicznej pokazuje te komplikacje. Był Mikołajczyk, były jeszcze inne formy, niekoniecznie polityczne

– udział w odbudowie kraju. Odbudowa kraju to była podstawowa zasada, poza polityką.

– Moment, w którym dochodzi do zabójstwa Reszczyńskiego, jest bardzo ciekawy: na tydzień wcześniej dochodzi do spotkania PPR z Delegaturą Rządu, a kilka tygodni później Niemcy powiadamiają o zbrodni katyńskiej. Ja tych rzeczy bynajmniej nie łączę, ale jest to moment pewnego przełomu w dziejach okupacji. Wkrótce dochodzi do zerwania stosunków polsko-sowieckich. W kraju trudno się rozeznąć, kto na kogo donosi...

– Ja bym powiedział tak, generalnie, bo my tego jakby nie chcemy przyjąć do wiadomości. Przecież czytamy, widzimy te różne operacje: służby a podziemie. Teraz zastanówmy się, czy Gestapo działało inaczej niż UB? No, nie działało inaczej. Oczywiście mogło mieć mniejsze możliwości dotarcia, bo miało chociażby tę barierę językową, środowiskową i tak dalej. Ale niewątpliwie próbowało w ten sposób działać. To znaczy infiltrować, zbierać informacje, wiedzieć, kto jest kim i co z kim robi. Teraz oczywiście jest tak ze służbami, że nawet jak coś wiedzą, to nie od razu to realizują, nie od razu wszystkich aresztują, wykończą i tak dalej. Podejmują również próby manipulacji. Zbierają wiadomości i podejmują różne próby manipulacji. Uderzają wtedy, kiedy jest im wygodnie. Z różnych przyczyn. Musimy założyć, że Gestapo też tak działało. To znaczy, pewne rzeczy wiedzieli, pewne rzeczy podejrzewali, ale nie znaczy, że jak już wiedzieli, to od razu działali. Działali wtedy, kiedy podejrzewali, że trafią w te osoby ważniejsze, spowodują paraliż ośrodków podziemnych albo z kolei uderzą tak, żeby zastraszyć i złamać morale przeciwnika. Tak działają po prostu służby wszelkie, wszystko jedno, czy NKWD, czy Gestapo, czy UB. To jest wpisane w logikę ich działania. Jeżeli tak to przyjmiemy, tak nad tym się zastanowimy, to oczywiście wiedza o tym, co tam się działo w podziemiu, mogła być większa, niż nam się to wydaje, i mogły być takie rzeczy, że właśnie uderzano w pewnym momencie. Być może to było połączone ze sprawą katyńską, a może nie – w zasadzie nie wiemy, bo te dokumenty się słabo zachowały. W zasadzie jedyna rzecz, która jest cenna, to – nie wiem, czy pan to widział – książka Borodzieja, ona była wydana jeszcze w latach osiemdziesiątych, *Terror i polityka*. On korzystał z materiałów najlepiej zachowanych, czyli radomskiego Gestapo, i stąd wywodził różne rzeczy na temat metod.

– No właśnie. Jedną z teorii na temat zabójstwa Reszczyńskiego, o której wspomina w swojej książce Hempel, a jest to taka teoria dosyć zawila, ale w każdym razie według niej za zabójstwem Reszczyńskiego stało Gestapo, które chciało ponoć w ten sposób sprowokować granatową policję do większego zaangażowania w walce z komunistami, którzy, aby pomóc Armii Czerwonej,

atakowali siły niemieckie od tyłu, na przykład wysadzając w powietrze transporty wojskowe na front wschodni. Ale chciałem pana zapytać o co innego. Przyznam się panu, że byłem ostatnio na paru marszach, bo lubię się przejść. I te marsze dosyć często przechodzą Krakowskim Przedmieściem, gdzie jądro tej historii się znajduje. Bo tam była Komenda Policji, gdzie urzędował Reszczyński, a naprzeciwko, bank „Społem”, w napadzie na który zginął Bartoszek. Ten napad to był bardzo słaby pomysł, bo to jest niemalże naprzeciwko Komendy Policji. W tym miejscu wisiała tablica ku czci tych poległych bojowników GL. Wisi do dziś, tylko przy okazji remontu Krakowskiego Przedmieścia znikły z niej gwiazdy pięcioramienne. I teraz, jeżeli wszystko pójdzie dalej w tym kierunku, w którym zmierza, to ta tablica też pewnie zniknie, tak jak zniknąć może ulica Armii Ludowej... Zresztą Bartoszek jako bohater GL ma do dziś swoją ulicę na Sadybie, chociaż też pewnie niedługo. I chciałem pana zapytać o te przeróbki, zmiany nazw ulic... czy to da się zrobić mądrze?

– Jakie walory mają, czym są te nazwy? Są jakimiś rodzajami pomników. Są po to, żeby coś lub kogoś uczcić, upamiętnić, przypomnieć, że coś istniało, było i jest warte pozytywnej pamięci. Jeżeli przyjmujemy taką zasadę, to w tym momencie oczywiście weryfikujemy tradycję i słusznie zdejmujemy nazwy: Karola Świerczewskiego, Armii Czerwonej, Lenina, Stalina, Hitlera i tak dalej. Więc to jest dla mnie oczywiste, ale w pewnym momencie natrafiamy na taką szarą strefę, gdzie trochę nie wiemy, co z tym robić. Teraz jest taka sprawa ulicy Lewartowskiego. Lewartowski z jednej strony to komunista, pepeerowiec, a z drugiej jeden z organizatorów podziemia w getcie... I teraz, co jest ważniejsze? Co chcemy upamiętnić, a czego nie chcemy? Ja myślę, że to jest trochę tak samo z tym Bartoszką, bo niewątpliwie jest to komunista. Komunistycznej partii nie będziemy czcić, bo nie przywołujemy jej jako rzeczy honorowej. Natomiast z drugiej strony mamy młodego człowieka, który zginął w walce z okupantem, i jak to wyważyć? Tu zaczyna się też problem Armii Ludowej. Co zrobić z Armią Ludową? Tu jest jakby sprawa o tyle prostsza, że to jest organizacja. Organizacja, która nie może należeć do tradycji niepodległej Polski, wolnej Polski. Była organizacją komunistyczną powiązaną z Sowietami, jednoznacznie zachowującą się w latach czterdzieści cztery i czterdzieści pięć... Natomiast jak dochodzimy do poszczególnych osób, no to tu ja jestem bardziej wrażliwy.

– Panie profesorze. Jednym z moich rozmówców był bojownik AL, żołnierz „Czwartaków”, profesor Kobyliński, który jest dobrze po dziewięćdziesiątce i do którego nie tak dawno zapukał bladym świtem IPN... A jednak ci „Czwartacy” walczyli z okupantem, walczyli w powstaniu. I co z tym fantem zrobić?

– W tym przypadku odpowiedź leży na stole, ponieważ do tej pory była łagodna wersja tej polityki historycznej, która raczej nie wykluczała tego, co można było uznać za patriotyczną tradycję: ulicy „Czwartaków” nie likwidowano, Kobylińskiego nie piętnowano. Natomiast dzisiaj mamy taką tendencję, jaką mamy, i odwrotnie – jest tendencja wykluczająca z polskiej tradycji kogo tylko można, a jednocześnie włączająca do niej ugrupowania tak skrajne, jak Narodowe Siły Zbrojne, które nawet przez rząd polski w Londynie nie były traktowane jako ugrupowania godne upamiętniania. Przypomnę, że do osiemdziesiątego dziewiątego roku rząd polski w Londynie nie uznawał praw kombatanckich żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej, a dzisiaj to bohaterowie narodowi.

– Panie profesorze, co należałoby zrobić z ulicą Armii Ludowej? Co można mądrego zrobić z szacunkiem dla historii?

– No, nie mam pomysłu...

– Bo na przykład proponuje się zmieniać Bruna, na Giordana Bruna... jest taki pomysł...

– Wie pan, ja się właściwie cieszę, że ja się tym nie zajmuję, że nikt właściwie nie pyta mnie w tej sprawie o zdanie. Mnie natomiast martwi co innego, to, że nie ma w Warszawie ulic twórców odrodzonego państwa polskiego po tysiąc dziewięćset osiemnastym roku. Nie ma, bo oni byli zbojkotowani przez PRL, a po osiemdziesiątym dziewiątym roku to już była zbyt odległa historia i w ogóle nikogo to nie interesuje. Nie ma ulicy Jędrzeja Moraczewskiego, Walerego Sławka... Nie ma takich ulic.

Duch inspektora Weissa

STARY AUSTRIACKI GLINA, wojenny funkcjonariusz Kripo, spolonizowany na stare lata Żyd, był inspektor Joachim Weiss szedł dosyć dziarskim krokiem cichą podmiejską uliczką. Sądząc po rządach identycznych domków z czerwonej cegły i po czerwonej skrzynce pocztowej, było to gdzieś pod Londynem. Na narożniku widniała kuta tablica z nazwą ulicy, tą z adresu z listu w polskiej gazecie. Tak, to był Londyn. To tutaj mieszkały wdowa z córką.

Jesień w starej Anglii w niczym nie przypominała jesieni w Nowej Anglii za Atlantykiem. Było zimno, mglisto i dżdżyło. Weissa przeszedł dreszcz, ale raczej z podniecenia niż z zimna. Był już niedaleko, po właściwej, parzystej stronie ulicy. Przyśpieszył kroku i wcale nie dostał zadyszki. Stąpił z życiem po londyńskim bruku, wyrzucając sobie po drodze, że tak długo zwlekał. Dlaczego zwlekał tyle lat? Dlaczego nie znalazł się tu wcześniej? A potem: skoro już tu jest, to co im powie?

Pani mąż był uczciwym człowiekiem?

Numer na mijanych domach malały, więc był coraz bliżej. Zapomniał nawet, że w ręku dzierżył wiązankę suchych kwiatów. Kiedy je kupił? Nieważne. Kwiaty to był dobry pomysł. Bardzo polski.

Numer 19. To tu! Serce waliło mu jak młotem. Otworzył furtkę. Zapiszczały żelazne zawiasy. Przeszedł kilka kroków do porośniętego bluszczem ganku i dotknął palcem mosiężnego guzika dzwonka.

Ze względu na zbliżającą się przeprowadzkę Marta była zajęta sortowaniem oprawionych rodzinnych fotografii i nikogo się o tej porze nie spodziewała. Te fotografie wisały tu, przy Leonard Road, tak długo, że kiedy je zdejmowała, ich miejsca odznaczały jaśniejsze prostokąty na tapecie. Marta trzymała oburącz zdjęcie Olka w cywilu zrobione w Zakopanem. Uśmiechał się pod słońce, wyglądał na szczęśliwego i co było rzadkością, kiedy paradował w mundurze –

odprężonego. I wtedy właśnie, patrząc na ten jego uśmiech, wydało jej się, że usłyszała dzwonek u drzwi. Dzwonek o tej porze? „Ita” już dawno mieszkała z nowym mężem na drugim końcu Londynu. Marta wkrótce miała przeprowadzić się bliżej córki, która często ją odwiedzała, ale na dzisiaj się nie zapowiadała. Na listonosza było za późno, inkasent już był w tym miesiącu, a lokator z pierwszego piętra był jeszcze w pracy. No cóż, będzie musiała się pofatygować...

Zbliżyła się holem do drzwi wejściowych... będąc sama w domu, powinna być ostrożniejsza, ale chciała sprawdzić, czy się nie przesłyszała...

Na ganku nikogo nie było. A mogła przysiąc, że ktoś dzwonił!

Zapadał zmrok i uliczne lampy zaczęły się zapalać jedna po drugiej.

Marta pokręciła głową i powoli zamknęła drzwi. Musiało jej się zdawać. Postanowiła, że nikomu nawet o tym nie wspomni, żeby jej nie podejrzewali o demencję. Na wszelki wypadek wyjęła ze stojaka przy drzwiach stary parasol, podeszła jednak do furtki i dyskretnie rozejrzała się w prawo i w lewo po pustej o tej porze uliczce.

Nie było na niej żywego ducha.

To nie jest epilog

W LISTOPADZIE 2016 ROKU jeszcze jeden raz znajdujemy się w pociągu pendolino w drodze do Hanki. Ja, żeby ustalić ostatnie szczegóły dotyczące *Niewygodnego Polaka*, a moja żona towarzysko, bo bardzo się lubią. Wieczorem w Oliwie wypijamy we troje butelkę bardzo mocnej i smacznej nalewki według receptury Władka Essigmana, a rano, bez cienia bólu głowy – do roboty.

Referuję Hani postępy w pracy nad książką. Przypominam przebieg londyńskiej polemiki prasowej na temat jej własnych wspomnień *Kaprysy losu*. Wspomnienia tamtej awantury nadal budzą jej złość, a z krewką felietonistką, Krystyną Cywińską, nie pogodziły się aż po dziś dzień...

Zmieniając temat, opowiadam Hani o tym, jakie wrażenie wywarła na mnie archiwalna audycja o Bartoszkach – głos Heddy, sztywna mowa Józwiaka, no i opisy samego Bartoszka słowami jego kolegów.

Nadmieniam, że na taśmie profesor ASP, Bogdan Urbanowicz, mówi o Bartoszkach: „Wielkie, ciężkie chłopisko z rozcapierzonym włosiem, o jasnych oczach”.

Hania kręci głową:

– Ale tam takiego nie było.

– Nie? Naprawdę? Zaczekaj, bo to może być ważne. Wśród intruzów, których wpuściłaś do mieszkania, nie było „wielkiego, ciężkiego chłopiska”?

– Nie! Pamiętałabym przecież. Wiesz, oni czekali na ojca, więc on mógł zostać na dole. Nas potem zamknęli i nikogo więcej nie widziałam. Jeżeli był taki, jak go opisują, to możliwe, że ja tego Bartoszka jednak nigdy na własne oczy nie widziałam...

No cóż, nie tak to opisałem, ale zmieniać już nie będę. Ten detal „wątku powieściowego” mojej książki, ani żaden inny, nic nie zmienia w sednie historii „niewygodnego Polaka”, czy też, jak może należałoby ją nazwać, „niewygodnych Polaków”.

Hania mówi, że chciałaby sprawę rehabilitacji ojca doprowadzić do końca, że chciałaby dożyć, aby jakaś szkoła, skwer czy ulica nosiły imię Aleksandra Reszczyńskiego. Niestety, realistycznie rzecz biorąc – szanse na to są niewielkie.

Jeszcze zanim rozpoczęliśmy tę podróż, do której kresu się zbliżamy – wspólną pracę nad tą książką, Hania z własnej inicjatywy wystąpiła do IPN o wszczęcie śledztwa w sprawie zabójstwa jej ojca jako zbrodni komunistycznej. IPN odmówił, uznając, że „czyn ten nie zawiera znamion czynu zabronionego stanowiącego zbrodnię komunistyczną”.

Ich odmowa była dla niej wielkim rozczarowaniem, a rozczarowanie nie ułatwiło lektury zawikłanego uzasadnienia, o tym, że IPN nie jest władny ustawowo ścigać zabójców, którzy nie byli funkcjonariuszami państwa komunistycznego, ani definicji takich funkcjonariuszy. Gdyby nie głębia jej rozczarowania, Hanka doceniłaby może fakt, że w swoim piśmie IPN przynajmniej nie kwestionuje tego, że zabójstwa dokonali członkowie grupy specjalnej Gwardii Ludowej. Ale trudno jej zrozumieć, jak to jest, że morderstwo jej ojca przez nich nie nosi znamion zbrodni komunistycznej.

Rozmawiamy o tym do późnej nocy. Hance przysługuje prawo odwołania się od decyzji. Można by się na przykład spierać, że o ile samych zabójców nie sposób uznać za „funkcjonariuszy państwa komunistycznego ani za pełniących funkcję kierowniczą w organie statutowym partii komunistycznej”, to tymi ostatnimi już na pewno byli mocodawcy grupy Bartosza, poprzez dowódcę Grupy Specjalnej, który podlegał szefowi sztabu i członkowi KC PPR – Franciszkowi Józwiakowi.

Ale w ostatecznym rachunku Hani nie o to chodzi. Marzy jej się ulica, szkoła lub skwer. Marzy jej się pamięć.

Posłowie

KSIĄŻKA TA SKŁADA SIĘ Z DWÓCH PRZEPLATAJĄCYCH SIĘ ZE SOBĄ NURTÓW. Pierwszy to historia zabójstwa pułkownika Reszczyńskiego i dalszych losów jego bliskich i związanych z nim osób, a także jego zabójców, ich bliskich i ich towarzyszy. Bohaterowie tego nurtu, utrzymanego w formie luźno opartej na faktach powieści sensacyjnej, wzorowani są na postaciach historycznych.

Nurt drugi to dokumentalny zapis mojego własnego rodzinnego i dziennikarskiego „śledztwa” w tej sprawie: dokumentów, wywiadów i relacji, a także osobistych refleksji i wspomnień.

Bohater nurtu pierwszego, swojego rodzaju „powieści sensacyjnej”, inspektor Joachim Weiss, oraz pozostali oficerowie Kripo i Gestapo są postaciami fikcyjnymi. O tych, którzy naprawdę prowadzili śledztwo w sprawie zabójstwa pułkownika – brak jakichkolwiek informacji. Można jedynie założyć, że tak jak to było praktykowane, z ramienia Kripo dochodzenie rzeczywiście prowadził Niemiec, z polskim zastępcą. Cała reszta jest oparta na pewnych faktach historycznych przeplatanych z fikcją.

Niemniej postać pułkownika Reszczyńskiego wyłaniająca się ze śledztwa fikcyjnego inspektora jest całkowicie autentyczna, oparta w najdrobniejszych szczegółach na dokumentach źródłowych oraz na relacjach rodziny i naocznych świadków. Bardzo bliskie rzeczywistości są także postaci jego córki i pozostałej jego rodziny.

Co do pozostałych postaci książki:

Następca Reszczyńskiego na stanowisku komendanta policji w Warszawie, występujący w „powieści”, wzorowany jest na majorze, a następnie pułkowniku, Franciszku Przymusińskim, ale ze względu na wymogi „fabuły” jest postacią na poły fikcyjną. Podobnie rzecz się ma z zabójcą komendanta i z jego żoną – są to postaci jedynie wzorowane na Franciszku i Heddzie Bartoszkach.

To, w jakim stopniu dana postać jest postacią historyczną, a w jakim opartą na postaci historycznej postacią fikcyjną, odzwierciedlają ich imiona, nazwiska bądź pseudonimy. Przy rozdzielaniu faktów od fikcji pozwoliłem sobie stosować następującą konwencję: Po pierwsze, wszystkie postaci historyczne, opisane zgodnie ze znanymi faktami, występują pod swoimi prawdziwymi nazwiskami, tak jak na przykład Kierski, kapitan policji „granatowej” zastrzelony na Marymoncie. Po drugie, pod samymi imionami pojawiają się postaci częściowo lub całkowicie fikcyjne lub skomponowane z kilku postaci historycznych, takie jak na przykład Abraham z ulicy Leszno, inspirowany częściowo postacią historyczną Abrahama Gancwajcha.

Ponadto wszystkie postaci historyczne, których akcje w „powieści sensacyjnej” są częściowo wytworem mojej wyobraźni, a które miały konspiracyjne pseudonimy, występują pod tymi pseudonimami. Tak więc „Ita” jest wzorowana na mojej ciotce, Hance Reszczyńskiej, „Jacek” na Franciszku Bartoszu, „Fryga” na Heddzie Bartoszek i tak dalej.

Na przykład postać oparta na moim ojcu, Andrzeju Reszczyńskim, występuje w nurcie powieściowym pod swoim akowskim pseudonimem „Gruber” (przyjętym, bo mieszkał niedaleko Banku PKO, którego prezes nosił to nazwisko).

Ma się rozumieć, że wszystkie kluczowe wydarzenia „powieści”, poczynając od samego zabójstwa, przedstawione są zgodnie z faktami historycznymi, jeżeli chodzi o uczestników, miejsca i daty. Natomiast ze względu na potrzeby fabuły w wątku fabularnym chronologia wydarzeń historycznych odbiega czasem nieznacznie od chronologii historycznej.

Z tą warstwą „fabularną”, której każdy rozdział nazwany jest od ulicy lub miasta, gdzie rozgrywa się akcja, przeplata się wybór dokumentów, fragmentów wywiadów, relacji i moich osobistych impresji zebranych w trakcie pracy nad tą książką.

Odwołując się do słów Alberta Camusa o tym, że fikcja to kłamstwo służące opowiadaniu prawdy, mam nadzieję, że ze splotu tych dwóch nurtów wyłoni się przed oczyma czytelnika nie tylko historyczny, ale także emocjonalny portret tytułowego „niewygodnego Polaka”, Aleksandra Reszczyńskiego, oraz pozostałych niewygodnych bohaterów tamtych i naszych czasów.

Maciej Bernatt-Reszczyński

Podziękowania

KSIĄŻKA TA NIE POWSTAŁABY BEZ ZAANGAŻOWANIA, poparcia i udziału mojej ciotki, córki Aleksandra Reszczyńskiego, Hanny Essigman-Reszczyńskiej. Na dobrą sprawę niemal od dziecka zachęcała mnie ona do jej napisania.

Muszę też w tym miejscu wymienić mojego Ojca, zmarłego w 2011 roku Andrzeja Reszczyńskiego, od którego o jego stryju usłyszałem po raz pierwszy, a którego wspomnienia wykorzystuję szeroko w tej książce.

Moje podziękowania należą się wszystkim tym, którzy zgodzili się ze mną porozmawiać o niewygodnych Polakach, a szczególnie profesorowi Andrzejowi Friszke, profesorowi Andrzejowi Krzysztofowi Kunertowi i profesorowi Januszowi Kochanowskiemu.

Za wspomnienia swoje i o swoich bliskich: państwu Januszowi i Krystynie Cywińskim, pani Małgorzacie Semil-Jakubowicz, panu Józefowi Jatczakowi, profesorowi Lechowi Kobylińskiemu i panu Jerzemu Zbigniewowi Sakowiczowi.

Za czytanie pierwszych wprawek – nieocenionemu Kazimierzowi Żurawskiemu.

Jak zwykle dziękuję też mojej agentce, pani Małgorzacie Maruszkin!

Bibliografia

Archiwalia

Fragmety fikcyjnego „pamiętnika” Aleksandra Reszczyńskiego oparte są na jego autentycznych rozkazach dziennych – Archiwum Akt Nowych w Warszawie, zespół: Komenda Główna Policji Państwowej, wcześniej Centralne Archiwum KC PZPR 203/III.

Teczka agenta ps. „Bułgar” – Farber Kazimierz, IPN BU 2602/530.

Akta śledztwa grupy „Prawego” – IPN BU 827/383, t. 2, t. 3.

Korespondencja Marty Reszczyńskiej z Juliuszem Osterwą i Ireną Solską – w zbiorach rękopiśmiennych Biblioteki Narodowej – BN akc. 17741.

Publikacje dokumentów

Internowani na Uralu, t. XVI, Centrum Przechowywania Zbiorów Historyczno-Dokumentalnych, Moskwa; Centrum Badań nad Ludobójstwem i Ruchem oporu Mieszkańców Litwy, Wilno; Ośrodek Badań, Informacji i Upowszechniania (NiPC) „Memoriał”, Moskwa; Ośrodek KARTA, Warszawa 1999.

Opracowania historyczne

W. Bartoszewski, *1859 dni Warszawy*, Warszawa 2008.

W. Borodziej, *Terror i polityka*, PAX 1985.

W. Bułhak, A.K. Kunert, *Kontrwywiad podziemnej Warszawy. Struktura, zadania i obsada personalna kontrwywiadu Komendy Głównej, Obszaru Warszawa*

- i Okręgu Warszawa ZWZ-AK w latach 1939–1944*, [w:] *Wywiad i kontrwywiad Armii Krajowej*, red. W. Bułhak, IPN – Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Warszawa 2008.
- N. Davies, *Europa walczy 1939–1945. Nie takie proste zwycięstwo*, przekład Elżbieta Tabakowska, Kraków 2008.
- J.B. Garas, *Oddziały Gwardii Ludowej i Armii Ludowej 1942–1945*, Warszawa 1971.
- P. Gontarczyk, *Polska Partia Robotnicza. Droga do władzy 1941–1944*, Warszawa 2003.
- E. Gronczewski, *Walczyli o Polskę Ludową*, Warszawa 1982.
- Z. Jakubowski, *Franciszek Józwiak – Witold : życie i działalność*, Warszawa 1978.
- I. Hankiewicz, *Polegli za Polskę, wolność i lud*, B.M. 1945.
- A. Haska, *Jestem Żydem, chcę wejść. Hotel Polski w Warszawie, 1943*, Instytut Filozofii i Socjologii PAN, Warszawa 2006.
- A. Hempel, *Pogrobowcy klęski. Rzecz o policji „granatowej” w Generalnym Gubernatorstwie*, Warszawa 1990.
- A. Hempel, A.K. Kunert, *Aleksander Reszcyński, Polski Słownik Biograficzny*, t. XXXI, s. 128.
- J. Klechta, *Z walk GL i AL w Warszawie, 1942–1944*, Warszawa 1968.
- A.K. Kunert, *Słownik konspiracji*, t. I–III, Warszawa 1991.
- S. Marat, J. Snopkiewicz, *Ludzie bezpieki*, Warszawa 1990.
- P. Matusak, *Wywiad Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej 1939–1945*, Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego, Warszawa 2002.
- T. Marszałkowski, *Zamieszki, ekscesy i demonstracje w Krakowie 1918–1939*, Kraków 2016.
- R. Nazarewicz, *Armia Ludowa. Dylematy i dramaty*, Warszawa 1998.
- Nowotko–Mołojec. Z początków PRL. Nieznane relacje Władysława Gomułki i Franciszka Józwiaka*, Londyn 1986.
- Polskie życie artystyczne w latach 1915–1939*, Warszawa 1974.
- Publicystyka konspiracyjna PPR 1942–1945 Wybór artykułów*, Zakład Historii Partii przy KC PZPR, t. I–II–II, Warszawa 1964.
- A. Paczkowski, *Zdobycie władzy 1945–47*, Warszawa 1993.
- Podziemie niepodległościowe na Podbeskidziu w latach 1939–1947*, pod red. Aleksandry Namysłó i Tomasza Kurpiera, Bielsko-Biała 2002.
- J. Rydłowski, *Żołnierze lat wojny i okupacji*, Warszawa 1971.
- Słownik artystów polskich i obcych w Polsce*, t. 1. Instytut Sztuki PAN, Wrocław 1971.
- R. Spalek, *Komuniści przeciwko komunistom*, Warszawa, Poznań 2014.

- T. Strzembosz, *Akcje zbrojne podziemnej Warszawy 1939–1944*, Warszawa 1983.
- W. Studnicki, *Tragiczne manowce. Próby przeciwdziałania katastrofom narodowym 1939–1945*, Gdańsk 1995.
- J. Ślaski, *Polska Walcząca*, t. III, Warszawa 1999.
- Tajne oblicze GL–AL i PPR*, wybór i opracowanie Marek J. Chodakiewicz, Piotr Gontarczyk, Leszek Żebrowski, Warszawa 1997–1999.
- M. Turlejska, *Te pokolenia żałobami czarne... : skazani na śmierć i ich sędziowie*, Warszawa 1990.
- P. Wieczorkiewicz, *Historia polityczna Polski 1935–1945*, Poznań 2014.
- A. Żbikowski, *Antysemityzm, szmalcownictwo, współpraca z Niemcami a stosunki polsko-żydowskie pod okupacją niemiecką*, [w:] *Polacy i Żydzi pod okupacją niemiecką 1939–1945*, IPN – Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, 2006.

Powieści

- J. Mackiewicz, *Nie trzeba głośno mówić*, Paryż 1969.
- J. Żarnowski, *Polska Partia Socjalistyczna w latach 1935–1939*, Warszawa 1965.

Periodyki, druki okolicznościowe

- F. Bartoszek, *Socjalno-plastyczna synteza Goi*, „Pion” 1936, nr 3.
- H. Bartoszek, *Współczesny dialog z romantycznością*, „Współczesność” 1966, nr 3.
- Franciszek Bartoszek, 1910–1943: malarz, żołnierz, bohater*, Zielona Góra, październik 1968, Wydż. Kultury PWRN, s. 24.
- Franciszek Bartoszek, 1910–1943: wystawa w XXV rocznicę śmierci artysty i żołnierza*, Poznań V–VI 1968, Warszawa VII 1968, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, 1968.
- Z. Klemenczak, *Bohater wyszedł z Czarnkowa*, „Ziemia Nadnotecka” 1961, nr 6, s. 7.
- Z. Klemenczak, *Franciszek Bartoszek, Jacek*, „Rocznik Piłski” 1962, R. 2, s. 7–15.
- J. Snopkiewicz, *Oskarżeni*, „Tygodnik Kulturalny” 1988, nr 52, s. 8–9 i „Tygodnik Kulturalny” 1989, nr 1, s. 8–9.
- S.Z. Gołębiowski, *Franciszek Józef Bartoszek, artysta malarz i żołnierz Gwardii Ludowej (1910–1943)*, Poznań 1972, t. 40, nr. 2.

- J. Giedroyć, *Europejczycy*, „Kultura” 1993, s. 139.
M. Spychalski, *O artyście malarzu Franciszku Bartoszk*, „Odrodzenie”, 4 IV 1948.
S. Sowińska, *Gorzkie lata*, „Karta”, nr 37, s. 8–50.

Wspomnienia

- H. Bartoszek, S. Marody, J. Szewczuk, *My z głodujących miast: wspomnienia zetwumowców z lat okupacji*, Warszawa 1961.
M. Berman, *Czapka Frygijska*, [w:] *Księga wspomnień 1919–1939*, Warszawa 1960.
Z. Błazyński, *Mówi Józef Światło. Za kulisami bezpieki i partii*, Warszawa 1990.
B. Drobner, *Bezustanna walka. Wspomnienia 1936–1944*, t. III, Warszawa 1967.
KPP. Wspomnienia z pola walki, Warszawa 1951.
J. Kott, *Przyczynek do biografii, zawał serca*, Kraków 1994.
T.S. Krasnodębski, *Policjant konspiratorem. Szesnaście lat na muszce gestapo i bezpieki*, Kraków 2008.
L. Landau, *Kronika lat wojny i okupacji*, Warszawa 1963.
H. Reszczyńska-Essigman, *Kaprysy losu*, Toruń 2001.
M. Spychalski, *Początek walki*, Warszawa 1983.
L. Solski, *Wspomnienia*, na podstawie rozmów napisał Alfred Woycicki, t. 2, 1893–1954, Kraków 1961.

Przypisy

- [1] Na podstawie A. Hempel, *Pogrobowcy kłęski. Rzecz o policji „granatowej: w Generalnym Gubernatorstwie*, Warszawa 1990, s. 217.
- [2] N. Davies, *Europa walczy 1939–1945. Nie takie proste zwycięstwo*, przekład Elżbieta Tabakowska, Kraków 2008.
- [3] P. Gontarczyk, *Tajne dokumenty GL-PPR*, s. 48 – za AAN/I-1, k. 11.
- [4] Ibidem.
- [5] Notatka z dochodzenia przeciwko Reszczyńskiemu w 1949 r. na mocy ustawy „sierpniowej” w oparciu o AZHP, 203/III t. 119 k. 6 (obecnie AAN).
- [6] Ibidem.
- [7] *Polen: Generalgouvernement August 1941–1945*, oprac. Fredrich Klaus-Peter, Oldenburg-Verlag-München 2014.
- [8] AAN – Zespół „Gwardia Ludowa”.
- [9] B. Gadomski, *Biografia Agenta*, Warszawa 2009.
- [10] tamże, s. 220.
- [11] Na podstawie „Protokoły z odpraw oficerów w Komendzie Miasta” z 16 XII 1941 r. AAN (CA KC PRZPR 203/III-123, k. 1, 5–7).
- [12] J. Ślaski, *Polska Walcząca*, Warszawa 1999.
- [13] Ibidem.
- [14] M. Berman, *Czapka Frygijska*, [w:] „Księga wspomnień” 1919–1939, Warszawa 1960.
- [15] Trudności weryfikacyjne szefa kontrwywiadu AK związane były z jego zwolnieniem w trzy miesiące po aresztowaniu podczas łapanki w grudniu 1943 roku. Aresztowany ponownie trafił w lipcu 1944 roku do obozu Gross-Rosen (w miesiąc po moim ojcu, Andrzeju Reszczyńskim – MBR). Zmarł w Manchesterze w 1965 roku.
- [16] L. Ciołkoszowa, *Spojrzenie Wstecz*, rozmowy przeprowadził Andrzej Friszke, Paris 1995, s. 111.

[17] <http://blogpress.pl/node/6389>

[18] *Spod czerwonej gwiazdy*, Biuletyn IPN, marzec-kwiecień 2006, s. 4. https://ipn.gov.pl/__data/assets/pdf_file/0007/45538/1-7149.pdf [dostęp 06-03-16]

[19] https://ipn.gov.pl/__data/assets/pdf_file/0017/54008/twarze.bezpieki.bielsko-biala.pdf

[20] *Aparat bezpieczeństwa w Polsce. Kadra kierownicza*, tom I, 1944–1956, red. nauk. Krzysztof Szwaagrzyk, Warszawa 2005.

[21] *Indeks represjonowanych*, tom XVI, Centrum Przechowywania Zbiorów Historyczno-Dokumentalnych, Moskwa; Centrum Badań nad Ludobójstwem i Ruchem oporu Mieszkańców Litwy, Wilno; Ośrodek Badań, Informacji i Upowszechniania /NiPC/ „Memoriał”, Moskwa; Ośrodek KARTA, Warszawa 1999.

[22] Teczka agenta ps. „Bułgar” – Farber Kazimierz – IPN 00304/73.

[23] H. Essigman-Reszczyńska, *Kaprysy losu*, Biblioteka Uniwersytecka, Toruń 2001.

[24] IPN 827/383 t. 2 i 3.

[25] Audycja *Paletą i piórem*, Polskie Radio, 1963.

[26] Zenon Kliszko – członek KPP, PPR, Gwardii i Armii Ludowej. Najbliższy współpracownik Władysława Gomułki, padł ofiarą czystek przełomu lat 40. i 50., a począwszy od odwilży 1956 roku jedna z najważniejszych osobistości PRL. W 1968 roku namówił Gomułkę na zdjęcie *Dziadów*. Zwolniony z KC PZPR za współodpowiedzialność za pacyfikację na Wybrzeżu w Grudniu '70.

[27] J. Kott, *Przyczynek do biografii, zawał serca*, Wydawnictwo Literackie 1994, s. 277–279.

[28] „Gazeta Wyborcza” (Stołeczna) 2000, nr 255 (31.10–1.11).

[29] K. Cywińska, *Kontrowersje*, „Tydzień Polski i Dziennik Żołnierza”, 15.06.2002.



Aleksander Reszczyński w stopniu komendanta powiatowego



Żona Aleksandra, Marta z Zarembów Reszczyńska z małą Hanią, Wilno 1928 r.



Czesław, Aleksander i Stanisław Reszczyńscy, ok. 1920 r.



Aleksander Reszczyński jako komendant policji w Krakowie, na Wawelu



Aleksander Reszczyński na dachu Pałacu Pracy w Krakowie



Tuż przed przeniesiem do Poznania, komendant Reszczyński z markotną miną wita nowego wojewodę krakowskiego



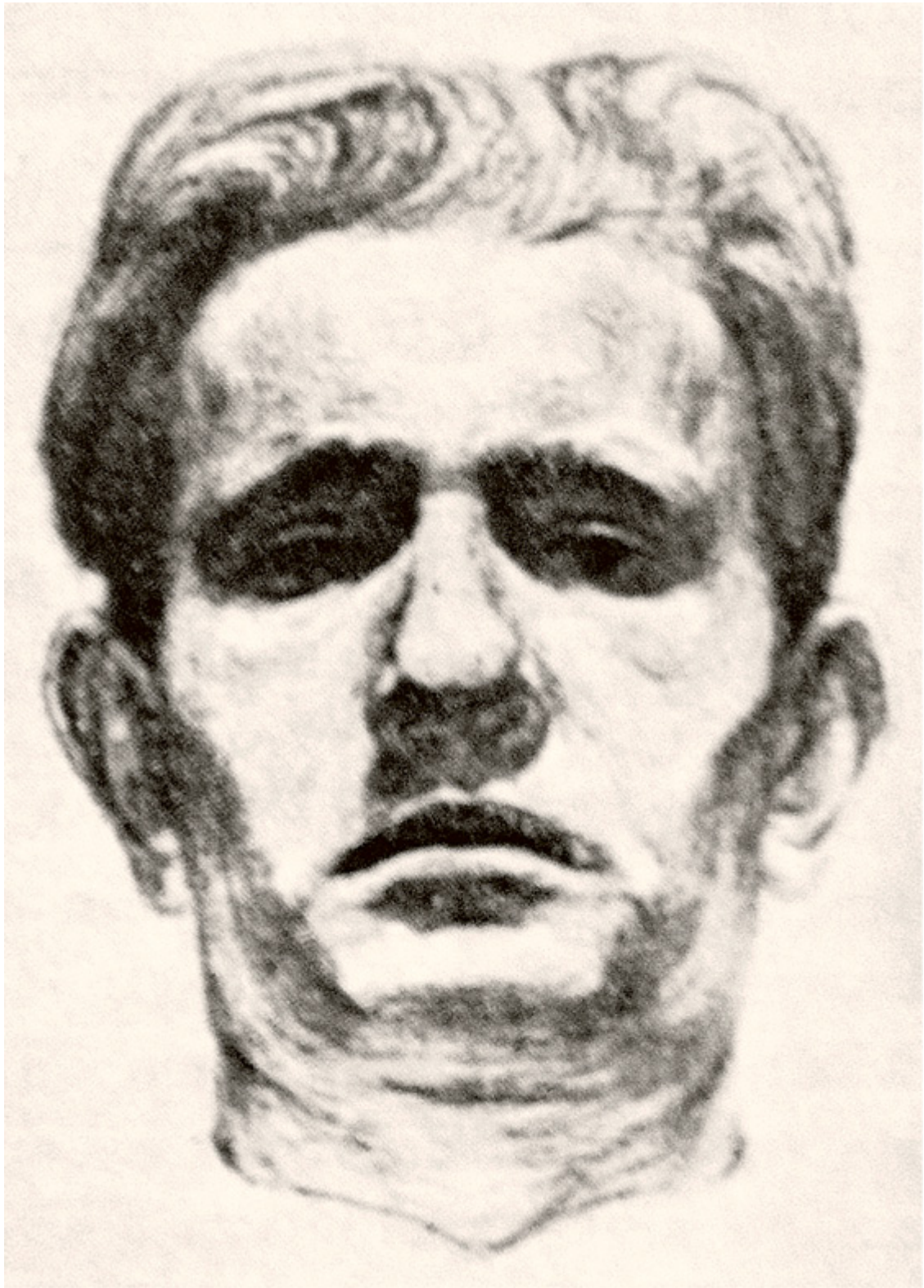
Pamiętkowe zdjęcie po wspólnej akcji polskich i niemieckich policjantów



Patrole na ulicach okupowanego Krakowa



Aleksander Reszczyński wyjątkowo w cywilu w Zakopanem



Franciszek Bartoszek – autoportret – Odrodzenie, 4.IV.1948 r.



Hedda Bartoszek



Zygmunt Bobowski – zdjęcie przedwojenne ze wspomnień Mieczysława Bermana
o grupie Czapka Frygijska

W TYM DOMU
14 MAJA 1943 R.
GRUPA SPECJALNA
GWARDII LUDOWEJ
IM. L. WARYŃSKIEGO
PRZEPROWADZIŁA
AKCJĘ BOJOWĄ.
W WALCE Z HITLEROWCAMI
POLEGLI:
DOWÓDCA GRUPY
FRANCISZEK BARTOSZEK „JACEK”
ZYGMUNT BOBOWSKI „TADEK”
BRONISŁAW MUSZYŃSKI „JÓZEF”
„ALEKS” „JANEK”
1943 1963

Tablica pamiątkowa przy Krakowskim Przedmieściu 16.



Hania Reszczyńska – tę czapkę włożyłam i ojciec mi pstryknął to zdjęcie.



Hanka w Teatrze Rapsodycznym, 1961 r.



Hanna Reszczyńska przy grobie ojca na Powązkach